

W LESIE TAKA CIEMNOŚĆ  
JEST JESZCZE CIEMNIEJSZA.

NIE WIDAĆ NIC,  
TYLKO CZERNI

# h o t e l

WOJCIECH ZAWIOŁA

Świat Książki

**WOJCIECH ZAWIOŁA**

# hotel

  
Świat Książki  
wydawnictwo



Wydawca: *Joanna Laprus-Mikulska*  
Redaktor prowadzący: *Iwona Denkiewicz*  
Redakcja: *Jerzy Lewiński*  
Korekta: *Jadwiga Piller, Marzenna Klos*

Copyright © by Wojciech Zawioła, 2023  
Copyright © for this edition by Dressler Dublin Sp. z o.o., 2023

ISBN 978-83-828-9005-1  
Warszawa 2023

Wydawnictwo Świat Książki  
02-103 Warszawa, ul. Hankiewiczza 2

Księgarnia internetowa: [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)

Dystrybucja  
Dressler Dublin Sp. z o.o.  
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91  
e-mail: [dystrybucja@dressler.com.pl](mailto:dystrybucja@dressler.com.pl)  
tel. + 48 22 733 50 31/32  
[www.dressler.com.pl](http://www.dressler.com.pl)

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

Ciemność. W lesie taka ciemność jest jeszcze ciemniejsza. Nie widać nic, tylko czerń. To tak, jakbyś zamknął oczy i próbował iść w wyobrażonym celu. Nie realnym, bo przecież nic nie widzisz. Chyba że znasz drogę na pamięć.

A on ją zna. Stawia zdecydowane i ciche kroki. Jakby wiedział, gdzie położyć stopę, by w tej ciszy nie narobić hałasu. Idzie tędy nie pierwszy raz. Spokojny, pewny siebie, wyprostowany. Ale nie jak sztywniak w gajerze. Raczej jak siłacz. I nie taki z przydrożnej, wiejskiej siłowni. Jemu siłę dało życie, codzienność. Siłę i pewność. Choć nie zawsze to czuł.

Skreca w lewo za niskim drzewem, którego nie widać. Potem przeskakuje konar, którego również nikt inny by nie dostrzegł. Kilka kroków dalej brodzi w strumyku, w którym woda jest tak zimna, że aż parzy. Ale on ma dobre buty, wysokie. Takie jak budowlańcy leniwie taplający się w błocie na budowach. Takie z filcem na górze.

Pierwszy raz włożył je dopiero tu, kilka miesięcy temu. Po tym, jak uciekł z tej cholernej wsi nad Wisłą. Po tym, jak powiedział temu życiu: „spierdalaj!”. Uciekł najdalej, gdzie mógł, w miejsce, którego nie znał. I gdzie nikt nie będzie go szukał.

Milczał. Konsekwentnie i z nieukrywana satysfakcją. Ale też z konieczności, bo nie mógł się ujawnić. Brutalnie pokazał „faka” tamtemu życiu i tamtym ludziom. Im wszystkim, tylko nie jej. Ale o niej ani słowa.

Wreszcie widzi światło. Na razie wielkości atomu, ale wie, że za chwilę będzie większe. Za chwilę będzie mrużył oczy, by nie eksplodowały, przyzwyczajone do ciemności, w jakiej musiały być przez ostatnie dwie godziny. Strzepuje z ramienia kawałki kory z drzewa, o które otarł się, próbując ominąć zwisającą gałąź sosny. Jacek ze wsi miał ją ściąć. Zapomniał, bo tyle rzeczy na głowie.

Jacek ma konia. Użyca go sąsiadom, bo sąsiadom przecież trzeba pomagać. A jak już pomaga sąsiadom, używając tego konia (sam używa słowa „użyczam”), to już na nic innego nie wystarcza czasu. No bo na tego konia musi czekać. A to zajmuje dużo czasu.

No więc gałąź wisi, od kiedy powiesił się na niej gruby Jasiek. Przeżył, bo gałąź się złamała. Bo nie dość, że nie była zbyt okazała, to jeszcze Jasiek swoje sto trzydzieści kilogramów na niej chciał zawiesić. A to już było za dużo. I teraz oboje połamani – gałąź wisi, a Jasiek uszkodził kręgosłup i chodzi po wsi wykrzywiony jak wieża w Pizie. Historia jak w nędznym serialu obyczajowym. Jaśkowi pękło serce, kiedy zobaczył Elę z brzuchem. Najpierw poszedł w tango z chłopakami z sąsiedniej wsi. A że przyjaźni tam nigdy nie było, to dali mu po mordzie. I tak miał szczęście, bo trzymali już siekiere w gotowości.

– Spierdalaj do domu, bo ci kciuka ujebiemy! – przekrzykiwali się.

Nie wiadomo, o co poszło. Ale nie musiało o nic pójść. Wieś to wieś. Nie było tam szansy na konkretną klubową ustawkę, to korzystali z każdej okazji, by pięści puścić w ruch. I nie tylko pięści.

Jaśiek cięższy o kilka litrów piwa i rozpaczający z powodu brzucha Elki wpadł na genialny w swej głupocie pomysł zakończenia życia. Poszedł głęboko w las i złamał gałąź. Potem nic nie pamiętał. Spał i zasnął. Rano doczłapał się do najbliższego domu.

Elka już urodziła. Jaśka prawie nie знаła, bo nigdy nawet słowa do niej nie powiedział. Ot, platoniczna miłość. Nie przeszkadzało mu, że od kilku lat spotykała się z Jędrkiem. Ale brzuch go zalał.

Co jakiś czas pod butem strzela drewno. Cicho, choć wołaby, by było zupełnie bezdźwięczne. Ale to jedynie pobożne życzenie.

Wciąż idzie. W stronę tego światła, które jeszcze przed chwilą było nikłe, a teraz wyraźnie już przypomina blask żarówki. Jeśli w jego zachowaniu był choć cień niepewności, to teraz wyprostował się jeszcze bardziej i zdecydowanie pokonywał kolejne metry.

Lampa wisi przed drzwiami. Kołysze się. Może od wiatru, a może ze strachu przed panującą wokół ciemnością. Może nawet w obawie przed nadchodzącym cieniem. Ale cień zbliża się spokojnie, bez gwałtownych ruchów. Ktoś patrzący z boku dostrzegłby pewność siebie i swobodę gospodarza. Tak, jest u siebie. I choć przez moment sprawiał wrażenie, jakby zamierzał zapukać, chwycił klamkę i pchnął drzwi.

Gdzieś tam, skąd przyszedł, nikt nie wiedział, że był w tym miejscu. Był cieniem, był ciszą, był spojrzeniem i niczym innym.

\* \* \*

Boję się śmierci. Że będzie mnie powoli rozdeptywać, jak but rozdeptyje karalucha. Cholernie się jej boję, bo wszystko mi odbierze. Pamięć o tym, co było, ale też to, co mam teraz. Odbierze mi też możliwość przeżycia tego wszystkiego, co mógłbym jeszcze przeżyć. Co z tego, że owego braku tak czy inaczej nie odczuję. Nie wierzę, że ktoś jest gotowy na własną śmierć. Ona się zbliża, a ty chcesz jeszcze oddychać ziemskim powietrzem, czuć krople morskiej wody na skórze, budzić się z widokiem na Giewont, napić się piwa z chłopakami albo wina z piękną kobietą. Poczuć jej zapach i smak. Chcesz patrzeć, jak radzą sobie w życiu twoje dzieci, i czekasz na wnuki. Chcesz spisać jeszcze listę rzeczy, które chciałbyś w życiu zrobić. Nie jestem na to gotów. I nigdy nie będę.

Myślę o tym, jadąc dwupasmówką na południu Polski. Ale myślę o tym od ponad trzystu kilometrów, bo mam wrażenie, że wyjeżdżając ze stolicy, kończę swoje życie. Wiem, przesadam. Raczej dotychczasowe życie, może jego etap. Etap, którego mam dosyć. Etap, który mnie zmęczył, ale też wywindował na wyższy poziom w mojej branży. Tyle że teraz spadam. Dlatego właśnie jadę dwupasmówką. Uciekam. Umieram. Muszę odpocząć.

Wczorajszy wieczór był dość obrzydliwy. Przyjęcia integracyjne w korporacjach zawsze takie są. A w mediach być może jeszcze gorsze. Kobiety wdzięczą się do obiektywów polujących na celebrytów fotoreporterów, a mężczyźni wdzięczą się do tych kobiet. Chyba że są gejami, wtedy wdzięczą się do innych gejów. Fotoreporterzy robią to, za co dostają największą kasę – pstrykają tych, których pstrykano już miliony razy. To sprawdzony towar. Do pstrykania innych, nowych zachęcają agencje PR. Wtedy fotoreporterzy nawet nie wiedzą, komu robią zdjęcie. Ale robią, bo może się „przydać”.

I wszyscy się uśmiechają, wszyscy są szczęśliwi. Wszyscy witają się „misiem”, bo przecież się uwielbiają i pracują w jednej wielkiej rodzinie. A może dlatego, że długo się nie widzieli. Może to szczere. A może szczęśliwych jest dziesięć procent, a pozostali to alkohol i próba ukrycia swojego nieszczęścia przed tymi szczęśliwymi. Bo to trochę wstydlive.

Przechadzałem się między stolikami, patrząc i nasłuchując, kto o czym rozmawia. Tu praca, tam sport, przy kolejnym stoliku zwykłe plotki. Przy pięciu kolejnych stolikach tylko praca i kolejne wyzwania.

I Karol. Podszedł do mnie i powiedział, że nie zmienił zdania. Nie wziął pod uwagę, że nie chciałem, by je zmienił. Oni nigdy nie biorą tego pod uwagę. Myślą, że są mistrzami świata i wszyscy chcą z nimi grać.

– Ty nie chcesz się zmienić – zawyrokował. – Ty chcesz, żebyśmy to my się zmienili, a to niemożliwe.

– Jestem za zmiany – odpowiedziałem. – Zwłaszcza takie.

– Wszyscy to robią.

– Ja nie jestem „wszyscy”, ja jestem Fajkowski, zapomniałeś?

Karol mimochodem całuje w policzek młodą gwiazdę, która właśnie przechodzi.

– Po co my w ogóle o tym rozmawiamy? – zapytałem.

– Nie wiem. – Uśmiechnął się. – Może mi trochę szkoda cię tracić.

Parsknąłem śmiechem. Dostałbym za to Oscara. Albo przynajmniej nominację. Choć w dzisiejszym świecie pozerów i udawaczy mógłbym mieć marne szanse.

Zabrałem ze stolika szklankę whisky i odszedłem bez słowa. Po raz kolejny tego wieczoru zadałem sobie pytanie: „co ja tu robię?”. I po raz kolejny odpowiedziałem sobie: „chyba mnie popierdoliło”.

– Serio odchodzisz? – zaskoczył mnie Piotr stojący za moimi plecami. Nie wiem, kiedy się tam pojawił.

– Nie odchodzę, robię sobie przerwę.

– Daj spokój, Mateusz, jest zakład w firmie, czy wrócisz. Prawie wszyscy obstawiają, że pół roku przerwy to za dużo. Rozleniwisz się.

Opróżniłem szklankę i zacząłem się rozglądać za kelnerem. Byli cały czas w pobliżu. Zniknęli błyskawicznie, kiedy po raz pierwszy pomyślałem, że będę ich potrzebował. Norma.

– Zobaczymy – powiedziałem prawie szeptem. – Spadam stąd, Piotr. Znudzilo mi się.

– Dawaj znać, co się u ciebie dzieje.

– Jutro wyjeżdżam.

– Dokąd?  
– To pilnie strzeżona tajemnica.  
Uśmiechnąłem się i skierowałem do drzewi.  
– Mateusz!  
Odwrociłem się  
– Jesteś uparty jak osioł!  
– Wiem. – Znow się uśmiechnąłem – I dobrze mi z tym.  
Muszę odpocząć.

Jadę dwupasmówką. Wypatruję stacji benzynowej, bo moje pięcioletnie audi ciągnie już na oparach. Wyobrażam sobie opary alkoholu w mieszkaniach uczestników wczorajszego przyjęcia. Część wlewa w siebie wszystko po kolei. Inni skupili się na jednym rodzaju trunku. Efekt taki sam: chichoty i niepewny krok w drodze do domu. I ten odór następnego dnia. I kac. Ale może oni mają rację? Może tego nie da się na trzeźwo?

Jadę. Dwupasmówką. Prawie pustą. Wiem, że to ostatnie kilometry dość wygodnej trasy. Potem będzie już tylko gorzej. Ciężarówki i ich kierowcy, władcy szos, których trudno wyprzedzić, bo zapierdalają jak dzicy. A w dodatku z naprzeciwka jadą ich koledzy. Do tego „ścigacze”. Zwykle to dziadkowie ze swoimi babciami, pędzący na zakupy albo do wnuków, których rodzice mają cotygodniowe wychodne do kina albo do małej wiejskiej knajpy. Dziadkowie zawsze prowadzą małe samochody, a na głowach mają czapki. Babcie za to ślepią trwałą undulacją. Nie rozmawiają ze sobą, bo się przez całe życie już nagadali i teraz się ledwo znoszą. Jadą wolno, bo przyzwyczaili się do katowania się swoim towarzystwem. Ścigacze to też ci wszyscy zatopieni w esemesach i innych fejsbukach, myślący, że mają doskonałą podzielność uwagi. Przepis o zakazie używania telefonu komórkowego podczas jazdy jest idiotyczny jak *Świat według Kiepskich*. Zasadniejsze byłoby przyznanie licencji na korzystanie z komórki tym, którzy potrafią się nią posługiwać podczas jazdy. Może wtedy nie mijałbym już samochodów z kierowcami uśmiechającymi się do swojego telefonu jak głupi do sera. I nie musiałbym za każdym razem mruzczyć pod nosem: kurwa...

Muszę odpocząć. Muszę odpocząć. Muszę odpocząć. Muszę to sobie powtarzać. Bo zapomnę. Że muszę odpocząć.

Tankuję do pełna. Olej napędowy. Nie pamiętam, kiedy ostatnio brałem bezołowiową. Nie licząc służbowego tankowania dwa miesiące temu. To był wyjazd na wywiad. Kompletnie nieudany, ponieważ szanowny poseł na Sejm Rzeczypospolitej okazał się niezbyt rozgarniętym człowiekiem. Niepotrzebnie zadałem mu kilka pytań pozasejmowych. Gubił się, wił. Miałem wrażenie, że za chwilę wyjmie telefon i zadzwoni do kogoś zapytać, co ma odpowiedzieć na pytanie o ulubiony film. Taki telefon do przyjaciela. Koło ratunkowe. A wydawał się odświeżeniem całej tej sceny pseudopolitycznej. Kimś o inteligencji ponadprzeciętnej, kimś, kto myśli logicznie i przyszłościowo. No i klops. Nic z tego. Będziemy nadal brodzić w błocie. Nie ma światełka w tunelu.

– Opisz to – mówił wtedy Karol. – Ośmiesz go, ludzie to lubią.

– Karol, chyba z kimś mnie pomyliłeś – odpowiadałem uparcie.

– To nie mój styl. Szanuję swoich rozmówców, nawet jeśli są patafianami. Nie jestem prowadzącym talk show. Jestem dziennikarzem. A może byłem.

Moja wojna z naczelnym zaczęła się nieco wcześniej. Przez swojego przydupasa Karolka przekazywał mi sugestie, jak mam pracować, o czym rozmawiać i jak dobrać gości, by oglądalność rosła. Za każdym razem mówiłem Karolkowi, by się pierdolił. I on to robił, ale z ironicznym uśmieškiem. Wiedziałem, do czego to zmierza. Wiedziałem od dawna. Bo wiedziałem, co się dzieje.

Muszę odpocząć. Muszę...

Plącąc za paliwo. Pani w kasie chce mi jeszcze wcisnąć kawę, hot doga i ciastko. I energetyk. Gdybym zachował się jak Jim Carey w filmie *Jestem na tak*, wziąłbym wszystko. A potem się zrzygał. Grzecznie więc dziękuję i wychodzę.

Przy jednym z dystrybutorów starszy pan uśmiecha się do mnie i mówi „dzień dobry”. Oczywiście nie znam go. Ale on mnie zna. I wydaje mu się, że skoro on mnie widuje, to ja go też. Ma jakieś sześćdziesiąt lat. Ogląda moje programy i mnie lubi. Tak myślę. To jego miał na myśli naczelnny.

– Twoja widownia umiera. Musisz dotrzeć do tych młodszych. Zrób coś.

Z szacunku do szefa nie wypowiedziałem na głos myśli, które miałem wtedy w głowie. Poza jedną.

– Spierdalaj!

Wyszedłem wtedy, trzaskając drzwiami. Wiem, nie powinienem. Ale miałem dość.

Muszę odpocząć.

Wsiadam do auta. Ruszam. Przede mną trzydzieści siedem kilometrów do celu. Trzydzieści siedem kilometrów myśli. Tak męczących, że dłonie mdleją od zaciskania się na kierownicy. Ale ruszam, nie

boję się. Cały czas mam nadzieję, że przez krótki czas będę miał swoje eldorado. Że nikt nie będzie do mnie gadał, że hotel okaże się tak słaby, że nie będzie miał gości, że obsługa nie będzie upierdliwa w swojej uprzejmości (na wszelki wypadek na klamce na stałe wywieszę *do not disturb* – jeden z najlepszych hotelowych wynalazków), że to i tamto. Będę najmniej wymagającym gościem w historii tego hotelu. Mój jedyny postulat na ten czas to: odpierdolicie się. Choć wiem, że tego nie potrafią. Będą ciągle pytać, czy jestem zadowolony. Przy pobieraniu klucza powinienem mieć szansę zaznaczyć na jakimś dokumencie, że będę zadowolony bez względu na sytuację.

Trzydzieści trzy kilometry. Katolicy robiliby właśnie znak krzyża, bo to przecież wiek chrystusowy. Pewnie to jakiś znak, że wzrok akurat w tym momencie spoczął na nawigacji. Że też przyszło mi to do głowy. Karczę się za to. Nie za drwinę. Karczę się za myśl związaną z religią. Od dawna uciekam przed nią jak przed watahą. Unikam jak ognia dziennikarskich rozmów z księżmi czy innymi wyznawcami. Nigdy nie zaprosiłem do programu księdza, a bogobojnych polityków mam ochotę subiektywnie miażdżyć.

To ostatnie wście przed celem. Im jest bliżej, tym większą mam ochotę jechać dalej. Dobrze mi w tym samochodzie. W nim jestem sam. Z całym wachlarzem pretekstów, by nie odbierać telefonu i nie zaglądać do internetu. Coraz więcej zakrętów, małych skrzyżowań, podjazdów i zjazdów. Coraz więcej też domów z dobudowanymi piętami. Znak tych czasów – pokoje do wynajęcia. Górale nie odpuszczają takich okazji. W sumie trudno się dziwić.

Każda kolejna wieś wygląda tak samo. Domy z opadającymi dachami po obu stronach głównej ulicy, krowy i kozy na każdej łące. I ludzie. Niektórzy krzątają się, inni plotkują przez płot. Jeszcze inni siedzą na przydomowych ławkach. Pozorny spokój. I psy. Te, które pilnują bydła, leżąc majestatycznie na trawie, i te, które biegną, szczekając na każdy przejeżdżający samochód. To te małe. Bo małe psy są jak mali ludzie – ciągle szczekają. Tylko to im pozostaje – ujadać, pienić się, wkurwiać. A jak ktoś zrobi krok w ich stronę, to spieprzają do budy. Jak ludzie.

Dziesięć kilometrów.

Nie sprawdzam telefonu. Na pewno wysłała wiadomość, ale od niej też muszę odpocząć.

„Przyjeżdż do mnie, proszę, jeszcze dziś, skoro jutro wyjeżdżasz” – napisała akurat w momencie, w którym Karol wyciągał ze mnie resztki przyjemności, jakie miałem z tego przyjęcia. Zrobił to z łatwością, chwytając ją w dwa palce i wysuwając z płata czołowego czaszki.

„Jestem zmęczony” – odpisałem. Chciałem się położyć, by wstać wcześniej i zdążyć się spakować.

„Przyjeżdż. Na chwilę”.

Dorota. Kobieta, z którą nie mogę dojść do ładu. Wszystko jest nie tak. Jesteśmy inni, nie rozumiemy się nawzajem, nie spędzamy czasu w ten sam sposób, nie słuchamy tej samej muzyki, nie czytamy tych samych książek. A jednak wszelkie próby rozstania były nieudane jak mało co. Jakbyś zetknął z sobą dwa magnesy i próbował je odsunąć od siebie na kilka milimetrów. Zawsze do siebie wrócą z taką samą siłą. I wciąż będą się tak samo zachowywać mimo ciągle przeżywanej prawdziwej męki pańskiej.

Pojechałem. Ze świadomością, że potem czeka mnie kilka tygodni spokoju, odpoczynku również od niej. Ale ta świadomość nie do końca przynosi ulgę. Trochę będzie mi jej brakować. Może właśnie tego niezrozumienia, tych rozmów o tym, jak bardzo do siebie nie pasujemy.

Stanąłem przed jej drzwiami i nie chciałem zapukać. Ponownie miałem ją na wyciągnięcie ręki, a zadawałem sobie pytanie, co znowu tu robię. Od dawna miało mnie tu nie być.

– Musisz wyjeżdżać? – zapytała i od razu sobie odpowiedziała – Musisz, mówileś, musisz odpocząć.

I ten jej wzrok. Te jej oczy. Zawsze mówiły „kochaj mnie” albo „pieprz mnie”.

Znów wyglądała pięknie. Doskonale wiedziała, co włożyć, bym nie mógł oderwać wzroku. Czarne włosy, ciemna karnacja i biały szlafrok. Ale byliśmy i jesteśmy tak różni.

– Przy mnie nie odpoczywasz?

Spodziewałem się tego pytania. Pokręciłem więc poirytowany głową i odwróciłem się w stronę drzwi.

– Nie rozumiesz – mruknąłem najciszej, jak się dało.

– Rozumiem. – Usłyszała.

– Gdybyś rozumiała, nie zadałabyś tego pytania.

Chwyciłem za klamkę zaraz po tym, jak pocałowałem ją w policzek.

– Poczekaj. – Złapała mnie za rękę. – Mam coś dla ciebie.

Nie chciałem czekać. Chciałem wyjść i zacząć odpoczywać na dobre. Wiedziałem, że po wyjściu z tej mieszkania nie spotkam nikogo aż do wyjazdu następnego dnia.

– Na pewno masz przygotowaną całą walizkę książek, ale chciałem, żebyś miał też coś ode mnie.



*Cmentarz w Pradze* Umberta Eco. Nie wiem, skąd wiedziała, że miałem ją w planach. Rzadko rozmawialiśmy o literaturze. Nie było na to czasu. Traciliśmy go głównie na spory.

Na okładce jegomość w cylindrze. Właściwie tylko jego sylwetka na pomarańczowo-czarnym tle. Za nim ledwo widoczne nagrobki. Nad nim ptaki. Być może kruki i wrony, ale nie te, co mają nas rozdziobać, te od Żeromskiego. Swoją drogą ciekawe, czy dziś ktoś pamięta o tej noweli. Dziś nie czyta się takiej literatury. Dziś czyta się internet, blogi, ogląda głupie filmiki. Książki czyta się na tablecie. A papier? Gdzie jego zapach?

– Dziękuję – wyduśliłem, choć bliżej mi było do złości, że dostaję od niej prezent. Nie lubię prezentów bez okazji. Zawsze do czegoś zobowiązują. A ja nie chcę czuć się zobowiązany.

Stała bardzo blisko mnie. Rozsunęła szlafrok i nagim ciałem przygłębła do mojej koszuli i marynarki. Pocałowała mnie zachłannie, wsuwając język w usta.

– Długo nie będziemy się widzieć – szepnęła, nie przestając ssać i przygryzać moich warg. – Nie chcesz się pożegnać?

– Dorota... – chwyciłem jej twarz w dłonie i odsunąłem – ...jestem zmęczony, jadę do domu.

Kątem oka widziałem jej trzydziestopięcioletni brzuch i – wydaje się – jeszcze młodsze piersi. Otuliłem ją szlafrokiem i przewiązałem paskiem. Pocałowałem w czoło i usta i wyszedłem.

Kiedy w domu rzuciłem książkę na walizkę, wypadła z niej kartka. „Wróć do mnie. Dorota”. Moja alergia na romantyczne gesty aż jęknęła. Jestem na to za stary i zbyt wiele widziałem. Szepnąłem więc jedynie „ja pierdole” i poszedłem wziąć prysznic, ciągle powtarzając sobie w duchu: muszę odpocząć.

Pięć kilometrów. Otwieram okno, by poczuć zapach wsi, przez którą za chwilę będę przejeżdżał, a za którą znajduje się cel. To hotel, którego nie widać z ulicy. Jest schowany za drzewami, na lekkim wzniesieniu, co daje szansę schowania się przed obrzydliwym światem, w środku nieobrzydliwego świata drzew, zwierząt i ciszy.

Wies się nie zmieniła. Byłem tu dwie krótkie doby siedem lat temu, kiedy jeszcze bawiło mnie to, co robiłem i robię. Wtedy jeszcze mój zawód nie umierał, nie musiałem toczyć wojny o obiektywizm i logikę. Wszystko było naturalne i zarówno ja, jak i moi koledzy po fachu czuliśmy jakąś tam misję, choć drwiliśmy z tego słowa bezlitośnie. Teraz nie ma już miejsca na drwinę. Takim jak ja nie jest już do śmiechu.

Ale ta wieś tego nie widzi. Wieś żyje swoim życiem. I dobrze. Własne życie jest najważniejsze. Nie wiele tu się zmieniło. Dom sołtysa nie jest już domem sołtysa. To znaczy pewnie jest, ale sołtys się zmienił. Tabliczka wisi teraz trzy domy dalej. Nie pamiętam, kto mieszka w tej chałupce z żółtą elewacją. Pamiętam za to polanę starego Ignaca i boisko tuż obok. Ignac podawał dzieciakom piłkę, jak poleciała za bramką na jego pole. To dobry człowiek. Mam nadzieję, że jeszcze żyje. Wtedy mieszkali tu dobrzy ludzie. Nieba by uchylili w razie potrzeby. Ale dziś nie mam ochoty przekonywać się, czy pozostali tacy sami. Dziś ani jutro, ani pojutrze, ani za tydzień.

Muszę odpocząć.

Kilometr. Za chwilę skręć w prawo, przejazd przez strumyk i w górę do głównej bramy.

Dorota. Często o niej myślę. Zwykle kręcąc z niedowierzaniem głową. Ciągle dziwię się, że to jeszcze trwa, niezależnie od postaci, jaką przybiera. Irytuje mnie, że nie potrafię wyrzucić jej z głowy. Nawet teraz, kiedy przejeżdżam przez bramę hotelu. Wszystko drewniane. Nie widzę w tym budynku niczego, co nie byłoby drewnem. Chyba że okna. Te w pokojach mają dodatkowo drewniane okiennice. W części rekreacyjnej wyglądają jak wyjścia na taras. Ale nie są wyjściami. Są po prostu oknami. Za szybą basen, leżaki, mała siłownia z bieżnią i sztangami. Wszystko widoczne z zewnątrz przez te duże okna.

Parkuję między jeepem i volvo. Jeden duży, drugi mały. Z dużą dozą prawdopodobieństwa stwierdzam, że kierowcą dużego jest ktoś nickszernego wzrostu. Sprawdzę to później. Albo i nie. Może mi się nie chce patrzeć na ludzi.

Wchodzę. Główne wejście nie przypomina głównego wejścia. Jest zwykłym przejściem przez zwykłe drzwi do najzwyklejszego budynku. Ale mam nadzieję, że to jednak będzie nadzwyczajnie nieupierdliwe miejsce. Ledwo wszedłem, zostałem złapany wzrokiem przez młodą dziewczynę za bufetem, nad którym dyskretnie napisano „repcja/reception”. W dwóch językach. To oznacza, że mają tu gości z zagranicy. Jakby co, nie znam języków obcych.

Ona mnie nie tylko złapała. Ona mnie ciągnie do siebie tymi wpatrzonymi oczami i uśmiechniętymi ustami. Czuję się, jakby złapała mnie na laso i ciągnie bez trudu, nie zwracając uwagi na to, że zapieram się nogami.

– Dzień dobry – mówi na szczęście dość niskim głosem. – Ma pan u nas rezerwację?

– Dzień dobry – odpowiadam uspokojony brzmieniem jej głosu i podaję nazwisko.

Zerka na ekran komputera, nie przestając się uśmiechać. Robi to jednak naturalnie. Chyba lubi swoją pracę.

– Jest oczywiście rezerwacja. – Nie odrywa oczu od monitora. – Do nas nie trafiają goście bez rezerwacji, za daleko.

Sprawdza coś jeszcze. Każde kliknięcie myszką kwituje kiwnięciem głową, jakby stawiała pieczętkę. Wytęża wzrok. Czyta.

– Będzie pan sam – zadaje w końcu pytanie – czy ktoś dojedzie?

– Nikt nie dojedzie – odpowiadam z ulgą.

– Proszę więc o chwilę cierpliwości. – Znowę prędko klika. To jak szybkie wertowanie kartek w książce. – Rezerwował pan pokój dwuosobowy?

– Tak, chciałem mieć duże łóżko dla siebie – tłumaczę się i wiem, że brzmi to dwuznacznie. Ale ona jest profesjonalistką. Nawet jeśli to, co powiedziałem, wydaje jej się podrywem, to nie reaguje. Może przyzwyczała się do zaczepek. Jest dość ładna, choć za chuda.

Dorota. Też jest szczupła.

Muszę odpocząć. Koniecznie.

– Zapraszam do pokoju numer siedem. – Patrzy na mnie i już wiem, że będzie mi coś tłumaczyć. – Musi pan przejść łącznikiem, tym wejściem po lewej stronie – wdzięcznie wskazuje otwartą dłonią – dalej prosto i do końca. Ostatnie drzwi po lewej stronie. Miłego pobytu.

Uśmiech na koniec. Kurtyna. Zwykle jest to przedstawienie. Tym razem wdzięk recepcjonistki uratował spektakl.

Idę korytarzem, mimo woli rozglądając się po ścianach. Widzę na nich płaskorzeźby autorstwa kogoś niepospolitego. Wykonywał je ktoś z wyobraźnią, ktoś, kogo z czystym sumieniem można nazwać artystą. Zatrzymuję się przy jednej z nich i patrzę na konia. Ale ten koń nie galopuje, on frunie. I na upartego można dostrzec skrzydła na jego grzbiecie. Łatwo też zauważyć jeźdźca, którego głowa jest wręcz zespolona z grzywą rumaka. W prawym dolnym rogu dzieło podpisano, ale odczytać poszczególne litery potrafi chyba tylko autor.

Idę. Ciągnę za sobą walizkę. Jest duża, bo postanowiłem zabrać kilkanaście książek i kilka zaległych czasopism. Ale nie wierzę, że będę się zaczytywał w którejkolwiek z tych publikacji. I nie wierzyłem już wtedy, kiedy wrzucałem to wszystko do walizki.

Jest numer siedem. Zbliżam kartę do czytnika i chwilę później delikatnie popycham drzwi. Pokój nie jest duży, ale spore łóżko rekompensuje brak przestrzeni. Jest też biurko, na którym leży mały notes. Wiem, że z niego nie skorzystam, bo nigdy tego nie robię. Za to zawsze przywłaszczam sobie hotelowe ołówki i długopisy. Wygląda to jak mój fetysz. Dobrze jest jakiś mieć.

Walizkę zostawiam przy szafie, a sam zbliżam się do okna. To właściwie wyjście na taras. Wydaje mi się, że takich pokoi w tym hotelu jest niewiele. Czuję się dopieszczony, ale tłumię w sobie zadowolenie. Odzwyczałem się od okazywania go. Tak mi lepiej.

Taras, tak jak pokój, nie imponuje wielkością, ale ma ładną, drewnianą balustradę. Siadam na jednym z dwóch drewnianych krzeseł i patrzę przed siebie. Przez najbliższych kilka, może kilkanaście dni codziennie będę patrzył na tę polanę wznoszącą się w stronę lasu. Urządzą sobie codzienny rytuał wgapiania się rano i wieczorem. To zdecydowanie lepsze niż polska religia, czyli telewizja od rana do wieczora. Las mądrzej gada, bo gada ciszą. A może po prostu mam deficyt takiej ciszy, takiego milczenia. Może świat, w którym żyję, jest przegadany i niemądry.

Wracam do pokoju i sprawdzam łazienkę. Myję ręce, patrząc w lustro. Przecieram zmęczoną życiem twarz. Mam czterdzieści dziewięć lat, niedługo osiągnę wiek starczy. Jestem sam. Z wyboru, bo o ile jedenaście lat temu to los mnie osierocił, o tyle w kolejnych latach sam wybierałem tę samotność. A raczej nie dawałem szansy tej samotności odejść. Swoimi wadami odpycham niemal wszystkich, nawet Natalię i Hanię. Zawsze chciałem je mieć, a kiedy już były, nie potrafiłem się nimi zająć. Zwłaszcza po śmierci Agnieszki. I potem, kiedy rosły tak szybko. I jeszcze potem, kiedy coraz wyraźniej dawały mi do zrozumienia, że nie potrzebują mnie w swoim życiu. Cierpienie ukrywałem w mistrzowski sposób. Nikt go nie widział. I nikt nadal nie widzi. Widać to tylko na mojej twarzy. Wszystko na niej widać. To znaczy ja widzę.

Włosy opadły mi na czoło, blizna na lewym policzku stała się jakby głębsza. Tego wrażenia nie zmienia trzydniowy zarost. Nie mam w planach golenia. Pierdole.

Zdejmuję koszulę i rzucam na walizkę. Dotykam palcami materaca, sprawdzam twardość. Kładę się i głęboko wciągam powietrze w płuca. Czuję, że odpływam. Zasypiam.

Warkot silnika piły spalinowej słychać było zapewne w promieniu kilku kilometrów. Dźwięk rozdmuchiwała cisza, która była tu niepodzielnym gospodarzem. Kiedy od czasu do czasu musiały walczyć z hałasem, robiła to, rozpraszając go na wszystkie strony świata. A nawet w górę i w dół.

Drzewo opadło na ziemię z hukiem. To już trzecie tego dnia. I po raz trzeci tego dnia mężczyzna odbiegł w ostatniej chwili, jakby zdziwiony, że właśnie w tym momencie to się dzieje. Ale nie był zaskoczony. Miał to dokładnie zaplanowane i wyliczone. Gdyby ktoś zapytał go, gdzie spadnie drzewo, odpowiadając, pomyliłby się może o pięć centymetrów.

Telefon odebrał poprzedniego wieczoru. Wchodził właśnie do swojej małej chaty, miał żarówkę zawieszoną nad gankiem. Rozpoznał numer. Nigdy nie zapisał go w kontaktach, ale układ cyfr był na tyle charakterystyczny, że błyskawicznie zapadł w pamięć. Tym bardziej że oznaczał pieniądze.

– Pięć kolejnych do ściegła – powiedział głos.

– Gdzie? – wyszeptał to pytanie, by głos nie zabrzmiał zbyt głośno w pustej kuchni.

– Tam gdzie ostatnio. Warunki te same.

– A pieniądze?

– Te same.

– Gdzie?

– Tam gdzie zawsze.

Bar Pod Konikiem. Czerwona koperta ze znaczkiem pocztowym z wizerunkiem jakiegoś sportowca w kasku. Żadnych opóźnień, zawsze następnego dnia po robocie, zawsze bez kontaktu osobistego.

– Drwalu – rzekł ponownie głos. – Nadal jesteś dyskretny?

– A ty? – odparł prowokacyjnie.

Po drugiej stronie słuchawki usłyszał stłumiony śmiech.

– Dobra, wiem, że jesteś. Ty z nikim nie rozmawiasz, komu miałbyś powiedzieć.

Drwal milczał. Czekał, aż tamten zakończy rozmowę. Miał rację, mówiąc, że z nikim nie rozmawia. Tylko czasem z Wojtkiem. Ale bywają dni, kiedy wypowiada zaledwie kilka słów, najczęściej do samego siebie, by przypomnieć sobie swój głos.

– Jutro będzie wszystko zrobione. – Rozłączył się.

Od jakiegoś czasu miał wrażenie, że głos próbował wyciągnąć z niego informacje. Coś, co pozwoliłoby mu dowiedzieć się, kim jest. Nie chciał na to pozwolić. Może to ostatni raz – pomyślał, ale sam w to nie wierzył. Pyta o dyskrecję, sam o nią nie dbając.

Rzucił telefon na łóżko. Zdjął buty, włączył czajnik bezprzewodowy i podszedł do czarnego boomboxa z lat dziewięćdziesiątych.

Play. W małej chacie, w małym pokoju skąpanym w nikłym świetle żarówki rozbrzmiały pierwsze takt *Ulyssesa*. *Dead Can Dance* często gościł w tym pokoju, ale *Ulysses* miał swoją dodatkową moc. Oplół dźwiękiem całą przestrzeń, a on... zamknął oczy, rozpostarł ramiona i zaczął tańczyć trochę jak Zorba, a trochę jakby naśladował lądujący w burzy samolot.

Ale to było wczoraj, teraz jest dziś. Podchodzi do czwartego drzewa i dotyka dłonią kory, jakby się z nim żegnał. Przysuwa do niej ucho i zamyka oczy. Potem uruchamia piłę i przysuwa jej łańcuch do pnia.

Drzewo pada po kwadransie. Kiedy zaczyna się przechylać w stronę ziemi, drwal zamyka oczy i otwiera ramiona jak poprzedniego wieczoru przy *Ulyssesie*. Tym razem jednak nie tańczy. Stoi i wsłuchuje się w specyficzny huk. Delektuje się. W tej ciszy to dźwięk natury. Dźwięk boga.

Wolałby odbierać kasę bezpośrednio po robocie. Zbaczałby z drogi jedynie kilkaset metrów do baru Pod Konikiem i miałby sprawę załatwioną. Swoją drogą co za idiotyczna nazwa knajpy. Tym bardziej tu, w górach.

Piąte drzewo nie jest wymagające. Jego ścięcie zajmuje mu jeszcze mniej czasu niż poprzednie. Jest miękkie. Duże, ale miękkie. Zostawia dziesiątki pniaków pociętych na dwumetrowe kawałki i rusza w głąb lasu. Przejdzie dwa kilometry, z końca polany zobaczy w dole bar z dachem zbitym z desek. Pójdzie kolejne dwa kilometry i dojdzie do swojej chaty, do której nikt nie zagląda. Dobrze mu tu jest. Nikt go tu nie będzie szukał, nikt go tu nie znajdzie. I nikt go nie rozpozna. I będzie już zawsze słuchał swojego *Dead Can Dance*.

Wieczorem znów tam pójdzie. Patrzeć i nasłuchiwać. Obserwować.

Znów ten sen. To znaczy nie ten sam. Inny, ale też o końcu. Morfeusz gnębi mnie bajkami o przeróżnych końcach: życia mojego lub jej, przyjaźni i miłości, fascynacji, pasji, drogi czy pasa startowego, szkoły, kariery. Wszystkie te końce są złe, nieszczęśliwe jak w dobrym francuskim dramacie.

Tym razem to sen o końcu snu. Śni mi się, że budzi mnie strzał w głowę. To oznacza, że to również sen o końcu żywota. Nie za krótkiego, wręcz wystarczająco długiego, by odejść bez żalu do losu. Nie wiem, czy był to strzał z pistoletu czy karabinka snajperskiego. Nie widzę napastnika. Wiem tylko, że mam kulę w głowie i ulatuję z ciała. Całe pomieszczenie widzę z góry, spod sufitu. Banał.

Zerkam na zegarek. Kilka minut po dwudziestej pierwszej, przespałem trzy godziny. Stracone trzy godziny. Zawsze wszystkim powtarzam, że nie mam czasu na sen. Ale teraz jestem tu, by tracić czas, marnować go w każdy możliwy sposób.

Wychodzę z pokoju, licząc na to, że hotelowa restauracja o tej porze jeszcze funkcjonuje. Przechodzę wzdłuż recepcji, więc o to pytam.

– Do dwudziestej drugiej, panie Mateuszu – odpowiada ta sama chuda dziewczyna, która instruowała mnie kilka godzin wcześniej, jak dojść do pokoju.

W restauracji pusto. Sam hotel zresztą też zapewne nie jest oblegany. Przyjeżdżają tu prawdopodobnie tacy jak ja – chcący zażyć spokoju, pragnący zaszyć się w ciszy lasu i gór, a już na pewno swojego pokoju. Posiłki trwają krótko, bo po co siedzieć w jadalni.

Kartę podaje pani po czterdziestce. Wiek widać na jej twarzy i w lekko siwiejących włosach. Ale jest to kobieta o bardzo przyjemnej prezencji. Nie mam wątpliwości, że często się uśmiecha i potrafi rozmawiać z ludźmi.

O tej porze nie powinienem się objadać. Przeglądam stronę z sałatkami, ale mój ostatni posiłek był sześć godzin temu, w jakiejś przydrożnej karczmie na Zakopiance. Kwaśnica i pierogi z mięsem. Potem już tylko herbata, kawa i jeszcze raz herbata. No i woda na którejś ze stacji benzynowych.

Grillowany kozi ser z orzeszkami pini. To może być to.

– Ale uprzedzam, że to niewielka porcja – mówi kelnerka, kiedy składam zamówienie na to danie. W lewej klapie gustownej bluzki hotelowej, którą miała na sobie także chuda z recepcji, widnieje imię. Karolina. Nie zwróciłem uwagi na bluzkę recepcjonistki, może poznałbym jej imię.

– Polecì mi pani coś?

Nie chciałem tego mówić, ale jeśli to mi pomoże wybrać. Nie pomogło. Karolina zasypała mnie listą dań, z której nie zapamiętałem praktycznie ani jednego słowa. Nie dość, że chwilę wcześniej się obudziłem, to jeszcze kelnerka wyrecytowała każdą pozycję w języku włoskim. Nim akurat nie władam nawet w najmniejszym stopniu. Zerkam jeszcze raz w kartę i nie rezygnując z sałatki, wybieram najprostsze z możliwych dań: spaghetti carbonara.

Karolina przyjmuje zamówienie z uśmiechem. Zapala na moim stoliku świecę, co każe mi się zastanowić, czy nie ma zamiaru się dosiąść. Zrobiło się romantycznie. Kiedy odchodzi, zdmuchuję płomień. Nie chcę, by było zbyt przyjemnie. Jeszcze nie dziś.

Dokładnie jedenaście minut czekam na sałatkę. W tym czasie sprawdzam w telefonie skrzynkę mailową, co jakiś czas krzywiąc się z niesmakiem. Rzucam okiem na twittera, żeby się zorientować, co piszą koledzy zafascynowani krajową polityką, a potem na facebooka, by się dowartościować. Bo nawet człowiek, który tego nie potrzebuje, musi czasem zafundować sobie terapię szokową w stylu: „Kolego, nie jest z tobą źle, zerknij na facebooka”.

„Dojechałeś?” – esemes od Doroty. Przyszedł ponad godzinę temu.

„Dojechałem. Wszystko w porządku”.

Nie chcę odpisywać, ale robię to. Miałem odpocząć również od telefonu. Ale nie od razu się odzwyczaję.

Dzwoni. Nie odbieram.

Na stole pojawia się carbonara. Trochę za wcześnie, bo nie zdążyłem zjeść sałatki. Ale wybaczam to Karolinie. Jest miła i profesjonalna, co dziś – mam wrażenie – jest rzadkością.

Makaron wymieniony. Mam ochotę wręcz mruzczyć z zachwytu. Jeśli tak będę karmiony w najbliższych dniach, wielokrotne orgazmy kulinarne mam zagwarantowane.

„Daj znać, jak zaczniesz Ci się nudzić” – esemes od Doroty jakby w odpowiedzi na myśl o orgazmach.

Lubię z nią seks. Rozumiemy się w łóżku bardzo dobrze. Ale seks jako taki jest przereklamowany. Wchodzisz, wychodzisz, pieprzysz, rzniesz, dymasz, kochasz się... i co dalej? Co potem? Dopiero to, co potem, daje odpowiedź na pytanie, co to było. Chcesz się przytulić? Chcesz wyjść? Odpowiedź sobie na te pytania.

„Nawet nie powiedziałaś, w którym jesteś hotelu” – napisała jeszcze raz.

Jak ona lubi te pieprzone esemesy.

Żle ją traktuję. Nie odpowiadam, nie dzwonię, nie troszczę się o nią. Zainteresowanie wykazuję tylko wtedy, kiedy się widzimy. Ale za to szczerze – nie udawane, jak to zwykle bywa przy kontakcie wirtualnym. Ludzie piszą do siebie uprzejmości, a potem nie pamiętają, co napisała druga osoba. To nie dla mnie. Ale ja jestem z innego pokolenia, tego rozmawiającego, spotykającego się – mimo że teraz uciekam od tego jak nikt.

Żle ją traktuję. Nie zabieram do kina ani do teatru. Tylko raz gdzieś razem wyjechaliśmy. Nie pokazuję jej znajomym. Ale przyzwyczaiłem ją do takiego siebie. Nie ma pretensji. Chyba wie, że pretensje wszystko do końca by spieprzyły. Bo jestem złym człowiekiem. A nawet gorszym, kiedy ktoś próbuje wpląnąć na moje postępowanie.

– Podać coś jeszcze? – kelnerka Karolina wrywa mnie z mojego kulinarnego szczytowania i myśli o nieszczęśliwej Dorocie.

– Nie, dziękuję. Proszę jedynie pozdrowić kucharza. – Zdobyłem się na uśmiech. – Znakomita carbonara.

– Dziękuję, przekażę na pewno. Ucieszy się.

– Jeśli mógłbym prosić jeszcze jedynie lampkę białego wina. Koniecznie półwytrawnego.

Dostaję ją po dwóch minutach. Na szczęście nikt trunku nie próbuje zachwalać, po prostu został mi podany. Słów o niezwykłym bukicie nie zniósłbym najlepiej. Zdaję sobie sprawę ze swojego pogłębiającego się, chorego cynizmu. Jestem lepszy od alkoholika, który upiera się, że mało pije. Jestem właśnie takim świadomym alkoholikiem cynizmu, ale bez chęci uczestniczenia w jakiegokolwiek terapii. Nie chcę się z tego leczyć, choć czasem to schorzenie doprowadza do mojej podłości wobec innych.

Idealnie schłodzone wino delikatnie laskocze mnie w przełyk. Lubię to. Na tyle, że szybko wlewam w siebie całą zawartość lampki, po czym wstaję i rzucając w powietrze: „dziękuję”, wychodzę z restauracji. Przechodząc obok recepcji, zerkam na klapę bluzki recepcjonistki. Dyskretnie, by nie posądziła mnie, że patrzę jej w biust. Choć trudno się go u niej doszukiwać.

Diana. Tak ma na imię.

– Zapomniałam jeszcze panu przekazać – mówi do mnie – że śniadania od siódmej. Zapraszamy również do naszej strefy ciszy z basenem, dwiema saunami i małym klubem fitness.

Strefa ciszy? Cały ten hotel wydaje się strefą ciszy.

– Dziękuję, na pewno skorzystam – odpowiadam i próbuję się uśmiechnąć. Praktycznie się nie zatrzymuję. Zwalniam jedynie znacząco, tak by zdążyć usłyszeć, co Diana ma mi do powiedzenia. Życzę jeszcze dobrej nocy i znikam w przejściu.

W pokoju bardzo głośno mówi do mnie telewizor: „włącz mnie”. Tym bardziej że siadam na krawędzi łóżka i się w niego wgapiam. Wygrzywam walkę głównie dzięki temu, że pilot leży na biurku, czyli wcale nie w zasięgu ręki. Nie żebym był leniwy. Po prostu znalazłem pretekst, by nie posłuchać tego głosu. Wstaję i zasłaniam telewizor T-shirtem. Tak, to banalnie demonstracyjne, wręcz teatralne, ale podoba mi się. Podoba mi się, że mogę tak zrobić.

Wkładam sweter zapinany na zamek błyskawiczny i wychodzę na spacer. O dwudziestej drugiej szesnaście. Hotel jest oświetlony i pewnie z doliny wygląda jak domek z bajki. Stojąc obok niego, mam inne wrażenie. Że to jakieś mniemanie z oświetleniem jak w Pałacu Kultury.

Idę wzdłuż budynku. Przez duże okna widać korytarz ciągnący się od recepcji do części rekreacyjnej. Tam leżaki, widoczne dwie sauny i niewielki basen, sprawiający jednak bardzo przyzwoite wrażenie. Dobrze przystaw, ale to nie pływalnia. Będzie mi brakować dystansu, nawrotów, zmiany stylów. Na chwilę przystaję i przyglądam się wodzie. Przyjdę rano.

Nie da się obejść hotelu. Trzeba wyjść poza ogrodzenie. Brama jest otwarta, więc wychodzę. Skręcam w prawo, by przejść za budynek, ale panuje tu ciemność. Mam wrażenie, że dalej jest jeszcze głębsza. Ale idę, bo wydaje mi się, że na tamtą stronę wychodzi moje okno. Zboczenie zawodowe – sprządać empirycznie.

Jest ciemno. Poruszam się wolno, ale mimo wszystko się potykam. Nie przewracam się jednak i kręcę dalej w stronę dwóch widocznych okien. Kiedy widzę je dokładniej, zatrzymuję się. Dopiero teraz

zauważam, że jest tu jeszcze ciszej niż od frontu budynku. Delektuję się tym. Stoję z zamkniętymi oczami i wdycham tę ciszę nozdrzami. Robię to zachłannie, jak bezdomny, który właśnie dorwał pierwszą od dwóch miesięcy bułkę.

Otwieram wreszcie oczy i przyzwyczajam je do ciemności. Potem wychwytyuję ledwo zauważalny błysk. Nie mam wątpliwości, że to światło odbite od szkła. Gdzieś w górze. Wytężam wzrok, ale niczego nie dostrzegam. Biję się z myślami, czy iść w tamtą stronę. Drugi błysk. Krótki, równie niezauważalny jak pierwszy. Tym razem jednak bardziej niepokojący, bo uświadamiający, że to nie przypadek. Robię krok w tamtą stronę, mrużąc oczy. Ciemno jak diabli. Ale idę, powoli. Gdybym oglądał taki film, pomyślałbym: „po co tam leżysz?”. W filmach zawsze wtedy dzieje się coś złego. Ale to nie film, więc idę. Powoli i ostrożnie, bo nie widzę podłoża. Jeszcze jeden błysk. Już dość blisko. Zatrzymuję się, by coś usłyszeć. Nic. Krzyczy cisza. Mija kilka sekund i błysk niemal mnie oślepia. Słyszę szelest, a potem głucho, choć ciche tąpnięcia. Jestem pewny, że to odgłos kroków kogoś ciężkiego. Nic nie widzę, ale wyobrażam sobie ciężkie buty brodzące w niskiej trawie. Wyobrażam sobie też oddalającego się człowieka, bo to podpowiada mi słuch. Czuję, jak mocno bije mi serce i jak szybko oddycham. Rozglądam się ostrożnie, ale nic nie widzę. Za plecami powinny być okna hotelu. Okno mojego pokoju. Ale światła nie docierają do tego miejsca. Wiem jedynie, w którą stronę pójść. Próbuję wyrównać oddech, uspokoić się. Zatrzymanie akcji serca nie jest mi potrzebne, a to przecież ten wiek, w którym często się zdarza.

Idę tyłem. Nie chcę niczego przeoczyć i być gotowy na wszelki wypadek. Oddech nadal szybki. Nadal ciężki. To nie jest sytuacja, w której łatwo mieć wyjebane. To sytuacja, w której nie pomaga багаż doświadczeń i przekonanie, że jest się odważnym i na wszystko przygotowanym. To sytuacja, w której kolana nie gwarantują stabilności i masz wrażenie, że serce podchodzi ci do gardła.

Jestem blisko ogrodzenia. Mogę odetchnąć. Zadaję sobie pytanie, czy to był człowiek, czy zwierzę. Zaraz jednak karczę się za myśl o niedźwiedziu posługującym się latarką. Zgłupiałeś stary ze strachu.

Idąc wzdłuż płotu, niestety przyspieszam. To okazanie słabości. Ale przed samym sobą to nie boli. Raczej wkurwia.

Mijam szybko recepcję. Diana zerka badawczo na mnie i pyta, czy wszystko w porządku. Nie zatrzymując się, odpowiadam, że jak najbardziej. Chwilę później myślę, że może powinna wiedzieć. Nie chcę się jednak ośmieszać i nie wracam do niej. W pokoju nie zapalam światła. Zasuвам natomiast zasłony i siadam na krześle przy biurku. Jest dobrze.

Dopiero po pięciu minutach oddycham spokojnie i półgłosem zadaję sobie pytanie: „Co to, kurwa, było?”. Odpowiedzi nie mam. Ale szukam jej, lekko uchylając zasłonę i spoglądając przez okno. Gdzieś w tej nieprzeniknionej ciemności byłem ja i ten blask latarki. A potem szelest.

Muszę odpocząć.

Czy ktoś go kiedyś umyje? Kiedy miał kilka lat, był czysty, jasny. Spięki ceramiczne w kolorze piaskowca sprowadzone z Uralu robiły swoje. Dziś jest szarzyły, brudny, po prostu inny. Ale nadal ma swój urok. Co z tego, że to „dar narodu radzieckiego dla narodu polskiego”. Co z tego, że to pomysł Stalina i co z tego, że architektem był jeszcze inny ruski komuch.

Lubiła ten widok. Pałac Kultury i Nauki skąpany w słońcu, które właśnie wstało. Zaczynała tak dzień. Na balkonie. Z kawą w białej filiżance, w szlafroku i z nogami na drugim krześle. Często też z papierosem. I zawsze refleksyjnie. Jeśli nie rozmyślała o poprzednim dniu, to zawsze planowała dzień, który właśnie się zaczynał. Rzadko myślała o dalszej przyszłości. Bała się tych myśli. Bała się, że będzie tkwić w jednym miejscu. I choć to miejsce nie było złe, to jednak nigdy nie znosiła dobrze stagnacji.

Mateusz jej tego nie ułatwiał. Był dla niej ciąglym znakiem zapytania. Kiedy słyszała Roya Orbisona śpiewającego *She's a Mystery to Me*, żartowała, że sama powinna śpiewać *He's a Mystery to Me*. Ale o mężczyźnie chyba nikt jeszcze tak nie mówił. Zwykle są odkrytymi kartami, łatwo ich rozgryźć, przewidzieć ich działanie. Zwłaszcza kiedy chcą kobietę zdobyć. Przeważnie działają według pewnego schematu. Jedni robią to lepiej, inni gorzej. Tyle że ona w głowie miała tylko Mateusza.

Nie odebrał wieczorem. Czasem tak robi. Jakby w ogóle go nie interesowała. Ale wie, że tak nie jest. Oddzwania, pyta, co u niej, doradza. Ale kiedy z błyszczącymi oczami opowiadała o tym przyjaciółce, ta pukała się w czoło i mówiła, że jest nienormalna. Ale Inga od pięciu lat była szczęśliwą mężatką. Jej druga połowa, jak zwykle banalnie mawiać, była dla niej wszystkim: kumplem, przyjacielem, mężem, kochankiem i fantastycznym ojcem bliźniaków. Dlatego relacja Doroty z Mateuszem była dla niej czymś z kosmosu, czymś niewyobrażalnym i czymś „do skasowania”.

– On cię źle traktuje! – mówiła wzburzona. – Nie troszczy się o ciebie. Powiedz, kiedy ostatnio zabrał cię do kina czy teatru? Byliście gdzieś razem?

Inga miała rację. Dorota była tego świadoma i czasem się zastanawiała, czy Mateusz również zdaje sobie z tego sprawę. Dochodziła do wniosku, że może mu to być obojętne.

Przed jego wyjazdem chciała się z nim kochać. Nie, nieprawda. Chciała, by ją przeleciał w przedpokoju. Była gotowa stanąć do niego tyłem i oprzeć się o szafę z lustrem. Chciała widzieć, jak bierze ją od tyłu, patrzeć, jak piersi kołyszą się w rytm jego pchnięć. Odepchnął ją jednak. Odepchnął. Tłumaczyła to sobie owym zmęczeniem, o którym ostatnio mówił bardzo często. Wierzyła, że musi odpocząć. Choć martwiła się, że znów bez niej.

Na balkonie spędziła tym razem więcej czasu niż zwykle. Wypaliła dwa lub trzy dodatkowe papierosy i kilka razy spojrzała w telefon. Nie było żadnej wiadomości od niego. Wybrała jego numer.

– Odebrałeś tym razem – siłiła się na chłodny ton.

– Przepraszam, byłem w restauracji na kolacji. Niezręcznie byłoby rozmawiać – odpowiedział spokojnie.

– Mogłeś oddzwonić.

– Późno już było.

– Położyłam się po drugiej. Mogłeś...

Po drugiej stronie słuchawki cisza. Rozmowy telefoniczne mają okropną wadę. Nie widać reakcji rozmówcy. Nie wiedziała, czy Mateusz jest teraz zły, czy znużony. A może rozbawiony. Nie, to trzecie najmniej prawdopodobne.

– Dobrze ci tam? – zapytała, przerywając ciszę.

– Może być – odpowiedział prawie szeptem, miała wrażenie, że niechętnie. – Pewnie może o tym świadczyć fakt, że dopiero się obudziłem i jeszcze jestem w łóżku.

Uśmiechnęła się.

– Jest wół do dziewiątej, jesteś na urlopie. To chyba normalne.

– ...choć wczoraj wieczorem – przerwał jej, jakby w ogóle nie słuchał – coś...

Przestał mówić. Czekala. Próbowała zachować spokój, jednak zupełnie nie wiedziała, czego się spodziewać. Jakiś miesiąc temu zaproponował rozstanie, zaraz po tym, jak na chwilę zamilknął. Potem się

z tego wycofał, ale od tamtego dnia każda taka sytuacja działała na Dorotę jednoznacznie.

– ...nieważne zresztą – dokończył wreszcie.

– Powiedz, proszę...

– Nie, to nic ważnego – próbował ją uspokoić. – Coś zauważyłem, ale właściwie nie wiem co.

Poniekąd poczuła ulgę, że nie wymyślił znowu jakiegoś rozstania. Tak naprawdę ciągle miała wrażenie, że chce ją zostawić. Trudno jej jednak było pojąć powody, dla których miałyby to zrobić.

– Powiesz innym razem – powiedziała, popijając cappuccino.

Chciała mu powiedzieć, że powinna być teraz w tym łóżku razem z nim, że powinna być naga w tym łóżku razem z nim nagim. Chciała mu wymruczeć, że powinna się teraz o niego ocierać jak kotka, powinna być mokra. Ale powstrzymała się. Nie czuła z jego strony odpowiedniej energii. Erotycznej energii. Od dłuższego czasu sprawiał wrażenie nieobecnego, zniechęconego i sceptycznego wobec wszystkiego, co się dzieje. Trochę go rozumiała. Być może nie знаła zbyt dokładnie stanu jego psychiki, ale wiedziała, że dręczy go dzisiejszy świat. Nie rozumiał go do końca, zwłaszcza tego medialnego. Był z innej epoki. Jeszcze tej, która dziennikarzy kształciła, a nie zgarniała z ulicy. Tak mówił. A ona mu wierzyła.

Wierzyła mu od pierwszego spotkania. Wtedy, tam, na wykładzie profesora Makarewicza powiedziała do niej zaledwie kilka słów, ale wiedziała, że mówi szczerze, że nie próbuje zwrócić na siebie jej uwagi, że nie stara się być dyplomatą. I wreszcie że jest tam z powodu tematu wykładu, a nie by „być na even-cie ze ścianką”.

– Połowa tego towarzystwa ma gdzieś to wszystko, o czym on mówi – powiedział nagle półgłosem, nachylając się w jej kierunku. – Część przysła tu dla fotoreporterów, a inni nadal w słowie „polityka” akcent kładą będą na „ty”. Tylko nieliczni coś z tego wyniosą. I to akurat ci, którzy przy obecnie panującym poziomie języka mogli zostać w domu.

Rzucił w jej stronę tylko jedno krótkie spojrzenie. Nic więcej. Niedługo potem wyszedł.

– Byłem pod wrażeniem twojej klasy, urody i intelektu.

Zanim zapytała o tę sytuację, marzyła, by odpowiedział właśnie tak. Ale usłyszała co innego.

– Chciałem to powiedzieć na głos, a nie wiedziałem, do kogo. Byłaś najbliżej, miałaś pecha.

Ale to nie był pech. Potem zresztą sam to przyznał. Nie powiedział, że to szczęście. Powiedział jedynie, że z pewnością to nie pech. I wyjaśniał, że wiedział, kim jest, znał nazwisko, wiedział, kogo reprezentuje. Z łatwością zdobył adres mailowy i napisał. Dorota nigdy tej wiadomości nie zapomni.

„Pani Doroto, mógłbym zaproponować Pani przedyskutowanie wykładu profesora Makarewicza i omówienie kierunków, w jakim zmierza język, którego używamy. Uważam jednak, że jest wiele ciekawszych spraw do poruszenia podczas lunchu. Czy byłaby pani tak uprzejma i zaproponowała termin? Pozdrawiam, Mateusz Fajkowski”.

Dobrze wiedziała, kim jest. Często wsłuchiwała się w to, co mówi i jak kieruje rozmowami z politykami. Wielu z nich przewyższało inteligencją i elastycznością umysłu.

Podala najszybszy możliwy termin – spotkali się następnego dnia. Nie mówił o sobie w przeciwieństwie do wszystkich mężczyzn, którzy zapraszali ją na obiad czy na kolację. Mówił o świecie, o ludzkości. I słuchał. Jak nikt.

Jeszcze tego samego dnia po raz pierwszy się pocałowali, ale dopiero miesiąc później spędzili ze sobą noc. U niego. Bo chyba ona chciała tego bardziej. Teraz, po tym roku, wiedziała, że gdyby doszło do tego u niej, on wróciłby na noc do domu.

– Wiesz, że wystarczy jedno słowo i jadę do ciebie? – przerwała kilkudziesięciosekundową telefoniczną ciszę. I oczywiście wiedziała, że on przewraca teraz oczami.

– Odezwę się wieczorem.

Może jej się wydawało, ale zanim to powiedział, westchnął głęboko.

– Wiesz... mam dziś to spotkanie, o którym ci mówiłam – zatrzymała go. – Zapadnie na nim decyzja, czy podpisujemy umowę.

– To już dziś?

– Tak, trochę się denerwuję, bo ode mnie wiele zależy.

– Na pewno jesteś świetnie przygotowana.

Odstawiła filiżankę. Zrobiła to szybko, z nieukrywaną irytacją, bo doskonale wiedziała, że akurat teraz jej dzień mało go obchodzi.

– Nie zmuszaj się do zainteresowania. Wiesz, że tego nie lubię.

– Ty za to wiesz, że nigdy się do niczego nie zmuszam.

Wiedziała. Nigdy nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Robił, co chciał. A jak nie chciał, to tego nie robił. Mógł tym zaimponować, ale też irytować, kiedy nie reagował na jej prośby.



– Muszę się zbierać – powiedziała przez zęby. Rzuciła krótkie „cześć” i odłożyła słuchawkę. Całą sobą opadła na krzesło i głęboko wciągnęła powietrze w płuca. Zapaliła papierosa i odchyliła głowę do tyłu.

Godzinę później zamówiła taksówkę. Zamierzała w pracy napić się wina.

Nie lubię, kiedy rano budzi mnie słońce. A może tylko dziś tego nie lubię, a za tydzień będzie inaczej. Nie wiem. I nie wiem, jak było w przeszłości, bo nigdy na to nie zwracałem uwagi. Ale dziś jest mi to nie w smak. Zsuwam z siebie kołdrę, bo zbyt ciepło w tym pokoju. Prawie zawsze sypiam nago, nawet kiedy śnieg i trzaskający mróz za oknem. Lubię to. Nie dlatego, że to erotyczne. Lubię dotyk pościeli.

Wstaję i otwieram okno, by wpuścić do pokoju trochę porannej świeżości. I dopiero teraz przyglądam się temu, co na zewnątrz. Widzę szeroką, ciągnącą się ku górze polanę ograniczoną z obu stron lasem. U jej szczytu kolejny las, ale tak daleko, że wygląda jak pas czerni. Nie rozróżniam pojedynczych drzew.

– Odebrałeś tym razem.

Z delektowania się spokojem polany wyrywa mnie nienaturalny dźwięk dzwonka telefonu. Do końca budzi mnie głos Doroty. Słyszę w nim pretensję. Słuszna pretensja. Tłumacząc się kolacją, późną porą. Nie wspominam o tym, że zwyczajnie nie chciało mi się gadać.

Rozmowa jest chłodna, schematyczna, wręcz trochę na siłę. Zupełnie nie wiem dlaczego. To znaczy wiem: bo źle ją traktuję, choć nie jest mi obojętna.

Pamiętam, że to dziś. Tym swoim „to już dziś?” chciałem coś ugrać, pokazać, że nie żyję jej życiem. Pamiętam, że dziś zdecyduje o jej najbliższym pół roku. I choć nigdy nie rozumiałem sensu istnienia agencji public relations, to szanuję jej pracę, bo wiem, ile czasu jej poświęca. Znam ludzi, z którymi czasem musi współpracować, bo są z mojej branży.

– Muszę się zbierać. Cześć.

Wieczorem zadzwonię i zapytam, jak poszło. Albo napiszę esemesa.

O tej porze na basenie nie ma nikogo innego. Z wszystkich moich pobytów na basenach hotelowych takie lubię najbardziej. Wzdycham niezadowolony za każdym razem, kiedy widzę kogoś wchodzącego. Ale tutaj dziś jest pusto. Dwadzieścia minut pływania. Do tego dziesięć odpoczynku na leżaku. I wreszcie naprawdę czuję, że oddycham.

Śniadanie jest w tej samej restauracji co kolacja. Ale stoliki są ustawione inaczej. Podczas kolacji dominowały dwuosobowe, do porannego posiłku siadam do stolika czteroosobowego. Mam nadzieję, że nikt do mnie nie dołączy.

Bufet. Chodzę z talerzem i uprawiam zbieractwo. Szynka, żółty ser, do tego twaróg z rzodkiewką, pomidory, kabanos, żółta papryka. Chcę zamówić jajecznicę, ale nie wiem, u kogo. Kiedy zjawia się Karolina, słyszę, że oczywiście z trzech jaj z kurkami jest możliwa.

Siadam. Przy sąsiednim stoliku para. Ona około czterdziestki, jego oceniam na jakieś dziesięć lat więcej. Zbyt ciepło na siebie patrzą jak na związek z długoletnim stażem. Zakładam więc, że to świeża sprawa. Nie chcę się im przyglądać, więc pochylam się nad talerzem.

– Mogę jeszcze kawę? – pytam, kiedy Karolina przynosi jajecznicę.

– Oczywiście. Można tutaj, ale można także w kawiarence przy recepcji. I tak stamtąd do pana przyjdzie – odpowiedziała równie uprzejmie jak wczoraj.

Wybieram kawiarenkę. Teraz piję sok i szklankę mleka. Jajecznica wyśmienita, twaróg rozpląwa się w ustach, czyli wrazenie z kolacji podtrzymane.

Kończę śniadanie po półgodzinie. Nie spieszę się, mam dużo czasu. Nie planowałem nic na ten dzień. Może uda mi się nawet ani razu nie spojrzeć na zegarek. Sauna, basen, siłownia... choć nie wiem, czy w moim wieku powinienem się forsować. Sport nie jest moim hobby. Ani jego uprawianie, ani oglądanie. Jedyne emocje, jakie mi towarzyszą, kiedy przypadkiem coś oglądam, to dwa rodzaje uśmiechu. Zadowolenia, kiedy wygrywa Polak lub polska drużyna, i politowania, gdy widzę ekscytujących się orgazmicznie widzów, do tego wsłuchujących się w banalne wypowiedzi sportowców. Tego zadowolenia zupełnie nie rozumiem. Może to wyraz jakiegoś nielogicznego patriotyzmu, uspionego gdzieś głęboko w mojej głowie. Czasem mam wrażenie, że tylko wtedy lubię Polskę i Polaków. I tylko wtedy wtedy doceniam wysiłek sportowców. Zwykle patrzę na nich jak na osiłków, którym intelekt wydaje się zbędny.

W recepcji siedzi inna dziewczyna. Diana pewnie dziś ma wolne. Szkoda. Najczęściej wolę mieć do czynienia z ludźmi, których już znam. Nowe twarze przyjmuję z ogromnym dystansem, rezerwą, czasem wręcz nieuzasadnioną wrogością. Kiedy mnie zauważa i podnosi głowę znad komputera, widzę, że jest dużo młodsza od Diany. Ma dziewczęcą twarz. Dochodzę jednak do wniosku, że ktokolwiek zajmuje się rekrutacją personelu w tym hotelu, zwraca uwagę na urodę kandydatek, a przede wszystkim na łagodność na twarzy.

– Dzień dobry – mówię cicho, bo tak lubię. – Wspomniano mi podczas śniadania, że znajduję tu jakąś małą kawiarenkę i dostanę w niej dobrą kawę...

– Wszystko się zgadza – odpowiada i wyciąga dłoń, wskazując otwarte drzwi po swojej lewej stronie. – Tam jest kawiarenka, a kawę zaraz przyniosę. Jaką pan sobie życzy, panie Mateuszu?

Nie mam identyfikatora ze swoim imieniem, więc pewnie przeglądała książkę meldunkową. Być może jestem jednym z niewielu gości. Uśmiecha się. Inaczej niż Diana, inaczej niż zwykle ktoś uśmiecha się do obcej osoby. Dyskretnie zerkam na jej plakietkę. Zosia. Tak ma na imię.

– Podwójne espresso poproszę – zamawiam z przyzwyczajenia. Tak zaczynam dzień, gdy pracuję. Daje mi kopa w dupę, kiedy nic mi się nie chce. A zwykle rano tak jest. Po takim kopie szybciej i efektywniej myślę. Ale dziś powinienem zamówić latte, kawę dla mięczaków, dla tych, którzy nie znają prawdziwego smaku kawy.

Wchodzę do kawiarenki. To jednak za duże słowo. Albo za małe, zależy od oczekiwań. Rozglądam się i wiem, że nie jest to nawet w jednym procencie kawiarnia. To raczej duży salon z wyjściem na olbrzymi, drewniany taras. Niskie kanapy z równie niskimi stolikami stwarzają wrażenie nieco snobistyczne, ale drugie słowo, jakie przychodzi do głowy, to wygoda. Jednak nie siadam. Idę na taras. Tam wprawdzie mniej wygodne krzesła, ale za to rozpościera się piękny widok.

Przy balustradzie widzę trzy leżaki. Zajmuję jeden z nich, przysuwając stolik. Za kilka chwil będzie na nim mała filiżanka wypełniona espresso.

Zosia pojawia się po kilku minutach. Przynosi ze sobą tacę z intensywnym zapachem kawy. Wycham, zamykając oczy. Dokładnie taki sam zapach, jaki rozchodzi się w mieszkaniu Doroty, kiedy parzy kawę. Trzeba przyznać, że robi doskonale.

– Cukier niepotrzebny, dziękuję – mówię, kiedy widzę cukiernicę na tacy.

Dziewczyna o imieniu Zosia uśmiecha się tylko nieśmiało, ale nadal inaczej niż Diana.

Ponownie opadam na leżak i głęboko wciągam powietrze w płuca, patrząc w dal. Widzę tam szczyty gór, ośnieżone, choć błyszczące w słońcu.

– Pan mnie nie poznaje, prawda, panie Mateuszu? – recepcjonistka mówi to lekko i z wdziękiem, nachylając się w moją stronę. Patrzę na nią, mierzę szybko od stóp do głów. Mrużę oczy, jakby osłepiało mnie słońce. Ale nie osłepia. Mrużę, bo wydaje mi się, że zobaczę ją inaczej, wnikliwiej. Wytężam przy tym pamięć.

– Zosia Gozdówna.

Wyciąga dłoń, a ja już zaczynam sobie przypominać.

Zosia miała wtedy dziesięć lat. Byłem tu na leczeniu z bólu samotności. Byłem zżarty od środka, rozsadzała mnie rozpacz połączona z niechęcią do dzielenia się nią z kimkolwiek. Mój introwertyzm powoli mnie zabijał, tęsknota wypalała wnętrzości. Wyobrażenie tego, co spotkało Agnieszkę, niszczyło mi mózg.

I wtedy przyjechałem tutaj, do tatrzańskiej wioski z hotelem na zboczu góry. Dotarłem, zaparkowałem, wszedłem do recepcji i wzięłem pokój. Prawie tak jak teraz. Wtedy jednak działałem jak na automatycznym pilocie. Samo się działo. Z pokoju wyszedłem dopiero trzeciego dnia. Piątego udało mi się wyjść do wsi. I wtedy poznałem Zosię. Kupowała chleb w małym wiejskim sklepie. Rezolutna mała dziewczynka, która nie chciała się odzepić w drodze powrotnej. Gadała i gadała. A potem umówiła się ze mną na następny dzień.

– Jutro też przyjdę po chleb – powiedziała. – Przyjdzie pan znowu po wódkę?

Ale to nie była wódka. To było porto. Wieczorem wypilem całą butelkę. A Zosia była następnego dnia w sklepie. Potem kolejnego i jeszcze jednego. Zaprowadziła mnie na polanę swoich rodziców i znów gadała i gadała. Po góralsku też. Polubiłem ją. Była dowcipna, bystra, spostrzegawcza i dociekliwa. Zadawała mnóstwo pytań, interesowała ją Warszawa i cała Polska. Jak na tak młodą osobę chłonęła wiedzę bardzo szybko. Podobało mi się to, więc opowiadałem coraz więcej. Aż w końcu powiedziałem jej też o Agnieszce, Natalii i Hani. Nie wiem, czy zrozumiała. Wiem natomiast, że odżyłem. Mała dziewczynka, a dała mi tak wiele.

I teraz, niemal dwanaście lat później, stoi przede mną już jako kobieta.

– Zosia – wypowiadam jej imię, jakby nie dowierzając, że to naprawdę ona.

Spotykaliśmy się codziennie w sklepie lub pod nim. A potem szliśmy na polanę, czasem w góry. Była świetnym piechurem. Ale któregoś dnia się nie pojawiła. Czekałem ponad godzinę, siedząc na ławce i pijąc kolejne porto. Pomyślałem, że coś się stało, i postanowiłem pójść do jej domu. Pokazywała mi, gdzie mieszka. Stara góralska chata należąca do jej babci. Jej ojciec budował dom sto metrów dalej. Budował od siedmiu lat i nie mógł skończyć, bo albo przepijał wszystko, co zarobił, albo nie był w stanie pracować.

Siedziała na pieńku niedaleko drzwi. Kiedy mnie zobaczyła, podbiegła do drewnianego ogrodzenia i powiedziała nerwowo, żebym gdzieś sobie poszedł. Była uczesana inaczej niż zwykle. Rozpuszczone włosy opadały jej na twarz, ale i tak zauważyłem ślad tuż przy oku. Sięgnąłem do jej buzi, by palcami odsunąć blond kosmyki, i wtedy usłyszałem:

– Zostow jom!

Krzyczała kobieta, która właśnie wybiegła z domu. Domyśliłem się, że to matka. Za nią wybiegł mężczyzna z siekierą w rękę i jeszcze groźniejszym wyrazem twarzy.

– Kto cię uderzył? – zdążyłem zapytać po cichu. – Matka?

Pokiwała przecząco głową i wykonała dłonią gest, jakby głaszcząc podbródek. Kiedy spojrzałem na jej ojca, domyśliłem się, że chodziło o brodę. Mała, bystra dziewczynka. Nie mówiąc nic, wskazała swojego kata. Oboje szli w moją stronę szybkim krokiem. On na szczęście wbił siekierę w pieńek, choć bez niej wcale nie wyglądał łagodniej.

– Czego? – rzucił zaczepnie i groźnie.

Spojrzałem w jego oczy. Potem na twarz Zosi. Miała łzy w oczach.

– Nie bij dziecka! – syknąłem przez zęby.

– Nic ci do tego!

– Tyle mi do tego, że ma siniaka. Mogłeś trafić w oko.

Podszedł bliżej i popchnął mnie tak, że ledwo utrzymałem równowagę. Przeskoczył płot i podbiegł do mnie. Widziałem, jak robi zamach. Instynktownie zasłoniłem się lewą ręką i uderzyłem go w twarz otwartą prawą dłonią. Spoliczkowany mężczyzna czuje się urażony. Nie czuje bólu, jest wkurwiony. Spróbował więc jeszcze raz. Skutek był ten sam, tyle że tym razem oberwał pięścią. Kiedy przewrócił się na ziemię, przycisnąłem stopę do jego żeber i jeszcze raz syknąłem przez zęby:

– Nie bij dziecka, fiucie! Zalej pałę, zapij się na śmierć, ale nie bij dziecka! Rozumiesz?!

Szarpnął się, więc opadłem na niego i kolanami przycisnąłem do ziemi jego ręce. Uderzyłem go jeszcze raz w twarz otwartą dłonią, potem jeszcze raz i jeszcze.

– Nie! – uderzenie – bij! – uderzenie – dziecka! – uderzenie.

Zosia i jej matka przyglądały się tej scenie w milczeniu. Nie broniły ojca i męża, nie rozpaczaly, nie krzyczały o pomoc. Może nawet się cieszyły, że ktoś stanął w ich obronie.

A ja wstałem, strzepnąłem piasek ze spodni i ruszyłem do hotelu. Nawet się nie obejrzałem. W pokoju wzięłem prysznic i poszedłem spać.

Wyjechałem dwa dni później. W recepcji czekała na mnie niespodzianka. Zwinęta w rulon kartka, a na niej narysowany ołówkiem mój portret. W prawym dolnym rogu imię: Zosia. Nie potrafiłem i nadal nie potrafię ocenić, jak dobry to portret. I nigdy już nie zdołam tego zrobić, bo będzie miał dla mnie wartość emocjonalną. Ale wiem, że lubię na niego patrzeć – nie dlatego, że to ja. Raczej dlatego, że dobrze mi się kojarzy.

Portret wstawiłem w ramkę i powiesiłem na ścianie w zaimprovizowanym gabinecie w mieszkaniu. Tak się wrył w jego wystrój, że z czasem, niestety, przestałem go dostrzegać.

– Zosia – powtarzam jej imię, ale dużo ciepłej. Wstaję i obejmuję ją. Ona robi to samo.

– Jednak mnie pan pamięta – mówi z uśmiechem.

– Co tu robisz? – pytam, nie wypuszczając jej z objęć. Jakbym trzymał Natalię lub Hanię. Przez ułamek sekundy czuję, że brakuje mi ich wtulania się we mnie.

Znów opadam na leżak. Ona siedzi na krześle obok i ciągle się uśmiecha. Ma burzę długich, jasnych włosów. Kręcą się jak chcą i gdzie chcą. Wyglądają, jakby były nieuczesane, w totalnym nieładzie. Wtedy też takie były.

– Pracuję tu, by mieć pieniądze na wakacje – odpowiada, pokazując białe, równe zęby. – Zasłużyłam na wakacje, bo skończyłam już trzeci semestr studiów.

– Już? – dociera do mnie, ile lat minęło. – Jakie to studia?

– Akademia Sztuk Pięknych w Krakowie.

Uśmiewa się z dumą i zakłada kosmyk włosów za ucho.

Najwyraźniej portret nie był przypadkiem. To talent, który miał szansę się rozwinąć.

– Dostałam wtedy ten list od pana – mówi nagle.

– Jaki list? – pytam.

– Ten, który zostawił pan tutaj w hotelu. Pani, której zostawiłam portret, wiedziała, gdzie mieszkam, i mi go przyniosła.

Teraz pamiętam. Wyjeżdżając z hotelu, na szybko skreśliłem kilka słów do tej małej dziewczynki. Nic odkrywczego i oryginalnego. Przeprosiłem, że uderzyłem jej ojca (nie wspominałem, że kilka razy – i tak widziała), i dodałem, że ma talent i próba pójścia za nim jest jej obowiązkiem. Jakoś tak.

– Ciąży go mam. – Nie przestaje się uśmiechać.

Czuję się zawstydzony. Dzisiejszy świat jest inny. W dzisiejszym świecie człowiek reaguje na taki list parsknięciem i wyrzuca go do kosza. W dzisiejszym świecie człowiek sam o sobie ma tak dobre zdanie, że czyjś go nie musi znać.

– Był bardzo szczerzy – odpowiadam. – Zapomniałem, że go napisałem.

Przez chwilę ją obserwuję. Widzę, że coś mówi, ale skupiam się na jej mimice, na uśmiechniętych oczach. To jeszcze trochę dziecko, mimo że już kobieta. Ma dwadzieścia jeden lat.

– ...a potem już byłam starsza i nawet gdyby coś miało się złego dziać, tobym na to nie pozwoliła...

Dopiero teraz dociera do mnie, co powiedziała wcześniej.

– Ojciec uspokoił się po tym, jak dał mu pan szkołę. Nie odzywał się kilka dni, unikał mnie i mamy. Nigdy mnie więcej nie uderzył, choć zdarzało się, że krzyczał. A potem już byłam starsza i nawet gdyby coś miało się złego dziać, tobym na to nie pozwoliła...

Uśmiecham się do siebie. Łechce mnie świadomość, że dałem „mu szkołę”. To taka lekka odmiana dumy z siebie samego.

– Cieszę się, że tak się stało – mówiąc to, kiwam głową, jakbym chciał potwierdzić swoje słowa – i dobrze, że mnie posłuchałaś.

– Ale dopiero w gimnazjum trafiłam na nauczycielkę, która pomogła mi coś z tym zrobić. Sama nie miałabym odwagi.

– A do odważnych świat należy – rzucam banał i błyskawicznie się go wstydzę.

– Wiem, ale byłam małą, zahukaną dziewczynką, której wszyscy powtarzali, że musi tu zostać i pasać krowy. A ja choć tego nie chciałam, to się z tym godziłam.

Słucham, jak opowiada.

– Kiedyś mówiłaś gwarą, teraz nie słyhać żadnego zaśpiewu.

– Jakoś tak wyszło. Miałam chyba szczęście, bo bardzo szybko pozbyłam się akcentu spod samiuśkich Tater.

Śmieje się głośno. Jest dziewczęca. Piękna i dziewczęca. Patrzą na nią i myślę o Hani i Natalii. Są z tego samego pokolenia, choć nie wiem, czy rozumiałyby się wystarczająco dobrze. Wychowane w innych światach, przebywające w zupełnie odmiennych środowiskach. Choć pewnie niewiele wiem o obecnym życiu swoich córek.

– Pójdziemy któregoś dnia na naszą polanę? – pytam z nadzieją, że się zgodzi. Bo choć chcę uciekać, by odpocząć, czuję, że tej małej dziewczynki sprzed lat nie muszę unikać.

– Oczywiście! – odpowiada niemal krzykiem. – Ale teraz muszę wracać do pracy. Mam nadzieję, że kawa będzie smakować.

– Na pewno – odpowiadam, uśmiechając się szczerze.

Kiedy odchodzi, nadal się uśmiecham. To pierwszy pozytywny moment, od kiedy tu jestem.

– Chciałam jeszcze o coś zapytać. – Znowu stoi obok, patrząc tymi dużymi oczami. – Poradził pan sobie ze stratą pani Agnieszki?

Nie wiem, co odpowiedzieć. Bo nie wiem, czy sobie poradziłem. Żyję normalnie, pracuję, poukladałem to sobie w głowie. Ale odpowiadając Zosi, kiwam jedynie przecząco głową. Bo gdybym odpowiedział: „tak”, byłbym wobec niej nieuczciwy.

– A co u Natalii i Hani?

Bałem się tego pytania.

– Nie wiem.

Zosia spuszcza wzrok. Jest smutna.

– Rozumiem – niemal szepcze i odchodzi.

Opowiem jej kiedyś, jak było i jest. Ale jeszcze nie teraz. Teraz muszę się do niej przyzwyczaić. I oswoić się z obecnością osoby, której chcę o tym opowiedzieć. I zastanowić się, czy nie jest zbyt młoda, by to usłyszeć.

Siedzę tak kilkadziesiąt minut. W tym czasie moje myśli przemierzają dziesiątki kilometrów i wiele lat. Od wypadku Agnieszki pod Kielcami, przez historię z Zosią tutaj, w górach, i kilka lat nieokreślonej egzystencji w Warszawie, aż po wczorajszy wieczór i strach w ciemnościach po drugiej stronie hotelu.

Czuję krople deszczu. Czuję też jego zapach. Pachnie jak przelotny, ale mimo wszystko wchodzę do środka, by nie zmoknąć. Rozkładałam się na olbrzymiej, miękkiej kanapie, biorę łyk wody, którą dosta-

łem razem z kawą i zamykam oczy. Kiedy na chwilę je otwieram, widzę włączony telewizor. Rozglądam się bezskutecznie, wypatrując pilota. Nie chcę mieć kontaktu ze światem, zwłaszcza tym moim. Tym, który z uczuciem ulgi zostawiłem. I z tym, który mnie najchętniej miałby w dupie, choć nie do końca może.

Telewizor ma wyłączony dźwięk. Jestem skazany na obraz. Na młodą prezenterkę, młodego reportera, a potem na młodego prezentera. Nikomu z nich bym nie uwierzył, nawet gdybym słyszał. Wierzę tylko tym z lekkim siwym włosom na skroni, bo ten siwy włos to najczęściej głowa pełna wiedzy. Nie wierzę tym młodym pięknym z rozwianym włosom i kolorowymi soczewkami. Ani tym z zarostem „na drwala”, bo przez te „leśne” brody są niewiarygodni – nigdy nie ścięli drzewa ani nawet nie porąbali drew do kominka. Z drwala mają tyle, ile ja z muzyka. Czyli nic. Chłopcy.

Kurwa. Od wczoraj nie pomyślałem o tym, że muszę odpocząć. A wystarczyło zerknąć w ten jebany ekran.

„Powiedzieli, że muszę umrzeć. Powiedzieli, że skradłam ludziom tchnienie, więc teraz oni muszą skraćć moje”.

Czyta pierwsze zdanie, po czym podnosi głowę. Zaciska szczęki w napięciu, do bólu. Czuje, że wciśnięta zęby w dziąsła. Puszczą. Ale zaraz potem ponownie zaciska żuchwę. Widoczne na skroniach żyły pulsują od nadmiaru krwi.

„Powinieneś umrzeć, skurwysynu”. Do tej pory nie potrafi tego zdania wyrzucić z głowy. Ten głos w słuchawce cedzący te słowa. To łkanie między kolejnymi słowami. Jej ojciec. Nie wybaczy mu nigdy. Twierdzi, że to on ją zabił tym, kim był. Te słowa wwiercily mu się w mózg. Krzyczały na niego.

A potem jeszcze napis na masce samochodu. „Śmierć”. Wiedział już wtedy, co go czeka. Ale nie bał się, bo świadomość tego, co się stało, i tak była nie do zniesienia. Blacha z wydrapanym życzeniem śmierci wręcz go zabijała. A nie chciał od tego umierać.

„Powinieneś umrzeć, skurwysynu”. Tak, powinien umrzeć i wiedział o tym. Był jednak zbyt tchórzliwy, by odebrać sobie życie. Potrafił tylko o tym mówić, głównie siostrze albo temu facetowi w barze. Temu w ciemnych okularach, podobnemu do gościa z Sisters of Mercy. I choć to niemal zamierzchnia przeszłość, pamięta go do tej pory. Z dwóch powodów. Po pierwsze, dlatego, że mu się wygadał; po drugie, dlatego, że mu się wygadał. To niby to samo, ale znaczy co innego. Wygadał się i było mu źlej, i wygadał się, przyznając się do winy. Nie wiadomo, co Andrew (tak na niego mówili) z tym zrobił.

Skazaną dał mu Wojtek, tutejszy myśliciel i filozof. Nie zna go dobrze, ale jeśli miałby wskazać kogoś, z kim tutaj częściej rozmawia, byłby to właśnie Wojtek. Nie były to jednak długie wieczory spędzone przy wódce. Raczej kilka krótkich rozmów, a to za mało, by się czegoś dowiedzieć o człowieku. A jednak wystarczająco, by nabrać przekonania, że ten ktoś czyta. I to dużo.

– Wyglądasz i zachowujesz się jak skazaniec – powiedział mu Wojtek – więc masz i przeczytaj.

Minął miesiąc. Książka leżała na blacie w tej malej, dość obskurnej kuchni. Dziś sięga po nią, by się czymś zająć. Zlecenia na wycinkę nie ma, drwa do kominka porąbane, a do wsi nie ma potrzeby iść. Do miasta jechać tym bardziej.

Czy Wojtek coś wie?

Na początku pytał. Potem już tylko bacznie obserwował, często patrząc tak, jakby nie chciał, by to spojrzenie zostało zauważone. No i teraz ta książka, to pierwsze zdanie... jakby chciał mu powiedzieć: „Wiem o twoim sekrecie, ale czekam, aż mi sam o nim opowiesz”.

A on już nikomu nie chce o tym mówić. Nie chce do tego wracać. Swoje przeżył. Chce siedzieć w swojej chacie, w tym lesie przy zabitej dechami wsi. Niczego już od życia i losu nie oczekuje. Chce tylko, by nikt nie wchodził mu w zabłoconych butach do izby. Albo na jego teren, tak jak wczoraj ten nocny spacerowicz z hotelu. Nie daje na to zgody. To ma być jego polana. Może nie na zawsze, ale na pewno póki będzie chciał ją mieć dla siebie. To jego azyl. Jego inny świat. Może w nim wrócić do przeszłości i pławić się w niej w wybrany przez siebie sposób. Nie chce do niej wracać całym sobą. Chce na nią jedynie patrzeć z boku.

A ten gość z hotelu go niepokoi. Albo nigdy się już nie pojawi, albo będzie drażył. A tego drwał nie chce. Nie chce niczego zmieniać, chce być na swojej polanie, kiedy tylko tego zapragnie i kiedy tylko będzie miał po co tam przychodzić.

Czyta kolejne akapity. Skazali ją, choć nie byli pewni jej winy. Ale chcą ją uśmiercić. Chcą mieć to za sobą. Znał to, pamiętał, bo sam to przeżył. Ale nie chce do tego wracać i nie wraca.

Myśli znów są przy polanie. Czuje irytację, że może ją stracić, że tych kilka przygotowanych przez niego stopni zostanie zauważonych i wzbudzi podejrzenia. Choć czasem trudno mu było uwierzyć, że nikt go wcześniej nie dostrzegł. Zawsze niezbitnie wierzył, że potrafi przemykać między drzewami jak kot – cicho, bezszelestnie. Z kolei na polanie, dzięki zielonej bądź brązowej kurtce, zlewał się z otoczeniem. Był spokojny, poza tym jednym razem, kiedy dostrzegł wpatrującego się w niego mężczyznę. Stał na tarasie z przystawioną do oczu lornetką. Długo. A przynajmniej drwałowi się wydawało, że długo, choć mogło to być zaledwie kilkanaście sekund.

Drwał również przysunął wtedy lornetkę do oka i spojrzął w tamtą stronę. Patrzył na niego mężczyzna w dżinsach, niebieskiej koszuli i granatowej marynarce. To standardowy, prywatny mundur biznesmena. Twarzy nie widział, bo zasłaniała ją dłoń trzymająca lornetkę.

Przez kilka dni unikał polany. Ale kiedy wrócił na swój teren, nic się nie zmieniło. Przez jakiś czas zachowywał jeszcze ostrożność i zanim wyląśniał się z lasu, rozglądał się bacznie i przyglądał tarasowi, na którym stał mężczyzna z lornetką. A potem znów uspił czujność i poczuł się swobodnie.

Do wczoraj.

Wczoraj zezłościł się dwa razy. Bo zanim ten gość hotelowy wtargnął na jego polanę i próbował go wypatrzeć, i prawie na niego wlaźł, zajął jego ulubiony pokój. Ten pokój, w którym zatrzymuje się Alicja. Za każdym razem, kiedy zajmował go ktoś inny, myślał: profanacja. Był świadomy, że tak musi być, jednak z trudem godził się z tą sytuacją. Od momentu, w którym po raz pierwszy zobaczył na balkonie przechylającą się przez balustradę rudowłosą kobietę.

Alicja przyjeżdżała co miesiąc. Zawsze z innym mężczyzną, choć raz zdarzyło się, że z tym samym była dwa razy. Raz też zdarzyło się, że na kilka godzin dojechał drugi przedstawiciel płci brzydszej, choć ten akurat do brzydkich nie należał. I wtedy bawili się w trójkę.

Bo Alicja wpadała tu pieprzyć się bez hamulców. Kiedy zobaczył ją wtedy na balkonie, nie mógł oderwać wzroku. Stała w szlafroku i wpatrywała się w las. Widział w niej swoją steraną duszę samotnika, pokaleczoną i zmęczoną życiową udręką. Wystarczyło kilka minut wbitego w tę twarz wzroku, by to pojąć. Ona jest taka jak ja – pomyślał wtedy. I od tamtej pory wszystko, co robiła nie tak, jak on by sobie tego życzył, tłumaczył ranami na duszy, które z pewnością miała.

Spędzała tu zawsze dwie noce. Pierwsza zwykle była wypełniona seksem – po brzegi. Właściwie od powrotu z kolacji do późnego wyjścia na śniadanie nie robiła nic innego. Krótkie przerwy na kilka lamppek wina nie zmieniały obrazu tych nocy. Zresztą wino często lało się na jej piersi, a później zlizywane było przez partnera. Trudno więc nazwać to przerwą. Drugą noc przesypiała, rankiem jedynie dosiadając partnera i angażując jak dziokejkę. Około południa opuszczała hotel i znikwała na miesiąc.

Nigdy nie widział jej uśmiechniętej. Częściej zamyśloną, refleksyjną, nieobecną. A potem czerpiącą z uciech cielesnych wszystko, co się da. Jakby istniały dwie Alicje. Jedna w prawdziwym, przyziemnym świecie, druga w krainie czarów. Lubił obie. Zastygał, kiedy stawała na balkonie i wbijała wzrok w las. Albo kiedy na leżaku pozwalała się pieścić słońcu. Robiła to nawet zimą, tyle że nie w bikini. Ale latem mógł dostrzec wytatuowanego motyla na jej zadziwiająco płaskim brzuchu. Nie była chuda. Pełny biust i zaokrąglone biodra robiły swoje. Choć być może szerokość bioder brała się z głębokiego wcięcia w taliu. Drwał uwielbiał na nią patrzeć zarówno podczas tych minut na balkonie, jak i tych wielu godzin w łóżku. Patrzył zahipnotyzowany na to, jak porusza się w orgazmicznych spazmach i wygina pod męskim ciałem. To ona spowodowała, że znów poczuł twardość między nogami. Kiedy zobaczył ją pierwszy raz tańczącą na męskości swojego partnera, spodnie nieoczekiwanie mocno mu się napięły. Nie chciał się wtedy powstrzymywać. Zrobił to. Trysnął na śnieg pokrywający polanę, ale zaraz potem zapiął rozporek i odszedł kilka kroków dalej, zawstydzony i zaskoczony. Wrócił po kilku minutach i patrzył dalej. Od tamtego czasu zrobił to jeszcze tylko trzy razy. Ale już w domu, leżąc w wannie i przypominając sobie widok rudych włosów zasłaniających biodra mężczyzny. Ostatni orgazm miał wtedy, kiedy wyobraził sobie, że to on leży obok niej i jego ramię dotyka jej ramienia.

Dziś jest dziewiąty czerwca. Przyjeżdżała zawsze około dziesiątego dnia miesiąca. Człowiek, który zajął ten pokój, przyjechał na dłużej, widać to po jego walizce.

Poczuł niepokój, że nie będzie miał szansy spojrzeć w jej okno, jeśli gość się nie wymelduje. Nie, to nie jest niepokój. Nieznane jest mu to uczucie. Będzie wściekły, jeśli ta szansa go ominie.

Znów pochylił głowę nad książką. Czyta. „Rozpłynę się w powietrzu i nocnym mroku”.

Martyna tak się rozplęnęła. Alicja ją przypomina, choć jeszcze nie wiedział czym.



Sandacz ze szpinakiem i kurkami pachnie wspaniale. Mam go przed oczami, ale nie chcę zburzyć kompozycji, więc jem tylko oczami. Wiem, że kiedy tknę to danie, już nigdy nie będzie tak wyglądać.

Wcześniej Karolina podała bruschettę z pomidorem i mozzarellą. Tu nie miałem oporów i zmiołem danie z talerza w trzy minuty. Nie było skomplikowane ani też wyjątkowo podane. Za to sandacz... kołoczy.

To jest zawsze jedyny, bardzo krótki moment, który jestem w stanie znieść w gotowaniu w telewizyjach śniadaniowych. Tych kilka sekund, kiedy ekran wypełnia gotowe danie. I najlepiej z wyłączonym dźwiękiem, by nie słyszeć ani sympatycznych prowadzących, ani zachwyconych sobą gotujących. Ale owe sympatyczne buzie z przyklejonym do nich uśmiechem widzi się zaraz potem na wszelkich fejsbukach i instagramach. Trudno od tego uciec. Oni po prostu muszą pokazać, że są fajni, uśmiechnięci, otwarci. A do tego, że mają dystans do siebie.

Dystans. Dziś posiadanie dystansu do siebie wydaje się największą zaletą ze wszystkich dostępnych. Dlatego każdy na siłę ten dystans chce pokazać, nawet jeśli go nie ma.

Wgapiam się w sandacza i dociera do mnie, że znów przypominam sobie o dewizie na najbliższe dni: muszę odpocząć. Przypominam sobie za każdym razem, kiedy moja głowa łączy się z tym wielkim i obrzydliwym światem show-biznesu. Nie wiem, czy uda mi się tutaj od tego odciąć. Na stoliku w kawiarni rozrzucone kolorowe gazety, na ścianie powieszony telewizor, gdzieś z pewnością natknę się na włączone radio i śpiewających w komercyjnych rozgłoszeniach pseudoartystów wpisanych na playlistę przez firmy fonograficzne.

I jeszcze te fejsbuki i instagramy ze zdjęciami uśmiechniętych buziek, odsłoniętych brzuchów i pośladków. Z motywacyjnymi haselkami w stylu coachingowym. Z pytaniami „jak się macie” albo „jak wam minął weekend”. I z tymi wszystkimi zdrobnieniami, od których niedobrze się robi. I zaraz potem: „Sprawdź, jakie gwiazdy pojawiły się na premierze nowego... bla bla bla”. A co mnie to obchodzi?

Mateusz! Wyjechałeś! Odpoczywasz! – myślę do siebie. Nie muszę o tym myśleć. Znajdę sobie pracę i będę walił w każde radio i każdy telewizor. Coś, co miało człowiekowi przynieść wiedzę i rozrywkę, teraz w coraz większej mierze przynosi wkurwienie.

Odpocząć. Odciąć się.

Myśli zepsuły mi smak sandacza. Teraz muszę go sobie przypominać. Jutro zamówię to samo i odrzrzę sobie łeb, jeśli znów zacznę myśleć.

Kieruję się do pokoju. W recepcji widzę Zosię pochyloną nad księgą meldunkową.

– Doba hotelowa zaczyna się o czternastej, ale mogę już teraz państwa zaprosić do pokoju – mówi do kobiety i mężczyzny w wieku około czterdziestu lat. Oni, cały czas uśmiechnięci, zaczynają zadawać serię pytań. Siadam na kanapie naprzeciwko i bezwiednie sięgam po leżącą na niej gazetę. Zanim dociera do mnie treść pierwszej strony, mija kilka sekund. Odrzucam ją wtedy gwałtownie i wygodnie się opieram.

Po kilku minutach małżeństwo kieruje się do pokoju, a Zosia podchodzi do mnie i siada. Jest śliczna. Piękny łabędź z niej wyrósł. Jest ładniejsza nawet od Natalii. Kiedy widziałem ją ostatni raz? Dwa lata temu?

– Dobrze spędza pan czas? – pyta Zosia, pokazując rząd białych zębów.

– Naturalnie – odpowiadam, uśmiechając się do niej szczerze, choć jeszcze nie wiem, czy dobrze spędzam ten czas. Jestem za krótko.

– Ale za krótko tu jestem – dopowiadam, bo chcę być wobec niej uczciwy.

– Przyjechał pan sam?

To już pytanie dość niewygodne, ale nadal chcę być wobec niej szczerzy. Mam do niej stosunek tak czysty jak do nikogo w ostatnim czasie.

– Tak, bardzo tego chciałem. Przyjechałem odpocząć po kilku tygodniach dość ciężkich dla mnie.

Czuję, że chcę jej wszystko opowiedzieć, ale nie wiem, czy zrozumie.

– Coś się stało? – pyta.

Nie powinienem burzyć jej obrazu idealnego świata, jaki z pewnością ma w głowie. Bo prawie wszyscy z jej pokolenia przepędzili ją idealami.

Wiem, że mam do niej słabość. Ale taką jak do córki. W ten sposób odzywa się też moja tęsknota za Natalią i Hanią. Tak, minęły już dwa lata. Wtedy spotkałem się z Natalią. Hania była rok wcześniej. Ma mój charakter, więc jeszcze trudniej mi się z nią porozumieć. Obie zawsze należały do Agnieszki. To ona miała do nimi od początku świetny kontakt, mimo że dziewczyny zwykle lgną do ojców. Ale nie miały do kogo lgnąć. Byłem ich ojcem i myślałem, że to wystarczy. A kiedy zginęła Agnieszka, obie lgnęły już do cioci. Lidka uważała, że nie dam sobie rady – słusznie – i wprowadziła się do nas. Początkowo na pół roku, ale została do momentu, w którym dziewczynki wyrosły na studentki. Oddałem pole, nie walczyłem. Trochę żałuję, a trochę nie, bo nie wiadomo, jak dawałyby sobie radę, gdyby nie Lidka. Gdybym to tylko ja się nimi zajmował. To ona, nie ja, pomogła im poukładać w głowie wszystkie emocje, zaplanować edukację. Ja tylko dostarczałem fundusze. Nic dziwnego, że nie czują ze mną większej więzi emocjonalnej.

Ktoś kiedyś wytłumaczył mi, że potrafiłem funkcjonować tylko z nimi trzema i podświadomie nie akceptuję, że zostały jedynie one dwie. Takie psychologiczne podejście nie do końca do mnie przemawia. To prawda, że długo nie potrafiłem się odnaleźć po śmierci Agnieszki, ale nie mogę uwierzyć, że podświadomość odsuwa mnie od córek.

– Świat nie jest tak piękny i przyjemny, jak ci się zapewne wydaje – odpowiadam w końcu Zosi.

Uśmiecha się, jakby chciała powiedzieć: „Tak, tak... za moich czasów było inaczej...”.

Ale tego nie mówi.

– ...jest obrzydliwy – dodaję i nie żałuję tego słowa. Niech usłyszysz to ode mnie i ma szansę, bym jej to wyjaśnił, jeśli zapyta.

– Pewnie jestem jeszcze za młoda, żeby to wiedzieć – ocenia – ale swoje też już przeżyłam. Wyjechałam do dużego miasta i napatrzyłam się na świat.

Mądra jest. Nie dlatego, że to mówi, tylko dlatego, że mówi to z przekonaniem, wierząc w te słowa. Nie udaje, ona naprawdę tak myśli.

Ktoś wszedł do hotelu i stanął przy recepcji.

– Muszę iść – szepnęła i nie czekając na moje przyzwolenie, podbiegła do komputera.

Kolejna para melduje się w tym przybytku spokoju. On idzie pierwszy. Wprawdzie wspaniałomyślnie niesie dwie walizki, jej zostawiając torebkę, ale nie zwraca uwagi, że drzwi zamykają się jej tuż przed nosem. Ona jest tylko jego ozdobą. Kosztowną ozdobą, bo on płaci za jej wizyty u chirurga. I to sporo płaci, sądząc po całej fizjonomii. Blondynka w różowej kiecce, w białych szpilkach i z różową torebką. Dekolt został dobrany tak, by przynajmniej częściowo odsłonić dzieło mistrza skalpela. Na szczęście nie przesadziła z ustami. Jeszcze.

On – ważny, przynajmniej w swoim mniemaniu. Pakuje codziennie w osiedlowej siłowni, może nawet jest jakimś kulturystą. Idzie szeroko, bo ramiona nie mogą się złożyć z tułowiem. Wszyscy ci z nadmiernie rozbudowaną muskulaturą są dość niscy. Dziwne. Ten też. I tak jak wszyscy idzie i wygląda, jakby zaraz miał komuś spuścić wpierdół. Albo przynajmniej postraszyć. Pewnie sepleni. Takie mam przeczucie.

Nie słyszę jednak jego słów, bo – o dziwo – mówi dość cicho. Chwilę później znów z tymi walizkami idą w stronę korytarza. On, mimo że ciągnie za sobą bagaż, nie odmawia sobie klepięcia w tyłek swojej dziewczyny. Ona chichocze. Już wiem, że w ich pokoju będzie dziś wesoło.

– Nie wybieram sobie gości – słyszę głos obok siebie. Odwracam się. Patrzy na mnie starszy jegoś w marynarce i dzinsach, z jakąś dziwną apaszką na szyi.

– Widziałem to parsknięcie, panie Mateuszu. – Uśmiecha się, wyciąga do mnie dłoń i przedstawia się: – Jan Moneta, kłaniam się nisko.

– Mateusz Fajkowski, dzień dobry. – Podnoszę się delikatnie z kanapy, by nie wyjść na chama.

– Mam wrażenie, że akurat pan nie musi się nikomu przedstawiać – mówi wolno, wręcz flegmatycznie. I tak też się porusza, siadając na oparciu fotela naprzeciwko mnie.

– To gruba przesada. – Uśmiecham się, choć mam alergię na tego typu uwagi. Popularność, jeśli o niej w ogóle mogę mówić, mam w głębokim poważaniu.

– Gości hotelowych nie mogę sobie wybrać, ale gdybym mógł, pana wybrałbym bez wahania. Bardzo cenię pańską pracę.

– Cieszę się. Słyszając takie słowa, mam wrażenie, że jednak moja praca ma sens.

Biorę łyk kawy i nie wiem, czy jeszcze mam coś powiedzieć, czy raczej pan z apaszką uda się do swoich zajęć. Zerkam na Zosię, bo to na nią czekałem tych kilka minut. Ale ona stoi beczynnym przy komputerze, mimo że tamtych odprawiła już do pokoju.

Jan Moneta – zawsze miałem łatwość zapamiętywania nazwisk – siedzi i poprawia włosy. Ma dłuższe, trochę opadające na twarz, mógłby wiązać je w kucyk. Zupełnie jak ten celebryta z telewizji, tyle że siwe.

– Mam nadzieję, że spędzi pan u nas przyjemnie czas – mówi po chwili i wstaje, widząc zapewne, że nie palę się do rozmowy. Widzi moją nieco zdziwioną minę, więc dodaje: – Jestem właścicielem hotelu, przepraszam, nie przyznałem się.

Domyślałem się, ale teraz mam jasność. Wygląda trochę na właściciela z furą pieniędzy. Takie rzeczy często rzucają się w oczy.

– Gratuluję hotelu – wypalam komplement, żeby powiedzieć cokolwiek i nie wyjść na gbura. Czuję, że za chwilę będziemy rozmawiać o pogodzie.

– Rzeczywiście jestem z niego dumny – odpowiada powoli i majestatycznie, jakby czytał poezję. Co ciekawe, nie dziękuje za gratulacje. Wzbudza tym moją sympatię. Ale nie kończy mówić. – Kiedyś była tu polana, zupełnie pusto. Tylko górale owce wypasali. Za każdym razem, kiedy przyjeżdżałem do gazdżiny na prywatne pokoje, siedziałem sobie na tej łące i patrzyłem na szczyty gór. I w końcu wymyśliłem, że postawię tu hotel. A że pieniądze miałem, wszystko szybko się potoczyło.

Rozgląda się przy tym po ścianach i z dumą kiwa głową. Zastanawiam się, czy to już wyuczona opowieść powtarzana wszystkim gościom. Jego wzrok zsuwa się z sufitu przez wiszące na ścianach obrazy i zatrzymuje na mnie.

– Był pan już kiedyś u nas? – pyta, choć nie sprawia wrażenia zainteresowanego odpowiedzią.

– Dawno temu – odpowiadam, odchrząkując.

– Doceniam więc, że zechciał pan pojawić się tu ponownie.

Na jego twarzy pojawia się uśmiech dumnego zadowolenia. Dostrzegam bliźnę na prawym policzku. To zaskakujące, bo mam podobną po drugiej stronie twarzy. Pewnie teraz jej nie widać przez kilkudniowy zarost. On jest gładko ogolony, więc bliźna rzuca się w oczy.

– Jest na odludziu, tego potrzebowałem wtedy i teraz – wyjaśniam, by podtrzymać konwersację.

– Mam nadzieję, że mój hotel spełni pańskie oczekiwania – wciąż mówi powoli i majestatycznie. – Myślę, że bardzo pomocna może być pani Danusia.

Wskazuje wyciągniętą dłonią Zosię i po ułamku sekundy zmienia się jego wyraz twarzy. Marszczy czoło i mruży oczy.

– Zosia oczywiście – poprawia się, lekko pochylając głowę w jej stronę, później w moją. To chyba gest przepraszający. Mężczyzna jest z innego pokolenia, tego, który za takie pomyłki jeszcze przeproszał. Dziś takiej pomyłce towarzyszy wybuch śmiechu bądź idiotycznego chichotu.

Drobnymi kroczkami podchodzi Zosia. Tym razem bez uśmiechu, wyraźnie skupiona na jakimś zadaniu. Trzyma w dłoni kartki zapisane małym druczkiem.

– Panie mecenasie – prawie szepcze, być może po to, bym nie słyszał. – Dwie umowy do podpisania. Tu jest firma ogrodnicza – przekłada kartkę – a tu transport.

Moneta przytakuje, zerka na pismo, po czym składa dwa podpisy na dole każdej ze stron. Zosia odchodzi, a on uśmiecha się i wraca do mnie.

– Mecenas? – pytam z ciekawością. – Jest pan prawnikiem?

– Nie, nie. – Jest rozbawiony. – To po prostu ładnie brzmi: „panie mecenasie”. – Zamyka oczy i powtarza trzy razy: – Pięknie, prawda?

Uśmiecham się, ale wolę nic nie mówić.

– Ale jeśli w ogóle jestem jakimś mecenasem, to sztuki – tłumaczy. – Być może zauważył pan obrazy na ścianach w korytarzach. Są też w kilku pokojach. To wszystko oryginały kupione przeze mnie na aukcjach lub bezpośrednio od autorów. Nie ma pan pojęcia, jak piękne obrazy można kupić, szperając w mediach społecznościowych. Niezwykle utalentowani artyści wystawiają tam swoje dzieła. Wystarczy trochę poszukać.

– Wierzę. Może niedługo w takim razie zakupi pan obraz Zosi? – pytam z uśmiechem, pokazując głową w stronę recepcji.

– To pan wie, że ona maluje? Już się zdążyła zareklamować?

– Poznałem ją jako małą dziewczynkę, dlatego łatwiej było teraz porozmawiać o czymś więcej niż o pokoju hotelowym czy pogodzie.

– To cudowna dziewczyna, skromna, pracowita. Ja po prostu nie mam pamięci do imion, a przed chwilą rozmawiałem z Danusią z hurtowni spożywczej. I pomyłka gotowa.

Siada naprzeciwko. Chyba chce sobie pogadać. Nie wygląda na człowieka, który ciągle jest w niesamowitym pędzie. Interes pewnie kręci się sam.

– Choć to nie ja powinienem rozmawiać z Danusią z hurtowni. – Odwraca się. – Zosiu, skontaktuj się, proszę, z panem Ksawerym i przekaż, że Danusia czeka na listę.

Chwilę patrzy na nią, jakby się zastanawiał, czy wszystko powiedział. Możliwe, że nie. Sprawia wrażenie żyjącego w nieco innym świecie, właśnie w świecie sztuki, obrazów i pewnie literatury. Mogę mu zazdrościć. Głównie tego, że sobie na to pozwala. Ale też tego, że tak potrafi, że umiał się odciąć. Bo właśnie tak to sobie wyobrażam: był w obiegu, pędził i w pewnym momencie się zatrzymał i pomyślał: „Gdzie ja się spieszę?”. I teraz już nigdzie nie pędzi, delektuje się, lewituje, porusza się w tym hotelu czasem jak duch. Choć być może to tylko moja wyobraźnia.

– Ksawery to menedżer hotelu – mówi znów do mnie. – Dobry chłopak, ale z potwornie wybujałym ego, wręcz nie do zniesienia. Dlatego nie pokazuję mu, jak bardzo jestem z niego zadowolony.

– Pewnie młody, przerośnięte ego to choroba młodego pokolenia.

Mówię to, ale znam od tej reguły wiele wyjątków.

– Nie jestem z tych, którzy narzekają: „Ech, ta dzisiejsza młodzież”. Raczej otwieram szeroko ramiona, słucham i próbuję pomóc. Bo młodzi potrzebują pomocy.

Słucham go i zastanawiam się, jak długo można opowiadać tak wolno i flegmatycznie. Kątem oka obserwuję Zosię, bo wolałbym, żeby to ona siedziała na miejscu Monety. Poprawia włosy, rozmawiając przez telefon. Po chwili rozłącza się i odkłada słuchawkę. Jest z czegoś niezadowolona. Tak mi się wydaje, choć przecież słabo ją znam.

Wpada Ksawery. Nie mam wątpliwości, że to on, bo właśnie tak go sobie wyobraziłem przez tę sekundę, w której była o nim mowa. Krótko ścięte włosy, ale grzywka zaczesana na lewą stronę. Marynarka przykrótka, ale za to mankiety koszuli wypuszczone z rękawów. Poszetka obowiązkowa u młodych „rzutkich”. No i te spodnie z nogawkami wąskimi i krótkimi, odsłaniającymi skarpetki w kratkę.

– Zaraz dzwonię – mówi do Monety niby szeptem, ale wystarczająco głośno. Nie był to głos podwładnego, raczej człowieka uważającego się za partnera lub kogoś wysoko osadzonego w hierarchii. Mój czynizm nie pozwala mi takich ludzi tolerować, zbyt wielu mam podobnych osobników na co dzień.

Ale zerka na mnie i na chwilę zatrzymuje wzrok. Dosłownie na sekundę. Coś go zaskakuje. Ciągle zapominam, że moja twarz może się wydawać znajoma.

Słyszę głębokie westchnięcie Monety i jednocześnie widzę, jak odwraca głowę w stronę okna. Jeśli cierpi tak przy każdym zetknięciu się z Ksawerym, to szczerze mu współczuję.

– To trochę odludzie – próbuję odciągnąć go od zadufanego młodzieńca. – Nie za mało gości?

– Wie pan – odpowiada z namysłem – ten hotel to dla mnie trochę jak marzenie, trochę jak emerytura, a trochę jak dom. A dom nie ma przynosić profitów, tylko ukojenie. I ten hotel daje mi to ukojenie. Wystarczy mi świadomość, że do niego nie dokładam.

– Pozostaje mi jedynie zazdrościć, bo to chyba oznacza dla pana brak większych zmartwień.

– Staram się odsuwać od siebie wszelkie stresy. Wiem, brzmi to trochę jak stosowanie się do zaleceń lekarza, ale wydaje mi się, że życie jest tak krótkie i kruche, że święty spokój jest bezcenny.

– Może mi pan wierzyć, że doskonale wiem, o czym pan mówi.

Czuję się, jakbym znalazł bratnią duszę, choć to bardzo wątpliwe.

– I nawet cieszy mnie, że gości w hotelu jest mniej, że przyjeżdżają wybrani. Cena za dobę jest swego rodzaju weryfikacją. Raczej nie wpadnie tu zgraja nastolatków, by uczcił osiemnastkę kolegi lub koleżanki. Nie pojawiają się wielbiciele muzyki disco polo i nie będą żądać grania tego szamba w strefie relaksu i na basenie. Raduje mnie to ogromnie, bo dzięki temu nikt nie zakłóca mojego spokoju.

Strzepuje niewidoczny kurz z kłapy marynarki. Potem poprawia kołnierz koszuli i apaszkę. Przesuwa się gwałtownie na sofie, kiedy dostrzega zbliżającą się Zosię. Ta z kolei przechyla głowę w moją, potem w jego stronę i pyta:

– Może podać panom coś szczególnego?

– Dobrze, że się domyśliłaś – to pierwszy moment, w którym widzę Monetę w ruchu nieco zważszym – bo właśnie miałem cię poprosić o lampkę białego wina, jak najbardziej wytrawnego.

Ja, nie bacząc na porę dnia, zamawiam whisky z lodem. Może dziś będę sączył butelczynę do wieczora. Młodzi ludzie mówią na to „reset”.

– Czytałem kiedyś wywiad z panem, w którym przyznawał się pan do uzależnienia od alkoholu. To prawda?

Jego bezpośredniość jest zaskakująca. Zadał pytanie jak dociekliwy dziennikarz – krótko, zwięźle i na temat. Nie rozwlekał swojej pytającej wypowiedzi na dwie minuty. Po prostu wałnął znakiem zapytania prosto w pysk.

– Nie przyznałem się. Dziennikarz, który ze mną rozmawiał, pytał mnie o pewien okres w moim życiu. Nie zaprzeczyłem, kiedy wspomniał o alkoholu. Powiedziałem wtedy: „Co komu do tego?”. Wystarczyło.

– Dziś mniej liczą się fakty – stwierdza, potakując głową. – Nie wygląda pan na człowieka z problemem alkoholowym.

– Prawda jest taka, że stronię od alkoholu.

– U mnie ma pan nieograniczony dostęp do napojów wysokokowych. – Uśmiecha się, a kiedy podchodzi Zosia, mówi dalej: – Poinformuj wszystkie dziewczyny, że pan Mateusz ma otwarty bar podczas całego pobytu u nas.

– Niewiele z niego skorzystam – sprzedam spiesznie, by nie pozostawiać wątpliwości.

Wpada Ksawery. Widząc w nim jakieś dziwne emocje. Jest jednocześnie rozdygotany i zadowolony. Staje przy recepcji, zasłaniając niechętny Zosię, i zerknąwszy ponownie na mnie, ściąga na siebie wzrok Monety. Dostrzegam ten mały, delikatny gest i oceniam go jako dość beczelny. Ksawery jakby wzywał do siebie swojego szefa. Bez słowa, bez prośby, bez ukłonu... bez niczego. Tylko gestem pana do lokaja.

– Zaraz do pana wracam – cicho zwraca się do mnie Moneta.

Nie jest zadowolony, ale podchodzi do młodego człowieka i nachyla się, widząc, że ten chce mówić szeptem. Słuchając, odwraca się w moją stronę i przez dwie sekundy zawiesza na mnie wzrok. Czuję się jak mały chłopiec, który nabroił.

Moneta wraca do mnie, siada naprzeciwko i opiera łokcie na kolanach.

– Panie Mateuszu – zaczyna niepewnie – czy wczoraj wieczorem coś się wydarzyło?

Jestem zaskoczony pytaniem, ale staram się błyskawicznie przeszukać swoją pamięć. Procesor jednak okazuje się zbyt słaby, bo niczego nie znajduję.

– Chyba nie wiem, o co chodzi – odpowiadam.

– Wczoraj, wieczorem, przed hotelem – Moneta cedzi słowa – a właściwie za hotelem.

Pamiętam.

– Nic szczególnego. Wydawało mi się, że kogoś widzę.

Moneta zerkna na Ksawerego. Mówią coś do siebie oczami, wręcz krzyczą krótkimi zdaniem. Najchętniej rozmawialiby emotikonami, tymi głupimi znaczkami z internetu i mediów społecznościowych.

– Kogoś? – Moneta mruży oczy. – A może coś?

– Nie analizowałem tego, co widziałem, ale wydaje mi się, że to, jak pan mówi „coś”, poruszało się – poczułem się po raz drugi jak nierozumny chłopczyk – a nawet jestem przekonany, że to „coś” mi uciekło.

Moja odpowiedź wprawia Monetę w zakłopotanie. Ksawery nerwowo spogląda na obraz wiszący na ścianie, po czym uśmiecha się cynicznie. To uśmiech wyuczony jak gesty piosenkarki pop.

Mimowolnie również zerkam na ów obraz, ale mam wrażenie, że to po prostu obraz, nic nieznaczący w tej rozmowie przedmiot. Kilka koni w galopie. Żaden to jednak Kossak.

– Przepraszam – mówi Moneta. – To było niepotrzebne. Proszę o tym zapomnieć.

Próbuje się uśmiechnąć, ale skutek jest zły. Widzę lekkie podenerwowanie, choć nie rozumiem powodu.

Ksawery wyszedł. Prawie po angielsku, bez słowa i bezszelestnie. Moneta zaczyna kręcić się w miejscu i też chce zniknąć. Ma jednak więcej taktu niż jego podwładny.

– Nie będę już panu zwracał głowy – mówi i kieruje się w stronę korytarza. – Gdyby mnie pan potrzebował, dziewczyny z recepcji na pewno będą wiedziały, gdzie mnie szukać.

Przytaknął przy tym, jakby sam chciał potwierdzić swoje słowa. I odszedł.

Siedzę trochę zaskoczony sytuacją. Czuję się jak intruz albo łobuz, który coś zbroił. A może mi się tylko wydaje, że tak się czuję, bo przecież plwam na to, co się dzieje. Mam tu odpocząć, odsunąć się od ludzi, zwłaszcza tych, których zachowania nie rozumiem. A Monety i tego całego Ksawerego zwyczajnie nie rozumiałem.

Zerkam na Zosię. Patrzy w stronę korytarza, a kiedy odgłos kroków dochodzący stamtąd cichnie, kieruje wzrok w moją stronę. Uśmiecham się do niej, co być może zachęca ją do podejścia i zajęcia miejsca naprzeciwko mnie.

– Co to było? – pytam, wierząc, że wie, o czym mówię.

Zanim odpowie, zerkna jeszcze w stronę korytarza, w którym zniknął Moneta.

– Zdarza się czasem, że szepczą coś do siebie. Wygląda to dość dziwnie, bo szef nie przepada za menedżerem.

– Może nie chcą jawnie rozmawiać o interesach?

– Chyba nie o to chodzi. O interesach rozmawiają głośno w naszej obecności. – Przeczesała włosy palcami. – Chyba że chodzi o jakieś inne interesy.

Wpatruję się w nią, jak mówi. Jest mądra. I bystra. Albo naczytała się kryminalów i – jak dzisiejsze społeczeństwo – wszędzie dopatruje się spisku. Nie, chyba nie. To chyba anioł. Zewnętrzna powłoka pozwala na to, by ją tak określić. Być może wewnątrz siedzi diabeł, ale głęboko skrywany lub może jeszcze nawet nieodkryty.

– Nie pracuję tu zbyt długo, ale zauważyłam, że co kilka dni stają się nerwowi, znikają w dziupli dla ochrony i siedzą tam prawie godzinę...

– Dziupla dla ochrony? – przerywam.

– Jest tam. – Pokazuje palcem ledwo widoczne drzwi obok recepcji. – Siedzi tam najczęściej jeden ochroniarz i wgapia się w ekrany monitorów.

To dlatego Moneta zapytał, czy coś się wydarzyło. Monitoring im to pokazał. Tylko dlaczego nie zapytał wprost?

– To dopiero musi być nudna praca, takie wpatrywanie się w monitor – śmieje się Zosia.

– Wiele ludzi w domach robi to samo. Telewizor działa hipnotyzująco – odpowiadam z niesmakiem.

– Nie mówiąc o korporacjach, w których ciągle dzierga się coś w komputerach.

– Ja się z komputerem nie lubię. Koleżanki narzekają, że nie mają ze mną kontaktu, bo do telefonu też nie jestem przyklejona. A ja wolę płótno.

Znów uśmiecha się jak anioł. Czuję, że mógłbym na nią patrzeć godzinami. Nie jak na kobietę, a raczej jak na zjawisko, bo góruje we mnie ojcowski do niej stosunek.

– Chłopaka nie mam, bo raczej uważana jestem za dziwaczkę. – Śmieje się ze swoich słów. – Ale po co ja o tym panu mówię...

Ja też się uśmiecham i próbuję sobie wyobrazić, jak wielką jest dziwaczką. I widzę ją pracującą jednocześnie na trzech płótnach. Widzę, jak traci poczucie czasu i zapomina o głodzie (dlatego jest tak szczupła). Widzę telefon w innym pomieszczeniu, co chwila wysyłający sygnały, że ktoś domaga się z nią kontaktu. Widzę kolejne przychodzące wiadomości. I widzę ją zapatrzoną w swoje obrazy z niepewnością i niedosytem.

– Chyba nigdy nie mówił pan za dużo – zauważa słusznie.

Muszę oddalić to wyobrażenie i wrócić tu, gdzie jestem ciałem.

– To prawdopodobnie pokłósię tego ciągłego zawodowego gadania. – Już kiedyś się nad tym zastanawiałem i powtarzam ten wniosek przy każdej okazji. – No i dodatkowo mam zboczenie zawodowe polegające na nieustannym wypytywaniu.

– Drażni to ludzi, prawda?

– Czasem tak – odpowiadam zgodnie z prawdą.

Drażni to ludzi. Ale do szału doprowadza to, że na ich pytania odpowiadam bardzo okrężnie, tak by nie powiedzieć nic lub bardzo niewiele.

– Znam to, bo sama częściej pytam, niż odpowiadam. Bardzo rzadko zdarza mi się trafić na rozmówcę, przy którym trochę się zmieniam.

Przestała się uśmiechać. Dzisiejszy świat jej nie przyjmie. Jest zbyt mądra i zbyt świadoma siebie. Dzisiejszy świat najchętniej bierze bezmyślne trzpiotki. Zosia nie napisze do wszystkich na instagramie: „Dzień dobry, kochani, miłego dnia”, nie wstawi „fotki” twarzy zasłoniętej make-upem z podpisem „a jak wasz dzień?”.

– Przy panu tak mam... gadam i gadam.

– Gadaj. Nie przeszkadza mi to. Nie przeszkadzało też wtedy. Już jako dziewczynka ładnie mówiłaś i słuchałem cię z zainteresowaniem.

– Ale byłam dzieckiem – rumieni się – za to już z przeżyciami.

– Doświadczenia uczą nas życia. Czasem zmieniają – mówię, myśląc tym razem o sobie. Odejście Agnieszki trochę mnie zmieniło. Nigdy nie byłem otwarty, ale kiedy ona umarła, zrozumieć mnie było jeszcze trudniej. Z czasem pogłębiało się to systematycznie i teraz jestem zarośnięty żelazną pajęczyną, żyję w skorupie, przez którą trudno się przebić, łatwiej krzyczeć do mnie z zewnątrz. Jeśli zechcę usłyszeć – odpowiem.

– Mnie chyba wszystko uczy. Nawet jak rano wpadam do sklepu po bułki, to się czegoś uczę.

Śmieje się głośno, a ja wiem, że ona śmieje się z siebie.

– Pójdziemy na spacer jak dawniej? – pytam i z biciem serca czekam na odpowiedź.

– Pewnie! – Znów pokazuje w uśmiechu wszystkie zęby. – Ale teraz uciekam do pracy.

– Uciekaj.

Kiwał głową i podaje jej swoją wizytówkę z numerem telefonu.

Po lewej stronie recepcji głuchy trzask, po którym otwierają się drzwi. To ta dziupla ochrony z monitoringiem. Wychodzi Ksawery. Nie wiem, kiedy tam wszedł, nie zauważyłem.

– I zawsze z tym do mnie... – mówi stanowczo do kogoś, kto jest w środku, i zamyka drzwi.

Kiedy mnie dostrzega, zastyga na ułamek sekundy, ale zaraz potem rusza szybko w stronę korytarza. Mam wrażenie, że ucieka przed moim wzrokiem. Gdyby to był film, jego ostatnie kroki przed zniknięciem za ścianą byłyby ukazane w złowieszczym, zwolnionym tempie.

Właściwie nie wiedział, dlaczego bar nazywał się Pod Konikiem. Równie dobrze mógł się nazywać Pod Jelonkiem, Pod Delfinem albo Pod Kotem. To ostatnie byłoby przynajmniej logiczne, bo koty szwendały się po okolicy wręcz tłumnie. Natomiast konia nikt w pobliżu nie widział. Najbliższy królował u Jaśka, tego, co chciał się powiesić w lesie, a uszkodził sobie kręgosłup. Konie miał też Iwan, osiłek rodem z Jasła, ale on też daleko od karczmy.

Bo bar Pod Konikiem stał na odludziu. Niby przy drodze, ale takiej, którą samochody przejeżdżają tak często jak autobusy PKS. Jakies trzy razy dziennie. Chodzili do niego niemal wyłącznie miejscowi. Czasem trafili się jacyś spragnieni, schodzący ze szlaku, piechurzy. Zaglądali do środka i albo zamawiali herbatę z prądem, albo wycofywali się i szli dalej w stronę wsi. Wybierali „spożywcza” Jureczka Mychy.

Zanim wszedł do środka, jak zwykle rozejrzał się we wszystkie strony. Sam nie wiedział, po co, ale przyzwyczał się do ostrożności samotnika. Przy drewnianym stole pod oknem siedział Wojtek ze wzrokiem wlepionym w szeroko rozłożoną gazetę. Jak zawsze w tej brązowej kurtce sztruksowej, która swoim stanem krzyczała o eutanazję.

Za barem stała Marysia. Czy ona nigdy stąd nie wychodzi?

– Nigdy stąd nie wychodzisz? – zapytał, kiedy stanął już wystarczająco blisko.

W odpowiedzi wydała z siebie ciche warknięcie. Bawiła go ta jej złość, ale nigdy się z niej nie naśmiewał. Z nikogo się nie naśmiewał. Może dlatego, że w ogóle nie pamiętał, kiedy ostatni raz się śmiał czy nawet uśmiechał. Teraz też tylko na nią patrzył, a kiedy kiwnęła pytająco głową, przytaknął i machnął lekko dłonią. To był znak, że ma podać to, co zwykle. Bimber Marysi był najlepszy, jaki kiedykolwiek pił. Częstowała go za każdym razem, kiedy przychodził. A on nigdy nie odmawiał.

– Tyn bar to syćko, co w zyciu mom...

Pierwszy kieliszek wychylił szybko, zdecydowanie. Potem zabrał rzuconą przez Marysię na bufet kopertę. Czerwoną ze znaczkiem z wizerunkiem jakiegoś sportowca w kasku. Otworzył, przeliczył setki. Wszystko jest, jak być powinno.

– Pytał o ciebie – powiedziała Marysia, wycierając kufel wyjęty ze zlewu.

Zamknął kopertę i schował do kieszeni. Podniósł wzrok.

– Pytał, gdzie mieszkasz.

– I co mu powiedziałaś?

– Nic. – Wzruszyła ramionami. – I żeby sam cię zapytał.

Pokiwał głową z uznaniem dla jej lojalności.

– Tak trzymaj. Twoje zdrowie. – Podniósł kieliszek i szybkim ruchem wlał jego zawartość do gardła.

Zsunął się z krzeselka barowego, mocno stawiając kieliszek na blacie. Dźwięk rozbrzmiał w całym lokalu.

– Daniel. – Zatrzymała go, zanim zrobił pierwszy krok. – Ty uważaj z tym ścinaniem.

– Spokojna głowa, Marycha, nie dam się złapać. Nikt się nie zapuszcza tak głęboko w las, a śladów nie zostawiam.

– Ale uważaj.

Dobra z niej kobieta. Niezbyt już młoda, choć nikt tak naprawdę nie wiedział, czy jest przed sześćdziesiątką, czy już ją przekroczyła. W ogóle niewiele o niej wiedział. Ale szanował to i nie dopytywał się. Nie było mu to potrzebne. Gdyby chciała, sama by opowiedziała. Z pewnością mogła mieć do niego zaufanie. Raz tylko wyznała, że żałuje, że nie ma dzieci. Wyobrażała sobie, że córka mieszka gdzieś pod Elblągiem, trzech synów tuła się po Górnym Śląsku. I że nigdy do nich nie pojechała, bo nie wiedziała, czy może. I że oni wpadają do rodzinnej wsi na święta. Piją wtedy do upadłego, a Joanna opowiada wszystkim o morzu. Jakby kogoś to interesowało. A chłopcy o kopalniach, familokach i gwarze. Takie miała wyobrażenia.

– Daniel! – krzyknął Wojtek radośnie. – Jak dobrze cię widzieć!

Wstał i podeszedł, zatrzymując go w połowie drogi do drzwi.

– Przeczytałeś? – zapytał niemal szeptem, ale wbił w Daniela oczy tak agresywnie, że ten zrobił krok w tył.

– Siadaj ze mną! – powiedział zniecierpliwiony brakiem odpowiedzi.

Daniel spojrział na drzwi, przez które właśnie chciał wyjść, potem na Marysię i w końcu usiadł naprzeciwko Wojtka.

– Nie przeczytałem, czasu nie mam – odpowiedział dla świętego spokoju.

– Ty nie masz czasu? – Wojtek otworzył szeroko oczy. – To co ty robisz całymi dniami?

– Nie twój interes.

– Dobra, dobra, nie irytuj się.

Wojtek wykonał przy tym uspokajający gest dłonią. Być może jednak niepotrzebnie, bo Daniel nie sprawiał wrażenia zdenerwowanego ani nawet zniecierpliwionego.

– Co ci tak zależy, żebym to przeczytał?

– Lubię, jak ludzie czytają. Tu, we wsi, nikt tego nie robi. Podrzucałem tu książki prawie wszystkim, ale oddawali, nie przeczytawszy nawet jednego rozdziału.

Wojtek machnął ręką.

– To może powinienes stąd wyjechać? Do jakiegoś miasta?

– Ty mi się wydajesz czytający. Wydajesz mi się taki, od kiedy tu przyjechałeś. Jesteś inny niż ci tutaj.

Pokręcił przy tym głową, jakby chciał nią objąć całą wieś.

– To zarzut czy komplement?

– To zależy.

Wojtek znów wbił wzrok w Daniela. Ale tym razem najpierw spojrział w oczy, potem na usta i zaraznie policzki. Na udamek sekundy rzucił też okiem na jego dłonie. Jedna trzymała kolejny kieliszek bimbru, natomiast druga cicho wystukiwała jakiegoś marsza.

– Ty też chyba czytasz, co, Wojtek? Książki. A chciałbyś w myślach. Ale nie próbuj, możesz się przestraszyć.

Wojtek uśmiechnął się nerwowo i podrapał po skroni. Miał sygnet na palcu serdecznym prawej dłoni. Dość dziwne w tych okolicach.

– Daniel, Daniel, przecież ja ci życzliwy jestem. O nic nie pytam, choć chciałbym. Ale widzę, jaki jesteś. Lubię to u ciebie i cię szanuję. I książkę ci podrzuciłem, bo wyglądasz na takiego, co czyta... albo kiedyś czytał.

– Chyba każdy coś czytał – odparł Daniel, udając zniechęcenie.

– Ale jedni czytają ostatnią stronę dzienników, a inni ogłoszenia parafialne. A mnie chodzi o to, że ty książki czytasz. Masz to w oczach.

– Ty mnie, Wojtuś, nie bierz pod włos. Nie wiem, czego chcesz, ale mnie na takie słówka nie wężmiesz.

Wojtek podniósł palec wskazujący i przecząco pokiwał nim przed swoją twarzą.

– Ja niczego od ciebie nie chcę. Ja tylko gadać z tobą lubię.

Daniel oparł się o drewnianą ławę, omal nie krztusząc się przy próbie stłumienia śmiechu.

– Jak na takie lubienie, to nie za często ze mną gadasz – powiedział. – I nie za często masz okazję, by to gadanie lubić.

– No proszę. I nawet do tego wygadany jesteś – skwitował Wojtek.

Zamiłki. Daniel spojrział przez okno. Jakiś pies łąził wzdłuż drewnianych belek stanowiących ogrodzenie. Szedł i obwąchiwał. Dwa razy zatrzymał się i podniósł tylną łapę. A potem położył się przed bramą wjazdową.

Miał kiedyś psa. To znaczy Martyna miała. Taki kudłaty kundel wzięty ze schroniska. Ona nie mogła po prostu kupić. Musiała wziąć takiego, co swoje przeżył, takiego, co go nikt nie chciał, takiego porzuczonego. To była cała Martyna – pomóc i nie czekać na wdzięczność. Pomóc i nie prosić o nic dla siebie. Ciekawe, czy dobrze byłoby jej tutaj. Z nim.

A pies zdechł.

Wojtek coś gadał, ale Daniel patrzył na czworonoga za oknem i myślał o spacerach z Bonifacym.

Bonifacy – nigdy nie mógł zrozumieć, jak mogła nadać mu takie imię. Ale do nazywania zwierząt czy rzeczy Martyna nie miała talentu. Kota nazwała Cipcius, chomika – Kretynek, a na swój samochód mówiła Matołek, bo według niej wyraz jego maski nie dawał oznak myślenia.

– Trzymaj się, Wojtek!

Daniel wstał. Nawet nie zauważył, że przerwał Wojtkowi w połowie zdania. Nie patrząc na niego, skierował się w stronę drzwi.



– Daniel! Słyszysz mnie?! – Wojtek próbował jeszcze go zatrzymać. – Nie słuchasz mnie! Mówię ci o ważnych rzeczach!

– O co chodzi? – zapytał zniechęcony, zatrzymując się przed wyjściem.

– Daniel... ja niby wiem, gdzie ty mieszkasz w tym lesie, ale nie wiem, co tam robisz całymi dniami – Wojtek mówił teraz ciszej. – Ale ktoś się kręci po naszych terenach. Ktoś, kogo nikt nie widział.

Daniel zerknął w kierunku bufetu, sprawdzając, czy słyszy ich Marysia. Potem mimowolnie rozejrzał się wokół, jakby kogoś szukał. Było pusto, ale i tak najbardziej odpowiedział mu głos ściszony do minimum.

– Skąd wiesz? – zapytał. – Skoro nikt go nie widział, to skąd ty to wiesz?

– Opowiadał ten, co przyniósł dla ciebie kopertę. I pytał, czy nie wiemy, kto to.

Mówiąc to, pokiwał znacząco głową, jakby chciał dodać swoim słowom powagi. Daniel z kolei przybliżył się jeszcze bardziej do jego twarzy.

– Skąd wiesz o koperce?! – syknął.

– Dużo widzę – odpowiedział Wojtek, mrużąc oczy.

– Czasem zamykaj oczy, będzie ci łatwiej w życiu.

Jeszcze chwilę patrzył mu głęboko w oczy, po czym odwrócił się i otworzył szeroko drzwi.

Po jego wyjściu Wojtek ponownie zajął miejsce przy stole. Ukrył twarz w dłoniach i westchnął jakieś trzy razy. Spojrzył przez okno. Widział, jak Daniel podchodzi powoli do leżącego przy bramie psa, kuca przy nim i kładzie rękę na jego grzbiecie.

– Chyba żeś go wnerwił, Wojtek! – zawołała zza bufetu Marysia.

– Chyba – odpowiedział, wyjmując z kieszeni telefon komórkowy.

– Ty lepiej na niego uważaj, bo ja widzę w jego oczach, że jest dziki i nieprzewidywalny – powiedziała to, tak pięknie akcentując, że Wojtek podniósł wzrok nad telefon i przez chwilę się w nią wpatrywał. Potem jedynie skinął głową i wrócił do telefonu. Otworzył wiadomości i odszukał esemesa sprzed kilku dni:

„Dowiedz się o nim jak najwięcej”.

Nacisnął „odpowiedz” i wpisał:

„Będzie trudno”.

Wyślij. Kiedy tylko pojawił się raport o dostarczeniu wiadomości, wsunął z powrotem telefon do wewnętrznej kieszeni kurtki.

– Marycha, czyj to pies? – głos Daniela zaskoczył zarówno Wojtkę, jak i samą Marysię. Oboje nie zauważyli, kiedy drwał ponownie wszedł do karczmy.

– Nie wiem – odpowiedziała Marysia. – Łazi tu od trzech dni. Józek mówił, że ktoś go zostawił w lesie.

– Aha – mruknął Daniel. – To ja go wezmę, jak za mną pójdzie. Dasz mi znać, jak ktoś go będzie szukał.

Nie czekał na odpowiedź. Trzasnął dużymi, masywnymi, drewnianymi drzwiami. Podszedł do brudnego pseudoowczarka i znów kucnął.

– Pójdziesz ze mną? – powiedział do niego zupełnie innym głosem, niż mówił do ludzi. – Chodź, będzie ci dobrze u mnie.

Pies przekreślił się na grzbiet i rozłożył łapy. Pysk miał uśmiechnięty. Ludzie tego nie widzą, ale psy się uśmiechają. Zapewne dużo bardziej szczerze niż ludzie.

Bonifacy też tak się szczyrzył. Choć tylko w obecności Martyny. Tylko ona potrafiła doprowadzić go do tego stanu. Nie strofowała go, nie podnosiła na niego głosu, czesała go i drapała za uchem. Daniel tego nie robił. Odnosił się do niego obojętnie. Wszystko się zmieniło, kiedy odszedł. Nagle zaczęło go brakować, nagle przeszkadzał brak konieczności odbywania porannych spacerów czy nawet zawadzała podłoga w pokoju bez jego klaków. Nagle Danielowi zabrakło wskakiwania Bonifacego do ich łóżka z samego rana.

– To idziesz czy nie? – zapytał psa jeszcze raz.

Wstał i zrobił trzy kroki, patrząc mu prosto w oczy. Zwierzę zerwało się i stanęło na czterech łapach. Przyglądało się i czekało na rozwój sytuacji.

Daniel odwrócił wzrok, by zagrać cwaniaka, na którym ten pies nie robi żadnego wrażenia. I wtedy z prawej strony bramy zamajaczył mu stalowoszary jeep cherokee. Ten z tych mniejszych, ale za to – na pierwszy rzut oka – nowy model. W tym samym momencie, w którym Daniel spojrzył na przednią szybę samochodu, pojazd zaczął się powoli cofać. Po dziesięciu metrach zatrzymał się, zawrócił i odjechał.

Niby nic, niby sytuacja jak każda inna. Ale przez chwilę poczuł coś takiego, jakby krępowanie grubymi linami.

– Góraaaaalu, czy ci nie zaaaaaaaal – śpiewał po cichu, trzymając go za pysk i lekko potrząsając. Siedział na ściętym pniu leżącym wzdłuż kamienistej drogi. Góral przed nim, na tylnych łapach.

Góral. Tak go nazwał, kiedy już przełamali lody. Przez pierwszych dziesięć minut szedł za Danielem ostrożnie, w odległości około dwudziestu metrów. Dopiero później zaczął skracać dystans i kroczyć pewniej. Nabral zaufania do tego dziwnego człowieka zachowującego się wobec niego inaczej niż większość ludzi. Dotąd ciągle musiał uciekać, by unikać kamieni, patyków, ludzkich rąk. Ciągle, to znaczy od momentu, w którym dotarło do niego, że nie odnajdzie drogi do domu.

– Idziesz? – zapytał Daniel jeszcze w bramie wjazdowej, tuż po tym, jak odjechał ten jeep.

Pies odwrócił głowę w stronę karczmy i chwilę tak stał. Ładnie stał, wyprostowany, dostojny. Typ owczarka. Daniel pamiętał owczarka belgijskiego sąsiadów. Ten był bardzo podobny, choć miał dziwnie długie łapy.

Wobec braku zainteresowania z jego strony Daniel ruszył w swoją stronę. Chwilę później zorientował się, że pies idzie za nim.

– Ze mną nie będziesz miał kokosów – zaczął do niego mówić, nie odwracając głowy. Martyna zawsze powtarzała, że do zwierzęcia trzeba mówić – ale źle też nie będziesz miał. Micha się znajdzie, ciepły kąt też.

Teraz odwrócił się w jego stronę. Pies się zatrzymał.

– Ale nikt też nie zrobi ci krzywdy – mówił dalej i dodał ciszej. – Ja na pewno nie.

Bonifacja też nigdy nie uderzył. Nigdy nawet o tym nie pomyślał. Choć bywały momenty, że miał dosyć jego szaleństw.

– Nie wiem, jak masz na imię – ciągnął. – Coś wymyślę.

Spojrzał na niego jeszcze raz i dostrzegł w jego kroku swobodę, lekkość. A przecież szli pod górę. Sprawiał wrażenie przyzwyczajonego do wzniesień i wysiłku.

– A ty w ogóle jesteś pies czy suka? – Pochylił się, by się przekonać na własne oczy. – Chyba jednak chłopak jesteś.

Uśmiechnął się. Po raz pierwszy od dawna. A na pewno jak rzadko w ciągu ostatnich miesięcy. Ile to już? Niedługo minie rok od tamtego dnia. Ucieszył się, że jego uśmiech nie umarł. Ucieszył się też, że będzie miał psa.

– Góral będziesz. Tak na ciebie będę wołał.

Dotarli do końca podjazdu. Zaraz mieli wejść do lasu. Daniel usiadł na pniu i przywołał Górala po imieniu. Ten jednak usiadł nieco dalej, ciągle udając niedostępnego.

– Przyjdiesz, przyjdiesz.

W odpowiedzi Góral tylko przełożył przednie łapy. Ale kiedy Daniel spojrzał w głąb lasu, wstał i podszedł bliżej. I jeszcze bliżej. I jeszcze. Aż w końcu stanął naprzeciw niego. Przyglądał się człowiekowi, przekrzywiając głowę w prawą stronę.

Chwilę później dłonie Daniela trzymały już pysk Górala i na przemian głaskały po głowie.

– Mówiłem, wiedziałem, że przyjdiesz – powiedział z satysfakcją, wstając. – Chodź, w domu mam coś do jedzenia, a jutro kupię coś specjalnie dla ciebie. Dzisiaj będziesz jadł to, co ja.

Ruszyli. Teraz już Góral bez wahania kroczył przy nodze Daniela, ale często zbaczał z drogi, by obwąchać kolejne drzewo czy zwalone pnie. A drwalowi było różnie, choć nie narzekał na samotność. Było mu z nią dobrze. Stronił od ludzi, od rozrywek, od wszelkich przyjemności, które musiałby dzielić z kimś innym. Nauczył się tego i osiągnął w tym swoim dziwnym życiu mistrzostwo. Radził sobie perfekcyjnie.

I choć bywały chwile, kiedy myślał o powrocie do normalnego życia, to jednak zdawał sobie sprawę, że to raczej odległa perspektywa, o ile w ogóle możliwa. I zapewne w zupełnie innym miejscu. Może nawet nie w tym kraju.

Martyna polubiłaby Górala. Wiedział o tym. Nie dlatego, że to jakiś superpies. Ona po prostu lubiła wszystkie zwierzęta. Często w sposób infantylny i bezkrytyczny. Ciągle powtarzała, że zwierzęta mają

lepsze charaktery niż ludzie. I poza tymi wszystkimi banałami, że kochają i są wierne, mówiła jeszcze, że są jak dzieci – do bólu szczere.

A dziecko odkładali na później. Może to był błąd? Może gdyby mieli dziecko, nie doszłoby do tego? Żyłaby... Nie wyszłaby wtedy z domu, bo zostałaby z dzieckiem. Daniel by wyszedł. Wtedy tak.

Lubiłaby Górala.

Szli przed siebie. W górę, po kamienistej drodze, na której samochody zdążyły już wydrążyć płytkie koleiny. Tym bardziej że nie jeździły tędy micry czy astry. Jeździły tędy samochody terenowe, bo nikt nie chciał ryzykować utraty części podwozia.

Jeździły samochody takie jak ten jeep. Identyczny jak ten, który stał przed karczmą, a teraz pojawił się u szczytu drogi. Jechał wolno, aż w końcu zatrzymał się w momencie, w którym kierowca na pewno zauważył człowieka i psa. Stał tam, gdzie Daniel i Góral mieli wejść w las. I choć to z pewnością przypadek, Daniel przystanął na środku drogi i przywołał psa. Ten wprawdzie jeszcze nie musiał reagować na imię, ale podszedł do nowego pana i usiadł.

Samochód nie ruszył. Jego stalowoszara karoseria odbijała słońce. Blask uderzał w oczy Daniela. Mrużył je więc, by móc zobaczyć coś więcej niż tylko sylwetkę SUV-a. Nie mógł nie zauważyć, że w aucie zgasły światła mijania. Jakby ktoś wyłączył silnik, jakby zrobił sobie dłuższy postój.

Otworzyły się drzwi. Bardzo powoli, ale Daniel ocenił sytuację jako podejrzaną, więc szybko rzucił okiem na pobocza, by wiedzieć, na co może liczyć w razie potrzeby. A kiedy zobaczył wysuwające się z samochodu nogi, podniósł gruby patyk przypominający raczej kij bejsbolowy niż gałąź sosny.

Góral cofnął się kilka kroków. Zapewne w tym psim mózgu zakiełkowała myśl, że to właśnie on zostanie tym kijem potraktowany. W tym samym momencie nogi wsunęły się z powrotem do środka samochodu. Po chwili zapaliły się światła, jeep tak jak pod karczmą zawrócił i odjechał.

Daniel patrzył jeszcze przez chwilę w tamtą stronę, po czym wyrzucił kij i gwizdząc na Górala, ruszył do przodu.

Zawsze był hardy i z pewnością stanąłby w szranki, byłoby mu wszystko jedno. Wtedy nie zrobił nic. Wmawiał sobie bardzo długo, że zlekceważył problem. Ale doskonale wiedział, że to zlekceważenie wynikało z tchórzostwa. Wolał nie dostrzegać zagrożenia. Nigdy nie przestanie tego żałować.

Spojrzał na psa. Szedł za nim chyba zadowolony. Może to jego pierwszy psi uśmiech od dawna w tym jego pieskim życiu. Daniel poczuł coś dziwnego. Coś, czego nie czuł od dawna. Przyjemność ze sprawienia przyjemności innej istocie.

– Tu będziesz spał – powiedział do Górala, kiedy stanęli na ganku domu. – No dobra, przygotowuję ci tu jakieś legowisko.

Góral usiadł na tylnych łapach i przyglądał się uważnie Danielowi. Ten, nie do końca przekonany, czy pies go rozumiał, usiadł na dawno już oheblowanych deskach swojego pseudotarasu i klepnął o nie kilka razy dłonią. O dziwo, Góral podszedł i położył się, unosząc lekko głowę.

To był jeep z parkingu hotelowego. Już pod karczmą miał wrażenie, że go gdzieś wcześniej widział. To ten sam. Przypomniały mu się nawet trzy ostatnie cyfry z tablicy rejestracyjnej – 112. Ten numer to najgorsze chwile jego życia.

Mam wrażenie, że rozmawiam z córką. Taką, której nigdy, zapewne z własnej winy, nie miałem. Natalia i Hania od lat ze mną tak nie rozmawiają. Zaraz, zaraz. To ja z nimi od dawna tak nie rozmawiam. Od lat tak ze sobą nie rozmawiamy. Tak jak ja dziś z Zosią.

Siedzimy na polanie po drugiej stronie drogi, nieopodal której stoi hotel. Stąd widać jego dach. I tylko dach, bo odeszliśmy dość daleko.

– I pomyślałam, że nie chcę tu być – opowiada, patrząc na wierzchołki gór. – Kocham to miejsce, ale nie chcę tu spędzić reszty życia. Nie chcę wyjść za tutejszego, rodzic mu dzieci i ubierać się w strój regionalny. Po prostu nie chcę.

– Rozumiem. – Bo naprawdę ją rozumiem.

– Ciągłe przez wielu tubylców jestem określana jako niewdzięcznica i trochę dziwaczka. – Uśmiecha się. – Nawet nie trochę.

– Sama budujesz swój los. I nie idziesz utartymi szlakami. To się prostym ludziom nie mieści w głowach.

– Oni nie wszyscy są tacy prości, jak nam się wydaje. Niektórzy tylko takich udają, bo chcą się wkomponować. Bo ta społeczność coś im daje...

– Skąd ja to znam... – mówię pod nosem.

– ...A ja tego nie chciałam. Chcę być sobą.

Milknie. Patrzy w dal, ale zaraz potem zerka na mnie. Lubię jej oczy. Lubię mądre oczy. A ona takie ma. I jest mądra. Nad wyraz.

– Jak na swój wiek masz w sobie dużo życiowej mądrości – stwierdzam, bo czuję, że mam do tego prawo po tych kilkudziesięciu minutach na tej polanie. A wcześniej jeszcze po kilkunastu minutach spaceru, zanim znaleźliśmy tę drewnianą ławę.

Dzwoni telefon. Nawet nie sprawdzam, kto to. Nie chcę. To zresztą nie może być nikt ważny. Z wąskiego grona osób ważnych w moim życiu nie spodziewam się telefonu od żadnej z nich.

Po chwili dzwoni telefon Zosi. Zerka na wyświetlacz i nie odbiera.

– Później oddzwonię – mówi.

Setki razy w ostatnich latach obiecywałem sobie, że oddzwonię, i nie robiłem tego. Nigdy dlatego, że zapomniałem. Nie oddzwaniałem z rozmysłem, z zimną krwią, nawet wiedząc, że dla kogoś było to ważne. Czasem może nawet właśnie dlatego.

– Do kiedy będziesz pracować w hotelu? – pytam, choć wiem, że wyjadę wcześniej.

– Pewnie do końca lipca – ożywia się. – Potem chciałabym gdzieś wyjechać.

– Dokąd?

– Na pewno nie za granicę. Mecenas nie płaci aż tak dobrze. – Puszcza oczko. – Może pojedę do Łeby. Moi znajomi mają tam być.

– Grupa przyjaciół studentów w nadmorskim polskim kurorcie. Nie brzmi to zachęcająco.

– Dlaczego?

– Odzywa się mój pesel. Stary jestem i reaguję sceptycznie.

– Nie, nie. To bardzo fajna grupa. Nie imprezujemy, jeśli to ma pan na myśli. – Śmieje się.

Nie wiem dlaczego, ale kiedy widzę grupę młodych ludzi, przypominają mi się opisy niskobudżetowych horrorów. „Grupa przyjaciół wyjeżdża na wspólne wakacje. Następuje seria dziwnych zdarzeń. Giną kolejne członkowie grupy”. Jakoś tak.

Uśmiecham się, ale ona tego nie widzi, bo spogląda na zegarek.

– Spieszysz się? – pytam.

– Tutaj jest tylko jeden powód do pośpiechu.

Patrzę z zaciekawieniem.

– Powiem panu w sekrecie – mówiąc to, śmieje się. – Nikt nie wie, że w domu mam taki mały pokój, w którym sobie siedzę i maluję. I do niego czasem mi się spieszy.

– Rozumiem to. Też czasem spieszę się do pokoju, w którym czytam i słucham ciszy.

– Ma pan w swoim życiu miejsce na taki pokój?

– Pokój... tak nazywam każde miejsce, w którym znajduję ciszę. Nie jest to więc konkretne pomieszczenie.

– I ma pan na to czas?

– Coraz więcej.

– Jak to możliwe?

Opowiedzieć jej wszystko czy skupić się na najistotniejszym? Zacząć od Agnieszki? Przejsć przez Natalię, Hanię, całą traumę, samotność i przyzwyczajenie do niej? Mówić o zniechęceniu do świata i ludzi? Powiedzieć o ludzkiej obłudzie i cwaniactwie? Mówić o nieudanych próbach ratowania siebie jako jednostki towarzyskiej? Przyznać się do odruchów wymiotnych niemal każdego zawodowego dnia ostatnich miesięcy? Powiedzieć jej to?

– Przychodzi taki moment, że człowiek coraz częściej potrzebuje odpoczynku i ciszy, bo świat zwaśnił. – Uśmiecham się przy tym, ale tylko zewnątrz. W środku chciałbym zobojętnieć na świat.

– Aaaaa... teraz rozumiem. Odciąć się, odpocząć. A wie pan, że ja też tak czasem mam? Muszę odpoczywać od hałaśliwych rówieśników. Mam chyba pecha, bo często trafiam na kochliwych chłopców i gadatliwe dziewczyny. To mężczy.

Uśmiecham się do tej różnicy pokoleń. Uśmiecham się, bo widzę drobne podobieństwo w tej wieloletniej przepaści. I choć łączy nas chęć izolacji, to różni jej powód.

– Nawet moi odjechani znajomi studenci uważają mnie za dziwaczkę. Nie piję, nie palę, najbardziej kręci mnie malowanie w samotności, na weekendy najchętniej uciekałabym na odludzie i malowała.

Uśmiecham się pod nosem. Tym razem to zauważa i robi to samo. Cieszę się, że jest inna, że wtedy nie pomyliłem się co do niej. Była dzieckiem, dziewczynką z zabitej dechami góralskiej wioski. A ja w niej coś dostrzegłem. Wtedy nie wiedziałem co. Wiedziałem za to, że nie jest zwyczajna, że nie skończy na polanie czy na pastwisku. I że będzie inna.

– Jestem inna – mówi, jakby czytała mi w myślach. – Męczą mnie tłumy w centrach handlowych, sprawy sercowe moich rówieśników i obłuda mediów społecznościowych.

– Przecież nie da się bez nich żyć! – ironizuję.

– To prawda. Moje koleżanki piszczą z zachwytu nad każdym „lajkiem”.

– Nie wiedzą, że najczęściej wystarczy być dziewczyną, by cieszyć się popularnością na instagramie? Do tego dorzucić coś o zdrowym żywieniu i odrobinę o fitnessie. Sukces gwarantowany.

– Nie wiedzą. A przynajmniej nie dopuszczają do siebie myśli, że tak może być.

– Kolega wytłumaczył mi kiedyś niewielką popularność moich wpisów. „Wiesz, dlaczego tak się dzieje? Bo nie jesteś dupą!”.

Zosia parska śmiechem.

– A wydawał mi się pan taki poprawny.

– Wprost przeciwnie. Klnę jak szewc i jestem wrednym, cynicznym typem – odpowiadam z nieukrywaną satysfakcją.

– Nigdy tego nie odczułam.

– Należysz do nielicznych wybranych.

– No i po tym zdaniu zaczynam wierzyć w to, co powiedział pan wcześniej.

Śmiejemy się. Nie pamiętam, kiedy ostatnio śmiałem się głośno, szczerze, tak by pokazać wszystkie zęby aż do ósemki. Wręcz czuję jakieś niewytłumaczalne wyrzuty sumienia. Przez sekundę więc karzę się za to, ale zaraz wracam do tej śmiesznej komedii, z której mamy bekę.

– Cieszę się, że będziesz w hotelu do końca mojego pobytu – przyznaję po chwili.

– O ile mecenas mnie nie wyrzuci.

Puszczą mi oczko, odgarniając palcami włosy za ucho.

– Mecenas chyba niezbyt skory do podejmowania takich decyzji. Łatwiej przyszyłoby to z pewnością Ksaweremu.

– Ksawery mnie nie lubi.

– Czyli mam rację.

– On w ogóle nie lubi kobiet. A to on, niestety, pociąga tu za sznurki. – Krzywi się.

– Jest menedżerem... – próbuję pójść w kierunku logiki.

– Nie znam się na tym, ale chyba nie jest zwykłym menedżerem. Ma za dużo do powiedzenia jak na zwykłego menedżera.

– Nie zrobił na mnie dobrego wrażenia. Wydaje się dwulicowy. Omijam takich szerokim łukiem albo z nich drwię.

– Ja się go trochę boję, więc drwiny to ostatnia rzecz, na jaką mam przy nim ochotę.

– Boisz się?

– Tak, bo nie wiem, co w nim siedzi. A lubię takie rzeczy wiedzieć. Gdyby mi przyszło namalować jego portret, miałby rogi z piekła rodem. Przypomina mi Lucyfera. A myślę sobie, że Lucyfer poza wszelkimi swoimi diabelskimi umiejętnościami jest cholernie inteligentny.

– Inteligencji Ksaweremu nie odbieram. Ale faktem jest, że inteligencja w rękach złego człowieka to niebezpieczna broń.

– Może on nie jest taki zły, tylko na takiego pozuje.

– Tak często bywa. To forma samoobrony. – Ktoś mi to kiedyś tłumaczył, więc się mądrzę.

Nie chcę jej opowiadać o moim świecie. Nie widzę też takiej potrzeby. Jest jedną z nielicznych znanych mi młodych osób, które nie chcą być dziennikarzami. Każde kolejne pokolenie, a raczej każdy kolejny rocznik maturzystów myśli, że to jakaś misja zbawiania świata. Uznaje, że to zawód fascynujący, intrygujący, pełen ideałów. Myślę i mówię wtedy: powodzenia. I odchodzę. Bo nie chcę nikomu psuć zabawy; chcę, by każdy przekonał się sam, bo tak jest najlepiej. Jest bardziej wyraziście i dłużej trzyma. Wiem, co mówię.

I wiem, że zaraz zapyta o sprawy zawodowe. Już wtedy jako mała dziewczynka zadawała dużo pytań, nie bacząc na to, czy mi się to spodoba. Była ciekawska i już. Ale dzięki temu teraz wie więcej od rówieśników, inaczej patrzy na świat, jest dojrzała. Widać to w jej oczach. Ja w jej wieku byłem inny. Byłem taki jak jej koledzy. Pełen ideałów, pracy do przodu, uśmiechnięty, bo twierdziłem, że uśmiechem zdobywa się świat. Dziś z takich ludzi po cichu drwię. Głośno mi nie wypada. Przykleiłem sobie więc ten uśmiech na jakiś czas – dopóki nie zrozumiałem. Wtedy zaczął się powoli odklejać, kawałek po kawałku, w procesie nieodwracalnym. Innym został, bo go ciągle doklejali na nowo.

– W tym hotelu coś się dzieje – mówi, kiedy schodzimy z polany. Milczę, spodziewając się, że pociągnie temat. Czekam wręcz na jakąś historyjkę. Nie chcę zachować się jak śledczy dziennikarz zadający szybkie i wnerwiający pytania. Czekam.

Zerka na mnie, ale nic nie mówi. Ja też zerkam na nią. Widzę, jak przygryza dolną wargę. Kiedy robi to Dorota, wiem, jak to interpretować. Wiedziałem też, co myśleć, kiedy robiła to Agnieszka. Zosia jest mimo wszystko znakiem zapytania.

– Chyba wspomniałaś już o tym – przerywam ciszę.

– Nie powiedziałam panu wtedy więcej, bo to nie był dobry moment – mówi ciszej niż do tej pory, niższym głosem. – Oni są najdziwniejsi, kiedy w hotelu pojawiają się... – znowu milknie i robi minę, jakby sama siebie o coś pytała. Kiwa przy tym głową w jedną i drugą stronę. – Nie wiem, jak to określić.

Patrzę na nią z zaciekawieniem. Teraz przypomina mi Natalię, kiedy opowiadała o kolegach z liceum palących trawę po kątach w szkole.

– Jestem tu od prawie miesiąca. Trzy razy w tym czasie pojawiły się ośmioosobowe grupy mężczyzn w garniturach. Miałam wtedy wrażenie, że mecnas i Ksawery poruszają się po korytarzach szybciej i częściej. Nie mówiąc o tym, że częściej znikają w pokoju ochrony.

Nie wiem czy docenić spostrzegawczość, czy może spacyfikować spiskową teorię dziejów. A może jedno i drugie? Nie jesteśmy w filmie Tarantino, by w przyjeździe kilku facetów dopatrywać się samego zła.

– Może robią to, chcąc zadbać o bezpieczeństwo hotelu i gości?

Zosia wydaje się rozczarowana moim tokiem rozumowania.

– Może... – mówi bez przekonania – ...ale musiałyby pan zobaczyć, jak to wygląda. Widuję mecnasa i Ksaweręgo codziennie i wiem, jak się zwykle zachowują. To coś innego.

Udało jej się. Poczuję niepokój. Zawsze pojawia się u mnie, kiedy uświadamiam sobie, że dzieje się coś, o czym niewiele wiem. Mimo że w ostatnim czasie to uczucie było uśpione, to teraz poczułem i zobaczyłem oczami wyobraźni, jak zapalają się małe iskry w moim mózgu, jakby ktoś napierdalał mi w głowie zimnymi ogniami.

– Często przyjeżdżają? – pytam.

– W pierwszym moim tygodniu byli raz, w drugim dwa. Potem nie było nikogo tydzień. Pan przyjechał dwa dni po ich wyjeździe.

– Kim są?

– Nie wiem. Za każdym razem był to ktoś inny.

Ostatnie zdanie wypowiada z energią, z przejęciem, ale cedząc słowa. No i patrząc na mnie tymi swoimi oczami.

– To pewnie przypadek, nie myśl o tym – próbuję ją tonować.

Przypiesza. Wręcz zbiega kilkanaście metrów, nie zważając na mnie. Nagle zatrzymuje się i odwraca. Rozkłada ręce.

– Ale oni się w hotelu nie meldują! – Ostatnie słowo wypowiada wyraźnie, choć ciszej. – Nawet nie wiem, w których pokojach się zatrzymują!

Szach i mat. Złapała mnie. Będę teraz o tym myślał, znam siebie. Będę sam sobie wiercił dziurę w brzuchu. Będę patrzył w lustro, próbując zmusić odbijającego się w nim faceta do myślenia. A potem zadam mu pytanie: Po co ci to?

I tak dzieje się po powrocie do pokoju. Niewiele mi zwykle trzeba, by tworzyć w głowie historie i scenariusze. Tym razem jednak częściej przerywam sobie przypomnieniem jak z budzika: ODPOCZYNEK. Mam iść na obiad, potem na basen, może mała siłownia, by się pocić i zrobić z siebie korpuladka na wakacjach. Albo prezesa firmy odzieżowej. Zresztą nie musi być odzieżowa, może być spożywcza. Tak, mogę być prezesem firmy rozwijającej jogurty do wiejskich sklepów.

Mówię to na głos. I od razu myślę: Człowieku, co ty pierdolisz?

Wraca myśl o „ośmioosobowej grupie mężczyzn”. Właściwie co z tego? I co mnie to obchodzi?

Znów przemierzam korytarz hotelowy. W szlafroku. Uparcie twierdzę, że będę się relaksował, pływając w tym małym i płytkim basenie. Cztery wymachy ramion i nawrót, cztery wymachy – nawrót. Tak będzie.

Oni tam są. Ci z recepcji. Blondyna i kark. Okupują leżaki na końcu pomieszczenia. Ona smaruje się olejkami. Nie wiem, po co, bo to basen wewnętrzny. On przez mięśnie nie może położyć rąk wzdłuż tułowia, więc zaczyna je o krawędź leżaka. Kiedy do niej mówi, pulsuje mu tors. Robi to celowo. Wiem, bo umiałem tak robić, kiedy byłem młodszy.

Siadam po przeciwnej stronie basenu z mocnym postanowieniem, że nie będę patrzył w ich stronę. Od razu wskakuję do wody, żeby też zniknąć im z oczu. Płynę pod powierzchnią, chowam się. Lubię ten głuchy dźwięk.

Cztery wymachy – nawrót, cztery wymachy – nawrót... cztery wymachy...

Weszli do wody. Zatrzymuję się i opieram o brzeg niecki. On zanurza się cały, ona próbuje płynąć żabką dyrektorską, z głową nad powierzchnią i z wymalowanym na twarzy strachem, że woda zamorduje jej makijaż.

Ośmiu facetów... nie meldują się... bywają regularnie...

Blondyna wychodzi z wody. On patrzy, jak ona idzie. To wyuczony krok pseudomodelki. Idzie tak, bo chce mu się podobać. Chyba oboje spędzają dużo czasu na siłowni.

Idzie za nią. Klepie ją w tyłek. Ona się odwraca i całuje go w policzki. On łapie ją za pośladki i zaciśka palce. Nie krępuje ich moja obecność.

Zamykam oczy. Kiedy otwieram je po chwili, ich już nie ma. Ręczniki zostały na leżakach, ale ich już nie ma.

Cztery wymachy, nawrót, cztery wymachy, nawrót...

Ośmiu facetów... nie meldują się... bywają regularnie...

Do pokoju wracam błogo zmęczony. Tych wymachów było na tyle dużo, że czuję je w barkach. Mam wrażenie, że ciąży mi nawet szlafrok. Ale pod nim mam tylko bokserki i pięćdziesięcioletnie ciało. Pozostanie zakryte na hotelowym korytarzu.

Muszę przejść przez hall przy recepcji. Zosia puszcza mi oczko, kiedy przez chwilę para, z którą rozmawia, zajęta jest obściskiwaniem się.

Znowu para. Czy tylko ja przyjechałem tu sam? Może to znak z góry, że powinienem być tu z Dorotą? Łazić z nią na basen i siłownię... pokonywać razem kolejne kilometry na bieżni, wychodzić i wracać razem do pokoju. Ciągłe się dziwić, skąd to pożądanie, ta chęć smakowania jej skóry i bycia między jej udami. I patrzeć, jak bardzo nie pasujemy do siebie. I wspominać, jak bardzo pasowaliśmy do siebie z Agnieszką mimo wad, które zniszczyłyby każdy związek. Zwłaszcza moich.

Oczko puszczone w moją stronę zostało dostrzeżone przez panią w małej czarnej, bo niemal w tym samym momencie odwraca się w moją stronę i obrzuca mnie zagadkowym spojrzeniem. Trwa to sekundę, bo zaraz potem śmieje się do mężczyzny, którego trzyma za rękę. Wydaje się młodszy od niej. Nie przekroczył jeszcze czterdziestki. Ją oceniam na jakieś czterdzieści cztery wiosny. Jest zgrabna, bardzo proporcjonalna w tej sukience, choć do szczupłych nie należy. Jest piękna, przypomina mi Ewę Kasprzyk z czasów *Kogla-mogla*.

Sekunda. Tyle wystarczyło, by mnie przesyć wzrokiem. Po tej krótkiej chwili musiałem się podrapać po bliźnie i zaroście. Z zakłopotania.

Znam skądś tę twarz.

– Pani Alicja – mówi do mnie Zosia, kiedy mijam recepcję w drodze na kolację.

– Słucham? – pytam, choć doskonale wiem, o co chodzi.

– Ta kobieta, na którą pan dziwnie spojrział – odpowiada z uśmiechem. – Lubię ją. Lubię z nią rozmawiać.

– Ma smutne oczy.

– Pewnie ma jakąś smutną historię do opowiedzenia. Lubię smutne historie.

Alicja i ten młodszy mężczyzna siadają na sofie, na której wczoraj siedziałem z mecenasem. Ja idę dalej.

W pokoju zrzucam szlafrok i opadam na łóżko. Chce mi się spać, ale myślę na przemian o oczach tej pani w małej czarnej i o tych ośmiu facetach, którzy się nie meldują. Nie lubię czegoś nie wiedzieć. Taka niewiedza zżera od środka i nosi. Każe spoglądać w każdy kąt, rozglądać się we wszystkie strony. Nawet w tym niezbyt dużym pokoju.



Góral oddychał spokojnie, ale co kilka minut zmieniał pozycję, nie przerywając snu. Nie wyglądał na psa zaniedbanego, porzuconego albo takiego, który był katowany przez właściciela idiotę. Był nawet dziwnie czysty jak na włóczęgę. Józek chyba się mylił, twierdząc, że ktoś go zostawił w lesie. Albo Marysia źle usłyszała. Takiego psa? Danielowi trudno było w to uwierzyć, choć okrucieństwo ludzkie zdążył już poznać w swoim trzydziestopięcioletnim życiu.

– Skąd się wzięłeś, Góral? – zapytał, nachylając się nad pyskiem psa. Ten otworzył oczy i nieśmiało pomachał ogonem.

Leżał spokojnie, ale kilka godzin wcześniej nerwowo sprawdzał każdy kąt w domu Daniela. Co prawda trudno tę małą lepiankę nazwać domem. Raczej domkiem letniskowym dla ubogich, służącym o każdej porze roku. Zimą bywało ciężko, piec nocą często wygasał, więc poranki nie należały do przyjemnych. Ale nie skarżył się nikomu. Ten dom to jego wybór. Był wdzięczny Wojtkowi za pomysł, ale decyzję podjął sam. Wojtek zadbał też o to, by nikt się go nie czepiał. Mówił ludziom, że tak ma być i już. A ludzie tu Wojtka słuchają. Może dlatego, że jest w dobrej komitywie z proboszczem. Ksiądz Stanisław krystaliczny w oczach Daniela nie był, ale na jego dziką naturę przyrymkał oko i w homiliach go nie wytykał.

– Nic mu nie możesz dać ani niczego odebrać – mówił Wojtek. – Dzięki temu ma cię w dupie.

Danielowi nie zależało na zainteresowaniu proboszcza. Nie chciał zresztą zainteresowania kogokolwiek. Chciał żyć w swoim świecie i być sobie panem. Chciał zakopać swoją przeszłość i nie pozwalać nikomu się do niej zbliżyć. Tu, w tym lesie, w tej małej góralskiej wiosce udawało się to bez trudu.

I choć podejrzewał Wojtka o zbyt duże, wręcz nielogiczne zainteresowanie swoją osobą, to miał w sobie przekonanie, że swoją tajemnicę zabierze do grobu. Jeśli tylko będzie chciał. Jeśli będzie chciał, bo czasem dopadała go chęć wyrzygania wszystkiego komuś, kto nie będzie próbował oceniać ani tym bardziej doradzać bądź się litować. Zresztą litości nie potrzebował. Z każdym bólem radził sobie sam.

– Skąd się wzięłeś, Góral? – zapytał jeszcze ciszej, już prawie do ucha. – Jak ktoś cię zacznie szukać, będą musiał cię oddać.

Pies podniósł łeb i spojrział Danielowi w oczy. Przez dwie sekundy patrzył i wwierał się w źrenice. Daniel poklepał go po głowie i wstał.

– Chyba nie jesteś jakiś tam głupi kundel – szepnęła do siebie, przeczesując palcami przydługie włosy.

Kiedy osiedlił się w tym lesie, przestał dbać o długość włosów i zarost. Zdarzało mu się jedynie co kilka miesięcy przystrzyc brodę nożyczkami. Wyglądał jak człowiek z lasu. Przynajmniej tak sobie wyobrażał dzikusa żyjącego między drzewami i trzymającego się z dala od cywilizacji i ludzkich skupisk. Od tego wyobrażenia różniło go jedynie to, że był czysty. I czytał. Dużo czytał, jakby chciał nadrobić zaległości z czasów, kiedy zerkał jedynie na sportowe strony codziennych gazet. I to też nie wiadomo po co. Teraz nie interesował go nawet sport. Żył po swojemu, bez prasy, radia i telewizji. Bez internetu, choć zdarzyło mu się kilka razy w wiejskiej bibliotece zajrzeć do sieci. Stwierdził jednak, że świat radzi sobie bez niego, a on bez świata. Zawiesił więc kontakty z globalną siecią.

Zerkał jeszcze raz na Górala i wszedł do środka. Opadł na obskurny fotel i sięgnął po *Skazaną*. Był zaskoczony, że tak odczuwa każdą kolejną stronę. Dziwił się, że perspektywa śmierci głównej bohaterki jest dla niego tak bolesna. Przeszłość wydawała się wystarczająco uodporniająca na ból i umieranie. I choć nie chciał do niej wracać, to jednak ona wciąż z nim była.

Czytał godzinę. Potem zamknął oczy i zasnął. Obudził go Góral, który zachęcony otwartymi drzwiami wszedł do środka i położył się tak blisko, że szturchnął Daniela kilka razy w nogę. Książka leżała na podłodze. Pewnie wypuścił ją z rąk, kiedy stracił kontakt z jawą.

Podniósł ją i rzucił na łóżko. Starając się nie budzić Górala, wstał i podszedł do starego sprzętu audio. Po chwili słychać było znowu *Dead Can Dance*.

– Podoba ci się? – zapytał Górala, kiedy ten podniósł łeb, słysząc muzykę. Potem ponownie położył się na prawej łapie. Ciężko westchnął i zastygł w bezruchu.

Daniel oparł się o ścianę, zaplótł ręce na torsie i tak stał, patrząc na śpiącego psa.

Kiedy wychodzili na zewnątrz, a potem w las, było już zupełnie ciemno. Daniel często wychodził o tej porze. Miał wtedy poczucie jeszcze większej wolności, a lekki niepokój rekompensował mu w małej części brak adrenaliny, której w nadmiarze było w jego poprzednim życiu. Nie przyznawał się głośno przed samym sobą, czego mu brakuje, ale zdawał sobie z tego sprawę.

Góral szedł blisko nogi. Jakby był wytresowany przez chodzenie na smyczy. Zwalniał, kiedy Daniel zwalniał, przyspieszał, kiedy ten stawiał szybsze kroki. Pies, który lubi być posłuszny i potrzebuje człowieka, przy którego boku mógłby iść.

Wyszli na jego polanę. Nie był tu od czasu, kiedy natknął się na człowieka nie wiadomo po co spacerującego za hotelem. Z oddali zobaczył światła bijące z okien. Za budynkiem majaczył blask wsi. Pewnie wszystko niedługo zgaśnie, tubylcy wcześniej zasypiają i wcześniej się budzą.

Góral przystanął na ten widok jak pies gotowy na niebezpieczeństwo. Daniel stanął za nim i delektował się widokiem. Lubił tu być o tej porze. Cisza i ciemność sprawiały mu ogromną przyjemność, a małe światła hotelu oddalone o kilkaset metrów były symbolem tego, jak daleko za sobą zostawił świat.

– Chodź – szepnął do Górala i ruszył w dół polany. Chciał być bliżej, zerknąć w okna i poszukać jej. Miał wrażenie, że powinna się dziś zjawić.

Schodzili powoli, z nikłym blaskiem latarki przed sobą. Kiedy już zbliżyli się na odpowiednią odległość, Daniel usiadł na trawie i wskazał Góralowi miejsce obok siebie. Ten najpierw usiadł, a nieco później rozłożył się jak sfinks.

W oknie, w którym zwykle ją widział, panowała ciemność. W sąsiednim pokoju marne światło padało na niedbale pościelone łóżko. Obok niego, przy biurku, siedział jakiś facet uderzający palcami w klawiaturę laptopa. W pokoju wysuniętym najbardziej na prawo jakaś blondynka suszyła włosy, leżąc na łóżku. Nie była sama. Mężczyzna stał w oknie, trzymając w ręku butelkę piwa. Daniel zgasił latarkę, by go nie zauważono.

W „jej” pokoju zapaliło się światło. Ktoś wszedł i rzucił coś na krzesło. To ten człowiek, na którego Daniel się natknął tamtego wieczoru. To on zajął „jej” pokój i leży w „jej” łóżku. Nawet jeśli Alicja dotrze do hotelu, zajmie inne pomieszczenie. Może nawet z oknem wychodzącym na drugą stronę.

Postanowił sprawdzić, czy jest jej samochód. Zawsze przyjeżdżała alfą.

W tym samym momencie, w którym podniósł się z trawy, w „jej” pokoju zgasło światło. Z kolei w innym pojawiło się tak jasne, że nawet z tej odległości raziło w oczy. Wszedł jeden z tych nieprzyjemnych młodych typów, którego Daniel umieścił w gronie zarządzających hotelem. Stanął przed łóżkiem i telefonem zrobił zdjęcie. Potem jeszcze jedno pod kątem.

Drwal żałował, że zostawił w chacie lornetkę, ale nie przyszło mu do głowy, że w tych ciemnościach będzie mu do czegokolwiek potrzebna.

Światło zgasło. Daniel postanowił zbliżyć się do parkingu od lewej strony, tej ciemniejszej, mniej dostępnej. Powinien być on jednak oświetlony, więc wszystkie samochody dostrzeże.

Szedł powoli i ostrożnie, bo latarkę włożył do kieszeni bojówek, nie chcąc wzbudzać podejrzeń nawet tak słabym światłem, jakie dawał ten stary sprzęt. Góral stąpał z boku, ale nie można było nie zauważyć, że ma ochotę ominąć budynek jak najszerzym łukiem. Do tego widać było, że nie czuje się pewnie, coś go niepokoi. Daniel podążył jednak dalej, zerkając jedynie co parę chwil na psa. Udało mu się dotrzeć do granicy budynku i przysunąć do ściany. Potem przesunął się wzdłuż niej, wiedząc, że za moment trafi na małą skarpe. Tam będzie musiał ostrożnie stawiać kroki, by pod stopami wyczuć kamienie.

Stanął w połowie skarpy, w miejscu, z którego mógł objąć wzrokiem cały parking. Zanim oczy przyzwyczyły się do ciemności, zauważył tylko jeden samochód. Był niski, więc za nim majaczył już kolejny. Pozostałe były częściowo zasłonięte, dlatego przesunął się w stronę rogu budynku. Stamtąd dostrzegł kolejne dwa auta. Żadne z nich nie należało do Alicji. Zrobił kilka kroków wzdłuż muru, bacznie się wcześniej rozglądając. Był tu już kilka razy, nigdy nikt go nie zauważył. A gdyby zauważył, mógł zagrać hotelowego gościa, nawet jeśli kiepsko ubranego.

Po przebyciu tych kilku metrów zobaczył wreszcie alfę romeo Alicji. Czarna, niskie zawieszenie, niemal sportowe. Nie pasował do niej ten samochód, ale nadziane bizneswoman gustują w takich autach.

Góral był ciągle przy nodze i skradał się jak Daniel. Obwąchiwał każdy napotkany kamień i obskakiwał koło jednego z samochodów. To był jeep.

Znaczek na przodzie samochodu błyszczał od blasku świateł zapalonych na bocznej ścianie hotelu. Nie dało się go nie zauważyć. Daniel zatrzymał na nim wzrok, a potem zerknął na maskę i przednią szybę. Nabrał pewności, że był to ten sam jeep sprzed baru, a później z leśnej drogi. Już wtedy miał

takie podejrzenia. A teraz obłoczone koła wskazywały, że jeździł po bezdrożach, tam gdzie słońce nie zdążyło wysuszyć deszczu sprzed trzech dni.

Otworzyły się boczne drzwi hotelu. Daniel odruchowo zrobił kilka kroków w tył, by stanąć w miejscu, do którego nie dotrze nawet najmniejszy strumień światła. Góral zrobił to samo, choć o wiele spokojniejszym i swobodnym krokiem.

W drzwiach pojawił się niezbyt wysoki, szczupły mężczyzna w przydługiej bluzie z kapturem, co w zestawieniu ze zbyt krótkimi spodniami wyglądało dość groteskowo. Ale drwał od dawna nie miał styczności z modowymi trendami, nie mówiąc już o ludziach, dla których owe trendy są ważne. I być może to był właśnie jakiś trend, ostatni krzyk mody.

Mężczyzna zapalił papierosa. Wolnym krokiem przepacerował się po parkingu. Przechodząc obok jeepa, dotknął go opuszkami palców. Daniel dokładnie widział przesuwającą się po tylnych drzwiach dłoń. Nieznajomy powiedział coś wtedy, ale słyhać było jedynie cichy szelest. Ten dźwięk i człowiek w kapturze zaniepokoiły Górala. Najpierw podniósł głowę najwyższej, jak mógł, a potem zaczął cicho warczeć. Już z opuszczoną głową ruszył powoli w stronę wydmuchującego dym papierosa mężczyzny. Daniel nie zdążył zareagować. Chciał go złapać za sierść, nogę, kark, cokolwiek, byleby zatrzymać psa przy sobie. Ten jednak wyszedł na środek parkingu, jakby chciał, by ten człowiek go zauważył. Stał i patrzył. To samo zrobił palacz. Tkwili tak naprzeciw siebie kilka sekund. Zupełnie bez ruchu i bez jakiegokolwiek dźwięku, tylko wgapiając się sobie nawzajem w oczy.

– Co jest, psie? – odezwał się wreszcie kpiąco człowiek.

Góral odpowiedział warknięciem. Przybrał przy tym czujną pozycję, gotowy do obrony, a może i ataku.

Człowiek kucał, więc Daniel stracił go z oczu. Cały schował się za samochodem. Wokół było tak cicho, że warczenie psa i charakterystyczne cmoknięcia papierosa było słyhać wystarczająco wyraźnie.

– Czy ja cię znam? – Kolejne słowa palacza brzmiały już inaczej, nie były już lekceważące. – Tak, znam cię. To ona tu z tobą była... Agnieszka? Agata? Jak jej było?

Góral zaszczekał.

– Cicho bądź, lepiej, żebyś tu nie przychodził. – Wstał i rozejrzył się wokół. – Mówiła do ciebie Neptun... nawet ładnie.

Odwrócił się i wyrzucił niedopałek. Podszedł do drzwi i chwytając za klamkę, odwrócił się w stronę Górala.

– I chyba cię widziałem z tym drwałem... Tak, na pewno. – Przytaknął sobie głową. – Pechowo trafiasz z towarzystwem. Spieprzaj stąd, jeśli ci życie miłe – powiedział zamiast „do widzenia” i wszedł do budynku.

Kiedy tylko automatycznie zamykane drzwi zatrzasnęły się za człowiekiem w kapturze, Daniel gwizdnął cicho na psa. Ten stał tam jeszcze chwilę i wpatrywał się w wejście do hotelu. Podreptał po kamienistym chodniku i obwąchał podłoże, po którym przed momentem stała mężczyzna. Potem warknął przeciągle i pobiegł w stronę Daniela, reagując na kolejne gwizdnięcie.

Szybko opuścili parking, choć drwała korciło, by zająrzeć do środka jeepa i poszperać w schowkach.

Przystanęli przy ścianie budynku. Daniel przywarł do niej i wychylił głowę, by spojrzeć na polanę za hotelem. W ciemności niczego nie mógł dostrzec, ale wiedział już, że czując obecność może zdradzić refleks świetlny albo chociaż cichy szelest. Niczego takiego nie zauważył, ruszył więc początkowo wzdłuż muru, potem nagle skręcił w prawo, wręcz wbijając się w ścianę ciemności. Góral pobiegł do przodu.

Drwał nie pokonał jednak nawet dziesięciu metrów, kiedy nagle prosto w oczy uderzył go strumień światła. Odruchowo zasłonił twarz ramieniem i przekręcił głowę w bok. Światło zbliżyło się szybko na niepokojącą odległość i wtedy Daniel lewą ręką wytrącił je z ręki kogoś, kogo nie widział. Wiedział, że oczy do ciemności przyzwyczajają się dopiero po kilku sekundach, więc zaczął machać rękami na oślep. Szybko się zorientował, na jakiej wysokości jest głowa napastnika, i automatycznie chwycił go za koszulkę na klatce piersiowej. Zamierzał uderzyć głową w jego nos, ale koszulka rozerwała się od gwałtownego szarpnięcia i cios był nieczysty. Miał wrażenie, że jego czoło otarło się zaledwie o nieogolony policzek. W tym momencie poczuł siłę napastnika, który złapał mocno jego przedramię i ani myślał puścić. Szarpali się tak do momentu, w którym Daniel pociągnął mocniej, obracając przeciwnika tak, że ramieniem objął go za szyję, a potem ścisnął. Tkwili tak przez chwilę z napiętymi mięśniami i z głowami pochłoniętymi jedną myślą: co dalej?

I po tej chwili Daniel zaczął zwalniać uchwyt, bardzo wolno, chcąc wyczuć, co zrobi napastnik – zaatakuj czy ucieknie. On jednak stał, czekając pewnie, aż Daniel zupełnie go uwolni. Ale kiedy to już się stało, nadal się nie ruszył. Drwał, widząc to, zrobił dwa kroki do tyłu. Patrzył na niego jeszcze kilka

sekund, a gdy ten nadal nie wykonał żadnego ruchu, odwrócił się i szybkim krokiem poszedł w stronę lasu na końcu polany.

Warszawski Dworzec Centralny jak zawsze wypełniał tłum ludzi. Pasażerów łatwo można było rozpoznać po bagażach i pośpiechu. Nikt nigdy nie przyjeżdżał tu na tyle wcześniej, by spokojnym krokiem dotrzeć na peron. Do tego jeszcze kawa w sieciówce na drogę, kanapka do zjedzenia na szybko albo selfie na instagram z informacją do znajomych: „Hejka, jadę zaraz”.

Łatwo można było również wskazać tych, którzy na kogoś czekali. Siedzieli w kawiarenkach, stali pod tablicą przyjazdów bądź snuli się po głównym hallu.

Ale na nią nikt tutaj nie czekał. Chciała wpaść mama, bo akurat była w Warszawie w kilkudniowej delegacji. Skłamała, że wróci nocnym pociągiem i dotrze do mieszkania taksówką. Mogła poprosić Grzeska z pracy, ale stwierdziła, że tym razem go nie wykorzysta. Zakochany w niej po uszy Grzesiek był na każde skinienie palcem. Czasem ją to bawiło, innym razem drażniło.

Tylko Agnieszka wiedziała wszystko o jej powrocie. Siedzi pewnie w samochodzie zaparkowanym przed wejściem na dworzec. Być może nawet wmieszała się w tłum taksówek swoją starą micrą. Kilka lat temu położyła na szybie kartkę z napisem rodem z *Kilerów 2-óch*:

SZ. P. Szakal

...i w nawiasie „Magda”. Uśmieła się do łez.

„Jesteś?” – esemesa do Agnieszki wysłała tuż po postawieniu nogi na peronie. Raport o dostarczeniu dostała jednak dopiero w hallu głównym, kiedy wyszła z podziemia.

„Pięć minut, sorry”.

Magda zatrzymała się przy kiosku z prasą. Czują się zmęczona, więc oparła się o wystający z wityny wysoki murek. Mimo woli zaczęła się przyglądać okładkom gazet – tych codziennych z lewej strony i tabloidów z prawej. Uśmiechnięci celebryci na zdjęciach po photoshopie atakowali nachalnie każdego przechodnia. Niektórych z nich Magda lubiła, bo dostrzegała w nich ukrytą pasję. Wyobrażała sobie, że zakładają maski, by móc wygodnie żyć. Ta od fitnessu, ten od szeroko pojętej rozrywki, a tamten od swojego talk-show. Świetnie sobie to wszystko wymyśliłi. I jeszcze ta żona piłkarza, która jest wszędzie.

Każdą z tych okładek Magda omiata wzrokiem przez sekundę. Wszystko już albo widziała, albo było dla niej przewidywalne. I tylko na tej jednej okładce skupiła wzrok na dłużej.

Tak, to on. Nie była zdziwiona, że widzi go na okładce czasopisma – pojawiał się na nich często. Jednak to, że widzi go tuż po powrocie „stamtąd”, jawiło się jak jakiś znak. Patrzyła na ten jego uśmiech z zaciekawieniem. Nie miała w sobie złości czy nienawiści. Miała żal do siebie, że pozwoliła sobie na takie zaślepienie. Miała też nieodpartą chęć przeanalizowania tego, co się stało.

– Pójdź z tym do prasy – mówiła Agnieszka, kiedy rozmawiały wczoraj telefonicznie.

Za chwilę znów pewnie będzie ją namawiać. Ale Magdzie nie było to potrzebne, nie chciała tego. Nie chciała, by ktoś grzebał w jej życiorysie. Nie chciała, by wyszło na jaw, że sprzedawała się na początku studiów we Wrocławiu. Że właściwie zaczęła już w liceum. Przypadkiem mogłoby się też okazać, że Radek nie załatwił sprawy jak należy i gdzieś istnieje jakiś ślad wskazujący na jej udział w napadzie na stację benzynową.

Zresztą... wyszła na swoje. O czym tu gadać.

– Chyba miało być inaczej, co? – zapytała Agnieszka, kiedy już ruszyły Marszałkowską w stronę Muranowa.

– Trochę – odrzekła krótko Magda.

– Rozumiem, że nie zdejmiesz sunglassów? – Agnieszka uwielbiała wplatać w swoje wypowiedzi makaronizmy, do tego spolszczone.

– Zdjęła. Odłoniła przekrwione oczy i małego siniaka pod prawym okiem.

– Nic nie mów – powiedziała cicho, ale wystarczająco stanowczo.

– Postaram się. – Agnieszka tylko spojrzała na twarz Magdy i wróciła do wpatrywania się w świat przed maską samochodu. Kiedy jednak czerwona sygnalizacja świetlna zmusiła ją do zatrzymania pojazdu, nie omieszkła szybko podciągnąć rękaw bluzy Magdy.

– Zwykle stłuczenie to nie jest – stwierdziła, odwracając wzrok od podłużnego fioletowego śladu na nadgarstku.

– Nie jest – burknęła Magda – ale nie chcę o tym rozmawiać.

Agnieszka zamilkła więc i skupiła się na prowadzeniu auta. Dojeżdżając do ronda Dmowskiego, agresywnie nacisnęła klakson i zaklęła siarczyście, jak na kobietę przystało.

– Jak te baby jeżdżą! – dodała do przekleństwa, kiwając głową niby z niedowierzaniem, ale też z dozą przekonania o swojej nieomyślności.

– To była taka twarda lina – szepnęła Magda. – Prawie drut.

Agnieszka spojrzała na nią, marszcząc czoło.

– Wiem...

– Skąd możesz wiedzieć, nie było cię tam – odpowiedziała Magda, cedząc każde słowo przez zęby.

– Ślad... ten siniak... dużo mówi. Widać, że ktoś związał ci ręce. Za mocno.

– Sherlock – rzuciła ironicznie Magda.

– Pamiętaj, że nie jestem twoim wrogiem. – Agnieszka starała się powiedzieć to najspokojniej, jak potrafiła.

I ten spokój Magdzie się udzielił. Kilka minut udało się im przetrwać w ciszy. I choć była ona niepokojąca, to jednak nadal była ciszą. Potrzebowała takiej ciszy. Była w domu.

Po wejściu do mieszkania od razu skierowała się do łazienki. Zdjęła z siebie wszystkie ciuchy i rzuciła je na podłogę. Odkręciła gorącą wodę w kabynie prysznicowej i stanęła przed umywalką, nad którą wisiało lustro. Spojrzała sobie prosto w oczy. Pomyślała, że to dobrze, że potrafi spojrzeć sobie głęboko w oczy.

Złosiło ją to, co widniało pod okiem. Zaciśnęła zęby, potem pięści. Była wściekła, że mu o tym powiedziała. Gdyby tego nie zrobiła, do niczego by nie doszło. Nie zorganizowałby tego wszystkiego, nie odważyłby się.

Spojrzała na nadgarstki.

– Fuck! – szepnęła, zamykając oczy.

Już zaplanowała garderobę na kilka dni do przodu – długi rękaw. Albo jakaś bransoleta szerokości kilku centymetrów. Do tego make-up solidniejszy niż zwykle.

– Fuck! – powtórzyła.

– Chcesz kawę? – Z kuchni dobiegł głos Agnieszki.

Magda odwróciła głowę w stronę drzwi i po chwili zastanowienia najpierw przytaknęła, a potem powiedziała głośno:

– Tak, ale w dużym kubku, białą.

Tam wszyscy pili espresso w małych, białych filiżankach. A potem whisky.

Weszła pod prysznic i przez chwilę jedynie delektowała się gorącą wodą spływającą po jej ciele. Zmoczyła głowę, a na włosy nałożyła szampon. Pianę rozprowadziła po całym ciele. Dopiero dotyk dłoni uświadomił jej, że w kilku miejscach czuje ból. I za każdym razem, kiedy dotknęła bolącego miejsca, przed oczami pojawiał się moment, kiedy to się stało.

W całym mieszkaniu pachniało kawą. Agnieszka siedziała już przy małym stoliku w kuchni i patrzyła w okno. Na stole dwa kubki i... koperta.

– Grzebiesz w moich rzeczach? – zapytała Magda.

Przyjaciółka spojrzała na nią, marszcząc czoło.

– Ile?

Magdę rozboleł brzuch. Usiadła i wzięła kopertę do ręki. Zajrzała do środka, mimo że dobrze wiedziała, co tam jest.

– Dziesięć tysięcy.

Agnieszka opuściła głowę.

– Dobrze to rozumiem? – spytała.

Magda rzuciła kopertę na stół, wstała, wyszła z kuchni i skierowała się do dużego pokoju. Włączyła *Oxygene Jarre'a* i opadłszy na sofę, zamknęła oczy. Chwilę później usłyszała trzask zamykanych drzwi.

Wróci jeszcze dziś – pomyślała. – Albo zadzwoni. Kocha mnie, a ja ją. Jest jak siostra. Nie zostawi mnie.

Zdejmuję rozerwaną koszulkę i rzucam na łóżko. Po chwili biorę ją w dłoń jeszcze raz i rozkładam na prześcieradle. Jest rozdarta wzdłuż szwu od kołnierzyka do rękawa.

Jestem dziwnie spokojny jak na człowieka, który właśnie został napadnięty. Choć właściwie to ja napadłem. Ta ciemna sylwetka zamajaczyła kilka metrów przede mną. Najpierw przemknęło jakieś zwierzę, a potem ten mężczyzna.

Coś mnie tknęło, żeby na ten krótki wieczorny spacer zabrać ze sobą latarkę. Ale z drugiej strony to ona zdradziła moją obecność. Być może zostałbym zupełnie niezauważony, może tak byłoby lepiej.

Facet nosi brodę, tylko tyle zdążyłem dostrzec w blasku światła latarki. Być może to ten sam człowiek, którego spotkałem pierwszego wieczoru i który potrafił zniknąć w ciemnościach jak kot.

Nie jest zwykłym podglądaczem. Taki uciekłby bez wahania. A ten jest silny, zdecydowany – wiedział, jak mnie przytrzymać, bym nie mógł się ruszyć.

Jest dwudziesta trzecia. Nie wiem, kto dyżuruje w recepcji, Zosi nie ma na pewno. Wzywanie policji nie wydaje mi się rozsądne. Właściwie nic się nie wydarzyło.

Idę się napić.

W recepcji pytam o alkohol. Młody mężczyzna pełniący dziś rolę recepcjonisty wskazuje szklaną szafę stojącą przy bocznej ścianie hallu. Na górnej półce wszystko to, co beztłonie i szybko wprowadza w stan nieważkości. Poniżej wszystko to, co w ten stan wprowadza nieco wolniej. Jeszcze niżej wszystko to, do czego należy wlewać to, co powyżej. Ale też to, co poniżej, bo na dolnej półce wytwory browarów produkujących swoje trunki w limitowanych ilościach, w butelkach rzeźbionych, z pieczęciami i korkami zamiast kapsli.

Dla mnie jest druga półka od góry – ta od cierpliwego doprowadzania się do stanu nieważkości. Porto skusiło skutecznie. Trzymam butelkę w dłoni i przypominam sobie, że do tego wina producenci dolewają w pierwszym tygodniu procesu spirytus winny. Dlatego za chwilę posmakuję 20% zawartości alkoholu. Akceptuję to. Nalewam do kieliszka i odstawiam butelkę na półkę. Odwracam się i rozglądam za odpowiednim dla mnie tego wieczoru miejscem.

W końcu znajduję fotel przy ścianie i dużej roślinie z grubą łodygą. Nigdy nie zapamiętuję nazw kwiatów, nawet tych, które robią na mnie wrażenie. Jedynie agawa utkwiała mi w pamięci. Agnieszka ją lubiła.

Kiedy powoli sadowię się w fotelu, czuję ból w karku. Odruchowo odchyłam głowę do tyłu, wierząc, że przyniesie to jakąś ulgę.

Pierwszy łyk porto daje odprężenie. Biorę głęboki wdech, by intensywniej poczuć moc alkoholu i posmak wina z północy Portugalii. Opieram głowę o oparcie fotela i zamykam oczy. Jeszcze raz dotykam karku i próbuję go rozmasować. Brodacz miał silny uchwyt. Mam wrażenie – i wtedy też miałem – że gdyby chciał, skrzyłby mi kark.

Powinienem powiadomić właściciela hotelu? Może policję? Tylko nie wiem, co miałbym im powiedzieć. Zostałem napadnięty? Przecież to nieprawda. Właściwie to ja sprowokowałem całe zajście. Brodacz mógł po prostu tamtędy przechodzić, nie zrobił chyba niczego złego. Korci mnie potwornie, by się dowiedzieć, kim jest, skoro już dwa razy na niego trafiłem.

– Znam pana – słyszę nagle tuż obok ciepły głos.

Otwieram oczy i widzę przed sobą tę rudowłosą kobietę, na którą zwróciłem uwagę, kiedy stała w recepcji. Patrzyła na mnie bez uśmiechu, raczej badawczo, trochę ostrożnie.

– Tak, chyba nasze spojrzenia wczoraj się spotkały – odpowiadam, mając nadzieję, że to jedyne, co nas łączy.

– To jedno – mówi szybko – ale znałam pana już wcześniej.

Przygląda mi się. A ja jej. Tak jak ona mam wrażenie, że gdzieś się już spotkaliśmy.

– Pan mnie też – dodała cicho.

Czuję, że z zażenowania skręca mi się kręgosłup. Wije się jak zmija i próbuje pobudzić mózg i jego część odpowiadającą za pamięć.

– Proszę mi wybaczyć, ale... – odzywam się niepewnie.

– ...ale nie pamięta pan – kończy zdanie nieznamo. Dostrzegam delikatny uśmiech, raczej ironiczny. – To nawet lepiej.

Odwraca się i odchodzi. Ale niezbyt daleko, bo siada na leżaku stojącym na drugim końcu salonu i zwróconym w stronę dużego okna. W ciągu dnia miałyby przed sobą szczyty gór. Teraz jedynie ciemność i kilkadziesiąt świateł w oddali.

Przez chwilę waham się, czy podejść, ale w końcu wstaję i kieruję się w jej stronę. Łyk porto, który biorę w drodze, nie jest tym „na odwagę”. Odkładam kieliszek na stoliku, który mijam.

– Alicja, tak? – pytam, stojąc już obok niej.

Dopiero wtedy widzę, że jest w samym szlafroku. Teraz, na leżaku, rozchyliła go bardziej, odsłaniając dużą część dekoltu. Szlafrok jest z delikatnej tkaniny, więc nie ukrywa kształtu piersi. Wręcz go podkreśla.

– A to ma jakieś znaczenie? – odpowiada zaczepnie.

– Może mieć, skoro powiada pani, że się znamy. – Próbuję się uśmiechnąć, ale zdaję sobie sprawę, że nawet jeśli mi się to udało, uśmiech jest sztuczny. – Wiem dzięki temu, że mam szukać w głowie Alicji.

– A może to nie jest moje prawdziwe imię? – Spogląda na mnie znów tak samo badawczo jak poprzednio. – Skąd pan wie, że Alicja? Ma pan wgląd w księgi meldunkowe?

– Strzelałem, kierując się intuicją.

– Podobno mężczyźni jej nie mają. Kobiety owszem.

– To stereotyp – ripostuję – a sądząc po kilku minutach spędzonych z panią, nie lubi pani stereotypów.

Uśmiecha się. Tym razem już nie ironicznie. Odwraca wzrok, po czym dyskretnie zasłania dekolt szlafrokiem.

– Niech pan usiądzie, skoro już udało nam się zamienić parę zdań.

Już nie atakuje, już nie walczy.

Przysuwam mały fotel do jej leżaka i siadam w ten sposób, by widzieć jej twarz. Światło pada tak, że blyszczą jej oczy i rozświetla policzki. Wiem, że już ją widziałem. Mam też wrażenie, że ze sobą rozmawialiśmy.

– Rozmawia pan z politykami – mówi do mnie niemal z wyrzutem.

– Coraz rzadziej – odpowiadam. – I nie wiem, czy do tego jeszcze wrócę.

– Dlaczego?

– Spodobało mi się spędzanie czasu bez jałowych sporów, bez kłamstw i słownych utarczek. No i bez pseudointelektualistów.

Uśmiecha się i opuszcza wzrok. Dopiero teraz zauważam, że trzyma w ręku lampkę z jakimś bardzo jasnym trunkiem. Pije.

– Białe wino – odzywa się, widząc, że patrzę, jak podnosi dłoń z alkoholem do ust. – Nawet nie wiem jakie. Poprosiłam tego młodego człowieka za bufetem, by mi dał po prostu białe wino.

– Ważny jest smak, nie nazwa – mówię szeptem, ale tak, by słyszała. A tak naprawdę myślę inaczej: że warto znać nazwy win.

– Dlaczego pani o tej porze nie śpi? – pytam, poprawiając się na fotelu.

– Alicja. – Wyciąga do mnie rękę. – Jesteśmy chyba z tego samego pokolenia i w podobnym wieku.

Ściskam jej dłoń, a ona moją. Czuję ciepło i miękkość jej skóry i szeptem wypowiadam swoje imię.

– Mateusz Fajkowski... – powtarza moje imię i dodaje nazwisko. Wymawia je powoli, mrużąc przy tym oczy.

– Coś nie tak?

– Nie, nie. Wszystko w porządku. Kiedyś nienawidziłam dziennikarzy. Dziś są mi obojętni. Wręcz im trochę współczuję.

– Mogę zapytać z jakiego powodu?

Bierze łyk wina. Stawia lampkę na podłodze i opiera głowę o leżak. Kiwa przy tym przecząco głową. Nie otwiera oczu. Zastyga w bezruchu, a ja patrzę na nią, niecierpliwie wyczekując odpowiedzi. Wiem, że można dziennikarzy nie znosić, ale zawsze kiedy słyszę to od kogoś, myślę sobie, że to zwykle pierdolenie. Teraz też tak myślę, ale nadal ciekaw jestem odpowiedzi dlaczego.

– A ty? – pyta nagle, nie otwierając oczu.

– Co ja?

– Dlaczego nie śpisz...

– Bo piję porto – mówię takim tonem, by się zorientowała, że sama nie odpowiedziała.

Znów uśmiecha się ironicznie.

– Kobieta uraziła męską dumę, nie odpowiadając na pytanie?



Chce mi się parsknąć śmiechem, ale udaje mi się powstrzymać. Ta relaksująca się na leżaku rudowłosa kobieta zaczyna mnie irytować.

– Nie wiem, co to męska duma, nigdy jej specjalnie nie odczuwałem – oznajmiam.

– Nie wierzę, każdy mężczyzna to ma.

Podchodzi do nas recepcjonista. Widzę, że robi to nieśmiało, bardzo powoli, jakby bał się przeszkadzać.

– Przepraszam, czy mogę coś państwu jeszcze podać? – pyta wreszcie delikatnym głosem zniewieściałego małolata.

– Porto jeszcze raz. Whisky z lodem tym razem – mówimy niemal jednocześnie, więc nasze słowa zlewają się w jedną wypowiedź.

Młodzieniec kłania się dyskretnie i oddala cicho jak mysz.

– On może nie odczuwać męskiej dumy – szepcze Alicja, wskazując kciukiem za siebie. – Jest zbyt młody i dziewczęcy. Ale ty... ty to na pewno masz.

Wolę wlać w siebie resztę porto, niż na to odpowiadać. Alicja bierze głęboki wdech, widać to na jej klatce piersiowej.

– Nie śpię, bo mam od jakiegoś czasu kłopoty ze snem i codziennie późnym wieczorem raczę się alkoholem. A w pokoju go nie mam... jeszcze – mówi szybko, jakby chciała jak najszybciej mieć to za sobą. Najwyraźniej nie czuje się z tym dobrze.

Teraz na mnie kolej.

– Nie śpię, bo chciałem odetchnąć po całym dniu, pijąc dobry alkohol. A w pokoju go nie mam... jeszcze.

Uśmiecha się, złapała dowcip.

– Mąż śpi?

– Kto?

– Mąż... partner, w każdym razie mężczyzna, z którym przyjechałaś. – Chyba zaraz wyjdę.

– Mąż nie żyje, późniejszy kandydat na męża też przepadł – mówi dziwnie rozbawiona – a ten nawet nie pretenduje. W każdym razie zaniemógł po śmieciowym żarcu w podróży.

– Przykro mi – próbuję wyrazić kondolencje, ale ona patrzy na mnie i się uśmiecha. Znowu ironia. Nie wierzy w moje szczerze intencje.

– Nieprawda, nie jest ci przykro. Jestem dla ciebie anonimową postacią, moi mężowie tym bardziej.

– Mam w sobie duże pokłady empatii – stwierdzam, choć wiem, że to nadużycie.

– Ludzie mają pokłady empatii w idealnym świecie, a my w takim nie żyjemy.

Zmienia pozycję na leżaku. Teraz siedzi trochę bokiem, zwrócona w moją stronę. Poprawia przy tym szlafrok, bo dociera do niej, że może za bardzo odsłania dekolt.

– Co tu robisz? – pyta i czuję, że naprawdę ją to interesuje.

– Odpoczywam.

– Od czego? Bo przecież nie od pracy.

– Dlaczego tak myślisz?

– Dziennikarze nigdy nie odpoczywają. Sami powtarzacie, że dziennikarzem się nie bywa, tylko jest. Cały czas.

– Niby tak. Ale niekiedy trzeba się odciąć.

– Nie przyjechałeś tu odciąć się od pracy.

– Mylił się. – Tak, bardzo się myli. – Powiem inaczej: przyjechałem odciąć się od wszystkiego, od pracy również.

– Co to znaczy „wszystkiego”?

Ona nie wie, że w słowie „wszystko” zawarte jest wszystko.

– Przyjechałem, by przez chwilę inaczej funkcjonować, by inaczej oddychać i inaczej myśleć.

– Rozumiem. Ale to chyba również udaje się tylko w idealnym świecie.

– Jestem tu dopiero dwa dni, a już trochę mi się udało. Miejsce do tego idealne.

Alicja odwraca się w stronę recepcji, potem zerka na schody po naszej prawej stronie.

– Nie jestem tego taka pewna – szepcze.

Zastygam. Mimowolnie również zerkam na schody. Potem odwracam się w stronę recepcji. Idzie młodzieniec z kieliszkiem porto i szklaneczką whisky. Podaje nam do ręki, zamiast przywleć barek na kółkach. Uczniak, pewnie dlatego pracuje w nocy. Kiedy odchodzi, wlepiam wzrok w jej twarz. Wybucham głośnym śmiechem, wręcz wulgarnym.

– Ale cię wciąło. Dałeś się nabrać! – Jest zachwycona żartem i tym, że dałem się złapać. Podnosi się z leżaka i podnosi dłoń ze szklanką. – Zdrowie!

Robię to samo z kieliszkiem i również wstaję.

– Wracam do mojego rycerza na starej szkapie – mówi rozbawiona.

Siadam zdezorientowany. Chyba coś ze mną nie tak, bo zwykle nie dają się tak wodzić za nos. To kolejny znak, że muszę odpocząć. Dawno nie spotkałem kobiety tak atrakcyjnej, ale i irytującej. Choć może w ostatnim czasie wszyscy mnie irytują. Odprowadzam ją wzrokiem. Idzie wolnym krokiem, kołysząc biodrami. Jest boso, na co wcześniej nie zwróciłem uwagi. Dłonią przeczesuje włosy i zatrzymuje ją na karku. Nagle odwraca się w moją stronę.

– Alicja to moje drugie imię. Pierwszego nie używam od trzech lat. Mówiono na mnie Marta. – Uśmiecha się. – Ale to chyba nie ma znaczenia, zwłaszcza dla ciebie.

– Mateusz to moje pierwsze i jedyne imię, innego nie używam. Ale to chyba nie ma znaczenia, zwłaszcza dla ciebie.

Śmieje się, tym razem bezdźwięcznie, ale szeroko, ukazując dwa rzędy białych zębów.

– Rano będę na basenie, przed śniadaniem. A wieczorem na pewno tutaj. To będzie dla mnie przyjemność – mówi, wciąż się uśmiechając, i dodaje – ...mimo wszystko.

Ostatnie słowo wybrzmiewa wraz z trzaskiem zamykanych drzwi. Odwracam się w stronę, z której dobiegł ten dźwięk. Z ciemności wyłania się ciemna sylwetka, a ja myślę, że kolejnej potyczki nie zniosę. Postać szybkim ruchem zarzuca na głowę kaptur, ale jej kroki są powolne, jakby ostrożne, jakby nie chciała nikogo zbudzić.

Alicja znika w korytarzu. Ponieważ jest boso, nie słyszę już odgłosu kroków. Sam przysuwam się do ściany, żeby pozostać niezauważonym.

Rozgląda się. Jest dość ciemno, więc zapewne niewiele widzi. Podchodzi do recepcji i sięga po coś po drugiej stronie lady. To długopis. Nerwowo obraca go palcami, szukając prawdopodobnie czegoś, na czym będzie mógł coś napisać. Przechodzi na drugą stronę i tam już bez trudu znajduje kartkę A4, którą składa precyzyjnie na pół. Pochyla się, ale kaptur opada zbyt mocno, więc nieznamy zrzuca go z głowy. To Ksawery. Jego twarz oświetla blask ekranu komputera.

Gdzie jest recepcjonista? Zajęty rozmową z Alicją nie zauważyłem, że zniknął. Szczerze mówiąc, nawet nam do głowy nie przyszło, by zerkać w stronę recepcji. Młodzieniec nie był nam do niczego potrzebny.

Ksawery odkłada długopis i wychodzi zza lady. Jeszcze raz rozgląda się wokół i po chwili kieruje się w stronę korytarza. Zatrzymuje się jednak, bo zauważa, że w drzwiach prowadzących do spa pojawia się recepcjonista.

Stoję nadal w tym samym miejscu i czuję się z tym źle. Ukrywam się, sam nie wiem przed czym. Zachowuję się, jakbym był tu nielegalnie. Ale intuicja podpowiada mi, że tak właśnie powinienem się zachować. Nie rzucić się w oczy.

– Błazej, gdzie ty się, kurwa, szwendasz?! – pyta Ksawery, podchodząc szybkim krokiem do recepcjonisty. Ten, wyraźnie przestraszony, staje tuż przy ladzie, niemal na baczność.

– Przepraszam, toaleta, potem papieros – odpowiada cicho. – I tak zeszło.

Ksawery zabija go wzrokiem, po czym kiwa głową z dezaprobatą.

– Liścik ci napisałem – mówi. – Przeczytaj i zastosuj się.

Odwraca się na pięcie i ponownie idzie w kierunku korytarza, w którym zniknęła niedawno Alicja.

– Aha. – Zatrzymuje się jeszcze. – Kojarzysz gościa spod siódemki?

Błazej kręci przecząco głową.

– To skojarz. – W głosie Ksawerego pojawia się irytacja. – I powiedz Rafałowi. Przyjrzyjcie mu się i pilnujcie, żeby głupot nie robił.

Młodzieniec przytakuje. Chyba zawsze to robi, kiedy mówi do niego Ksawery. To już taki typ. Ale całkowicie się rozluźnia, kiedy menedżer hotelu znika w korytarzu.

Przemykam przy recepcji prawie niezauważony. Błazej nie podnosi oczu znad listu. I kiedy już jestem poza zasięgiem jego wzroku, odwracam głowę. Wtedy dociera do mnie, że pokój numer siedem to... mój pokój.

Cisza wyla z bólu. Słysząc było jedynie oddech Górala, zmęczonego wieczorną wędrówką. Między gałęziami drzew prześwitywała połówka księżycy. Co dziwne, nie było go wcześniej. Jeszcze przed godziną ciemności nie zakłócało żadne światło, poza tym docierającym z hotelu. Ale mimo że przeciwnik był blisko, Daniel go nie dostrzegł. Zaskoczony zbliżającym się strumieniem światła, odruchowo machnął ręką, wytrącając latarkę z ręki niespodziewanego napastnika. Potem już wszystko potoczyło się szybko. Aż wreszcie ten chwyt, który w swoim dawnym życiu stosował wielokrotnie.

– Gdzie byłeś, Góral? – zapytał psa, kiedy zobaczył go pod swoim domem. – Znasz już drogę do domu?

W odpowiedzi Góral położył łeb na podłodze małego tarasu. Daniel pamiętał jeszcze, jak cały dzień latał dziury w tej drewnianej powierzchni. Wtedy jeszcze „uczył się” drewna, czując co chwila wbijające się w skórę drzazgi. I to wieczorne wyszarpywanie ich z dłoni. To nie był ból, tylko zaskakujące zderzenie z inną rzeczywistością.

A teraz wróciło tamto życie. Na chwilę, na tych kilka minut przypomniał sobie, jak to się robi. Nie stracił wspomnień jak Jason Bourne, ale reakcja na światło latarki i zagrożenie była dla niego zaskoczeniem. Intuicja. Tak, to była intuicja, jak u Bourne’a. I sprawiła mu przyjemność. Poczul się tak, jakby czekał na sytuację, w której znów będzie mógł doświadczyć swojej siły. Jakby przez długi czas rośło w nim napięcie, którego nie miał sposobności rozładować.

Temu pozytywnemu odczuciu towarzyszyło jednak coś niepokojącego. Coś, czego nie potrafił jeszcze nazwać, ale tworzyło wokół niego coraz mniejszą, ciasną przestrzeń. Im dłużej o tym myślał, siedząc na tarasowym fotelu, tym bardziej miał przeczucie, że niedługo coś się wydarzy. I nabierał coraz większego przekonania, że coś złego. Osaczony. Tak, właśnie tak zaczynał się czuć. Dwa spotkania z kimś mu zupełnie nieznanym, z kimś, kto jawił mu się tylko w konturach. Dziwna rozmowa z Wojtkiem, a do tego ten jeep. Miał wrażenie, że zmierza to wszystko do zerwania z luksusem anonimowości, który cenil sobie nad wyraz.

Czas się wynosić? Nie, jeszcze nie teraz. Polubił to miejsce i nie chciał stąd odchodzić. Ale wiedział też, że nie zostanie tu na zawsze. Uciekł tu przed przeszłością, bólem i wyrzutami sumienia, ale wiedział, że to wszystko do niego kiedyś przyjdzie. Pytanie – kiedy. Teraz miał wrażenie, że właśnie przychodzi. Zbyt wiele niepokojących sygnałów.

– Neptun – powiedział nagle, patrząc na Górala. – Naprawdę jesteś Neptun?

Usiadł obok psa na podłodze i położył dłoń na jego łbie. Potem przesunął rękę w stronę grzbietu, szukając obroży. Nie znalazł. Zaczął się przyglądać jego sierści, sprawdzać pachwiny w poszukiwaniu jakiegoś numeru czy czipa. I nic.

– Agnieszka? – Daniel patrzył Góralowi w oczy. Ten odwzajemniał spojrzenie.

– Agata?

Góral podniósł łeb i spojrzał w stronę lasu. Po chwili wstał i zrobił kilka kroków w stronę ciemności.

Kim była Agata? I gdzie jest teraz? I dlaczego zostawiła psa?

Góral po chwili wrócił na swoje miejsce i westchnął głęboko. Danielowi wydawało się też, że cicho zaskomlał. Bonifacy skomlał, gdy chorował albo z tęsknoty za Martyną. Pamiętał to doskonale, bo te dźwięki irytowały, kiedy powtarzały się dłuższy czas.

– Gdzie jest Agata? – zapytał, wpatrując się w oczy Górala. Pies popatrzył na niego, po czym przekreślił się na drugi bok.

Neptun. Czy tak powinien go nazywać? Nie, zostanie przy Góralu. To teraz jego pies. Może ten gość sprzed hotelu się pomylił. Wmawiał sobie, że to prawda, choć reakcje Górala na imię Agata były jednoznaczne.

Wrażenie, że niedługo stanie się coś złego, było coraz wyrazistsze. A intuicja rzadko go zawodziła.

Podszedł do okna. Jak zwykle zobaczył absolutną ciemność. Przyzwyczał się do niej dość szybko, choć pierwsze noce po zamieszkaniu tu były nieprzespane. Nie ze strachu. Raczej z nadmiernej, być może niepotrzebnej czujności. Wojtek mówił, że nikt tamtędy nie chadza, zwłaszcza w nocy, ale słowa tubylca nie musiały być prawdą.

Wyszedł na ganek. Zgasił światło w chacie i usiadł na krześle stojącym na małym tarasie. Wstał jednak chwilę później i wszedłszy do domu, wyjął z szafki butelkę bimbrową podarowaną mu przez Marysię z baru Pod Konikiem. Pierwszy łyk, jeszcze idąc, drugi – już siedząc i wpatrując się w ciemny las. Ale znowu wstał i wszedł do środka. Po chwili cicho ale zdecydowanie rozniosła się muzyka zespołu Dead Can Dance. Zamknął oczy i próbował nucić, biorąc kolejny łyk potwornie mocnego bimbrowego. Oni tu, w górach, nie potrafili robić lżejszego.

Słuchał i nucił. Otwierał oczy i zamykał. Pił i... nasłuchiwał. Słyszał od kilkunastu sekund trzaskające gałęzie. Jakby ktoś powoli je rozdeptywał. I mimo że ciągle było cicho, wiedział już, że te dźwięki są coraz bliżej. Ciemność niczego nie odsłaniała, lekki wiatr poruszał liśćmi na tyle delikatnie, że nie pozostawiał dźwięku.

Daniel sięgnął lewą ręką na podłogę przy krześle. Chwycił mocno trzonek siekiery i podniósłszy narzędzie, położył na swoich udach. Drugi raz w ciągu godziny poczuł zagrożenie. Ale poczuł też przyjemność koncentracji i ekscytację niebezpieczeństwem.

Wstał i udając znudzonego, wszedł do chaty. Za drzwiami przystanął, odwrócił się i oparł o framugę. Patrzył w ciemność, mrużąc oczy. Ale to właśnie stamtąd dochodziły odgłosy łamanych gałęzi. Takie, jakich wcześniej tu nie słyszał. Te, które pojawiały się od czasu do czasu, były odgłosami zwierząt.

Dopiero teraz zauważył, że obok niego stoi Góral, napięty i gotowy. Zawarczał i zrobił dwa kroki do przodu. Obniżył głowę, warcząc już nieprzerwanie. I nagle skoczył do przodu jak pies myśliwski za zwierzyną.

Niemal w tym samym momencie na taras wbiegł mężczyzna w rozciągniętym swetrze i czapce bejsbolówce. Stał za krzesłem, które miało go chronić przed psem. Ale Góral jak tylko zobaczył strach w oczach tego człowieka, uspokoił się.

Daniel z kolei wysunął się zza framugi, wciąż trzymając w ręku siekiere.

– Wojtek, kurwa! – powiedział do niespodziewanego gościa tonem człowieka rozczarowanego. – Przecież bym cię dzielił tą ciupagą!

– Przepraszam cię, chłopie – odparł roztrzęsionym głosem intruz. – Uspokój tego psa, proszę cię.

– On jest spokojny. Po coś tu przylazł?

Wojtek strzepnął niewidzialny brud ze swojego czarnego swetra i odetchnął.

– Zaproś mnie do środka, co będziemy tak w ciemnym lesie siedzieć.

– Mnie tu dobrze – stwierdził Daniel, wskazując Wojtkowi skrzynię i wyraźnie sugerując, by na niej usiadł. – W chacie tylko łóżko i stół.

Góral stał obok swojego nowego pana i dysząc, wciąż patrzył na mężczyznę.

– Po coś tu przylazł? Jak tu w ogóle trafiłeś?

Wojtek głęboko wciągnął powietrze w płuca.

– Nie zapominaj, że to ja cię tu przyprowadziłem – powiedział, siadając na wskazanej przez Daniela skrzyni.

– Ale od tamtej pory cię nie było, co bardzo mi pasowało.

– Ale też musisz pamiętać, że orientuję się dość dobrze w tej okolicy i w wiele miejsc trafiam nawet po ciemku.

Uśmiechnął się cynicznie, choć z cynizmem nie było mu do twarzy. Daniel nie znał go zbyt dobrze, ale zdążył dostrzec w nim to, co było dla niego najważniejsze. Na pierwszy rzut oka był poczciwy, nie wydawał się kimś, kto chce i może komuś zaszkodzić. Drwał nie zmienił o nim zdania nawet wtedy, kiedy Marysia z baru Pod Konikiem wyszeptala mu prawie do ucha, że Wojtek sypie. Nie zrobił tego nikomu ze wsi, więc tubylcy dali mu spokój. Ale w Wilkoszycach to nie powinien się w ogóle pokazywać. Obetną mu kutasa.

– Czego chcesz, Wojtek?

Daniel usiadł na podłodze, opierając się o ścianę chaty. Patrzył w ciemność, ale zachowywał czujność i ciągle kontrolował zachowanie nieproszonego gościa. Mimo wszystko chciał spróbować odczytać jego mowę ciała.

– Odwiedzić cię chciałem, okowity się z tobą napić.

Brzmiało to tak niewiarygodnie, że intruz chyba sam się zorientował, jak bardzo.

– Nie kręć, nigdy razem nie piliśmy – pociągnął łyk – i tym bardziej się nie odwiedzaliśmy.

– Może czas zacząć?

– Nie, na pewno nie. I wiesz o tym.

Wojtek poprawił się na tej skrzyni. Zresztą od momentu, w którym usiadł, wiercił się, jakby miał robaki. Rozglądał się przy tym nerwowo i zerkał na Górala, jakby chciał kontrolować, co on robi. Ale pies już go lekcewał. Leżał odwrócony do niego tyłem.

– Wojtuś, ty się nie wygłupiaj, tylko mów, o co chodzi.

Daniel był już zniecierpliwiony. Wstał i wszedł do środka, wyjął z szafki szklanke i wrócił na ganek. Postawił szkło na skrzyni obok Wojtki i napełnił je alkoholem. Potem usiadł i siedział tak kilka chwil w milczeniu, czekając na słowa gościa.

Ten jednak zanim cokolwiek powiedział, wychylił szklanke bez wahania i dał znak, że chce jeszcze. Daniel pomyślał, że to ma mu dodać odwagi, przynajmniej tak to wyglądało. Czekał więc bez słowa, aż owa odmaga rozpłynie się krwiobiegami po całym Wojtku.

Druga szklanke opróżniał wolniej, na końcu strzepując krople na podłogę. Daniel nienawidził, kiedy ludzie to robili. I nie rozumiał sensu tego machnięcia kieliszkiem. Jakby nie można było zwyczajnie postawić go na stole.

– Daniel, powiedz mi... – Wojtek zawiesił głos, żeby głęboko westchnąć i nabrać powietrza – ... długo tu zamierzasz być? Bo jakoś mi się wydaje, że ty nie na zawsze.

Daniel już nie odpowiadał na tak osobiste pytania. Nikt mu takich zresztą od dawna nie zadawał. Nie licząc, rzecz jasna, zacepek Marysi i czasem zwykłej ciekawości Wojtki. Ale tym razem było inaczej. To pytanie miało drugie dno.

– A po co ci takie rzeczy wiedzieć, Wojtus?

Spojrzał na niego badawczo, ale on nie patrzył w jego stronę. Znow wpatrywał się w ciemność. Trudno było jednak nie zauważyć nerwowo przesuwających się po udach dłoni.

– Gadaj wprost, Wojtek! Bo cię stąd wyproszę. Chcę iść spać.

Ten gwałtownie wstał i zrobił kilka kroków w jedną, potem w drugą stronę.

– Coś cię trapi człowieku? – Daniel kolejny raz próbował coś z niego wyciągnąć.

– No bo spierdoliłem trochę, spierdoliłem – mówił to, ciągle lażąc tam i z powrotem, kiwając się przy tym to w przód, to w tył. Jak jakiś obłąkany.

– Jeśli coś sobie spierdoliłeś, to dlaczego przychodzisz z tym do mnie? Żaden ja ci przyjaciel. Raczej nie pomogę.

– Eeeee, Daniel – jęknął Wojtek, na chwilę przystając. – Nie po pomoc do ciebie przychodzę. Co najwyżej oferując pomoc.

Drwał zaśmiał się cicho.

– A w czym ty mi Wojtek możesz pomóc? Zgoda, pomogłeś mi na początku, za co cię szanowałem, ale teraz?

– Mogę.

Zabrzmiało to bardzo serio. Na tyle, na ile może brzmieć serio wypowiedź Wojtki, w tym wypadku nawet dość przerażająco. Intruz przestał dreptać i się kołysać. Stanął w miejscu, wprawdzie lekko zgarbiony, ale wydawało się, że dość pewnie na nogach.

– Ktoś się tobą interesuje – wykrztusił wreszcie.

Daniel znow spojrzał na niego badawczo. Dawno nikt nie zadawał mu osobistych pytań, ale też dawno nikt się nim nie interesował. Już zapomniał, jak to jest. Żył tu od dłuższego czasu i tylko zainteresowała się nim ten gość od wycinki drzew. Jedyny dłuższy niż kilka minut kontakt ze światem to Marysia i Wojtek. Chyba że policzyć sporadyczne rozmowy z kimś z sąsiednich wiosek. Nauczył się żyć z dala od zgiełku, pytań i zainteresowania. Dlatego słowa Wojtki były niemal szokiem. Do tej pory uważał, że niewiele osób w ogóle wie o jego istnieniu.

– Nie rozumiem, Wojtek. Jak ktoś się może mną interesować? Niby dlaczego? – To pierwsza myśl, jaka przyszła mu do głowy.

Ten milczał. Zawsze taki gadatliwy, teraz jakby zapomniał języka w gębie. Spojrzał na drwala, potem znow w ciemność i znow na niego. Wreszcie usiadł na skrzyni.

– Może dlatego, że nic o tobie nie wiedzą, a chcieliby wiedzieć?

– Wojtek, pierdolisz! – odpowiedział szybko. – Jak mają chcieć wiedzieć, skoro nawet nie wiedzą, że jestem?

Patrzył na niego, nachylając się w jego stronę. Ale on odwrócił głowę.

– Wojtek, gadaj!

– No, Daniel, kurwa, co ci mam jeszcze powiedzieć? No, ktoś się tobą interesuje i już.

– To gadaj kto.

– Ja nie wiem, kto to właściwie jest. To pojebana wioska.

– A co ma z tym wspólnego cała wioska?

Wojtek odwrócił wreszcie głowę i popatrzył Danielowi prosto w oczy. Nie zdarzało się to zbyt często. Zwykle wytrzymał kilka sekund i spuszczał głowę albo mówiąc, rozglądał się wokół.

– Ta wioska jest przeklęta, Daniel...

– Pewnie jak każda w tych stronach.

– Nie, z tą jest inaczej.

– Niby co z nią jest?

– Tu się dzieje coś niedobrego.

Słyszając te słowa, Daniel wstał, wsunął ręce do kieszeni i nachylił się nad siedzącym mężczyzną.

– Wojtuś, pierdolisz, jak aktor w tanim horrorze – wycodził cicho i wszedł do chaty. Pokiwał z niedowierzaniem głową, bo nie spodziewał się usłyszeć takich słów od tego tubylca. Sądził, że nie sprawa wrażenia człowieka, którego taka informacja poruszy. Na co dzień nie okazywał żadnych emocji. Był chłodny, nietowarzystki, wyobcowany. Rzadko się uśmiechał, rzadko rozmawiał i rzadko nawet patrzył na ludzi. Wiedział doskonale, że wzbudzał zainteresowanie. Ale wiedział też, że o jego interes, czyli święty spokój, poniekąd dba Wojtek. Zastanawiał się wielokrotnie, dlaczego on to robi, ale zawsze wtedy dochodził do wniosku, że rację miała Marysia, gdy stwierdziła: „To jest po prostu dobry chłop. Poczciwy, nikomu nie odmówi pomocy”.

Ale teraz nie miało to dla Daniela znaczenia. Wrócił na ganek i stanął przed Wojtkiem.

– Co mnie to wszystko obchodzi? Jaki to ma związek z mną? I kto się interesuje mną w tej przeklestej wiosce?

Wojtek patrzył na niego trochę przestraszony. Przesunął się nawet kilka centymetrów w tył, czując jego napór.

– I przede wszystkim co spierdoliłeś...?

Góral wstał i wszedł do środka. Tam położył się przy łóżku. Widocznie przeszkadzała mu ta rozmowa, nie mógł przez nią zasnąć. Z kolei Daniel odsunął się od Wojtka i usiadł tam, gdzie siedział jeszcze kilka minut wcześniej. Czekał. Czekał na odpowiedzi na te wszystkie pytania. Postanowił, że nie okaże mu zainteresowania całą tą przedziwną sytuacją. Pokaże mu, że ma to gdzieś, dopóki nie usłyszy odpowiedzi. Sięgnął po kowbojski kapelusz leżący na podłodze i nasunął go sobie na twarz.

– Ten szczył z hotelu się tobą interesuje.

Daniel kilka sekund tkwił jeszcze bez ruchu, po czym przesunął kapelusz na czoło i spojrzał na Wojtka.

– Jaki szczył z hotelu?

– Widziałeś tego jeepa. Przed karczmą na niego patrzyłeś, jak psa brałeś.

– Znasz go?

Wojtek pozwolił swojej głowie gwałtownie opaść.

– Raz się z nim spotkałem. On chyba nas gdzieś widział i...

– Mógł nas widzieć tylko w barze.

– ...no chyba. I potem mnie znalazł i zaczął wypytywać.

– I co mu powiedziałeś?

– Wtedy nic.

– A nie „wtedy”? – Daniel poczuł irytację. Próbował nad tym zapanować, ale nie było to łatwe.

– A potem zadzwonił i pisał esemesy.

– Dałeś mu numer?

– Nie! Nie wiem, skąd wziął. – Mężczyzna ukrył twarz w dłoniach. – Kurwa, Daniel, źle jest.

– Czy ty, Wojtek, nie przesadzasz? Jakiś gość się mną interesuje, bo może mu się nudzi, a ty mówisz, że jest źle? Nie z takimi wyżelanymi główniarzami sobie radziłem.

Tubylec wstał i niecierpliwie podszedł do belki podtrzymującej drewniany daszek nad gankiem. Oparł się i uderzył w nią pięścią.

– Nic nie rozumiesz – powiedział cicho przez zaciśnięte usta.

– To mi wytłumacz albo idź do domu.

– Normalnie tobym mu powiedział, żeby wypierdalał – jeszcze raz uderzył pięścią w belkę – ale się boję. Ustawił mnie kutas.

– Ustawił? Dałeś się ustawić?

– Tak, dałem się ustawić.

Daniel pokiwał z niedowierzaniem głową. Chyba nigdy nikomu nie dał się ustawić. Choć może jego ucieczka tutaj jest właśnie efektem takiego ustawienia. Mógł zostać i walczyć o swoje. Zemścić się do końca, pokazać, że jest twardy. Zostać w tamtym życiu, nie pójść na łatwiznę.

– Ja nie wiem, skąd on to wie, ale wie. I powiedział, że „lepiej, by nikt się nie dowiedział, prawda?”

– Wojtek ostatnie zdanie wypowiedział, naśladując owego „szczyła” z hotelu.

– Co wie? – Daniel był teraz bardziej zdziwiony niż poirytowany.

– Nikt nie wie, nikt nie wie, rozumiesz? – Głos Wojtka brzmiał, jakby on sam panikował. Zaczął się kręcić nerwowo w miejscu. – Nikt nie może się dowiedzieć, nie dadzą mi spokoju!

– Wojtek, kurwa! Co ty bredzisz?!

– Ja jestem, kurwa, jebanym pedałem, rozumiesz?! Pierdoloną ciotą! I on o tym wie!

Daniel zastygł. Nie wiedział, co zrobiło na nim większe wrażenie. Sama informacja czy sposób, w jaki została przekazana. Wiedział natomiast, że zastygł, że nie potrafi wykonać żadnego ruchu i nie wie, jak zareagować. Zaczął się zastanawiać, czy kiedykolwiek, w jakikolwiek sposób Wojtek zdradził swoje preferencje. A druga myśl: czy kiedykolwiek spotkał na swojej drodze geja.

– I co? Nic nie powiesz? – wyrwał go z tych myśli Wojtek.

Dopiero teraz Daniel poruszył się niegrabnie na krześle i zrzucił kapelusz z twarzy. Spojrzał na nieproszonego gościa i odchrząknął.

– Rozumiem, że nie chcesz, aby wieś wiedziała?

– Żartujesz? Ty wiesz, co oni mi robią, jak się dowiedzą?

Daniel spojrzał pytająco. Naprawdę był ciekaw.

– Zlinczują mnie, ukamieniają ci pseudochrześcijanie.

– To zrób tak, żeby się nie dowiedzieli.

Wojtek kiwnął z rezygnacją głową, po czym znowu usiadł na skrzyni.

– No niby właśnie robię. Powiedziałem mu o tobie.

– Ale co mu powiedziałeś? Przecież ty nic o mnie nie wiesz.

– Powiedziałem, co wiem.

Że nie wie, kim jest Daniel. Że nie wie, skąd przyjechał. Że nie wie, co robił wcześniej i co planuje robić tutaj. Że jest samotnikiem i nie lubi ludzi. Że z nikim się nie spotyka. Że ma na imię Daniel i nawet nie wiadomo, czy jest to prawdziwe imię. To wszystko, co wie. Mimo woli o tym właśnie pomyślał Daniel.

– Uspokój się, Wojtek. Jeśli to ma uratować twoją skórę we wsi, to możesz mu mówić, co chcesz.

Ten spojrzał na niego z poczuciem ulgi. Na jego twarzy zagościł nawet grymas, który z powodzeniem można by nazwać uśmiechem.

– Myślałem, że się wściekniesz – wyznał skruszony.

– Spotykały mnie w życiu gorsze rzeczy. Jak będzie bardziej węszył, to go uszczypnę i zniknę. –

Daniel machnął przy tym lekceważąco ręką. Nie chciał pokazać, że ogarnęła go wściekłość. Uczucie osaczenia, które zaczęło mu w ostatnim czasie towarzyszyć, teraz się pogłębiło. Czas zniknąć. Ale najpierw dać popalić temu, jak to ujął Wojtek, szczyłowi z hotelu.

– Kim jest ten ciekawski? – zapytał, wciąż udając średnio zaniepokojonego.

– Jakaś grubsza ryba w hotelu.

Wojtek znów był podekscytowany. Myśl o tym człowieku wzbudzała w nim nerwowość, ale teraz, kiedy prawie wszystko z siebie zrzucił, czuł podniecenie. Miał wrażenie, że teraz będzie już tylko lepiej. Miał w Danielu kompana.

– Coś o nim wiesz poza tym, że jest grubą rybą?

– Że jest gojem – powiedział z wściekłością. – I chyba jest kimś ważnym w hotelu, mimo że gówniarz. Jeździ jeepem. Nigdy mi się nie przedstawił, ale dowiedziałem się, że nazywa się Ksawery Konieczny. Właściciel hotelu ściągnął go z Krakowa.

Daniel przytaknął na znak, że przyswoił informacje. Nie dał po sobie jednak poznać, że już zaczął planować atak. Na jego spokój, na pewność siebie, bezkarność. Potrafił to robić. I wiedział już, że jak tamten się nie uspokoi, niedługo będzie srał w gacie.

– Znasz kogoś w tym hotelu? – indagował, ponownie nasuwając kapelusz na twarz.

– Tak, jedną recepcjonistkę. Jej rodzice mieszkają dwa domy ode mnie. Pozdrowie.

– Przecież wiesz, że nie znam ludzi ze wsi – odrzekł Daniel, zerkając przez drzwi na zegar zawieszony nad łóżkiem. – Idź do domu, wyśpij się. A hotelarzem się nie przejmuj.

– Myślałem, że się wściekniesz – powiedział mężczyzna, wstając i naciągając i tak już rozciągnięty sweter. Włożył czapkę bejsbolówkę.

– Już to mówiłeś – skonstatował Daniel, nie ruszając się z miejsca.

Wojtek przystanął jeszcze na chwilę i spojrzał na schowanego za kapeluszem gospodarza.

– Jesteś równy gość – powiedział cicho i dużo niższym niż zwykle głosem. Zaraz potem wyjął z kieszeni latarkę i odwrócił się w stronę ciemnego lasu.

– A powiedz mi, Wojtek – Daniel zatrzymał go po trzech krokach – jak już tak sobie pogadaliśmy... komu ja te drzewa ścinam, co?

– Księdzu.

– Księdzu?

– No, tak się złożyło. Gra uczciwego sługę bożego, ale przecież na beemkę by mu ze mszy nie starczyło. Choć ludzie we wsi hojni bardzo i same papierkowe do koszyczka w ofierze wrzucają.

– I co on z tym drewnem robi?

– Sprzedaje. Kościelny to zabiera z lasu i wywozi do kupców. Przez internet to załatwiają.

Daniel uśmiechnął się pod tym swoim kapeluszem i pokiwał głową. Czas chyba podnieść stawkę. To się ten kraj doczekał duchowieństwa. Jak nie pedofile czy tyrani, to szemrani biznesmeni spod ciemnej gwiazdy ministra środowiska.

– A ten Konieczny to pierwsze pytanie, jakie zadał, to czy to drewno ścinasz dla księdza.

– I co powiedziałeś?

– Że nie wiem. – Wojtek wzruszył ramionami. – A wydaje mi się, że ten ksiądz Eugeniusz to więcej ma za uszami. Raz go widziałem też jadącego do hotelu. Po co tam jechał? Nie wiem i chyba nie chcę wiedzieć.

Wojtek machnął ręką w geście pozdrowienia i zniknął w ciemnościach. Przez chwilę widać było jeszcze strumień światła z jego latarki.



– Obudź się – Agnieszka szepcze mi do ucha.

Lubię to, bo przy tym muska mnie wargami. To niby laskocze, ale jest też bezgranicznie przyjemne. Wręcz takie, że trudno wytrzymać. Przekręcam głowę, by uciec, ale robię to tak, że zostawiam ucho odsłonięte.

– Obudź się – mówi cicho jeszcze raz.

Już nie tylko muska wargami, teraz dotyka mnie też językiem. Przylega do mnie całym ciałem. Wyczuwam, że jest w satynowej koszulce. Czuję też na sobie kształt jej piersi, ciężar i siłę uda na moich biodrach i dłoń na torsie.

– Obudź się. – Jeszcze raz?

Otwieram oczy. Teraz już wiem, że budzi mnie pukanie do drzwi, nie Agnieszka. Czuję, że nie podniosę się zbyt szybko. I dobrze, bo przecież nie otworzę drzwi z porannym wzrodem. To przez nią, przez Agnieszkę. Czasem brakuje mi jej tak bardzo, że zapominam o wściekłości, jaką we mnie wywołuje to, że odeszła.

Pukanie do drzwi ustało. Chwała Bogu, który nie istnieje.

Siódma dwadzieścia siedem. Po co ktoś miałby mnie nachodzić w pokoju? Zwłaszcza o tej porze. Od dawna moje poranki są niezakłócone. Nie przebiegają według żadnego schematu, ale są niezakłócone. To ja decyduję o ich kształcie, tempie i intensywności. Praca ściąga mnie do siebie dopiero około dziesiątej. Wcześniej czytam, przeglądam, analizuję, oceniam. Ale wszystko to robię tak, jak chcę i dlatego że w ogóle chcę. A właściwie chciałem. Teraz nawet mi to nie przychodzi do głowy. Leżę, patrząc w sufit, i myślę o wczorajszej nocy. Czuję w barku szarpnięcie tego oślika na polanie. Przed oczami mam Alicję niegdyś zwaną Martą, a w uszach jak echo brzmi: „kojarzysz gościa spod siódemki?” i potem: „pilnujcie, żeby głupot nie robił”.

Zerkam w telefon. Esmes od Doroty:

„Wszystko się udało. Tęsknię za Tobą”.

Wysłane wczoraj o dwudziestej czterdzieści trzy. Uśmiecham się z dwóch powodów. Bo jej się udało. Bo nieodczytanie wiadomości świadczy o tym, że odstawiłem telefon. Tak miało być. Choć może wczoraj na polanie powinienem mieć telefon ze sobą? Mogło się przecież skończyć źle lub bardzo źle. Wtedy telefon mógłby mnie uratować.

Jedno jest pewne – polanę w ciemnościach sobie odpuszczę. Nie wiem, co mnie podkuśliło, by tam pójść. Przecież nie jestem jakimś pieprzonym ochroniarzem tego przybytku. Nie muszę robić obchodów jak nocny stróż. Odezwiała się dziennikarska ciekawość powodowana tym, co powiedziała Zosia.

„Bardzo się cieszę” – odpisuję Dorocie.

Wiem, że to za mało, że będzie niepokieszona, że chciałaby przeczytać: „też tęsknię”. Ale zna mnie na tyle, by wiedzieć, że tego nie napiszę. Nawet Agnieszce tego nigdy nie mówiłem, choć często tęskniłem. Powiedziałem jej to dopiero, stojąc któregoś dnia nad jej grobem.

Niepokojąco mocno dziś od rana siedzi mi w głowie ta moja Agnieszka.

Wstaję. Mimo wszystko dłużej leżeć nie dam rady. I nie chcę się poddać tym myślom o poprzednim życiu. Tak mi się ono właśnie jawi, jako „poprzednie”. To lepsze, to pełniejsze. I choć często sobie wstawiam, że teraz nie jest źle, to przecież wiem doskonale, że jest gorzej.

Podchodzę do drzwi i nasłuchuję. Z korytarza nie dochodzą żadne dźwięki, panuje kompletna cisza. W bloku, w którym mieszkam, przed ósmą życie toczy się głośnym rytmem. Dzieci biegną do szkół, dorośli ich pilnują, z oddali słychać pędzące tramwaje, autobusy i samochody. Powszechny miejski hałas jest normą o tej porze. Czymś, do czego człowiek się z czasem przyzwyczaja i nawet go nie słyszy. I wtedy taka cisza, jak ta tutaj, jest bardzo głośna.

Otwieram powoli drzwi i wystawiam głowę. Gdyby na końcu korytarza stał snajper, ustrzeliłby mnie w sekundę. Nie wiem, skąd ta myśl, ale poczułem się jak łowna zwierzyna, skoro mają mi się tu przyglądać i mnie pilnować.

Korytarz jest pusty. Odruchowo spoglądam na podłogę, jakbym chciał dostrzec ślady stóp. A tu wykładzina dywanowa w stalowym kolorze dająca alibi wszystkim przechodzącym po niej w ostatnim

tygodniu.

Chowam się w środku i zamykam drzwi na klucz. Przekręcając go w zamku, dostrzegam wygrawerowaną na nim siódemkę. Będzie mnie ta cyfra prześladować. Przychodzi mi też do głowy myśl, że powinienem włożyć koszulkę z numerem siedem, chłopcom hotelowym byłoby łatwiej mnie namierzyć. Ten wczorajszy recepcjonista nie sprawia wrażenia lotnego, może trzeba mu pomóc.

Dopiero teraz zaczynam się zastanawiać, jakie „głupoty” mógł mieć na myśli szanowny Ksawery. Czyżby Zosia miała rację, wyczuwając nosem jakiś smród? Pytanie jednak, co ja mogę mieć z tym wspólnego? Boją się dziennikarskiego, śledczego umysłu? Jeśli tak, to najwyraźniej mamy tu do czynienia z niegrzecznymi chłopcami. Może kradną rowery okolicznym góralom. Uśmiecham się cynicznie do tych myśli. Myślę tak, bo niby co ten gnojek Ksawery może mieć na sumieniu.

Wychodzę z pokoju w białym szlafroku, sięgającym do połowy łydki. Związuję go lekko w pasie, żeby potem nie męczyć się z rozwiązywaniem supła. Białą ręcznik zarzucam na kark. W recepcji „dzień dobry” mówi mi Diana, ta sama, która meldowała mnie w hotelu.

– Jak się panu podoba w naszym hotelu? – pyta, uśmiechając się szczerze.

– Jest tak, jak miało być, dziękuję. – Również się uśmiecham i tuż za recepcją skręcam do strefy spa.

Zatrzymuję się przed szklanym wejściem. Przez szybę widzę odpoczywającą na leżaku moją nową znajomą Alicję, niegdyś zwaną Martą. Jest w jednoczęściowym czarnym stroju kąpielowym. Leży na wznak z ramionami wyrzuconymi nad głowę. Ma zamknięte oczy i lekko uniesione prawe kolano. Jest cała mokra. Najwyraźniej przed chwilą wyszła z wody.

Waham się, czy wejść. Nie wiem, czy mam ochotę na kolejne słowne potyczki. Rozglądam się po całej przestrzeni i widzę dla siebie miejsce po drugiej stronie. Może mnie nie dostrzeże. Choć muszę się przyznać przed sobą, że trochę liczę na sytuację wręcz przeciwną.

Wchodzę i od razu kieruję się do drugiego końca basenu. Rzucam ręcznik na leżak i zdejmuję szlafrok. Nie kładę się, tylko zanurzam w zbyt ciepłej wodzie i płynę. Z głową nad powierzchnią. Widzę prawie wszystko wokół. Między innymi ją. Leży wciąż w tej samej pozycji.

Nawrót. Płynę spokojnie, bo tak chcę. Nigdzie się nie spieszę, choć gonią mnie rozmaite myśli. Przed oczami mam drzwi mojego pokoju z wyrytą w drewnie siódemką. Cyfra aż pulsuje w mojej wyobraźni, mimo że to nie przez nią czymś się naraziłem szefostwu hotelu. W takim razie czym? Dwoma spacerami nocnymi? Widzieli to? Niemożliwe. Musieliby bezustannie obserwować otoczenie domu. A może właśnie to robią? Może mają ku temu powody? Może czegoś się obawiają? Może ten człowiek cień jest dla nich jakimś zagrożeniem?

Nawrót. A może to, że jestem żurnalistą? Może mają mylne pojęcie o tym zawodzie? Może wydaje im się, że każdy jego przedstawiciel ciągle węszy i prowadzi śledztwo? Ale jeśli tak myślą, to mają coś do ukrycia. Coraz bardziej wydaje mi się to prawdopodobne. Coraz większy niepokój odczuwam.

Siedem. Jak ten film Davida Finchera. Tylko czy jestem starym Williamem Somersetem czy młodym Davidem Millsem? A może Johnem Doe? Uśmiecham się ironicznie do myśli o byciu psychopatycznym mordercą.

– Nie przywitałeś się – wrywa mnie z moich myśli żeński głos. Zatrzymuję się w środku tego krótkiego dystansu. Na brzegu basenu, z nogami w wodzie, siedzi Alicja. – Nie chciałeś? Chciałeś mnie uniknąć czy naprawdę mnie nie zauważyłeś?

Wewnątrz siebie przewracam oczami. Za dużo niewygodnych pytań; nie wiem, na które odpowiedzieć.

– Dzień dobry – decyduję się nie reagować na zaczepki, ale podpływam do niej.

Scena jak z filmu. Opieram ramiona o murek. Tuż obok jej nóg – prawa założona na lewą. Ma pieprzyk przy prawym kolanie. Wspiera się na rękach, co powoduje, że ramiona są lekko uniesione. Widzę to, bo podnoszę wzrok. I widzę też, jak przechyla głowę, i że policzkiem dotyka ramienia.

– Jak spałeś? – pytam, by nie wyjść z gburą, którym i tak przecież jestem.

– Niestety, spałam. – Uśmiecha się.

– A miało być inaczej?

– Tak, cel był inny, ale księżę... cóż... nie stanął na wysokości zadania. – Tym razem zaśmiała się głośno, na tyle głośno, że wypełniła całą przestrzeń.

Nie chcę tego słuchać, więc zmieniam temat.

– Pływałaś już?

– Chwilę tylko. Więcej czasu spędziłam w saunie.

Mówi cicho i spokojnie. Jest jakaś inna niż wczoraj wieczorem. Milsza, cieplejsza, bardziej refleksyjna. Na pewno myślę tak z powodu policzka na ramieniu. Ale myślę też tak, bo patrzy przed siebie, nie skupiając wzroku na niczym konkretnym. Oczy są wtedy inne, jakby ich nie było.

– Księżę nie chciał popływać? – pytam, zerknąwszy najpierw w jedną i drugą stronę w obawie, że gdzieś go zaraz zobaczę. Choć nie wiem, skąd obawa.

– Księżę właśnie się pakuje, bo zaraz wyjeżdża.

– Klótnia małżeńska? – Żart niezbyt lotny, ale ją rozbawił.

– Nie. Taki był plan. Kwestie zawodowe.

– Nie wracasz z nim?

– Nie chcę. Miałam inny plan.

– Do kiedy zostajesz?

– Na razie do jutra, ale nie wykluczam dłuższego pobytu.

Pierwsza myśl: to nie jest dobra wiadomość. Może szukać towarzystwa. Wydają się naturalnym wyborem, skoro tak jak ona jestem tu sam. A przecież jedyna osoba, której towarzystwo na razie w tym hotelu toleruję, to Zosia.

– Nie przeszkadzam, popływam trochę – powiedziała, jakby chciała zadać kłam moim myślom.

Chcę zaprzeczyć, powiedzieć, że nie przeszkadza, że jej towarzystwo jest miłe, że chętnie jeszcze porozmawiam, ale nie robię tego. Kiwam tylko na znak, że przyjmuję informację, i zaraz po tym, jak ona zanurza się w wodzie, wyskakuję na murek.

Kładę się na leżaku, okrywając się ręcznikiem. Chwilę obserwuję Alicję. Pływa jak zawodowiec. Głowa pod wodą, co jakiś czas tylko ją wystawia, by zaczerpnąć powietrza. Łapie idealny rytm mimo krótkiego dystansu. Nawroty pod wodą. Nic tylko patrzeć i się uczyć.

Przyglądam się, jak spływają ze mnie krople wody, jak powoli znikają. Kiedy dochodzę do wniosku, że dzieje się to zbyt wolno, wstaję i wycieram się ręcznikiem. Wkładam szlafrok i idę w stronę drzwi. Kiedy zamykam je z drugiej strony, widzę, jak Alicja wynurza się z wody i idąc w stronę leżaka, przeczesuje mokre włosy obiema rękami. W tym momencie mnie dostrzega. Spotykają się nasze spojrzenia, ale z jej strony nie ma reakcji. Tylko patrzy. Utrzymuję to spojrzenie kilka chwil, ściągając wodę z włosów. Zaraz potem opada na leżak.

Stoję tak jeszcze trochę, po czym, odwracam się i kieruję do pokoju. Mijając recepcję, nie podnoszę nawet wzroku. Czuję się jak bohater filmu, który zajrzał właśnie w kulę czarnoksiężnika i zobaczył rzeczy zupełnie niewyobrażalne.

Jej oczy... był w nich smutek. Przez ułamek sekundy widziałem ją płaczącą, najpierw zwinęłą w kłębek w pustym łóżku, potem nad czymś grobem. Albo odwrotnie, nie wiem.

To dlatego teraz nie podnoszę wzroku, by nie „spotkać się” z recepcjonistką Dianą i by nie stracić z oczu tych obrazów. Chcę z nimi wejść do pokoju i jeszcze raz je odtworzyć. Tak, wiem, że to niemożliwe. Nawet nie mam pojęcia, skąd te obrazy wzięły się w mojej głowie. Nie mam zdolności telepatycznych ani nie jestem żadnym medium.

Rzucam ręcznik i szlafrok na łóżko. Staję przy oknie i patrzę na polanę. Jest zwyczajna, nudna, pospolita, taka jak każda tutaj. Obrazy z jej oczu straciłem, otwierając drzwi do pokoju. Zostają mi tylko wyobrażenia i domysły.

Do hotelowej restauracji docieram dopiero pół godziny później. Mijając recepcję, słyszę Dianę mówiącą do słuchawki telefonu:

– Nie, nie ma pani Zosi... będzie po południu, coś przekazać?... do kogo ma oddzwonić?... dobrze, powtórzę... ale gdyby pan...

Więcej nie słyszę, bo nie zatrzymuję się ani nawet nie zwalniam. Rejestruję za to informację, że Zosia będzie po południu.

Tym razem siadam przy ostatnim stole w restauracji. Chcę mieć kontrolę nad całą przestrzenią, wiedzieć, kto wchodzi, kto wychodzi. Na drugim końcu sali para, którą „poznałem” przy recepcji, a potem widziałem na basenie. Ona blondynka, on osiłek. Jedzą w milczeniu, ona co jakiś czas zerka w telefon. On nie zwraca na to kompletnie uwagi.

Znów zamawiam jajecznicę. Dostaję ją po kilku minutach. W tym czasie zdążyłem zapełnić talerz warzywami z bufetu i napełnić sokami dwie szklanki.

Kątem oka dostrzegam postaci za oknem. Odwracam się i widzę Ksawerego w ostrej polemice z kimś w roboczym wdzianku. Gestykulacja mówiła sama za siebie. To była „zjebka” i instruowanie, co i jak ma wyglądać. Nie umiem czytać z ruchu warg, ale jestem przekonany, że padła w tej rozmowie niejedna „kurwa”.

Chodzi o trawnik. Coś z nim nie tak. Ten na roboczo ubrany chyba nie do końca rozumie, co Ksawery do niego mówi. Chyba że tak po prostu wygląda jego twarz – ciągle nieskażona myślą.

– Mogę się dosiąść? – Zapatrzyłem się na tę dwójkę i nie zauważyłem, że podchodzi. – Nie lubię jeść sama.

Dziwne, bo wydawała mi się raczej samotnicą. Taką, co czerpie orgazmiczną rozkosz w byciu samą. Jednak mogłem się mylić, w końcu widziałem ją dwa razy. Wczoraj wieczorem była jednak sama, dziś rano na basenie sama.

Nie czeka na pozwolenie, choć moja dłoń wskazująca krzesło naprzeciwko mogła za takowe uchodzić.

– Księżę wyjechał? – Udadę zainteresowanie. Kąciki jej ust delikatnie się uniosły.

– Wróciłam do pustego pokoju.

Przyszła z kawą. Zadaję sobie pytanie, czy jest jedną z tych kobiet, które w ogóle nie jadają śniadań. Ale ona w tym momencie wstaje, dając mi znak, że zaraz wróci. Idzie w stronę bufetu, kołyszac biodrami. Staram się na nią nie patrzeć. Pochłaniam jajecznicę, rejestrując, że Ksawerego i tego drugiego już nie ma. Instrukcje zapewne przekazane.

– Byłeś tu już kiedyś? – pyta po powrocie. Na talerzu widzę warzywa i biały ser ze szczypiorkiem. Jajko na twardo i jogurt. Oczywiście naturalny.

– Dawno temu – odpowiadam.

– Jak dawno?

– Jakieś dziesięć lat temu po raz pierwszy. I potem... trzy lata później.

– Ja byłam dwanaście lat temu, a potem jeszcze osiem i cztery lata temu.

– Dobra pamięć?

– A teraz od prawie roku bywam tu regularnie raz w miesiącu. – Uśmiecha się przy tym, ale jednocześnie spogląda na ogród za oknem.

– To chęć odpoczynku? – pytam z nieudawanym zaciekawieniem.

Alicja bierze łyk kawy. Zaraz potem kroi ser i częstuje się papryką. Mam wrażenie, że robi to, by mieć czas na zastanowienie się nad odpowiedzią.

– Kiedyś była to chęć odpoczynku – nie patrzy na mnie – teraz trochę wspomnienia, trochę chęć odpoczynku, a trochę coś innego.

Na końcu podnosi głowę i się uśmiecha. Bierze jeszcze jeden łyk kawy.

– A najbardziej po prostu to, że mogę – dopowiada, nie przestając się uśmiechać. – A ty?

– Co ja?

– Wiem, że chęć odpoczynku. A te siedem lat temu?

Wiem, jak to było. Przyjechałem, bo nie mogłem sobie poradzić z życiem. Agnieszki nie było. Odeszła bez zapowiedzi, bez uprzedzenia. Dziewczynki mnie potrzebowały, a ja dałem ciała na całej linii. Były momenty, że chciałem sobie strzelić w łeb – na szczęście krótkie. I że wszystko doprowadzało mnie do szału, w końcu też do depresji. I kiedy wszyscy chcieli mi pomóc, spakowałem się i przyjechałem tutaj.

– Też chęć odpoczynku – przyznaję. – Ale wtedy było inaczej.

– Dlaczego inaczej? – Zdjęła uśmiech z twarzy.

– Bo... – nie wiem, jak to ująć zwięźle, a przy tym tak, by za dużo nie powiedzieć – ...bo to było krótko po tym, jak zostałem wdowcem.

Znow łyk kawy, jakby nie wrócił na to niej wrażenia. Choć chwilę później spuszcza głowę. Kiedy ją podnosi, dostrzegam łzy w oczach. Dziwię się temu widokowi, bo jestem dla niej obcy.

– Pamiętam – mówi wreszcie.

Patrzę na nią pytającym wzrokiem. Trochę nawet zastygam z widelcem w dłoni.

– Co pamiętasz?

– Informację o wypadku twojej żony – wyjaśnia niemal szeptem, jakby ogłaszała tajemnicę. – Bardzo ci wtedy współczułam. Jej też.

Patrzy na mnie i widzi moje zaskoczenie. Nie wiem, co powiedzieć, więc milczę, wpatrzony w jeden punkt na jej twarzy. Nawet nie wiem który, bo czuję się jak ślepiec albo ktoś, kto ma przed oczami całe życie w jednym obrazie. Widzę doszczętnie spalony samochód. Dym unoszący się nad nim i kilku strażaków kręcących się powoli. Lekarza stojącego przy karetce i ratowników medycznych ocierających pot z czoła. Nigdy tego nie zapomnę. I te słowa...

– Panie Mateuszu... niestety, pańska żona...

Nigdy nie myślałem o tym dniu jak o najgorszym w całym życiu. Od zawsze natomiast myślę o nim jako o jedynym z innego życia. Jakbym był w innym świecie, może nawet w piekle. To nie był pierwszy dzień z reszty mojego życia. To był jedyny dzień życia w śmierci.

– Byłam wtedy bliżej mediów, znałam niektórych dziennikarzy – Alicja nadal mówiła szeptem. – Ciebie nie znałam. Nigdy nie byłś specjalnie dostępny dla ludzi. Potem było jeszcze gorzej. Wiem o tym.

Przeglądałam się jej. Jest przejęta, słyszę, jak drży jej oddech.

– To było dawno, dziwię się, że tak dobrze pamiętasz – mówię spokojnie, starając się nie pokazać po sobie, że wspomnienie wywołało reakcję. – W jakim sensie byłaś bliżej mediów?

– Mieliliśmy okazję nawet zamienić kilka zdań – bagatelizuje moje pytanie – zupełnie przypadkowo.

– Jak to? Chyba bym zapamiętał?

– Byliśmy w grupie, ciebie bardziej interesował mój mąż. – Delikatnie się uśmiecha, bo zdaje sobie sprawę, jak to brzmi. – Był politykiem.

Wlepiam w nią wzrok. Za żadne skarby nie mogę sobie przypomnieć jej twarzy. Z jednej strony nie powinno mnie to dziwić, z drugiej... twarz Alicji raczej zapada w pamięć. Zwłaszcza jej spojrzenie.

– Nie pamiętasz Kawskiego?

Oczywiście, że pamiętam. Wszystkich pamiętam. Tylko że ich żony, dzieci, rodziny, majątki były dla mnie mniej istotne.

– Oczywiście, że pamiętam – odpowiadam nieco zaskoczony. Kawski to zapomniana postać polskiej polityki. Nie stał na pierwszej linii frontu, ale w moim programie pojawił się raz czy dwa. Zapamiętałem go z powodu niezwykłego spokoju, jaki w sobie miał. Ale wydawał mi się zbyt wrażliwy na politykę. Mało odporny na internetowy hejt, na insynuacje polityków innych opcji. Pewnie dlatego tak skończył.

– Pamiętam wszystko – mówię. – Tak jak ty pamiętasz Agnieszkę.

– Mnie nie pamiętasz.

– To prawda.

– Ale nie dziwi mnie to. Zupełnie inaczej wtedy wyglądała. Była blondynką, szczupłą blondynką. Lustruję ją wzrokiem, choć już od wczoraj wiem, że nie jest szczupła. Wiem też, że nie jest blondynką. Jest ruda.

– Co się stało z twoim mężem?

– Przecież wiesz, rzucił się z balkonu naszego mieszkania na dziesiątym piętrze.

– Pytam, co się stało naprawdę.

Kilka tygodni po jego śmierci pojawiły się informacje, że ktoś mu w tym skoku pomógł. Był jednak zbyt mało znaczącą postacią, by media uparcie dążyły do wyjaśnienia sprawy. Sam może raz zadałem to pytanie na forum publicznym, zadowolając się zdecydowaną odpowiedzią, że było to samobójstwo.

– Naprawdę tak było. Był na politykę zbyt naiwny i wrażliwy. Trochę się męczył.

– A nie było tak, że nie wytrzymał oskarżeń o korupcję?

– Tak. Trudno mu było pogodzić się z tym, jak brudna jest polityka. Wpadł w depresję, kiedy przez długi czas nie mógł normalnie pracować z powodu tych oskarżeń.

Nie wierzyłem wtedy w te oskarżenia. Uważałem go za działacza pełnego energii i pozytywnego zapału, bez chęci niszczenia innych. Nie wyglądał też na kogoś z dolarami w oczach. I przede wszystkim nie miał takiej mocy decyzyjnej, by brać za nią pieniądze. Chyba nawet nikt nie był tak głupi, by mu je proponować.

– Był załamany brakiem pomocy ze strony partyjnych kolegów – mówiła dalej – a swoje zrobili też lokalni dziennikarze.

Lokalni. Tak, to była sprawa dla nich. Ilu jednak wśród nich było prawdziwych dziennikarzy, tego nie wiem.

– Dlatego mam lekką alergię na przedstawicieli tego zawodu.

– Trochę rozumiem, trochę nie – próbuję protestować, choć wiem, że to na nic.

– Nie musisz. To moje prawo i subiektywne podejście. Tamci byli chujami i tego wrazenia nie potrafisz się pozbyć. – Ma zaczińnięte szczęki, wbrew pozorom wygląda świetnie z takimi napiętymi zuchwami. – Zresztą niewiele robicie, bym mogła zmienić zdanie.

Robię za to wiele, żeby nie było po mnie widać irytacji. Zawsze się pojawia, kiedy wrzuca się nas do jednego worka. I trudno z tym polemizować, bo sam widzę, jak jest. Jestem za stary, by przymykać oko na fakt, jak psuje się ten zawód. Warsztat się nie liczy, język się nie liczy, wiarygodność się nie liczy. Liczy się sensacja i granie na emocjach. A, i jeszcze kontrowersja. I to pseudodziennikarstwo śledcze. Śledczych dziennikarzy jest w tym kraju kilku. Reszta tylko nieudolnie próbuje nimi być. Ach, zły jestem, że nie mogę wiarygodnie i z pełnym przekonaniem bronić przed nią mojego zawodu.

– Nie będę ci kadzić, że jesteś inny – mówi, jedząc jogurt. – Ale jesteś, może dlatego, że stary.

Śmieje się głośno. Ja też nie powstrzymuję uśmiechu, choć robię to dyskretniej niż ona. Ma perlicie białe zęby, wśród nich uroczy wyróżniają się trójki, jak dwa kły. Mogę na nie patrzeć tylko przez ułamek sekundy, bo Alicja tłumii śmiech, dłonią zasłaniając usta i jednocześnie rozglądając się na boki. Jakby ją obchodziło, czy komuś przeskądza w spożywaniu śniadania. Ale spośród pięciu osób znajdujących się w restauracji głowę w jej stronę odwraca jedynie osilek. Nawet wykrzywia nieco usta w specyficznym sterydowym uśmiechu.

Za oknem ponownie pojawia się Ksawery. Tym razem jest sam i przechadza się powoli po trawniku, wgapiając się w telefon. Znowu ma na sobie zbyt krótkie spodnie i mokusy na bosych stopach.

– Nie pasuje mi ten człowiek – mówi Alicja. Dopiero teraz zauważam, że ona też na niego patrzy.

– Dlaczego?

– Jest w nim coś... – zawieszka głos – ...z jednej strony komicznego dla takich cyników jak my...

– ...a z drugiej strony niepokojącego? – kończę zdanie pytająco.

– Tak! Właśnie to chciałam powiedzieć. – Delikatnie uderza przy tym wyprostowanymi palcami o blat stołu, jakby chciała tym wyrazić radość ze zgodności spostrzeżeń. Ale to nie radość, to lekkie podenerwowanie. – Przypomina mi Anthony'ego Perkinsa z *Psychozy*.

– Myślisz, że trzyma gdzieś trupa swojej matki i do niej gada?

Widzę, jak mruży oczy, patrząc na niego, i dociera do mnie, że ona nie żartuje. Ona naprawdę go prześwietała.

– Był już, kiedy przyjechałam tu cztery lata temu. Wtedy prawie go nie zauważyłam. Ale ostatnie moje w miarę regularne wizyty to już coś zupełnie innego. Przyglądał mi się. Miałam wręcz wrażenie, że mnie obserwuje.

– Śledził cię?

– Tego nie mogę stwierdzić z całą pewnością, ale kilka razy złapałam go na przyglądaniu się.

– Może jest wrażliwy na kobiece piękno?

– Dziękuję, ale to nie to. Potrafił to rozróżnić. Interesowało go wszystko poza moją kobiecością.

Nie spuszcza z oczu Ksawerego. Ten przyłożył właśnie telefon do ucha i rozmawia, wymachując lewą ręką.

– Przyglądał się mojej walizce. To sobie zapamiętałam. Zostawiłam też kiedyś torebkę na kanapie w kawiarence i poszłam do toalety. Zastąpiłam go wpatrującego się w nią badawczo. Twierdził potem, że robił to w trosce o mienie gościa hotelowego. Bzdura. Ta mała Zosia z recepcji mówiła mi, że przestudiował mój podpis w księdze meldunkowej i zapisał sobie mój adres domowy.

– Słucham?!

Wyobrażam sobie, jakie zaskoczenie maluje się na mojej twarzy.

– Tak było. Ale nie wiem, dlaczego to robi, i nie wiem, czy chcę się dowiedzieć.

Patrzę na nią z niedowierzaniem. Potem zerkam na ciągle gadającego do telefonu Ksawerego. I mam wrażenie, że oglądam film, bo nagle kamera dojeżdża do aktora, a jego ręce poruszają się w zwolnionym tempie. Słyszę nawet muzykę. To *Sentinel* Mike'a Oldfielda, ten oparty na temacie z filmu *Egzorcysta*. I w tym zwolnionym tempie Ksawery odwraca głowę i powoli podnosi powieki. Wtedy widzę, że patrzy prosto w moje oczy. Odsuwa telefon od ucha i nadal w zwolnionym tempie mówi coś do mnie. Widzę tylko poruszające się usta, wyraźnie mówiące coś gniewnie, wręcz z wściekłością. I dociera do mnie wtedy, że jego oczy są krwistoczerwone.

– Lubię tę muzykę – odzywa się nagle Alicja i w pierwszej chwili dziwi się, że ona słyszy to samo co ja. Mam wrażenie, że się właśnie obudziłem. Szybko odwracam głowę w jej stronę.

– Coś się stało? – pyta wyraźnie zaniepokojona.

– Nie, nie – odpowiadam zaskoczony, a potem patrzę na Ksawerego. Wciąż rozmawia przez telefon. Myślę: Co to, kurwa, było?

– Dobrze się czujesz? Zbladłeś, masz załzawione oczy.

Chowam twarz w dłoniach i przecieram oczy. Mocno, tak mocno, że zaczynają mnie boleć. Twarz też zaczyna piec.

– Teraz to już jesteś czerwony. – Alicja się denerwuje, widać to po niej. Nalewa do szklanki wodę i stawia ją przede mną.

– Nie, dziękuję, wszystko w porządku – staram się mówić spokojnie, choć jestem przejęty tym, co się stało. – Dziwne rzeczy mnie ostatnio spotykają. Miałem odpocząć, a... sam nie wiem co.

– Ostatnio? Tutaj? – Wyraźnie ją to zainteresowało. Oparła się na łokciach i nachyliła.

– Tak, tutaj.

– Jakoś mnie to nie dziwi, ale mów.

– Dlaczego nie dziwi?

– Bo to jest dziwny hotel. Nie tylko z powodu tego gówniarza. Oni prowadzą tu jakieś szemrane interesy.

– A mimo wszystko tu przyjeżdżasz.

– Bo ja też jestem dziwna. Łatwo się tu ukryć, bo daleko do cywilizacji.

Kiwam głową, jakbym chciał potwierdzić jej słowa. Bo ma rację. Kilkanaście ostatnich kilometrów drogi prowadzącej do tego miejsca to odludzie albo małe przydrożne wsie. Na tyle małe, że nawet nie w każdej jest kościół. Ostatnia wieś przed hotelem też jest nieco od niego oddalona. I nie widać go

z żadnego miejsca w tej wsi. Jest idealnie ukryty za drzewami. Wyłania się dopiero po skręceniu z głównej drogi.

– Poza tym przyjeżdżam tu, bo intryguje mnie to miejsce – kontynuuje Alicja. – Może sobie wma-  
wiam, że coś dziwnego się tu dzieje. I czasem łapię się na tym, że nie chcę się dowiedzieć co, aby się  
nie rozczarować. – Uśmiecha się szeroko, znów pokazując zęby.

– Czas na mnie – mówię i wstaję, opierając ręce o stół.

– Spieszysz się gdzieś? – pyta i zaskakuje mnie tym.

– Tak, odpoczywać – odpowiadam szybko, delikatnie się uśmiechając.

– Dotrzymasz mi towarzystwa przy kawie?

Znów mnie zaskakuje. Zastanawiam się chwilę. Właściwie i tak zamierzałem pójść do kawiarenki  
i poprosić Dianę o kawę z cynamonem.

– Z przyjemnością. – I nie było to kłamstwo ani nawet kurtuazja.

Alicja wstaje uśmiechnięta i zabierając klucz z blatu stołu, robi zwrot w stronę wyjścia. I nagle wła-  
śnie tam, w tym wejściu, zauważam Błażeja, tego, który miał mnie „skojarzyć” i mi się przyglądać.  
Właśnie wchodzi do restauracji, ale kiedy podnosi wzrok i mnie dostrzega, zwalnia, w końcu zatrzy-  
muje się i zakłopotany idzie w drugą stronę.

Wróciła. Zawsze wracała, nawet po najburzliwszych kłótniach, do jakich przecież dochodziło między przyjaciółkami. I zawsze to ona pierwsza wyciągała rękę do zgody.

Agnieszka.

Wiedziały o sobie niemal wszystko. Od kiedy zamieszkały ze sobą w pokoju akademickim na Muranowie, trzymały się razem jak nikt inny na uczelni. Magda na żadną imprezę nie ruszała się bez niej. Agnieszka również bez Magdy nigdzie nie wychodziła. Wszyscy mówili o nich *sisters*, choć przeszłość miały zupełnie inną.

Magda była córką alkoholików. Nawet poczeli ją po pijaku, o czym często jej przypominali. Agnieszka wychowywała się w rodzinie intelektualistów, którzy od początku do końca zaplanowali jej edukację. Wyłamała się po maturze, zamiast studiów prawniczych wybierając psychologię. Rodzice jednak nie dostrzegli w tym powodów do dramatyzowania. I choć była im za to wdzięczna, przestała im w końcu przytakiwać.

Magda z niskim poczuciem wartości, Agnieszka – dowcipna dusza towarzystwa. Obie za to urodziwe, z umiejętnościami łatwego owijania sobie wszystkich wokół palca. Nie tylko mężczyźni.

Niewiele o sobie wiedziały, kiedy zajęły pokój numer dwieście dwa w domu studenckim. Ot, przypadek – kilka słów w kolejce do dziekanatu i decyzja. Po pięciu latach studiów nie miały już przed sobą żadnych tajemnic. Rozdzielały je tylko zajęcia na uczelni i czasem randki. Często przyznawały, że żaden mężczyzna nie jest w stanie dać im tego, co one wzajemnie sobie dawały. Żartowały, że powinny zostać lesbijkami. „To by wiele ułatwiło”.

Ale po studiach postanowiły zamieszkać osobno, chociaż spróbować. I tak już od roku mierzyły się z życiem w pojedynkę. Trochę trudniej było Magdzie. Studia socjologiczne nie wprowadziły jej na salony. Pracowała w pubie, czasem, z miłości do nauki, przy badaniach opinii publicznej. Tak zresztą poznała Radka, przystojnego czterdziestolatka z kontaktami w środowisku politycznym. Nie ukrywał tego, wręcz czasem się tym chełpił. Magdzie to przeszkadzało, ale przymykała oko. Zaufała, pozwoliła się zbliżyć i... wpadła po uszy. Jedni nazywają to fatalnym zauroczeniem, inni zakochaniem.

Agnieszka ją ostrzegała, mówiła, że to nie towarzystwo dla niej, że jest dla niego zabawką, że nie wiadomo, jakie ma wobec niej zamiary. Ale jakie on mógł mieć zamiary?

– Dobrze się z nim bawie, i tyle – mówiła często Magda. – Seks jest fajny, nikt mnie tak wcześniej nie pieprzył.

Ale któregoś dnia powiedziała Agnieszce, że to coś więcej niż seks. Myśli o nim często i nawet kiedy traktował ją protekcyjnie czy wręcz lekceważąco, ona akceptowała to, chcąc być blisko niego. Tym bardziej że często był czarujący, hojny i opiekuńczy. I to nic, że najczęściej wtedy, kiedy czegoś od niej potrzebował. Był wtedy taki przesłodzony. Gdyby te wszystkie zdrobienia usłyszała z ust innego faceta, miałyby odruch wymiotny. Radkowi pozwalała na więcej.

I tylko Agnieszka ciągle ją ostrzegała. Bo choć nie potrafiła zatrzymać przy sobie żadnego mężczyzny, znała ich doskonale. Radka już po pierwszym spotkaniu opisała niezwykle trafnie.

– Będzie cię wykorzystywał – powiedziała. – Jest egoistą, nie widzisz tego teraz, ale intuicja mi podpowiada, że kiedy trzeba, ukrywa to skrzętnie. Lubi cię, ale nie będzie po tobie płakał. Będziesz cierpieć.

Magda słuchała tego wtedy w milczeniu. Wiedziała, że Agnieszka mówi to, by ją chronić. A teraz, po tym, co się stało, wiedziała, że przyjaciółka dałaby wiele, by cofnąć czas. I że jest wściekła, że jej nie posłuchała.

– Jak się czujesz? – zapytała, kiedy tylko usiadła naprzeciwko niej przy kuchennym stole.

– Fizycznie czy psychicznie? – Magda podniosła głowę, ale nie spojrzała Agnieszce w oczy, tylko gdzieś obok.

– I tak i tak.

– Może być – odpowiedziała zniechęcona, przewracając oczami.

– Czy on cię tak samą stamtąd wypuścił?



Magda wstała i wolnym krokiem podeszła do lodówki. Wyjęła z niej karton mleka i naleła do kubka. Wstawiła do mikrofalówki i włączyła na dwie minuty.

– Aga, nie chcę o tym rozmawiać. Powiedz lepiej, co u ciebie.

– Moje sprawy są nieważne, jeśli ty masz poważny problem.

– Ale ja nie mam problemu. Tam przez chwilę miałam, ale teraz jest okej. Dojdę do siebie.

Agnieszka zawiąła nad kubkiem kawy. Zwykle to dobry moment, by napawać się jej zapachem, ale teraz co innego miała w głowie. Wiedziała, że trudno będzie Magdę przekonać, by coś powiedziała. Była jak ona – zawzięta i zamknięta. Sama decydowała, co i kiedy o sobie powiedzieć. Nawet jeśli odbiorcą miała być Agnieszka.

Mikrofalówka dała znak, że mleko jest już podgrzane. Magda jednak stała bez ruchu z założonymi rękami, oparta o parapet. Dopiero po dłuższej chwili jakby się ocknęła i sięgnęła po kubek.

– Wkurwiasz mnie! – Zerwała się nagle Agnieszka.

– Czym?

– Najpierw nie słuchasz, co mówi moja intuicja, mimo że wiele razy się sprawdziła nie tylko w moim, ale też w twoim życiu. A potem nie pozwalasz sobie pomóc.

– Aga, powtarzam ci jeszcze raz, że nie potrzebuję żadnej pomocy. Czuję się dobrze. – Wzięła duży łyk mleka. Od kiedy pamięta, lubiła jego smak. Wszelkie opowieści o szkodliwości laktozy miała zawsze gdzieś. Lubiała zwłaszcza gorące mleko z kożuchem na wierzchu. Mikrofalówka kożucha jej nie zapewniała, ale nie zawsze chciała jej się gotować mleko, by go uzyskać.

– Dobra, odpuszczam. Jaki plan teraz?

– Dziś już nigdzie nie wychodzę, jutro leję browar w knajpie. Rano mam spotkanie w sprawie pracy.

– To, o którym mówiłaś w sobotę?

– Nie. To mam w piątek. – Zmrużyła oczy, jakby zaczęła się nad czymś zastanawiać. – Jaki dziś dzień?

– Środa. – Agnieszka mimowolnie spojrzała na zegarek. Nie tam szukała informacji na temat dnia tygodnia, ale przy okazji sprawdziła, która godzina: siedemnasta czterdzieści osiem. – Może pójdziemy do kina? O dziewiętnastej na pewno jest jakiś seans.

– Niiiee, poleżę sobie.

– Chodź, odprężysz się, wyluzujesz. Potem napijemy się wina.

Magda uśmiechnęła się niepewnie i znów wypila łyk mleka. Tak przechyliła kubek, że białe krople zostały na górnej wardze.

– Potrafisz namówić...

– W takim razie idź się ogarnąć, poczekam na ciebie. Razem pojedziemy.

Magda nie była przekonana, czy wyjście do kina to dla niej wymarzony sposób na ten wieczór, ale wiedziała też, że czas z Agnieszką nigdy nie jest czasem straconym.

Poszła do łazienki. Jeszcze raz spojrzała sobie w oczy, stojąc przed lustrem. I jeszcze raz zirytowała ją to, co miała pod okiem. Szybko wzięła się jednak za makijaż. Prawie udało się zakryć to limo. W kinie i tak będzie ciemno.

Długo chesała włosy, proste, czarne, sięgające ramion. Pomyślała, że może czas na grzywkę. Nie nosiła jej już kilka lat. Pomyśleli o tym jutro, jak Scarlett O'Hara. Choć w niczym jej nie przypominała, to z tym powiedzeniem często było jej po drodze. Jutro to, jutro tamto i jutro wiele innych rzeczy. Jutro i już.

W sypialni, właściwie jej jedynym pokoju, tyle że z łóżkiem, dlatego nazywała go sypialnią, sięgnęła do walizki. Szukała flakonika perfum, który dostała od Radka miesiąc temu. Przepraszał ją wtedy, że nie przyjechał na kolację do restauracji. I to właśnie wówczas zaproponował wyjazd do romantycznego hotelu w górach, jak powiedział: „na moc uciech cielesnych”. Nie należała do kobiet, które trzeba namawiać, albo do tych, które często boli głowa, więc zgodziła się bez zbędnego zastanawiania. Wtedy nie miała pojęcia, na co się godzi. Dowiedziała się dopiero na miejscu.

Na dnie walizki jej dłoń natknęła się na to, co chciała ze złością wyrzucić przez okno pociągu. Siedząc w wagonie, wśród obcych ludzi, nie mogła tego jednak znaleźć. Zawieruszyło się w spakowanych pospiesznie do walizki ciuchach. Naszyjnik z zawieszką z bursztynu w kształcie łyzy. Co za ironia potwornego losu.

Zamknęła go w dłoni, zanim wyjęła z walizki. Zaraz potem przed oczami Radek, uśmiechnięty, zadowolony i zawieszający go gówno na jej szyi. Z wściekłością rzuciła wisiołek na podłogę.

Stanął przed wejściem do baru Pod Konikiem i już chciał nacisnąć klamkę, ale w ostatniej chwili odwrócił się i rozejrzył we wszystkie strony. Spodziewał się, że może dostrzec ukrytego za drzewami jeepa albo kogokolwiek śledzącego jego ruchy. Niczego takiego jednak nie zauważył, więc wszedł zdecydowanym krokiem do knajpy.

Kierował się prosto do bufetu, ale dostrzegł siedzącego przy jednym ze stołów mężczyznę. To jeden z tych Józków czy Janków ze wsi. Nie rozróżniał ich, bo widział każdego raz czy dwa. Ten akurat skinął delikatnie głową, gdyby miał kowbojski kapelusz, to pewnie jeszcze dotknąłby dwoma palcami jego ronda.

Daniel stanął przy barze, a że nikogo za nim nie było, przesunął się w lewo, by spojrzeć w otwarte drzwi zaplecza. Potem puknął kilka razy w blat, licząc na to, że ktoś usłyszy. Ktoś... oczywiście Marysia, bo nikogo innego jeszcze tu nie widział za barem. Rzadko tu wprawdzie przychodził, ale z czasów życia w cywilizacji pamiętał, że w kawiarniach przesiew wśród kelnerów i barmanów był dość intensywny.

Marysia przyszła po kilku minutach, przeciągając się i strzepując jakieś okruchy z fartucha.

– Ni mom nic dla ciebie, Danielku – powiedziała, jak tylko go zobaczyła.

– Ja nie po to – odrzekł szybko, próbując ściszyć tę rozmowę. – Nie było tu Wojtka?

Marysia spojrzała na ścienny zegar umieszczony nad wejściem do kuchni. Była dziesiąta trzystaście.

– Jak bedzies miał scyńście, to psyjdzie za połowe godziny.

Daniel również zerknął na zegar i zatrzymał na nim wzrok, zastanawiając się, czy czekać na Wojtka teraz, czy przyjść jutro. Szybko doszedł jednak do wniosku, że szkoda czasu na czekanie do jutra, lepiej z nim pogadać już dziś. Po tym, jak pojawił się w nocy przy jego chacie, Daniel chciał jeszcze raz usłyszeć to wszystko w jasności dnia.

– Poczekam na niego – oznajmił Marysi.

Usiadł na drugim końcu dużego pomieszczenia, niemal tuż przy kominku, o tej porze oczywiście nierozpalonym. Ale poprzedniego dnia wieczorem działał pełną parą, bo zostały w palenisku spalone drwa brzozy. Rozpoznał gatunek bez trudu, bo żył wśród drzew od dłuższego czasu.

Marysia podała właśnie kufel z piwem temu Józkowi czy Jankowi. To chyba trzeci, bo na stole stały już dwa puste. O tej porze dnia już trzy piwa w przelyku to wyczyn, choć może nie dla tubylców. Daniel takich rekordów na koncie nie miał. Niemal cały alkohol, jaki w siebie wlał w swoim życiu, spożywał wieczorami. W knajpach, pubach, menelniach, na imprezach czy spotkaniach towarzyskich. Często też po to, by zakatwić coś „na mieście”. No i w domu, z Martyną. Zdarzało im się wprowadzać w stan nieważkości, a potem tańczyć i kochać się długo w każdym pomieszczeniu mieszkania.

Tęsknił za nią i nie zawahałby się o tym powiedzieć, gdyby ktoś pytał. I nawet tu byłoby mu z nią dobrze. W tej nędznej chacie, w lesie, i nawet w tym śmiesznym barze z Marysią podającą piwo i gorące oscypki z żurawiną.

– A ty nic nie chces, Daniel? – Marysia stała za barem i wpatrywała się w niego tymi niebieskimi „łocyntami”. I – jak często się zdarzało – pochylona była nad blatem. A że cycki miała wielkie jak u każdej wiejskiej baby, to jej się wylewały z tej wydekoltowanej sukienki. Marysi to nie przeszkadzało, Daniel miał nawet wrażenie, że kompletnie nie przywiązuje do tego wagi. A wszelkie na ten temat docinki klientów po kilku browarach kwitowała zawsze jednym zdaniem:

– Ty stary gupku, idźże ty do tyj swojij baby.

Martyna nie miała dużego biustu. Żartem nazywał ją wręcz „deską”. I choć to nie była do końca prawda, jednak w jego dłoniach jej piersi znikaly bez śladu.

– Oscypka możesz mi przypiec – odpowiedział po chwili zastanowienia. Śniadanie zjadł w chacie – kanapki z wiejskiego chleba z masłem i pomidorami – więc tylko ten oscypek był w kręgu jego zainteresowania. – Ale możesz też poczęstować mnie tym swoim sernikiem po krakowsku – dodał jeszcze bez pośpiechu.

Marysia ruszyła w stronę drzwi kuchni, kiedy jeszcze ją zatrzymał.

– I jak już tak pytasz, to jeszcze kawy mi daj. Mocnej.

Celowo nie użył słowa „proszę”. Oni tu tak nie mówią. Daniel nigdy nie był przesadnie grzeczny, a tu już zupełnie przestał się krygować. Mówił po prostu, czego chciał bez zbędnego proszenia.

Tubylec z trzecim browcem wlewającym w gardło odwrócił się w stronę Daniela z takim wyrazem twarzy, jakby się brzydził słowa „kawa”. Jakby był to napój dużo mniej naturalny o tej porze dnia niż piwo. Miał twarz zmęczoną życiem, ale chyba bardziej okowita, której górale spijali tu całe rzeki. A potem się świetnie po niej bawili, co też było widać na jego facjacie. Bez wątpienia ktoś mu kiedyś złamał nos, a ten się źle zrosł. Do tego niewyleczony trądzik młodzieńcy zostawił ślady na policzkach. Paskudny był po prostu ten Józek czy Janek. I choć Daniel naogładał się w swoim życiu mord zakazanych setki, to jego twarz była dla niego trudna do zniesienia. No i wbrew pozorom te zakazane mordy zabijaków ze stolicy wcale nie były wcale paskudne. Wielu z tych gangsterów lubiło dobrze wyglądać, wielu świetnie się ubierało i prezentowało. Wielu z nich zależało na imponowaniu modelkom z agencji, a to wymagało zadbania o fizjonomię. Inna sprawa, że paru z nich Daniel twarze pokiereszował. Czasem ze zwykłej ludzkiej złości, czasem w obronie swojej lub czyjejś, a czasem zwyczajnie na zlecenie. Głośno zrobiło się o nim, kiedy wyrzucił z knajpy dwóch dwumetrowych typków Cyfrowego – człowieka rządzącego Mokotowem i Ochotą. W dupie miał też źdźzire, która z nimi zadzierła, ale kiedy jeden z nich zaczął ją szarpać za włosy, podszedł do niego zdecydowanym krokiem i powiedział:

– Brakuje mi w tym kraju dżentelmenów, mógłbyś jakimś sposobem dołączyć do tego nielicznego grona?

Reakcją był rubaszny śmiech i „spierdalaj”. Daniel wyprowadził wtedy szybki cios łamiący nos, a potem łokciem powalił delikwenta na podłogę. Drugi z bandziorów nie zdążył z reakcją, bo oberwał w jabłko Adama, co zupełnie wyprowadziło go z równowagi. Kilka minut później, po laniu obserwowanym przez klientów knajpy, obydwa wyładowali na płytach chodnikowych przed lokalem. Daniel nie był z tego dumny, ale przysporzyło mu to rozgłosu. Pojawiły się zlecenia, a on je przyjmował, bo nie widział nic złego w korzystaniu z własnej siły i umiejętności nabytych na treningach bokserskich i zapasniczych. Nawiązał zaskakujące znajomości, takie życzliwe, ale rozmnożyli się też wrogowie. Może dlatego nie ma już Martyny.

Nigdy nie potrafił się z tym pogodzić. I nigdy sobie tego nie wybaczy.

– Daniel... – Wojtek podszedł tak cicho, że go nie zauważył. – Co tu robisz?

Jego twarz wyrażała dość skrajne emocje. Z jednej strony strach, choć trudno powiedzieć, z jakiego powodu, z drugiej zadowolenie, chyba z tego, że spotkał Daniela. Uśmiechając się jednak, zerknął w stronę krzątającej się przy bufecie Marysi i żłopiącego piwo Józka czy Janka. Ten zauważył Wojtkę i podniósł wysoko rękę na znak, że go wita i pozdrowia.

– Cześć, Józek! – Wojtek również wystawił ramię, po czym usiadł naprzeciwko Daniela. Przez chwilę milczał, wgapiając się jedynie w jego oczy. On z kolei skupiał się na serniku krakowskim, który przed chwilą podała Marysia.

– Co jest, Daniel? – zagadnął jeszcze raz. – Koperta dziś była znowu?

– Nie, ty byłeś u mnie w nocy, Wojtuś – odpowiedział Daniel, przełykając kawałek sernika. – I tak sobie pomyślałem, że jak się uspokoisz, to mi powiesz to wszystko jeszcze raz. Bo może o czymś zapomniałeś.

– O nie, drwalu... – Wojtek pokiwał zdecydowanie głową. – Drugi raz nie przejdzie mi to przez gardło...

Mówił cicho i ciągle zerkał na Józka, sprawdzając, jak bardzo jest zaangażowany w opróżnianie kuffa, co oznaczałoby, że nie słyszy ani słowa. Józek najprawdopodobniej był zaprzętnięty swoimi myślami, choć jego twarz nie wydawała się jakimikolwiek myślami skazona.

– I tak się dziwię, że ci to wszystko powiedziałem – nachylił się w stronę Daniela, kiedy to mówił – ale musiałem komuś... a jakoś tak sobie myślę, że mogę ci ufać. Jesteś jakimś cichym diabłem i uciekasz od ludzi. Dlatego ci wierzę.

– Nie znasz mnie, nie wiesz, kim jestem – odrzekł Daniel, wsuwając ostatni kawałek sernika. Dawno nie jadł niczego słodkiego. Czuł, że za chwilę będzie go mdlić.

– Nie muszę wiedzieć. Poza tym chciałem, żebyś wiedział o tym hotelarzu.

– Hotelarzu?

– No, o tym młokosie mówię.

– On ma jakiegoś szefa?

– Chyba właściciel hotelu jest jego szefem. Nazywa się Moneta... zaraz... jak on ma na imię. – Wojtek nagle sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyjął jakiś pomięty notatnik wielkości paczki papierosów. Zaczął szybko wertować, zatrzymując się na niektórych stronach. – Jan. Jan Moneta.

– Zapisujesz takie rzeczy w notesie?

– Żeby nie zapomnieć. A może się przydać. – Był nieco zakłopotany i szybko schował zapiski do kieszeni. – Tak jak teraz na przykład.

– Co tam jeszcze masz zapisane? – Notes wzbudził ciekawość Daniela. Nie chciał jej jednak pokazać, więc zapytał takim tonem, jakby to robił z grzeczności.

– A różne tam takie rzeczy, których wolałbym nie zapomnieć, a które się mogą przydać.

– Zbierasz haki na ludzi?

Trudno było nie zauważyć, jak Wojtek w jednej chwili zamarł na ułamek sekundy, a potem, zawstydzony czy znów zakłopotany, spojrział w okno, a potem na Józka.

– Na mnie masz haka? – Drwał wbił wzrok w zastygłą twarz rozmówcy i czekał na odpowiedź.

– No co ty, Daniel. Mówiłem ci przecież, że ci ufam, że jesteś w porządku.

– To niczego nie zmienia, haka warto mieć.

– Kochany, nie zbieram haków na nikogo. Czasem sobie coś tam zapiszę...

– Nie mów do mnie „kochany”... źle to brzmi w twoich ustach.

Wojtek spurpurowiał i znów odwrócił się w stronę Józka. Spojrzął też na Marysię. Chyba odetchnął, widząc, że są zajęci swoimi sprawami.

– Daniel, nie bądź świnia. Nie wykorzystuj przeciwko mnie tego, co ci powiedziałem.

– Nie lubię, jak ktoś się tak do mnie zwraca. Mam złe skojarzenia.

Przez kilka lat mówił tak do niego Komin. I przez tych kilka lat udawał życzliwego, za plecami robiąc numery, jakich nie robi się wrogom. Daniel nigdy nie pozbył się wrażenia, że to pośrednio Komin jest winny śmierci Martyny. Niby płakał, kiedy się dowiedział, niby pomagał w poszukiwaniu tego gnoja Cynamona, niby ciągle pytał, czy w czymś może pomóc, ale to on uruchomił domino, którego ostatnim klockiem, choć dość przypadkowym, była Martyna. I ten klocek padł martwy.

– No to masz na mnie haka czy nie? – zapytał jeszcze raz, uśmiechając się delikatnie, by uspokoić wystraszonego Wojtkę.

– Nie mam żadnych haków... na nikogo.

– Nie wierzę. To przeczytaj, co masz o mnie.

– Nie ma co czytać... że przyjechałeś, że zostałeś i nie wiem, kim jesteś.

– Nie wierzę.

– Naprawdę nic więcej, przecież prawie nic nie mówiłeś.

To akurat prawda. Przyjechał tu milczący, z kilkoma słowami, takimi koniecznymi, by cokolwiek zdzielać na tym odludziu. O sobie, o przeszłości nie mówił nic. I dostrzegł pytający wzrok Wojtkę, który mu wtedy pomógł. To dzięki niemu miał tę swoją chatę. Jest bystrym obserwatorem, choć czasem nieco wścibskim.

– Masz się gdzie zatrzymać? – zapytał wtedy, zerkając na wypchany, brudny plecak Daniela. A gdy ten nie odpowiedział, tylko spojrział zdziwiony, dodał:

– Możesz u mnie, jeśli chcesz. Mieszkam z jedną starą babinką, dam ci osobny pokój z łóżkiem.

– Jakoś sobie poradzę – odrzekł Daniel w pełni świadomy, że powinien podziękować, ale słowo „dziękuję” ugrzęzło mu w gardle. Gniew na cały świat i całą ludzkość nie pozwalała mu wypowiadać jakichkolwiek słów o pozytywnym wydźwięku. Chciał być tym złym, czarnym charakterem z każdego sensacyjnego filmu. A jednocześnie w tej włóczędze czuł się jak Di Caprio w *Zjawie*. Propozycja przypadkowo napotkanego tubylca była kusząca, bo czuł, że potrzebuje już normalnego łóżka i kąpieli. Od ostatniej takiej okazji minął tydzień. Na kolejny pensjonat pożałował pieniędzy. Miał ich coraz mniej.

– Albo zaprowadzę cię do takiej chaty w lesie – uparcie próbował pomóc Wojtek. – Tam nikogo teraz nie ma i długo nie będzie. Tam się wyspisz, wykąpiesz.

Ta propozycja podobała się Danielowi znacznie bardziej. Powędrowali więc w górę przez dwie polany i głęboki las.

– Rano przyjdę po ciebie, bo stamtąd nigdzie nie trafisz – oznajmił tubylec, odpowiadając na niewypowiedziane pytanie, które zadał sobie Daniel.

Przemknęła mu wtedy przez głowę myśl, że w nocy ten „pomocny” człowiek wróci tam z kolegami i załatwi go na amen. Bo przecież nie wiedzą, że nic nie ma.

Ale nic takiego się nie stało. W chacie się umył i przespał na twardym materacu, przykrywając się jakimś zakurzonym kocem. A rano, jak obiecał, wpadł Wojtek. I kiedy powiedział, że właściwie mógłby tu zostać, Daniel pierwszy raz od dłuższego czasu pomyślał, że być może czas się zatrzymać gdzieś, nie iść dalej.

– Robota chyba by się też znalazła – mówił jeszcze nowy znajomy. – Nie wiem, co umiesz robić, ale coś by się znalazło.

Najlepiej to umiał dać po mordzie, nastraszyć, prowadzić auto. Ale potrafił też prowadzić dyskurs intelektualny. Martyna żartowała z niego, że jest odczytanym bandziorem, najinteligentniejszym zabijaką

w Polsce. Ale on nie czuł się żadnym zabijaką. Twierdził, że raczej unieszkodliwiwał, a w razie konieczności klepał michę.

– Siekierą umiesz machać?

– Radzę sobie.

– Każdy tak mówi, ale to góry, lasy ciemne, twarde, wielkie drzewa. Trzeba wiedzieć, jak ciąć, by przeżyć – perorował Wojtek, wyciągając z plecaka chleb, jajka i kielbasę. Najprostsze śniadanie z możliwych. – Przyniosłem, bo chyba nic nie jadłeś.

Został. Przez kilka dni tylko laził po lesie i polanach. Zadłużył się u Wojtka, by mieć co jeść, a kilka dni później dostał pierwsze zlecenie na kilka drzew.

I kiedy teraz siedział naprzeciwko tego faceta w barze Pod Konikami, pomyślał, że mimo wszystko ma u niego dług do spłacenia. Dzięki niemu się zatrzymał, trochę uspokoił, bo kiedy myślał o tamtym czasie, do głowy przychodzi mu słowo „dygot”.

– Dlaczego mi wtedy pomogłeś? – zapytał.

Wojtek wydał się zaskoczony pytaniem, bo rzeczywiście padło nagle, bez choćby najmniejszego uprzedzenia.

– Nie wiem, coś mnie tknęło, że powinienem.

– Często tak masz?

– Hm, ponoć tak o mnie mówią, że jak trzeba komu pomóc, to do Wojtka. – Uśmiechnął się. – Ludzie mnie tu lubią. Może właśnie dlatego, że jak trzeba, to pomagam.

– I teraz boisz się, że to może się skończyć?

Głowa Wojtka odskoczyła, jakby trafił w nią co najmniej Andrzej Gołota. Rozejrzał się przy tym ponownie na boki.

– Chcesz mnie wsypać? – syknął.

– Spokojnie, Wojtuś, ja jestem ten, co ci prędzej pomoże, niż zaszkodzi.

– Po co tu przyszedłeś? Żeby mnie stresować albo, nie daj Boże, szantażować?

– Weź się w garść, chłopie, za takie rzeczy kiedyś dawałem w mordę.

Wojtek schował twarz w dłoniach, po czym potarł ją mocno, aż poczerwieniała. Wziął łyk herbaty z prądem – specjalność Marysi – i oparł się o drewnianą ławę. Chwilę później sięgnął do kieszeni i wyjął telefon. Widać było, jak odblokowuje ekran i otwiera jeden z folderów. Wiadomości.

– Zobacz. – Wyciągnął dłoń w stronę Daniela. – Dziś rano znowu.

Na małym wyświetlaczu jego telefonu widniała wiadomość napisana kapitalikami:

**MASZ COŚ? PAMIĘTAJ O UMOWIE**

Wojtek dał drwalowi szansę na przeczytanie tych kilku słów przez jakieś trzy sekundy. Po ich upływie zabrał telefon sprzed jego oczu i wygasił ekran. Zaczął stukać palcami po blacie.

– To on? – zapytał Daniel, wskazując palcem telefon.

– On.

– Pokaż jeszcze raz, spiszę sobie numer. Może się przydać.

Wojtek trzymał jednak telefon w dłoni. Ta sytuacja zaczęła go przerażać. Mimo zaufania do tego człowieka nie miał pewności, czy jego kolejny krok będzie słuszny i rozsądny.

– Co chcesz zrobić? – odezwał się.

– Nie wiem jeszcze, ale lepiej, żebyem miał jego numer.

– Po co?

– Być może dostanie ostrzeżenie.

– Daniel, nie wygłupiaj się! – Wojtek wybałuszył oczy. – Nie mówiłem ci tego po to, byś narobił syfu.

– Spokojnie. Poczekam na odpowiedni moment. Jak zaczniesz mi to przeszkadzać. Na razie nie wiem, dlaczego się mną interesuje.

– Zostawisz mu łeb konia w łózkach? – Na twarzy Wojtka wreszcie pojawił się delikatny uśmiech.

– Łeb konia to propozycja nie do odrzucenia, a ja nie zamierzam mu niczego na razie proponować.

Od Cyfrowego otrzymał propozycję nie do odrzucenia. Nie był to łeb konia (*Ojca chrzestnego* znał pewnie jedynie ze słyszenia), a list dostarczony przez kolejnych jego ciulki w garniturach, a spalony już po przeczytaniu.

„Wypierdalaj z miasta, jeśli cenisz sobie życie swoje i swojej dupy”.

To zdanie wracało do niego wielokrotnie po śmierci Marty. I to z powodu tego zdania obwiniał siebie najbardziej.

Cyfrowy zajmował się w mieście elektroniką. Kradł i sprzedawał. Największą kasę zrobił na nielegalnych oprogramowaniach. Jego ekipa rozrosła się w szybkim tempie jeszcze w latach dziewięćdzie-

siątych, kiedy Cyfrowy rządził na Stadionie Dziesięciolecia. Potem zaczęły się bankomaty, karty płatnicze, włamania na konta bankowe. Trzepał niezły hajs, ale Danielowi groźny się nie wydał.

– Powiedzcie mu, że coś mu się popierdoliło we łbie – odpowiedział mięśniakom Cyfrowego. – Za mały dla mnie jest.

Sprawdził go zaraz po tym, jak pozamiatał jego chłopakami płyty chodnikowe przed pubem tamtego wieczoru. Dowiedział się, że Cyfrowy tylko gra twardziela, a jego ludzie są z nim, dopóki na tym dobrze zarabiają. Lojalności wobec niego nie mają za grosz. Takie zaprzeczenie mafii.

– Masz tu jego numer – powiedział nagle Wojtek, trzymając telefon przed twarzą Daniela. – Spisz sobie.

– Co mu odpisałeś?

– Nic jeszcze. To było godzinę temu. Niech poczeka.

– Napisz teraz – nakazał Daniel, mrużąc oczy – albo zadzwon.

– Nie, nie. Nie zadzwonię. Nie chcę z nim rozmawiać, to nieprzyjemny typpek.

– To napisz. Na przykład, że... hmm... – zadarł głowę i patrzył w sufit, próbując coś wymyślić – ... że na przykład nie chodzę do kościoła. Na tej wsi to może być niezły hak.

– Nie żartuj, Daniel. On w ogóle po religijnemu nie myśli.

– No dobra, to napisz, że ścinam drzewa dla proboszcza.

– Nie kpj sobie, brodaczu, on o tym dobrze wie.

– Brodaczu? – Daniel wyprostował się, patrząc na Wojtka wzrokiem, jakby zobaczył przed sobą Ozzy’ego Osbourne’a. Kiedyś namiętnie wsłuchiwał się w Black Sabbath. W planach miał nawet koncert w Monachium, ale się rozmyślił po marudzeniu Martyny.

– Mówił tak o tobie czasem.

– A teraz jak mówi?

– Nadal brodaczu albo też czasem włóczęga. Zna twoje imię, ale go nie używa.

Daniel uśmiechnął się pod nosem. Jak to czasem ludzie nie myślą o konsekwencjach.

Kątem oka zauważył, że znad kilku pustych kufli podniósł się Józek. Powoli i niezbyt pewnie się wyprostował, odchrząknął dwa razy głośno i pozdrawiając ręką Marysię, odwrócił się i ruszył w kierunku drzwi.

– Ale najczęściej mówi o tobie „on” – dodał Wojtek, ale zaraz zamilkł, widząc gest Daniela sugerujący, by nic nie mówił. Droga do drzwi prowadziła obok ich stołu, a lepiej, żeby Józek ich rozmowy, nawet we fragmente, nie słyszał. A szedł prosto, mimo pięciu, może sześciu piw wlanych w siebie w krótkim czasie.

I tak jak przewidział Daniel, zatrzymał się przy nich. Nie pierwszy i nie ostatni to delikwent skory do rozmów po wypiciu kilku głębszych. Łatwo przewidzieć taką sytuację, zwłaszcza kiedy w pubach spędza się kiedyś mnóstwo czasu, jak Daniel.

Tubylec przystanął i oparł się o blat stołu. Patrzył na Daniela. Ten wpatrzony był w swój kubek, z którego pił swoją mocną kawę. Kubek wprawdzie pusty, ale ciekawszy od przepitej gęby Józka. Nie chciał też kontaktu wzrokowego, bo przeczuwał, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

– Co jest, Józek? – zapytał Wojtek.

Ten nie odrywał wzroku od Daniela. Brodaczu czuł go na sobie, ale ani myślał w jakikolwiek sposób reagować.

– Tyś nie nas – wydukał Józek. – Tyś jest tyn włóczykij... .

– Dajże spokój, Józek, nie zaczepiaj – próbował uspokoić go Wojtek, dotykając jednocześnie jego przedramienia.

– Cichaj, Wojtuś, z człowiekiym godom.

Daniel podniósł głowę, spojrzął na Wojtka, potem na Józka.

– Czego chcesz? – odezwał się, zaciskając pięść na widelcu, gotów użyć go w razie potrzeby. Jak wtedy, kiedy szukał Globusa i pytał o niego zbyt wielu ludzi. W końcu to Globus znalazł go wciągającego pizzę w restauracyjnym ogródku przy Rynku. Był niegrzeczny, więc Daniel wbił mu widelec w dłoń i przekazał wiadomość od zleceniodawcy brzmiącą jednoznacznie: „Pięćdziesiąt koła, za tydzień. Każdy dzień zwłoki to upierdolony jeden palec, a masz ich dwadzieścia. Po dwudziestu dniach ujebiemy ci dłoń. I tak dalej, i tak dalej”. Dotarło. Zwłaszcza z wbitym w dłoń widelcem.

– Zebyś pedzioł, skond ześ jest.

– A co ci do tego?

– My tu lubiemy wiedzieć, skond kto jest, kto się tu pałynto.

– Widziałeś mnie tu już, a dopiero teraz pytasz?

– Józek, odpierdol się, idź do domu! – wtrącił się Wojtek, ale tamci nie zwrócili na niego uwagi.

– Wcześniej mi nie przeszkadzałeś.

– A teraz ci przeskadzam? – Daniel nadal trzymał w dłoni nieruchomo widelec. Choć wiedział, że i bez niego da Józkowi rade.

– Teraz to się tu dziwujemy, żeś taki spokojny i taki samotnik. Coś mos za usami.

– Ty nie masz?

– Jo ni mom. Jo je stond. Od zawzdzy.

Na chwilę nastala cisza. Daniel starał się, by się nie ruszyć, nie wstać, nie chwycić go za gardło. Teraz było mu łatwiej się powstrzymać niż kiedyś. Odzwyczaił się.

– Jak sie mie pytajom o ciebie i mówią, żeś nie wiadomo skond i ze przysleś nas ograbić, złości naro-bić, to sie wole ciebie zapytać, jak jest, boch cie widzioł nieroz, tak jak godołeś.

Daniel zastygł jeszcze bardziej. Zerknął na Wojtka, on też wbił w niego wzrok. Delikatnie kiwnął przeczącą głową, jakby chciał powiedzieć, że to nie on pytał, że nic o tym nie wie.

– Widziołzech, żeś hardo stuka, ale ci dobre z łocu patzy, a jo sie na tym znam. Syćkie sie tu na tym znamy. I godalimy...

– Kto o mnie pytał i takie rzeczy mówił? – przerwał mu Daniel.

– Taki jedyn ksiyńciuno z hotelu. Chcioł, zebych sie cegoś dowiedzioł, alech mu pedzioł, ze my som goralce, dutki lubiymy, ale niy za kablowani...

– Dutki? – podchwycił Wojtek. – Chciał ci zapłacić?

– No, dwiesta złotych, jak sie cegoś dowiym. Jesce Wacka chcioł skaperować. Tyz mu sie nie udało.

– Dlaczego akurat ciebie o to pytał? – zaciekawiał się Wojtek.

– Nie wiym. Spotkalimy sie na probostwie. Ksiundz cosik chyba o mie godoł.

– A bo ty się, Józek, za bardzo z tym księdzem trzymasz.

Ten spojrział na Wojtka groźnie. Po raz pierwszy, od kiedy podszedł, odwrócił wzrok od Daniela.

– To jest ksiundz, z nim trza trzymać – odpowiedział.

– Co mu powiedziałeś? – Teraz pytanie zadał Daniel.

– Ze kapusiyim nie bede, choćbym mioł na najwiynksego bandyte nadawać. I ze nastypnym razem siekiom go pogonie.

Daniel uśmiechnął się na te słowa. Pomyślał, że ten Józek to równy gość. I jeśli oni wszyscy są tutaj tacy sami, to nie będzie miał zmartwień związanych z owym hotelarzem. Rozluźnił dłoń na widelcu.

– Mioł tu dzisiok być, co by mnie jesce roz namawiać, ale sie nie pofatygowoł.

– Skoroś mu odmówił, po coś tu przyszedł?

– Bom mu chcioł dać po mordzie.

Nagle w barze głośno trzasnęły drzwi. Cała trójka odwróciła głowy w ich stronę. Nikt się w nich nie pojawił, nikt nie wszedł, nikt też nie wychodził. Skąd więc ów hałas? Dlaczego drzwi się zamknęły? Józek ruszył w ich stronę powolnym krokiem, wsunąwszy ręce do kieszeni. Ruszył też Daniel, ale nieco zwawiej, bardziej zdecydowanie, więc dotarł do drzwi, kiedy Józek był w połowie drogi. Wojtek pozostał na miejscu. Złożył dłonie, jakby się modlił, i przyglądał się rozwojowi sytuacji.

Daniel otworzył drzwi mocnym pchnięciem. Nie miał wyjścia, bo drewniane, ciężkie skrzydło wrót baru Pod Konikiem bardziej przypominało bramę zamku w Malborku.

Pusty parking Daniela nie dziwił. W środku przecież była tylko Marysia, Józek, Wojtek i on. Każdy z tej czwórki przyszedł pieszo. Ale przez bramę wyjeżdżał właśnie szybko stalowoszary jeep. Przez chwilę Daniel się zastanawiał, czy nie biec za samochodem. Ta chwila trwała zbyt długo, na pogoń było za późno. Zresztą zdążył też pomyśleć, po co miałby biec.

– To on – powiedział Józek, który właśnie wyszedł z baru. – Takie mo auto.

Samochód zamajaczył jeszcze na niedalekim zakręcie i zniknął.

Lekceważę tego Błażeja. Nie potrafi się odnaleźć, zapewne też nie ma jaj, by spokojnie obok mnie przejść. Może nawet się mnie boi. Czmychnął, kiedy mnie zobaczył, i zniknął. Taka pizza, jakich wiele w dzisiejszym świecie. Nic dziwnego, że ten Ksawery się nim wysługuje. Już wiem, że podam mu się na tacy, niech mi się przygląda, skoro ma takie zlecenie.

Bo to nie Błażej, ale Ksawery budzi niepokój. Nie dlatego, że zobaczyłem w nim krwiste oczy. Raczej dlatego, że sprawia wrażenie wbijającego sztylet w plecy. Śliski gość i tyle.

A teraz idę za Alicją. Jest w przylegającej do ciała sukience i kołysze biodrami jak Beyoncé, choć to jednak inne kształty – mniej obfite pośladki, za to biust zdecydowanie większy. Nie chcę o tym myśleć, ale wzrok właśnie tam mi zawędrował. Każdemu by zawędrował. I każdej. Bo kobiety również obserwują siebie nawzajem, wprawdzie z różnych powodów, ale obserwują.

Idziemy na kawę. Mam ochotę się jej napić, więc mogę to zrobić w jej towarzystwie.

– Z odrobiną soli – mówi do Diany, kiedy ta pyta, jaką kawę przygotować.

– Dla mnie bez soli – puszczam oczko – ale za to podwójne espresso.

– Uwytadnia smak kawy – odpowiada Alicja na pytanie, po co sól. – I do tego kieliszek białego wina.

Dziwię się, że o tej porze, ale nie pytam. Niektórzy nie potrafią przeżyć dnia bez wina, i to najlepiej otwieranego z samego rana.

– Jest szansa, że wieczorem będę już w innym świecie. – Uśmiecha się zawiadziacko. – Tym lepszym.

Zakładam, że chodzi o stan nieważkości, a nie o życie po życiu, więc uśmiecham się w rewanżu.

Siadamy na dużej sofie w salonie przy holu. Ona trochę bokiem, tak że ma mnie naprzeciwko siebie. Ja zwyczajnie, z plecami na oparciu. Trzymam dystans, bo chcę. Ona go skraca. Zastanawiam się, czy chcę tu być, i korci mnie, by znaleźć Błażeja. Obudził się we mnie cyniczny dręczyciel i nasza mnie ochota, by się nad nim pastwić.

Ale oczywiście go nie szukam. Górę bierze ochota na kawę i lenistwo. Skracania dystansu Alicji jakoś uniknę. Choć możliwe, że jest ono wytworem mojej wyobraźni albo wyrazem jakiegoś ukrytego lęku.

– No to powiedz mi teraz – mówi Alicja, moszcząc się między poduszkami na sofie – od czego tak odpoczywasz. Dla was, dziennikarzy, praca jest pasją. Wtedy jakbyś w ogóle nie pracował. A na urlopach się męczycie.

– Trochę mi ta pasja zblakła – odpowiadam.

– Wypalenie?

– Chyba raczej zniechęcenie stanem zawodu.

– Zaraz zaczniesz mówić: „za moich czasów...” – wypowiada te słowa z ironią, uśmiechając się kącikiem ust. Tak, nie mam wątpliwości, że się naigrawa.

I już mam odpowiedzieć na zaczepkę, ale podchodzi Diana – recepcjonistka, i stawia na stoliku tacę z dwiema kawami i kieliszkiem wina. Filizanki rozstawia z gracją, obok mojej kładzie białą kopertę.

– To dla pana – mówi i uśmiecha się życzliwie.

– Dla mnie? – dopytuję się zaskoczony. – Od kogo?

Ale ona jedynie uśmiecha się nadal i jednocześnie robi dwa kroki w tył. Odchodzi.

Na kopercie jest moje imię i nazwisko napisane ręcznie, wręcz wykaligrafowane. Ktoś się postarał, bo raczej trudno przypuszczać, że na co dzień pisze właśnie tak. I to jest ktoś, kto pisze często, kto nie przestał się całkowicie na komputer. Ktoś, kto nie jest mną, bo ja ręcznie nie piszę już prawie niczego, poza podpisywaniem dokumentów czy, sporadycznie, dawaniem autografów.

Alicja, nie chcąc patrzeć, jak otwieram kopertę, odwraca głowę. Jakbym wbiął PIN do bankomatu. Doceniam ten gest, zapewne nie chce wyjść na wścibską.

Z koperty wyjmuję kartkę z papieru czerpanego. Tekstu jest niewiele, ale pierwsze, co dostrzegam, to podpis: Zosia Gozdówna.



*Panie Mateuszu!*

*Nie pracuję już w hotelu. Dziś powiedziałam „dość”.*

*Chcę być dobra, szczerą i uśmiechniętą.*

*Tu mi chcą to odebrać.*

*W tej sytuacji nie wiem, czy się spotkamy, a chciałabym.*

*Jeśli ma Pan ochotę – proszę o telefon. Odbiorę w każdym momencie.*

– Zła wiadomość? – pyta Alicja.

– Nie, nie. Właściwie nie wiem, zła czy dobra.

– Tak się śmiesznie trzymałeś za podbródek, czytając...

I nadal trzymam. Kiedy to do mnie dociera, opuszczam dłoń na kolano. Wiele razy to już słyszałem. Że jak czytam, palce wędrują mi do podbródka. I tam albo głaszczą zarost, albo po prostu dotykają skóry. Zastanawiałem się kiedyś nad tym, ale nie udało mi się rozstrzygnąć, dlaczego tak robię.

Sięgam po telefon. Chwilę w nim szperam, szukając numeru Zosi. Pamiętam, że mi go podała – pewnie nie zapisałem. Odwracam się w kierunku recepcji. Diana wpatruje się na szczęście w ekran komputera. Jest sama.

Daję znak Alicji, że zaraz wrócę, i chwilę później stoję przed ladą.

– Pani Diano, czy mógłbym... – zaczynam nieco zakłopotany, ale ona szybko mi przerywa.

– Numer telefonu?

– Tak – odpowiadam błyskawicznie, zaskoczony.

– Zosia uprzedzała, że może pan poprosić o jej numer. – Uśmiecha się.

Odwzajemniam uśmiech, choć czuję, że się rumienię. I głupio mi, że tak się dzieje. Wewnętrznie się uśmiecham, że małolata przewidziała, co zrobię. I to, że nie zapisałem jej numeru. Spryciuła. Lubię ją.

Diana podaje mi małą, żółtą karteczkę z wypisanym numerem telefonu.

– Co się właściwie stało? – pytam, patrząc jej w oczy, ale ona nie wie, o co chodzi.

– Nie rozumiem...?

– Dlaczego Zosia odeszła?

Diana uśmiechnęła się i wyprostowała.

– Życzę w dalszym ciągu przyjemnego pobytu.

Marszczę brwi w tym zdziwieniu jej słowami. Ale przestaję się dziwić, kiedy dostrzegam, że wcale nie patrzy mi w oczy. Wpatruje się w jakiś punkt za mną. Trwa to jakieś dwie sekundy, więc się nie odwracam. Uśmiecham się również i chowam karteczkę do kieszeni. Kiedy robię krok w tył, widzę pełzającego Ksawerego. Naprawdę posuwa się jak wąż, jakby sunął po drewnianej podłodze.

I to na niego patrzyła przed chwilą Diana. Wiem to, czuję to. Wyobraźnia podsuwa mi obraz tego śliskiego człeka, kiedy wchodzi do hotelu i zatrzymuje się, widząc mnie rozmawiającego z recepcjonistką. To go niepokoi lub irytuje – tu pewności nie mam. Ale zatrzymuje się i chwilę się wpatruje, próbując ocenić sytuację. I właśnie wtedy Diana ma mi odpowiedzieć na pytanie dotyczące Zosi. Tak to widzę.

A tymczasem on znika w korytarzu, nie mamy go już w zasięgu wzroku – ani ja, ani ona.

– Sądziłam, że wyjaśniła to panu w liście – odpowiedziała przyciszonym głosem Diana.

– Nie, ograniczyła się do informacji.

Odwraca się i zerka w stronę korytarza. Odchyła się nawet, by spojrzeć głębiej. Uspokojona wraca do mnie i lekko się nachyla.

– Wieczorem miała rozmowę z menedżerem. Źle poszło.

– Z tym, co przed chwilą szedł?

– Tak. – Podnosi z blatu telefon i pokazuje mi ekran. – Niech pan szybko spojrzy.

Patrzę na komórkę w różowym futerałce i próbuję skupić wzrok na tekście. To esemes od kogoś, kto zapisany jest jako „menago”.

„Od tej pory (choć mam nadzieję, że zawsze to robiliście) meldujecie mi jak najwięcej o gościach naszego hotelu. Spisujcie sobie wszystko i czekam na raporty”.

O co tu, kurwa, chodzi – myślę w tym momencie i przypominam sobie opowieści ojca. Był szefem redakcji w lokalnej gazecie i wiele razy czytał podobne dyspozycje od lokalnych partyjniaków. Ale to inna skala, inne czasy. Właściwie wolność Tomku w swoim domku. Hotel prywatny, to i prywatne wymagania. Tyle że to prawie inwigilacja.

– Pokazuję to panu, bo Zosia mówiła o zaufaniu, jakie do pana ma, i że odegrał pan w jej życiu ważną rolę. – Wpatruje się we mnie. Jej wzrok zaczyna mnie peszyć. – I nie zgodziła się na to. Powiedziała menedżerowi, że nie tak wyobrażała sobie pracę w tym hotelu. Wykrzyzczała mu, że wie, co tu robią, i nie będzie do tego przykładła ręki.

– Wie, co tu robią?  
– Tak, dokładnie tak.  
– A co robią?  
– Nie wiem, co Zosia miała na myśli, ale menedżera zamurowała.  
– Była pani przy tym?  
– Byłam. – Kiwa przy tym energicznie głową. Podoba jej się trochę, że zdradza mi jakąś tajemnicę. Możliwe, że praca recepcjonistki ją nudzi i potrzebuje atrakcji. – Nie zdążył nic powiedzieć. Zosia się pożegnała, zabrała swoje rzeczy z szafki i wyszła.

Próbuję to sobie wyobrazić. Nie pasuje mi ta sytuacja do Zosi. „Wykrzyczała”? Nie, to nie ona.  
– A kiedy wyszła – kontynuuje Diana – menedżer jeszcze chwilę stał, a potem mnie zapytał, czy wiem, gdzie Zosia mieszka.

Czuję, jak uginają się pode mną kolana. Składa mi się to w jakąś koszmarną całość. Ona coś wie, on pyta, gdzie mieszka.

– Dziękuję, pani Dianio.

Uśmiecha się. Widać, że jest zadowolona. Ma poczucie, że uczestniczy w czymś ważnym i tajemniczym. Moja wrodzona podejrzliwość każe wwiercić się w nią na chwilę wzrokiem, prześwietlić jak rentgenem. Mogłaby też zadziałać podczerwień – zauważyłbym ciemne plamy jadu, gdyby takowe w jej organizmie powstały i się rozrosły. Ale ona jest uczciwa, tak podpowiada mi intuicja.

Widzę, że Alicja jest cierpliwa, pije wino, sącząc je powoli. Powoli też przysuwa kieliszek do ust. Jest zrelaksowana albo tak dobrze udaje. Jest trochę tajemnicą. Za chwilę do niej wrócę.

Sięgam po żółtą kartkę i wystukuję numer.

– Tak, wszystko dobrze – odpowiada, kiedy już po pierwszych uprzejmościach pytam, czy wszystko gra. – Pukałam dziś rano do pana, przepraszam, być może obudziłam.

Pamiętam, nie wiedziałem, o co chodzi z tym pukaniem. Wyjrzałem wtedy na korytarz.

– Dlaczego odeszłaś? – zanim odpowiada, streszczam jej rozmowę z Dianą.

– No to chyba wszystko pan wie – mówi.

– Powiedziałaś: „Wiem, co tu robicie”... O co chodzi?

– Błefowałam. Nie wiem, co robią, ale coś robią. Zresztą jego reakcja to potwierdza.

– Zosia, on pytał, gdzie mieszkasz...

– Słucham?

– Pytał Dianę, gdzie mieszkasz.

– Przecież on doskonale wie, gdzie mieszkam. – Słyszę lekkie podenerwowanie w jej głosie. – Kilka razy odwoził mnie do domu.

– To po co pytał?

– Nie wiem, pewnie jakaś zagrywka menedżerska.

Milknę na moment, bo przychodzą mi do głowy pomysły. Jeden najbardziej logiczny.

– Pewnie przypuszczając, że się spotkacie, chciał, by ci to przekazała. Takie ostrzeżenie.

Tym razem ona milknie. Próbuję ją sobie wyobrazić. Czy ciężko oddycha, czy obgryza nerwowo paznokcie (nie, to nie), czy może stuka nimi o blat biurka. A może po prostu coś maluje, nie przejmując się jakimś „menago”.

Cofam się głębiej w kąt i mówię jeszcze ciszej:

– Ten jego esemes nie oddaje całej prawdy. Waszemu koledze z recepcji kazał się przyglądać pokójowi numer siedem.

– Wiem, Błażej mi o tym mówił. Ale on jest niegroźny. Boi się własnego cienia. Niby słucha Ksawerego jak boga, ale wykonywanie jego poleceń to pięta achillesowa Błażeja.

– Co za dziwne miejsce. – Chciałem tak tylko pomyśleć, ale wypowiadałem te słowa do słuchawki głośno.

– Miejsce przyjemne, ludzie dziwni – stwierdza Zosia.

– Uważaj na siebie – mówię ze szczerą ojcowską troską. – I spotkajmy się niedługo.

– Nigdzie na razie się stąd nie ruszam – oznajmia i słyszę, że się uśmiecha.

Wracam do Alicji, zupełnie nie wiedząc, jak z nią rozmawiać. Czuję się jak w tych nielicznych sytuacjach, w których głowa zajęta była skomplikowanymi myślami, a w perspektywie rozmowa na inny temat. Trzeba mieć wtedy we łbie taki przełącznik.

– Coś się stało? – odzywa się wyraźnie zaniepokojona, choć ciągle flegmatycznie popijająca wino.

Siadam obok niej i bez słowa sięgam po filiżankę kawy. Jestem zdenerwowany. Zaczynam martwić się o Zosię. I to nie dlatego, że naogładałem się filmów. „Wiem, gdzie mieszkasz” brzmi dużo groźniej poza filmową fikcją.

– Dlaczego powiedziałaś, że mają tu jakieś szemrane interesy? – pytam, odwracając się w stronę Alicji.

– Mam przeczucie. Są momenty, w których zachowują się dziwnie.

– Co to znaczy?

Uśmiecha się. Najpierw delikatnie, chwilę później pokazuje już wszystkie zęby aż do szóstek. Przewraca oczami i mówi:

– Tutaj o tym nie będziemy rozmawiać.

– To aż tak tajemnicza sprawa?

– Wystarczająco, by nie opowiadać o niej tutaj.

Czuję jakiś dziwny niepokój. I wiem, że źródłem tego niepokoju jest Ksawery i jego widok dziś podczas śniadania. Te przekrwione oczy. Niby to moja imaginacja, a jednak mocno wżerająca się w głowę. Ten pokój numer siedem i to „przecież dobrze wie, gdzie mieszkam”. Podświadomie przyglądam się temu miejscu. Niby chcę odpocząć, niby chcę mieć święty spokój, niby na ten czas przestaję obserwować świat... Ale ten świat do mnie przychodzi i mówi: weź mnie, patrz na mnie, zobacz, co się u mnie dzieje. I ulegam, bo zawsze temu ulegałem. Ciekawość świata i ludzi czasem mnie zabija. To dlatego tu uciekłem. Widzę teraz, że nie jestem w stanie przed tym uciec.

Patrzę na filiżankę, choć jej nie widzę, bo właściwie wpatruję się w jakiś niewidzialny punkt w tej bieli fajansu.

– Zosia już tu nie pracuje – odzywam się do Alicji po chwili. – Wiesz, o kim mówię?

– Wiem – odpowiada i poprawia się między poduszkami rozrzuconymi na sofie. – Co się stało?

– Miała te same podejrzenia co ty. I chyba większe ku temu przesłanki.

Marszczy czoło i odstawia kieliszek.

– Mówiłaś, że czujesz się obserwowana? – ciągnę dalej ciszej, tym bardziej że ona przysunęła się do mnie, na szczęście zachowując jednak odpowiedni dystans. – Coś w tym jest, bo pracownicy hotelu dostali dyspozycję, by obserwować gości i meldować menedżerowi.

Nie patrzy na mnie. Wpatruje się w stolik. Wygląda, jakby musiała sobie moje słowa specjalnie przyswajać, by je zrozumieć.

– Tego wieczoru, kiedy się poznaliśmy, usłyszałem przypadkiem, że mają zwrócić szczególną uwagę na gości pokoju numer siedem. Wiesz, kto w nim mieszka?

Odwraca głowę w moją stronę. Wbijają we mnie wzrok i nawet nie mruga.

– Ty – odpowiada.

– W rzeczy samej – potwierdzam, biorąc ostatni łyk kawy.

– Tu naprawdę dzieją się dziwne rzeczy – stwierdza.

– W rzeczy samej.

– I zaczyna cię to mierzic.

– W rzeczy samej.

– I chcesz się dowiedzieć, o co chodzi.

– W rzeczy samej.

Stali tak chwilę przed barem i odprowadzali wzrokiem szybko odjeżdżający samochód. Daniel i Józek. Po tej chwili wygramolił się Wojtek i zachowywał się tak, jakby bał się zapytać. Tylko gapił się na nich, coraz ciężiej oddychając. Sapał wręcz, jakby przebiegł co najmniej sto metrów.

– Co się stało? – wykrztusił, kiedy już zdał sobie sprawę, że nie stoją tam, delektując się czystym powietrzem.

– Stalowszary jeep – powiedział cicho Daniel.

Wojtek podążył wzrokiem za znikającą w lesie drogą. Samochodu już nie dostrzegł, bo poruszał się zbyt szybko. Może jedynie resztki kurzu mogły zamajaczyć w oddali. Ale to wszystko, co po nim zostało.

Ciszę przerwał sygnał telefonu, krótki jak pukanie do drzwi, ale głośny jak dźwięk dzwonu kościelnego. W innej sytuacji Daniel roześmiałby się, widząc, jak Józek i Wojtek jednocześnie łapią się za kieszenie spodni. Do śmiechu jednak nie było mu od dawna, a i w tej sytuacji powaga zwyciężyła.

– Kurwa! – syknął Wojtek, trzymając w rękę telefon. Wyciągnął dłoń do Daniela i skierował do niego ekran. A na nim wersalikami tekst wiadomości:

„ROZMAWIAŁEŚ Z NIM!!! JEŚLI SIĘ MU WYGADAŁEŚ – ZAPŁACISZ. LEPIEJ DLA CIEBIE BYŁOBY, GDYBYŚ GO SYPNĄŁ”

W pierwszej chwili brodaczowi zrobiło się żal Wojtka, bo wiedział, co przeżywa. To było jak jakaś wpadka i w grę wchodziło jego życie, jego egzystencja tu, na tej wsi. Możliwe, że będzie musiał się stąd wynieść. W dalszej kolejności Daniel pomyślał o sobie.

– Sypnął? – zapytał retorycznie. – Z czym sypnął?

– Nie wiem.

– Czy ty mi wszystko powiedziałaś, Wojtuś?

– Wszystko. On pytał o twoją przeszłość. Myśli, że jesteś jakimś skazańcem i się ukrywasz.

Daniel pomyślał, że ma godnego przeciwnika, z dobrą intuicją. Bo wprawdzie według prawa nie był skazańcem, ale był nim we własnej głowie i sercu. Był więźniem bez szans na amnestię czy inne, choćby i warunkowe zwolnienie z odbywania kary. No i ukrywał się. Nie tyle przed kimś, ile przed przeszłością. Choć nazywał to raczej pójściem w życiu w innym kierunku.

Czasem zastanawiał się, czy ktoś go szuka, czy ktoś go ściga. Czy owa przeszłość ma jakieś imię, ksywę. To znaczy wiedział, że miała, ale nie miał pojęcia, czy nadal ma. Może to się rozplynęło, może nikt sobie już nie zwraca nim głowy. A może po prostu dobrze zatarł ślady.

– Idźta w cholerę, chłopoki – rzekł nagle Józek. – Trza mu włożyć, to się mu wleje. Górole się nie patyckujom.

– Nie trzeba, Józek. – Daniel znów patrzył na drogę, która wchodziła w las, a którą przed chwilą pomknął jeep. – Załatwię to.

– Co chcesz zrobić? – zapytał Wojtek, kładąc Danielowi rękę na ramieniu

– Pogadam z nim.

– Nie możesz. Będę miał problem.

– Nie martw się, Wojtuś, załatwię to tak, że będziesz bezpieczny.

W oczach Wojtka było jednak widać strach. Zaciśnął mocniej dłoń, ale nic nie powiedział.

– Zabierz rękę, Wojtuś. – Głos Daniela zabrzmiał groźnie, więc dłoń zniknęła z jego ramienia w ciągu sekundy. – I powiedz mi jeszcze jedno...

Wojtek cofnął się o krok, jakby się obawiał, że wraz z pytaniem wylądaje na nim pięść Daniela.

– Dlaczego teraz? Nie jestem tu od wczoraj. Nie włóczę się od wczoraj, nie rżnę tego drzewa od wczoraj. Powiedz mi.

– Nie wiem, naprawdę nie wiem. Też się dziwię i zastanawiam. Chłopy ze wsi czasem pytały o ciebie, ale zawsze to było jakieś takie zyczliwe. Nikt nie miał pretensji, że tu jesteś. Nikt nie pytał, skąd się wziąłeś.

Mówiąc to, musiał znosić wbity w niego wzrok Daniela. Nawet kiedy próbował uciec przed tym przesywającym spojrzeniem, oczy mieszkańca lasu podążały za oczami coraz bardziej wystraszonego Wojtka.

Ale drwal mu wierzył. Wiele razy sprawdzał, czy ludzie kłamią w ważnych i mniej ważnych dla niego sprawach. Znał się na tym jak mało kto. Rzadko się mylił. Jego spojrzenie robiło swoje, załatwiało nawet najbardziej skomplikowane zeznania.

– Ja wiem.

Wszyscy trzej odwrócili się w stronę ciężkich drzwi do baru. Stała w nich Marysia.

W kinie zasnęła. Cieszyła się, że jest poza domem, że z Agnieszką, że przez chwilę nie myślała. Dopadła ją dzięki temu chwilowa błogość. Wyrwała się ze świata na jawie już po trzydziestu minutach filmu. W niczym nie przeszkadzały jej odgłosy strzałów rozlegające się w sali kinowej. Tylko krzyki przerażenia głównej bohaterki wybudzały ją na kilka chwil.

Agnieszka, widząc, że zasnęła, okryła ją swoją kurtką. Klimatyzacja w kinie działała perfekcyjnie, co oznaczało zbyt niską temperaturę. Pod tą kurtką zrobiło jej się tak przyjemnie ciepło, że tym bardziej nie chciała przerywać snu. Płynęła w nim łódką po jeziorze. Fale delikatnie nią kołysały, wiosła pracowały same, bez jej udziału. To było dziwne, ale nie chciała się w tym śnie nad tym zastanawiać. W swojej drewnianej łódce była sama, ale na jeziorze pływało ich co najmniej kilkanaście. W każdej z nich ktoś był. W jednej mama, w drugiej tata, którego ledwo pamięta, bo zostawił ich, kiedy miała pięć lat. W innych łódkach jej kolejni bliscy: trzej wujowie na trzech niebieskich omegach, dwie ciotki drące się na siebie na środku tego jeziora. I babcia... kochana babcia. Szkoda, że już jej nie ma. Wszystko się zepsuło, kiedy odeszła. Mama się zepsuła, życie się zepsuło, szczęście się zepsuło, jakby zgubiła jakiś amulet.

W jeszczce jednej łódce brat. Kiedy Jacek skończył osiemnaście lat, wyruszył z domu w poszukiwaniu ojca. Straciły z nim kontakt, nie szukały. Doszły do wniosku, że znalazł i z nim został. Magda próbowała raz czy dwa na fejsbuku, po tym jak skasował swój profil. Bez skutku. Widocznie nie chciał i już. Najwyraźniej miał dość bab w swoim życiu. Wkurwiały go tym, że są babami.

Zawsze wiedziała, że nie ma męskiego wzorca. Jeśli się wiązała, to zawsze z kimś nieodpowiednim, złym, toksycznym. Ciągłe było coś nie tak. Jak nie złodziej, to członek gangu. Jak nie alkoholik, to rozwodnik z bagażem emocjonalnym. A ostatnio ten Radek.

Na horyzoncie pojawiło się kilka czarnych łódek. W każdej z nich stał mężczyzna w czarnym garniturze. W śnie Magda zaczęła ich liczyć. Ośmiu mężczyzn w ośmiu łódkach. Stali w nich nieruchomo, odporni na kołysanie fal, jacyś bezduszni i nieludscy. Zbliżali się do niej szybko, jakby płynęli na łodziach motorowych. W ciemnych okularach, z założonymi rękami i każdy z nich z naszyjnikiem. I w tym śnie Magda wyteżyła wzrok. Nachyliła się nawet, myśląc, że to pomoże. Dostrzegła unoszącą się nad lustrem wody gęstniejącą mgłę. Była coraz wyżej i wyżej, aż wszystkich zasłoniła. Wokół zrobiło się białe, jakby rozlało się mleko. Ale z tej bieli nagle wyłonił się jeden z tych facetów w czerni.

– Magda. – Szept Agnieszki był zdecydowany, szturchanie w ramię również.

Podniosła się, poprawiła kurtkę i rozejrzała wokół. Na ekranie ktoś stał na peronie i patrzył na odjeżdżający pociąg. Ludzie obserwowali tę scenę z niejakim, trudno wytłumaczalnym dla Magdy, napięciem. Ale dla niej nawet wzrok Agnieszki był czymś dziwnym.

– Co się stało? – wymamrotała, czując ogromną suchość w ustach. Bezwiednie sięgnęła po butelkę wody niegazowanej.

– Zaczęłaś jęczeć – powiedziała cicho Agnieszka, uśmiechając się pod nosem. – W kinie nie wypada, w domu to co innego.

Wrócili do domu od razu po seansie. Magda niby zadowolona, że oderwała się od złych myśli, ale nadal milcząca, stonowana. Agnieszka ciągle ją obserwująca, troskliwa i czujna. Przygotowała kolację, zmieniła pościel w łóżku przyjaciółki, potem posiedziała z nią na sofie w minisalonie. Magda znów zasnęła. Najpierw na siedząco, a potem osunęła się i położyła na boku.

Agnieszka wpatrywała się, jak jej oczy biegają pod powiekami, jak co chwila marszczy się czoło i jak czasem drga jej ciało. Przykryła ją kocem, dokładnie opatulając ramiona. Ale wtedy Magda wysunęła rękę i chwyciła jej dłoń. Trzymała kilka sekund mocno, potem nieco lżej, ale puścić nie miała zamiaru.

– Chodź, przenieś się do łóżka – szepnęła jej do ucha po kilkunastu minutach, kiedy jedno ramię już było zdrętwiałe, a pośladki odczuwały twardość podłogi.

Magda, niemal lunatykując, przeszła do swojej sypialni i padła na łóżko. Niedbale narzuciła na siebie koc i ledwie zmieściła poduszkę pod ciężką głową.

– Pójdę już – powiedziała cicho Agnieszka, kładąc rękę na jej włosach.

– Nie, zostań jeszcze – odpowiedziała przez sen Magda. Złapała ponownie jej dłoń i wciągnęła ją pod policzek. Chwilę później ułożyła głowę na ramieniu przyjaciółki, która położyła się tuż obok. Objęła ją ramieniem, dotykając dłonią jej policzka, i udem, które przylgnęło do jej kości biodrowych. Wtulila się w nią jak w mężczyznę.

– Aga – szepnęła przez sen. – On mnie tam obronił...

– Kto?

– On... Radek... – mruknęła i znów zaczęła sennie oddychać.

Agnieszka pogłaskała jej włosy i jeden kosmyk założyła za ucho. Położyła dłoń na policzku i przez skórę poczuła, jak Magda oddycha. Już spokojnie, już ukojona.

– Madzia... co tam się działo? – zapytała cicho, ciszej niż brzmi jakikolwiek inny szept, wręcz niesłyszalnie. Zsunęła się po tym powoli, tak by twarz mieć blisko jej twarzy. Ujęła ją w dłonie i pocałowała przyjaciółkę w czoło, potem w policzek i usta.

Od kiedy zamieszkały w tej dwiesięciwójce w akademiku, pocałowała ją kilkanaście razy. Zawsze ona ją, nigdy odwrotnie. Zawsze to ona tego chciała i niby były to niewinne pocałunki, a jednak rozpałmiętywała nos do długo. Była pewna, że na Magdzie nie zrobiły one wrażenia, czasem nawet była zaskoczona. Ale Agnieszce biło mocniej serce, kiedy żartowały sobie, że powinny zostać lesbijkami. Rozmarzała się wtedy, bo mimo że z ogromną rozkoszą sypiała z kolejnymi mężczyznami, to prawdziwym marzeniem pozostawała dla niej Magda. Nie do końca to rozumiała, ale czuła to każdą częścią ciała. I nie chodziło po prostu o kobietę, chodziło o Magdę. Bo kiedy wyładowała w łóżku z Renatą z psychologii, nie czuła nic. Jej cipka nie zwilgotniała, sutki nie sterczały, serce nie biło mocniej. Miała tak tylko przy Magdzie.

Czuła teraz jej zapach, ten naturalny, który zawsze bardzo lubiła. Zaciągnęła się jak narkoman, przyśuwając nos do szyi. Musnęła ją wargami, a potem do niej przylgnęła. Objęła Magdę ramieniem i jeszcze mocniej do niej przywarła, jeszcze większą powierzchnią ciała. Udo wsunęła między jej uda, a rękę pod bluzę i przesunęła po nagiej skórze. Głaskała plecy opuszkami palców, wciąż dotykając wargami jej szyi.

Dłoń zsunęła się niżej, zatrzymała się nad pośladkami i po chwili powędrowała niżej. Magda jakby westchnęła cicho i przekręciła się na plecy. Dłoń Agnieszki spoczęła na brzuchu. Był płaski, umięśniony, bo Magda była systematyczna w swoich fitnessowych zapędach. Nie miała kolczyka w pępku, choć nosiła go niemal od zawsze.

Agnieszka dotknęła palcem dziurki po kolczyku. Mimo ciemności trafiła w to miejsce idealnie. Znała jej ciało. Wiele razy mu się dyskretnie przyglądała. Znała nawet odległość od pępka do cienkiego paska włosów łonowych. Ale bała się teraz tam „podejść”. Przylgnęła ustami do jej ramienia i poprowadziła dłoń w stronę piersi. Tyle razy je widziała, kiedyś nawet raz dotknęła i teraz, kiedy znów dotykała ich palcami, czuła ucisk w podbrzuszu.

Poczuła się z tym źle. Magda jest w kiepskim stanie psychicznym, a ona zachowuje się tak, jakby chciała wykorzystać moment i przelecieć ją jak chłopak dziewczynę na balu maturalnym. Cofnęła rękę z piersi śpiącej jak dziecko przyjaciółki i ciężko westchnęła. Zastanawiała się, czy zostać do rana, czy wrócić do siebie i zadzwonić przed śniadaniem. Odłożyła te myśli, bo wciąż czuła mrowienie w podbrzuszu. Wsunęła dłoń w majtki i dotknęła łona. Drugą zacisnęła na piersi. Dotykać siebie i jej to dwa różne doznania – nieporównywalne, nie tylko dlatego, że jej biust był znacznie większy. Swoich piersi dotykała wielokrotnie, zawsze kiedy dopieszczała samą siebie. Tak jak teraz. Kiedy palce jednej dłoni drażniły sutki, palce drugiej były już mokre od jej soków.

Doszła przed upływem minuty. Chwilę jeszcze leżała obok Magdy, próbując uspokoić oddech i zerkając, czy nie obudził jej ten cichy jęk. Potem wstała, przeczesła włosy i pocałowała przyjaciółkę w policzek.

Przed wyjściem wypila kubek wody gazowanej i wstawiła naczynia do zmywarki. A kiedy wsuwała stopy w japonki, zabrzmiały jej w głowie jeszcze raz słowa Magdy. Ten szept, że Radek ją uratował. Postanowiła, że następnego dnia zapyta przed czym.

Widziała całą scenę przez uchylone drzwi. Kiedy tylko Józek i Daniel rzucili się do wyjścia, a potem wygramolił się za nimi Wojtek, sama pobiegła sprawdzić, o co chodzi. Nie wszystkie słowa słyszała, mimo że padło ich niewiele. Ale rozumiała, co się dzieje. Wcześniej trochę podsłuchiwała ich rozmowę przy stole. Nie widzieli tego, kiedy czyściła kolejne stoły. A ona zbliżała się coraz bardziej.

Czuła więź z tym ekscytującym włóczęgą, rozumiała go tak, jak potrafiła. Dobrze mu życzyła i gdyby potrzebował pomocy, była gotowa mu jej udzielić. Bo włóczędzy powinni trzymać się razem.

Nikt już w tej wsi nie pamiętał, skąd się wzięła. Ci, co wiedzieli i pamiętali, już poumierali, nie przekazując tej wiedzy następnym pokoleniom. Bo i po co? Została z tym sama i nie miała potrzeby o tym mówić nikomu. Wmieszała się w tutejszą społeczność, z czasem zaczęła mówić gwarą. I to tak, że nikt nie miał wątpliwości, że jest stąd. Z dziada pradziada. Przejęła bar po poprzednim właścicielu, który wyjechał ze wsi na zawsze. Nikt nie wiedział dokąd. Ponoć był widziany w Nowym Targu, ktoś inny twierdził, że w Żywcu. A potem przestano o nim mówić.

Marysia w swoim poprzednim życiu nazywała się Maria Studnicka. Mieszkała w Krakowie i pracowała w Urzędzie Miasta. Jeszcze za PRL-u wyszła za mąż za Tomasza Studnickiego, ale małżeństwo nie trwało długo. Po trzech latach małżonek oznajmił, że jeśli się z nią nie rozwiedzie, strzeli sobie w łeb. Postanowiła uratować mu życie i kiedy Polska wpadła w euforię z odzyskanej wolności, ona rzuciła, że zrzuceno jej małżeńskie łańcuchy.

Nie były to czasy terapii małżeńskich ani psychologicznych, więc została z tym problemem sama. Po dwóch miesiącach zamknięcia w mieszkaniu w bloku z wielkiej płyty spakowała się i wyjechała. W ciemno, bez celu. Dokładnie tak jak Daniel. Tyle że ona nie odważyłaby się zamieszkać w ciemnym lesie, tam, nieco wyżej. Zakotwiczyła u księdza, poprzedniego proboszcza. Opiekowała się domem parafialnym i jakież było zdziwienie tubylców, gdy zostawiła tę świętą robotę u świętego na rzecz najwykleszego baru. Dla niej było to pójście do siebie.

– Godej, Marysia – ponaglił Józek, kiedy rozsiadali się przy stole. Marysia jednak nie zwracała na niego uwagi, patrzyła na Daniela.

– Pamiętasz, jak mówiłam ci kilka razy, żebyś uważał? – powiedziała, nachylając się do niego.

– O czym wy godocie? – Józek zerkał to na Daniela, to na Marysię. – I jakoś dziwnie godos Marysia, nie po naszymu.

– Idźże, Józek, do domu. Piwa już ci nie dom. A to syćko to nie jest twoja sprawa.

Góral wyprostował się nieco poirytowany.

– Idź, Józek, opowiem ci potem to, co będę mógł – próbował go uspokoić Wojtek, a Daniel jedynie na niego spojrzął. Denerwował go ten człowiek. Niby nic złego nie robił, ale był nachalny jak niemal każdy po kilku głębszych. Zawsze złościły go takie sytuacje.

– A to ide.

Zniechęcony Józek nałożył na głowę czapkę bejsbolówkę, odwrócił się na pięcie i skierował w stronę drzwi. Wszyscy troje odprowadzili go wzrokiem, a kiedy zatrzasnął za sobą ciężkie skrzydło wrót, wreszcie spojrzeli na siebie.

– No i? – zapytał Daniel.

– Nikt z nich nie wie, kim jest ten drwal, tylko Wojtek i dlatego go naciskają. Oni nie lubią nie wiedzieć. Od początku tego nie lubili, ale przymykali oko i nie naciskali, bo interes się kręcił.

– Jacy „oni”? – Wojtek zareagował przerażeniem, szokiem, że to nie tylko ten hotelowy gówniarz.

– Ci, którzy ci płacą – odpowiedziała Marysia, patrząc cały czas na Daniela. – Mnie też pytali o ciebie, ale powiedziałam, żeby mnie do tego nie mieszały.

– Ty naprawdę jakoś dziwnie mówisz. – Wojtek zmarszczył czoło. – Masz jakiś inny głos.

– Zamknij się, Wojtuś! – Daniel szturchnął go lekko w łokieć. – Mów, Marysia!

Oparła się, założyła ręce na piersi i odchrząknęła.

– Wiesz, dla kogo zabijasz te drzewa?

– Zabijam?

– Tak, zabijasz. Ale nie bawmy się teraz w słówka. Wiesz?



– Do tej pory nie wiedziałem, ale mi Wojtek sprzedał wiadomość, że to wielebny. – Ironia w głosie Daniela była wyczuwalna z kilometra.

– Nie tylko. To cała grupa. Jest w niej też ten smarkacz z hotelu. A ty nie jesteś jedynym drwalem.

Ktoś otworzył drzwi, głośno i z rozmachem. Cała trójka odwróciła głowy. W wejściu stał niski i krępy, ubrany w góralski strój mężczyzna.

– Przeca zawarte! – krzyknęła Marysia swoim mocnym głosem.

Gość stanął jak wryty, zlustrował towarzystwo przy stole i kłaniając się z lekka, wycofał się w stronę drzwi.

– To Władek z drugiego końca wsi – powiedział cicho Wojtek. – Nie wiem, co go tu przywiało.

– Nie przesadzaj, drugi koniec wsi jest kilometr stąd. – Daniel prawie parsknął śmiechem.

– Półtora, dokładnie tysiąc siedemset metrów.

– Czasem tu przychodzi – oznajmiła Marysia i odchrząknęła.

Wszyscy troje wymienili spojrzenia. Każde z nich miało inne. Daniel drwiące, Wojtek urażone, a Marysia zawstydzona.

– Ilu jest drwali? – przerwał owe spojrzenia Daniel.

– Tego nie wiem, ale na pewno kilku.

– Skąd wiesz?

– Wiem.

Wojtek ciągle się wiercił. Słuchał, przytakiwał bez potrzeby, ale się wiercił. I przyglądał się Marysi, jakby ją widział po raz pierwszy.

– Dlaczego tak dziwnie mówisz? – zapytał w końcu.

– Wojtus, odpierdolił się! – odpowiedziała wściekle, nawet nie odwracając głowy w jego stronę. Nie przestała patrzeć na Daniela. – Nie czuj się zdradzony. To jest biznes. Rozsiali drwali na kilkunastu kilometrach kwadratowych, żeby nie rzucały się w oczy ścięte w jednym miejscu drzewa.

Brodacz słuchał spokojnie. Właściwie było mu obojętne, czy jest jedynym robolem, czy też działa w grupie chłopaków z siekierami i piłami. Może kiedyś pomyślałby o browarze z nimi, o wymianie doświadczeń. Teraz jednak nie palił się do tego, odpowiadała mu ta samotność drwala.

– Przecież to jest nielegalne, Daniel – mówiła dalej Marysia.

– Wiem o tym – przytaknął – ale mało mnie to obchodzi. Robiłem w życiu... – W porę się zorientował, że zaraz powie coś, czego będzie żałował.

Ale to wystarczyło, by Wojtek wwiercił w niego oczy. Od początku chciał go o to wszystko zapytać, a zawsze się bał. I teraz był tak blisko od poznania prawdy. Pewnie nie całej, ale nawet gdyby to miał być zaledwie jej ułamek...

– I teraz jest przełom. Bo w tym gównianym ich biznesie ktoś poczuł się ważniejszy – ciągnęła Marysia. – Ten z hotelu chce się pozbyć księdza.

– To on robi interesy z księdzem Eugeniuszem? – Zdziwiony Wojtek wreszcie oderwał wzrok od Daniela i zainteresował się głównym tematem.

– Oczywiście. Eugeniusz ma klientów, a Ksawery, ten z hotelu, przynosi kasę dla Daniela. To jego wkład.

Drwal uśmiechnął się pod nosem. Szemrane interesy na wsi – pomyślał. – Ksiądz i jakiś młodociany gangster. Prędzej nazwałby to komedią niż biznesem. Nie sądził, by kasa warta była tego całego zachodu. Pośrednicy, wspólnicy, logistyka. Szkoda energii.

Ale doświadczył w przeszłości kontaktów z gangami, które obracały milionami euro. Handlowały kokainą, rozprowadzały marihuane, nielegalnie dystrybuowały leki. Haracze, wyłudzenia i spuszczenie łomotu to druga strona medalu. Nikt tam, skąd przyszedł, nie handlował drewnem, zwłaszcza ścinanym przez nieznanego drwala.

– Dajcie spokój. – Daniel uśmiechnął się ironicznie. – To żalosne. I z tego powodu gość wypytuje o mnie „na mieście”? Nie lepiej do mnie podejść i porozmawiać? Bo rozumiem, że chce przejąć interes, a ja mam dla niego pracować?

Patrzył i szukał potwierdzenia w ich gestach. Wydawało mu się, że przytakują. Choć jeśli to robili, to bardzo nieśmiało, nie mając stuprocentowej pewności.

– Co za pajac! – podsumował całe zdarzenie Daniel i wstał, strzepując z ud niewidoczny pył.

Wprawił ich w zakłopotanie. Nie wiedzieli, jak się zachować po tym, co powiedział. Wojtek był zaskoczony, bo często był zaskoczony, zwłaszcza w relacjach z Danielem. Marysia myślała, że mówi o czymś ważnym, że odsłania wielką tajemnicę i przez swoją teorię tworzy historię. I teraz była trochę zawiedziona efektem.

– Kiedy go spotkacie – Daniel przystanął jeszcze przy stole – powiedzcie mu, żeby przede mną następnym razem nie uciekał. Niech ze mną porozmawia. Mnie jest wszystko jedno, dla kogo ścinam

drzewa. Może się dogadamy.

Przytaknęli jak marionetki. Pogodzeni z faktem, że nie zmienili jego życia i że nie odegrają w nim sensacyjnej roli. Patrzyli, jak odchodził, kręcąc głową z niedowierzaniem. Nagle zatrzymał się, odwrócił i ruszył w ich stronę równie spokojnym krokiem.

– Marysia, ty naprawdę inaczej mówisz – stwierdził, stając przed nią z rękami w kieszeniach. – Wszystko u ciebie dobrze? Skąd ta zmiana?

Spuściła głowę i wbiła wzrok w podłogę. Kiedy ponownie spojrzała na niego, jej wzrok był inny. Mimo łez w oczach patrzyła dumnie, a jednocześnie zadziornie. Próbowwała wzrokiem przesyć rozmówcę, tak jak robiła to niegdyś wiele razy. Ale Daniel to przeciwnik trudny. Wytrzymał jej wzrok i czekał na odpowiedź.

– A u ciebie wszystko dobrze? – spytała w końcu. – Nie było u ciebie żadnych zmian? Czy może jednak jesteś zupełnie innym człowiekiem?

Nie spodziewał się takiej reakcji kobieciny, która do tej pory podawała mu piwo lub parzyła kawę. Czasem w śmieszny sposób ostrzegała go, mówiąc, by na siebie uważał. Często uśmiechał się wtedy z politowaniem, myśląc, jak niewiele wie ona o jego umiejętnościach radzenia sobie z problemami. Mimo czasu, jaki upłynął od początku jego włóczęgi, nadal miał w sobie pewność siebie i instynkt. Przekonał się o tym poprzedniego wieczoru na polanie.

Teraz na jej słowa zareagował ironicznym uśmiechem. Miał też nieodpartą chęć odplacić złośliwością, ale się powstrzymał. Chciał wyjść. Odwrócił się więc i ponownie skierował się do drzwi.

– Nie zawsze byłam góralką – dobiegł do niego głos Marysi. – Tak jak ty nie zawsze byłeś włóczęgą.

Nie odwrócił się już. Szedł dalej wolnym, ale zdecydowanym krokiem. Ich wzrok, który czuł na plecach, popychał go w stronę wyjścia. Nie dlatego, że chciał uciec. Raczej dlatego, że chciał ich zostawić z uczuciem niepokoju. To był zawsze jego fetysz. Zostawiać z niedopowiedzeniem lub niepokojem. Takie reakcje rozmówców i rywali fascynowały go najbardziej. Pławił się w tym.

Pchnął z całym impetem drzwi. Poczul się jak Aragorn wracający do grodu króla Theodena po potyczce z orkami. Nie pasowały jedynie uczesanie i stylizacja – jak powiedziałaaby Martyna. Zawsze się zastanawiał, dlaczego z nim była, dlaczego tak go kochała. W niczym nie przypominała dziewczyny gangstera. Nigdy też nie wymagała od niego zerwania z tym życiem. Uśmiechnął się na myśl, że słowo „stylizacja” przywołane przypadkiem, przypomniało mu o niej. Ale zaraz potem uśmiech zszedł z jego twarzy, a właściwie z głowy. Bo znów poczuł, że za nią tęskni. On, twardziel, gangster. A teraz drwał.

– Daniel! – Krzyk Wojtka wyrwał go z tych myśli. Odwrócił się i zobaczył zziąjanego i nieco wystraszzonego kompana. – Co zamierzasz?!

– Wrócić teraz do siebie zamierzam.

– Ale...

– Nie ma żadnego „ale”. To jest jakaś popierdółka. Powiedz mu, że czekam na jego telefon. To także rozwiązanie twoich problemów. Szantażuje cię, to dasz mu to, czego chce.

Wojtek podrapał się po głowie i oparł o stół, który miał służyć tym wszystkim, którzy chcieli pić piwo na wolnym powietrzu. Zdecydowana większość wolała jednak raczyć się chmielowym napojem w środku.

– Martwię się, Daniel – powiedział niepewnym głosem.

– Czym?

– Jakoś nie pasuje mi to wszystko, co mówi Marycha.

– Głowa do góry, Wojtuś. – Daniel poklepał go po ramieniu. – Podaj mu mój numer telefonu, powiedz, że czekam. Tylko nie mów mu, gdzie mieszkam, bo tego nie zdzierzę.

To mówiąc, ruszył przez bramę w stronę szutrowej drogi, którą zwykle wracał do siebie z baru. Tak, czuł się tam u siebie. Teraz to był jego dom, tam odpoczywał, tam czuł się dobrze. W tej małej chatce. Właśnie teraz to sobie uświadomił, teraz, kiedy bezlitośnie wrzynała mu się w skronie myśl, że będzie musiał ten dom opuścić.

Tak, on też miał przecucie, że nie chodzi o jakieś pierdolone drewno.

Nie chcę z tym zwlekać. Chcę tam pójść i powiedzieć jej, że może powinna uważać. Tak, ostrzec ją. Chcę tam pójść i zapytać, o co chodzi. Zapytać, jak się czuje i czy jej czegoś nie potrzeba. Zapytać, czy mogę jej jakoś pomóc. Jak ojciec.

Wychodzę z hotelu powoli, jak na spacer, tak, by nie wzbudzić podejrzeń. Choć po chwili dociera do mnie, że chyba upadłem na głowę. Nie gram przecież w żadnym filmie Vegi.

Jeszcze czuję smak ust Alicji. Jej pocałunek zaraz po tym, jak powiedziałem: „W rzeczy samej” i że idę, był zbyt intymny. Niby cmoknięcie, ale w usta i zbyt długie. Malina. Tak, to smak maliny. Kobiety, które używają takich pomadek, tracą chyba umiejętność rozróżniania smaków. To tak, jakbym o każdej porze dnia (może i nocy) jadł maliny. Przestałbym w końcu reagować na ich smak.

Tak, zbyt intymnie. I jeszcze ta dłoń na torsie. Niezręcznie się z tym czuję.

Zostawiam to jednak za sobą. Przechodzę przez bramę wjazdową i kieruję się w dół drogą prowadzącą do wsi. Mijam dwa wolnostojące garaże, które zupełnie nie pasują do reszty krajobrazu. Błacha falista nie komponuje się z prawie w całości zbudowanym z drewna hotelem. Oczywiście nie wiem, do kogo należą. Brama każdego z nich zamknięta solidnie, bo z zawieszoną dużą kłódką.

W drodze w dół mijam jeszcze dwa drewniane budynki przypominające bardziej domki narzędziowe niż rekreacyjne. I może właśnie nimi były. Nie zwracam na nie uwagi, bo przechodzę właśnie po kładce nad górskim strumykiem. Zachwycam się, jak zawsze w takich momentach. Przystaję na chwilę i wsłuchuję się w szum szeleszczącej wokół kamieni wody.

Ruszam dalej, bo czuję presję czasu. Wreszcie wychodzę na drogę pokrytą asfaltem, co powinno oznaczać cywilizację, ale przecież wiadomo, że w tym przypadku tak nie jest. Biorę głęboki wdech, kiedy czuję odchody bydła. Ich zapach ma taką intensywność, że wżera się w nozdrza i paraliżuje gardło. Po raz kolejny towarzyszy mi przekonanie, że coś tak naturalnego, nawet jeśli jest trudne do zniesienia, musi być zdrowe.

Za pierwszym domem po prawej jest małe skrzyżowanie. Od głównej, asfaltowej drogi idą dwie szutrowe odnogi. Przy tej w prawo widzę przytwierdzone do płotu sztyld...

Bar Pod Konikiem  
800 metrów

...i strzałka w prawo. Nie było wątpliwości, jak tam trafić. Ciekawe, jak wygląda bar w takiej dziurze. I jakie ma obroty. Wydaje mi się, że wyjścia do takiego miejsca to sporadyczna sprawa dla tutejszych. Jak chleją, to w domu z sąsiadami. Nie potrzebują do tego baru.

Idę dalej. Mam w głowie Kochanowskiego ze słowami: „Wsi spokojna, wsi wesola”. Tyle że wesołości tu żadnej. Jest cisza i spokój – mam wrażenie, że pozorne. Choć może to przez ten mój stan niepokoju o Zosię.

Po lewej stronie dom z pustaków. Za chwilę się rozleci. Oczami wyobraźni widzę gospodarza, który przepija wszystko, co zarobi na czarno. Na remont brakuje. Dzieci pewnie nie mają książek, a żona daje się łać po gębie co wieczór. A może nie, bo tutejsze kobiety to harde baby. Same by mogły chłopu przywalić.

Ciszę zakłóca dźwięk jakiejś maszyny do cięcia drewna. To tartak. Widzę nawet za płotem stos desek przypominających raczej odpady niż ostateczny produkt. Obok nich kilogramy trocin. Bo choć są niemal zerowej wagi, to jest ich tak dużo, że takie kilogramy się zbiorą. Za domem owa głośna maszyna, a przy niej zgarbiony człek z wygłuszającymi słuchawkami na uszach. Mógłbym teraz do niego ryknąć – nie usłyszałby nic.

Z tartaku moje oczy przechodzą płynnie na dom po drugiej stronie. Pani wiesza pranie. Jakieś szmaty, gacie i pościel. Kiedy mnie dostrzega, mam wrażenie, że chowa się za prześcieradłem. Bawi mnie to, ale nie dają tego po sobie poznać. Po prostu odwracam wzrok i moim oczom ukazuje się wieża

małego kościoła z rozbudowaną nawą. Bardziej okazałe wygląda budynek stojący obok – zapewne dom parafialny, w którym mieszka ten pan w sukience, czyli proboszcz.

Drzwi do budynku właśnie się otworzyły i pojawił się w nich wysoki, szczupły mężczyzna w czarnej koszuli i spodniach tego samego koloru. Bezwiednie mrużę oczy, by widzieć dokładnie, i dostrzegam koloratkę. To oni teraz nie chodzą w sukienkach? Jestem już tak daleko od spraw kościoła, że tego nie zauważyłem?

Duchowny, z głową pochyloną nad jakąś kartką, robi kilka kroków do przodu. Wtedy podnosi wzrok i zerka w moją stronę. Zatrzymuje się i patrzy. Trwa to kilka sekund. Zaraz potem odwraca głowę w swoją lewą stronę, czyli za moje plecy... tam, skąd przyszedłem. Również spoglądam w tamtą stronę, myśląc, że ktoś po prostu za mną idzie. Kiedy wracam wzrokiem, drzwi domu właśnie się zamykają. Wrócił do środka. Z mojego powodu?

Nie poświęcam temu incydentowi wiele uwagi. Tym bardziej że widzę już dom Zosi. Jeszcze jakieś dwieście metrów. Nie przeszkadza mi to, że idę środkiem drogi. Nie spodziewam się żadnego pojazdu w najbliższym czasie. Ewentualnie furmanki zaprzęzonej w konia bombardującego asfalt kupami co dziesięć metrów. Ich właściciele powinni mieć specjalne woreczki do zbierania odchodów jak właściciele psów w miejskich parkach.

Zaskakujący odgłos z lewej. Bawiące się dzieci. Zapomniałem, że one mogą tu być. Bo niby dlaczego nie. Dwójka brzdącoń siedzi w piaskownicy. Nieco starszy chłopiec kopie piłkę o ścianę domu. Zaraz pewnie wyskoczy rodzic i opierdoli dzieciaka.

Budynek naprzeciwko wygląda, jakby straszyl. Okna przypominają zapadnięte ze zmęczenia oczy, spadzisty dach jest jak nieumyte od miesiąca włosy, a drzwi jak usta opętanej dziewczyny z pierwszej części *Egzorcysty*. I w tym zapadniętym ze zmęczenia oku wydaje mi się, że poruszyła się firanka, odchylona przez jakąś ciemną sylwetkę. Patrzę tylko przez chwilę w oczekiwaniu, aż postać pojawi się ponownie. Ale nic takiego się nie dzieje. Przekonanie, że ktoś tam ciągle stoi, chyba jednak jest złudzeniem. A może sobie to wmawiam, by nie doszukiwać się drugiego dna.

Dom Zosi jest tuż-tuż. Rozpoznaję go, mimo że elewacja jest teraz w innym kolorze. Równie kosztownym co wtedy. Wtedy była brązowa, teraz żółta. Z pewnością nie wymyśliła tego studentka ASP. To pomysł jej ograniczonego ojca.

Czuję na sobie czyjś wzrok. Przed wejściem do sklepu stoi dwóch tubylców w tych swoich góralskich spodniach i białych koszulach. Piją piwo. Sklep! Tak, ten sklep sprzed lat, który był areną naszych pierwszych spotkań z Zosią. Niewiele się zmienił, ma jedynie jeszcze bardziej odrapane ściany niż wtedy. Nie potrafię określić uczuć, jakie wzbudza we mnie ten budynek. Wspomnienie spotkań z rezolutną Zosią redukuje odruch wymiotny, jaki mam na myśl o tych litrach alkoholu, które w siebie wtedy wlałem. Patrzę na ten sklep i czuję zapach spirytusu. To jednak zniósłbym z łatwością, gdyby nie fakt, że przed oczami mam rozbity w pył samochód Agnieszki. Boli mnie brzuch. I chciałbym wejść, ale nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Boję się, że ten spożywczyak z zatartym napisem „Społem” będzie mnie już zawsze zmuszał do sięgnięcia po coś, co mnie szybko powali.

– Zaprosomy, panocku! – odzywają się ci dwaj z butelkami w dłoniach.

Nie odpowiadam. Kiwam tylko przecząco, odwracam się i idę dalej. Ostatnich kilkadziesiąt metrów pokonuję już ze zwieszoną głową. Podnoszę ją dopiero przed fikuśną furtką, na której wisi tabliczka z informacją o złym psie. Stoję przed nią i szukam jakiegoś dzwonnka, czegoś, w co mógłbym choćby zapukać. Na próżno.

Pamiętam, że to dom babci. Stary, pewnie wymagający remontu, nie tylko malowania elewacji. Ale przecież mnie to nie obchodzi. Zosia i tak stąd ucieka, zaczyna swoje piękne życie. I dobrze.

Otwierają się drzwi, wychodzi z nich jej mama. Poznaję ją, mimo że czas jej nie oszczędził. Pomarszczona twarz, siwych włosów dużo więcej. Tak naprawdę nie pamiętam, by miała wtedy jakikolwiek siwy włos. Tyle że ktoś mógłby teraz powiedzieć: A co ty możesz pamiętać?! Błąd, akurat ten dzień pamiętam dość dobrze.

– O co chodzi?! – mówi podniesionym głosem. Mam wrażenie, że już zdążyłem ją zirytować. Jeszcze nie wiem czym, stawiam na taki sposób bycia.

Zza domu wyłania się mężczyzna. To jej ojciec. Nie przewidziałem takiej sytuacji, nawet o tym nie pomyślałem. Miałem pójść do Zosi i tylko ją spotkać. Taki był plan mojego mózgu.

Oboje idą w moją stronę wolnym krokiem. Ona wyciera ręce w jakąś szmatę, on, rozebrany do połowy, pochylony, z wytężonym wzrokiem. W pewnym momencie szturcha żonę łokciem i widzę, że coś jej peroruje.

– Dzień dobry – staram się mówić tonem spokojnym i łagodnym. – Zastałem Zosię?

– A w jakiej sprawie? – błyskawicznie odpowiada on.

– Jestem gościem hotelu, w którym pracuje. – Nadal ton spokojny. – Zosia zostawiła mi wiadomość i musimy porozmawiać.

Patrz na mnie. A raczej obserwuj, bo oczy wwiercają we mnie brutalnie i bez skrępow. Ona nachyla się do niego i szepcze coś do ucha. On przytakuje, a ja widzę, jak zaciska żuchwę. Już wiedzą.

– Zośki ni ma – odpowiada, rozluźniając szczękę.

Trudno mi w to uwierzyć, ale nie mam wyjścia, muszę to przyjąć i się oddalić.

– Jak wróci, proszę jej powiedzieć, że jej szukałem – mówię bez wiary, że to zrobią. – Mam na imię Mateusz.

Oboje skinęli głowami, nie mam pojęcia, czy na znak, że wiedzą, jak mam na imię, czy aby potwierdzić, że przekażą. I stoją tak, czekając, aż sobie pójdę, aż ponownie zniknę z ich życia. Odwracam się więc i idę w swoją stronę. Ale nie wracam do hotelu, kieruję się w stronę końca wsi. Wykorzystuję to, że tu jestem, i oglądam to miejsce w całości. Nie mogę powiedzieć, że je chłonę, ale na pewno wdycham powietrze i obserwuję ten ich mały świat.

Kiedy się odwracam, widzę, że ona i on wracają do domu, żywo dyskutując, ale zerkając też na mnie. Niech robią i mówią, co chcą, ja i tak dotrę do Zosi.

Zostawiam z tyłu dom jej rodziców. Może źle zrobiłem, nie dzwoniąc do niej wcześniej. Teraz to zrobię. Wybieram numer i przykładam telefon do ucha. Zdziwiony, słyszę dzwonek telefonu gdzieś niedaleko. A potem śmiech.

– Dzień dobry, panie Mateuszu!

Idzie w moją stronę uśmiechnięta, z rozwianymi włosami. Ma na sobie białą spódnicę po kostki i niebieską koszulkę na ramiączkach. Na stopach zniechęcone przeze mnie japonki. To coś, co odbiera kobiecość nawet najpiękniejszej kobiecie. Jak facetowi mokasynty noszone bez skarpet zabierają męskość.

– Byłem u ciebie w domu – oznajmiam, ciekaw jej reakcji. Ale uśmiecha się.

– To chyba nie był dobry pomysł. Oni pana dobrze pamiętają. Ojciec przez długi czas przełączał telewizor na pana widok.

– Powiedzieli, że cię nie ma. Myślałem, że kłamia.

– Byłam na spacerze. Muszę czasem, by nie zwariować.

Odgarnia włosy, które wiatr popycha jej na twarz. Próbuje też w nie dmuchnąć, ale bez rezultatu.

– Usiądźmy gdzieś – proponuję.

– Do domu pana nie zaproszę. – Śmieje się. – Przytulnych kawiarenek też tu nie ma. Możemy posiedzieć na trawie.

To najlepsza propozycja ze wszystkich. Zgadzam się i niedługo schodzimy z drogi i siadamy na łące. Mamy piękny widok – cztery leniwie wciągające trawę krowy. Gdzieś tam w słońcu wygrzewa się pies, właśnie wystawił łeb, by zerknąć, kto zbliża się do jego terytorium.

– Co się tam właściwie stało? – pytam, słusznie się domyślając, że wie, o co chodzi.

– Wydaje mi się, że obserwowanie gości hotelu i donoszenie na nich do jakiegoś menedżera jest cholernie niemoralne. Nie mogę tego robić.

– Rozumiem. – Patrzę na tego psa, ale nie myślę o nim. – Mam jednak wrażenie, że Ksawery to nie taki zwykły menedżer. Może być niebezpieczny.

– Nic mi nie zrobi.

– Skąd pewność?

– Intuicja.

– To za mało. Nie bez powodu dał sygnał, że wie, gdzie mieszkasz.

– Niedługo i tak stąd wyjadę.

– Kiedy?

– Jeszcze nie wiem, ale nie zostaną tutaj dłużej niż tydzień. Nie czuję się tu dobrze.

Zerkam na nią wzrokiem pytającym i trochę zdziwionym.

– Nie mam tu prawdziwego swojego miejsca. Mój pokój już dawno nie jest mój, bo wszystko w nim się zdezaktualizowało. Nie mam tu swojej sztalugi, wszystkich pędzli. I nie ma tu mojego Krakowa. To było dobre na miesiąc, ale teraz już chciałabym wracać.

– Może jeszcze zatęsknisz kiedyś za tą wsią – mówię z dużym przekonaniem jak każdy stary zgred, który uważa się za mądrzejszego. Łapię się na tym.

– Na pewno. Jak będę w pana wieku. – Śmieje się głośno, pokazując niemal wszystkie zęby. Z tej małej dziewczynki wyrosła piękna dziewczyna.

– Dlaczego to ja miałem być obserwowany dokładniej? – pytam.

– Rozmawiałam o tym z Błażajem. Chyba chodzi o to, że jest pan dziennikarzem. Może się boi, że będzie pan szperał.

Chyba w takim razie zacznę szperać. Nigdy nie chciałem być dziennikarzem śledczym, nawet mnie zawsze ten rodzaj działalności irytował. Ale tym razem korci mnie, by pogrzebać w sekretach, jeśli takowe są.

– Pracowałam w recepcji – mówi dalej – miałam wgląd w meldunki. Mówiłam panu o tych grupach męczyczyn, którzy się nie meldują i nie wiem, gdzie znikają. Wydaje mi się, że to nie jest normalne. I głównie to miałam na myśli, mówiąc Ksaweremu, że wiem.

– Ale to już coś. Jeśli tak zareagował, to znaczy, że coś jest na rzeczy.

– Tylko że nie mogłam tego sprawdzić. – Wzrusza ramionami. – Szczere mówiąc, zupełnie o tym nie pomyślałam, robiłam swoje.

– A to pomieszczenie ochrony?

– Nie miałam do niego dostępu. Nawet nie wiem, czy ktoś tam siedzi na stałe, bo przecież hotel nie ma żadnego ochroniarza.

– Ale mówiłaś, że Ksawery i Moneta tam znikali.

– Właściwie tylko Ksawery. Monety nigdy tam nie widziałam.

– Jesteś pewna, że to pokój ochrony?

Znowu wzrusza ramionami, poprawia włosy i ściślej opatula spódnicą nogi. Zmienia też pozycję. Teraz siedzi po turecku i lekko się kołysze. Marszczy czoło, mruży oczy.

– Ksawery tak nam powiedział. I że klucz ma tylko on, nikt nie może tam wchodzić.

Właściwie nie dziwi mnie to. Jeśli to pokój ochrony, możliwe, że jest tam monitoring. W tej sytuacji wstęp może mieć jedynie wąskie grono. I być może to grono jest zawężone do dwóch osób – Ksawerego i Monety. Na ich miejscu również nie otworzyłbym tych drzwi dla wszystkich pracowników. Tym bardziej że obydwa są niemal non stop na miejscu.

– Oni mieszkają w tym hotelu? – pytam, chcąc potwierdzić swoje domysły.

– Moneta tak, bo to właściwie jego dom. Zapewne jeden z kilku. – Potakuje głową. – A Ksawery podobno mieszka w wynajętym przez Monetę domu w sąsiedniej wsi. W Kopytach.

Nieźle się ustawił gówniarz. Musi się cieszyć ogromnym zaufaniem szefa. Określić go wyrażeniem „prawa ręka” to chyba jednak za mało. Choć może przesadzam. Kilkanaście lat temu miałem asystenta w firmie, który zajmował się researchem i wszelkiego rodzaju pomocą gwieździ – jak to nazwał Karol. Nawiasem mówiąc, prawie o nim zapomniałem. I ów asystent o wdzięcznym imieniu Miłosz korzystał z mojego mieszkania, które stało od pewnego czasu puste. A jednak trudno mi nazwać Miłosza kimś więcej niż prawą ręką. Nie wiem, czy nawet tak bym go określił.

– Diana jest twoją przyjaciółką?

– Tak bym tego nie nazwała. Ale chyba jest mi życzliwa. Lubimy się.

– Można jej ufać?

– Trudno powiedzieć, nie znam jej aż tak dobrze. Nie wiem, o jakie zaufanie panu chodzi.

Wbijam wzrok w asfaltową drogę i zastanawiam się nad jej słowami. Też tego nie wiem. A na pewno nie wiem, jak to określić. Zresztą i tak nie mam zamiaru dzielić się z nią wrażeniami i zwierzać z obserwacji hotelowych.

Zosia odwraca głowę w lewą stronę. Widzę teraz tylko jej włosy, ale wiem, że skupia na czymś wzrok, czuję to. Instynktownie patrzę w tę samą stronę. Na końcu drogi, a przynajmniej na końcu tego, co widać, majaczy jakaś postać. Przyglądamy się jej w milczeniu, jakbyśmy oboje spodziewali się, że coś się wydarzy. Coraz wyraźniej widać, że to kobieta. Tutejsza, bo ubrana jak one wszystkie tutaj, czyli po wiejsku. Idzie wolno. W jej dłoni dostrzegam kartki, niezbyt wiele, wręcz kilka. Widzę ją coraz wyraźniej. Nagle zatrzymuje się i podchodzi do słupa energetycznego. Przykleja na nim kartkę i idzie dalej. Zatrzymuje się przy blaszanym przystanku i tam również zawiesza kartkę.

– Była tu wczoraj rano – mówi Zosia ściszym głosem, choć z pewnością kobieta jej nie słyszy.

– Kto to? – pytam z nieukrywanym zainteresowaniem.

– Nie wiem, ale rozwiesza zdjęcie dziewczyny, która zaginęła trzy dni temu. Tak tam jest napisane.

Nie przestaję patrzeć na rozwieszającą ogłoszenie kobietę. Jest coraz bliżej nas. Zostawiła przystanek i kieruje się do centrum wioski. Takie centrum to zwykle kościół i sklep, i właśnie tam zmierza. Wolnym krokiem, ale pewnym. Wie, co robi. Ma plan, nawet jeśli wykonuje go z tym bólem, który widzę na jej twarzy. Ma opuszczoną głowę, ale nie na tyle, by nie widzieć, dokąd idzie.

– Najwyraźniej matka – mówię cicho.

– Chyba tak – odpowiada Zosia i kryje twarz w dłoniach. Jest przejęta tą zmarszczoną twarzą i oczami zmęczonymi płaczem. Też to widzę. – Wczoraj te ogłoszenia nagle zniknęły z tych słupów, z przystanku, nawet z bramy kościelnej. Ktoś je pozrywał. Ludzie są podli. Nie pomagają i jeszcze potrafią zaszkodzić.

Patrzmy, jak idzie ta biedna kobieta. Zatrzymuje się przy kolejnym słupie i zawiesza kolejną kartkę. Tym razem po jej przyklejeniu przesuwając po niej delikatnie palcem. Podąża dalej. Dociera do sklepu, przy którym wciąż stoi tych dwóch tubylców. Ciekawe, które to ich piwa. Coś do niej mówią, ale nie słyszę, bo jest za daleko. Ona wiesza kartkę. Przykleja ją na ścianie taśmą klejącą. Myślę, że długo ta kartka tam nie wytrzyma. Mogła ją przykleić do drzwi.

Coś do niej mówią, ale ona ich ignoruje. Nie odpowiada. Nie patrzy na nich, nie wykonuje żadnego gestu. Dziwne, może chcą jej pomóc? Idzie dalej, jakby nic innego się nie liczyło, tylko to, co zaplanowała – rozkleić te ogłoszenia. Zatrzymuje się przed kościołem. Tuż przed krzyżem. Pochyla głowę, klęka, żegna się i zastyga w tej pozycji.

– Modli się? – Zosia jak zahipnotyzowana obserwuje tę scenę. Nie odrywa wzroku.

– Chyba tak.

Trwa to jakąś minutę. My w tym czasie milczymy, czekając na to, co będzie dalej. Sytuacja jest ujmująca, bo przecież wiemy, dlaczego się modli. A przynajmniej się domyślamy. Mam wrażenie, że się chwije. To nie jest kołysanie, to jest chwanie się we wszystkie strony. Zastanawiam się, czy nie podejść i zapytać, czy czegoś potrzeba. Za długo jednak zwlekam i ona wreszcie wstaje, żegna się i odchodzi.

– Nie idzie dalej? – pytam retorycznie.

– Może celem był kościół, chciała się pomodlić i przy okazji rozwieszała te ogłoszenia.

– Nie mogła wejść do środka?

– Niech pan nie żartuje. Kościoły w Polsce w ciągu dnia są z reguły pozamykane.

Powstrzymuję się przed komentarzem. Nie chcę w młodą głowę wślizgiwać się ze swoją, delikatnie mówiąc, niechęcią do tej instytucji. Nawet nie czas na to. Na snucie teorii, według których Kościół działa jak mafia. Na to, że księża w większości są księżmi dla siebie, nie dla wiernych. Na to, że Kościół jest egoistyczny. Zadowolony niech sobie będzie, ale gorzej, że nie ma w sobie empatii. Kler uwierzył w swoją boskość i bezkarność. I choć to nie jego wina, bo zepsuli go wierni, wybacząc wszelkie grzechy, duże czy małe, to jednak nie potrafi się z tego otrząsnąć i oddać się do boskiego serwisu.

Kobieta idzie w naszą stronę. Już bez zatrzymywania się. Z głową pochyloną i rękami założonymi z tyłu. Nic nie jest w stanie jej rozproszyć. Gdyby przejeżdżał samochód, nie zesłaby ze swojej ścieżki. Nas nie zauważa, mimo że prawie się o nas ociera. Widzę ją teraz dość dokładnie, mimo że głowę ma pochyloną, tak że twarzy prawie w ogóle nie da się dostrzec. Ale rzuca wzrokiem w naszą stronę. Nie spojrziała na nas, tylko zerknęła w naszą stronę. Ułamek sekundy, ale zauważalny. Mimo to idzie dalej, nie zwalnając kroku.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, co ona przeżywa – odzywa się Zosia, ciągle prowadząc kobietę wzrokiem.

Ja potrafię. To znaczy ona jest jeszcze najprawdopodobniej przed wszystkim. Jeszcze nie wie, jeszcze ma nadzieję. Ja wiem, jak jest, kiedy na nadzieję w ogóle nie ma czasu i szansy. Dostajesz informację i radź sobie. Czujesz jeszcze jej zapach na dłoniach, czujesz dotyk, a kilka godzin później...

– Ja potrafię – mówię cicho, ale tak, żeby Zosia słyszała. Widzę, że zamyka oczy. Nie, nie chcę widzieć jej łez, a czuję, że gromadzą się pod powiekami. Wstaje.

– Zosiu, uważaj na siebie – dodaję, chcąc jak najszybciej zmienić atmosferę. – Masz mój numer jakby co.

– Dziękuję panu. – Również wstaje. – Jest pan moim opiekunem.

Uśmiecha się tak pięknie młodzieńczo. Podchodzi i całuje mnie w policzek.

Idę do siebie. Jeszcze nie wiem, jaki będzie mój następny krok, ale będę się przyglądała Ksaweremu, prostrzę Błażeja. Co z tym pokojem ochrony? Czy on naprawdę istnieje?

Zatrzymuję się przy sklepie. Nie ma tam już nikogo, stoją tylko butelki. Nie mogli ich zabrać ze sobą? Oddać do sklepu? Wyrzucić? Może tu żyje się inaczej...

Kartka już ledwo wisi. Taśma klejąca i tynk. To nie mogło się udać. Próbuję kartkę przewiesić na blaszane drzwi. Taśma straciła już właściwości klejące, ale jest lepiej niż na ścianie. Dociskam na rogach i sprawdzam, jak się trzyma. Wiem, że za chwilę to przeczytam, ale jeszcze ten moment opóźniam. Wchodzę do środka i kupuję czekoladę. Gorzką, bo ponoć zdrowsza i mniejsze szanse na przytycie. Dwie czekolady – Alicja wygląda mi na łasucha. I śliwowiec, bo kojarzy mi się z wsią. Nie wiem, czy wypiję, ale chcę ją mieć.

Wychodzę. Przystaję na chwilę i czuję, jak działa na mnie ta kartka, którą przed chwilą kleiłem na nowo. Jak magnes. W końcu odwracam się do niej przodem. Jest na niej zdjęcie, młoda dziewczyna o długich, czarnych włosach. Uśmiechnięta. To zdjęcie z dowodu osobistego, powiększone, więc nieostry. Ale nie da się nie dostrzec mocno zarysowanych brwi i dużych, czarnych oczu. Ma pełne usta, jest ładna. Wrażenie psuje nieudany lub raczej mało gustowny makijaż.

Pod zdjęciem dwa zdania poprzedzone wyraźnym, napisanym dużymi literami:

**BŁAGAM**

*Jeśli ktoś widział Jankę przez ostatnie trzy dni,*

*niech się ze mną skontaktuje.*

*Nie wiem, gdzie jest, wyszła w niedzielę i miała wrócić wieczorem.*

Niżej podany numer telefonu. Bez zastanowienia zapisuję go w komórce pod hasłem „Janka”.



Obudził się wtedy nagle, z potem na czole. Snu oczywiście nie pamiętał, z trudem przypomniał sobie nawet, gdzie jest. Choć był u siebie, w mieszkaniu na Woli. Zawsze jednak kiedy budził się nagle, pierwsze sekundy musiał poświęcić na orientację w terenie. Klóciło to się z jego niemal nieustającą czujnością, gotowością do wszelkich działań w każdym momencie. Dziwiło go to za każdym razem, kiedy się to działo. Także wtedy.

Ona spała obok, nie obudziło jej to jego nagle zerwanie się. Spojrzał na wiszący naprzeciwko zegar. Za wcześniej, by wstać. Za wcześniej, by już zacząć dzień, w końcu to sobota. Jeszcze miesiąc temu wyprowadził Bonifacego na spacer. Ale teraz już go nie było.

Wstał, poszedł do toalety i wrócił do łóżka. Martyna leżała tyłem do niego, na lewym boku – jak zawsze. W beżowej satynowej koszulce. Choć ona twierdziła, że to beż przechodzący w fiolet. Może i tak, mężczyźni dużo prościej podchodzą do kolorów. A w takich sytuacjach jak ta uruchamiając w męskich oczach funkcję zwaną rentgenem. O kolorze myślą o wiele mniej intensywnie.

Przysunął się do Martyny i zsunął z niej koldrę. Poruszyła się przez sen, ale nie zmieniła pozycji. Chwylił palcami kraniec koszulki i odsłonił pośladki. Zawsze na ich widok czuł ucisk w podbrzuszu i olbrzymią chęć zaciśnięcia na nich dłoni. I to mocno.

Zrobił to wtedy. Kiedy tylko je odsłonił, położył dłoń na pośladku i ścisnął. Zaraz potem przesunął palcami po biodrze i po wcięciu w tali. Dłoń sama już wtedy przesunęła się na brzuch. Poczł wtedy, jak skóra odsłakuje od jego palców po sygnale z mózgu, że to łaskotanie. To był pierwszy etap przebudzania się. Drugi nastąpił, kiedy palce dotarły do małych piersi i twardych już sutków.

Przyłgnął do niej cały. Z pewnością czuła już wtedy jego podniecenie. Ściągnął z siebie bokserki i przywarł do jej skóry twardym penise. Jęknęła i sięgnęła po niego dłonią, odchylając głowę do tyłu. Objęła go palcami i zaczęła pocierać, w górę i w dół.

A on całował i gryzł jej szyję. Dłoń znów powędrowała na pośladki, ale więcej już było w tym dotyku intensywności i zachłanności. Przesunął palcem między pośladkami i przejechał po cipce. Była mokra. Uwielbiał, kiedy tak szybko wilgotniała. Wsuwał wtedy dwa palce, dając jej w kilka chwil pierwszy orgazm.

Coś szepnęła, ale nie usłyszał słów. Słyszał tylko szepł pożądanía, taki trochę jakby cichy szmer, który jasno dawał do zrozumienia, czego chce. Dała mu całkowitą pewność, kiedy uwolniła penisa i sięgając do jego biodra, próbowała popchnąć go w swoją stronę. Nie musiała tego robić, bo on nie wyobrażał sobie innego dalszego ciągu.

Wszedł w nią powoli, ale gładko. Właściwie wślizgnął się w nią cały, zamykając przy tym oczy i przyciągając jej biodra do siebie. Zawsze zaczynali wolniej, a potem już zwierzęco i dziko różni się do końca.

Wtedy tylko w tej pozycji pieprzył ją bez zmiany tempa. Najpierw doszła ona, tłumiąc krzyk poduszką. Potem on skończył w niej, wydając tylko stęknienie. I pulsował tak w niej jeszcze przez chwilę. Jej cipka też miała delikatne skurcze, które on czuł wyraźnie na twardym jeszcze penisie. A kiedy z niej wychodził, czuł, że wypływają wszystkie soki. Jej i jego. Ona to uwielbiała, on mniej.

Zasnęli jeszcze na krótko, a potem niemal równocześnie wstali i zajęli się sobą. On zrobił śniadanie, ona przeglądała jakiś kolorowy magazyn. Gdzieś w tle pobrzmiwała trąbka Milesa Davisa, za oknem sobotni hałas ulicy. Zapowiadał się leniwy dzień. A w ogóle taki nie był.

Kiedy jedli śniadanie i pili kawę, nie wiedział, że widzi ją ostatni raz, że dotykał jej ostatni raz, że pieprzył ją ostatni raz. Gdyby wiedział i gdyby nie mógł na to nic zaradzić, być może zrobiłby to wszystko inaczej. Może patrzyłby jej w oczy, wchodząc w nią powoli. Może przeciągnąłby palcem po kręgosłupie zamiast łaskotać brzuch. Może kawę przygotowałby w tych wyjątkowych filiżankach przywiezionych z Werony. A może nie wiedziałby, co zrobić, by spędzić te ostatnie chwile najlepiej, jak się da.

Groźby, które przychodziły do niego codziennie od tygodnia, wykiwał i „wrzucał” do kosza. Czuł się pewnie nawet wtedy, kiedy ktoś przysłał zdjęcie wejścia do jego klatki w bloku. Pomyślał, że każdy może takie zdjęcie zrobić i że chyba miejsce jego zamieszkania nie jest aż tak wielką tajemnicą.

Wiedział, kto groził. Nie potrafił się go bać. Pieprzony egoista, który nawet o swoich ludzi nie potrafił zadbać. Tych dojechanych przed pubem zostawił bez skrępulów. Kazał im wypierdalać i wziąć następnych z ulicy. Podobno bardziej bezwzględnych, bo niemających wiele do stracenia. Takich walczących o każdy dzień.

Strach nie przyszedł również wtedy, kiedy po tej kawie wyszła na pocztę – bo awizo. Nie było przecież powodów. Poczta jest pięćset metrów stąd, groźby były groteskowe, a mnie nikt nie ruszy. Dla jednych jestem za mały, by się mną zajmować, dla innych za duży, by mnie tknąć. Tak wtedy myślał.

– Nie, nie, odpocznij. Ja pójdę – powiedziała, kiedy zaproponował, że sam pójdzie.

Wszystko zmieniło się gwałtownie, kiedy po pięciu minutach od jej wyjścia usłyszał sygnał wiadomości w telefonie. Otworzył spokojnie, ale spokój gdzieś uleciał, kiedy na ekranie telefonu pojawiło się zdjęcie. Była na nim ona, wchodząca przez główne drzwi na pocztę. Na tym zdjęciu litery układające się w wiadomość, której już nigdy w życiu nie zapomni.

„Nie spełniłeś mojej prośby. Pożegnaj się”.

Najważniejsze to nie panikować. Zebrać myśli i wyjść jak najszybciej jej naprzeciw.

Wyjął z szuflady finkę i schował do tylnej kieszeni spodni. Włożył szeroką bluzę z kapturem i wybiegł z mieszkania. Nie czekał na windę, zbiegł schodami, pokonując dwa, trzy stopnie naraz. Zwolnił, kiedy wyszedł z bloku. By nie wzbudzić podejrzeń, by nie splotyć grożącego, by łatwiej ocenić sytuację.

Usłyszał syreny. Przez ulice zwężone zaparkowanymi przy chodnikach samochodami przebiegała się karetka pogotowia. Jeszcze wtedy nie powiązał tego z nią. Dopiero kiedy auto na sygnale skręciło w prawo, w ulicę, na której końcu była poczta, poczuł niepewność. Chwilę później w tę ulicę wjechała policja, równie głośno i szybko.

Ruszył biegiem. Tuż po skręceniu w prawo zobaczył grupę gapiów zgromadzonych niedaleko karetki. Policjanci próbowali odsunąć ludzi jak najdalej od krzątających się tam lekarzy i ratowników medycznych. Ludzie zaś, stając na palcach, wychylali głowy, by widzieć jak najwięcej krwi. Hieny.

A krew zobaczył, kiedy zbliżył się bardziej. Zobaczył też włosy blond rozrzucone na asfalcie.

– Daniel, zaczekaj! – usłyszał tuż obok głos, który miał być szeptem, ale brzmiał wręcz hałaśliwie.

Odrzucił się bezwiednie. Artur. Jeden z tych mięśniaków o gołęmbim sercu. Pakował na siłowni kilka razy w tygodniu, ale lał tylko najgorszy sort.

Odciągnął go siłą od tego zamieszania i przytrzymał, kiedy stali już pod murem jakiegoś budynku.

– Ona nie żyje, Daniel – powiedział. – Zaraz psy znajdą cięcie na tętnicy udowej. Ciachnęli ją, zanim wepchnęli pod auto. Była bez szans.

Daniel wyrwał się jeszcze kilka razy. W końcu spasował.

– Nie idź tam. Zaczną cię maglować. Załatwią cię.

– Kto, kurwa, będzie mnie maglował?!

– Psy! Oni tam na ciebie czekają. Wiedzą, że przyjdiesz.

– Jakie psy?! Jakie załatwią?! Co ty pierdolisz, człowieku?!

Chciał to zobaczyć, chciał JĄ zobaczyć. Chciał widzieć, w jakiej pozycji leży, co jej jest, co ją boli. Chciał, żeby mu powiedziała, kto to zrobił. Ona na pewno dokładnie opisałaby, co widziała. Miała fotograficzną pamięć.

Daniel szarpnął się jeszcze raz i wyrwał się z mocnego uścisku Artura.

– Pierdolę psy! – warknął do niego i pobiegł w stronę karetki. Natknął się na kordon policji i parawan oddzielający gapiów od interweniujących lekarzy.

– Chcę tam wejść – zdobył się na spokojny głos, kiedy mówił do policjanta blokującego przejście.

– Nie wolno – odpowiedział.

– To moja narzeczona.

Mundurowy zlustrował go wzrokiem od stóp do głów.

– Wie pan, co się stało?

– Chyba. – Daniel chwycił się za głowę i głośno jęknął jak skaleczone zwierzę. Chciał przepchnąć glińiarza, powalić go jednym ciosem, jak to często robił. Ale wiedział, że to mu nie pomoże. Starał się i nawet udało mu się w miarę logicznie myśleć.

Wpuścił go. Podprowadził go jednak do ratownika medycznego, który najwyraźniej miał zadbać, by nie podchodził za blisko.

– Jak się pan czuje? – zapytał po chwili.

Daniel pokiwał tylko głową na znak, że nie potrzebuje z nikim rozmawiać. Ciągłe wpatrywał się w lekarzy. Między ich sylwetkami dostrzegł jej granatową bluzę i rozerwane spodnie dresowe. Nie widział głowy, ale kałuża krwi przerażała go wystarczająco.

– Kurwa mać, co tam się dzieje?! – powiedział do siebie, na zmianę łapiąc się za głowę i kucając nerwowo. Potem chował twarz w dłoniach.

– Pana narzeczona jest w bardzo ciężkim stanie. Z tego, co wiem, straciła bardzo dużo krwi i trudno zatamować krwotok. Do tego ma obrażenia głowy po upadku na jezdnię.

– Kurwaaaaaa... powiedz mi, że będzie żyła! – wył znów jak zranione zwierzę, takie, które wpadło w sidła kłusownika.

Nie przeżyła. Próby przywrócenia jej do życia trwały kilkanaście minut. Po tym czasie zobaczył tylko, jak zakrywają jej twarz jasnym płótnem.

Do tej pory nie potrafi odtworzyć kilku kolejnych minut tamtego dnia. Jakby był w innym świecie, jakby zapadł w sen, jakby opanował go jakiś dziwny amok. Ocknął się, siedząc na pobliskim trawniku. Za barki trzymał go ten sam ratownik medyczny.

– Zabierzemy pana do szpitala – rzekł spokojnym głosem. – Niech się pan stąd nie rusza. Przeprowadzę wózek.

Daniel, zdziwiony tym, co słyszy, spojrzął na swoje nogi. Dlaczego wózek? Nie mogę chodzić? Poruszył nawet stopami, potem ścisnął palcami mięśnie ud. Wszystko było jak należy, jedynie głowa pękała jak nigdy dotąd. Zastanawiając się, czy coś mu podali, schował twarz w dłoniach. Na lekkie szturchnięcie prawie nie zareagował. Odsonił twarz, dopiero gdy usłyszał głos nienależący do ratownika.

– Wiem, co się stało – młody chłopak mówił do niego cicho, rozglądając się wokół. Daniel spojrzął na niego jak na postać nierzeczywistą. Miał wrażenie, że to jakiś omam.

– Podeszedł do niej z tyłu, włożył rękę między uda i pociągnął – opowiadał młodziak. – Syknęło krwią, ale nikt tego nie widział. Tylko ja. A on ją potem mocno popchnął na ulicę. Akurat przejeżdżał taki duży czarny samochód. To nie był przypadek. Jak tylko ją uderzył, przyspieszył i odjechał. Jeszcze ślady są na asfalcie.

– Kto to był? – wydusił z siebie Daniel.

– Kto?

– Kto ją pchnął?

– Jak to kto? Ten duży, co z nim gadałeś. Szarpaliście się. Myślałem, że o to poszło – odpowiedział zdziwiony chłopak.

– Widziałeś, jak to zrobił?

– Tak, to na pewno on. Nie mogłem się pomylić. Za duży był.

Danielowi zrobiło się słabo, głowa odleciała w zaświaty. Czuł, że zaraz zemdleje, zaczęły mu drżeć dłonie, po czym zacisnęły się w pięści. Żuchwa napięła się do granic bólu, zęby zgrzytnęły jak ledwie nastrojone skrzypce. Ciężki oddech unosił kłatkę piersiową w szybkim tempie.

– Jak masz na imię? – zapytał.

– Olo.

– Odszukaj mnie za parę dni. Dasz radę, jesteś bystry.

– Jasne. – Klepnął Daniela w ramię i nachylił się do jego ucha. – On tu długo stał. Czekał chyba, aż ona umrze. Poszedł dopiero przed chwilą.

Daniel błyskawicznie odwrócił głowę w stronę miejsca, w którym Artur przekonywał go, by nie podchodził. Nie chciał tego, bo nie miał pewności, na ile był skuteczny. Martyna mogła jeszcze dać jakiś znak, kto ją wepchnął pod samochód.

– Skręcił w Sądową, tam, w prawo. – Olo machnął niedbale ręką.

Daniel podniósł się na rękach, jeszcze raz zakręciło mu się w głowie, ale szybko opanował to uczucie.

– Znajdź mnie, przydasz się – powiedział do niego jeszcze raz. Patrzył już jednak na ratownika, który stał przy karetce z wózkiem i szykował się do jego prowadzenia.

Daniel wstał i w kilka sekund znalazł się za budynkiem. Uspokoił oddech, zacisnął pięści, by powstrzymać drżenie rąk, i rozejrzał się we wszystkie strony. Zamieszanie na ulicy powoli wygaszło. Lekarze pakowali sprzęt do karetki, ratownicy jeszcze stali i rozmawiali, kręcąc głowami. Do pracy brała się policja. Nie wierzył im. Spisują protokoły, ustalają raporty, które w poniedziałek pojawią się na biurku szefa. I tyle. Nie znajdują sprawcy. To nie te sprawy, w których znajduje się sprawców.

Załoczył kaptur na głowę i ruszył Sądową. To długa ulica. Początkowo szeroka, potem zwężająca się do jednego pasa i drogi jednokierunkowej. Nie miał pewności, czy Artek nie skręcił w jakąś boczną uliczkę, więc szedł, spoglądając w każdą z nich.

Dostrzegł go, kiedy przyspieszwszy kroku, dotarł do zwężenia. Dzieliło go od niego jakieś sto metrów, więc zaczął biec. Artek się nie odwracał, szedł pewnym krokiem w stronę kamienic, które

wyglądały jak niezamieszkałe. Daniel wiedział, co to za miejsce. Niebezpieczne wieczorem, niezbyt spokojne za dnia. Pomyślał, że musi go dogonić, zanim za bardzo zbliży się do tamtych kamienic.

– Hej pajacu! – zawołał, kiedy był już dwadzieścia metrów od niego.

Zatrzymał się, ale odwrócił się dopiero po chwili, jakby najpierw chciał się zastanowić, do kogo należy ten głos.

– Daniel – powiedział głośno, uśmiechając się i rozkładając ręce.

– Chcesz mi coś powiedzieć?

– Mogę. – Pokiwał głową. – Nie posłuchałeś mądrzejszych i silniejszych. Przestali cię tu lubić. Dostałeś ostrzeżenia. Nie pomogło. To było ostatnie.

– Kiedy się sprzedałeś, gnoju?!

– Nie sprzedałem. Mnie też wkurwiłeś. Rozjechałeś szczękę mojemu rodzonemu bratu. Nie kontaktuje chłopina.

– Chuj mnie obchodzi twój jebany brat!

Daniel ruszył w jego kierunku z zacziśniętymi pięściami. Nie miał planu, nie myślał, nie zastanawiał się, chciał jedynie konfrontacji i zemsty.

Artur też był gotowy, ustawił się jak bokser wagi ciężkiej – jedna noga wysunięta do przodu, pięści ustawiły gardę. Mimo wszystko musiało go zaniepokoić, z jaką determinacją i wściekłością zbliżał się do niego Daniel. Pierwszy cios zablokował lewą ręką, z drugim sobie nie poradził, bo prawa pięść przeciwnika wyładowała na brzuchu. Artur pochylał się z bólu i opuścił gardę. Wtedy przyjął mocnego sierpowego. Zachwiał się na nogach.

Daniel po tym ciosie zrobił krok w tył. Instynkt kazał mu wyczekać na ruch przeciwnika. Ten ruszył do przodu, chcąc zrewanżować się lewym sierpowym. Kiedy Daniel zrobił unik, niemal wywrócił się przez siłę rozpędu. W tym samym czasie oberwał łokciem w skroń. Zamroczony, postanowił się wycofać. Oparł się o mur budynku, pod którym się starli. Nad nim było okno, w którym poruszyła się firanka. Daniel na nią zerknął, nie była w stanie go powstrzymać. Podeszedł do Artura i zaczął uderzać na zmianę lewą i prawą pięścią.

– Mnie się boicie, skurwysyny, to skasowaliście dziewczynę! – powiedział, z wściekłości wręcz plując na Artura. – Jebane tchórze!

I kolejny cios, potem jeszcze w brzuch. A kiedy Artur się schylił, poczuł na twarzy kolano Daniela. Miał już zmiażdżony nos i wybite obie jedynki. Jedna z nich to i tak implant po którejś z bójek.

Daniel nie miał litości. Jedyna myśl, jaką miał, to dobić gnoja. Ten jednak chciał uciec i wydawało mu się, że to możliwe. Ruszył więc pochylony, ale wtedy Daniel wystawił swoją nogę. Artur padł na ziemię, ale zaraz się podniósł i biegł dalej. Choć trudno nazwać to biegiem, bo potykał się co chwila. Mimo to zdążył wystawić środkowy palec w stronę Daniela.

– Masz za swoje, kutasie! Nic niewarta ta twoja dupa, jeśli z tobą się szlajała! – wykrzyczał, sepleniąc i plując krwią.

Daniel syknął z bólu. Nadgarstek ucierpiał przy jednym z ciosów, ale to syknięcie było reakcją na postawę gnoja, którego właśnie złał.

Wyjął z kieszeni nóż. Chwycił mocno za rękojeść i podbiegł do potykającego się bandziora. Przez chwilę dotrzymywał mu kroku, aż nagle pochylał się i machnął energicznie ostrzem nad jego piętą. Ściągnęno Achillesa najwyraźniej nie wytrzymało, bo Artur jęknął i padł na kolana. Daniel podeszedł do niego z tyłu i chwycił jego głowę jedną ręką, przyciągnął go do siebie, mocno przytrzymując. On jednak nie miał już siły się opierać, jego mięśnie wiotczały. Daniel jęknął głośno z rozpaczy pomieszanej z furją. Był w amoku.

– Właśnie przestałeś być cwaniakiem, jakim chciałeś być – wycedził słowa niemal do jego ucha i przeciągnął ostrzem noża po szyi. Krew pojawiła się najpierw na nożu, potem na dłoni Daniela, aż w końcu trysnęła w górę jak fontanna.

W drodze powrotnej do hotelu zatrzymuję się przy tej małej rzeczce. Szukam miejsca, w którym tafła wody jest w miarę spokojna, i podnoszę z ziemi płaski kamień. Oglądam go z każdej strony, sprawdzając, czy się nadaje. A potem wyginam się i puszczam go w ślizg po wodzie, a on skacze po niej z gracją. Takich skoków jest pięć, więcej, niż się spodziewałem.

Kiedyś uczyłem puszczać „kaczki” Natalię i Hanię. Kompletnie im to nie wychodziło. Rzucali kamienie prosto w wodę, nie potrafiły pojąć, co zrobić, by te kamyki się ślizgały. To był jeden z niezliczonych momentów, w których zastanawiałem się, jak by to było mieć syna. Nigdy natomiast nie żałowałem, że go nie mam.

Po rzuceniu kilku kamieni idę dalej. Hotel wygląda pięknie, kiedy człowiek zbliża się do niego tym podejściem. Z tej perspektywy sprawia wrażenie dużego, w rzeczywistości taki nie jest. Wewnątrz jest wręcz przytulny. Panująca wokół cisza zbliża to miejsce do ideału. Jest imponująca, choć zaczyna być dla mnie tajemnicza, krótkimi chwilami już zdążyła być złowroga.

W środku pusto. I cicho. Żadnych dźwięków poza muzyką, która płynie non stop z głośników ukrytych w ścianach. Ale to też są dźwięki, które brzmią jak cisza, celowo tak dobrane. Muzyka, która towarzyszy ludziom w każdym spa. Powiedziałbym, że to banalne jak *We Are The Champions* po turnieju piłkarskim dla dzieci, gdyby nie fakt, że ta muzyka naprawdę łagodzi obyczaje. Swoją drogą powinienem odwiedzić tutejsze spa, skorzystać z masażu. Może jutro.

W recepcji wciąż dyżur pełni Diana. Jest wpatrzona w ekran komputera, zerknęła tylko na mnie i uśmiechnęła się, kiedy dostrzegła, że wchodzę. Nie chcę się przy niej zatrzymywać, ale i tak przystaję, by odszukać owe drzwi do pokoju ochronny. One rzeczywiście tam są, ledwo widoczne, bo stanowią jedną płaszczyznę ze ścianą i są w tym samym co ona kolorze. Zdradza je klamka, również ledwo widoczna. To mała szklana gałka, która wygląda na tej płaszczyźnie jak ozdoba.

Chcę iść do pokoju, ale oplatają mnie długie i szerokie ramiona zapachów z restauracji. Czuję jakiś wysmienity sos. Zgłodniałem. Zerkam na zegarek i już się nie dziwię, że brzuch się upomniał. Pora obiadowa prawie minęła.

Chwilę później zajmuję miejsce przy stoliku. Tym samym, przy którym rano jadłem śniadanie z Alicją. Zamawiam eskalopki i czekam, sącząc białe wino, które polecił mi kelner. Bo dziś nie ma Karoliny. Dziś jest Mieczysław. Oceniam go na jakieś dwadzieścia pięć do trzydziestu lat. Czyli jakieś trzydzieści lat temu jego rodzice skrzywdzili go imieniem Mietek. Może to lepsze niż „Brajaneek”, ale mimo wszystko skazali go na wieczną starość.

Z kieliszkiem wina obserwuję, co się dzieje za szybą. Ale nie dzieje się nic. W miejscu, w którym rano widziałem Ksawerego z przekrwionymi oczami, teraz stoi tylko kosiarka. Spalinowa, więc jeśli ktoś ją uruchomi, będzie śmierdzieć jak z rury wydechowej dwudziestoletniego rżęcha. Ale przynajmniej będzie cichsza niż elektryczna.

Kosiarka stoi kilka metrów od okna jednego z pokoi hotelowych. To chyba jednocześnie drzwi na mały taras. Nad tym oknem wisi balkon pod spadzistym dachem. Stamtąd z pewnością widok jest majestatyczny. Być może widać nawet Giewont. Zadaję sobie pytanie, czy nie mogłem zając właśnie takiego pokoju. Siedziałbym na tym balkonie non stop. Nie wyszedłbym pewnie na tę polanę ani do kawiarni przy recepcji. Miałbym święty spokój, którego tak pragnąłem.

Wewnętrzny głos podpowiada mi, że powinienem się odwrócić. Za mną też jest okno. Widać przez nie kolejną część rekreacyjną. Nie ma w niej basenu, ale kwiaty i idealnie przycięty trawnik robią swoje. Stoi tam też kilka leżaków, takich samych jak te przy basenie w środku. Na jednym z nich kąpiele słonecznej zażywa Alicja. Jej legowisko ustawione jest bokiem do okna, czyli do mnie. A więc nie widzi mnie, tym bardziej że ma zamknięte oczy.

Od talii w dół okrywa ją błękitna chusta, jedynie stopy się spod niej wychylają. Poza tym ma na sobie tylko górną część stroju kąpielowego. Twarz bardzo mocno wystawia w stronę słońca, mam wrażenie, że z biustem robi to samo. Jest nienaturalnie wysunięty do przodu. Ciekaw jestem, jak długo wytrzyma w tej pozycji.

Eskalopki są pyszne. Powiedzieć „niebo w gębie” to powiedzieć zdecydowanie za mało. Jeszcze do tego tiramisu na deser. Tych rozkoszy podniebienia nie zepsuł mi nawet widok Błażeja, który nagle pojawił się w restauracji, po czym zniknął w kuchni. Wyszedł z niej kilka chwil później, niosąc talerz z deserem. Nie namyślając się długo, wstaję i idę za nim. Dają tylko znak Mieczysławowi, że zaraz wracam. Błażeja tracę w tym czasie z oczu, ale widzę go od razu po wyjściu z restauracji. Mija recepcję i kieruje się w stronę korytarza. Właśnie w tym korytarzu zniknął Moneta po naszym spotkaniu, potem szedł tamtędy także Ksawery. Błażej idzie nim szybko i zaraz skręca w lewo. Docieram do tego miejsca i wychylam się zza ściany. Widzę go, bardzo stara się nie zrzucić tego, co ma na talerzu. Niemożliwe, by miał przed sobą jeszcze długą drogę. Ten hotel to nie Sheraton. I w tym momencie Błażej znów skręca w lewo. Widać wyraźnie, że zanim zniknął z pola widzenia, zstąpił na niższy stopień.

Idę tam szybkim krokiem z obawą, że zniknął mi na dobre. Ale kiedy docieram do schodów, widzę, że on jest już na ich dole. Kieruje się w prawo, więc zbiegam po schodach. I wtedy już widzę go otwierającego jakieś dziwne drzwi. Wyglądające jak te do pokoju ochrony. Jedna płaszczyzna ze ścianą, gałka przypominająca ozdobę. Przechodzi przez nie, ale ich nie domyka. Podbiegam i zerkam, co się dzieje za tym wejściem.

Widzę Błażeja, który kluczem otwiera kratę. Tak mnie to zaskakuje, że zapominam o ostrożności. Na szczęście on się nie odwraca i minąwszy kratę, staje przed ścianą i w nią puka. Domyślam się, że to kolejne drzwi. I to kolejne zintegrowane ze ścianą.

– Chodź! – krzyczy ktoś ze środka. Nie jestem w stanie rozpoznać głosu. Nie mam nawet pewności, czy to Ksawery, czy Moneta. Może żaden z nich. Błażej łapie gałkę i wchodzi. Zamyka za sobą drzwi. Ostrożność czy przypadek? Chyba przypadek, bo gdyby to była ostrożność, zamknąłby drzwi przed kratą.

Zogłądałam się. To niby korytarz, ale kończący się metr za tymi drzwiami, przez które wszedł Błażej. Wygląda raczej jak małe pomieszczenie, którego jedną ze ścian jest kratka. Druga ściana to drzwi. Trzecia i czwarta... no właśnie. Na nich też są klamki. To znaczy te gałki przypominające ozdoby. Choć w jednej coś mi nie pasuje. Jest nieco wyżej niż w pozostałych. Niby bez znaczenia, ale pod nią dostrzegam zasuwę. Oczywiście w kolorze ściany, dlatego niewidoczna na pierwszy rzut oka.

Słyszę zamieszanie w pomieszczeniu, więc cofam się i wbiegam schodami na korytarz. Idę szybko, nie chcąc, by wpadł na mnie Błażej. W kilka minut udaje mi się dotrzeć do restauracji. Mieczysław zdążył już sprzątnąć talerz i pusty kieliszek po winie. Został jeszcze jedynie kawałek tiramisu. I Alicja za oknem. Leży w tej samej pozycji – wysunięta do słońca twarzą i wyeksponowany biust.

W pokoju wyciągam się na łóżku z rękami nad głowę. Zbieram myśli. Jest ich sporo, a powoli dobiegają się do głowy następne. Chciałbym na chwilę zasnąć, ale mam poczucie, że to strata czasu. To jest to samo uczucie, jakie miewałem, będąc pracocholikiem i jeszcze długo po tym. I irytuje mnie to, że mam je również teraz. Bo miało być inaczej. Bo miałem tracić czas.

Ale go nie tracę, więc wyciągam z kieszeni telefon i szukam numeru do Zosi.

– Gdzie Moneta ma swój gabinet? – pytam, gdy już wymieniamy się informacjami, że wszystko u nas dobrze – i gdzie on w ogóle mieszka?

– Mieszka na piętrze, ma tam apartament – odpowiada, a ja odruchowo patrzę w sufit. – A gabinetu raczej nie ma.

– A Ksawery?

– Ksawery na poziomie zero ma mały pokój.

– Który to poziom zero?

– Ten, na którym jest recepcja.

Próbuję odtworzyć w głowie swoją drogę aż do samej kraty, w końcu większa część tej przechadzki odbyła się na poziomie recepcji. Nie przypominam sobie jednak żadnego niezwykłego miejsca, które mogłoby być gabinetem menedżera.

– A co jest na poziomie minus jeden?

– Piwnica chyba...

– Być może też, ale dziś Błażej biegł z deserem do jakiegoś pokoju poziom niżej. – Łapię się na tym, że mówię to z przejęciem i ekscytacją.

– A, już wiem. – Niemal słyszę, jak podrywa się energicznie na swojej sofie. – Diana mówiła mi o jakimś pokoju, w którym Moneta i Ksawery mają narady. Ale nigdy tam nie była. Błażej jest w tej chwili jedynym pracownikiem, który może tam wejść.

Biorą jakiegось chłoptasia, który boi się własnego cienia, i każą mu sobie usługiwać. Taki to przecież pary z gęby nie puści, bo się będzie bał. Choć istnieje możliwość, że nie ma w tym nic podejrzanego, że to normalne. Jest jeden zaufany pracownik i już.

Nie wspominam jej o dodatkowych dwóch pomieszczeniach. Może to nie jest ważne.

– Mówiłaś o grupie mężczyzn, którzy przyjeżdżają i znikają. – Ten wątek zaczyna mnie coraz bardziej interesować.

– Tak. I nie meldują się, nie zostawiają po sobie żadnego śladu. Nigdy też nie widziałam, by opuszczali hotel.

– Może opuścili innym wyjściem?

– Oczywiście to możliwe. Jest drugie wyjście, od strony parkingu. Często goście nim wychodzą.

Wiem, które to wyjście. Widać je wyraźnie, kiedy podjeżdża się samochodem, nie widać natomiast z recepcji. Jest szansa na wymknięcie się z hotelu bez wiedzy Diany czy Zosi. Jeśli jednak była to grupa kilkuosobowa, to musiała się bardzo postarać, by zostać niezauważoną. A jeśli się starała, to musiało jej zależeć na szybkim opuszczeniu hotelu. Czy nie powinienem mieć tego gdzieś i odpocząć?

– Panie Mateuszu! – krzyknęła jeszcze, kiedy już się pożegnaliśmy i mieliśmy odłożyć słuchawkę.

– Tak?

– Przypomniało mi się, że w tej ostatniej grupie była dziewczyna.

– Nie wiem, czy to coś zmienia.

– Zmienia, bo ona weszła ostatnia i się zameldowała! – Zosia wyraźnie cieszyła się z tego nagłego przypomnienia. – Pamiętam, że jeden z tych mężczyzn był z tego niezadowolony, a Ksawery kazał mi ten meldunek wykreślić.

– I wykreśliłaś?

– Nie, bo to by nieładnie wyglądało. Nie pozwalało mi na to moje poczucie estetyki.

Uśmiecham się do siebie, bo widzę ją wiszącą nad książką meldunkową z takim grymasem artysty na twarzy.

– Wyrwałam kartkę – mówi ciszej. – Wiem, to dużo gorzej. Ale ona była pierwszym nazwiskiem na nowej stronie i...

– ...i nie zapamiętałaś nazwiska?

– Niestety, nie.

Artystka. No tak, artyści nie przywiązują wagi do takich drobiazków. Przewracam oczami w reakcji na słowa „nietety, nie”, ale nie daję jej tego odczuć. Może zresztą to nic nieznaczący element nie tej układanki.

– Ale zostawiłam tę kartkę w szufladzie biurka po prawej stronie – dopowiada radośnie. – Chyba jakaś Marta.

Kolejne pytanie w mojej głowie. Po odłożeniu słuchawki wstaję, w łazience podchodzę do lustra i je zadaję: Czy owa Marta ma tu jakieś znaczenie? Pocieram zarost, patrzę w swoje oczy i szczerzę zęby, by sprawdzić ich stan. Oblewam twarz zimną wodą, mocno wcierając ją w skórę. To mnie pobudza.

Wychodzę z pokoju i idę na spotkanie z Dianą. Przynajmniej mam nadzieję, że ją spotkam. Nie wiem, kiedy kończy zmianę, więc idę szybko, bo zbliża się szesnasta. Na szczęście widzę ją z tą specyficzną ladą.

– O której kończy pani pracę? – pytam, opierając się o bufet. Ona błyskawicznie się rumieni i nie wie, co odpowiedzieć.

– O szesnastej trzydzięci – informuje w końcu.

– Mam prośbę – rzucam bez ceregieli. – Zosia mówiła, że zostawiła coś w szufladzie.

Pokazuję palcem, która to szuflada, choć to tylko moje domysły. Ale to musi być ta, biurko po prawej stronie. Są tam dwie szuflady. Diana podchodzi do niej i rozkłada ręce.

– Ale tu potrzebny jest klucz – mówi zakłopotana.

– Na pewno są zamknięte? – pytam zrezygnowany.

Ona szarpie za obydwie uchwyty. Bezskutecznie. Ale widzę też, że się nad czymś zastanawia. Po chwili otwiera szufladę w sąsiednim biurku i wyjmuje pęk z pięcioma kluczami. Wybiera jeden z nich i sprawnie otwiera pierwszą szufladę.

– Co to ma być?

Pochyliłam się jeszcze bardziej w jej stronę i mówię niemal szeptem:

– Kartka z książki meldunkowej.

Patrzy na mnie zdziwiona, ale mimo to zaczyna przeszukiwać szufladę. Robi to powoli i dokładnie. Ogląda każdy przedmiot, jaki tam znajduje. Na kartkę trafia na końcu, bo była na samym spodzie. Spogląda na nią i mi ją podaje.

Prostuję papier na białe. Nazwisko widzę dopiero na drugiej stronie. Z korytarza dobiegają jakieś głosy. Niezbyt głośne, ale słyszę, że się zbliżają. Rozpoznaję głos Monety, który z tą swoją flegmą coś komuś tłumaczy. Zwijam kartkę i wkładam do kieszeni. Od lady odchodzę tyłem, a kiedy oczy Diany spotykają się z moimi, przystawiam palec wskazujący do ust. Ona przytakuje energicznie i się uśmiecha.

Znikam na schodach, potem w korytarzu prowadzącym do mojego pokoju i wreszcie już w samej siódemce. I dopiero wtedy rozkładam papier na biurku. To niepełny meldunek. Nie zdążyła wypełnić wszystkich rubryk. Tylko te z nazwiskiem i miejscowością.

*Magda Palecka – Warszawa*

– Jaka jest twoja rola, Magdo? – pytam na głos, wpatrując się w kartkę.



Dobrze jest wdychać zapach lasu. W mieście tego nie miał, a od kiedy zamieszkał tutaj, robił to codziennie, i jeszcze mu to nie spowszedniało. Każdy głęboki wdech był relaksem, odpoczynkiem, zapomnieniem. Ale też przypomnieniem, że istnieje życie po życiu. Jedno takie się kończy, a drugie się zaczyna. I choć się one zawsze w jakimś stopniu przenikają, to istnieje możliwość, że nie będą się nawzajem zwalczać.

Gdyby mógł wrócić do tamtego życia, jeździłby do lasu. Z Martyną, Bonifacym. Nawet siostrę by zabrał. Może nawet jej nieudaną męża. I kazalby im wdychać tę świeżość płynącą z drzew. I pozwolić się smagać wiatrem po twarzy.

Siostra. Niezliczone kłótnie, a nawet bójkę z lat dziecięcych przerodziły się w sentyment i zażyłość. Pomogła w tym śmierć rodziców, ale oboje mieli też świadomość, że z wiekiem dojrżeli do swego rodzaju przyjaźni. Sonia wiedziała o nim więcej niż Martyna. Bywało, że opowiadał jej szczegółowo o tym, co robił, z kim się spotykał, komu złamał nos. Musiał komuś o tym opowiadać, wylać to z siebie. Musi to robić każdy, nawet największy twardziel. Dla zachowania równowagi. Nie chciał, by takim słuchaczem była Martyna. Panikowałaby, byłaby przerażona każdym jego wyjściem z domu. To było niepotrzebne. A Sonia słuchała, czasem ją to fascynowało, czasem przekonywała, że powinien z tym skończyć, bo to niebezpieczne. Miała rację, ale nie wiedział, czy potrafi robić coś innego. I tak uważał się za innego niż jego koledzy po fachu. Czasu wolnego nie spędzał na chłaniu, ćpaniu i dziwkach. Czytał, chodził do kina, bywało, że do teatru. I gardził tym środowiskiem. Nie napawał się znajomościami z największymi bandziorami w mieście. Robił swoje i wracał do normalnego życia. Dla swojego poczucia normalności i po to, by Martyna nie odczuła, czym się zajmuje.

Sonia odwidła go od strzelenia sobie w łeb.

– Ukryj się gdzieś, zaszyj – mówiła. – Wrócisz za jakiś czas.

Posłuchał i obiecał, że odeszł, kiedy poczuje wewnętrzny spokój. Zabronił jej prób odszukania go. Wyrzucił telefon, nie powiedział, dokąd się wybiera ani nawet kiedy – czy jeszcze dziś, czy jutro, czy za tydzień. Po prostu zniknął.

– A ty się w tym czasie rozwiedz – powiedział jeszcze, kiedy się żegnali. Śmiała się, płacząc.

I powiedział jej jeszcze, że jeśli przyjdzie do niej taki młodzik z twarzą cwaniaka i powie, że ma na imię Olo, to ma mu spróbować zaufać.

Przypomniał sobie o tym wszystkim teraz, kiedy ktoś chce zburzyć jego spokój. I trochę go to bawiło, bo drewno, bo jakiś ksiądz, bo jakiś szczyl z hotelu. Po tych latach, kiedy miliony euro były tłem jego kontaktów z największymi mafiosami Warszawy. To tak, jakby Freddie Mercury po koncercie na Wembley odczuwał treść przed występem w Radomiu.

Szedł powoli, bo nie dostrzegał powodów do niepokoju. Zwyczajnie trzeba z człowiekiem porozmawiać, pokazać mu pazury, a potem być może się stąd ulotnić i poszukać innego miejsca. Na powrót do Warszawy jeszcze nie czas. Minęło zaledwie parę miesięcy.

Daniel rozmyślał, idąc tą szutrową drogą. Śmieszny ten Wojtuś, że taki przerażony. Zabawna ta Marysia, przekonana, że mówi zatrważające rzeczy, wręcz sensacyjne, kryminalne. A tymczasem to było trochę jak plotkowanie. Kiedyś nie była góralką? Coś w tym niezwykłego? Po prostu taki tutejszy stoik.

Jak zwykle na jakimś czwartym kilometrze skręcił w lewo w las. Kiedyś oznaczył sobie jedno z drzew literką „D”, by zawsze zrobić to w dobrym miejscu. A kiedy już poznał tę drogę na pamięć i zakodował sobie, które to drzewo, dalej szło jak z płatką, bo niemal w linii prostej. Nie było tam żadnej ścieżki, więc sam również starał się tej ścieżki nie tworzyć. Czasem szedł łukiem, czasem zygzakiem, najrzadziej prosto.

Miał do celu jeszcze około trzech kilometrów, kiedy natknął się na Górala. Siedział przy jednym z drzew, jakby czekał na swojego nowego pana. Ale dopiero kiedy Daniel był blisko, rzucił się do niego długimi susami. Machał ogonem jak oszalały, a kiedy już dopadł drwala, stanął na dwóch łapach, chcąc sięgnąć jego twarzy. Ten poglaskał go po głowie i poklepał po grzbiecie.

– Długo czekałeś? – zapytał. – Myślałem, że pójdziesz za mną, a ty sobie zostałeś na legowisku, leniu.

Szli dalej. On swoim tempem, Góral obwąchując, co się dało. W drodze do swojej chaty Daniel mijał zawsze dwie mało uczęszczane drogi z ledwie wyjeżdżonymi koleinami. Nigdy jeszcze nie trafił tu na nikogo. Ale ktoś jednak czasem musiał przejeżdżać samochodem czy furmanką, bo drogi nie zarosły roślinnością.

Przechodząc przez drugą drogę, Daniel przystanął, zaciekawiony reakcją Górala. Pies zatrzymał się i zaczął się wpatrywać w jakiś punkt na jej końcu. Poruszał przy tym intensywnie nosem. Daniel nie czuł nic poza wonią lasu, ale Góral wyraźnie był czymś zainteresowany. I to zainteresowanie wynikało z zapachu. Na końcu drogi nie było nic, co mogło zwrócić uwagę. Ot, długa prosta, która stykała się z czernią lasu po mniej więcej trzystu metrach. Góral jednak warknął, potem machnął ogonem. Sprawiał wrażenie stworzenia, które nie wie, co go czeka. Zrobił kilka kroków do przodu i znów się zatrzymał. Tym razem jednak na krótko, bo puścił się po chwili szalonym pędem.

– Góral! – krzyknął na niego Daniel, ale pies ani nie wrócił, ani się nie zatrzymał, ani nawet nie zwolnił. Biegł niemal do samego końca drogi i wtedy jakimś dziwnym skokiem wparował do lasu. Zniknął z pola widzenia.

Mężczyzna przez chwilę zastanawiał się, co zrobić, ale ostatecznie podjął decyzję, by pójść w tamtą stronę. Trchę się martwił, że Góral pobiegł za jakimś zwierzem i coś mu się stało lub stanie. Pies w starciu z niektórymi górskimi zwierzętami jest na straconej pozycji, choć sam nie zdaje sobie z tego sprawy.

Szedł coraz szybciej. To ta obawa przed krzywdą psa kazała mu przyspieszyć kroku. Za żadne skarby nie chciał, by coś się Góralowi stało. To ta jego zaskakująca empatia wobec zwierząt. Nie roztkliwiał się nad każdym kolejnym psem, kotem czy chomikiem. Nie głośkał, nie mówił do nich pieszczotliwie, ale krzywdy nie dały im zrobić. Sprawić ból umiał i chciał tylko ludziom. Mężczyznom. A skurwysynom to nawet z przyjemnością.

Górala nie dostrzegł nawet wtedy, kiedy zaczął się zbliżać do miejsca, w którym pies zniknął z oczu. Przystanął i zaczął się wpatrywać w las, zapuszczał wzrok między drzewa i próbował wysledzić choć kawałek sierści Górala. Bez skutku. Pokonał więc linię lasu i idąc powoli, rozglądał się dalej, cicho gwizdząc.

Góral zaszczeakał. Daniel instynktownie odwrócił głowę w stronę, z której dochodził dźwięk. Ale to nie było typowe szczekanie jego psa, które drwał już znał. To raczej było połączenie jęknięcia ze szczekaniem. Jęknięcia żalosego, bolesnego.

Daniel zaklął pod nosem, bo już wiedział, że Góral potrzebuje pomocy. Ruszył w jego stronę, wyobrażając sobie rany po walce z wilkiem czy dzikiem. Przeszło mu też przez myśl, że pies trafił na wnyki. Choć nigdy nie słyasał o kłusownikach na tym terenie, jednak domyślał się, że nawet tu się trafiają. I z takim mieszanym obrazem szedł w stronę dobiegającego głosu, który momentami zaczął też przypominać skowyt.

Zobaczył Górala w tym samym momencie, w którym on zobaczył jego. Wyłonił się zza drzewa, stanął na czterech łapach, nerwowo machając ogonem. Szczeknął dwa razy i znów zniknął za drzewem, choć nie cały, bo widać było psi tył z ogonem. Potem znowu wyskoczył, robiąc to samo co poprzednio.

Pewnie coś upolował. No to mam charta – pomyślał Daniel, spokojniej już się do niego zbliżając. Spokój minął w jednej sekundzie, kiedy zza drzewa wyłoniła się swobodnie ułożona stopa. W miarę pokonywania kolejnych metrów Daniel widział coraz więcej. Na stopie był kłapek, lydka była odłożona i z siniakami po prawej stronie i zadrapaniem tuż nad nim. Udo zasłaniał materiał; z tej odległości i perspektywy Daniel mógł jedynie przypuszczać, że to minispódniczka. Nabral pewności, kiedy zataczając łuk, zbliżył się z boku do opartej o drzewo dziewczyny. Góral podszedł do niej z drugiej strony i lizał ją po twarzy. W reakcji jedynie podniosła rękę i położyła na jego grzbiecie. Czyli tliło się w niej jakiś życie. Na nadgarstku widoczny był ślad jak po kajdankach. Miała na sobie bluzkę bez rękawów. Białą, ale z kilkoma zauważalnymi krwawymi plamami. Obok leżała kurtka. Jakaś dziwna, taka kolorowa, ortalanowa, jakich się już teraz nie nosi.

Daniel zrobił ostrożny krok w jej kierunku. Ona nadal była odwrócona w drugą stronę, więc nie widział twarzy. Widział jedynie czarne włosy do ramion zasłaniające prawy policzek. Postanowił podejść do niej od przodu. Nie wiedział, jak zareaguje, choć nie spodziewał się reakcji agresywnej czy w jakikolwiek sposób zdradzającej zapasy energii. Sposób, w jaki dotykała Górala, nie wskazywał na wigor. Bardziej obawiał się, że dziewczyna się przestraszy i zerwie do ucieczki, a co gorsza – zacznie krzyczeć.

To jednak nie nastąpiło, kiedy nagle odwróciła głowę. Wprawdzie Daniel zobaczył w jej oczach niepokój, ale nie był to strach. A oczy miała czarne jak włosy, brwi krzaczaste, niemal zrosnione ze sobą

nad nosem. Usta wąskie, czerwone, lekko rozchylone. Chce jej się pić – pomyślał w pierwszej chwili. Zakrzepła krew jasno dawała do zrozumienia, że górna warga nie tak dawno została przebita. Dolna zresztą też. Pod lewym okiem fioletowy siniak. Daniel naogładał się w życiu takich ran i nie miał wątpliwości, jak powstały.

– Co się stało? – zapytał, ale zaraz potem pomyślał, że to nie czas i miejsce na takie pytanie. Musi ją stąd zabrać. – Chodź, pomogę ci.

Dziewczyna powoli, ale dość zdecydowanie pokiwała przecząco głową.

– Nie możesz tu zostać – stwierdził, przysuwając się bliżej. Wtedy ona delikatnie podniosła się na rękach i mocniej przycisnęła do drzewa.

– Nie, nie. Nie bój się, nic ci nie grozi – zapewnił. – Jak masz na imię?

W odpowiedzi odwróciła głowę i zapatrzyła się w dal. Jej policzek był blady, Danielowi wydawało się, że na nim także widzi małego siniaka. Zaciskała szczęki. To również było widoczne. Poruszało się przy tym ucho. Było przekłute, ale bez kolczyków.

– Nie chcesz mówić?

Milczała. Jej twarz nawet nie drgnęła, nie mrugnęła powieką, nie poruszyły się jej nozdrza. Jak posąg.

Wstał i wyciągnął do niej rękę

– Chodź! – powiedział i postanowił poczekać na jej ruch. Ale ona znów znieruchomiała. Nic nie wskazywało na to, że go posłucha. W tej sytuacji ponownie kucnął i zbliżył dłoń do jej dłoni. Kiedy dotknął jej palcem, szybko cofnęła rękę i znowu przysunęła się trwożliwie do drzewa. Spróbował jeszcze raz. Tym razem pozwoliła dotknąć nadgarstka. Przesunął po nim palcem, potem pogłaskał dłoń.

– To twój pies? – zapytał, wskazując gestem Górala. Nadal nic nie mówiła i nie reagowała. Dotknęła tylko psa dłonią. – Mieszka ze mną, wólczył się, to go przygaramię. Ale jeśli jest twój, to...

Góral leżał obok niej. Każdy jej dotyk sprawiał mu przyjemność, nie zamierzał tego ukrywać. Kiedy czuł jej dłoń, przylegał do niej mocniej. Odwracał też głowę, by móc ją polizać.

A ona spozrzała na Daniela swoimi przekrwionymi i smutnymi oczami.

– Chodź ze mną – powtórzył jeszcze raz.

Poruszyła tułowiem i nogami, jakby chciała wstać. Próbowwała podeprzeć się rękami, ale bezskutecznie.

– Boli cię coś? – zapytał, choć zdawał sobie sprawę, że pytanie powinno brzmieć: „Co cię boli?”.

Ale ona i tak nie reagowała. Do tego znów przyłgnęła do drzewa, tym razem jednak nie wystraszona, lecz raczej zrezygnowana. Daniel znów dotknął jej dłoni, a gdy poczuł, że nie ma sprzeciwu, oplótł ją swoimi długimi palcami. Potem delikatnie pociągnął, zaplótł jej ramiona na swojej szyi i wsunął prawą rękę pod jej kolana. Podniósł się z trudem, mimo że dziewczyna była szczupła i lekka. Kiedyś nogi miał silniejsze. Teraz odzwyczylił się od ćwiczeń i wysiłku fizycznego. Nakrył ją jeszcze kurtką i ruszył.

Do swojej chaty miał niedaleko. Teraz, kiedy trzymał dziewczynę na rękach, szedł swobodnie. Patrzył przez chwilę na jej bladą twarz. Była zmęczona. Pokazywały to jej oczy i spierzchnięte wargi. Patrzyła za jego ramię, tam gdzie szedł dostojnie Góral. Potem opadły jej powieki i położyła głowę na ramieniu Daniela. A on przechylił swoją tak, że dotknął zarostem jej policzka. Trzymał ją mocno i zastanawiał się, kiedy po raz ostatni tak kogoś dotykał. Kobiętem po raz ostatni wtedy, rano, zanim to wszystko się wydarzyło. Ale nie pamiętał, kiedy w ogóle choćby objął kogokolwiek na powitanie. Nawet podanie komuś ręki było w ostatnim czasie rzadkością. I właśnie zdał sobie sprawę, że brakowało mu tego. Dotyku drugiego człowieka. Potrzebują tego nawet najwięksi twardziele.

Na ganek pierwszy wbiegł Góral, lekko i radośnie, jakby czekała tam na niego kość. Tuż za nim ostrożnie schody pokonał Daniel. Sięgnął do kieszeni po klucz i trzymając dziewczynę jedną ręką, jednocześnie podpierając udem, otworzył drzwi. Wszedł bokiem, by przypadkiem nie uderzyć jej głową o framugę. A potem powoli położył ją na łóżku. Spała. Oddychała szybko i płytko, jakby śniła jej się, że biegnie.

Teraz miał szansę przyjrzeć się jej całej. Pochylił się ostrożnie i zaczął lustrować. Na szyi dostrzegł małego siniaka, jakby uderzyła się czymś o małym i tępym końcu. Ale to nie mogło być uderzenie, po uderzeniu siniak jest inny, przypomina krwiaka. Blady dekolt nie miał na sobie żadnych śladów czy ran. Za to bluzka, którą miała na sobie, była lekko przybrudzona. Poza plamami krwi były na niej też kolory lasu. Najwyraźniej jej spacer między drzewami trwał długo, bo niektóre brązowe ślady były przetarte i suche. Krótka bluzka odsłaniała część brzucha. Dopiero teraz zauważył też, że nie miała stanika. Spódniczka mini, również zabrudzona, ściśle opinała biodra i uda. Daniel nie znał się na materiałach, ale wiedział, że to ten z tych rozciągliwych.

Wyprostował się nagle, kiedy dziewczyna poruszyła się przez sen. Myślał, że obudził ją jego wzrok. Ale ona tylko przekręciła się na bok i spała dalej.

Chyba nic jej nie jest – pomyślał. Tych kilka siniaków i zadrapania znikną za parę dni. Zerknął tylko jeszcze na nogi i przyjrzał się wnikliwie. Szczupłe, jak ona cała. Łydka zadrapaną i z jednym siniakiem. Stopy trochę brudne, co nie powinno dziwić, skoro spacerowała w klapkach. Widoczny był jednak błękitny lakier do paznokci, taki sam, jaki miała na paznokciach dłoni.

Podniósł kurtkę, która zsunęła się z dziewczyny, kiedy przechodził przez drzwi, i położył ją na jej ramionach, przykrywając też ręce i brzuch. Na nogi narzucił koc, który leżał na końcu łóżka. Na podłogę zrzucił sweter, który rano przełożył z krzesła na pościel.

Sięgnął do kieszeni po telefon i wybrał numer.

– Cześć, Wojtek... – powiedział, kiedy sygnał oczekiwania na połączenie się urwał.

– Cześć, Daniel, słuchaj, ja nie chciałem, żebyś miał mi coś za złe, ale... – Wojtek ruszył z przemówieniem jak karabin maszynowy.

– Zamknij się, Wojtek, i słuchaj! – przerwał mu Daniel nieco poirytowany. – Przyjdź do mnie jak najszybciej, to ważne. Przynieś ze sobą witaminę C, rutinascorbin i w ogóle coś na wzmocnienie.

– Stało ci się coś?

– Nie, wszystko w porządku. Zrobisz to?

– No pewnie.

– Aha, jeszcze przydałyby się gaza i parę plastrów, takich opatrunków.

Na szczęście Wojtek już nie wypytywał, zamknął się według rozkazu, wcześniej informując, że będzie w ciągu godziny.

Daniel przyciągnął w pobliżu łóżka swoje krzesło i usiadł powoli, by skrzywienie tego starego mebla nie obudziło gościa. Pies położył się przy jego nodze i głęboko westchnął.

– Czy to twoja pani, Góral? – szepnęła Daniel. Pies uniósł łeb i spojrzał na niego. – Bo jeśli dobrze to wszystko składam, to ty jesteś Neptun.

Góral stanął jak żołnierz, który reaguje na komendę „baczność”.

– A skoro ty jesteś Neptun – mówił dalej Daniel – to ta dziewczyna w moim łóżku... to Agata.

Góral, wcześniej nazywany Neptunem, pomachał radośnie ogonem. Jakby wszystko doskonale rozumiał.

Facebook nie pomaga. Po wpisaniu imienia i nazwiska wyświetla się kilkanaście zdjęć. Domyślam się, że konta starszych pań, nawet jeśli nazywają się Magda Palecka, mogą sobie odpuścić. Ale tych jest zaledwie jakieś trzy. Reszta to kobiety w przedziale lat dwadzieścia–czterdzieści. Nie mam pewności, czy powinienem skreślić matki z małymi dziećmi na zdjęciu profilowym.

Wysyłam wiadomość do Zosi:

„Pamiętasz jak ona wyglądała?”

Odpowiedź jest błyskawiczna:

„Kto?”

„Ta kobieta z kartki z książki medunkowej”

Tym razem mija dłuższa chwila. Pewnie się zastanawia. W tym czasie odwiedzam kolejne konta Magd Paleckich. Żadna z nich nie wygląda mi na kogoś, kto mógłby być w tym hotelu. Tylko jak ktoś taki wygląda? Bzdurna myśl.

„Nie pamiętam. Pamiętam tylko, że była brunetką, włosy miała spięte w taki luźny kucyk”

Brunetka. Jeszcze raz przyglądam się wszystkim Magdom Paleckim. Brunetek jest osiem.

„Ile mogła mieć lat?”

„Nie wiem, raczej była młoda”

Młoda, to już coś. Odrzucam jeszcze jedną. Wydaje mi się, że nie można jej określić słowem „młoda”. Zostało siedem.

„No, i pamiętam, że była ładna”

Aha. Ładna. Czy to mi może pomóc? Uroda jest pojęciem kurewsko względnym. Patrząc na kobiety i się zachwycam, podczas gdy stojący nieopodal mężczyzna z dezaprobatą odwraca wzrok. Nie robi na mnie wrażenia pewna pani, a ktoś obok mnie nie może oderwać od niej oczu.

Agnieszka była piękną kobietą, a jednak wiem, że przede wszystkim w moich oczach. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że dla wielu mężczyzn była co najwyżej przeciętna. Przed Agnieszką była Beata, którą koledzy nazywali straszylem. A ja widziałem w niej dobre serce, piękne oczy i fantastyczne cycki. I intelekt mi pasował. Reszta była nieistota. Oczywiście była straszylem w oczach kolegów, zanim zaczęliśmy się spotykać. Potem była już „miła”.

Nie wiem, jak ocenić, która z tych Magd jest ładna. I nie wiem, czy mam odrzucić tę, która w galerii zdjęć odsłania połowę biustu i wypina się do obiektywu aparatu. Mogła tu być? Mogła. Nie skreślam.

Informacje o tych Magdach są dość enigmatyczne. Trudno z nich wywnioskować, gdzie pracują i czym się zajmują. Bo „modelka” nie daje żadnej odpowiedzi na to pytanie. Podobnie jest z „menedżerem” albo z „feministką”. Przy dwóch Magdach widzę nazwy firm, w których pracują. Przy jednej jakieś motto życiowe. Nic, tylko złapać się za głowę.

I co mam teraz zrobić? Napisać do nich? Zapytać, czy były w tym hotelu? Przecież żadna z nich nie musi mi się spowiadać. Może napisać, że coś zostawiła w pokoju? Nie, to głupie. Sam nie dałbym się na to nabrać. Poprosiłbym o przesłanie i już. Albo zlekceważyłbym sprawę. Tak, najpewniej to drugie. Taki ja. Nie, to strzały na oślep. To się nie uda.

„Wpisz na facebooku „Magda Palecka” i prześlij mi, która to” – piszę do Zosi.

Czekam minutę i się niecierpliwię. Po kolejnej minucie idę wziąć prysznic, bo czuję kurz na skórze po tym spacerze po wsi. Na szczęście nie jest to zwykła kabina prysznicowa, miejsca jest znacznie więcej. Mogę się oprzeć o ścianę i delektować strumieniem wody. Lubię tak stać. I lubię tak stać nie sam. Lubię, kiedy kobieta stoi tak przede mną, tyłem do mnie. Teraz jestem sam, ale ta myśl mnie rozgrzewa. Cała ściana naprzeciwko prysznicza jest lustrem. Stoję do niego bokiem, więc widzę swoje biodro i lekko zaokrąglony brzuch. Widzę też swojego kutasa, który zdążył zareagować na poprzednią myśl.

Dość łatwo mi jednak przychodzi ostudzenie emocji, po kilku minutach wracam więc do pokoju opasany ręcznikiem. Telefon informuje mnie o nowej wiadomości.

„Raczej żadna z nich” – rozczarowuje mnie ta odpowiedź. Czuję się, jakby moja praca nie została doceniona.

Siadam na łóżku, potem kładę się na nim i zamykam oczy. Już zapomniałem, że przyjechałem tu odpocząć, oderwać się od wszystkiego, co wiąże się z tamtym światem, z tamtymi ludźmi, z pracą. Miałem tu nic nie robić, nie myśleć, nie planować, nie zastanawiać się. Miałem napawać się ciszą i powietrzem. Miałem zniknąć dla świata. Miałem sobie udowodnić, że niczego i nikogo już w życiu nie potrzebuję. To się nie uda. Nawet na takim odludziu musi mnie coś walić obuchem w głowę. I teraz już się od tego nie uwolnię.

Był czas, kiedy cieszyły mnie samopojawiające się wątki. Urlop bez takowego wydawał się stracony. Sam nawet szukałem czegoś, czego mógłbym się ucześcić, zanalizować. Agnieszka dostawała furii. Wakacje na Mazurach spędziłem na rozmowach z lokalnymi politykami, bo doszły mnie słuchy, że burmistrz bierze łapówki. W Karkonoszach szukałem kłusowników, w Grecji badałem rynek turystyczny pod kątem politycznym, a w Egipcie przyglądałem się stosunkowi muzułmanów do turystów z Europy. Ze wszystkiego robiłem notatki, które później wrzucałem do szuflady.

Nigdy jednak nie bawiłem się w sprawy kryminalne, uciekałem od tego, uważałem, że to nie dla mnie. Może jednak z wiekiem człowiek się zmienia, skoro teraz podejrzliwość zaczyna dominować w mojej głowie.

„To jedna z nich” – czytam wiadomość od Zosi. Chwilę później odbieram dwa zdjęcia brunetek. Obie mają krótkie włosy, są dość podobne do siebie, również w tym, że urodziwe. Tyle że to drugie zdjęcie nie jest tak wyraźne jak pierwsze. Celowo zamazane jakimś filtrem z telefonu. Pierwsze natomiast wygląda jak paszportowe.

„Nie mam pewności która z nich, ale na 90% jedna z tych” – kolejna wiadomość Zosi. – „Znalazłam na instagramie. Obie są pod tym imieniem i nazwiskiem. Jedna to studentka architektury, o drugiej nie wiadomo wiele...”.

Dzwonię.

– Studentka architektury? – pytam.

– Tak czytam w jej opisie. O drugiej nie ma praktycznie nic. Same wesołe zdjęcia. Ale po co to panu? – zadaje trudne pytanie.

– Nie wiem, była z tymi mężczyznami – odpowiadam bez pewności, czy rzeczywiście powinienem się tym interesować. – Jeśli według ciebie jest coś nie tak, to ona coś może wiedzieć.

– A może przesadzam... – mówi cicho.

Wiem, że ona wie, że nie przesadza. Próbuje mnie tylko uspokoić, trochę o mnie zadbać. Martwi się. Wie, co widziała, co słyszała. Jest bystra.

– Może przesadzasz, a może nie – rzucam szybko. – Mam intuicję. I ona podpowiada mi, że Magda Palecka może być pomocna.

– Nie wiem, czy pan to widzi, ale na swoim zdjęciu profilowym ta druga Magda trzyma kufel piwa.

– Kufel?

– Tak, kufel.

– To coś oznacza w młodzieżowym języku zdjęć profilowych?

– Nie wiem, ale jeśli to jej zdjęcie profilowe, to znaczy, że nie była w tym miejscu tylko raz. To trochę, jakby pokazywała styl życia.

Trudno odmówić jej racji. Zdjęcia z kuflem nie wstawiłaby dziewczyna codziennie goszcząca w kościele.

– A może to tylko jakiś żart albo manifestacja? – próbuję analizować.

– Może tak, może nie.

Uśmiechnąłem się na te słowa. Bystrzacha zastosowała moją broń i odbija sprytnie piłeczkę.

Wyjaśnia mi jeszcze tylko swoje wątpliwości co do obu zdjęć. Że drugie nieostre, że pierwsze zbyt grzeszne. A ona wtedy, w hotelu, wydawała jej się „luzara”. Może nawet nie była do końca trzeźwa. Roześmiana i frywolna.

Idę z tym dalej. To znaczy z tymi myślami. Studentka architektury i jakaś dziewczyna z kuflem. Dwa światy. Właściwie to z tymi mężczyznami mogła się pojawić także ta studentka. Zdjęcie profilowe w medium społecznościowym nie musi mówić prawdy. Przecież to może być kamuflaż. Zdjęcie, które mówi: jestem grzeszna, ustabilizowana emocjonalnie, będę wielką architektką. A kryć się pod nim może nieobliczalny szajbus, ktoś, kto nie zna dnia bez browara lub dwóch bądź bez trawki na dobranoc. A może na dzień dobry. Do tego wyuzdana jak wenecka kurtyzana. Może tak być? No może. I nawet kiedy patrzę na jej zdjęcie, potrafię te tajemnice w tej twarzy dostrzec. Widzę, jak się kokieterijnie uśmiecha, po chwili już wulgarnie się obliżuje. Widzę, jak zaciąga się skrętem i nieudolnie wyciera rozmazany makijaż. Ale to tylko moja wyobraźnia.

Korci mnie, by włączyć telewizję, sprawdzić, co się dzieje w zepsutym świecie. Zerknąć, co porabiają koledzy po fachu, czym się teraz ekscytują, na czym mają skupiony wzrok, nie dostrzegając

niczego innego i brnąć w to całe bagno. Choć bagno ma w sobie dużo więcej uroku i intelektu.

Nie ulegam tej wewnętrznej presji i wychodzę. Na razie z pokoju, ale chcę wyjść na spacer, może znowu dotrę do rzeczki i puszcę kilka kaczek. Korytarz przemierzam wolnym krokiem, już takim spacerowym. Oddycham powoli i głęboko, jakbym chciał wyszkolić oddech przed wdychaniem czystego, górskiego powietrza. I kiedy tak prowadzę sobie ten trening oddechu i kroków, słyszę te głosy. Właściwie jeden głos. Nie jest głośny, ale dociera do mnie, bo dochodzi zza drzwi, obok których właśnie przechodzę. Słowo „dochodzi” jest bardzo na miejscu, bo charakter owego kobiecego głosu jest jednoznaczny. Ta pani szczytowała i była bardzo blisko ostatecznego jęku. Uśmiecham się, bo kimkolwiek są, na pewno jest im dobrze. Może nawet w ogóle nie wychodzą z łóżka.

Z Dorotą tak by było. Wychodzilibyśmy tylko na basen i do restauracji. Wiem to. Nasz jedyny do tej pory kilkudniowy wyjazd tak wyglądał. Zawstydziała mnie swoim temperamentem. Mój wypadał przy niej blado. Nie było miejsca, w którym albo by mnie nie całowała, albo nie dotykała mojego przyrodzenia. Restauracja, basen, sauna, kręgielnia, bar, spacer czy nawet kościół, którego wystrój chcieliśmy podziwiać.

Stoję nadal przy tych drzwiach, kiedy po drugiej stronie panuje już cisza. Skończyli. Może się przytulają, może zasnęli, a może zapalają papierosa. A może wyszli z łóżka i się ubierają. A może w ogóle nie byli w łóżku.

Dorota. To dlatego stoję jeszcze przy tych drzwiach. Bo zatrzymuje mnie ta myśl. Dorota może pomóc. Dla niej niewiele jest rzeczy niewykonalnych.

Wracam do pokoju, bo nie chcę z nią rozmawiać ani na korytarzu, ani w restauracji.

Biuurko było uporządkowane. Wreszcie miała czas, by to zrobić. Po niewątpliwym sukcesie poprzedniego dnia, który był efektem kilku tygodni harówki, przyszedł czas na rozluźnienie. Poczula to niemal natychmiast. Wszystko spłynęło jak kurz pod strumieniem wody. Była czysta. Od stresu, od ciągłego kontrolowania, od napięcia i bezustannych rozmów.

Porządkowała to biurko od rana. Czekala na ten moment bardzo długo i nawet pojawiła się w firmie wcześniej, by móc zacząć to robić. Łóżko nie miało tym razem wystarczającej siły, żeby ją zatrzymać. Zresztą i tak obudziła się po szóstej. Jeszcze w półśnie zrobiła sobie dobrze, po czym wzięła prysznic i bez śniadania pojechała do biura. Nie było jeszcze nikogo, kiedy weszła do środka i usiadła na swoim fotelu obrotowym. Położyła nogi na blacie i przyłgnęła plecami do oparcia. Sama ten fotel wybierała, po to właśnie, by móc się delectować taką pozycją. Również w trakcie pracy.

Obrzuciła wzrokiem całe swoje stanowisko pracy. Potem zerknęła na inne biurka w tym tak zwanym *open space* i się zawstydziła. Nigdzie nie było większego bałaganu.

Uporała się z tym wszystkim w godzinę. Do lunchu odwiedziła kilka sklepów internetowych, nic nie kupując, i przejrzała największe portale informacyjne. Kilka razy zdarzyło jej się przy tym pomyśleć o Mateuszu. Chciałaby usłyszeć jego komentarz do tej lub innej sprawy. I zerknęła jeszcze na oferty biur podróży, bo skoro robota wykonana, to i na odpoczynek najwyższy czas. A miała olbrzymią ochotę na wygrzewanie się na słońcu i wylegiwanie się na ciepłym piasku. I na brązowy kolor skóry.

Spokój w pracy był dziwny. Nikt do niej nie mówił, nikt niczego nie chciał, nikt o nic nie pytał. Wszelkie krótkie wymiany zdań były albo grzecznościowe, albo towarzyskie. Na lunch miała pójść trochę później, ale zgłodniała wcześniej, bo przecież nie jadła śniadania. Zresztą Emilia była gotowa już od jedenastej. A z nią wychodziła na obiad niemal codziennie. To prawie jak codzienny rytuał. Nie była jakąś wielką przyjaciółką, ale lunch zawsze stanowił przyjemny element dnia.

Emilia – dziewczyna szefa. Nie kochanka, nie *fuck-friend* – po prostu dziewczyna. Spotykali się od kilku miesięcy, ale w firmie nikt o tym nie wiedział. Dorocie powiedziała podczas lunchu (bo innych okazji nie było). Najwyraźniej chciała się podzielić szczęściem, bo aż promieniała, kiedy już się wygadała. Tyle że Dorota już wtedy wiedziała, co się dzieje, bo czasem zostawała w pracy po godzinach. Któregoś dnia przez nie do końca zasunięte żaluzje gabinetu Andrzeja widziała, jak Emilia siedzi okrakiem na jego kolanach z podwinętą kiecką. Trudno w takiej sytuacji nie domyślić się, że między nimi coś iskrzy.

Jednak tym razem był to zwykły posiłek bez sensacji i wielkich zwierzeń. Zupa i sałatka, jak na dbające o smukłą sylwetkę kobiety przystało. Oczywiście bez deseru, choć restauracja na dole biurowca oferowała tego dnia uwielbiane przez Dorotę tiramisu.

Po godzinie od lunchu miała już ochotę wyjść. Siedzenie do siedemnastej dla samego siedzenia było jej zdaniem bez sensu. Mogła robić sobie kolejne kawy, przeglądać kolejne portale internetowe czy plotkować z siedzącymi obok korpuludkami. To ostatnie nawet nie wchodziło w grę, bo oni wszyscy zapracowani jak ona jeszcze kilka dni temu. Jeszcze kończyli umowy, jeszcze ustalali ostatnie szczegóły w tych swoich słuchawkach z mikrofonami. Ona miała to już za sobą. Do kolejnego projektu zabierze się za kilka dni.

Około szesnastej, kiedy już prawie wychodziła, zadzwonił telefon. Ten na biurku dla odmiany, bo w ostatnich dniach komórka była wręcz gorąca od częstych rozmów.

– Cześć, Dorota – usłyszała głos Mateusza, więc natychmiast uśmiechnęła się do słuchawki.

– Dzień dobry, Mati – odpowiedziała. Nie przepadała za taką formą swojego imienia, ale ona nie potrafiła przestać tak do niego mówić. „Mateusz” brzmiało zbyt poważnie.

– Jak się masz? Wszystko dobrze? – zapytał, a ona wiedziała, że to szczerze zainteresowanie.

– Tak, wszystko dobrze. Dziś luzuję pierwszy dzień. I na razie nie gonię za następnym projektem – odrzekła. – Dlaczego dzwonicz na stacjonarny?

– Twoja komórka jest wyłączona. Nie chciałem czekać, aż ją włączysz.

Sięgnęła po telefon leżący obok klawiatury. Musiał się rozładować niedawno, bo po lunchu przecież jeszcze z niego korzystała.



– Przepraszam, nie wiedziałam, że padła. – Chwyliła za końcówkę kabla podłączonego do gniazdka i wtyczkę micro USB wsunęła do otworu w telefonie.

– Jak się teraz odnajdziesz bez nawalu pracy?

– Bez przesady, nie będę się nudzić. Może pójdę dziś do kina.

– Dobry pomysł.

– A ty jak spędzasz czas?

Chwila ciszy w słuchawce.

– Nie wiem, jak to opisać, ale dość zaskakująco – odezwał się spokojnym głosem i enigmatycznie. – Miałem leżeć i odpoczywać, a wręczam się w jakąś dziwną historię.

– Opowiesz mi? – zapytała podekscytowana, poprawiając się w fotelu. Zawsze lubiła, kiedy coś opowiadała. To mogły być największe bzdury, ale czasem ten beznamiętny sposób opisywania wydarzeń czy komentowania rzeczywistości działał na nią jak opium. Tak, czasem czuła się odurzona. Tym spokojem, który był sporą dawką ukojenia. Choć bywało, że ów sposób mówienia powodował, że chciała natychmiast na niego usiąść i go ujeździć.

– Jak się spotkamy. – Wiedziała, że kiedy tak mówi, to inaczej nie będzie. – Ale mam do ciebie prośbę.

– Dzwonisz do mnie, bo masz prośbę?

– Nie ukrywam, że to główny powód. – Szczerść Mateusza była zawsze powalająca. Zrobiło jej się przykro i przez chwilę się zastanawiała, czy nie odłożyć słuchawki. – Ale oczywiście nie jedyny, przecież wiesz.

– Nie wiem.

– Sprawdzisz mi coś? Może będziesz miała na to czas?

Chęć odłożenia słuchawki jeszcze nie minęła, ale doskonale wiedziała, że tego nie zrobi. On już taki jest. Na pozór bezwzględnie zimny, ale w głębi duszy ciepły i opiekuńczy. Tylko że nie emanuje tym na co dzień i w każdej sytuacji. Była pewna, że nauczyło go tego to, co przeżył po śmierci Agnieszki. Opowiedział jej o tym tylko raz, nigdy więcej do tego nie wracał. Czasem zdarzało mu się wspomnieć o Hani i Natalii, ale szybko ucinął temat. A kiedy o nie pytała, odpowiadał zdawkowo, bardziej informacyjnie niż emocjonalnie. W ogóle rzadko widać w nim było emocje. To jej przeszkadzało, ale jednocześnie ekscytowało ją i podniecało. Widzieć go później w ekstazie na sobie, tego samego, który nieco wcześniej był chodzącym lodem. A ona była wtedy rozpalonym lodem, jak u Kofy śpiewanego przez Banaszak. Uwielbiała tę piosenkę, bo często przypominała jej się przy Mateuszu. „Nie, nie możesz teraz odejść, jestem rozpalonym lodem”.

– Chciałbym, żebyś mi pomogła w znalezieniu kogoś w Warszawie. Dyskretnie – powiedział, kiedy wyszeptwała zgodę do słuchawki.

– Mogę się czuć spokojna? – zapytała, udając zaniepokojoną.

– Chyba tak. Miałabyś tylko ją znaleźć. Potem zobaczymy.

– Ją?

– Tak, to kobieta.

– Ładna?

– Nie wiem, chyba tak – odrzekł, a ona nie potrafiła odgadnąć, czy żartuje, czy też nie chce jednoznacznie określić, że ładna.

– Chyba?

– Chyba. Zresztą nie ma to znaczenia. Może się okazać ważna.

– Dla ciebie?

– Dla mnie też.

Nigdy nie dał jej powodów do zazdrości. Wydawał się zupełnie niezainteresowany innymi kobietami. Chłodem reagował na wszelkie umizgi. Na kobiety, które każdy nazwałby symbolami seksu, wręcz nie zwracał uwagi. A mimo to często odczuwała tę głupią zazdrość. Być może dlatego, że był jakby w oddaleniu. Niby obecny, jej, a jednak ciągle w oddaleniu, z dystansem. Jakby unikał sytuacji, które ona mogła odebrać jako deklarację bycia w stałym, nierozzerwalnym związku.

– Wyślę ci dwa zdjęcia, to ocenisz. Dziewczyna nazywa się Magda Palecka. To znaczy obie tak się nazywają. Jedną z nich to ta, której szukam. Chciałbym, żebyś je zlokalizowała. I wtedy zobaczymy, co zrobimy dalej.

Pokiwała głową, zapominając, że Mateusz tego nie widzi. Zgodziła się. To było jasne od początku. Czy czegoś by mu odmówiła?

Powiedziała mu jeszcze, że tęskni. On na to, że dawno się nie widzieli. Choć to nieprawda, bo spotkali się tuż przed jego wyjazdem, czyli kilka dni temu. To jeszcze nie jest „dawno”. Ale potem dodał,

że byliby im tam razem dobrze. Że odpoczęłyby. Że odetchnęłyby. Że mieliby czas dla siebie. Że porozmawialiby i pomilczeli. Że kochaliby się często. Że nocą siedzieliby na tarasie pod kocem.

Nie. Tak naprawdę on powiedział tylko o odpoczynku. Resztę Dorota dodała sobie w wyobraźni. Bo chciała. Bo gdyby tam była, tak właśnie by się działo. Bo wystarczyłoby jedno jego słowo, a spakowałyby się i ruszyły do niego.

Owe dwa zdjęcia, o których mówił Mateusz, dotarły do niej zaraz po tym, jak włączyła telefon. Spojrzała na nie, jeszcze zanim weszła do windy. Ładna. Zarówno jedna, jak i druga. Choć Dorota nie mogła oprzeć się wrażeniu, że to ta sama dziewczyna. Najpierw chciała być grzeczna, potem wyluzowana. Ot co. Ale Mateusz w esemesie napisał, że to zdjęcia z dwóch profili na instagramie.

Po wyjściu z firmy poszła na zakupy. Wreszcie miała na nie czas. Spędziła trzy razy po piętnaście minut w przymierzalniach. Kiecki, spodnie, koszule, nawet kapelusze. No i oczywiście bielizna. Taka jak najmniej zasłaniająca.

Tuż przed wyjściem z centrum handlowego wstąpiła do księgarni, gdzie spędziła kolejny kwadrans, przeglądając czasopisma i książki. Nie mogła się zdecydować, czy na te lepsze dni kupić coś dla rozrywki, czy może dla psychicznego odbicia. Nurowska czy Żulczyk, Irving czy Coelho, Twardoch czy Tokarczuk? Do kasy podeszła jednak z *Ulicą marzycieli* Roberta McLiamy Wilsona. Kiedyś Mateusz o niej opowiadał. Nigdy wcześniej nie widziała jej na sklepowych półkach.

W mieszkaniu jak zawsze rzuciła zakupy na łóżko. Oczywiście nie robiła tak ze sprawunkami spożywczymi – te ładowały od razu w kuchni. Ale ciuchy lubiła sobie rozłożyć na białej pościeli, przyjrząc się im i jeszcze raz przymierzyć.

Zerknęła na zegarek noszony na prawym nadgarstku. Za godzinę powinna być pod kinem, umówiła się z Zosią i jej chłopakiem Andrzejem. Godzina to w sam raz na sprawdzenie jeszcze raz, czy dobrze wybrała. Rozebrała się do naga i szybko włożyła tę czerwoną sukienkę na ramiączkach i za kolana. Zwiewna, wiosenna, trochę nawet letnia. Idealna. I jakby skrojona na jej sylwetkę. Lubiła swoje ciało i dlatego je eksponowała. Dobrze się czuła z odsłoniętymi ramionami i z podkreśloną talią. Często też odsłaniała brzuch. Uważała, że jest jej atutem, tak jak pośladki i łydki. Najmniej lubiła swoją twarz. Zbyt wyraziste kości policzkowe, zbyt duże usta, zbyt perkaty nos. Same wady. Choć nikt nigdy jej o tym nie powiedział, ona wiedziała. I widziała to codziennie w lustrze. Nie lubiła i już.

Lubili za to inni i inne. Podobała się zarówno kobietom, jak i mężczyznom. Świadczyły o tym liczne propozycje wyjścia „na kawę” nawet od zupełnie obcych ludzi. Od pewnego czasu, czyli od pojawienia się Mateusza, odrzucała je wszystkie albo w ogóle nie reagowała. Wcześniej bywało różnie. Po rozstaniu z Tomaszem wzbogaciła życie towarzyskie, spotykała się, rozmawiała, wychodziła do klubów. Myślała, że tak trzeba po zakończeniu ośmioletniego związku. Zmęczyła się tym po kilku miesiącach. Próba zakochania się w jednym z maklerów była potwornie nieudana, bo skończyła się zniechęceniem człowieka, który być może chciał dla niej dobrze. Ale chyba za bardzo chciała tego zakochania, by się już zupełnie odkochać w Tomaszu. I pozbyć się żalu. Bo miała żal do losu. Że nagle zaczęło się z nim wszystko psuć. Nie, nie miała żalu do Tomasza. Wiadomość, że nigdy nie urodzi mu dziecka, mogła być dla niego ciosem nokautującym. Bo dla niej była.

Rzuciła sukienkę i włożyła beżowy żakiet. Co prawda bardziej przypominał marynarkę. Chwyliła za klapy, potem zapięła guzik i oparła rękę na biodrach. Może tak powinna go nosić, bez niczego pod spodem, bez stanika. Pod guzikiem dwie części materiału rozchylały się i widać było pępek. Podobał jej się ten widok. Rozpięła guzik i rozchyliła marynarkę. Tak, piersi też lubiła.

Po marynarce przyszedł czas na kapelusz. Ale sama nie wiedziała, po co go kupiła, bo wyjść w nim się chyba nie odważy. Nie wiedziała, jaka to musiałaby być okazja. Wyściigi na Służewcu? Nigdy tam nie była, a chciałaby to zobaczyć. Kapelusz jest do tego idealny.

Bielizny już nie przymierzała. To, co widziała w sklepie, wystarczyło jej w zupełności. No i chciała już się ubrać do wyjścia, a nie planowała wkładania bielizny. Dżinsy, adidas, T-shirt. To właśnie włoży. W końcu to nie randka. Choć na wyjście do kina z Mateuszem też mogłaby się tak ubrać.

Przed opuszczeniem domu włączyła komputer. Pobieżny przegląd maili zajął jej minutę. Zaraz potem kliknęła ikonę instagrama. Wpisała imię i nazwisko tej dziewczyny, o której mówił Mateusz. Wyświetliły się cztery konta. Dwa z nich mogła odrzucić, bo na zdjęciach widniały zupełnie inne postaci niż Magda. Kliknęła na zdjęcie tej pierwszej – paszportowej. Otworzyła po kolei kilka nudnych zdjęć z uczelni. Grzeczny strój, wykładowcy, koleżanki i koledzy studenci. Obciach mieć taki profil – pomyślała. Zdjęcie sprzed budynku uniwersytetu dało informację, gdzie można jej szukać. Trudno jednak znaleźć studentów na uczelni, kiedy mają wakacje.

Ale jedno zdjęcie mogło pomóc. Sprzed sześciu dni. Ona siedząca na biurku, uśmiechnięta, z teczką w rękę. Podpis: „Wszystko dobrze się ułożyło”. I uśmiech na końcu. Biurko stało w jakimś gabinecie

urządzonym w starym stylu. Na blacie był globus, laptop i dwa segregatory. Za skórzanym fotelem, między dwiema szafkami, wisiała na ścianie mapa świata.

Jej wzrok wrócił jednak na blat. Była tam tabliczka z jakimś napisem. Spróbowała powiększyć zdjęcie, ale litery rozmyły się na tyle, że napis stał się zupełnie nieczytelny. Drugi zauważyła na teczce trzymanej przez dziewczynę. I tam już wyraźnie można było przeczytać „Biuro architekt...” – resztę słowa zasłoniła jej dłoń. A pod spodem „Adam Fedu...” – i znów dłoń. Ale to już coś. Znajdzie w internecie to biuro.

Zerknęła na zegarek. Miała jeszcze piętnaście minut. Kliknęła więc to drugie konto, ewidentne przeciwieństwo pierwszego. Sporo tu było śmiechu, zabawy i towarzystwa w stanie wskazującym. Dorota zdziwiła się, że był to profil otwarty. Na kilku zdjęciach przytulona do mężczyzny, ale to sprzed roku. Na kilkunastu była w towarzystwie tej samej dziewczyny oznaczonej jako Agnieszka Kosowska. Tam zajrzy później, bo najwięcej zdjęć pochodziło z jakiegoś pubu. Magda z kuflem, Magda śmiejąca się, Magda z kuflem uniesionym wysoko, obejmująca się z Agnieszką, Magda przy barze, Magda przy... nalewaku. O ile Dorota wiedziała, barmani nie wpuszczają klientów za nalewak. Może w wyjątkowych przypadkach to się zdarzało. Może podczas prywatnej imprezy. Może któryś z barmanów wpuszczał swoją dziewczynę. Ale to wyjątkowe przypadki.

Pierwszy wniosek, jaki jej się nasunął – owa Magda pracuje w pubie. Drugi, że pracowała, ale teraz już ma inne zajęcie. Trzeci, że nigdy nie pracowała, ale jest zaprzyjaźniona z personelem. Bardziej wnikliwe zgłębienie tematu zostawiła sobie na później. Może po kinie, może jutro. Ciekawe, jak bardzo Mateuszowi na tym zależy...

Przez cały czas oczekiwania na pojawienie się Wojtka Daniel wgapił się w leżącą na łóżku dziewczynę. Spała twardo, choć nie było też powodu, dla którego miałyby się obudzić. W domu panowała niezamącona żadnym dźwiękiem cisza. Góral leżał i spał, Daniel siedział i patrzył. I oczywiście myślał. Przede wszystkim o tym, że nie może u niego zostać i nie chce mieć z nią nic wspólnego. Jego tu nie ma, on nie istnieje, więc nie mógł jej znaleźć i wiedzieć czegokolwiek na jej temat.

I do tego potrzebował Wojtka. W pierwszym odruchu rzeczywiście myślał o lekach dla niej, ale potem wpadł na pomysł, by ją mu „oddać”. Niech powie, że to on ją znalazł, niech to on się tłumaczy. Transakcja wiązana. On zabierze dziewczynę, Daniel „przekona” hotelarza, by się od Wojtka odczepił.

Jednak w tej samej chwili poczuł, że chciałby wiedzieć, co stało się z tą młodą istotą. Chciałby wiedzieć, jak to się stało, że znalazł ją w lesie w takim stanie. I że chciałby wiedzieć, że jest bezpieczna. Poczul jakąś dziwną za nią odpowiedzialność. I trochę za to był na siebie zły.

Młoda jest – pomyślał. Wydało mu się, że nie ma jeszcze dwudziestu lat. Może nawet nie ma jeszcze osiemnastki. Nastoletnie dziewczyny często robią wszystko, by wyglądać dorosłej. Raczej z miernym skutkiem. Ale może właśnie stąd u niej brak stanika, może nie „zgubiła” go po drodze.

Poszła na randkę? Spódniczka mini, skąpa bluzka, bez stanika. Chyba że jest nastolatką tak nieświadomą, że po prostu wyszła tak z domu dla wygody. Daniel bezwiednie pochylił głowę, by zerknąć i sprawdzić, czy ma majtki. Zawstydził się tego odruchu, ale w tej samej chwili usprawiedliwił swoje zachowanie instynktem śledczym. Nie potrafił jednak dojrzeć braku majtek. Ale również tego, że są. Dziewczyna leżała ze złączonymi udami.

Wojtek zapukał, zanim wszedł. Ale nie zaczął na zaproszenie. Zapukał i wszedł. A zaraz potem zastygł, patrząc na łóżko. Zaczął też szybciej i ciężiej oddychać.

– Co to jest? – wycedził szybkie pytanie. – Skąd ona się tu wzięła? Kto to jest? Co jej zrobiłeś? Czy ty ją... Daniel, kurwa, mów!

Daniel wstał i stanął przed nim, zasłaniając mu widok na łóżko.

– Uspokój się, durniu! – warknął, patrząc mu groźnie w oczy. – Nie wiem, kto to jest, znalazłem ją w lesie i oczywiście nic jej, kurwa, nie zrobiłem!

– Ona żyje? – Wojtek nadal był przerażony.

– A prosiłbym cię o leki dla trupa?

Wojtek położył dłoń na czole i przytaknął nerwowo głową.

– Tak, tak, masz rację. Przepraszam, zdenerwowałem się.

– To się teraz uspokój, bo nie potrzebujemy tu nerwów.

Daniel stanął obok niego i przez chwilę razem patrzyli na dziewczynę. On na jej twarz, jakby chciał z niej coś wyczytać, jakąś historię kilku ostatnich dni. Wojtek z kolei dokładnie przyglądał się okaleczeniom, krzywiąc przy tym twarz.

– Co przywiozłeś? – szepnął Daniel po chwili.

– To, co kazałeś, rutinascorbin, witaminę C – odpowiedział Wojtek po otrząśnięciu się z tego obserwowania. – Ale na wzmocnienie to przywiozłem bimber, bo myślałem, że to dla ciebie.

Drwał na te słowa przewrócił oczami i pokiwał głową.

– Może damy jej bimbru, zobaczymy.

– Zwariowałeś?! To by ją zabiło! – oburzył się Wojtek. – Przecież to młode dziewczę!

Ale Daniel nie zwariował. Szesnasto- i siedemnastoletnie dziewczyny widywał w klubach w stanie totalnego upodlenia alkoholem. Ludzie podziemnego miasta delektowali się towarzystwem takich małałat. Najbardziej Kalafior i jego przydupasy. Nie ruszali się nigdzie bez takich gówniar. I one nigdy nie były trzeźwe. Piły drinki, często czystą wódkę. Nie miały z tym problemu. Ale Kalafior zakazywał je ruchać. Mówił, że są za młode. I że to „przyjaciółki”, ruchać mogły dziwki. Daniel podziwiał ten niezwykły szacunek Kalafiora do małoletnich.

– Myślę, że nieraz piła – odezwał się cicho.

– Ona tu przyszła do ciebie? – Wojtek nadal kręcił głową z niedowierzaniem.

– Znalazłem ją w lesie, właściwie Góral ją znalazł.

– Ona teraz śpi czy co jej jest? – zadał kolejne pytanie Wojtek, lekko nachylając się nad łóżkiem.  
– Śpi. Zasnęła już, jak ją niosłem – odpowiedział Daniel, a kiedy zauważył pytający wzrok kompana, dodał: – Siedziała oparta o drzewo, zmęczona i taka właśnie trochę poraniona, jak ją widzisz. Nie miała siły wstać. Nic nie mówiła i zasnęła, kiedy wziąłem ją na ręce.

Wojtek nadal wgapił się w dziewczynę. Ciągle też drapał się po głowie, aż mu się włosy ułożyły w inną fryzurę niż zwykle. Trochę też przestępował z nogi na nogę, jakby się z jakiegoś powodu denerwował.

– Znasz ją? – zapytał Daniel.

– Nie sądzę.

– Nie wiesz, czy ją znasz?

– Być może ją gdzieś widziałem... nie wiem.

– Wojtek, skup się. To chyba ważne, czy ją znasz.

– Nie, nie znam. Nigdy jej nie widziałem. Na pewno nie jest ze wsi.

– Ale zachowujesz się, jakbyś ją znał. Przyglądasz się.

Wojtek nagle odwrócił głowę. Widać było jego zakłopotanie. Podszedł do krzesła, przesunął je o kilka centymetrów, jakby szukał dla niego optymalnego położenia względem łóżka. Ale przed spojrzaniem na dziewczynę mocno się bronił. W pewnym momencie oparł się o blat w tej małej kuchni.

– We wsi są rozwieszane ogłoszenia o zaginięciu jakiejś dziewczyny z sąsiedniej wsi. To nie ona... ale ta też wygląda, jakby komuś zaginęła...

Daniel bacznie przyglądał się Wojtkowi. Widział, że mówi serio. Nawet jakoś tak spokojnie zaczął gadać. Jak nigdy.

– Może były razem – powiedział. – I może ta zna tamtą.

Teraz obydwaj zaczęli się wpatrywać w dziewczynę. Być może zauważyli, jak pod powiekami „biegają” jej oczy, jak nerwowo poruszają się palce prawej dłoni, jak zmarszczone ma czoło.

– Kiedy ona się obudzi? – zapytał w końcu Wojtek.

Daniel nie odpowiedział. Stwierdził, że pytanie jest na tyle niemądre, iż nie warto nawet próbować odpowiadać. Nie wiedział, to oczywiste.

– To jej pies – oznajmił zamiast tego.

Wojtek jakby potknął się na blacie, o który był oparty. Dłoń zsunęła mu się z jego krawędzi i huknął o niego łokciem. Spojrzał na Daniela, marszcząc czoło. W oczach miał co najmniej kilka samonarzucających się pytań, ale nie zadał ani jednego. Czekał na wyjaśnienie.

Ale Daniel milczał. Kucnął jedynie przy Góralu. Ten otworzył oczy i spojrzął na niego od niechceni.

– Neptun jesteś, prawda? – przemówił do niego Daniel, kładąc dłoń na jego głowie. Pies pomachał ogonem, a właściwie próbując machać, kilka razy uderzył nim o podłogę.

– Neptun? – Wypowiadając to słowo, Wojtek także przykucnął.

Daniel wstał i wyszedł na ganek. Dość już rozmawiania przy niej. Niech śpi. Chyba potrzebuje odpoczynku i snu. Przed chatą usiadł na swoim krześle, kładąc nogi na skrzyni. Chwilę później usiadł na niej Wojtek. Wbił wzrok w Daniela i tak siedział. Już nie wiedział, o co pytać. Akurat ten rozmówca był najtrudniejszy, z jakim kiedykolwiek się spotkał. Zamknięty i introwertyczny. Mówił tylko wtedy, kiedy sam tego chciał. Kiedy zaś nie chciał, odwracał się i odchodził albo pokazywał, że konwersacja go nie interesuje. Cała jego postawa mówiła: „Odpierdolicie się ode mnie”.

Ale Wojtek go szanował. I próbował szanować jego prywatność, jego chodzenie własnymi ścieżkami. Wielu ludzi twierdziło, że to on chodzi własnymi ścieżkami, ale akurat Daniel naprawdę nimi chodził. I szalenie ciekawiła Wojtka przeszłość tego człowieka. Tę ciekawość potęgował fakt, że nigdy nie powiedział o tym ani słowa. Nawet przypadkiem nic mu się nie wymysknęło.

– Co z nią zrobisz? – zapytał w końcu.

Daniel wziął głęboki wdech i skrzyżował nogi spoczywające na skrzyni.

– Zabierzesz ją ode mnie i zrobisz dla niej coś dobrego.

Kompan otworzył szeroko oczy i otworzył usta ze zdumienia.

– Oszalałeś, człowieku! I co miałbym niby zrobić dla niej dobrego?!

– Poinformujesz policję, oddasz ją im – spokojnie odpowiedział Daniel. – Albo sam zainteresujesz się, kim jest i odwieziesz ją do domu.

Wojtek nagle wstał i zaczął nerwowo spacerować po ganku.

– Nie, nie, nie – powtórzył kilka razy.

– Macie tu w ogóle policję?

– W sąsiedniej wsi jest posterunek.

– No to idealnie. Po twojej wsi żadna plotka się nie rozniesie.

Wojtek nadal nerwowo spacerował, choć skrócił dystans. Właściwie wyglądało to, jakby chodził w miejscu. I znów drapał się po głowie i przeczesywał włosy.

– A dlaczego ty tego nie zrobisz?

– Bo mnie tu nie ma – odrzekł Daniel cicho i niższym głosem niż zwykle. – Mnie nigdzie nie ma.

Kompan pokiwał głową, jakby chciał zaznaczyć, że rozumie. Ale nie rozumiał. Wiedział jednak, że wszelkie próby przekonywania tego drwała, iż jest inaczej, będą tłumione dość kategorycznie.

– Nie mam samochodu – wykrztusił.

– Co?

– Nie mam samochodu.

– Pożycz od kogoś.

Na ganek przyczołapał Góral. Stanął, spoglądając w las, po czym odwrócił się i spojrzął na Daniela, potem na Wojtkę. Poruszył nosem, ale chyba nie poczuł aromatu napiętej atmosfery, bo tylko machnął ogonem i położył się w pozycji sfinksa.

– Skąd wiesz, że to jej pies?

– Z dedukcji.

– A coś więcej?

– To jest Neptun, pies Agaty. Skojarzył go ten twój koleś z hotelu.

– Nie rozumiem... Widziałeś się z nim?

– Góral się z nim widział i trochę na niego warczał. – Drwał uśmiechnął się, kiedy to mówił, ale nie miał pewności, czy Wojtek dostrzegł. Miał bowiem wrażenie, że twarz w ogóle nie zareagowała na uśmiech, który poczuł wewnętrznie.

– Robisz sobie ze mnie jaja, Daniel.

– Nie.

– No co? Poszedł sobie Góral na spotkanie do hotelu? Czy może spotkali się gdzie indziej?

– Byłem z Góralem pod hotelem i tamten gośc go zauważył. Mnie nie widział. – Daniel przechylił się, by zerknąć do środka chaty. Dziewczyna spała w niezmienionej pozycji. – I powiedział do niego Neptun.

– A ona miała psa Neptuna? Powiedziała ci?

– Nic jeszcze nie powiedziała. Jakby była niema. Powiedział też: „jesteś psem tej Agaty czy może Agnieszki”... Na Agatę Góral reagował żwawiej. A potem w lesie, kiedy ją znalazł, witał ją jak swoją panią.

– Skąd wiesz, jak pies wita swoją panią?

– Miałem kiedyś psa. I ten pies miał swoją panią.

Kiedy Martyna wracała do domu, Bonifacy machał ogonem tak mocno, że zachodziła obawa, iż go sobie złamie. Do tego skakał i po psiemu się uśmiechał. A ona jeszcze go podkręcała zabawą i klepaniem się po udach. Daniela Bonifacy witał nieco chłodniej, z dystansem. Nie, że się nie cieszył. Był jednak bardziej stonowany w stosunku do niego.

Wojtek otworzył usta i wpatrywał się w Daniela, jakby zobaczył jakiegoś dziwoląga. A to tylko przecież ten włóczęga, o którym nic nie wiedział i któremu znalazł tę chatę.

– Pierwszy raz powiedziałeś mi cokolwiek o swojej przeszłości – rzekł po chwili.

– Wiem – odpowiedział Daniel błyskawicznie i z nutą rozczarowania. – Ale to, że miałem psa, niewiele mówi ci o mojej przeszłości. Każdy może mieć psa.

– To prawda. Ale w twoich ustach słowa o tobie brzmią jakoś dziwnie.

Daniel machnął tylko ręką – żeby zlekceważyć znaczenie chwili, ale też po to, by symbolicznie odeprchnąć tę chwilę od siebie. Rozczarował sam siebie tym zwierzeniem.

– I że miałeś jakąś panią Danielową – ostrożnie dodał Wojtek

– Kobiętę też każdy może mieć. A nie, ty nie...

Tym razem to Wojtek machnął ręką i pokiwał głową.

– Stare dzieje... – rzekł. – Kiedyś miałem kobietę. Tutaj, we wsii.

– Przecież ty pedałem jesteś, Wojtek. To jak?

– Ale próbowałem nim nie być. Dobrze nam było, ale ona wiedziała, że mi z kobietą nie po drodze. Wyjechała stąd. Podobno wyszła za męża.

– I stawał ci na nią?

– No stawał, a co miał nie stawać.

– To może ty nie jesteś pedałem?

– Jestem, jestem.

– Na faceta też ci staje?

Wojtek wstał.

– Odpuść, Daniel – powiedział spokojnie.

– No dobra, w sumie to nie moja sprawa.

Przechadzał się znowu po ganku, tym razem spokojniej. Widać było, że dręczą go myśli. Zastanawia się nad czymś, kombinuje. Daniel natomiast przytknął oczy. Czuł się, jakby miał w nich piasek. Zmęczenie? Przejęcie? Nie zdarzyło mu się to w ostatnich miesiącach. Wcześniej wielokrotnie. Martyna wpuszczała mu wtedy krople, nachylając się nad jego twarzą i stając między nogami. Czasem tylko jedną nogą między jego udami. On czasem też symulował, żeby tylko ją tak poczuć. Celowo przysuwała udo do jego kroczka. Chyba nie doceniał, jakim była dla niego lekiem... na całe zło.

– Była twoją żoną? – wypalił Wojtek zniecierpliwiony.

Daniel otworzył oczy i dotknął palcami powiek. To dało mu chwilową ulgę.

– Odpuść, Wojtek.

Ten zrozumiał sprytną ripostę i uśmiechnął się szczerze. Lubił go. Mimo tych wszystkich jego wad polubił jego charakterność. Ufał mu, a zaufać komuś w dzisiejszym świecie nie było łatwo. I wcale nie był pewny, czy chce o nim wiedzieć dużo więcej. Może tak jest lepiej. Może jego przeszłość zepsułaby to zaufanie i ten pozytywny stosunek. Może stałby się dla niego innym człowiekiem.

– Zostaniesz tu z nią? – zapytał nagle Daniel.

– Oszalałeś?! – prawie krzyknął Wojtek. – A jak się obudzi?

– To z nią pogadasz, opowiesz jej, co słyhać we wsi.

– A ty gdzie idziesz?

– Pójdę do wsi. Obejrzę te ogłoszenia, o których mówiłeś, i kupię jakieś kajzerki dla niej. Pewnie obudzi się głodna.

– Ja też to mogę zrobić!

– Mógłbyś, ale zrobię to ja.

Mówiąc to, wstał i wszedł do chaty. Narzucił na siebie sweter zapinany na guziki, a z szuflady wyjął kilka banknotów. Gwizdnął przy tym na psa. Góral przyszedł po krótkiej chwili i położył się obok łóżka.

– Zostań tu przy niej – przykazał szeptem Daniel i wyszedł z powrotem na ganek.

Wojtek stał tam przerażony. Trudno mu było sprzeciwić się drwalowi. Nigdy nie należał do osób łatwo oponujących, a przy tym człowieku jego asertywność była całkowicie sparaliżowana.

– To ja idę. Niedługo wrócę. Bądź grzeczny – powiedział, odchodząc.

Wojtek nie wykrztusił już ani słowa. Kiwnął tylko głową i odprowadził drwala wzrokiem.

- Ładna? – Nie wiem, czy to istotne, ale Dorota o to pyta.
- Nie wiem, chyba tak – odpowiadam, bo naprawdę tego nie wiem.
- Chyba?
- Chyba. Zresztą nie ma to znaczenia. Może się okazać ważna.
- Dla ciebie?
- Dla mnie też.

Odkładam słuchawkę i irytuje mnie myśl, że Dorota może być zazdrosna, jeśli szybko się nie dowie, o co chodzi. Ale myślę też, że nie mam na to wpływu i nic nie mogę z tym zrobić. I nie chcę. Nie chcę jej teraz opowiadać, co się dzieje. To wszystko jest zbyt niejasne i może się okazać, że coś sobie dopowiadam. Choć wtedy okazałoby się, że także Zosia coś sobie dopowiada, a przeczcucia Alicji są pokrętne.

Narzucam na siebie szlafrok, z biurka ściągam *Cmentarz w Pradze* i wychodzę z pokoju. Moim celem jest basen, leżak i przeczytanie co najmniej kilku stron powieści Umberta Eco. Ale też pokonanie kilkunastu długości tego niewielkiego basenu.

W recepcji nie ma nikogo. Diana skończyła już zmianę, więc nie mogłem się jej spodziewać. Zosia nie pracuje. Właściwie nie wiem, kto tu jeszcze bywa za tym bufetem. W drzwiach do części rekreacyjnej mijam młodego człowieka, który szeroko się do mnie uśmiecha, ale się nie zatrzymuje.

– W czymś mogę pomóc? – pyta, będąc już za moimi plecami. Odpowiadam pytającym wzrokiem, więc tłumaczy się: – Widziałem, że na chwilę zatrzymał się pan przy recepcji, a ja właśnie teraz tam powinienem być.

- Ach, tak – reaguję dość dziwacznie, ale chcę już iść dalej. – Rozumiem.

Zerkam na identyfikator. Zawsze to robię, gdziekolwiek jestem. Dariusz. No to mam tu kolejnego recepcjonistę. Ciekawe, czy jest jak Błażej czy jak John Malkovich. Zabawne skojarzenie z filmem *Być jak John Malkovich*. Obydwu chyba daleko do Johna.

– W każdym bądź razie jestem do pańskiej dyspozycji – mówi, a ja się garbię na to jego „bądź”. Ale nie on pierwszy i nie ostatni, więc popycham drzwi i znikam z jego oczu. Przy basenie biorę głęboki wdech i się przeciągam.

– Gdzie ty się podziewałeś? – słyszę głos zza swoich pleców. To Alicja, której przez Dariusza nie zauważyłem.

Odwracam się w jej stronę i widzę ją na leżaku w jednoczęściowym stroju – jaskrawoczerwonym. Muszę zmużyć oczy, by ta czerwień nie zadziałała jak jarzeniówka. Ale i tak dostrzegam zgiętą w kolanie prawą nogę, tułów podparty na łokciach, duże piersi ze sterzczącymi sutkami tak mocno trzymane przez kostium, że nie rozchyłały się na boki. I twarz, na której dokładnie było widać zadane pytanie.

- Kręciłem się trochę – odpowiadam. – Szukałaś mnie?

– Nawet pukałam do pokoju, ale chyba cię nie było.

Rzucam szlafrok na stojący obok leżak. Przesuwam go trochę w stronę Alicji i wtedy na niego siadam.

– Coś się stało? – pyta, widząc, że rozglądam się wokół. Chyba dostrzega na mojej twarzy sekret. Udziela jej się to i też zaczyna się rozglądać.

- Nic się nie stało – mówię. – Jeszcze.

– Ale się stanie?

– Nie wiem, może już się stało.

Poprawiam się na leżaku, ale chyba nadal jest jej niewygodnie, bo w końcu siada i podpira się łokciami na udach.

- Możesz jaśniej?! – irytuje się.

Zbliżam się do niej jeszcze bardziej.

– Co jakiś czas przyjeżdża do hotelu grupa mężczyzn. Przyjeżdża i znika, bez meldunku, bez wymagań. I właściwie nie wiadomo, kiedy wyjeżdżają.

- No i?



– Ostatnio była z nimi dziewczyna. Przypadkowo zaczęła się meldować. Została zrugana przez kolegów, a meldunek miał zostać usunięty na polecenie Ksawerego.

Jej twarz była bez wyrazu, znieruchomiła. Jeszcze chyba nie ma zdania na ten temat, na razie słucha.

– Spotkałem się z Zosią. Dzięki niej wiem, jak nazywa się ta dziewczyna, która próbowała się meldować.

– Będziesz jej szukać? – pyta szybko.

– Właściwie to już szukam.

– Jak?

– W internecie próbowałem. Zosia pomogła. Ta dziewczyna jest z Warszawy. Nie mogę jej spłoszyć wiadomościami czy telefonem, więc poprosiłem Dorotę, by ją namierzyła.

Alicja marszczy czoło.

– Kim jest Dorota?

No tak, jeszcze ani razu o niej nie wspomniałem w obecności Alicji. A ona nie pytała. Teraz to pytanie zabrzmiało trochę jak zarzut, a trochę jak zaskoczenie.

– Dorota to moja... – chwilę się zastanawiam – ...dziewczyna.

Alicja uśmiecha się, ale kąciki jej ust drgają nerwowo. Nie chcę na to patrzeć i odwracam wzrok. Spoglądam na spokojną taflę wody. Nikt nie wchodził do niej od dobrych kilku minut, zdążyła się uspokoić. Jak w lustrze odbijają się w niej okna. Jeśli stanę z innej strony basenu, zobaczę w tej tafli mocno świecące słońce.

– Idę popływać – mówię i wstaję, ale ona dotyka mojego przedramienia. Ma ciepłą dłoń. Tak ciepła, że czuję, jak parzy, więc szybko się odsuwam.

– Nie bój się – mówi szeptem. – Usiądź jeszcze na chwilę.

Siadam bez przekonania. Czuję się niekomfortowo.

– Skupmy się na tym, co powiedziałaś. – Zmienił jej się ton głosu. „Nie bój się” wypowiadała inaczej. – Bywam tu regularnie. Nigdy nie widziałam większej grupy gości, tu raczej jest spokojnie. Ale kiedy mi o tym mówisz, to przypominam sobie kilka sytuacji, które dość trudno było mi wytłumaczyć.

Komfort stopniowo wraca.

– Co masz na myśli?

– Sytuacje, jakie mogą się zdarzać normalnie, bez podejrzeń i drugiego dna. Na przykład kiedy któregoś dnia czułam dziwny klimat w hotelu, a jeden z recepcjonistów robił wszystko, bym nie podążyła jednym z korytarzy. Tak się zachowywał, że w końcu parsknęłam śmiechem i puściłam do płazem. A on był spocony.

– Ten korytarz w prawo od recepcji?

Chwilę się zastanawia.

– No tak, tam zaczyna się tylko jeden korytarz.

– Który to recepcjonista?

– Nie ma go już. Widziałam go tylko podczas dwóch pobytów. Zniknął.

Rotacja za blatem recepcji jest dość znacząca – myślę. Próbuję sobie wyobrazić tę scenę. Widzę, jak Alicja jest uparta i jak spocony młodziak blokuje jej przejście albo zaczyna zachwalać pogodę, by ta kobieta wyszła na taras. I w końcu jej śmiech z odchyleniem głowy.

– Któregoś dnia... – mówi dalej – ...mojego ówczesnego partnera zaczął gość hotelu i sugerował zabawę w większej grupie. Wyjaśnił Arturowi, że przyjechał z kolegami. Dość dziwna to była propozycja. Artur mówił wtedy o jego przekrwionych oczach.

Przypominam sobie przekrwione oczy Ksawerego. Ale to była tylko moja wyobraźnia.

– Zapropionował nam to, bo widział nas w saunie uprawiających seks.

Macham delikatnie dłonią na znak, że to nie była potrzebna informacja.

– Kiedyś przyjechała do hotelu karetka. Zrobili się zamieszanie, pilnowanie, by nikt nie wychodził z pokoju. I nikt później nie wiedział, gdzie ci ratownicy poszli i czy komukolwiek i gdziekolwiek udzielali pomocy.

Patrzę jej w oczy i powoli układam sobie to wszystko w głowie. I bardziej przypomina to układanie kostki Rubika niż klocków lego. Nigdy nie udało mi się ułożyć tej parszywej kostki. W końcu przestałem próbować.

Nagle Alicja zastyga. Najpierw widzę, jak kątem oka spogląda w stronę wejścia, a potem „wraca” do moich oczu i zastyga.

– Spójrz za chwilę – mówi, uśmiechając się nienaturalnie. – Za drzwiami, patrzy przez szybę.

Nie czekam, od razu kieruję tam wzrok. Przez przezroczystą część szyby (dolna część jest matowa) przygląda nam się Ksawery. Nie mam pojęcia, jak długo to robił, jak długo tam stoi, ale kiedy dostrzeżę

mój wzrok, powoli się wycofuje. Powoli i ciągle na nas patrząc. W końcu odwraca się i znika.

Kutas. Robi to celowo. Żeby wprowadzić nerwowość, niepewność, żeby postawić w naszych głowach znaki zapytania. Fiut.

Tylko właściwie po co?

– No i do tego jeszcze to zachowanie tego pana – ciągnie wywód, tym razem wskazując drzwi.

Wstaję i nie oglądając się na Alicję, idę w stronę krawędzi basenu. Po skoku uderzam głową w tafle wody. Chowam się cały pod powierzchnią i jak zwykle w takiej sytuacji chcę jak najpóźniej wypłynąć. W głębi wody, nawet takiego basenu, jest coś lewitującego, jakby wszystko przestało istnieć. Ledwo widzisz, dźwięk jest stłumiony i wszystko wydaje się spowolnione.

Uratowałem kiedyś tonącego chłopca. Z plaży zobaczyłem, jak znika pod wodą i jak jego dłoń próbuje jeszcze złapać powietrze. Nigdy wcześniej nie biegłem tak szybko jak wtedy. Przeskoczyłem kilka koców, dwa leżaki i zamek z piasku. Płynąłem do niego zbyt długo, bo zniknął zupełnie. Zanurkowałem i znalazłem go po kilku sekundach. Chwyliłem za rękę i zacząłem ciągnąć do siebie. Walczył, wyrwał się w ataku paniki. Wszystko to czasem wraca do mnie, kiedy jestem pod wodą. Trochę udziela mi się jego panika, której uległ w tych kilkunastu sekundach.

Teraz też przez ułamek sekundy go widzę. Ale już wiem, że to tylko pozostałość po tamtym wydarzeniu. Nawet czasem uśmiecham się do niego pod tą wodą, zastanawiając się, na jakiego człowieka wyrosł. I myślę sobie, że skoro już go uratowałem, to może zrobiłem coś dobrego dla świata.

Te myśli rozbijają mi ciało, które maćci względny spokój tej wody. Nie widzę głowy. Tylko nogi, biodra, tułów, biust. Kostium kąpielowy podpowiada mi, że to Alicja. Wynurzam się, by nie czuć się jak podglądacz. Utrzymuję głowę na powierzchni, machając rękami na boki, i patrzę na robiącą to samo kobietę. Na kilka sekund spotykają się nasze oczy. To niby tylko kilka sekund, ale one trwają jak wieczność. Nagle widzę, że ona powoli pod pływa. Ja niemal automatycznie odpływam w stronę murka. Czuję się jak uciekinier, trochę jak tchórz.

– Idziesz na spacer? – pytam, odwracając się w jej stronę. Widzę jej zakłopotanie. Nie wiem jedynie, czy z powodu mojego odwrotu w basenie, czy propozycji spaceru.

– W góry? – odpowiada pytaniem, nie patrząc na mnie.

– Nie, do wsi.

Wtedy podnosi wzrok i uśmiecha się ironicznie.

– Są tam jakieś zabytki? Muzea?

– Cała wieś jest jak skansen – stwierdzam, ale zaraz potem się poprawiam: – No, może nie cała.

Patrzę na nią, wkładając szlafrok. Czekam na odpowiedź. Ona jednak zanurza głowę w wodzie i znika na kilka sekund. Po chwili pojawia się z włosami dokładnie zaczesanymi wodą do tyłu. I jak w niejednym filmie z takimi scenami przesuwa po nich dłońmi.

– Za pół godziny przy recepcji – mówi, nie patrząc na mnie.

Reaguję skinieniem głowy. Wychodzę stamtąd tym samym wyjściem, za którym stał Ksawery. Teraz oczywiście tam go już nie ma. Odwracam się. Alicja kraulem pod pływa do drabinki i wychodzi wolnym krokiem modelki.

Idąc korytarzem, zastanawiam się, dlaczego zaproponowałem jej spacer.

Wyszła z kina niepokieszona. Chciała tak jak Zosia i Andrzej migdalić się na seansie. Zazdrościła im tego. Tego trzymania się za ręce, tego ukradkowego dotyku, tych pocałunków w trakcie. W połowie seansu postanowiła przyjąć pozycję, która uniemożliwi jej zerkanie w ich stronę. O tym, że to słuszna decyzja, przekonała się, kiedy Zosia, chichocząc, szepnęła do Andrzeja „prześtań” tonem, który przypominał raczej powiedzenie, że kiedy kobieta mówi „nie”, tak naprawdę mówi „tak”.

Pożegnała się z nimi szybko. Idą się pieprzyć, nic tu po mnie – pomyślała. I jeszcze pomyślała, że znowu sama położy się do łóżka. Przypomniała sobie Helen Hunt wykrzykującą w filmie *Lepiej być nie może*: „Czy ja nie mogę mieć normalnego chłopaka? Czy zawsze musi to być jakiś wariat?”.

Mateusz wariatem nie jest, ale nie zachowuje się jak normalny chłopak. Męczył Dorotę ten dystans, męczył chłód, a właściwie dawkowanie ciepła. Męczyło to życie osobno, te noce samotne, te poranki bez jego głowy obok. Wiele razy mówiła sobie „pieprzyć to”, jest dobrze. Ale były chwile, jak ta, że chciała go mieć przy sobie. I odsuwała od siebie wściekle myśli, że wyjechał teraz bez niej odpoczywać.

Kopnęła kamień. Polecał w stronę zaparkowanego kilka metrów dalej samochodu, ale na szczęście trafił w oponę. Instynktownie jednak rozejrzała się wokół i przysunęła do ściany starej, odrestaurowanej kamienicy. Nikt nie widział jej wykroczenia. Odetchnęła, a potem uśmiechnęła się do swojej niewinności.

Za następnym budynkiem skręciła w prawo, w ulicę, na której trwała jedna wielka impreza. Kilka klubów nocnych usytuowanych w bezpośrednim sąsiedztwie, dwie restauracje, w tym jedna tajska. Jest gdzie spędzać czas. Zerknęła na tych wszystkich młodych ludzi okupujących chodnik, a nawet część ulicy, i próbowała sobie przypomnieć siebie sprzed piętnastu lat. To nie była zamierzczła przeszłość, ale jednak było inaczej. Byliśmy mniej swobodni, bardziej nieśmiali – pomyślała. Choć Mateusz trochę ironizował, kiedy mówiła, „jak to kiedyś bywało”.

Na zaczepki młodocianych nie zwracała uwagi. Przeszła odważnie przez środek grupy, która najwyraźniej wyszła z klubu na papierosa. Tych kilka osób rozstąpiło się wręcz, by ją przepuścić. Kilka metrów dalej słyszała jeszcze szczeniackie uwagi na temat swojego tyłka i sterzcących sutków. Była bez stanika, temperatura raczej już spada. Inne nie mogły być. Ale mimowolnie na nie spojrzała. Rację miał ten, który zwrócił na nie uwagę.

Na końcu ulicy, tuż przed przejściem dla pieszych, był pub. Nie zauważyłaby go, gdyby nie wcześniejsza rozmowa z Mateuszem. Jak ona się nazywała? Magda... coś na P. I zdjęcia były z pubu.

Przed lokalem stali dziewczyna i chłopak, pałac papierosy z kufkami piwa w dłoniach. Rozmawiali o polityce. A właściwie on mówił do niej, ona słuchała. Nie wyglądali na parę, bardziej na osoby, które właśnie się poznały, może właśnie w tym pubie. Atmosfera pubu sprzyja zawieraniu nowych znajomości. Zwłaszcza kiedy jest ciasno i trzeba się przeciskać między ludźmi, by dojść do baru.

Weszła. Za drzwiami poczuła zapach papierosów. Pewnie wdarł się ten swąd sprzed wejścia. W głównym pomieszczeniu w nozdrzach poczuła już chmielowy napój. Kufle stały na każdym stole. Przemieszane ze szklankami napełnionymi koktajlami. Było gwarno, głośno, radośnie. Faceci w marynarkach i krawatach między dziewczynami w garsonkach. Młodzieńcy w T-shirtach, dresowatych spodniach i sportowych butach. Ich koleżanki ubrane tak samo jak oni. Wszyscy roześmiani i hałaśliwi.

To nie był ten pub. Magda P. była w inaczej wyglądającym pomieszczeniu. Inny był bar, inna ściana z butelkami.

– Szukasz kogoś? – usłyszała nagle Dorota. Dotarło do niej, że zbyt intensywnie się rozglądała. Odwróciła się i pokiwała tylko przecząco głową. Zaraz potem ruszyła w stronę wyjścia, mijając tego zbyt młodego człowieka, który jeszcze próbował dotknąć jej ramienia i ją zatrzymać.

– Może zostaniesz na chwilę? – nie dawał za wygraną.

– Nie, dziękuję – powiedziała zbyt cicho, by usłyszał. Nie zatrzymała się.

– Może zadzwonię do ciebie? – usłyszała, zanim pchnęła drzwi. Głęboki oddech był tym, czego teraz potrzebowała. Ale zdecydowała się na niego dopiero wtedy, kiedy miała pewność, że nie poczuje w płucach nikotyny.

Kiedy weszła do mieszkania, ogarnęła ją senność. Jakby dom był przystanią i absolutnym bezpieczeństwem. A może chciała szybko wpaść w objęcia tego jedyne go mężczyzny, jakiego teraz mogła mieć – Morfeusza. Pryszyć ją jednak ożywił. Sen odszedł na drugi plan.

Położyła się w łóżku i otworzyła laptop. Sprawdziła w wiadomości od Mateusza, czy dobrze pamięta nazwisko Magdy, i wyszukała jej konto. Tej pierwszej Magdy, z biura architektonicznego.

Znalezienie w sieci firmy Adama Fedulowicza zajęło jej kilka minut. Jej strona nie była zbyt bogata w treści, ale jasno dawała gościom do zrozumienia, w jakiej branży się porusza. Dorotę jednak najbardziej zainteresowała zakładka „zespół”. Kliknęła i zaczęła przeglądać zdjęcia i krótkie opisy. Magda była wymieniona jako siódma. Tych kilka zdań obok zdjęcia to laurka.

No to mam jedną – pomyślała. Dość łatwe to było. Właściwie Mateusz mógł to zrobić sam. Pomyślała też, że mógł szukać pretekstu, by się z nią skontaktować. Choć byłoby to do niego niepodobne.

Zaczęła przeglądać zdjęcia tej drugiej. Na większym ekranie niż w telefonie mogła zobaczyć więcej, zrobić powiększenie, wyostrzyć obraz. Tak robiła z każdym kolejnym zdjęciem wykonanym w pubie. Nie dostrzegła jednak niczego, co mogłoby ją przybliżyć do odpowiedzi. Szukała czegoś charakterystycznego, jakichś napisów na ścianach, na kufkach, na koszulkach obsługi. Nic. Zbyt wiele bliskich kadrów, najczęściej na same twarze, dla Doroty zupełnie anonimowe.

Niemal od niechcienia oglądała kolejne zatrzymane w kadrze sytuacje barowe i nie tylko. Jedno zdjęcie z plaży, kolejne gdzieś w jakimś lesie. Nawet siłownia się trafiła. Na niemal wszystkich zdjęciach ona. Czasem z kimś, najczęściej z tą Agnieszką, którą Dorota zauważyła już wcześniej. Ale jej twarz również była jej obca.

Zatrzymała się na zdjęciu w parku. To oczywiste, że były to Łazienki. Ale nie o to chodziło. Za Magdą stał mężczyzna. Kiedy ona patrzyła prosto w obiektyw z uśmiechem rozanielonej nastolatki, on patrzył w bok, jakby nie zwracając na nią uwagi. Gdzieś cię już widziałam, przystojniaku – pomyślała. Te same rysy twarzy, ten sam nos, ta sama fryzura. Tak, to musiał być on.

Dorota z podekscytowania zmieniła pozycję na łóżku. Do tej pory leżała na brzuchu, teraz usiadła, opierając się o wezgłowie. Szybko zaczęła przeglądać jeszcze raz wszystkie zdjęcia. Wiedziała, czego szuka. Już raz widziała tę twarz obok Magdy. Na którymś ze zdjęć w pubie.

Jest. To on.

„Śpisz?” – napisała do Emilii. Dopiero po wysłaniu spojrzała na zegarek. Dwudziesta trzecia trzynastcie. Niemożliwe, że śpi. Normalni ludzie o tej porze nie śpią. Zwłaszcza ludzie z jej branży. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie poczekać z tym do jutrzejszego lunchu, ale chyba trochę nie mogła się doczekać potwierdzenia.

„Chciałabym” – odpisała po kilkunastu sekundach, co sugerowało, że nie jest zajęta, a wręcz nudzi się i siedzi w internecie.

„Czytam książkę” – dodała po kilkunastu kolejnych sekundach, jakby chciała rozwiać podejrzenia Doroty, że jest strasznie nudziarą i wieczorami nic tylko przegląda facebooka lub pisze do chłopaka.

„Prześlę ci coś zaraz i napisz mi, czy znasz człowieka” – napisała Dorota enigmatycznie, choć wiedziała, że jeśli się nie myli, to Emilia zna go dość dobrze. Zrobiła zrzut ekranu, edytowała zdjęcie, tak by nie było na nim Magdy, i wysłała.

„Radek, Radeczek, Radunio”. – Odpowiedź Emilii rozbawiła ją niemal do łez. Śmiały się z niego swego czasu, bo uwielbiał przed weekendem mówić: „Piątek, piąteczek, piątunio”. Powiedział tak kiedyś w obecności Mateusza, który przyznał później, że miał bardzo silny odruch wymiotny.

Spotkał go tylko raz, na jakimś bankiecie, na który niepotrzebnie go zaprosiła. Niepotrzebnie, bo wynudził się jak mops i zniesmaczył, jak to on miał w zwyczaju. Radek przez chwilę był współpracownikiem jej agencji. Nikt nie wątpił w jego talent, ale to była niełatwa współpraca, bo trudno porozumieć się z kimś, kto pozjadał wszystkie rozumy. Pożegnali się z nim po pół roku. Zdążył rozkochać w sobie jedną z młodszych agentek i rzucić ją spektakularnie na oczach całego zespołu. Wcześniej próbował zdobyć serce Emilii. Prawie mu się udało. Ale „prawie” robi różnicę.

„Przypomnij mi nazwisko?” – poprosiła Dorota.

„Miłosz”.

Dopiero teraz Dorota przypomniała sobie, że czasem mówili na niego Czesiek.

„Dlaczego pytasz?”.

„Jeszcze nie wiem dlaczego, ale jak się dowiem, to ci powiem”.

Oczami wyobraźni widziała minę Emilii po tej odpowiedzi. Z pewnością przewróciła oczami, a z jej ust wydobyło się ciche i przeciągłe: „kuuurwa, no weź”.

Radek wszedł potem w politykę. Nikt nie wiedział, jak to się stało, ale zaczął pracować nad wizerunkiem niektórych posłów, uczył ich mowy ciała, gestów, nieodpowiadania wprost na pytania. Jednym

zdaniem zrobił z nich jeszcze większych krętaczy, niż byli. Ale dzięki temu w pewnym kręgu politycznym był uznawany za bohatera, wręcz zbawiciela, który potrafi wygrać wybory.

Mateusz wie, kim on jest. I na pewno nie jest jego ulubieńcem, tak jak zresztą zdecydowana większość opozycyjnych dziennikarzy. Jedni po tej stronie, drudzy po przeciwnej. Tak już teraz ten kraj wygląda. I inaczej nie będzie.

„Mam coś dla Ciebie, spodoba Ci się” – napisała w telefonie. Zawahała się na moment, czy pora jest odpowiednia, ale dochodząc do wniosku, że to przecież wiadomość do chłopaka, kliknęła „wyślij”.

Najpierw zatrzymaliśmy się tam, gdzie wcześniej puszczałem „kaczki”. Ona też spróbowała, ale zupełnie jej to nie wychodziło i głośno się śmiejąc, odpuściła.

A teraz jesteśmy już prawie we wsi. Mijamy skrzyżowanie ze strzałką na bar Pod Konikiem. Znów myślę, że to idiotyczna nazwa.

– Bar? Tutaj? – Alicja chyba podziela moje zdanie. Jest na tym spacerze inna, trochę jakby zawstydzona, trochę wycofana. Zerka na mnie co chwila, czuję to. Trochę mnie to martwi, bo nie chciałbym, by odebrała ten spacer jako randkę.

– Zajdziemy tam w drodze powrotnej? – pyta.

Wzruszam ramionami.

– Możemy. Też jestem ciekaw, jak wygląda.

Jesteśmy bardzo nietutejsi. Być może jednak tubylcy są do takich widoków przyzwyczajeni. Ja w białych lnianych spodniach i czarnej koszulce polo z rozpiętymi wszystkimi trzema guzikami. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz miałem tę biel na sobie. Dorota wiele razy namawiała mnie, bym je włożył. Nie wiem, czy chciała mieć obok siebie starszego pana sprawiającego wrażenie nadzianego czy po prostu lubi biel, która eksponuje jej opaleniznę. Na pewno nie moją. Ja do opalonych się nie zaliczam.

No i tak kroczę spokojnie w tej czerni polówki i bieli spodni. Do tego sandały w szałości, oczywiście bez skarpetek, choć tak naprawdę nikomu nic do tego. Faktycznie wyglądam jak nadziany emeryt. Tym bardziej je obok mnie podąża damulka w zwiewnej sukience na ramiączkach i głębokim dekoltem. Przez chwilę po wyjściu z hotelu zastanawiałem się, czy ma stanik. Dostrzegłem jednak sprzączkę na jej plecach i się uspokoiłem. Nie wiem dlaczego, ale czuję jakąś dziwną odpowiedzialność za jej niewinność podczas tego spaceru. Nie chcę, by ktoś na jej widok pogwizdywał. W jej przypadku wyjście bez stanika takie niebezpieczeństwo zwiększało.

Razi w oczy fiolet jej sukienki, ale przy dbałości o niewinność Alicji jednocześnie mam w sobie dziwną obojętność wobec koloru jej ciuchów. I choć może imponować dopasowanie koloru paznokci do sukienki, to jednak zrujnować wszystko mogą buty. Sportowe, białe, z czarnymi sznurówkami.

– Nie wiedziałam, dokąd idziemy i po czym będziemy chodzić – mówi nagle, po czym widząc moje zdziwienie, dodaje: – Patrzysz na moje buty. Wiem, że nie pasują do reszty, ale myślałam przede wszystkim o wygodzie.

Uśmiecham się. Jak ja to dobrze znam. Agnieszka, Dorota, Natalia i Hania... wszystkie miały lub mają podobne podejście. Wygoda przede wszystkim, ale toczył je rumieniec, jeśli nie włożyły szpilek do sukienki. A potem końcówka spaceru na bosaka, bo buty na wysokim obcasie zmęczyły łydki. I po co te całe ceregiele? Zgoda, łydka w szpilkach nie jest już tylko łydką. Jest kolejną erotyczną częścią kobiecego ciała, jest elementem piękna, jest tym, co jako pierwsze może wołać do mózgu mężczyzny: „Weź mnie!”. No ale nie zawsze przecież taka sytuacja musi mieć miejsce! Nie zawsze musi się odbywać to „wołanie”.

Mijamy tartak. Przyjemne uczucie w nozdrzach. Zauważam, że Alicja również delektuje się tym zapachem, bo wyraźnie wciąga nosem powietrze.

– Uwielbiam to – mówi, jakby chciała potwierdzić moje myśli. Patrzy w stronę pociętych byle jak desek i konarów drzew przygotowanych do obróbki.

Zbliżamy się do sklepu, tego samego sprzed lat, pod którym pierwszy raz spotkałem Zosię.

– Tutaj pierwszy raz spotkałem Zosię – informuję ją, choć nie wiem po co. – Była wtedy dzieckiem, a ja topiłem zgryzotę w alkoholu.

Patrzy na mnie tymi swoimi smutnymi oczami. Widzę to tylko przez ułamek sekundy, kiedy na nią zerkam. Potem już tylko czuję jej wzrok na sobie. I czuję, że chciałaby o coś zapytać. Powstrzymuje się, kiedy widzi, że podchodzę do zawieszanej kartki. Pokazuję dłonią, by się zbliżyła i przeczytała.

*Jeśli ktoś widział Jankę przez ostatnie trzy dni, niech się ze mną skontaktuje.  
Nie wiem, gdzie jest, wyszła w niedzielę miała wrócić wieczorem.*

– Kim jest Janka? – pyta, robiąc krok w tył.

Rozglądam się wokół, jakbym nie chciał, by usłyszała odpowiedź. Nikogo jednak nie ma w pobliżu. W sklepie również żywej duszy, nie widać nawet właściciela, który jednocześnie jest sprzedawcą.

– Nie wiem, kim jest – mówię szeptem. – Wiem tylko, że nietutejsza. Pani, która rozwieszała te ogłoszenia, też nie jest stąd.

– Skąd wiesz?

– Zosia mówiła...

Alicja nadal bardzo wnikliwie przygląda się kartce, jakby chciała coś w niej dostrzec. W końcu podchodzi i fotografuje ją telefonem.

– Co robisz? – pytam.

– Zdjęcie, żeby mieć ten numer w razie czego.

– Już zapisałem. Nie wiem tylko, czy będziemy mieli okazję z tego numeru skorzystać.

– Zakładasz najgorsze?

Tak, trzy dni to długo. Jeśli przez trzy dni nie ma wieści, trzeba zakładać najgorsze, i to właśnie zakładałam. Brak mi optymizmu i nadziei w takich sytuacjach. Być może ktoś natknie się na jej ciało w lesie lub w śmietniku. Nie dopuszczam do siebie myśli, że mogła po prostu wyjechać, uciec z domu, gonić za lepszym światem.

Nie odpowiadam na pytanie Alicji. Wzruszam tylko ramionami i odwracam się plecami do sklepu, a twarzą do kościoła. Tym razem nikt się tam nie kręci.

– Chcesz iść do kościoła? – Alicja prawie parska śmiechem. Nie reaguję, tylko ruszam w kierunku świątyni. Mam cichą nadzieję, że będę mógł wejść. Co jakiś czas ogarnia mnie ochota spojrzenia na architekturę wnętrza kościelnych. I to tylko po to, by wyzłosić się w myślach nad ich pseudoprzemyślnym i przasnocią. Teraz też chcę się przekonać, co takiego upchnęli w wiejskim kościółku, na który łożą tutejsi wierni i z pewnością są bardzo hojni. A w drodze do tego kościoła zrywają ogłoszenia o zaginięciu młodej dziewczyny, które kłują oczy i sumienia.

– Ty naprawdę idziesz do kościoła?! – woła za mną Alicja, ale nie odwracam się. Robię to dopiero, przechodząc przez bramę. Ale ona stoi, chyba postanowiła na mnie poczekać. Może boi się święconej wody, a może ma większą niż ja alergię na tę instytucję.

Podchodzę do głównego wejścia. Drzwi są duże, ale typowe dla kościołów górskich – drewniane z czarną, kutą w stali klamką. Klucz do nich musi być potężny, bo zamek z dziurką też niczego sobie. Szarpnię za ten masywny uchwyt, ale drzwi się nie otwierają. Zamknięte na cztery spusty. Dom Boży, do którego nie można wejść w potrzebie.

– Kościół jest zamknięty, panocku! – słyszę głos jakiejś kobiety za sobą. Odwracam się i widzę przed sobą starszą góralkę z miotłą w ręku. – Coście chcieli?

– Pomodlić się chciałem, droga pani, pomodlić – odpowiadam z kpina w głosie.

– A to sie musicie pomodlić w chałupie, bo ksiundz kozoł otwiyrać na pół godziny przed mszom.

– A kto tu jest księdzem proboszczem?

– Ano ksiundz Eugeniusz.

– A długo on tu już zawiaduje?

– A bedzie ze dwadzieścia roków.

Uśmiecham się, słysząc każdą wypowiedź zaczynającą się od „A”.

– A panoczek to ksionske pise? Cy może jaki artykuł do gazety? – zagaduje jeszcze kobieta z miotłą.

Uśmiecham się tym razem bezpośrednio do niej. Ale ona twarz ma zawziętą, wroga. Mocniej też chwyciła miotłę.

– A wyglądam na takiego, co książkę pisze?

– Jo tam nie wyim, ale panoczek za duzo pytocie. – Kiwa głową z dezaprobatą, wygląda mi na prywatnego ochroniarza proboszcza. Takiego, jakich ma Ojciec Dyrektor. – Bo wy tu tak przyjzdzocie i pytocie i grzebicie, pieruńskie dziynnikazyny.

Zamieram. Dziennikarze u księdza proboszcza? Dziś to najczęściej oznacza jedno.

– A po co by się tu zjeżdżali dziennikarze do księdza? – pytam.

Mocno stawia miotłę na kostce brukowej. Wygląda teraz jak halabardnik. Brakowało tylko tarczy.

– Niech se panoczek przyjdzie na mse sie pomodlić. Nas ksiundz pomoze odpuścić gzechy.

Na pewno, bez wątplenia za drobną opłatą. Ona do mnie jeszcze coś mówi, ale ja dostrzegam, że Alicja patrzy w stronę, z której przyszliśmy. Przesuwam wzrok za jej spojrzeniem i widzę idącego mężczyznę. Wygląda inaczej niż wszyscy tutejsi. Ma brodę, naciągnięty sweter i bojówki. Jakis mały plecak, a właściwie torbę przewieszoną przez ramię. Ręce trzyma w kieszeniach. Idzie pewnym krokiem i bardzo wyraźnie widać, że wpatruje się w Alicję. Mam wrażenie, że z każdym krokiem zwalnia. Ona robi

krok w tył i trochę się odsuwa. Wtedy ruszam w jej kierunku, jakby instynkt podpowiadał mi, że będzie jej potrzebna pomoc.

Alicja opuszcza głowę, włosy zasłaniają jej twarz. Chyba taki efekt chciała osiągnąć. A on jest coraz bliżej. Stawia kroki wolniej, nie odrywa od niej wzroku. Widzę to już wyraźnie, bo jestem kilka metrów od nich. I wtedy on dostrzega mnie kątem oka i odwraca głowę w moją stronę. Patrzy mi prosto w oczy, już nie zwalniając. Idzie dalej, ale wbija we mnie swoje dzikie ślepia. Powiedzieć „przeszywa mnie”, to nic nie powiedzieć. On tym wzrokiem przeczesał moje wnętrze i nacisnął na żołądek. Czuję ulgę, kiedy znów patrzy przed siebie i idzie dalej.

– Kto to był? – pyta nagle Alicja, kiedy już stoję obok niej. Patrzymy oboje w jego stronę. Wpatrujemy się w jego pewny, zdecydowany krok. Widzimy, jak podchodzi do słupa energetycznego i czyta ogłoszenie o zaginionej dziewczynie. I zamieramy, kiedy znów kieruje wzrok w naszą stronę. Na szczęście tylko na dwie sekundy, które i tak trwają długo.

– Nie wiem – odpowiadam – ale chcę się dowiedzieć.

– Po co? – pyta przerażona.

– Bo zobacz, co robi...

Mężczyzna zapisuje coś w telefonie. Domyślam się, że numer z kartki.

– My też zapisaliśmy numer – mówi Alicja.

– To prawda, niech nas ktoś sprawdzi. A my sprawdzimy jego.



Zachował kamienną twarz. To znaczy, takie miał wrażenie, choć przecież często bywa ono mylące. To była ona. Pierwszy raz zobaczył ją z tak bliska. Nie z głębi lasu, nie z polany, nie przez lornetkę, nie rozneglizowaną w pokoju czy na balkonie, nie bez jej wiedzy. Tym razem patrzył na nią i ona wiedziała, że on patrzy. To dziwne, ale nigdy nie pomyślał, że dojdzie do sytuacji, w której spojrzy jej w oczy.

Kiedy ją, a właściwie ich, minął, czuł wzrok na plecach. Odzwyczał się od ludzi w ostatnich miesiącach i teraz każdy kontakt z kimś, kogo nie znał, był wymagający. Mimo to szedł nadal spokojnym krokiem, dyskretnie rozglądając się na boki. Właściwie miał w planach podejście do kościoła, a potem do sklepu naprzeciwko, ale zdecydował się pójść dalej, kiedy zobaczył ją stojącą przy drodze. I oczywiście jęgo, kimkolwiek był. Choć miał wrażenie, że gdzieś tego człowieka już widział.

Podszedł do słupa energetycznego i przyjrzał się dziewczynie ze zdjęcia. Wojtek miał rację, to nie ona. Na wszelki wypadek jednak wyjął z kieszeni telefon i wbił w klawiaturę numer umieszczony na ogłoszeniu. Może się przydać. A może trzeba sprawdzić, czy ta Janka to nie koleżanka Agaty, która pewnie spała jeszcze w jego łóżku.

Zerknął w stronę owej pary przed kościołem. Jeszcze chwilę patrzyli na niego, potem rozmawiali ze sobą kilka sekund i odwróciwszy się, ruszyli przed siebie. Nie było sensu iść za nimi, a pojawiła się taka myśl w jego głowie. Było dla niego oczywiste, że wracają do hotelu.

Zaraz, zaraz... do hotelu? Zmarszczył czoło i jeszcze raz wyteżył wzrok. Umieścił szczerbinę w muszce swoich oczu i wycelował w głowę mężczyzny. To na nic, przecież się odwrócił. Daniel przesunął jednak wzrok na plecy i barki towarzysza Alicji. Jak w filmie pojawił mu się też obraz, a w zasadzie uczucie, jakie towarzyszyło mu wtedy, w nocy, na polanie. Tak, to on. Mężczyzna, z którym się zetknął w ciemnościach.

Nie chciał o tym myśleć, nie chciał rozstrzygać, czy to ma dla niego jakieś znaczenie. Bardziej zastanawiał go to, że w ciemności nie widział jego twarzy, a teraz wydawała mu się znajoma. Postanowił o tym nie myśleć. Jeszcze raz spojrzął na Jankę, jakby chciał zapamiętać jej twarz na wypadek, gdyby trafił na nią w lesie jak na Agatę. Odwrócił się potem w stronę kościoła i widząc starszą góralkę z miotłą, podszedł do niej.

– Cego tu, włóczykiju?! – krzyknęła, kiedy zbliżył się na kilkanaście metrów, wchodząc na teren kościoła.

– Grzeczniej się nie da, babciu? – odparł spokojnie.

– Nie do sie, bo nie potsebuujemy tu narkomanów i hipisów.

– Babciu, hipisi wymarli jak dinozaury – powiedział, wciąż zachowując spokój. – Księdza zastałem?

– A po co ci łun?

Odchrząknął cicho, spojrzął w lewo i prawo.

– Wspowiadać się chciałem.

Góralka zmierzyla go wzrokiem od stóp do głów, a usta wykrzywiła w niedowierzaniu i wręcz obrzydzeniu.

– Ni ma ksiyndza. Pojechoł.

Chciał teatralnie machnąć ręką, ale stwierdził, że babcia nie zrozumie ironii okraszzonej słowami, że pozostanie w grzechu.

– Coście sie tak uwziyli na tego ksiyndza? Tamtyn tez ło niego pytol.

Daniel już miał się odwrócić i pójść swoją drogą, ale spojrzął na kobietę, wsunął rękę do kieszeni i zmrużył oczy.

– Jaki tamtyn?

– No tyn, co tu psed chwilom był.

Alicji i mężczyzny nie było już widać. Zniknęli za którymsz z murowanych ogrodzeń, których było tu kilka. Ludzie odgradzali się, jakby obawiali się siebie nawzajem. Tylko od strony ulicy płotem bywała siatka lub stalowe pręty, przez które można było obserwować przejeżdżające przez wieś samochody. Mieszkańcy mogli mieć doskonałą wiedzę na temat pochodzenia przybywających do hotelu gości. Warszawa, Kraków, Poznań, Wrocław, Katowice. Rządziej Rzeszów czy Krosno.

– Czego chciał?  
– Nie wiem, nie znam go, to nic nie powiedziała.  
– Bardzo dobrze, babciu – pochwalił starszą panią Daniel. – A mnie babcia zna?  
– Widziałach cie parę razy we wsi i Wojtek go doł, żeś dobry cłek. – Pochyliła głowę, jakby się zawzięła. – Ale i tak ci wincyj nie powiym.

Zauważył delikatny uśmiech na jej pomarszczonej twarzy, kiedy chwyciła za miotłę i zaczęła zamiatć.

– A Wojtek to dobry człowiek? – zapytał Daniel.

– A dobry – odpowiedziała, prostując się powoli. – Ino samolub. Nietowazyski jakiś. Taki jakiś lucony.

– Łucony?

– No, lucony.

– Aa, uczony. – Uśmiechnął się pod nosem. – No tak, dużo książek czyta.

Łatwo zasłużyć na wsi na etykietę inteligenta i uczonego. Wystarczy przeczytać kilka książek. Przez chwilę poczuł dziwną więź z Wojtkiem, bo on też wśród bandziorów klepiących michy uznawany był za dziwoląga i często „pierdolonego inteligenta”.

– Babciu, pozdróćcie księdza. Przyjdę innym razem. – Odwrócił się i ruszył w stronę bramy. Po kilku krokach jednak zmienił zdanie i podszedł do niej jeszcze raz. Ona podniosła wzrok.

– Czy znacie tę Jankę z tego ogłoszenia na słupie?

Babcia rozejrzała się w dwie strony, spojrzała też na drzwi kościoła.

– To nie od nas dziewczyna, ale my jom tu trochę znamy. Zbałamuczyła nom tu dwóch chopów. Tako kurewka mało. Swyndała sie tu łostatnio z takim drugom. Baby godajom, ze sie po lesie dupczyły za piniondze.

Daniel słuchał w milczeniu, choć krew burzyła mu się jak dawniej, kiedy słuchał o puszczaniu się kobiet. Znał życie, znał plotki, znał genezę ich powstawania. Dziewięćdziesiąt procent okazywało się nieprawdziwych. Kiedy jedna z nich dotyczyła Martyny – dał w mordę bez wahania. I bez sprawdzania, czy to prawda.

– Oj nieładnie, babciu, tak mówić, kiedy się nie ma dowodów – powiedział trochę zniesmaczony.

– Tu nie są dowodów. Baby godajom, to tak jest.

Nie widział sensu w tej rozmowie. Jest uparta, wie swoje.

– A ta druga gdzie jest? – zapytał.

– A nie wiem, gdzieś sie zapodziała.

Już ja wiem, gdzie się zapodziała – pomyślał i pożegnał się jeszcze raz, przypominając o pozdrowieniach dla księdza.

Dostał kiedyś zlecenie na księdza. Miał postraszyć, zniechęcić do tych jego głupich kazań. Zbyt mocno zaczął wchodzić w interesy chłopców z miasta, zbyt często rozmawiał z „psami” i w ogóle za dużo gadał. Hardy był. Daniel myślał początkowo, że tylko zgrzywa twardziela, ale on naprawdę nim był. Nie bał się. I zachowałby do niego pełen szacunek, gdyby nie słowa wyszeptane w pewnym momencie:

*Zawierzyłem swoje życie Bogu, nie boję się niczego, póki On jest przy mnie.*

Daniel parsknął wtedy śmiechem, ale jego słowa przekonały go, by nie używać przemocy. Powiedział tylko spokojnie:

– Posłuchaj mnie – nie zamierzał do niego mówić „proszę księdza” – ja mam wyjebane, ale przyjdą inni i nawet nie będą cię słuchać, więc przyhamuj. Na razie powiem komu trzeba, że się uspokoisz i nie będziesz sprawiał kłopotów.

I wyszedł. Kilka tygodni później ksiądz wygłaszał homilię ze złamaną ręką i przetrąconym palcem w drugiej dłoni. Bo nie przyhamował i przyszli inni. I nie chcieli go już słuchać.

Kiedy przechodził przez bramę, odwrócił się jeszcze raz. Starsza kobieta w najlepsze zamiatła schody do kościoła. Robiła to z zaangażowaniem godnym pozazdroszczenia. Kiedy skończyła, zrobiła dwa kroki w tył, uklękła i przeżegnała się niedbale, machając ręką przed twarzą.

Tartak zaczął pracować, przy sąsiednim domu ujadał pies, jeszcze dalej słychać było silnik traktora. Przejechał też samochód. Daniel stał i rozglądał się w obie strony, jakby się zastanawiał, w którą stronę pójść. Ale to nie było to. Coś go zatrzymało w tym miejscu, kazało stać i czekać. Nie wiedział jedynie na co, bo nic się nie działo. Pamiętał taki skecz kabaretowy, w którym padały słowa: „Witam Państwa

z miejsca, w którym nic się nie dzieje”. I tak właśnie było tutaj. Przeczucie, intuicja kazały mu stać i czekać.

Gdzieś w oddali, na końcu ulicy zamajaczyła postać. Daniel zmrużył oczy, by lepiej widzieć, jednak odległość była zbyt duża. Ruszył więc w tamtym kierunku wolnym krokiem, rozglądając się na boki. Widział ją coraz wyraźniej. To była kobieta, lekko zgarbiona, wpatrująca się w asfaltową nawierzchnię. Im bliżej niej był, tym bardziej dostrzegał przerażający smutek, wręcz rozpacz na jej twarzy. Zamarł, kiedy podeszła do słupa ogłoszeniowego i dotknęła palcami zdjęcia zaginionej dziewczyny. Nie mógł iść dalej. Gdyby zrobił choć pięć kroków, stanąłby obok niej. Oparł się więc o słupek w ogrodzeniu jakiegoś domu, udając, że po prostu odpoczywa.

Kobieta smutnymi oczami patrzyła na zdjęcie. Po chwili przykleiła kolejną kartkę i odsunęła się od słupa. Poszła dalej, więc Daniel zerknął dyskretnie na ogłoszenie. To nowe było takie samo jak stare. Po co je wywiesiła? Nie zauważył, że się zatrzymała, i niemal na nią wpadł, kiedy energicznie się odwrócił. Oczy miała zmęczone, napuchnięte, ale kiedy ich spojrzenia się spotkały, ożywiły się i błysnęły gniewem. Wyttrzymał, nie spuścił wzroku, bo nigdy tego nie robił. Był w tym mistrzem, choć tu wyzwanie było trudniejsze niż zwykle. Gniew połączony z bólem i rozpaczą był trudniejszą do okiełznanania mieszanką niż przerażenie jakiegoś chłopaka z miasta podczas łamania palca serdecznego.

Minęli się. Trwało to zaledwie kilka sekund, a było bardziej męczące niż wpatrywanie się w słońce w samo południe, i to w upalny dzień. Postanowił zrobić wszystko, by się już nie odwrócić, by iść prosto przed siebie. Nie zauważył nawet, że przyspieszył kroku. Przed oczami miał zdjęcie Janki i widok leżącej w jego łóżku Agaty. Nabierał coraz większego przekonania, że mają ze sobą wiele wspólnego. Te myśli jednak mieszały się z irytacją, że w ogóle mu się to przydarzyło i że musi coś z tym zrobić. Cokolwiek.

Skierował się do baru. Napić się piwa albo zagadnąć Marysię o tę Jankę. Może jest dziwna, może nie jest stąd i ukrywa to przed góralami. Ale może coś wiedzieć.

Na miejsce dotarł błyskawicznie, chyba że po prostu czas szybko mu upłynął. Na parkingu znów pusto, na jego końcu stara furmanka, która stała tam od zawsze. Na szyld baru Pod Konikiem spojrzął tym razem bez emocji. Zwykle patrzył ironicznie, prześmiewczo. Dziś nie. Dziś zerknął wręcz nieświeadomie. Pchnął te wielkie, ciężkie drzwi i wszedł do środka. Natychmiast zauważył, że jego wejście zwróciło uwagę gości. Oboje odwrócili głowy w jego stronę. To byli oni, po raz drugi. Alicja i on.

– Chodźmy do tej knajpy – mówi i mam wrażenie, że z ulgą przerywa milczenie. Jestem pewien, że ona też myśli o tym faciecie i jego spojrzeniu. Choć chyba zupełnie inaczej niż ja. Ona zastanawia się, jaki on jest, ja próbuję dociec (choć jestem bez szans), kim on jest.

– Nie spodziewam się tam znaleźć białego wina, więc się zastanów – uprzedzam, ale sam jestem ciekawy tego baru. Może warto też będzie usiąść w nieco innych okolicznościach niż restauracja hotelowa.

Do celu docieramy bez trudu. To niedaleko od skrzyżowania, na którym wisi drogowy znak. Lokal jest jakby na odludziu. Najbliższy dom stoi jakieś sto metrów dalej, a i tak wydaje się opuszczony. Naprzeciwko głównej bramy rzucają się w oczy dwie drogi. Jedna jaśniejsza, szersza, choć szutrowa. Druga wchodząca w ciemny las, niepokojąca od samego początku. Zapewne im dalej, tym mroczniej.

O ile nazwa baru nas bawi, o tyle wejście do niego już nie. Masywne ciężkie drzwi sugerują, że to bar dla mężczyzn, i to z pewnością nie wątych. Czy kobiety potrafią skutecznie je pchnąć?

Wnętrze typowe, wszystko jest tu z drewna. Stoły i ławy z grubych, drewnianych pni. Ściany też są tu z bali i wiszą na nich jakieś góralskie ryciny. Na każdym ze stołów świeca, nie wiadzieć po co. Obok świec złote cukiernice ze złotymi łyżkami. Od razu rzuca mi się w oczy ten kontrast.

Podchodzimy do bufetu i wypatrujemy obsługi.

– A może powinniśmy siedzieć i czekać? – mówi Alicja i chyba ma rację. Siadamy więc przy najbliższym stole. Nie mówimy nic do siebie, ale ciągle się rozglądamy. Ona uśmiecha się do swoich myśli, ja mam kamienną twarz, choć odczuwam przyjemność w byciu w takim miejscu.

Za bufetem pojawia się kobieta o obfitych kształtach. Brunetka, kręcone włosy, ledwie sięgające ramion. Kiedyś mogła być namiętnością mężczyzn, takie ma rysy twarzy. Choć może nadal budzi męskie zainteresowanie. Na ramieniu ma przewieszoną ścierkę, wyciera teraz zresztą w niej rękę. Chwilę później przesuwają jakieś butelki na półkach, kilka kufli również ładuje w innym miejscu.

Chrząkam. W ten dziwny sposób chcę zwrócić jej uwagę, dać znać, że przyszli klienci. Jakoś nie w smak jest mi krzyczeć do niej z uniesioną dłonią: „przepraszam!”. Nie reaguje. Jest nadal zajęta swoją robotą, tymi objającymi się o siebie butelkami i kufkami. Chrząkam drugi raz, głośniej. W pierwszej sekundzie zastyga, w drugiej odwraca się w naszą stronę.

– Dzień dobry – mówi Alicja ciepłym, miłym głosem, jakby chciała zamówić kremówki. A tutaj przecież musi zamówić piwo. Poprosić o sok jabłkowy byłoby obciachem.

– Dzień dobry – odpowiada kobieta za ladą. Przypomina mi się czeski serial z czasów peerelu *Žena za pultem*, czyli *Kobieta za ladą*. Uśmiecham się wewnętrznie na to wspomnienie.

– Dwa piwa poproszę – rzucam nagle, wtrącając się w ich wymianę uprzejmości. Głos mam potężnie zachrypnięty, co powoduje, że kobieta dziwnie na mnie patrzy, zabierając się do napełniania kufli. Wydaje się mało sympatyczna, choć biorę pod uwagę możliwość, że jest taka wyłącznie dla przyjezdnych.

Podchodzi. Kufle są jakieś większe niż te zwykle spotykane w barach. Dają dukata, jeśli ich pojemność nie jest większa niż pół litra. Zabawne, że pomyślałem o dukacie, nie o zwykłej stówie.

– Państwo z hotelu? – zaskakuje pytaniem. Ale też akcentem, którego nie ma. Nie słyszę tego góralskiego zaśpiewu. Kiwam głową potwierdzająco. Alicja robi to samo. Więc ona dodaje: – Rzadko ktoś stamtąd tu dociera.

„Rzadko”, „dociera”... Tak nie mówią tutejsi. I nie z taką intonacją, ze spokojem w głosie. Słychać w nim wykształcenie. Jakkolwiek dziwne to jest, ja słyszę w tym głosie wykształcenie.

– Pani nie jest stąd – stwierdzam, choć jest to raczej pytanie. Ona odwraca wzrok w stronę okna.

– A jakie to ma znaczenie? – odpowiada i odchodzi od stolika. Po dwóch krokach jednak mówi: – Jestem z Krakowa.

Po chwili znika na zapleczu. Pewnie gdybym z nią dłużej porozmawiał, usłyszałbym również ten Kraków. Tak jak słyszę Poznań, Kaszuby, Śląsk i inne regiony w Polsce. Mam wrażenie, że w każdej części tego kraju nawet inaczej kłną.

– Skąd wiedziałeś? – Alicja uśmiecha się do mnie z nutą zaskoczenia w oczach.

– Słyszę takie rzeczy – odpowiadam z satysfakcją.

- U mnie też coś słyszysz?
- U ciebie trudniej, bo nie mówisz gwarą, nie „śpiewasz”.
- To chyba dobrze?
- Taki „śpiew” nie jest czymś złym. Zależy, co chce się robić w życiu.
- Nie rozumiem.

– Przyszedł do mnie kiedyś młody człowiek, który chciał być dziennikarzem. Był ze Śląska. Z dziada przadiada w domu mówilo się tylko gwarą. Nie mógł się wyżyć akcentu, głębokiego, tubalnego. Dudnił potwornie. Opuścił sobie pracę głosem. Pisz do gazety.

Biorę duży łyk piwa. Pragnienie nasiliło się po tym spacerze we wsi. Alicja oczywiście ledwie mocy wargi w piwnej pianie. Jak Agnieszka. Dokładnie tak samo. Ile razy musiałem dopijać piwo, którego „nie dała rady” skończyć. W pewnym momencie nauczyłem się już nie zamawiać dla siebie drugiego, bo i tak czekała na mnie połowa szklanki małżonki. Całe szczęście, że nie brała z sokiem.

Z tych myśli wybudza mnie huk zamykanych drzwi. Siedzę tyłem do wejścia, więc nie widzę, co się dzieje. Widzę za to wyraz twarzy Alicji. Jest zaskoczona i chyba nawet przestraszona. Wiem, że nie powinienem się jeszcze odwracać.

- Nie odwracaj się – mówi, utwierdzając mnie w moim przekonaniu.

Patrz na nią i czekam, aż powie coś więcej. Tymczasem słyszę kroki. Nie jest to stukanie obcasami, raczej dość miękkie lądowanie ciężkich nóg na tej drewnianej podłodze. W lokalu jest cicho, więc słyszę to dokładnie. Zresztą kroków jest zaledwie kilka, potem docierają do mnie odgłosy, które sugerują mi, że ktoś usiadł na ławie przy stole. I cisza.

- To ten człowiek ze wsi – szepcze Alicja, próbując schować się za mną przed jego wzrokiem.

Przytakuję, sięgając po raz kolejny po kufel. Dziwi mnie moja ekscytacja jego obecnością w tym miejscu. Choć ekscytacja to odczucie pozytywne, to u mnie raczej przechodzi w niepokój. Nic nie mówię. Tylko patrzę na nią i jej reakcje. Z zaplecza wychyla się pani barmanka (tak muszę ją nazywać w myślach). To akurat mogę widzieć ja, Alicja jest do niej odwrócona plecami. Barmanka dyskretnie przewraca oczami, ale idzie w kierunku nowego gościa.

- Znają się chyba – mamrocze pod nosem moja towarzyszka.

Nadal milczę i znowu biorę łyk piwa. Jak tak dalej pójdzie, uwinę się z tym kuflem w trzy minuty.

– Usiadła przy jego stole, rozmawiają – mówi Alicja, jakby odkrywała jakąś wielką tajemnicę albo opowiadała o romansie księżnej Walii.

- Wstała. Chyba nic nie zamówił.

Barmanka mija mnie chwilę później. Idzie prosto na swoje zaplecze. Znika za czarną zasłoną i znów jest pusto.

– Boże, on patrzy na mnie. – Wypowiadając te słowa, wstydliwie opuszcza wzrok. Wgapia się w blat stołu. Rumieni się przy tym jak nastolatka.

Nie wiem, co powiedzieć, czuję się dziwnie, nie widząc go. A nie chcę się odwracać. Wydałoby się, że o nim rozmawiamy i zwracamy na niego uwagę.

– Wstał – mówi to pozornie spokojnie, ale przecież wiem, że w środku się gotuje. Gdzieś zniknęła ta pewna siebie, ironiczna kobieta z klasą. Teraz jest zahukaną i zawstydzoną nastolatką. Bardzo mnie to zaskakuje.

- Wychodzi.

Tym razem czuję w jej głosie ulgę. Słyszę też odgłos zamykanych drzwi. Nachylam się w stronę okna i sprawdzam, co przez nie widać. Chcę na niego zerknąć. Spojrzeć, jak idzie. Ale okno nie spełnia moich oczekiwań, wstaję więc i dając Alicji znak ręką, by została, szybkim krokiem zbliżam się do drzwi. Na parkingu – jak wcześniej – nie ma nikogo. Dyskretnie rozglądam się wokół. Podchodzę do bramy wjazdowej i patrzę na drogę w obu kierunkach – nie ma go. Odwracam się w stronę baru i lustruję jego otoczenie. Nadal nic. Zniknął. Kiedy jednak jeszcze postanawiam spojrzeć na drogę, kątem oka dostrzegam sylwetkę mężczyzny. Idzie wąską, kamienistą drożką wchodzącą w las niemal prosto z baru. Mrużę oczy, by lepiej widzieć (coraz częściej muszę to robić).

I nagle on się zatrzymuje, zastyga w tym swoim kroku. I stoi tak chwilę, po czym odwraca się i łapie mnie oczami. Nie widzę ich, ale wiem, że znowu dotyka mi nimi żołądka. Stoi tak i się gapi. Nie zamierzam się cofnąć ani spuścić głowy, więc też stoję i się gapię. To jak próba sił przed bokerską walką wagi ciężkiej – kto dłużej wytrzyma. O co tu, kurwa, chodzi?! Kto to jest, do kurwy nędzy?!

On nie wytrzymuje. Wolę tak myśleć, niż że się znudził. Wolę mieć przewagę, nawet tak mocno wyimaginowaną. I z tym poczuciem głupiej wygranej wracam do baru. Alicja o nic nie pyta, tylko patrzy. Dopijam kufel piwa, potem jednym tchem załatwiam drugi, ten, który ona miała opróżnić. Przez najbliższą godzinę będzie mi pękał brzuch, wiem to.

Podchodzę do baru i bębnię o blat. Chcę wywołać barmankę z jej nory. Myślę „nora”, bo wzbiera we mnie jakaś dziwna agresja. Po pierwsze, uruchomiona tym boksemskim pojedynkiem na spojrzenia, po drugie dlatego, że przecież przyjechałem tu odpocząć! Kurwa mać!

– Pani z Krakowa – mówię, kiedy już szanowna pani się pojawia. – A ten brodacz, który właśnie wyszedł?

– Nie znam. – Uśmiecha się szyderczo.

– Też nie stąd. Ani pani, ani on nie jesteście jak oni wszyscy tutaj.

Wzrusza ramionami.

– Czy coś jeszcze podać? – pyta.

– Nie, dziękuję. – Próbuję się uspokoić i chyba mi się udaje. – Rachunek poproszę.

– Dwanaście złotych.

Wyjmuję piętnaście i kładę na małej tacy. Gestem informuję, że reszty nie trzeba.

– A tak właściwie kto to był? – próbuję jeszcze raz. – Bo na pewno nie stąd. Z hotelu?

Barmanka nachyliła się tak, że swój okazały biust oparła o blat.

– Nie mogę powiedzieć.

– Dlaczego?

– Ochrona Danych Osobowych. To wasze RODO.

Udało jej się. Wcisnęła guzik pod nazwą „robimy miastowego w chuja”. A miastowy, czyli ja, dał się zrobić. b

Poczuł na sobie czyjś wzrok. Przystanął i zaraz potem się odwrócił. Intuicja go nie zawiodła, podpowiadała mu, że to on. Stał i beczelnie się gapił. Czy też się zorientował, że spotkali się na polanie?

Stali jak rewolwerowcy w samo południe przed pojedynkiem. Trwało to może kilkanaście sekund, ale było ciężkie, mocne, dojmujące. Daniel był zaskoczony, że ktoś tak długo i bez mrugnienia potrafi na niego patrzeć. Twardy zawodnik – pomyślał. Przez tych kilkanaście sekund zniknęła obojętność i pojawił się szacunek. Taki jak do przeciwnika. Dziwiła go jedynie ta konfrontacja „z niczego”. Zwłaszcza obecna jej siła widoczna w sile spojrzenia i jego nieugiętości. O co on ze mną walczy? Dlaczego przeciąga linę, dlaczego boksuje lub wyciąga gnata z kabury? Po co mu to?

Kiedy ostatni raz tak mierzył się wzrokiem? Może wtedy, kiedy stanął naprzeciw tysego faszysty z kijem bejsbolowym. A kiedy ten podszedł i się zamachnął, poczuł cios w krtań. Siły na uderzenie kijem już nie miał, a Daniel zadzwonił po karetkę i zniknął. A może wtedy, kiedy musiał zatrzymać samochód w lesie, bo grupka debili szła środkiem, ani myśląc ustąpić. Wysiadł wtedy i swoim radarem namierzył lidera watahy. Nie było to trudne, stał z przodu. Łysy mięśniak z tatuażem na szyi. Że też oni wszyscy wyglądają tak samo. Podszedł wtedy zdecydowanym krokiem, a kiedy zobaczył zamachnięcie się, złapał jego pięść i szybkim ruchem złamał mu nadgarstek. Cios, który wyprowadził, trafił natomiast w splot słoneczny. Sprawa została załatwiona w kilka sekund. Reszta zeszała z drogi.

Daniel opuścił wzrok. Nie widział w tym pojedynku niczego ekscytującego. Czy stał się już innym człowiekiem? Na pewno. I choć gdzieś w głębi duszy i ciała nadal był niedźwiedziem grizzly, to jednak był to niedźwiedź łagodniejszy przez swoje okaleczenie. Od kiedy tu jest, nie zatęsknił za swoim dawnym życiem. Jedynie, za czym tęsknił i nie wstydzili się nikomu do tego przyznać, to za wszystkimi momentami z Martyną. I za nią. Wprawdzie nie uronił wtedy ani jednej łzy, ale wewnętrznie płakał rzewnie, bez hamulców.

Najchętniej machnąłby w jego stronę ręką z dezaprobata, ale powstrzymał się w ostatniej chwili, odwrócił się i ruszył w stronę swojej chaty. Czuł jakiś dziwny niesmak po zetknięciu się z Alicją i tym nieznanym. Niesmak, który był mu obcy. Każdy niesmak, na który nie mógłby nic poradzić, był mu obcy. A tu nie wiedział, co z tą sytuacją począć. Alicja, jedyna kobieta, na którą w ostatnich miesiącach spozirzał jak na kobietę. I ten facet, jedyny człowiek, który zmusił go w ostatnich miesiącach do użycia siły. I szli razem. Byli razem. Dlaczego akurat oni?

Wojtek siedział na krześle na ganku. Miał zamknięte oczy i ręce splecione na torsie. Obok, na podłodze, stała butelka whisky. Ale prawie nieruszona. Daniel nauczył się w swoim lesie chodzić bardzo cicho, więc do ganku podszedł bezszelestnie. Nawet przy wejściu na stopień nie wywołał żadnego dźwięku. Stanął przed Wojtkiem i przez chwilę nie ruszył mu się przyglądał. Potem przez drzwi zerknął do środka chaty. Dziewczyna ciągle spała, do tego w tej samej pozycji, w jakiej ją zostawił. Wszedł do środka i stanął przy łóżku. Z zadowoleniem przyjął fakt, że oddychała spokojnie, miarowo, jakby nic złego jej nie spotkało.

Odwrócił się, kiedy usłyszał nagły huk dochodzący z ganku. Szybko się zorientował, że to Wojtek obudził się i przestraszony, że ktoś wszedł do chaty, przewrócił krzesło.

– Daniel, kurwa! – niemal krzyknął. – Chodzisz jak mysz.

– Mysz jest głośniejsza – odpowiedział spokojnie drwał, wracając wzrokiem do Agaty.

– Cały czas śpi, nawet się nie ruszył – zdał relację kompan, stając obok niego. – Co robimy?

Daniel nie wiedział, co robić. Wcześniejsze słowa, że Wojtek się nią zajmie, brzmiały twardo i stanowczo, ale teraz sam nie miał pewności, że tak powinno się zdarzyć. Może powinien sam się nią zająć, poczekać, aż się obudzi, sprawdzić, co jej jest, wysłuchać i wtedy zdecydować.

– Miałeś rację, to nie ona – odezwał się, nie odrywając od niej wzroku.

Kątem oka widział spojrzenie Wojtka pełne znaków zapytania.

– To nie ona na tych zdjęciach z ogłoszenia – wyjaśnił – ale nie wierzę w zbieg okoliczności. One muszą mieć ze sobą coś wspólnego.

Kompan odwrócił się nerwowo i zamarkował kopnięcie w ścianę. Powstrzymał nogę w ostatniej chwili. Daniel spozirzał na niego zaskoczony, bo nigdy nie widział w nim ani odrobiny agresji. A to był

gest pełen wściekłości.

– Co jest, Wojtuś? – zapytał z nutką udawanej ironii, by nie wyjść na zbyt ztroskanego.

Człowiek, który był do tej pory synonimem łagodności, a nawet ciągłego strachu, miał teraz wymalowaną na twarzy złość. Oparł się plecami o ścianę i lekko uderzył w nią zacisniętą pięścią.

– No bo, kurwa, jeszcze tego brakuje, żebym się wpierdolił w jakąś historię z zaginioną łaską!

– Nie musisz – odpowiedział poirytowany Daniel. – Możesz w każdej chwili wyjść i zapomnieć o sprawie. Ja sobie poradzę.

Wojtek machnął ręką.

– Nie umiem tak – stwierdził. – Nie zostawię cię tak z tym... z nią.

Daniel postanowił nie ciągnąć tematu, podszedł do szafki, na której stał czajnik. Napełnił go wodą i postawił na palniku kuchenki gazowej. Na chwilę wróciła do niego myśl o wymianie butli, żeby można było czasem przygotować posiłek na ciepło albo choćby zagotować wodę na herbatę czy kawę. Myśl, która była tylko pytaniem, kiedy skończy się ten cholerny gaz i będzie musiał zadbać o dostawę. A może go już tutaj wtedy nie będzie?

– Dostałem esemesa – powiedział nagle Wojtek.

Daniel nie przerwał. Ustawił moc płomienia pod czajnikiem i pochylając się, sprawdził jeszcze jego wielkość.

– Nie pytasz od kogo? – kompan zniecierpliwził się brakiem zainteresowania.

– Chyba wiem, od kogo.

– No właśnie. Napisał: „Chyba jesteś niegrzeczny. Uważaj, bo może cię spotkać kara”.

Daniel odwrócił się i oparł o szafki swojej pseudokuchni. Wbił wzrok w kumpla i przez dłuższą chwilę przypatrywał mu się, jak ten szpera w telefonie, szukając zapewne esemesa, którego treść chwilę wcześniej przytoczył. Był zdenerwowany. Gdyby jeszcze dokładnie przyjrzeć się jego mimice, można by dojść do wniosku, że jest wręcz przerażony.

– Wiesz, że on nic nie robi? – zagadnął Daniel.

– Nie wiem.

– Nie robi, bo jeszcze cię potrzebuje.

– Nie wiem – powtórzył Wojtek jakimś niemal rozpaczliwym tonem.

– Ale ja wiem.

– O! I napisał jeszcze to! – Wojtek energicznie pokazywał palcem wskazującym ekran swojego telefonu. – „Muszę wiedzieć, kim on jest i gdzie mieszka. Od tego zależy twoja przyszłość”.

Daniel mimo woli spojrział na wiadomość. Szybko przesunął oczami po tych dwóch zdaniach. Nie poczuł nic. Żadnej złości, żadnego gniewu, nawet żadnej irytacji. Poczuł spokój. I doskonale wiedział, co to znaczy. Taki spokój odczuwał przed akcją. Już wiedział, że coś się wydarzy i on chce mieć nad tym kontrolę.

Woda się zagotowała. Dwa blaszane kubki, do których wcześniej wsypał po dwie łyżeczki zmielonej kawy, wypełniły się bulgoczącą wodą. Daniel chwycił swój kubek i poszedł na ganek. Wojtek chwilę później zrobił to samo. Usiedli obok siebie. Niemal jednocześnie wzięli pierwszy łyk.

– Niedługo stąd spadam, Wojtek – powiedział Daniel, patrząc na swoją kawę.

– Jak to?

– Załatwię tylko parę spraw i się wynoszę.

– Dlaczego? Źle ci tu?

Daniel spojrział na niego i się uśmiechnął. Nie chciał mu mówić, że jest mu tu już za ciasno, i że nie chodzi o zbyt mały domek, i że nie potrzebuje nikogo wokół siebie, i że nawet jego, Wojtka, obecność jest mu nie do końca na rękę, i że chce być niewidzialny, anonimowy, i że od śmierci Martyny jest kompletnym samolubem i samotnikiem. No i że taki właśnie chce być. Dlatego musi stąd wyjechać.

– Załatwię tutaj jeszcze coś i wyjadę.

– Co załatwisz?

Drwał przewrócił oczami, sugerując, że dość pytań już padło i nie ma ochoty odpowiadać. Wstał i wszedł do chaty. Dopił kawę ze swojego ulubionego od kilku miesięcy kubka i opłukał go wodą w zlew. Blaszany, zupełnie inny niż te wszystkie, które zapełniały szafki jego mieszkania w tamtym życiu. Niektóre jednolite, inne z napisami, które miały być zabawne. I nagle zobaczył je oczami wyobraźni. I wszystkie kolejno w dłoni Martyny. I kiedy je zmywała. I kiedy podchodził do niej w kuchni od tyłu, obejmował ją w tali i całował w szyję. Widział to, jakby oglądał teledysk do jakiejś miłosnej piosenki pop. Potrząsnął głową, żeby pozbyć się tej myśli, i jeszcze raz opłukał kubek. Potem mokre dłonie przyłożył sobie do twarzy. Poczuł przyjemny chłód i zamknął oczy.

– Daniel... – To był szept, bardzo bliski szept. Wojtek stał tuż za nim, położył dłoń na jego ramieniu i wypowiedział jego imię. Daniel otworzył oczy i zauważył, że kompan nie patrzy na niego, tylko



w stronę łóżka.

Dziewczyna leżała na wznak, miała otwarte oczy. Oddychała spokojnie, jakby obudziła się w swoim domu.

Wojtek chciał ruszyć w jej stronę, ale Daniel szybko zatrzymał go ręką, dając jednocześnie znak głową, by tego nie robił.

– Dzień dobry – powiedział w końcu cicho, niemal szeptem, by jej nie przestraszyć.

Usłyszała i podniosła wzrok. W jej oczach nie było widać żadnych emocji, zaskoczenia. Podniosła się na łokcie i rozglądając po ścianach, oparła się o zagłówek.

– Wiesz, gdzie jesteś? – To pytanie sporo Wojtka kosztowało. Głos mu drżał i przełknięcie śliny było głośnie jak tąpnięcie w kopalni. Mimo to zrobił krok w stronę łóżka. Daniel został z tyłu.

Zaprzeczyła ruchem głowy. W tym momencie do łóżka podszedł śpiący do tej pory Góral. Przeciągnął się, a zaraz potem zamachał gwałtownie ogonem. Przednimi łapami wskoczył na łóżko i zaczął liźać dziewczynę po ręce.

– To twój pies, tak? – Drugie pytanie Wojtka.

Tym razem jedynie spojrzała na psa i pogłaskała go po głowie. To wywołało jej delikatny, ale dostrzegalny uśmiech.

– Neptun? – rzucił nagle Daniel. – A ty masz na imię Agata?

Dziewczyna spojrzała na niego bez wyrazu, ale sprawiała wrażenie, jakby się nad czymś zastanawiała. Nagle przestała głaskać Górala, oparła się o ścianę i założyła ręce na piersi. I wtedy usłyszeli, że coś mówi. A właściwie nie usłyszeli, tylko zauważyli, że poruszają się jej usta. Odchrząknęła i spróbowała jeszcze raz.

– Nie wiem. – Głos ugrzązł jej w zaschniętym gardle, więc Daniel podał jej szklankę z wodą. – Nie wiem, jak mam na imię.

Obaj mężczyźni spojrzeli na siebie. To najgorsze, co mogło się wydarzyć.

– A kim jesteś? Gdzie mieszkasz? Ile masz lat? Jak się znalazłaś w lesie? – Daniel wystrzelił z siebie tych kilka pytań, nie wierząc w sens ich zadawania.

Pokiwała przecząco głową, po czym schowała twarz w dłoniach. Niech tylko nie płacze, pomyślał Daniel. Niech się weźmie w garść i powie cokolwiek.

– Nic ci nie jest? Dobrze się czujesz? – Wojtek grał tego dobrego policjanta. Chciał nawet dotknąć jej dłoni, ale szybko ją cofnęła, zerkając na niego niepewnie i z wyrzutem.

– Nie bój się, chcemy ci pomóc – mówił do niej ciepłym głosem, takim, jakiego drwał jeszcze nie słyszał. – Kolega znalazł cię w lesie. Chyba nawet uratował ci życie. Potem długo spałaś.

Spojrzała na Daniela, ale w jej oczach nie było widać wdzięczności, raczej obojętność. Wyglądała, jakby w ogóle nie dotyczyła jej ta historia. Wzięła łyk wody i wpatrywała się w tę szklankę jak w czarodziejską kulę.

– Nic nie pamiętasz, co? – zagadnęła znów Wojtek.

W odpowiedzi dziewczyna pokiwała głową. Sięgnęła dłonią do swoich pleców, drapała się. Kiedy przestała, spojrzała na palce. Była na nich krew. Sięgnęła do pleców jeszcze raz. I znów zerknęła na palce – więcej krwi. Daniel podszedł do niej i pokazał palcem, by się odwróciła. Nie zareagowała, tylko patrzyła na niego wrogo.

– Nie wygłupiaj się, nie zrobię ci krzywdy – powiedział poirytowany.

Odwróciła się bez przekonania. Na lewej łopatce była jakaś rana z zakrzepłą krwią. Najwyraźniej teraz ją rozdrapała i się polało. Daniel sięgnął do szuflady po chusteczkę i przetarł to miejsce powoli. Dziewczyna cicho jęknęła. W sumie dzielna małolata – pomyślał. Zbliżył twarz do rany, zmrurył oczy. Obejrzał całe plecy, przynajmniej tę odsłoniętą część. Kiedy już miał przerwać, dostrzegł zakrzepłą krew na włosach. Dotknął je palcami, a potem delikatnie przeczesał, rozsuwając je w miejscu, gdzie wyczuł zgrubienie pod palcami. Ponownie zmrurył powieki, ale i tak bardziej ufał swoim palcom niż oczom. Włosy utrudniały wnikiwe przyglądanie się. Westchnął.

– Połóż się i odpoczywaj – polecił cicho i spokojnie. O dziwo, zrobiła to, o co ją poprosił. Najpierw położyła głowę na poduszce, a potem przewróciła się na bok.

On zaś wstał i kiwnął do Wojtka, by ten poszedł z nim na ganek.

– Nie ma żartów, chłopie – powiedział, kiedy przymknął drzwi chaty. – Wygląda na to, że ktoś do niej strzelał.

Ten błyskawicznie zrobił się blady na twarzy i opadł na krzesło.

– To, co ma na plecach, to rana postrzałowa, ale na szczęście tylko draśnięcie. A na głowie ma ranę, jakby ktoś ją czymś uderzył... to mogła być kolba pistoletu lub karabinu.

Obok Wojtka położył się Góral i głęboko odetchnął. Gdzieś w oddali słychać było odgłosy walki dziecięła z kornikami. Poza tym cisza, bezwietrznie, nic się nie działo. Pozornie.

W hotelu idziemy od razu na kolację. Bez zbędnego przebiegania się, odświeżania ani pudrowania nosa. Recepcję mijamy w milczeniu, tak jak niemal całą drogę od baru przeszliśmy bez słowa. Uzgodniłmy jedynie, że posiłek to dobry pomysł. Z butelką wina.

W restauracji nie ma żywej duszy; może za wcześnie, a może wszyscy już uzupełnili zapasy w jamach brzusznych i uciekli do zajęć bądź spalania kalorii. Ja zresztą też podejmuję wewnętrznie decyzję, że wejdę dziś na bieżnię i pozbędę się energii.

Prześladuje mnie pewna niepokojąca myśl. I nawet teraz, kiedy już siedzę przy stoliku i powinienem zamawiać danie, wpatruję się w jeden punkt. Odrywa mnie od niego dopiero pani Karolina, pytająca z tabletem w dłoni, co podać. Z tabletem, bo oni teraz tak wszyscy. Stukają palcami w te ekrany i przekazują informacje od razu do kuchni. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałem kelnera z długopisem i kartką. A może zbyt rzadko jadam w restauracjach?

Zamawiamy dwa razy tagliatelle z owocami morza. I rzezoną butelkę wina – białego, wytrawnego. Agnieszka takie piła. Dorota pije czerwone. Mnie jest właściwie obojętne, choć częściej sięgam po białe. Jeśli w ogóle sięgam.

– Coś gryziesz? – pyta nagle Alicja.

– Słucham?

– W sobie. Czy coś gryziesz w sobie – wyjaśnia. – Tak wyglądasz.

Mam na końcu języka, że zawsze tak wyglądam, choć nie wiem, czy to prawda. Tyle że w ostatnich latach często słyszałem, że wyglądam, jakby mnie coś trapiło. Najwyraźniej moja twarz czasem żyje własnym życiem. Bywa, że wewnętrzny wkurw jest zupełnie niewidoczny na moim licu. I odwrotnie. Twarz pokazuje wkurw, a wewnątrz mam uśmiech. Czy to powoduje, że jestem odmianą schizofrenika? Wolę o sobie myśleć „człowiek nieodgadniony”, jak czasem mówi Dorota. Po odejściu Agnieszki to ona poznała mnie najbliżej, wie o mnie najwięcej.

– Nie, nie – odpowiadam. – To nie gryzienie, ale coś mi się przypomniało.

Opuszcza głowę, choć bardziej przypomina to przytaknięcie, przyjęcie do wiadomości. Ale nie pyta, o co chodzi. A ja kontynuuję rozjaśnianie obrazu, jaki mam przed oczami. Rozjaśniam, bo jest ciemno, kiedy go trzymam. Czuję jego siłę, słyszę oddech, ale jest zbyt ciemno, by go widzieć. Dlatego rozjaśniam obraz jak w Photoshopie. I nagle ten moment, kiedy puszczamy się nawzajem. Moje przedramię przesuwa się po jego barku, ale w tym samym momencie czuje dziwne łaskotanie. To broda. To musi być broda.

– Już wiem – mówię, a ona szybko podnosi wzrok.

– Co wiesz?

– Chyba nie opowiadałem ci, co mi się przydarzyło na polanie z tyłu hotelu...

– Chyba nie... – Poprawia się na krześle, jakby szykując się na długą opowieść. Wlepia we mnie oczy.

– Dwa razy na kogoś się natknąłem. Za pierwszym razem tylko go zauważyłem. Trwało to kilka sekund, po czym uciekł. Nie wiedziałem nic, bo było potwornie ciemno. Ale za drugim razem wpadliśmy na siebie w tych ciemnościach i doszło do jakichś zapaśniczych chwytów. On trzymał mnie, ja jego. I tak staliśmy przez chwilę. A potem nagle się puściliśmy jednocześnie i każdy z nas poszedł w swoją stronę.

Alicja wpatruje się we mnie z otwartymi ustami. Nie przestaje nawet, kiedy przerywam.

– I to jest ten człowiek, którego dziś spotkaliśmy – dodaję po chwili.

Prostuje się. Powoli się opiera na blacie i kładzie na udach serwetę. Mam wrażenie, że nie słyszała, co powiedziałem. Zerka w stronę drzwi kuchni, jakby nie mogła się doczekać kelnerki. Potem wraca wzrokiem do mnie.

– Jesteś pewny? – pyta.

– Nie dałbym sobie łba obciąć – odpowiadam – ale myślę, że się nie mylę. To on.

Na srebrnej tacy zbliża się do nas butelka wina. Pani najpierw pokazuje mi etykietę, potem zachęca do spróbowania. Mówię, że dokonaliśmy już wyboru. Po kilkunastu sekundach kieliszki są już napeł-

nione. Alicja nie czeka na mnie i zwilża usta winem, po czym opróżnia kieliszek do dna.

– W takim razie to jest on – mówi po wzięciu głębszego wdechu.

– Co nie znaczy, że coś z nim jest nie tak – próbuję być sprawiedliwy. – Nie wiem jedynie, co robił w całkowitych ciemnościach za hotelem.

Napelniam jej kieliszek, nie pytając o zgodę. Jestem przekonany, że ten jeden jej nie wystarczy. Może po prostu teraz zechce to wino smakować, a nie wlać w siebie gwałtownie.

– Widziałam go już – odzywa się.

– Kogo?

– Tego człowieka. Wystraszyłam się go wtedy, ale zapomniałam o nim. Zresztą dziś nawet go nie rozpoznałam.

– Gdzie go widziałaś?

– Kiedy powiedziałaś o polanie... – jest spokojna, wraca z dłońmi na blat stołu, pochylając się w moją stronę – ...przypomniała mi się postać, którą widziałam, siedząc na hotelowym tarasie. Stał bardzo daleko, na granicy lasu, nie widziałam, jak wygląda, ale widziałam, że stoi i patrzy.

Ukladam to sobie w głowie. Tak, to chyba ten sam człowiek. W końcu pierwszy raz spotkałem go właśnie na polanie. Ten drugi raz był już bliżej hotelu. Najwyraźniej bywa w pobliżu budynku dość regularnie.

– I nie wiemy, kto to jest... – stwierdzam cicho.

– Ale może to bez znaczenia? Chodzi sobie taki i nikomu nie wadzi.

– Możliwe. Możliwe też, że to jakaś mroczna postać, po której nie wiadomo, czego się spodziewać.

Uderza mnie nagle myśl o Jance – dziewczynie z ogłoszenia. Zniknęła kilka dni temu. Brodacz czytał ogłoszenie i zapisał numer telefonu, który podano na karcie. Jeśli...

– Widziałas jego zainteresowanie ogłoszeniem? – pyta nagle Alicja. – Tylko po to tam przyszedł.

...jeśli on coś wie albo sam coś zrobił...

Alicja ma podobne myśli. Stuka paznokciami o blat stołu i wpatruje się we mnie, chcąc dostrzec w moich oczach odpowiedź na swoje wątpliwości.

Przerywa nam te rozważania podana kolacja. Gorąca, pachnąca. Trudno uwierzyć, że za chwilę, tak zupełnie spokojnie, chwycimy za sztucce i zjemy to wszystko ze smakiem.

– Zjedzmy i wyjdźmy stąd – mówię cicho. Ale ona ciągle siedzi w bezruchu i na mnie patrzy. Dopiero po chwili zaczyna wolno jeść.

– Jakoś mi to nie gra – przerywam wciąganie makaronu. – Widzimy, że coś jest nie tak w hotelu. I jednocześnie jakiś człowiek lasu porywa nastolatkę i ją zakopuje pod ściółką?

Nie odpowiada. Je w milczeniu, bardzo wolno okręcając makaron wokół widelca.

– Wydaje mi się, że on może w tym wszystkim być przypadkiem – ciągnę dalej. – To znaczy trafiłem na niego na tej nieszczęsnej polanie, ty zauważyłaś, jak na ciebie patrzy, a dziś po prostu go minęliśmy. I tyle. To nie musi coś znaczyć.

– Ale może też być tak, że jest jakimś dzikim szaleńcem, który coś zrobił tej dziewczynie.

– A po co mu numer telefonu z ogłoszenia?

– Może jest aż tak szalony, że chce dotrzeć do jej rodziny...

– Po co?

– Po okup?

Teoria wydaje mi się nieprawdopodobna. Przypuszczam, że to raczej ktoś, kto nie chce się „wychylać”, nie chce przyciągać uwagi i z pewnością nie zależy mu na jakimś okupie.

– Wątpię. On mi przede wszystkim nie wygląda na szaleńca.

– A widziałeś jego spojrzenie?

– Tak, ale będę się upierał, że to nie było spojrzenie szaleńca.

Od tego momentu jemy w ciszy. Może właśnie dlatego ta kolacja kończy się dość szybko. Pół butelki wina zostało, a my wychodzimy z restauracji krokiem tak zdecydowanym, że wszyscy jej pracownicy mogli to odczytać jak wotum nieufności dla ich umiejętności kulinarnych.

Rozdzielamy się przy recepcji. Każde z nas idzie do swojego pokoju. Alicja mówi, że wpadnie do spa nieco później, ja odpowiadam, że nie wiem, do której tam będę, ale umawiamy się na drinka późnym wieczorem.

W pokoju robię wszystko, by nie myśleć. Średnio się udaje, bo mam przed oczami tego brodacza stojącego w lesie i gapiącego się na mnie. I ciągle czuję jego uchwyt. Dziwny rodzaj telepatii czy czegoś takiego. Nagle przypominam sobie coś, co miało miejsce jakiś czas temu. Nie mam doświadczenia w bójkach. Starcia z rówieśnikami w szkole średniej się nie liczą. W dorosłym życiu nie zdarzyło mi się mierzyć z nikim, ale siły nigdy mi nie brakowało. Nie zawodzi mnie też pamięć z treningów judo z czasów szkoły. Dobrze złapać przeciwnika to zawsze było coś.

Na basen idę szybkim krokiem, niemal na automatycznym pilocie, bo skręcam w kolejne korytarze, nawet o tym nie myśląc. Przychodzi mi do głowy Zosia. Nikogo innego tu nie znam. Pani z baru nic nie powie, bo RODO, a Zosia niczego nie będzie ukrywać. Może go zna.

Nie jestem sam. Znowu ta efektowna para – on prosto z siłowni, ona jego ozdoba, blondi z ciałem po solarium. Kiedy otwieram drzwi, zastaję ich w jednoznacznej sytuacji. On na leżaku, ona na nim. Całują się. Przez chwilę mam ochotę się wycofać. Ale to tylko chwila, po której podchodzę do leżaka pod ścianą i kładę ręcznik. Potem rzucam szlafrok i czym prędzej wskakuję do wody.

Pływam wolno, z kilkoma nawrotami, nawet ich nie licząc. Ważne, że są. Dobrze jest nie myśleć o niczym, pływając w basenie. Nic tak nie odpręża. Ten głuchy dźwięk pod wodą załatwia wszystko. Powiniennem pod wodą zasypiać. Czuję się, jakbym był w innym świecie, właśnie tym morfeuszkowskim.

Para zniknęła. Ale chyba nie wyszli zupełnie, bo na leżaku rzucone są ręczniki i szlafroki. Wolabym, żeby ich tu nie było, choć nie wiem dlaczego. Może zabierają mi komfort i swobodę.

Podnoszę głowę i patrzę na małą siłownię. Jest na antresoli. Prowadzą do niej schody przy ścianie, wąskie i strome. I blaszane, z jakimiś dziwnymi wzorkami. O dziwo, nie ma przy tych stopniach żadnych barierek, żadnych poręczy. Zaufanie do gości hotelowych *level hard* – jak mówią młodzi ode mnie.

Kierując się w stronę schodów, przechodzę obok wejścia do sauny i już mam odpowiedź na pytanie, gdzie jest moja „ulubiona” para. Poci się w wysokiej temperaturze sauny parowej. Przez szklane drzwi widzę ich leżących na tych deskach nago. On to kupa mięśni pokrytych bliżej nieokreślonymi tatuażami. Ona to cycki wykonane w jakimś gabinecie chirurgicznym. To widać, bo żadne naturalne cycki tej wielkości nie sterczą tak, kiedy kobieta leży na plecach. A może się już nie znam. Może zapomniałem. Kiedy ja ostatnio miałem duże cycki w dłoni?

Bieżnia mnie męczy. Po pięciu minutach najchętniej bym z niej zszedł, ale się zmuszam. Skoro już tu jestem, to pobiegam. Na chwilę zwalniam i idę po tej cholerniej bieżni. Potem znowu biegnę i tak na zmianę pół godziny. Dopiero wtedy schodzę i siadam na ławeczce do wyciskania siódmych potów, czyli kilkudziesięciu kilogramów żelastwa. Jak ja tym zawsze gardziłem! A mimo wszystko wpadałem czasem i zadreślałem swoje zapracowane umysłowo mięśnie.

Z wysokości siłowni i poziomu ławeczki widzę, że na basenie pojawia się Alicja. Z tej perspektywy wygląda zupełnie inaczej. Trudno mi jednak określić, w czym ta inność. Włosy widzę inaczej, jest ich więcej. Inaczej też widzę jej sposób poruszania się. No i jej biust to stąd całkiem niezły widok. Jej piersi z pewnością są naturalne. To ciekawe, że o biuście Alicji myślę jak o „piersiach”, a w przypadku tej blondi z sauny moje myśli użyły słowa „cycki”.

Dostrzega mnie i pozdrawia dłonią. Nie pozostaję dłużny i dokładam do tego jeszcze skinienie głową. Ale krótkie i dyskretne, bo przecież przyszedłem tu ćwiczyć, nie kiwać głową. Zaraz potem robię coś ze sztangą, szarpnię się z pojedynczymi ciężarkami i zamęczam nogi na „atlasie”. Chryste, jakie to pojebane.

Alicja pływa. Żabka z lotu ptaka nie wygląda zbyt dostojnie, zwłaszcza te rozkraczające się nogi. Niby rytmicznie, ale jednak dość niezdarnie. Zarzucam ręcznik na kark i schodzę na poziom basenowy.

– Za pół godziny w barze?! – krzyczy do mnie z wody. Odpowiadam, potakując. Patrzę na elektroniczny zegar wiszący na ścianie. Dwadziesta pierwsza czterdziści siedem. Chyba przesadziłem z tą siłownią. Powiniennem w tym czasie poczytać. Na przykład ten *Cmentarz w Pradze*, który wylądował w mojej walizce dzięki Dorocie. Przez krótki moment czai się we mnie tęsknota. Odganiem ją jednak od siebie gwałtownie. Tęsknota jest złem.

Wracam do pokoju innym korytarzem, dłuższą drogą. Nie wiem, po co to robię. Może podświadomie chcę, żeby coś mnie zaskoczyło, naprowadziło na jakiś nowy trop. Może jakieś skojarzenie, nowa myśl. Nic takiego jednak się nie dzieje. Korytarz jak korytarz.

Biorę prysznic, by pozbyć się ze skóry zapachu chloru. I potu oczywiście, bo to bieganie trochę mnie jednak kosztowało. Czuję tych parę kilometrów w nogach. Najbardziej uda. Ale gorąca woda działa kojąco.

Gdy wychodzę z łazienki, rzuca mi się w oczy migający telefon. Niebieska dioda krzyczy, że mam nową wiadomość. Mam nadzieję, że to nikt z telewizji, choć o tej porze to raczej wątpliwe. Przez chwilę jeszcze ignoruję to pulsujące światło. Wkładam spodenki i T-shirt. Z walizki wyjmuję adidas i wzywam je na zrelaksowane strumieniem zimnej wody gołe stopy. I wtedy podchodzę do telefonu. Chcę do niego powiedzieć „daj mi spokój”, ale muszę się przyznać przed samym sobą, że mnie korci.

„Mam coś dla ciebie, spodoba ci się”. To Dorota. Czuję coś ciepłego w moim wnętrzu na sam widok, że to ona do mnie napisała. Dopiero po chwili pojawia się w głowie myśl, że to może dotyczyć tej całej Magdy Paleckiej.

„Coś o Magdzie?” – odpisuję. I czekam. Bezczyinnie, bo siadam na łóżku i wpatruję się w ekran. Za długo. Dzwonię.

– Poczekaj, poczekaj, bo coś ci wysyłam – mówi szybko podekscytowana.

– Okej. – Rozłączam się i znów czekam. Wiadomość pojawia się po kilkunastu sekundach. To zdjęcie. Jest na nim jakiś mężczyzna. W pierwszej chwili zastanawiam się, po co mi to wysłała, ale zaraz potem odnoszę wrażenie, że gdzieś go już widziałem. Zdjęcie znika mi z ekranu, kiedy telefon dzwoni jak szalony, bo dzwonek mam taki jak te w starych telefonach na korbkę. Ja stary, to i dzwonek stary.

– Wiesz kto to? – pyta, a ja słyszę w jej głosie uśmiech satysfakcji.

– Skądś znam tę twarz, ale...

– Dać ci szansę zgadnąć czy od razu powiedzieć?

– Powiedz.

Jak Lucy z filmu Luca Bessona widzę, co Dorota robi w tej chwili. Poprawia się na łóżku, opiera o zagłówek i przeczesuje włosy prawą dłonią. Chwilę wcześniej podłączyła słuchawki, żeby wygodniej rozmawiać. Oblizuje wargi by je nawilżyć. Zawsze to robi, kiedy szykuje jej się dłuższa rozmowa. Widzę ją też w samej koszulce, bo nago sypia tylko ze mną.

– Pamiętasz takiego młodego wszechwiedzącego z mojej agencji? – pyta, podniecając się swoją przewagą nade mną.

Przewracam oczami.

– Nie pamiętam. Pewnie było takich kilku. Taka branża.

– Ale ten był specyficzny. Radek.

Szukam w pamięci tylko kilka sekund, bo znajoma twarz bardzo szybko złapała kontakt z imieniem „Radek”.

– Radek Miłosz – mówię nie bez satysfakcji, jakbym przeszedł kolejny etap w *Milionerach*. Hubert dopytywałby jeszcze, czy jestem pewny. Dorota mi tego szczeni.

– Tak!

– I teraz powiedz mi, co w związku z tym...

– Otóż pojawia się na zdjęciach na koncie Magdy Paleckiej. Kilka razy. To nie może być przypadek.

Próbuję skojarzyć fakty. Radek Miłosz od jakiegoś czasu, nie pamiętam jakiego, mości sobie gniazdko w polityce w sposób tak ekspansywny, jak tylko można sobie wyobrazić. Mówi ludziom to, co chcą usłyszeć, uczy ich kłamać lub w najlepszym wypadku naginać prawdę. Jednym słowem jest piarowcem w złym tego słowa znaczeniu. I pracuje głównie z politykami. O jego kontaktach z innymi środowiskami nie wiem nic. To on w dużej mierze wygrywa dla nich wybory. A oni go uwielbiają, hołubią i dają wszystko, czego zapagnie. I jest zawsze na drugim planie. Niby niewidoczny, ale pociąga za wiele sznurków. Przy tym wszystkim jest bezkarny. Z posiadania prochów wywinął się błyskawicznie, z seksu z nieletnią tym bardziej. Niewiele osób o tym wie. To tajemnica znana nielicznym. I ja do nich należę.

Co go łączy z Magdą Palecką?

– Na każdym z tych zdjęć wygląda, jakby był przypadkiem. – Dorota nie zna moich myśli i kontynuuje swój wywód. – Gdyby to było jedno zdjęcie, pomyślałabym, że to przypadek, że się nie znają. Ale to cztery zdjęcia! Rozumiesz? Cztery!

– Nie wiem, może to naprawdę przypadek? – prowokuję.

– Nie! Każde z tych zdjęć jest w innym miejscu i innego dnia!

I za każdym razem dał się sfotografować? I potem pozwolił na instagram? To mnie trochę dziwi, bo Radek zawsze wolał być z boku, nawet z tyłu. I czerpać zyski.

– I na każdym zdjęciu jest tłem.

Przecieram twarz lewą dłonią. Zbieram myśli. To nie jest dobra wiadomość. Ktoś taki może sprawę tylko skomplikować, bez trudu zatrzeć ślady, zakaż milczeć albo uciąć wszystkiemu łeb.

– Dobrze się spisałam?

– Jak detektyw Monk.

– No hej, on jest nienormalny!

– Ale skuteczny.

Śmieje się. To dobrze.

– A powiesz mi, o co chodzi z tą Magdą?

– Powiem, ale nie teraz. – Chcę jej powiedzieć, jednak nie przez telefon.

– Kiedy?

– Jak tylko będzie to możliwe. – Wiem, że jest z tego niezadowolona, ale wiem też, że tak będzie lepiej.

– Tęsknię za tobą trochę.

Bąłem się, że padną w końcu te słowa, a ja nie będę umiał na nie zareagować. Nie dlatego, że we mnie nie ma tęsknoty, tylko dlatego, że nie potrafię tego powiedzieć. Tęsknota jest złem, do tego

brzmącym jak deklaracja i obietnica. A ja już tego nie umiem.

– Byłoby miło, gdybyś tu była. – Sam nie wierzę w to, co słyszę. Powiedziałem to. Wstydzę się, że tylko tyle potrafię powiedzieć.

– Cieszę się, że tak mówisz – odpowiada, ale wiem, że jest smutna, rozżalona. Odkłada słuchawkę, mówiąc „dobranoc”. Nie pyta nawet, czy ma nadal szukać tej Magdy.

Zdjęcie Radka wysyłam do Zosi z pytaniem, czy zna tego człowieka.

„Znam” – odpowiada krótko.

I kilka sekund później dostaję kolejną wiadomość:

„To on był z tą dziewczyną w hotelu. I to on nie chciał meldowania się w hotelu”.

Zostawił Wojtka jeszcze raz z tą dziewczyną. W razie czego ma dzwonić, ale przy nim jest bezpieczna. Szybko zasnęła po tym, jak powiedział jej, by odpoczywała. Nie miał wątpliwości, że musiała sporo przejść, nawet jeśli teraz tego nie pamięta.

Szedł przez las i cały czas miał przed oczami tę ranę na plecach. Często widywał rany popostrzałowe, rzadko jednak takie draśnięcia. Nie potrafił określić, z jakiej odległości padł strzał, ale nie miał wątpliwości, że z bliska nikt by nie chybił. Być może uciekała, lawirowała między drzewami, dlatego kula jej nie sięgnęła, tylko prześlizgnęła się po jej skórze. Ale skąd ten ślad na głowie? Powstał przed strzałem czy po? Jeśli po, to nie dałaby rady uciec, napastnik był już obok niej. Jeśli przed, to chyba nie zdołałaby od razu zerwać się do biegu. Musiało to chwilę trwać.

Widok rany automatycznie włączył mu tryb zwany czujnością i kazał mu się skoncentrować. Dostał też kroplówkę z zimnej krwi. Zawsze dbał o to, żeby mu jej nie zabrakło. Kiedy rozprawiał się z zabójcą Martyny, był zimny jak gład. Emocje puściły dopiero później, kiedy mógł sobie na to pozwolić, kiedy skończyła się jego wojna. Choć czy ona naprawdę się skończyła? Czy to nie jest tak, że od kilku miesięcy jest w partyzantce?

Miał jedną poważną wadę. Intuicję. Była często bezlitosna w szepcieniu do wewnętrznego ucha, że zaraz coś się wydarzy. Pukała go w skroń nawet przed wypadkiem Martyny, ale pozostała na nią głucha, a potem nie chciał już do tego wracać – zdręczyłby się.

Gdzieś w oddali zamajaczył zarys hotelu. Zawsze w tym miejscu go dostrzegał. Wyłaniał się zza drzew i z każdym krokiem stawał się coraz większy. A kiedy już wydawał się budynkiem olbrzymim, nagle zaczynał w oczach maleć. Daniel wspiął się wtedy w górę polany, brzegiem lasu, by patrzeć na niego z góry.

Zatrzymał się i usiadł na trawie. Mimo że nie zapadły jeszcze ciemności, lampy wokół budynku świeciły już lekko żółtawym światłem. W oknach pokoi również zapalano już żarówki. Nie we wszystkich, bo zapewne część gości hotelowych siedziała w barze lub pływała w basenie. Jasne było jednak, że kończył się właśnie dzień, a zaczynał wieczór.

Siedział tak kilkanaście minut, raz po raz sięgając po lornetkę i wodząc oczami po ścianach hotelu, oknach pokoi i całym otoczeniu. Sam nie wiedział, czego szuka. Może niczego? Może podświadomie chciał jakiejś podpowiedzi. Często szukając rozwiązania problemu, siał i pozwalał myślom krążyć wokół niego. Zawsze któraś okazywała się strzałem w dychę.

W pokoju na piętrze pojawił się ten człowiek. Ten z niedawnego pojedynku na spojrzania. Ten z niedawnej przepychanki na polanie. Wszedł do pokoju, zrzucił z siebie wszystko i wszedł do łazienki. Lornetka pozwoliła dostrzec telefon komórkowy na łóżku i książkę na stoliku obok niego. Wrócił w samym ręczniku i po chwili sięgnął po telefon. Coś przeczytał, potem napisał i zastygł. Wyglądało to jak oczekiwanie. W końcu przyłożył aparat do ucha. Rozmawiał.

Daniel jeszcze raz zrobił „obchód” lornetką wokół budynku. Czasem miał wrażenie, że jest takim cichym ochroniarzem hotelu. Wiedział, że gdyby cokolwiek złego działo się wokół tego budynku, rzuciłby się na pomoc. Mógł bezlitośnie objąć mordy hultajom (lubił to słowo), ale pomóc też potrafił.

Wyszedł z pokoju. Daniel zareagował na to obojętnością, bo poza tymi dziwnymi incydentami nieznamomy nie budził w nim większych emocji. Ale czy ktokolwiek budził w nim jakiekolwiek emocje? Alicja? Czy to były emocje? Wojtek? Lubił tego poczciwego, zagubionego człowieczka. I momentami było mu go żal, bo chyba męczył się w tej wsi. Z konieczności był samotnikiem, bo z nikim nie znalazł tu wspólnego języka. Był dla nich wszystkich zbyt inteligentny.

Robię się jakoś dziwnie sentymentalny – pomyślał i natychmiast wstał, jakby obwiniał pozycję siedzącą o swoje „zmiękczenie”. Spojrzył za dół na hotel i ruszył w jego kierunku. Nie przeszkadzała mu ciemność, dobrze się w niej czuł. Kiedyś mówiło się w jego małej miejscowości: „ciemno jak w dupie Murzyna”, ale teraz już nie wolno, bo to ludzi obraża. Ludziom się w dupach poprzewracało od tych uczuć religijnych i innych takich.

Do hotelu podszedł od tej samej strony co poprzednio, kiedy towarzyszył mu Góral. To z perspektywy Daniela była najbezpieczniejsza ścieżka. Wystarczająco ciemna, by nie zostać zauważonym,

i pozwalająca na podejście blisko bocznego wejścia. Do głównego nie dało się zbliżyć cichaczem, za dużo było tam lamp i małych latarni. A tu mógł się dodatkowo schować za samochodami stojącymi na małym parkingu. Minusem tego miejsca było to, że hotel od tej strony na piętrze nie miał okien. Nie dało się więc ani zajrzeć do środka, ani mieć baczności, czy ktoś nie zmierza ku wyjściu.

Nad parkingiem wisiał taras. Wisiał, bo tylko w trzech miejscach był podparty grubymi belami i stanowił swego rodzaju dach nad samochodami do połowy ich długości. W dzień chronił przed słońcem, w nocy potęgował ciemność i mroczność tego miejsca. Ale za to na górce, na tarasie, z pewnością było przyjemnie. Goście hotelowi często spędzali tam czas, głównie wieczory. Nawet teraz Daniel słyszał toczącą się cichą rozmowę, choć nie rozróżniał poszczególnych słów. Nie zmieniło tego podejście tych dwojga do balustrady. Mówili cicho, chcieli być tajemniczy i niesłyszalni. Spojrzył w górę. Zobaczył dłonie i przedramiona oparte na barierce, a kiedy przesunął się o niespełna pół metra, dostrzegł ich głowy. Alicja i ten nieznajomy. Wyteżył słuch, ale nadal nie wyłowił ani słowa, choć wydawało mu się, że usłyszał imię „Janka”, a potem „Ksawery”. Miał też niemal stuprocentową pewność, że zarejestrował „brodacza”. Nie stali tam długo, minutę, może dwie, i zniknęły w głębi tarasu. Daniel także musiał już wtedy wejść głębiej pod dach. Od strony wjazdu zbliżyła się bowiem światła samochodu. Z pewnością zmierzał w stronę parkingu. Jechał powoli i majestatycznie. Miał włączone światła drogowe, więc Daniel schował się za ścianą hotelu, żeby uciec przed mocnym blaskiem halogenów. Wychylił się dopiero wtedy, kiedy samochód zaparkował i zmienił siłę światła. I wtedy zobaczył stalowoszarego jeepa. Schował się błyskawicznie za mur i oparł o niego głowę. Wziął głęboki wdech i ponownie się wysunął. Podeszedł do samochodu zaparkowanego obok jeepa i oparł się o jego maskę. Skrzyżował ręce na piersi i czekał.

Kierowca jeepa rozmawiał jeszcze przez telefon, co mogło zastanawiać ze względu na porę. Ostatnie zdanie wypowiedział już po otwarciu drzwi, więc Daniel usłyszał poirytowany i jednocześnie zniechęcony ton:

– Po prostu to, kurwa, zrób! Przyjeżdżają jutro wieczorem i chcę mieć już wtedy spokój. Ciao.

Powoli zaczął się z tego samochodu gramolić. Sięgnął po coś do schowka i założył kaszkiet. Poprawił go, kiedy stanął obok jeepa wyprostowany w tej białej koszuli i spodniach w czarno-czerwonej kratce. Nie zauważył Daniela. Sprawiał wrażenie zainteresowanego tylko tym, jak na jego głowie leży kaszkiet i czy samochód nie ma skazy. Przez kilka sekund dotykając palcami, delektował się bowiem gładkością lakieru na drzwiach. Robił to z namaszczeniem, wręcz z jawną pedanterią, przekonany, że nikt tego nie widzi.

Ale widział Daniel. I wystarczyło mu tych kilka sekund, żeby nabrać wątpliwości co do czystego serca tej postaci. Wodзил palcem po tych drzwiach jak psychol z filmów o psycholach. Przewiesił torbę na laptopa przez ramię i odwrócił się do drzwi. Miał do nich około dziesięć metrów.

– Chciałeś mnie poznać, to jestem – powiedział nagle Daniel, zatrzymując go w pół kroku. Mężczyzna zastygł, po czym powoli się odwrócił.

– Ty jesteś Ksawery? – Drwał opuścił ręce i odsunął się o krok od samochodu, o którego maskę był oparty. To była jego wstępna gotowość.

– Kto pyta?

Daniel uśmiechnął się ironicznie.

– Błagam, ty dobrze wiesz, kim jestem – odrzekł. – Chociaż nie, właściwie to nie. Dlatego o mnie wypytujesz.

Ksawery stał w milczeniu. Najprawdopodobniej oceniał w głowie sytuację, a przede wszystkim zagrożenie. Kątem oka próbował spojrzeć na drzwi. To była próba obliczenia, ile zajmie mu dotarcie do nich. Pozostała jeszcze nadzieja, że nie są zamknięte na klucz.

– Dlaczego to robisz? – Daniel pytał spokojnym głosem, mimo że zrobił kolejny krok w jego stronę.

– Bo lubię wiedzieć, kto się kręci w pobliżu – odpowiedział pewnym głosem.

– I o wszystkich tak pytasz?

– O całej reszcie wszystko wiem, tylko ty się ukrywasz i to mi nie pasuje.

– Jesteś tu jakimś bossem? – Daniel zrobił kolejny krok w jego stronę.

– Tak, jestem tu bossem, łązisz po moim lesie, po moim terenie. – Cofnął się o jeden krok.

– Czegoś się boisz? – zapytał Daniel, widząc, jak tamten się odsuwa.

– Raczej ty powinieneś się bać.

– Nie żartuj sobie ze mnie, bo ja nie żartuję z ciebie. – Znowu krok do przodu. Ksawery z kolei krok w tył. Był coraz bliżej drzwi. Może o to właśnie mu chodziło. – Odpierdol się, człowieku, od Wojtki! Wypytujesz go o mnie, to teraz masz szansę zdobyć informację u źródła. I to najlepszego. Nikt nie zna mnie lepiej niż ja sam. Nikt nie zna mnie nawet w połowie tak dobrze jak ja. Zaryzykuję stwierdzenie, że w dwudziestu pięciu procentach nikt mnie nie zna tak dobrze jak ja. I zdradzę ci jeszcze tajemnicę...



– zawiesił głos, żeby dać mu szansę na reakcję. Ten jednak stał i patrzył bez ruchu. – Takich jak ty zjadam na śniadanie.

– Filmów się naoglądałeś i teksty powtarzasz – odparował.

– Powtarzam tylko te najbardziej obrazowe i prawdziwe.

Zamilkli. Teraz patrzyli na siebie i żaden z nich nie chciał opuścić wzroku. To już drugi raz dzisiaj – pomyślał Daniel. Tym razem jednak odczuwał ten wzrok inaczej. Inaczej też sam patrzył na Ksawerygo, tym razem chciał wytrzymać, chciał pokazać przewagę. Ale trafił na twardego przeciwnika, który nawet jeśli się bał, umiejętnie to ukrywał. Te kolejne kroki w tył nie musiały być przejawem strachu, tylko sprytu, dzięki któremu mógł się wywinąć z pułapki, w jaką niewątpliwie wpadł.

– Wiesz, kto to Agata? – wypalił z pytaniem Daniel. Ksawery nie zdołał ukryć zaskoczenia. Nadal stał w tej samej pozycji, ale zdradziła go twarz. Oczy się powiększyły, a wargi rozchyliły ze zdziwienia. Zrobił jeszcze jeden krok i sięgnął ręką do klamki. Drzwi nie były zamknięte. Daniel rzucił się do przodu, by chwycić go za koszulę i przytrzymać. Ksawery zrobił jednak jakiś dziwny obrót, który uniemożliwił Danielowi zastosowanie chwytu. Jednocześnie jego otwarta dłoń wylądowała najpierw na czole napastnika, a później na jego policzku, zahaczając palcami o nos. Daniel odskoczył do tyłu i w tym momencie Ksawery wpadł do środka, zamykając za sobą drzwi.

– Kurwa mać! – zaklął pod nosem wściekły Daniel. Słychać było jeszcze szczęk klucza w zamku i zatraskiwanie się kolejnych blokad antywłamaniowych. Zaraz potem odwrócił się i ruszył na tyły hotelu. Nie zauważył, że Ksawery obserwował go przez małe okno obok drzwi.

Szedł szybko. Coś mu podpowiadało, że to nie koniec, że ten tupeciarz nie schował się za ścianą ze strachu. Intuicja, która rzadko go w takich sytuacjach zawodziła, podpowiadała mu, ten waśniak na niego zapoluje.

Opuścił parking i schował się za murem. Uspokoił oddech i jeszcze raz zerknął w stronę wejścia. Nic się nie działo, ale jak za pomocą rentgenu widział go stojącego po drugiej stronie. Pierdolił go – pomyślał i oderwał się od ściany. Minął budynek. Przy nim mógł jeszcze liczyć na małe oświetlenie, ale kiedy wyszedł na polanę, całkowicie ogarnęła go ciemność. Wiedział, że za kilka sekund wzrok przyzwyczai się do braku światła, więc szedł dalej, nie zwalniając tempa.

Kiedy dochodził do linii lasu, usłyszał dziwny dźwięk przy swojej prawej nodze. Jakby coś szybko wbiło się w trawę, jakby... pocisk... W jednej chwili skoczył za najbliższe drzewo i stanął tak, żeby ani jedna część ciała zza niego nie wystawała. Stał tak przez chwilę, próbując zebrać myśli. Tego się nie spodziewał, zwłaszcza że padł drugi strzał, rozbijając korę tuż przy jego barku. Nie słyszał wystrzału. Najwyraźniej strzelec użył tłumika, a to już poważna sprawa. Ma sprzęt, którym chce zabić po cichu. Czyli to nie przypadek.

Rzucił się na ściółkę i schował za leżącym tam grubym konarem. Raczej wątpił, że w tej pozycji mógł być widoczny, nawet jeśli strzelający używał noktowizora z dalekim zasięgiem. Wyciągnął lornetkę i skierował obiektyw w stronę hotelu. Nie zauważył jednak niczego podejrzanego. Cisza i spokój jak zawsze. Przesunął tak kilka razy lornetką po budynku, potem przyjrzał się ogrodzeniu. Na końcu podniósł ją na poddasze. Tam zamajaczyła ciemna postać wychylająca się z dachowego okna. Cała w czerni, a przynajmniej ta jej część, która była widoczna. Daniel dostroił lornetkę, by spróbować zobaczyć więcej, ale skutek był mizerny. Połowę twarzy zasłaniała bejsbolówka z nienaturalnie dużym daszkiem.

I tkwili tak obydwa bez ruchu. Strzelec, wypatrując celu, Daniel, czekając, aż bezpiecznie będzie mógł się ruszyć. Chciał też ochłonąć, bo odwykł od sytuacji zagrażających jego życiu. Trochę go tych kilka miesięcy uśpiło. Szybko przyzwyczaił się do spokojnego życia, jakie tu prowadził. Ścinanie drzew i ewentualne konsekwencje tego nielegalnego procederu nie robiły na nim wrażenia. Przestał się też martwić, że ktoś go tutaj znajdzie. Nabrał wręcz przekonania, iż nikt go już nie szuka, o ile w ogóle kiedykolwiek tak było. Doskonale przecież wiedział, że ci, którym mogłoby zależeć na jego głowie, mają środki, by znaleźć każdego, kto próbuje się ukryć w tym kraju.

Strzelec się poruszył. Wstał, rozejrzał się jeszcze wokół i zarzucił karabin na ramię. Po chwili zniknęła w ciemnym pomieszczeniu poddasza. To nie był Ksawery. Daniel rozpoznałby jego szczupłą sylwetkę. Zresztą nie zdążyłby się przebrać, wejść na poddasze i namierzyć ofiary. To niemożliwe.

Ruszył. Chciał jak najszybciej znaleźć się w chacie. Musiał pomyśleć. To już nie jest zwykłe szantażowanie geja. To nie jest zwykłe zaciekawienie obcym szwendającym się po lesie. Czy on chciał zabić, czy tylko nastraszyć? I czy ten sam człowiek strzelał do Agaty?

Alicja siedzi przy barze na białym hokerze i pije przez słomkę jakiegoś różowego drinka. Podchodzę i siadam obok. Uśmiecha się do mnie. Jest w czerwonej, obcisłej sukience z dekoltem i wie, że wygląda dobrze. Każda kobieta zachowuje się inaczej, kiedy wie, że wygląda nieźle. Inaczej niż zwykle.

– Pokażę ci coś – mówię zaraz po tym, jak proszę o kieliszek porto.

– Nieźle zapowiada się ten wieczór – odpowiada z szelmowskim uśmiechem. Uśmiecham się też w odpowiedzi, bo żart naprawdę był udany, zwłaszcza jego okraszenie mimiką.

Uaktywniam ekran telefonu i otwieram zdjęcie, które przysłała Dorota. Trzymając aparat w dłoni, pokazuję Alicji. Patrzy, po czym zbliża twarz do ekranu i mruży oczy. Odsuwa się nagle i wbija we mnie wzrok.

– To Radek Miłosz – stwierdza. – Dlaczego mi go pokazujesz?

Zerkam na barmana, który właśnie podaje mi alkohol. Odwracam się i lustruję całe pomieszczenie. Właściwie jest pusto. Ktoś siedzi w kącie przy małym stoliku i czyta gazetę. Widziałem już tego mężczyzną w restauracji.

– Chodź – mówię do Alicji i wskazuję jej dłonią, dokąd idziemy. Zsuwa się z hokera, a ja delikatnie kładę jej rękę na plecach. Widzę i czuję, jak się prostuje.

Siadamy na najwygodniejszej sofie w tej części hotelu. Jest tak wygodna, że wzdycham, kiedy na niej siadam.

– Radek Miłosz był w tym hotelu – oznajmiam, kiedy już oboje siedzimy.

– Pewnie nie on jeden – odpowiada nie bez racji.

– Tylko że on tu był w grupie mężczyzn, którzy się nie meldowali. Mało tego, przyjechał tu z jakąś dziewczyną, która wpisała swoje nazwisko do księgi meldunkowej. Gdy to zauważył, interweniował u menedżera, by usunął wpis.

Alicja słucha ze słomką w ustach, zachowuje kamienną twarz, ale kątem oka widzę, że porusza nerwowo palcami w lewej dłoni, którą trzyma na udzie.

– Znalazłem tę dziewczynę. Okazuje się, że na jej zdjęciach w mediach społecznościowych często pojawia się właśnie Miłosz.

– Ale czy to coś oznacza?

– Nie wiem, ale skoro zastanawia nas grupa mężczyzn, która tu wpada i nie zostawia po sobie żadnych „pamiątek”, to powinien nas zastanowić również Radek Miłosz.

– Nie miałam z nim przyjemności. Pojawił się w środowisku po tym, jak ja z niego zniknęłam po śmierci męża.

Wszystko się zgadza. Miłosz nie mógł mieć styczności z Kawskim. A co za tym idzie, również z Alicją.

– Ale wiem, kto to jest, bo o nim słyszałam – dodaje. – Ponoć śliska postać, cyniczna i egoistyczna.

Wstaje i biorąc mnie za rękę, ciągnie w stronę tarasu. Delikatnie wyrwam dłoń, ale idę za nią. Staram się nie patrzeć, jak kołysze biodrami, ale nie mogę oprzeć się wrazeniu, że robi to celowo. Wyrzucam tę myśl z głowy, bo mnie wkurwia.

W końcu podchodzi do balustrady i się o nią opiera. Robię to samo z tym kieliszkiem porto w dłoni.

– Przyjemnie tu, prawda? – mówi cicho. Potwierdzam skinieniem głowy. – Lubię to powietrze, zupełnie inne niż miejskie. I ciszę... czasem szum drzew... jakiś potok.

Przytakuję. Tylko na to mnie stać, bo i tak myśli mam w innym miejscu.

– Nie chce mi się wracać – ciągnie dalej. – Nie mam tam żadnych radości, tylko praca i dom. Wychodzę rano, wracam późnym popołudniem albo nawet wieczorem. Z ludźmi się nie spotykam, randki mnie nudzą, bo każdy kolejny mężczyzna to większa łajza. I tylko czytam te pierdolone książki, w których nie ma żadnej prawdy objawionej.

Patrzę na nią. Mimo słabego światła widzę jej smutne oczy, teraz nieco zaszkłone. Nie odrywa wzroku od szklanki z alkoholem, palcami bawi się słomką, naciskając nią na plaster pomarańczy tkwiący na dnie. Nie wiem, co powiedzieć, nie umiem się w takich sytuacjach odnaleźć. Żaden ze mnie pocięzyciel i doradca. Zawsze wtedy milczę, bo mam nadzieję, że samo wysłuchanie pomoże.

– Przepraszam – odzywa się po chwili, ciągle gniotąc pomarańczę. – To nie jest mój pierwszy drink. Zanim przyszedłeś do baru, wypiliśmy dwie setki wódki i koniak. A jeszcze przecież w ciągu dnia coś piłam.

– Może powinnaś się położyć? – odpowiadam. Może głupio, ale chyba naprawdę uważam, że powinna iść do łóżka.

Odpycha się delikatnie od balustrady i idzie w głąb tarasu. Opiera się ramieniem o belkę podpierającą drewniane zadaszanie. Podchodzę po chwili i nadal nie wiem, co powiedzieć. Trochę mi jej żal, bo wypija za dużo, bo nieszczęśliwa, ale trochę też się niecierpliwie, bo liczyłem na rozmowę o Miłoszu.

– Zamówisz mi jeszcze jednego drinka? – pyta nagle.

– Może lepiej nie. Odprowadzę cię do pokoju.

– Chcesz mi wmówić, że jestem pijana.

– Nie chcę ci niczego wmawiać.

– Nie jestem pijana, mam mocną głowę, nie mówiłam? – Uśmiecha się. – Ale alkohol działa na mnie zawsze refleksyjnie. A refleksje mam stałe, niezależnie od stanu trzeźwości.

– To ciesz się – stwierdzam – ale może faktycznie to czas na sen?

– Schlebia mi twoje naciskanie, żebym szybko poszła do łóżka. – Teraz widzę uśmiech zalotny z dozą ironii. To ona z pierwszego wieczoru, tego, kiedy się poznaliśmy. Staram się nie reagować na te słowa. Nie podobają mi się, nie zgadzam się na nie. Czuję niesmak, nawet jeśli to tylko żart.

I nagle słyszę jakąś rozmowę pod tarasem. Najpierw był trzask zamykanych drzwi samochodu, teraz rozmowa z niezrozumiałymi słowami. Szarpana, nerwowa.

– Jesteś tu jakimś bossem? – chyba takie pytanie słyszę. Odpowiedź jest zbyt cicha i przez to niewyraźna. Ale potem:

– Czegoś się boisz?

Widzę, że Alicja chce coś powiedzieć, ale pokazuję jej palcem, żeby była cicho. Powoli przesuвам się w stronę balustrady. I słyszę jeszcze imię: Wojtek – odpiął się od Wojtka. Coś o tajemnicy i że zjada na śniadanie takich jak on. Następnym słów nie słyszę, bo podchodzi Alicja, stukając obcasami. Po co jej szpilki w barze hotelowym?! Zatrzymuję ją i proszę, by została w tym miejscu. A ja przesuвам się dalej. I słucham.

– Wiesz, kto to Agata? – mówi ten sam człowiek, tego drugiego nie słyszę prawie w ogóle. I po tym pytaniu coś się szybko dzieje. Słyszę szelest, jakiś trzask i wreszcie zamykające się drzwi.

– Kurwa mać! – zaklął mężczyzna i wtedy dopadam do balustrady i patrzę w dół. Widzę tylko sylwetkę kogoś, kto odskakuje od drzwi i ucieka na drugą stronę parkingu. Tam znika za murem.

– Zostań tu! – rzucam do Alicji i wybiegam z tarasu, a później z baru. Tam stoję chwilę i zastanawiam się, co właściwie chcę zrobić. Wychodzę na korytarz, szukając odpowiedzi. Ktoś wbiega pospiesznie po schodach. Zastygam, stojąc pod ścianą, i zamieram, widząc jak zza niej wyłania się Ksawery. Zwalnia, kiedy mnie zauważa, i próbuje iść spokojnym krokiem. Ale ja widzę, że szybko oddycha, bo klatka piersiowa gwałtownie unosi się i opada. Uduję, że jego obecność nie robi na mnie wrażenia, choć w normalnej sytuacji zdziwiłoby go, że po prostu stoję pod ścianą.

Kiedy Ksawery znika w kolejnym korytarzu, przesuвам się w tamtą stronę i wychylam głowę, by zobaczyć, co się dzieje. Wyciągam telefon i przykładam do ucha.

– Teraz, poddasze, polana. Ma srać w gacie! – I wrzuca komórkę do tylnej kieszeni spodni. Nie idę za nim. Wiem, że idzie do biura, tego na poziomie minus jeden. Tego tajnego. Jest to dla mnie tak oczywiste jak to, że dzieje się coś, co nie powinno się dziać.

Poddasze? Nie wiem, gdzie jest poddasze w tym hotelu. Ale być może nie wiem dlatego, że nie odwiedziłem jeszcze pięter wyższych niż pierwsze. Czy tu w ogóle jest kilka pięter? Drugie chociażby?

– Przepraszam! – zwracam się do przechodzącej sprzątaczkii. – Gdzie jest poddasze?

– Poddasze? Nie ma poddasza – odpowiada zaskoczona. – Jesteś strych. Pójdzie pan tymi schodami i na samej górze jest drabinka.

– Na którym to piętrze?

– No, na drugim.

Macham ręką, próbując w ten sposób podziękować, a zaraz potem rzucam się na schody. Pokonuję je po dwa i zatrzymuję się, kiedy słyszę dźwięk przypominający zamykanie trumny. Deska o deskę, głucho, przerażająco. Jestem na pierwszym piętrze. Nie wiem, czy iść dalej. Po co mi to wszystko? Kim ja, kurwa, jestem? Jakimś pierdolonym detektywem?

Poczekam. Niech się dzieje, co ma się dziać. Nie muszę w tym uczestniczyć. Dwa stopnie w dół. Ale przecież nie mogę tego tak zostawić, już za daleko w tym jestem. Dwa stopnie w górę. Gdzie jest Alicja? W filmie ona poszłaby za nim, mimo że kazał jej zostać. Ale to nie film. Została tam na dole i nie wie, co się dzieje, a może pomogłaby w podjęciu decyzji.

Widzę tę drabinkę, przynajmniej kilka jej szczebli. Nie widzę tego włazu na strych. Nawet jak się wychylam, nie widzę. I kiedy chcę podejść wyżej, słyszę, że wąż się otwiera. Zawias zaskrzypiał, czuję podmuch powietrza, które pachnie jak prawdziwe powietrze ze strychu. A skoro to czuję, to znaczy, że jestem blisko.

Na drabinie pojawiają się nogi. Widzę czarne bojówki, czarne buty. Potem czarny, lekko naciągnięty sweter. I czapka ze zbyt dużym daszkiem. Z ostatniego szczebla zeskokczył cicho i z gracją. Dopiero wtedy dostrzegam, że w rękę trzyma karabin snajperski. Instynktownie przywieram do ściany, ale niepotrzebnie, bo strzelec się mnie tutaj z pewnością nie spodziewa. Prostuje się i znika mi z oczu. Idzie w głąb korytarza, którego ja już nie jestem w stanie obserwować, bo w swoim tchórzostwie zrezygnowałem z wejścia wyżej.

Schodzę. Do baru, do Alicji, do normalnego świata. Wpadam jednak na głupi pomysł zajrzenia do biura na minus pierwszym. To znaczy w jego pobliżu, bo nikt mnie do środka nie wpuści, a nie jestem włamywaczem. Kiedy jestem na górze schodów prowadzących do drzwi ukrytych w ścianie, staję i znowu tchórzę. Nogi nie chcą mnie prowadzić w dół. Jakby przykleiły się do drewnianej podłogi i nie chcą się oderwać. Poniekąd się z tego cieszę, bo część głowy najwyraźniej chce kłopotów. Trzeba ją powstrzymać.

I tak stoję jak słup, minutę, dwie. Nie wiem, na co czekam. Bo miałem odpocząć, a ładuję się w samo zło. Czuję to. Czuję, że źle na tym wyjdę. Czuję, że zbliża się jakaś katastrofa, że zbliża się jakiś rozpierdol, że wyjdę z tego pokaleczony. Kurwa! Co ja tu robię?! We wsi, w której znika jakaś małolata; na polanie, na której siłuję się z nie wiadomo kim; w hotelu, w którym menago jawi mi się jako diabeł wcielony, a na poddaszu panoszy się snajper. Kurwa!

I kiedy tak sobie biadole, nogi pozwalają mi się schować za ścianą, bo głowa słyszy głos:

– Jutro w południe ruszamy.

– Dlaczego dopiero w południe?

– Komin dojedzie koło jedenastej.

– Nie może wcześniej?

– A chuj go wie. Powiedział, że będzie o jedenastej. Kawy nie odpuści, psychol.

– Ja to bym w ogóle odpuścił tę akcję.

– Nie możemy, skurwiel za dużo wie. Nawet o tej dziwce. Może o tej drugiej też wie.

– Trochę się wjebaliśmy. Dobrze szło, bez kłopotów. Tylko temu grubasowi zachciało się pajacować.

– Nie zmienisz tego. Teraz trzeba tego dzikusa z lasu dorwać.

– Wracajmy.

Nie oddycham. Przez całą tę rozmowę nie oddycham.

Wojtek spał na ganku chaty. Dziwne, że nie obudził go ziąb. Było już około północy i temperatura znacznie spadła w porównaniu z tą w ciągu dnia. Ale siedział w tym swoim wełnianym swetrze, w którym wydaje się, że chodził całe dni. Na głowę naciągnął jakąś czapkę, a ręce skrzyżował na klatce piersiowej. Wokół panowała cisza. Nawet wiatr nie poruszał koronami drzew.

Daniel dostroił się do tej ciszy i i bezszelestnie zbliżył się do chaty. Stanął na schodach i zaczął się przyglądać Wojtkowi. Był jedynym człowiekiem w tej okolicy, któremu ufał niemal w stu procentach. Mimo że czasem za dużo pytał, to jednak nie niepokoił go w żaden sposób. Dlaczego nie miał takiego zaufania do Marysi? Może dlatego, że zbyt rzadko z nią rozmawiał? Może dlatego, że czasem dziwnie go obserwowała, kiedy siedział przy stole w jej barze? Może dlatego, że to u niej lądowały koperty z zapłatą za robotę drwala?

Nikogo innego właściwie w tej okolicy nie znał. Może to błąd, teraz mógłby taką znajomość wykorzystać. Bo mimo że lubił radzić sobie sam, to czasem pomoc innego wojownika się przydaje. Ten Józek, który ostatnio przypierdolił się w barze, mógłby się nadawać. Wyglądał na takiego, co nie pierdoli się w tańcu, i nawet ciupagę by wyjął.

Wszedł do chaty. Dziewczyna spała, leżąc na swoim lewym boku. Lewe ramię miała pod głową, druga ręka spokojnie spoczywała na poduszce. Daniela dziwił jej spokój. Nie miał wątpliwości, że przeżyła coś dramatycznego, a w jej zachowaniu nie było tego w ogóle widać. Dziwił go nawet jej spokojny oddech.

Poprawił koc, nasunął na odkryte ramię i wrócił na ganek, gdzie delikatnie szturchnął nogą stopę Wojtki. Ten aż podskoczył nerwowo. Daniel zaśmiał się cicho.

– Ty masz chyba dużo na sumieniu, Wojtek – powiedział. – Albo taki strachliwy jesteś.

– Jak mnie budzisz kopnięciem, to się nie dziw – odrzekł Wojtek, oburzony.

– Może powinienem cię pogłaskać po głowie?

Kompan jedynie prychnął w reakcji na ten, w jego mniemaniu kiepski, żart. Zdjął czapkę, strzepnął z niej kurz i wstał.

– Idź do domu, Wojtek – polecił Daniel spokojnym głosem.

– Już mnie nie potrzebujesz?

– Jak będę potrzebował, dam ci znać. – Pokiwał głową uspokajająco. – A na razie to przy mnie chyba nic dobrego cię nie spotka.

– Co to znaczy?

– To, co powiedziałem. W swoim domu będziesz bezpieczniejszy.

– A co z dziewczyną?

– Nie wiem jeszcze, poczekam, aż się obudzi. Może z nią pogadam. – Daniel sam chyba nie wierzył w to, co mówił. Ale wypowiadając te słowa, zerknął w stronę łóżka. – Odezwe się do ciebie.

– Pokazujesz mi tę dziewczynę, wplątujesz w to, każesz mi jej pilnować. I nagle odrzucasz moją pomoc?

– Tak, dla twojego dobra.

– Nie rozumiem.

– Nie musisz rozumieć. Idź już.

Wojtek ponownie założył czapkę, smutny i zagniewany jednocześnie. Pokiwał głową i zszedł z ganku po schodach.

– Wojtek – zatrzymał go Daniel. – Skombinuj mi jakąś strzelbę.

Zatrzymał się, ale dopiero po chwili się odwrócił. Miał otwarte usta i wybałuszone oczy. Ręką oparł się o najbliższe drzewo. Wyglądał, jakby miał zasłabnąć.

– Daniel... – wyszeptał. – Co ty odpierdalasz?! Zabić kogoś chcesz?!

– Jak będę musiał. – Daniel usiadł na krześle przed wejściem do chaty. – Wiesz, Wojtuś... Tu nie chodzi tylko o to, że ciebie ktoś szantażuje, że mnie ktoś szuka, że gówniarz z hotelu jest pojebany. To grubsza sprawa. Do tej dziewczyny ktoś strzelał, do mnie też dziś ktoś strzelał.

Wojtek usiadł na schodach. Patrzył na Daniela dłuższą chwilę z zaskoczeniem sięgającym zenitu. Potem ukrył twarz w dłoniach.

– Nie wierzę – powiedział cicho. – Nie wierzę. To jakiś koszmar.

– Boję się, że ta Janka to już się żywa nie znajdzie...

– No, co ty... Ta z ogłoszenia we wsi?

– Tak.

– Myślisz, że to ma związek z tobą? Ze mną?

– Wojtuś, my tu jesteśmy przypadkiem, pionkami, które trochę przeszkadzają i trzeba je unieszkodliwić.

– To niemożliwe. Komu ja niby mogę przeszkadzać? – zapytał Wojtek, próbując ukryć przerażenie.

– Ty nie. Ja. A do mnie chcieli dotrzeć przez ciebie.

– A ty to niby jak przeszkadzasz?

– Pomyśl. Robią coś, co ma zostać ukryte. A tu nagle pojawia się jakiś włóczęga, o którym nic nie wiesz i który być może wie coś, czego nie powinien.

– Co wiesz? – Przeważenie Wojtka przemieniło się w zaciekawienie.

Daniel pokiwał głową z irytacją. Westchnął ze złością i machnął ręką.

– Idź, Wojtek, do domu. Na razie nic ci nie grozi. To ja jestem dla nich kłopotem.

– Dla kogo?

– Kurwa, Wojtek! Idź do domu! – wrzasnął Daniel i zaraz potem zerknął, czy nie obudził dziewczyny. – I pomyśl o tej strzelbie.

Ten poczuł się urażony. Włożył ręce do kieszeni i ruszył w ciemny las. Dobrze znał drogę. Powiedział kiedyś Danielowi, że ma obliczone kroki do kolejnych zakrętów. Wprawdzie były tylko dwa, zanim docierało się do baru, ale i tak liczenie kroków mogło zaimponować.

Kiedy Daniel nabrał pewności, że Wojtek odszedł już daleko i nie wróci, wszedł do chaty i usiadł na krześle przy śpiącej Agacie. Dopiero teraz odetchnął. Czuł, że schodzi z niego powietrze, to napięcie, które gromadziło się w sytuacji zagrożenia. Napięcie, które zawsze pomagało mu w koncentracji i zachowaniu zimnej krwi. Mimo że nie był to jego dom, to jednak czuł się w nim bezpiecznie, to był jego azyl. Choć teraz zaczęła dręczyć go myśl, czy nie uśpił jego czujności fakt, że tylko Wojtek zna to miejsce.

Ogarnęło go uczucie zaciskającej się na szyi pętli. Nie było mu ono zupełnie nieznanne, ale na tyle rzadkie, że poczuł się niekomfortowo. Zamknął oczy i zobaczył zbliżających się do jego samotni intruzów. Zdawał sobie sprawę, że to oczy wyobraźni, ale i tak jego ciało zareagowało jak ciało sportowca przed upadkiem – nagłym napięciem mięśni.

W końcu łapię oddech. Trochę panicznie, bo wstrzymywałem powietrze zbyt długo jak na moją wydolność zaniedbaną przez siedzący tryb życia. I przez wiek oczywiście.

Nie mogę tu czekać, aż się uspokoję, muszę stąd iść. Idę więc, mimo że nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Podświadomie podążam tuż przy ścianie, jakby ona w razie zagrożenia miała mnie uratować, ochronić. Kilka razy dotykam jej dłonią. To daje mi jakąś minimalną dawkę pewności, że nic mnie złego nie spotka. Co się stało? Dlaczego trzęsą mi się kolana? Przecież nie jestem tchórzem. Pcham się często tam, gdzie nie trzeba, w ogóle nie myśląc o strachu. A teraz... truchleję.

Do baru wchodzę z westchnieniem ulgi, jakbym przekraczał próg swojego bezpiecznego domu. Alicja siedzi na kanapie, nie została tam, gdzie jej kazałem. To dobrze, byłoby głupio, gdyby stała na tym tarasie i czekała. Chyba nawet nie przyszło mi to do głowy, tylko teraz myślę nie potrafię poskładać i głowa nieco odleciała.

Siadam obok niej, a ona wgapia się we mnie ze zdziwieniem.

– Co się stało? – pyta.

– Nie wiem – odpowiadam, zdając sobie sprawę, że nie potrafię jej o tym opowiedzieć z sensem.

Moje porty jeszcze stoi na stoliku przy sofie. Dopijam jednym haustem. Wstaję i podchodzę do barmana, zamawiając jeszcze trzy dawki tego leku na dzisiejsze zło. Zaraz potem macham ręką i proszę o całą butelkę. Wracam z nią na sofę, ale marzę już, by znaleźć się w pokoju i położyć na łóżku. I pić prosto z butelki.

– Może jednak powinnaś iść spać? – mówię z nadzieją, że ochnoczko na to przystanie. Ona jednak poprawia się na sofie i ożywia.

– Najpierw musisz mi powiedzieć, co się stało – oznajmia z przejęciem. – Jesteś zdenerwowany i trzymasz butelkę w ręku. To do ciebie niepodobne.

– Butelka czy zdenerwowanie?

– Bardziej butelka.

– Przecież nie wiesz, co do mnie podobne, a co nie.

– Intuicja...

Nie chcę polemizować. Na wszystkie przypuszczenia można mieć wytłumaczenie w postaci zjawiska zwanego intuicją. Przerabiałem to już.

– Wygląda na to, że w tym hotelu jest bardziej niebezpiecznie, niż nam się wydawało – mówię wreszcie.

– To znaczy?

– Widziałem człowieka ze strzelbą. Strzelał z poddasza do czegoś lub kogoś. Ale biorąc pod uwagę to, co działo się chwilę wcześniej pod tarasem, myślę, że do kogoś.

– Co się działo pod tarasem? – zastyga, ale jeszcze wydobywa z siebie to pytanie.

– Jakaś przepychanka, po której ktoś wbiegł do hotelu, a ktoś inny rzucił się do ucieczki za budynek.

Alicja rozgląda się po salonie. Mam wrażenie, że robi to bezwiednie, bez konkretnego celu. Przecież nikogo nie szuka, jest pusto, a my rozmawiamy cicho.

– Jesteś pewny, że tak było?

– Mimo mojego rozdygotania jestem pewny tego, co widziałem. Nie mam jedynie pewności, jak to interpretować.

Siedzimy w milczeniu. Widzę, jak próbuje to przetrawić, szukać wytłumaczenia i sposobów na uspokojenie mnie i siebie. Ale to bezcelowe. Wiem, co widziałem. I wiem, że się wpierdoliłem. Po pierwsze, emocjonalnie, po drugie, wpierdolił mnie w to Ksawery, każąc swoim ludziom zwracać na mnie uwagę. Najlepiej byłoby stąd wyjechać. Ale co z obawą, że ode mnie tutaj coś zależy? Co z moim charakterem, który każe mi ratować świat? No, może nie świat, ale czasem trzeba coś powiedzieć, wyjaśnić, by zło nie szło dalej. A mam niezbite przekonanie, że gdzieś tu chowa się zło.

– Odprowadź cię do pokoju – mówię do Alicji. Tym razem zgadza się i wstaje. Idę za nią i dostrzegam, że nie ma już tak pewnego kroku jak wcześniej.

– To tu. – Staje przed drzwiami z numerem jedenaście. – Wejdiesz?

– Nie, późno już.

Uśmiecha się. Ale znowu ma te smutne oczy. I ten uśmiech też nie jest prawdziwym uśmiechem. Jest smutkiem.

– Rozumiem – stwierdza. Ale wiem, że nie rozumie. Wielu mężczyzn na moim miejscu z radością i podnieceniem przyjąłoby takie zaproszenie. A ja, dziwak, cieszę się, że nie nalega. Wchodzi do pokoju i zamyka drzwi, mówiąc cicho:

– Dobranoc i do jutra.

Stoję chwilę przed tymi drzwiami i żałuję, że nie ma tu Doroty.

Do pokoju wchodzi pięć minut później, bo idę powoli, rozglądając się we wszystkie strony, przyglądając się ścianom i wszelkim zakamarkom. Jakbym planował w którymś momencie mojego pobytu tutaj uciekać przed kimś i chować się. Dziwne to. Jakiś nieodgadniony instynkt.

Patrzę w lustro. Nie gołę się od kilku dni, zarost jest siwy i zakrywa bliźnię na lewym policzku. Mam zmęczone oczy. Wyglądam jak dziad. Odpoczynek jak skurwysyn. Muszę pomyśleć, żeby się stąd wyrwać, bo nie odpocznę tu z pewnością. Już nie. Nawet jeśli jutro rano wszystko będzie wyglądało inaczej, w mojej głowie zostaną te obrazy i będę się ciągle rozglądał. Ten hotel w moich oczach jest już skażony.

Zdejmuję wszystko z siebie i rzucam na podłogę w łazience, jakbym pozbywał się napromieniowanych ciuchów. Podchodzę do okna i próbuję patrzeć w ciemność. Księżyc jest pewnie schowany za chmurami, bo nie widać jego blasku. Zadziwia mnie ten spokój, bo przecież wcale nie jest spokojnie.

Dopiero po chwili orientuję się, że stoję zupełnie nago przy odsłoniętym oknie. Na szczęście gdyby ktoś stał na zewnątrz, widziałby mnie tylko od pasa w górę. Mimo to, zawstydzony, odchodzę od okna, gaszę światło małej stojącej lampki i kładę się na łóżku. Nakrywam się kołdrą od pasa w dół i sięgam po telefon. Jest późno, ale chcę napisać do Doroty.

„Chciałbym, żebyś w jakiś sposób dotarła do tej Magdy i sprawdziła jej kontakt z Radkiem Miłozsem. Kim są dla siebie”.

Wyślij.

„Choć możesz też dotrzeć do samego Miłozsa, bez Magdy”.

Wyślij.

„I szkoda, że Cię tu nie ma. Pocałowałbym Cię w brzuch”.

Wyślij.

Odczyta rano. Jeszcze pewnie leżąc w łóżku. I dotknie brzucha, i zsunie dłoń na łono. Potem poczuje, że chce sprawdzić, czy zwilgotniała. A jak już sprawdzi, to nie powstrzyma palców. A jak nie powstrzyma palców, to nie zatrzyma orgazmu. Czasem mówi mi o takich porankach. A ja lubię o tym myśleć i sobie to wyobrażać. Zwłaszcza teraz, kiedy pościel muska moje nagie ciało. Muszę zasnąć.



Skończyła głębokim westchnięciem, z jedną dłonią na piersiach i drugą między udami. Zlizala soki ze swoich palców i na chwilę zamknęła oczy.

Tęskniła za seksem, więc kiedy przeczytała „pocałowałbym cię w brzuch”, zakłuło ją w podbrzuszu. Poczula ten pocałunek na swojej delikatnej skórze pod pępkiem. I już nie było odwrotu, gdy położyła tam dłoń.

Przeciągnęła się jeszcze raz i sięgnęła ponownie po telefon. Dopiero wtedy przeczytała ze zrozumieniem wiadomości o Miłoszu. Wcześniej skupiła się na brzuchu.

– I co mam mu powiedzieć? – mruknęła do siebie szeptem. – Że miałam znaleźć, to znalazłam?

Zresztą szukanie nie będzie skomplikowane, bo choć Radek Miłosz może nie jest powszechnie dostępny, ale też się nie ukrywa. Jego numer telefonu jest zamieszczony na stronie internetowej kilku biur poselskich. I chyba nawet Dorota miała go jeszcze w swoim telefonie, o ile nie zmienił.

Zżerała ją ciekawość, o co w tym wszystkim chodzi. Po co miała szukać Magdy Paleckiej i po co teraz miałyby się kontaktować z Radkiem? Sama była sobie winna, bo to ona go zidentyfikowała na zdjęciach, ale nie wiedziała, dlaczego to takie ważne. I najgorsze było to, że Mateusz powie jej o wszystkim, kiedy stwierdzi, że to odpowiedni moment. Wcześniej tego z niego nie wydusi, więc nawet nie próbuje.

„Co mam powiedzieć Miłoszowi, jak go spotkam?” – napisała wiadomość.

Wyślij.

Wstała. Na myśl o pójściu do pracy poczuła zniechęcenie. Tyle się w ostatnim czasie naharowała, że teraz ma przede wszystkim ochotę odpocząć, nie robić nic związanego z pracą. Wyjechać.

Wzięła szybki prysznic, śniadanie jak zwykle odłożyła na później. Dzinsy i zwykła koszulka, byle z głębokim dekoltem, i mogła wyjść. Postanowiła tym razem pojechać samochodem, mógł się jej przydać, skoro Mateusz prosi ją o zabawę w detektywa. Szkoda, że jeszcze nie odpisał na pytanie, co ma zrobić z Miłoszem. Zupełnie nie miała pomysłu, mimo że o sam kontakt nie będzie trudno.

Stojąc w korku, wybrała w telefonie numer Mateusza i nacisnęła zieloną słuchawkę. Czekala, aż włączyła się automatyczna sekretarka.

„Nie ma mnie, nagraj się” – brzmiał głos po drugiej stronie. Mateusz potrafi sprawiać wrażenie całkowicie niesympatycznego gościa – pomyślała. Nigdy nie nagrała mu się właśnie z powodu tych słów i tego głosu. Odpychał i zniechęcał skutecznie.

Mimo korków dojechała szybko. Miejsce parkingowe jak zwykle czekało na nią przed budynkiem, więc sprawnie ustawiła auto i weszła do wieżowca. W windzie, w której była sama, przejrzała się w lustrze, przeczesala palcami włosy i przesunęła dłońmi po koszulce. Lubiała na siebie patrzeć, nawet w lustrze windy, która wiozła ją krótko na piąte piętro. Dzięki temu wiedziała, w jakim stanie pojawia się w korytarzu swojej firmy. Tym razem też wiedziała, choć zaskoczyła ją wzrok szefa. Był wyraźnie zdumiony.

– Coś nie tak? – zapytała zaniepokojona.

– Nie, nie. Wszystko dobrze, tylko raczej nie pojawiaasz się w pracy w takim stroju – odpowiedział Andrzej.

– W jakim?

– Tak na luzie. Ty zawsze jakaś kiecka, szpilki. Zawsze Francja elegancja.

– Czasem mi się nie chce – odparła i puściła do niego oczko. Zaraz potem schowała się za ścianką swojego stanowiska komputerowego. Po chwili jednak wychyliła się, żeby sprawdzić, czy Andrzej wszedł do siebie. To chłopak Emilii, a ją właśnie miała wypytać o Miłosza. Andrzej pewnie wie więcej.

– Andrzej, mogę o coś zapytać? – zagadnęła, uchylając drzwi jego gabinetu.

Skinął głową, dając znak, by weszła.

– Wiesz, co się dzieje z Radkiem Miłoszem? – wypaliła bez uprzedzenia, zanim jeszcze zajęła krzesło przy jego biurku.

Andrzej najpierw spojrział, potem westchnął, a jeszcze potem opadł na oparcie fotela.

– Nie masz litości, zadając takie pytanie o tak wczesnej porze.

– To trudne pytanie?

– Nie, ale pewnie dużo opowiadania. Dlaczego pytasz?

Nie zamierzała na to pytanie odpowiadać, bo przede wszystkim nie wiedziała, dlaczego pyta. Wpadła w zakłopotanie i przez chwilę miała pokusę, by wstać i wyjść.

– Ciekawość – odparła jednak. – Trafiłam wczoraj na jakieś jego zdjęcie i mi się przypomniał.

– Nie wiem, pewnie ciąga się z tymi politykami. Robi na tym niezłą kasę, bo oni są potwornie naiwni. Nabierają się na wszystko, co mówię.

– Czyli pracuje, nawija i zarabia.

– I świetnie się bawi.

– Ma czas na zabawę?

– Mnóstwo. Spotkałem niedawno znajomego, który przy okazji opowieści o jakimś kilkudniowym melanżu wspomniawszy też o Miłoszu, bo wiedział, że u nas pracował.

Dorota z trudem powstrzymała zainteresowanie tematem. Zmusiła się do spojrzenia w okno, ale tak naprawdę chciała wbić w niego wzrok, próbując go zmusić do dalszej opowieści.

Zażmiał się.

– Pamiętasz, że chciał wyrwać Emilkę?

– Pamiętam.

– To zabawne, bo teraz gustuje w jakichś małolatach. Chyba to nawet jakieś piętnastki czy szesnastki.

– Co to znaczy?

– No, że mogą mieć szesnaście czy nawet piętnaście lat.

Dorota od razu wywołała w swojej głowie obraz Magdy. Ona nie była z pewnością nastolatką. Może to tylko plotki.

– On ma jakieś biuro?

– Podobno na Wiatrowej. Tuż obok biura tego posła Okiennego.

I znów próbowała zagrać oscarową rolę zupełnie niezainteresowanej tą informacją. Nawet ziewnęła teatralnie, wstając z krzesła. Andrzej chyba się nie nabrał.

– Dlaczego tak cię to interesuje?

– No, mówię ci, że zdjęcie mi o nim przypomniało.

Zmrużył oczy. Nie uwierzył.

– Jak chcesz. Ja wścibski nie jestem. W każdym razie nie polecam z nim kontaktu. Myślę, że w tym swoim przekonaniu o własnej bezkarności stał się niebezpieczny.

Tylko pokiwała potakująco głową i wyszła. Nie potrafiła już wydusić z siebie żadnego słowa, które i tak byłoby ukrywaniem prawdy, o ile nie kłamstwem. Wyszła wręcz zawstydzona. Ale z nadzieją, że rumieniec, który rozlał się po jej policzkach, pojawił się dopiero po wyjściu z gabinetu Andrzeja.

– Powinam się niepokoić? – Głos Emilii był niski i zbyt spokojny. Stała i patrzyła na oblaną rumieńcem Dorotę wychodzącą z gabinetu jej chłopaka.

– Słucham? – Pierwsza reakcja musiała być niezrozumieniem. Potem było już lepiej. – Nie, no co ty.

Wszystko w porządku. Cześć, Emilia.

– Cześć – odpowiedziała sucho i weszła do biura Andrzeja.

Dorota wróciła do swojego stanowiska komputerowego. Głupio wyszło – pomyślała. Włączyła laptopa i czekała, aż odpali się cały ekran ze wszystkimi aplikacjami. Chciała jak najszybciej zrobić to, co miała w planach, i wyjść. A potem dodzwonić się do Mateusza i powiedzieć mu, że nie ruszy palcem, dopóki nie powie jej, o co w tym wszystkim chodzi. Najpierw jakaś Magda, teraz ten Radek. Była zła, że nie powstrzymała tego beznadziejnego rumieńca. On pokazał, że nie pyta „tak po prostu”. Pyta z jakiegoś powodu. I była zła, że tego powodu nie zna.

– Chodź na kawę – szepnęła, pochylając się nad nią, Emilia. Dlaczego to był szepet? Brakuje konspiracji jeszcze z jej strony.

Usiadły w kawiarni na dole, do której złążą się korpulduki z całego budynku. Na szczęście o tej porze było dla nich chyba jeszcze za wcześnie. Gdzieś przy stoliku pod ścianą siedziały trzy osoby, przy oknie dwie kolejne. Emilia i Dorota usiadły na drugim końcu kawiarni, mimo że Dorota proponowała hokery przy barze. Emilia pokręciła wtedy energicznie głową, co dodatkowo zaniepokoiło koleżankę.

– Czego chcesz od Radka Miłosza? – Emilia mówiła ściszym głosem.

– Powiedział ci? – Dorota przewróciła oczami.

– Bo się chyba zdziwił.

– To chyba powiedział ci też, że zobaczyłam go na jakimś zdjęciu i mi się przypomniał. Ciekawa byłam, co u niego.

– Nie ściemniaj. Wiem o zdjęciu, bo mi o nim wczoraj pisałaś. Ale to jest powód, żeby pytać o niego jeszcze Andrzeja? Ściemniasz.

Emilia uśmiechała się szelmowsko, kiedy to mówiła. Dorota jednak nie dała się sprowokować.

– Tak było. Zdjęcie. To wszystko. – Postanowiła być twarda.

Obydwa zajęte stoliki w jednej chwili opustoszały. Pięć osób niemal jednocześnie wstało i wyszło z kawiarni. Jak w jakiejś znowie. Dorota pomyślała, że to na brzmienie nazwiska „Miłosz”. Ale zaraz potem zganiała się za tę myśl. Przecież nikt nie słyszał ich rozmowy. Dostaję jakiejś paranoi – pomyślała.

– Dzwonił do ciebie z jakąś propozycją? – zapytała nagle Emilia.

– Słucham? – Takiego pytania Dorota się nie spodziewała.

– Bo do mnie dzwonił pół roku temu. Andrzej o tym nie wie. Proponował wyjazd w góry, do hotelu na odludziu. I tak obrzydliwie zabrzmiały te słowa „zabawimy się”.

Kelner zawołał, że dwie latte czekają. Dorota zerwała się na równe nogi, by po nie pobiec. Wręcz pobiec, bo na chwilę chciała uciec od Emilii i ukryć emocje. Znow wróciła do niej złość na Mateusza, że nie odsłonił kart i ona teraz nie wie, jak się zachować. Wzięła głęboki wdech, by nie rozlać kaw na tacy, którą miała zanieść do stolika.

– Nie, nie dzwonił do mnie. Ale to nie mnie chciał kiedyś poderwać – powiedziała, kiedy wróciła na miejsce.

– E tam, ciebie też chciał – oznajmiła Emilia – ale zabrakło mu odwagi, może czasu.

– To dobrze. Nie zniosłabym jego tanich chwytów.

– Momentami potrafił być uroczy.

– Być może. Na szczęście nie zdążyłam się przekonać.

Zajęły się swoimi szklankami z kawą. Przechwiliły milczały, ale Dorota czuła przez skórę, że to nie wszystko, co Emilia chciała jej powiedzieć. Piła więc i czekała. Miała wrażenie, że powinna się czuć winna, nie wiedziała tylko czego. Najpierw Andrzej, teraz Emilia być może podświadomie wzbudzili w niej jakiś dziwny lęk. Jakby chcieli ją ostrzec.

– I wiesz co? Może się mylę z tym ściemnianiem – zaczęła znow Emilia – ale dobrze ci radzę, trzymaj się od niego z daleka. Każdy z nim kontakt jest niebezpieczny. To kryminalista. Andrzej niewiele ci powiedział, bo niewiele wie. A ja wiem. Rżnie małolaty, upija je, daje im prochy. I rozprowadza je wśród polityków. Dlatego ma na nich haki.

Dorota poczuła ucisk w klatce piersiowej, z trudem łąpała oddech. Ale może to dlatego, że zgarbiła się pod ciężarem usłyszanych słów. Odsunęła od siebie szklankę z latte i położyła dłonie na blacie. Palce jej się trzęsły. Wszystko ustąpiło, kiedy wzięła pięć głębokich wdechów. I wtedy dopiła szybko kawę.

– Chodźmy – rzuciła szybko i wstała. Nie czekała na Emilię. Poszła w stronę windy, wiedząc, że idzie za nią.

Nie powiedziały już do siebie ani słowa. Dorota milczała, bo nie wiedziała, co powiedzieć. Emilia, bo nie była pewna, jaki efekt wywołała swoim wywodem. Zaczęła wręcz podejrzewać, że przyjaciółkę coś łączy z Miłozsem. I choć zupełnie nie pasowało to do wizerunku zakochanej w Mateuszu Doroty, nie potrafiła sobie wytłumaczyć jej reakcji.

– Zostawiłam coś w samochodzie – powiedziała Dorota, kiedy winda zatrzymała się na piątym piętrze. – Muszę zjechać, wrócę za kilka minut.

Emilia skinęła głową i zniknęła w korytarzu prowadzącym do agencji. Dorota odetchnęła. Atmosfera stała się nie do zniesienia i na tę chwilę w samotności czekała już od jakiegoś czasu.

Do samochodu wsiadła bez pośpiechu. Niczego w nim nie zostawiła, ale tylko w aucie teraz miała szansę być sama. No i w toalecie, ale tam łatwo o kogoś, kto przypadkiem podsłucha.

Tak jak rano wybrała numer Mateusza i nacisnęła zieloną słuchawkę. I tak jak rano czekała długo, aż do momentu, w którym Mateusz mówi: „Nie ma mnie, nagraj się”. Tym razem go posłuchała.

– Mateusz, w co ty chcesz mnie zrobić? Ten Miłosz to niebezpieczny i śliski gość. Nie pójdę do niego. I nie zrobię już nic, dopóki mi nie powiesz, co się dzieje. Chcę wiedzieć, słyszysz?! Chcę wiedzieć!

Budzę się niemal regularnie co godzinę. Nienawidzę tego. To jest jak tortura, może złejsza niż wrywanie paznokci, ale jednak tortura, która rozpiękała układ nerwowy. Po każdej takiej kolejnej pobudce coraz trudniej zasnąć. Tym bardziej że złe myśli kłębią się w głowie coraz intensywniej. W końcu o piątej nad ranem mam już tak otwarte oczy, jakbym czegoś wypatrywał na ścianie.

Każda pobudka to nowa myśl. Myśl, która wzbogaca złe scenariusze w głowie. W takich chwilach chcę mieć ubogą wyobraźnię, byłbym spokojniejszy. I nie tylko wyobraźnię. Chcę w takich chwilach mniej wiedzieć, mieć mniejsze doświadczenie i nie pamiętać tego, co widziałem w swoim skomplikowanym życiu. Choć pewnie miałem szczęście uniknąć rzeczy skrajnie złych, brutalnych. Za to naogłądałem się filmów opartych na faktach i przekładałem je czasem na świat realny.

O tej piątej nad ranem najwyraźniej brzmią w mojej głowie słowa: „Jutro w południe ruszamy”. Wyobraźnia podpowiada mi obławę na jakiegoś nikczemnika. Tyle że nikczemni wydają mi się ci, którzy na tę obławę się umawiają. Logika podpowiada mi również, że strzelec nie trafił, że naprawdę miał tylko sprawić, że tamten sra w gacie. Może faktycznie srał w gacie, a może w ogóle go to nie obeszło.

Zastanawiam się, czy osobnik, który uciekał wczoraj wieczorem i do którego strzelano z poddasza, to ten „mój” człowiek. Ten, z którym zetknąłem się w ciemnościach pierwszego wieczoru i ten, z którym stoczyłem pojedynek na spojrzenia przed barem. Niemal wszystko potwierdzało owe przypuszczenia. A ja nawet nie wiem, czy on jest moim wrogiem, czy jedynie tak po prostu wyszło, że na siebie wpadliśmy. Kiedy szedł przez wieś, roztoczył wokół siebie aurę. Mógłbym próbować przypisać jej jakiś kolor – byłoby magicznie, ale ważniejsze jest to, że nie dostrzegłem w nim zła. Widziałem spokój i pewność siebie. Widziałem też samotność, taką wilczą, dziką, ale dostojną. Czy to na niego ta obława?

Wstaję. O dziwo, jestem rześki, jakby to było południe. Prysunic wzmacniło to wrażenie, więc spuszczałem na siebie litry gorącej wody i rozkoszuję się chwilą. Wiem już, co zrobić. Chyba nie darowałbym sobie, gdybym tego nie zrobił. Zadaję sobie jedynie pytanie, czy ściągać z łóżka Alicję. Nie, nie ściągać.

Ubiaram się ciepło bo – jak mówią starsi ludzie – młoda godzina jest. Dzinsy, bo któż nie wkłada dziś dzinsów. T-shirt i bluza z kapturem, bo niebo może zapłakać.

Recepcję mijam szybko. Rzucam tylko okiem, ale nie widzę nikogo na posterunku. Być może pora zbyt wczesna, by tkwić na stanowisku. Nikt o tej porze z pewnością nie będzie się meldował. Szybko też zbliżam się do wyjścia. Drzwi są otwarte. Uderza mnie w twarz poranny chłód i zapach powietrza, jakiego nie zaznałem od lat. Na chwilę przystaję i wdycham to powietrze. Że też wcześniej nie przyszło mi do głowy wstać skoro świt i biegać po lesie.

Ale dziś nie idę biegać. Idę szybkim krokiem w stronę bramy wjazdowej i dalej drogą dojazdową w dół. Tym razem nie zatrzymuję się przy strumyku, by rzucić kilka płaskich kamieni. Zachowuję się jak koń z kłapkami na oczach, który idzie w konkretnym kierunku i nie widzi niczego, co się dzieje obok niego. Jasno wyznaczony cel. W moim przypadku bar. Tam zacznę.

A gdy już jestem przy tym zamkniętym oczywicie o tej porze barze, szukam owego wejścia w las. Tam właśnie stał i gapił się na mnie. Przypominam sobie ten moment, gapiąc się tak jak wtedy. Tyle że teraz nikt tam nie stoi. I może właśnie dlatego widzę głębię tego lasu, widzę tę ścieżkę dalej niż wtedy.

Ruszam. Czuję niepokój, bo nie wiem, co mnie czeka. Ale mam też coraz głębsze przekonanie, że tak powinienem zrobić. I to przekonanie mnie napędza. Biorę głęboki wdech, kiedy wchodzę do lasu, jakbym przekraczał jakąś granicę albo zmieniał diametralnie swoje życie. Nie wiem, dokąd idę, nie wiem, kiedy skończy się ta ścieżka i dokąd prowadzi. A może prowadzi za siedem gór, a ja powinienem po prostu z niej zejść w odpowiednim momencie. Nic nie wiem, idę w ciemno.

Ileż to razy wchodziłem głęboko w las. Ileż razy wjeżdżałem w las na rowerze. Ileż razy byłem na grzybach, choć tego nie znośiłem. Ale zawsze lubiłem wdychać zapach drzew. Teraz też się nim zaciągam. Gdyby nie cel, mógłbym usiąść na trawie, oprzeć się o drzewo i dumać. I wachać.

Kiedy już oswajam się z naturą, powietrzem i jego świeżością, zaczynam zwracać uwagę na obie strony drogi. Wydaje mi się, że skręcając w prawo, doszedłbym w końcu do hotelu. Nie wiem, po jakim czasie, ale tak właśnie wynika z mojej orientacji w terenie. Wniosek z tego taki, że jeśli czegoś szukam,

to powinienem patrzeć w lewo. I patrzę częściej. Tyle że nie znajduję niczego, co odpowiedziałoby mi cokolwiek.

Zaczynam tracić wiarę. Nadal czuję zadowolenie, że próbuję, że nie zostawiam tego swojemu biegowi, ale wiary mam coraz mniej. Szukam wskazówki, ale jej nie widzę. Nachodzą mnie też myśli, że dobrze byłoby móc wrócić, zapamiętać drogę. I choć na razie idę po prostu jedną ścieżką, to ten niepokój o powrót się nasila.

Ile przeszedłem? Sprawdzam w telefonie. Od wyjścia z hotelu pokonałem trzy kilometry. Czy to mało? Dużo? Nie wiem. Jestem w lesie. Tu dystans mierzy się i odczuwa inaczej niż w parku czy mieście. Nawet na bieżni.

Idę kolejne dwa kilometry. Potem wracam, bo wymyślam, że jestem za daleko. Ale przecież niczego do tej pory nie zauważam, więc po trzystu metrach znów zmieniam kierunek. Idę dalej. Teraz już częściej sprawdzam dystans w telefonie. Pokazuje pięć kilometrów. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że maszeruję cały czas pod górkę. I dopiero teraz czują to moje mięśnie ud. I w tym samym momencie, w którym to czuję, dostrzegam ślad na jednym z drzew. Podchodzę bliżej i dotykam palcami jak indiański traper. Jedynie, co widzę, to wyciętą równo korę. Niewielki to kształt, ma około dziesięciu centymetrów długości i dwóch centymetrów szerokości. Nacięcie jest zbyt równe, by mogło powstać w naturalny sposób. Ktoś je wykonał celowo. Trudno jednak jednoznacznie stwierdzić, co ono oznacza, bo z pewnością nie jest to strzałka.

Pod drzewem widzę jednak trawę położoną tak, jakby ktoś po niej szedł. Pomyślałbym, że sarna lub łos, gdyby nie wryty w korze pasek. Po przeciwnej stronie ścieżki nie dostrzegam takiego śladu. Staję więc po tamtej stronie i patrzę w dal, w głąb lasu. Jeśli zrobię ten krok, pójdę dalej i nie zawrócę. Tak sobie obiecuję. Sobie, mojej męskości, mojej odwadze, która być może gdzieś tam jeszcze się tli, i jeszcze komuś, o kim nie wiem nic.

Idę. Właściwie na ślepo, bo trudno mówić tu o jakiegokolwiek intuicji. Zatracam ją w tym lesie. Żałuję, że nie jestem psem, poprowadziłby mnie węch. Ale żałuję też, że nie zabrałem żadnego kompasu. Wpadam na szatański pomysł ściągnięcia aplikacji na telefon. Przystaję przy drzewie. Sieć nie jest najlepsza, ale procedura zajmuje mi dwie minuty. Uśmiecham się do telefonu, bo jestem przeciwnikiem mnożenia aplikacji w urządzeniu, którego głównym celem jest rozmowa na odległość. Ale uśmiecham się, bo ten gadżet mnie ucieszył. Przez chwilę bawię się nim, obracając się wokół własnej osi.

Do porządku doprowadza mnie szelest dobiegający z odległości kilkunastu metrów. Zastygam i czuję, jak wali mi serce. Nieraz zastanawiałem się, ile w takich chwilach brakuje mi do zawału.

Tym razem to zając. Uciekł szybko, jak najdalej ode mnie. Jemu pewnie serce waliło bardziej niż mnie. A jeśli spotkam łosia? Dzika? Jakie jeszcze zwierzęta tu występują? Nie wiem, mieszczuch ze mnie. Idę dalej i cały czas rozglądam się na boki. Patrzę też na kompas. Kierunek wschód. W niczym mi to teraz nie pomoże, ale w drodze powrotnej pójdę na zachód. To najlogiczniejszy sposób na zachowanie orientacji w terenie.

Od zejścia ze ścieżki mam za sobą już półtora kilometra. Idę cały czas prosto, co wcale nie musi oznaczać słusznego kierunku. Po raz pierwszy dopada mnie zniechęcenie. Na co liczyłem? Że w tym gęstym lesie, który zapewne rozciąga się na powierzchni wielu kilometrów kwadratowych, znajdę kogoś lub coś, co usatysfakcjonuje moje śledcze zapędy? Zatrzymuję się i rozglądam. Nie widzę nic. Tylko drzewa i wszechobecną zieleń. Między koronami przebijają promienie słońca, trochę oślepiają. Może gdybym należał kiedyś do harcerstwa, potrafiłbym odczytać ślady na ściółce leśnej albo określić, czy złamana gałąź to robota natury czy człowieka.

Chcę zawrócić. Ale obiecałem sobie, że tego nie zrobię. Kurwa! Co ja tu robię?! Dobra, idę dalej. Niech się dzieje wola nieba, z nią się zawsze zgadzać trzeba. Kto tak mówił? Jakaś literatura, i to piękna, polska. Gdzie to było? Idę i powtarzam to zdanie w myślach bez końca, potem nawet szeptem. To są te momenty, w których człowiek myśli, że wie, ale nie potrafi tego nazwać. Wtedy właśnie mówi: „Mam to na końcu języka”. No i teraz właśnie mam. Fantastycznie. Będzie mnie to teraz męczyć.

I znowu widzę nacięcie na drzewie. Jest znacznie starsze od tego przy ścieżce. Nie trzeba być traperem, by to stwierdzić. I nie jest też paskiem, raczej kółkiem. Takim jak na drzwiach damskiej toalety. Nie wiem, czy cokolwiek ma oznaczać w tej leśnej gęstwinie. Może powinienem okrążyć drzewo? Może to jakies rondo? Ja pierdolę. Oszaleję zaraz.

Rejent Milczek! To kółko pomogło mi sobie przypomnieć, że to o „woli nieba” było w *Zemście* Fredry. Co za ulga.

Kółko. Po co, kurwa, kółko?! Olewam, ruszam dalej, nie zważając na ten niezidentyfikowany symbol. Ale zwracam uwagę na trawę. Tędy wyraźnie ktoś chodzi częściej niż raz w tygodniu. Idę powoli z opuszczoną głową. Fragment z leżącą trawą kończy się po kilkunastu metrach. I znowu nie wiem, co

robić. Siadam z tej niewiedzy przy drzewie i opieram się o nie. Nic z tego nie będzie – myślę. Zapędzać się dalej to nonsens, wracać to poddanie się.

Siedzę tak chyba pół godziny, nie myśląc o niczym. Siedzę i wyteżam wzrok. Chcę dostrzec cokolwiek wśród tych drzew, usłyszeć nawet. I może to być nawet zwierz, jak ten jeleń idący wolno na dwóch nogach. Zaraz... Na jakich dwóch nogach? Podrywam się żywo i doskakuję do najbliższego drzewa, chowając się za nim. Znowu muszę uspokoić oddech. Wychylam się tak, by choć jedno oko mogło spojrzeć.

Bardzo wolnym krokiem, kilkadziesiąt metrów ode mnie, idzie niski i krępy mężczyzna w rozciągniętym, czarnym swetrze. Na głowie ma czapkę, którą właśnie poprawia. Przez ramię przewieszoną ma strzelbę z drewnianą kolbą. No to się władowałem już zupełnie. Czy to ten strzelec z hotelu? Tamten chyba był wyższy. I szczuplejszy. W takim razie kim jest ten? Oni sobie tak tu chodzą z bronią?

Idę za nim. Trudno, najwyżej mnie zajebią. Czuję, że wszystkie mięśnie mam napięte. To nie jest moje życie! To nie jest moja bajka! To w ogóle nie jest bajka! Czy znowu jestem bliski zatrzymania akcji serca? Zejść z tego świata w środku lasu byłoby dość niefortunne, nie wiadomo, kiedy by mnie znalezione. A miałem tu, kurwa odpocząć, żeby trochę sobie jednak życie przedłużyć. Nie wyjdzie mi. Zejdę tu.

Odwraca się, ale nie może mnie zobaczyć, bo ponownie chowam się za drzewem. Robi to szybko i dość niechlujnie, tylko dla uspokojenia sumienia. Nawet się nie zatrzymuje. Nie mam pewności, czy dokądś zmierza, czy może jest na polowaniu. Nie wydaje się zainteresowany znalezieniem zwierza, ale być może idzie, by dojść do konkretnego miejsca. I oczywiście wie, dokąd idzie. Mimo że kroczy wolno, widać w nim świadomość celu.

Nie wiem, jak długo tak idziemy. Długo mi się ta droga, bo to nie jest spacer, to pełzanie na dwóch nogach. Od drzewa do drzewa, cały czas w skupieniu i cały czas z oczami wlepionymi w sylwetkę mężczyzny z bronią. I próbuję go rozgryźć. Bo nie wygląda na groźnego snajpera. Raczej na górskiego rolnika, który rano wyszedł ustrzelić zająca na rodzinny obiad.

Nie dam się jednak kierować pozorom, będę czujny. Ale jednocześnie przestałem zwracać uwagę na to, gdzie jestem i w jakim kierunku idę. Straciłem orientację i już nie wiem, którędy powinienem wracać. Szlag by to trafił! Odwracam się i widzę niemal dokładnie to samo, co przed sobą. Drzewa, drzewa, drzewa...

Mężczyzna nagle skręca za jednym z powalonych konarów. Robię to samo kilka sekund później. Mam wrażenie, że on przyspiesza, więc sam również szybciej przebieram nogami, ciągle chowając się za drzewami, choć mam wrażenie, że jest ich tutaj mniej.

Zamieram. Jakieś sto metrów przede mną, między drzewami, stoi dom. Mały i zaniedbany, z zielonym spadzistym dachem i białą elewacją. Nie widzę w nim okien, ale być może to tył budynku. Mężczyzna z bronią jakby nie dostrzegł tego budynku, idzie z opuszczoną głową. Sprawia wrażenie, jakby się bał, że nastąpi na coś niebezpiecznego i robi sobie krzywdę. Ale się myślę. On zachodzi ten dom od drugiej strony. Nie wiem, dlaczego robi to takim łukiem, ale tak właśnie robi.

Nie waham się, idę dalej, obserwując go. Robię większy łuk niż on, bo nie chcę być tak blisko. Chcę się czuć bezpiecznie, a będzie to możliwe tylko wtedy, jeśli stanę w dużej odległości.

Kiedy już zajmuję pozycję za grubym dębem, widzę skromne wejście do domu, mały ganek i kilka stopni schodów na niego prowadzących. Mężczyzna siada na krześle, a na udach kładzie strzelbę. To jego dom? Usiadł, jakby był u siebie. Spogląda na broń i przykłada do ramienia. Celuje w najbliższe drzewo, ale robi to jakoś nieporadnie. Nie sprawia wrażenia zaprzyjaźnionego ze strzelbą. Zresztą odkłada broń, jakby jej nie lubił, prawie rzucił ją na swoje uda.

Nie wiem, co robić dalej. Nic się nie dzieje. Jeśli facet będzie tak siedział kilka godzin – utknęłam. Ale on staje przed drzwiami, przysuwa się do nich i nasłuchuje. I nagle odskakuje, bo drzwi się otwierają. Działam jak automat i błyskawicznie chowam się cały za drzewem. Nie wiem właściwie po co, bo przecież chcę widzieć. Biorę kilka głębokich wdechów i wychylam się, by zobaczyć, co się dzieje.

Stoi ich dwóch na ganku przed drzwiami. Ten drugi, ten który wyszedł, ogląda broń i się uśmiecha. Potem macha ręką. Ten niski i krępy rozkłada bezradnie ręce i coś mówi. Opuszcza głowę. Wyższy, właściwie dużo wyższy, nadal się uśmiecha i klepie niskiego po ramieniu. Opiera strzelbę o krzesło i... odwraca się w moją stronę. Niemożliwe, że mnie widzi. On po prostu stoi i myśli. A ja widzę, że to on. Mój przeciwnik, mój rywal. Ten dziwny ktoś, kto minął we wsi Alicję i mnie. Ten dzikus, który nie wytrzymał mojego wzroku, choć jego spojrzenie jest paralizujące.

Nie mam pomysłu, co robić. Mam za to kilka pytań, które ścigają się ze sobą a przywilej otrzymania odpowiedzi. Wygląda jednak na to, że nic z tego. Bo nie wiem, kim jest ten człowiek. Nie wiem, czy to do niego strzelano, nie wiem, po co mu broń, nie wiem, czy jest groźny, nie wiem, czy ma coś wspólnego z zaginięciem Janki.

Ten niższy siada na krześle, wyższy wchodzi do środka. Nie ma go kilka minut. Wykorzystuję ten moment i zbliżam się do domu. Dzieli mnie od niego jakieś dwadzieścia metrów, więc widzę ten ganek już dość wyraźnie. Wysoki wraca z dwoma kubkami, nad którymi unosi się gęsta para. Jeden podaje swojemu gościowi, a sam siada na podłodze i opiera o ścianę. Niższy coś mówi, ale nie słyszę, bo chyba szepcze. Wyższy odpowiada, wskazując głową drzwi. Niższy skinął głową. Kurwa, nic nie słyszę, a podejść nie mogę, bo mnie zauważą.

Kurwa po trzykroć! Z domu wyszedł pies i stanął na baczność, o ile psy stają na baczność. Jeszcze tego brakowało, by skoczył mi do gardła jakiś kundel. A on warczy coraz głośniejsze, więc jest gotowy do ataku.

– Góral, spokojnie – wreszcie nieco głośniejsze mówi wyższy. Potem uśmiecha się i ciszej, ale słyszalnie dodaje: – Widzisz, Wojtuś, ten pies mnie obroni skuteczniej niż twoja strzelba.

„Obroni”. Wnioskuje z tego, że on chce się obronić, nie atakować. Taki wniosek pokrywa się z tym, co podpowiada mi intuicja.

Nie zastanawiając się zbyt długo, wysuwam się zza drzewa i robię kilka kroków do przodu. Chcę to mieć za sobą.

Kiedy mnie zauważają, wstają szybko. Niższy jest wystraszony, wyższy zachowuje kamienną twarz. Sięga po strzelbę, przeładowuje, podnosi do ramienia i celuje we mnie.

Nie zadzwoniła przed śniadaniem, tak jak sobie obiecywała. Pomyślała, że jest za wcześnie, Magda raczej spędza poranki, smacznie śpiąc lub się wylegując. Nie chciała jej tego psuć. Ale myślała o niej od samego rana, od kiedy otworzyła oczy. Myślała troskliwie i ciepło. I ciągle się martwiąc.

Około południa wysłała do niej wiadomość, że wpadnie wieczorem. Magda odpisała, że pracuje od osiemnastej, pewnie do jakiejś pierwszej w nocy. Na spotkanie w sprawie pracy nie poszła, usprawiedliwiła się złym samopoczuciem. Ale umówiła się na inny termin. Tyle dobrego. Agnieszka ucieszyła się, że przyjaciółka nie zbyła jej w tych wiadomościach. Tym razem jej odpowiedzi były pełne, niewymagające dodatkowych pytań. To dobrze wróżyło na najbliższą przyszłość.

Pracy miała tego dnia niewiele. Ale przykładała się, bo liczyła na to, że zaprocentuje to w przyszłości. Od wielu lat marzyła, by móc pomagać osobom, które dotknęła depresja. I zazdrościła trochę swojemu szefowi, że może to robić tak skutecznie. Ale to była zdrowa zazdrość, taka, która ją motywowała. Obserwowała profesora Zaniewskiego i chłonęła wszystko, co widziała. Nie pozwalała jej uczestniczyć w sesjach, ale widziała wielokrotnie, jak rozmawiał z pacjentami. Z nią zresztą też rozmawiał wiele razy, tłumacząc, dlaczego robi tak, a nie inaczej. Traktował ją jak swoją uczennicę, a ona była z tego dumna.

Nie była natomiast dumna z tego, że to, czego uczyła się od profesora, zaczynała wykorzystywać w relacjach z Magdą. Łapała się na chwilach, w których dokonywała analizy psychologicznej przyjaciółki. Była zaskoczona, że potrafi na nią patrzeć jak na pacjenta – chłodno, wręcz naukowo. I dziś w pracy też o tym myślała; zbyt długo, bo znowu pojawiły się wyrzuty sumienia.

Po pracy pojechała na zakupy i przy okazji zjadła obiad w centrum handlowym. Dzień jak co dzień. Czasem narzekała na tę codzienność, twierdząc, że w jej życiu nie dzieje się nic ciekawego. Ale bywało, że chwaliła sobie tę nudę. Jej mama mówiła, że tak jest dobrze, bo to znaczy, że nie dzieje się nic złego. Ale Agnieszka chciałaby niekiedy zaszaleć, wyjechać gdzieś spontanicznie, wykrzyczeć coś czasem, zakochać się albo pójść do łóżka z nieznanym i nigdy więcej się z nim nie widzieć.

Po powrocie do domu ucięła sobie drzemkę. Półgodzinną, bez snu albo ze snem, którego nie zapamiętała. I jak zwykle potrzebowała chwili, by dojść do siebie po przebudzeniu. Bywało tak, że po takiej drzemce nie wiedziała, gdzie jest.

Po osiemnastej dostała wiadomość od Magdy, że przespała prawie cały dzień i że jest już w pracy. Ale Agnieszce się nie spieszyło. Planowała się tego dnia rozluźnić, napić piwa, pośmiać, rozweselić przyjaciółkę. Dlatego chciała tam pójść później.

Do pubu weszła po dwudziestej. Idealna pora, bo nie było w nim pusto, ale przed pojawieniem się tłumów. Nie od razu zauważyła Magdę. Usiadła więc przy barze i czekała, stukając paznokciami o blat. Z głośników płynęła mocna muzyka Pearl Jam, co kłóciło się trochę ze spokojem, jakie to miejsce jeszcze teraz w sobie miało.

Agnieszka rozejrzała się po lokalu i naliczyła osiem osób. Każda z nich sączyła piwo w wysokiej szklanki, która wiernie oddawała złocisty kolor trunku. Tylko jedna dziewczyna okrasila tę barwę sokiem malinowym. Agnieszka obiecała sobie kiedyś, że nigdy tego nie zrobi. Szanowała zdanie piwo-szy, że to profanacja.

– Jest Magda? – zapytała, kiedy za barem pojawił się Kuba. Znała go, bo przychodziła tu czasem do przyjaciółki. Siłą rzeczy nie udało się uniknąć takich znajomości. Choć Kuba był miły. Nigdy nie widziała go w innym stroju niż ten „pubowy”. Na biodrach przewieszony fartuch, wyglądający na dość ciężki, i czarna koszulka z prostym napisem „Manto”. To nazwa pubu. Szef żartował, że ma oznaczać zwyczajne „wpierdol”, ale mówił tak tylko przy znajomych. Przy obcych twierdził, że to od nazwiska pakistańskiego pisarza. Zawsze się z tego z Magdą śmiały. I doceniały intelekt Krzysztofa.

– Jest gdzieś tam z tyłu – odpowiedział Kuba, robiąc dwa kroki w tył i zerkając na zaplecze.

– Nie, nie. Nie wołaj jej, poczekam! – rzuciła Agnieszka, uderzając lekko dłonią o blat baru.

– Okej, okej. – Uśmiechnął się. – Nalać ci browara?

Przytaknęła. Myślała o pełnej szklance całą drogę do Manto. Szła pieszo, bo mieszkała niedaleko i bardzo lubiła te małe odległości do wszystkich miejsc, które chciała odwiedzać. Wieczorne spacer



były dla niej chwilami uniesienia. Lewitowała, patrząc na światła miasta. Niektóre zapierały jej dech w piersiach, za każdym razem tak samo.

– Chcesz zmierzyć wysokość piany? – zapytał Kuba, kiedy postawił przed nią pełną szklankę z grubą białą gąbką na górze.

– Nie da się – odparła. – Piana powinna być nad szklanką, wtedy można mierzyć. Teraz to tylko zapaska dla sprawdzenia sztywności piany.

– Widzę, że się na tym znasz!

– Ale jeśli dolewacie wody do beczki, to piana będzie do dupy. – Uśmiechnęła się przy tym szelmowsko.

Kuba pokiwał głową, śmiejąc się głośno, a Agnieszka wzięła dwa łyki idealnie schłodzonego piwa. Zerknęła jeszcze w telefon, raczej z nudów niż z zainteresowania wiadomościami czy postami na facebooku.

Kątem oka zauważyła, że przysunęła się do niej mała miska ze słonymi orzeszkami.

– Do piwa idealne – powiedziała Magda, bo to ona pojawiła się z tym naczyniem. Ubrana jak Kuba – czarny fartuch, czarna koszulka, ale z mniejszym napisem niż u niego.

– Jak się masz? – zapytała Agnieszka z troską.

– Lepiej, może potrzebowałam snu i odpoczynku.

– Czyli to złe samopoczucie, z powodu którego odwołałaś spotkanie, to ściema?

– Nie chciało mi się zwlec z łóżka i za dużo jeszcze myślałam. – Poczęstowała się orzeszkami, jakby chciała nabrać wody w usta. – Nadal myślę, przynajmniej fizycznie się już pozbierałam.

Agnieszkę korciło, by znów zapytać, co tam się wydarzyło. Zrezygnowała z tego pytania, bo w tym miejscu i tak nie otrzymałaby odpowiedzi. Ale ogarniało ją zniecierpliwienie, że nie wie, co znaczy „nadal myślę”, bo ona akurat nie wiedziała, o czym nadal myśli. Miała podłe wrażenie, że Magda nie chce się z nią tym podzielić. Z nią, wieloletnią przyjaciółką, z którą tyle przeżyła. I zachodziła w głowę, czy to brak zaufania, czy też nadszedł moment odcięcia pępownicy. Do tej pory obie przybiegały do siebie z każdym problemem, nawet błahym. Wsparcie było czymś naturalnym.

– Radek się zapowiedział – odezwała się nagle Magda.

– Co to znaczy? – zapytała zaskoczona Agnieszka.

– Napisał, że przyjdzie dziś do pubu, bo chce się ze mną zobaczyć.

– Zgodziłaś się?

– Każdy tu może przyjść, nie mogę zabronić.

– Możesz! – Agnieszka uderzyła pięścią w stół. – Możesz mu powiedzieć, że nie chcesz go widzieć.

– Dlaczego tak mówisz? Przecież nie wiesz, co się stało.

– Mam dobrą intuicję. Jestem przekonana, że stało się coś, za co on ponosi winę – mówiąc to, Agnieszka przysunęła się do twarzy Magdy. – I nie lubię, i nie ufam, i mam złe przeczucia.

Znowu uderzała paznokciami o blat. Była zła, że niewiele wie i nie ma pojęcia, jak pomóc, co zrobić, żeby było dobrze. I widziała zakłopotanie na twarzy przyjaciółki.

– Mówiłaś wczoraj prawie przez sen, że on cię obronił...

Magda spojrzała zdziwiona na Agnieszkę, jakby nie była świadoma, że wypowiedziała to zdanie w jej obecności.

– Przed czym?

Przewróciła oczami.

– Naprawdę zadajesz mi to pytanie teraz i tutaj?

Miała rację. To nie czas ani miejsce. Nawet chyba nie chciała, żeby Magda zaczęła opowiadać. Daleka była od położenia jej na kozetce psychologa, ale pub to skrajność.

– Twoje zdrowie, Magda! – Podniosła szklankę i, nie czekając na odpowiedź przyjaciółki, wychyliła całą zawartość. Po ostatniej kropli z rozmachem odłożyła szklankę, stukając nią o blat. Dźwięk był na tyle zaskakujący, że nawet Kuba spojrział z drugiego końca bufetu. Nie zareagował jednak w żaden sposób.

– Należesz mi drugie? – Agnieszka popchnęła szklankę w stronę nalewaka.

W pubie pojawiły się kolejne cztery osoby, wchodząc z hukiem, hałaśliwie. Trzech mężczyzn i kobieta; wyglądali, jakby właśnie wyszli z biura korporacji. Oni w garniturach, ona w sukience pod kolano i zapiętej pod szyję. Wyraźnie zadowolona z męskiego towarzystwa. Oni zresztą prześcigali się w nadskakiwaniu jej. Żaloszne – pomyślała Agnieszka i odwróciła od nich wzrok. Patrzyła, jak Magda napełnia jej szklankę złocistym płynem.

– Jakiś facet pyta o ciebie. – Kuba podszedł niepostrzeżenie. – Ale stoi przy tylnym wejściu, od zaplecza.

– Jaki facet?

– Nie wiem, nie przedstawił się, ale chyba go z tobą już tutaj widziałem.

– Nie idź! – powiedziała szybko Agnieszka. – Niech przyjdzie tutaj jak człowiek, jak klient.

Magda skrzywiła się, ale sprawiała przy tym wrażenie, że zgadza się z myślą przyjaciółki.

– Powiedz mu, że jestem tutaj i nigdzie się nie wybieram – poprosiła spokojnie, stawiając pełną szklankę na blacie.

Agnieszka patrzyła na Magdę z uwagą, chciała odgadnąć jej myśli, chciała dostrzec w jej twarzy jakieś emocje. Ale nie dostrzegła. Przyjaciółka spokojnie przecierała blat baru, potem wstawiła kilka kufli do malej zmywarki.

– Co mu powiesz? – zapytała Agnieszka.

– Bardziej interesuje mnie, co on ma mi do powiedzenia – odrzekła spokojnie.

Agnieszka bała się, że Magda rzuci się Radkowi na szyję.

– Powiedz mi jedną rzecz... – Agnieszka sięgnęła do jej dłoni i chwyciła za palce. – Widziałam cię po powrocie, obserwowałam cię. Teraz widzę mocny makijaż pod okiem, na nadgarstku masz jakąś bransoletę z cekinami... Rozumiem tę kopertę, nie była pierwsza od niego... ale czy on cię zgwałcił?

Magda wyrwała dłoń z jej uścisku. Spojrzała w stronę wejścia. Agnieszka też się odwróciła i zobaczyła go – stojącego, wyprostowanego i wpatrującego się w jej przyjaciółkę. Jak zwykle nienaganny wygląd. Włosy na żelu, jasna koszula, czarny krawat i szary garnitur w prążki. Spod mankietu wyzierał efektowny zegarek.

– Nie rozśmieszaj mnie – szepnęła Magda. – Uprawialiśmy seks wielokrotnie i robiłam to z własnej woli. Tu nie chodzi o żaden gwałt. W taki kontrolowany mogłabym się nawet bawić.

Czasu na reakcję Agnieszka już nie miała. Radek podszedł do baru i usiadł na wysokim stołku.

– Cześć Magda, cześć Agnieszka – przywitał się niskim głosem. Agnieszka nie odpowiedziała, bo jeszcze nie otrząsnęła się po tym, co powiedziała Magda.

– Zostawię was – rzuciła.

– Nie, nie! – zaprotestował szybko Radek. – Wolałbym poprosić Magdę na stronę. Zgodzisz się, Magda?

Agnieszkę zaniepokoiło, że ton jego głosu nie brzmiał łagodnie. Była w nim pretensja, była roszczeniowość. Jakby chciał powiedzieć: „Masz ze mną pójsć na stronę i już!”

Poszli. Usiedli przy stoliku w samym rogu lokalu. To tam najczęściej siadali tacy klienci, którzy chcieli się odizolować na tyle, na ile się dało w takim pubie. Tylko tam była szansa rozmawiać w sekrecie.

Agnieszka sączyła swoje piwo powoli, zerkając co kilka sekund w ich stronę. Nie potrafiła zebrać myśli, skupić się na jednej lub zająć się czymś innym niż ich rozmowa. Nie znosiła tego człowieka, a teraz dodatkowo budził w niej grozę.

Magda była zdenerwowana, trochę chyba nawet przestraszona. A on gestykułował jak Włoch. Mówił, energicznie wymachując rękoma. Ona wtrącała jakieś słowa. Momentami mrużyła oczy, coś tłumacząc, wtedy było widać złość. To była kłótnia kochanków. Dość burzliwa, bo Radek kilka razy uderzył otwartą dłonią w blat stołu i wreszcie chwycił Magdę mocno za ramię i potrząsnął.

– Kuba! – Agnieszka wyprostowała się na hokerze, przywołując barmana. Ten podszedł szybko, spodziewając się kolejnego zamówienia. – Patrz!

Wskazała mu głową stolik, przy którym siedziała Magda z Radkiem. Zdążył zobaczyć jego zaciśniętą dłoń na ramieniu koleżanki. Wyszedł zza baru i po chwili stał już przy nich. Coś powiedział, potem wskazał ręką drzwi. Po kilku sekundach Radek wstał, jeszcze rzucił kilka słów, nachylając się nad Magdą, i wyszedł.

Agnieszce serce waliło jak młotem. Nie wiedziała, czy podejść do niej, czy poczekać. Nie ruszyła się jednak, bo Kuba przyprowadził Magdę, mówiąc, by usiadła na chwilę i się uspokoiła. I że zajmie się klientami. I że jeśli chce, może iść do domu.

Ale ona pokiwała przecząco głową i zmusiła się do uśmiechu. Potarła ramię, za które chwilę wcześniej trzymał Radek, i spojrzała na Agnieszkę.

– Teraz to się boję – powiedziała.

Dawno nie strzelał. Przez tę chwilę, w której trzymał intruza na muszce, przypomniał sobie, że nigdy nie był rewelacyjnym strzelcem. Wprawdzie trafił na strzelnicę w „dychę”, ale nieregularnie, jakby z przypadku. Częściej była to jakaś ósemka. A kiedy strzelali do sylwetek narysowanych na kartonach, to zamiast w głowę, trafiał w szyję. Nie było źle.

Do człowieka strzelał tylko raz. Nie było wyjścia. I wtedy też, celując w kolano, trafił w udo. Zdecydowanie broń palna nie była jego ulubioną. Wolał nóż. Ale teraz pod ręką miał strzelbę. Jakakolwiek ona by była, to działała na wyobraźnię tego człowieka, w którego została wycelowana.

Rozpoznał go w sekundę. I nie czuł z jego strony zagrożenia, nie czuł wrogości. Sam również takiej wobec niego nie miał. Potyczka na polanie była przypadkiem, przed barem spojrzenie również nie wypełniło go grozą. Stanowiło dla niego jedynie zagadkę, bo nie znalazł odpowiedzi na pytanie, czego ten człowiek chce. Ale przede wszystkim widział go z Alicją, a ona była wentylem bezpieczeństwa, choć nie miał pojęcia, dlaczego tak ją postrzega.

Opuścił broń, oparł ją o biodro. Widział kątem oka zdziwienie i przerażenie Wojtka. Pewnie wolałby, żeby padł strzał, choćby ostrzegawczy. Ale Daniel nie widział takiej potrzeby. W każdej chwili mógł przymierzyć i strzelić, a tamten stał bezbronny.

– Zgubiłeś się? – Daniel zszedł z ganku, zadając to pytanie. Nieznajomy też zrobił dwa kroki. Pokręcił przecząco głową. Zatrzymali się obydwaj. I znowu, tak jak wcześniej, patrzyli na siebie jak bokserzy przed walką.

– Szukasz kogoś? – zapytał drwal jeszcze raz.

– Ciebie! – krzyknął nieznajomy.

– Mnie? To znaczy kogo?

– Człowieka, do którego wczoraj ktoś strzelał.

Daniel odwrócił się i wszedł na ganek. Odłożył strzelbę.

– Zapraszam – powiedział głośno.

Wojtek znieruchomiał, a nieznajomy stał przez moment, jakby się zastanawiając, czy skorzysta z zaproszenia. Po chwili jednak ruszył i stanął na schodach z rękami w kieszeniach.

– Skąd wiesz, że do kogoś strzelano?

– Widziałem.

– Co widziałeś?

– Strzelca.

Daniel patrzył na niego wnikliwie. Nie wiedział już, co o nim myśleć. Siłował się z nim na polanie, potem stoczył pojedynek na spojrzem, a teraz już nie wiedział, po której stronie jest ten człowiek.

– No dobra, załóżmy, że to do mnie ktoś strzelał – powiedział z ironicznym uśmiechem. – To co teraz?

Mężczyzna wszedł jeden stopień wyżej, to już ostatni. Głęboko odetchnął.

– Teraz to musisz się przygotować, bo idą do ciebie.

Daniel wstał.

– Kto idzie?

– Tego nie wiem. Słyszałem rozmowę. W południe ruszają.

– Skąd wniosek, że do mnie?

– Mówili o dzikusie z lasu.

– Czy ja wyglądam na dzikusa? – Daniel się uśmiechnął.

– Nie wiem, ale dla nich z pewnością jesteś z lasu.

Daniel spojrział na Wojtka. Kompan był przerażony. Stał nieruchomo od kilku minut i nie potrafił wydusić nawet chrząknięcia.

– Co jeszcze słyszałeś?

– ...że skurwiel za dużo wie. Nawet o tej dziwce. I o tej drugiej też.

Kiedy w niedalekiej przeszłości słyszał, że ktoś za dużo wie, wiedział, że szykuje się na niego wyrok albo sprawienie, że temu komuś nie przyjdzie do głowy sypanąć.

– Przyszedłeś mnie ostrzec? – zapytał i usiadł na krześle.

Wojtek się poruszył. A właściwie opadł na podłogę, chcąc na niej usiąść. Nadal był przerażony tym, co się dzieje.

– Ja pana znam – powiedział nagle.

Nieznamy spojrzeli na niego nieco zaskoczony. Był też zdenerwowany, bo zaciskał szczęki w charakterystyczny sposób.

– Mateusz Fajkowski. – Wojtek powiedział to niepewnie, jakby miał wątpliwości, czy dobrze podaje nazwisko.

Daniel spojrzeli na niego pytającym wzrokiem. Kompletnie nie wiedział, o co chodzi. Spotkali się już gdzieś? To Wojtka kumpel z przeszłości?

– To dziennikarz – wyjaśnił Wojtek. – Z telewizji.

– To nie ma znaczenia – zapewnił pan z telewizji.

– Trochę jednak ma. – Daniel wstał. – Byłoby prościej, gdybyś jednak opuścił to miejsce i o nim zapomniał.

Mężczyzna skinął głową i cofnął się o krok.

– W porządku – rzekł. – Najważniejsze powiedziałem, mogę iść.

Odwrócił się i powoli ruszył w głąb lasu. Ale w pewnym momencie się zatrzymał.

– O co chodzi z tą dziwką? I tą drugą? – zapytał.

– Nie wiem.

– A ma to coś wspólnego z ogłoszeniem, które oglądałeś we wsi?

Daniel spojrzeli na Wojtka, Wojtek na niego. Jednocześnie skinęli głowami, potwierdzając sobie coś, co było jedynie w ich myślach.

Patrzę na nich. Nie wiem, co właśnie uzgodnili między sobą, ale skinienie głową było najwyraźniej potwierdzeniem jakiejś myśli. Że mnie zabiją? Że mnie okaleczą? Że mnie zamkną w tej chacie i będą torturować? Myślę jak panikarz, ale przecież dumny jestem, że tak dzielnie się trzymam, choć wewnątrz mnie wszystko się trzęsie ze zdenerwowania. Brzuch mnie od tego boli. To dziwne, bo wyraźnie widać, że nie mają złych zamiarów.

Zaskakuję samego siebie tą dziwną odwagą. Zachowałem się, jakbym nie miał nic do stracenia. A coś tam jednak mam.

I teraz stoję, i czekam jak na werdykt, jak na opinię, czy byłem grzeczny.

I po tym skinieniu głową wyższy zerka na mnie i daje mi znak, żebym szedł za nim. Idę więc trochę przestraszony, bo wchodzi do środka. Chyba chce, bym podążał za nim. Nie wiem, czego się spodziewać.

Drzwi zostawia szeroko otwarte, dzięki czemu już ze schodów widzę łóżko, a na nim koc, pod którym wyraźnie ktoś leży. Zwalniam kroku. Ten niższy został przed drzwiami, więc kątem oka zerkam na niego, zbliżając się do drzwi. Przez próg przechodzę już bardzo wolno. Najpierw lokalizuję tego drugiego, a potem, kiedy już widzę go stojącego przy kuchence, przyglądam się wypukłościom na łóżku. Dopiero kiedy staję przy nim, widzę dziewczynę o czarnych, prostych włosach. Widzę też siniaka pod lewym okiem. Śpi. Widzę, jak pod powiekami poruszają się jej gałki oczne.

Patrzę na człowieka, którego w hotelu ktoś nazwał dzikusiem. Przysuwa jedynie palec do ust. Zaraz potem wychodzi na zewnątrz. Jeszcze chwilę przyglądam się dziewczynie i ruszam za nim. Zamyka za mną drzwi.

– Być może to jest ta dziwka – mówi. – Albo ta druga, nie wiem.

Nadal nie czuję się pewnie w ich towarzystwie i staję na schodach w odległości około dwóch metrów od nich. Tak jest bezpieczniej.

– To wasza znajoma? – pytam.

Wyższy się uśmiecha.

– Nie. Nie wiem, kim jest. Znalazłem ją w lesie.

Siada na krześle.

– Kim jesteś? Jak tu dotarłeś? – pyta, patrząc na mnie jak gliniarz na przesłuchiwanego. – Szedłeś za nim? – Wskazał na tego drugiego.

– Nie – odpowiadam. – Zauważyłem go dopiero tuż przed domem.

Kiwa głową na znak, że przyjmuje taką informację. Ten drugi też chyba wzdycha z ulgą. To ten wyższy tu rządzi, to oczywiste. Ale nie jest to relacja szefa z podwładnym. Ani też bossa grupy przestępczej z gorylem. Zwykła dominacja silniejszego charakteru.

– Szedłem od miejsca, w którym się ostatnio widzieliśmy.

– No tak, to ty. – Skrzyżował ręce na klatce piersiowej. – Więc kim jesteś i czego oczekujesz po tej dziwnej wizycie?

Opieram się o belkę podtrzymującą zadaszenie.

– Mieszkam w hotelu...

– To chyba też wiem – przerywa mi, chce mnie ustawić.

– ...i usłyszałem rozmowę... i chciałem się przekonać, na kogo szykują obławę – mówię prawdę, choć nie całą.

– I jakie wnioski?

Nie mam wniosków. Nie wiem, co myśleć, dlatego postanowiłem nie odpowiadać na to pytanie. Wysuwanie wniosków dodatkowo utrudnia mi ta dziewczyna w łóżku. Zastanawia mnie milczenie tego drugiego. Ciągłe stoi właściwie bez ruchu, sprawia wrażenie bezgranicznie wystraszonego. I tak jak rośnie moje zaufanie do tego dużego, tak do niego mam stosunek jeszcze nieokreślony.

– Powinienem ci być wdzięczny za ostrzeżenie – mówi, nie poruszając się na krześle – ale nie wiem, dlaczego to robisz. Może jesteś ich szpiegiem, sprawdzasz teren, testujesz nasze przygotowanie.

Nie wiem, jak z tego wybrnąć. Zaprzeczenie wydaje mi się banalne i wcale nie musi być wiarygodne.

– Wczoraj wieczorem usłyszałem fragmenty rozmowy przy tylnym wejściu do hotelu. Stałem na tarasie. Pytałeś o jakąś Agatę. To ona? – odzywam się, wskazując głową drzwi.

– Być może...

– A potem uciekłeś. I widziałem jakieś zamieszanie w hotelu, a potem strzelca, który schodził z poddasza.

– I dlatego tu teraz jesteś?

– Nie byłoby mnie tutaj, gdyby menedżer tego hotelu nie budził mojego wstrętu. Mam wrażenie, że jest złym człowiekiem.

– I twoje wrażenie jest powodem tej wycieczki dziś do mnie i chęci udzielenia mi pomocy? – Śmieje się szyderczo.

– To ona? Agata? – ponawiam pytanie.

– Przecież powiedziałem: być może – odpowiada lekko zirytowany.

– Wezwę policję – mówię nierozważnie.

Wstaje. Jego twarz nie zareagowała na moje słowa, wyrażała obojętność.

– Mam lepszy pomysł. – Jego głos brzmi groźnie. – Zabierz ją. Najpierw do lekarza, potem zgłoś to na policję. Powiedz, że ją znalazłeś w lesie i nie wiesz, kim jest. Co ty na to?

Na pewno wie, że się na to nie zgodzę. Prowokuje.

– Możemy to razem zrobić – dzielę się świetnym pomysłem, a serce wali mi bezlitośnie.

Parska śmiechem. Ale to śmiech złośliwoci, śmiech, który wywołuje ciarki. Mam wrażenie, że wkurwił go pomysł z policją. To wtedy wstał i pokazał swoją złość. Albo ma z policją na pieńku, albo brak mu do niej zaufania. Stawiam na to pierwsze. Wydaje się bardziej prawdopodobne.

– Kim jesteście? – Pytanie wyskakuje mi z ust niepostrzeżenie. Miało zostać tylko myślą.

– Żartujesz? – oburza się. – Przychodzisz do mojego domu jak intruz, nie przedstawiasz się i pytasz, kim jestem?

– Twój kolega mnie przedstawił. – Pokazuję na tego niższego.

– To znajdź jakiegoś kolegę, który przedstawi nas.

Lubię takich ludzi, inteligentnie złośliwych, bystrych. On mi się taki jawi. Ale nadal nie wiem, kim jest, co tu robi. Może powinienem to zostawić tak jak jest? A dziewczyna? On ją chyba chroni. Może celowo unika kontaktu z policją, bo przeczuwa, że to nie jest dobry pomysł.

W głowie kiełkuje mi myśl, by zostawić ich tutaj samych sobie. Odwrócić się na pięcie i mieć to gdzieś. Swoje zrobiłem, mogę mieć spokojne sumienie, poradzą sobie z tą obławą. Ale kiedy widzę, że niższy podchodzi do tego drugiego i coś mu szepcze do ucha, postanawiam zaczekać. Wyższy wzrusza ramionami i opada na krzesło.

– Jestem Wojtek. – Niższy wyciąga do mnie dłoń. Ściskam ją, wymawiając swoje imię. – Znam pana z telewizji i wydaje mi się, że nie miał pan złych zamiarów, przychodząc tutaj.

Bingo! – myślę sobie. Tęga głowa z tego Wojciecha!

– Nie wiem, czy kolega się przedstawi, bo raczej jest niezbyt towarzyski, ale może pan do niego mówić Drwał. Myślę, że nie będzie miał za złe.

– Wojtek, kurwa! – jęczy ten drugi i zwraca się do mnie zniechęcony sytuacją. – Daniel mam na imię.

Przytakuję. Nasza znajomość się rozwija. Zaczynam się chyba czuć pewniej, skoro pozwalam sobie na przytyki – na razie w myślach.

– Tak się dziwnie składa – mówi dalej Wojtek – że my obydwaj z... Danielem... również mamy problem z niejakim Ksawerym.

– Ja z nim problemu nie mam – wtrąca Daniel. – Muszę tylko mieć szansę go spotkać na swojej drodze, wtedy sprawę załatwię szybko.

– Jaki macie z nim problem? – dopytuję.

– Szantażuje ludzi, jest jakąś gnidą, wrzodem na tyłku – opowiada ze złością Daniel. – I to on albo ktoś z jego polecenia do mnie strzelał.

Wojtek spuszcza wzrok. To chyba jemu dzieje się od Ksawerego większa krzywda. Jest słaby, a Daniel jest jego obrońcą – tak to odczytuję.

– Jesteśmy po tej samej stronie – przerywam ciszę. – Swoim ludziom w hotelu kazał mieć na mnie oko.

– Z jakiego powodu? – pyta Wojtek.

– Nie wiem, może pomyślał, że jako dziennikarz będę wścibski.

– A jesteś? – wtrąca się Daniel.

– Jak trzeba. Ale tutaj miałem odpocząć. Nie zajmować się niczym.

Daniel uśmiecha się ironicznie.

– Nie wyszło?

Chcę przemilczeć to pytanie, skoro jest ironią. A odpowiedź jest oczywista i on o tym wie. I nie czeka na nią. Nadal ma ironiczny uśmiech na twarzy. Teraz już też kręci głową.

– Mówiła coś? – pytam o dziewczynę na łóżku.

– Niewiele – odpowiada Wojtek. – Właściwie nic. Tylko się domyślamy, że to Agata.

– Skąd domyśli? I skąd wzięła się w lesie?

Wojtek zerka na Daniela, jakby czekał na zgodę. Ten jednak nie reaguje, widzę tylko, jak marszczy czoło. Nie wiem jednak, co to oznacza. Czy to irytacja, czy zmartwienie czymś, co siedzi w jego głowie. Ale najwyraźniej ta Agata to jakaś ich tajemnica.

– Idźcie stąd! – mówi nagle. – Nie jesteście mi tu potrzebni, chyba nawet będziecie przeszkadzać, jak przyjdą tamci, by mnie dorwać.

– Daniel, będziesz potrzebować pomocy. – Wojtek rozkłada bezradnie ręce. Ja się z nim zgadzam, ale się nie wtrącam.

– Daj spokój, chłopaku. Dasz komuś w mordę? Powalisz kogoś? Nie, narobisz w portki. Umiesz strzelać? Zresztą o jakim strzelaniu mówimy? Mówiłem ci o strzelbii, a ty mi wiatrówkę przynosisz, człowieku.

Błyskawicznie przenoszę wzrok na broń opartą o mur. Nawet nie przyszło mi do głowy, że to może być zwykła wiatrówka. Myślałem, że jestem o krok od śmierci, kiedy miał mnie na muszce.

– No przepraszam! – niemal krzyknął Wojtek. – Skąd miałem ci wziąć prawdziwą broń palną w środku nocy na takiej wsi? Myślisz, że tu każdy ma pistolet?!

– Wszystko jedno! – fuknął Daniel. – Może ich trochę postraszę. Dam sobie radę, a wy już idźcie.

Nie chcę strugać bohatera i chętnie już teraz ruszyłbym w drogę powrotną. Powstrzymuje mnie tylko ta dziewczyna. Ksaweremu chodzi o dzikusa z lasu, ale nie wie, że zostanie tu kogoś jeszcze. To się może źle skończyć. Dla niej. Bo on rzeczywiście wygląda na takiego, który radził sobie w takich sytuacjach wiele razy.

– O dziewczynę się nie martwcie – mówi, odgadując moje myśli. Może zauważył, że zerknąłem na drzwi. – Zaopekuj się nią i będzie mi łatwiej to zrobić, jak nie będę musiał się wami zajmować. Chyba że ty umiesz strzelać?

Kręcąc przecząco głową. Nie umiem. Kilka wizyt na strzelnicy zakończyło się totalną kląpą i naśmiewaniem się kolegów redaktorów.

– To idźcie! – Odwraca się i sięga po wiatrówkę. – Jak strzelę śrutem w dupę, to coś zadziała, choć na chwilę. Poradzę sobie. Mówiłeś, ilu ich będzie?

– Nie wiem, ilu ich będzie. Wydaje mi się, że skoro dwóch mówiło o jeszcze jednym, to będzie ich trzech, może czterech.

Przytakuje na znak, że zakodował. Sięga po strzelbę, łamie lufę i załadowuje śrut. Ma pewne ruchy, nie robi tego po raz pierwszy. Przykłada oko do celownika, a lufę kieruje w stronę drzew. Pociąga za spust i rozlega się cichy trzask.

– No! Tłumika nie trzeba – komentuje z uśmiechem. Zaraz potem strzela drugi raz i trzeci. Za każdym razem zmienia cel. I robi to szybko. Nie wiem, w co trafia, pewnie w drzewa. Albo strzela na oślep. Ale imponuje mi pewnością ruchów. Nabieram przekonania, że wie, o czym mówi, twierdząc, że poradzi sobie bez nas.

– Idźcie! – mówi jeszcze raz i wchodzi do środka. Przez otwarte przez chwilę drzwi widzę dziewczynę leżącą teraz w innej pozycji. Zmieniła w trakcie snu czy przebudziła się na chwilę? Słyszała naszą rozmowę?

Zostają na ganku sam z tym Wojtkiem. Widzę, że nie wie, co zrobić. Na bohatera nie wygląda, więc pewnie chce stąd uciec, ale wiąże go coś z tym Danielem, jakiś układ, może przyjaźń, dlatego się waha. Mnie powinno być wszystko jedno, ale ta dziewczyna...

Wchodzi do środka. Daniel stoi nad łóżkiem i patrzy na jej głowę. Daje mi znak dłonią, żebym poszedł. Kiedy już stoję obok niego, pochyla się i pokazuje palcem jej włosy i odsłania plecy. Widzę dwie rany. Potem Daniel wypycha mnie z chaty.

– Tu nie ma zabawy – stwierdza, kiedy stoimy na ganku. – Jedna to rana postrzałowa, druga to uderzenie czymś tępym. Jeśli chcecie się w to bawić, to zostańcie. Ale ojedźcie, jeżeli chcecie, żebym sam to załatwił.

Klepie Wojtka po ramieniu, na mnie tylko zerka, potakując głową. Próbuje nas uspokoić, ale ja w środku dygoczę.

– Zresztą możliwe, że tu nie dotrą.

– Mnie się udało.

– To przypadek.

Wchodzi jeszcze raz do środka. I zamyka drzwi. To dla nas sygnał, że naprawdę mamy sobie pójść. Nie sądzę, by to był typ, który wystawia na próbę naszą lojalność. On naprawdę chce być z tym sam. Samotny wilk. Pewnie dlatego tu mieszka.

Idziemy. Trochę czuję się z tym jak tchórz.



Początkowo idziemy w milczeniu. On przede mną, bo lepiej zna drogę. Jest to inna droga niż ta, którą sam doszedłem. Nawet nie podnosi głowy, jakby szedł po tropach. Tylko od czasu do czasu sprawdza, czy jestem z nim, czy nie czmychnąłem w bok. Być może jego zadaniem jest wyprowadzenie mnie stąd w taki sposób, bym już nigdy tu nie trafił.

– Powiesz mi, kim jesteście? – pytam, kiedy już jesteśmy na ścieżce, którą pamiętam.

Nie odpowiada od razu. Myślę, że chce się dobrze zastanowić, co powiedzieć. Może też nie wie, czy powinien mi zaufać, choć on ma w sobie więcej zaufania do mnie niż Daniel.

– Jesteśmy zwykłymi ludźmi – odzywa się wreszcie. – Jak to powiedział Daniel, jesteśmy przypadkiem, nie powinniśmy się tu znaleźć i komuś przeszkadzamy.

– To mi niewiele mówi.

Przystaje na chwilę i się odwraca. Patrzy mi w oczy i tym razem jest to wzrok kogoś, kto wie, co robi. Ale to też wzrok smutny, nadal trochę przestraszony. Nie umiem tego określić, ale zaskakuje mnie to spojrzenie.

– Jestem stąd, choć stąd nie pochodzę – mówi, ruszając w dalszą drogę. – Mieszkam tu od wielu lat. A Daniel...

Zatrzymuje się. Przyglądam się temu, co robi, ale on wpatruje się w jedno miejsce i chyba nasłuchuje, po czym zerka w lewo i w prawo. Robię to samo, ale niczego nie dostrzegam. On również, bo znów zaczyna iść.

– ...Daniel pojawił się tu kilka miesięcy temu, nie wiem skąd i nie pytam. Nie chcę wiedzieć. I on też nie chce o tym mówić, bo gdyby chciał, toby mi powiedział. Jestem praktycznie jedyną osobą, z którą tutaj utrzymuje kontakt.

Na końcu ścieżki widać już drogę, przy której stoi bar. Trochę jestem zaskoczony, bo spodziewałem się, że Wojtek będzie bardziej rozmowny, że będzie pytał. Tymczasem jest jakiś inny niż przy Danielu. Spokojniejszy. Albo po prostu skupiony na wyprowadzeniu mnie z lasu.

– Dlaczego podpadł ludziom z hotelu? – pytam.

– Bo tutejsi nie lubią obcych – odpowiada.

Mówi to, odwracając się do mnie. I mówi, jakby wierzył w te słowa.

– Nie wierzę. – Kręcę głową. – Ci z hotelu też nie są tutejsi.

Kiedy już docieramy do drogi, Wojtek zatrzymuje się i rozgląda we wszystkie strony. Jest raczej za wcześnie, żeby bar był otwarty. Nie ma jeszcze dziewiątej. Chyba że tu górale na piwo chodzą, jak tylko wracają z owcami z łąk.

– Idę do domu – mówi cicho, bez przekonania.

Kiwam głową i sam ruszam w stronę hotelu. Robi mi się zimno, nie wiem dlaczego, może z przejęcia, z emocji. Marzę o gorącym prysznicu, ale ta myśl wywołuje we mnie wyrzuty sumienia. Będzie mi dobrze i wygodnie w hotelu, a ten Daniel czeka na kilku myśliwych. I jest zwierzyną. Tchórz Fajkowski, tchórz dziennikarz.

W hotelu idę od razu na śniadanie. Wchodząc, rozglądam się, bo nie chcę trafić na Alicję, nie teraz. Później z nią porozmawiam. Jem szybko i mało. Dwie kanapki z łososiem, pijam sokiem. Zaraz potem szybkim krokiem opuszczam restaurację, żeby na nikogo się nie natknąć. Zatrzymuję się jednak przy szklanych drzwiach do części rekreacyjnej. W basenie widzę Alicję. Jest jeszcze ktoś, ale to ona przyciąga moją uwagę.

Nie wracam jeszcze do pokoju. Siadam na tarasie z filiżanką kawy i czekam, choć nie wiem na co. Denerwuję się. Poruszam kolanem w ten specyficzny dla siebie sposób, zawsze to robię, kiedy jestem niespokojny albo czuję, że coś się wydarzy.

Przypominam sobie, że podczas śniadania telefon powiadomił o wiadomości. Kolano na chwilę przestaje się poruszać.

„Co mam powiedzieć Miłoszowi, jak go spotkam?” – pytanie Doroty. Szczerze mówiąc, nie wiem, nie myślałem o tym. Może lepiej, żeby go nie szukała i skupiła się na Magdzie.

Podchodzę do balustrady i patrzę w dół, dokładnie w to miejsce, w którym wczoraj wieczorem spalili się Ksawery i Daniel. Słyszę te głosy teraz, nawet dość dokładnie. I dopiero dociera do mnie, że w tej rozmowie padło imię „Wojtek”... „odpierdol się od Wojtka. Wypytyujesz go o mnie...”. Czyli Wojtek zna Ksawerego, miał z nim kontakt. A Ksawery zna Wojtka. Chyba czegoś nie rozumiem. Ale czy muszę rozumieć? Czy muszę się tym zajmować? Kurwa! Wpierdoliłem się. Teraz to już mi żal tego Daniela i tej dziewczyny.

Idę do pokoju. Ale jeszcze przejdę się korytarzem prowadzącym do tego tajnego biura. Coś mnie pcha w tę stronę, jakaś intuicja czy coś. Pewnie jakiś idealista dziennikarski powiedziałby, że wiedzie mnie instynkt żurnalisty. Tyle że ja nigdy czegoś takiego w sobie nie miałem.

Zatrzymuję się na górze schodów, które prowadzą do tych zakamuflowanych drzwi. Cisza. Absolutna cisza. Mam rację, twierdząc, że brak mi choćby odrobiny instynktu przypisanego do zawodu. Pojawia się natomiast ciekawość, jak długi jest ten korytarz. Idę więc dalej. Niby widzę ścianę, ale korytarz skręca w lewo. I tam chcę pójść. Tyle że kiedy skręcam, widzę kolejną ścianę. Czyli koniec korytarza. To mi w ogóle nie pasuje do mojej przestrzennej orientacji. Nade mną z pewnością ciągnie się budynek, a tu kończy się korytarz. Głupieję już, bo znowu wietrzę spisek. Ten hotel zaczyna mnie wkurwiać. To zupełnie niepodobne do mnie, że teraz stoję przy ścianie i ją opukuję jak lekarz płuca. Zwarłowałem.

Zły, wręcz wściekły na siebie wracam tym samym korytarzem, ale już szybszym krokiem. Znowu zatrzymuje mnie ten instynkt, którego nie mam. Tym razem jednak został on wyręczony zmysłem słuchu, bo dochodzi do mnie dźwięk otwieranych drzwi i szepty. Przyklejam się do ściany, choć nie wiem, czy to ma sens, bo jeśli ktoś się tu pojawi, wyjdę na idiotę lub intruza. Słyszę zresztą, że ktoś wbiega po schodach. Odrywam się od ściany i zgrzywam przypadkowego przechodnia.

– Znajdziemy go, mam lokalizację – słyszę jeszcze, zanim ten ktoś pojawia się na piętrze. Mówi do telefonu. To szczupły mężczyzna o siwych włosach, cały ubrany na czarno. Kiedy mnie dostrzega, lustruje z góry na dół, ale spokojnie idzie dalej, kończąc rozmowę i wsuwając telefon do tylnej kieszeni. Przez chwilę zastanawiam się, czy jego postać pasuje do sylwetki strzelca schodzącego z poddasza. Pewności nie mam, ale dostrzegam wiele podobieństw.

Co to znaczy „mam lokalizację”? Grzebię w głowie w poszukiwaniu informacji i skojarzeń. I wpadam na ślad mojego zainteresowania możliwościami technologicznymi. Jakiś czas temu odkryłem, że można innej osobie wysłać przez telefon lokalizację, oznaczyć miejsce, w którym się znajduję, i wysłać. I o taką lokalizację mogło tu chodzić. W jednej sekundzie zaczęło mi walić serce, a żołądek ścisnął się do rozmiaru orzecha.

Z hotelu wyszedłem, niemal biegnąc. Dopiero po chwili przychodzi mi do głowy, że kogoś może to zaniepokoić, i zwalniam. Staram się iść najspokojniej, jak umiem, ale nie wiem, czy mi wychodzi. Zresztą chuj z tym, to chyba nieistotne. I przyspieszam. W stronę baru, bo tylko od tej strony jestem w stanie trafić.

Kiedy wchodzę w las, zaczynam biec.

I słyszę dzwonek wiadomości w telefonie. Sprawdzam. Ktoś nagrał się na pocztę głosową. Nie mam teraz czasu, ale może to ważne.

Dziwiw się, kiedy słyszę, że to Dorota. Nigdy się nie nagrywa.

„Mateusz, w co ty chcesz mnie zrobić? Ten Miłosz to niebezpieczny i śliski gość. Nie pójdę do niego. I nie zrobię już nic, dopóki mi nie powiesz, co się dzieje. Chcę wiedzieć, słyszysz? Chcę wiedzieć!”.

Drzy jej głos, jest zdenerwowana. Wygląda na to, że między wiadomością a nagraniem coś się wydarzyło. Piszę do niej szybko:

„Zostaw Miłosza, znajdź Magdę. Zadzwoń później”.

Bez problemu znajduję miejsce, w którym szedłem kilka godzin wcześniej ze ścieżki. Potem też idzie mi jak z płatką. Obudziło się we mnie zwierzę tropiące. Jeszcze chwila i posądzę siebie o posiadanie psiego węchu. I niezłej kondycji, choć to jest jeszcze mniej możliwe niż ten psi węch. Ale biegnę i mam jeszcze siłę. Dopiero kiedy między drzewami widzę dom, zwalniam i na chwilę przystaję. Opieram ręce o kolana i ciężko oddycham, wręcz dyszę. Nie ma ze mnie nic z charta afrykańskiego.

Do domu podchodzę powoli, z obawy, że oberwę śrutem. Wolę podejść od frontu, niech mnie widzi, niech nie bierze mnie za intruza. Jestem już blisko, już prawie na schodach. I nic się nie dzieje. Podchodzę do drzwi, ale stoję przed nimi rozdygotany. I znowu przypominam sobie, że miałem tu odpocząć. Nasłuchuję, czy ktoś jest w środku, czy może ktoś rozmawia. Zupełna cisza. Dopiero teraz zauważam, że drzwi nie są domknięte, więc lekko je popycham.

Łóżko jest puste. Nie ma na nim nawet poduszki i koca. Nie ma dziewczyny. Nie ma Daniela. Uciekł z nią? To dziwne, bo raczej sprawia wrażenie gotowego do walki.

Nagle coś dźga mnie w plecy, coś twardego i tępego. Dźga i trochę popycha. Cholera, to jest lufa.

– Nie odwracaj się! – wkurwiony głos musztruje mnie, kiedy próbuję odwrócić głowę. To głos Daniela. – Po co znowu przylazłeś?! Spieprzaj stąd!

W przypływie złości odwracam się nagle i szybko. Lufa skierowana jest teraz dokładnie w spłot słoneczny.

– Nie wkurwiał mnie – mówię głośno. – Przychodzę ci pomóc, mógłbyś to uszanować, gnojku!

Przez dwie sekundy wygląda na zaskoczonego, potem opuszcza strzelbę i chyba godzi się ze mną, delikatnie się uśmiechając.

– Gdzie jest dziewczyna? – pytam gniewnie.

– Chodź! – odpowiada. Idzie na tył domu. Dołącza do niego pies, merdając bez sensu ogonem. Daniel pochyla się nad nim i głaszcze go po głowie.

– Dokąd idziemy? – indaguję.

– Chodź, chodź! – próbuje mnie uspokoić. Chyba w ten sposób daje do zrozumienia, że to niedaleko.

I rzeczywiście jest. Zatrzymuje się w odległości kilkudziesięciu metrów od domu i kuca za drzewem. Zerka na mnie i przykłada palec do ust. Mam być cicho. Złapał za coś i podnosi. To jak duże drzwi z gałęzi i liści. Odślania szerokie wejście do ziemianki. Podchodzę bliżej, by zajrzeć do środka, do czego Daniel zachęca dłoń. Rzucają się w oczy bardzo nierówne drewniane schodki, na ściankach tego pomieszczenia widać belki. Pewnie mają wzmocnić ściany, by ziemia się nie osunęła. Na małym stoliku stoi lampa naftowa, bo prądu tu zapewne nie ma. W rogu tego pomieszczenia stoi fotel, a na nim siedzi dziewczyna opatulona kocem. Nadal śpi.

– Przyjdiesz tu po nią, jeśli coś mi się stanie – mówi, kiedy już powoli zbliżamy się do domu. – Znajdziesz kogoś zaufanego, kto ci pomoże. Masz w sobie odwagę, by jej pomóc.

Koduję wszystko, co do mnie mówi, ale czuję się jak w filmie sensacyjnym.

– Tylko ty znasz to miejsce – dodaje, wskazując niedbale wejście do ziemianki.

Teraz to już naprawdę nie wierzę, że to się dzieje.

– A teraz już idź.

– Znajdą cię tutaj.

– Wiem.

– Mają twoją lokalizację.

Wbijają we mnie wzrok.

– Że niby wiedzą, że jestem dokładnie w tym miejscu?

– Tak.

– Ty im ją podałeś?

Obraża mnie.

– Szanuj mnie – odpowiadam.

– Ale dobrze myślę, że ktoś im tę lokalizację podał?

– Tak mi się wydaje.

– W takim razie jeśli nie ty i nie ja, to już tylko jedna możliwość zostaje.

Nie wydaje się poruszony. Jakby spodziewał się tego, co się dzieje. A może to po prostu zimna krew. Patrzy na mnie, ja na niego.

– Wojtek? – pytam.

– Wojtek.

„Znajdź Magdę”. Znajdź Magdę, znajdź Magdę. A jak już znajdę to co? – pomyślała.

Wróciła do biura zaraz po tym, jak nagrała wiadomość na sekretarce Mateusza. I siedziała beczynnienie, nie mogąc zebrać myśli. Nie wiedziała, kiedy spodziewać się telefonu, wyjaśnień, jakichś szczegółów. I była zła, jeszcze nie wściekła, ale zła, że przez jego introwertyzm ona musi się denerwować.

A czuła autentyczny niepokój po rozmowie z Emilią. Nie potrafiła jednak rozstrzygnąć, czy martwi się o siebie, czy raczej o Mateusza. To on był bliżej jakiejś sprawy powiązanej z tak opisywanym przez koleżankę Miłozsem.

Nie miała pomysłu, jak znaleźć Magdę, jak znaleźć pub, w którym pracowała. Nie dostrzegła na żadnym zdjęciu jakiegokolwiek wskazówki. A teraz doszedł jeszcze stres, przez który nie może się skoncentrować. Stukała paznokciami o blat biurka, przecierała nerwowo klawiaturę komputera. Nawet ekran „odkurzyła”.

Kiedy tak szukała sobie błahych zajęć, postanowiła ponownie przejrzeć profil Magdy Pałeckiej na instagramie. Pomyślała, że może coś jej umknęło. Jeszcze raz wgapiła się w zdjęcia z pubów, jeszcze raz studiowała twarz Radka Miłozsa i jeszcze raz przyglądała się wszystkim wokół. Już wcześniej zwróciła uwagę na Agnieszkę. Spośród wszystkich pojawiających się na zdjęciach Magdy ludzi ona była tam najczęściej.

Dorota pamiętała, że przynajmniej na jednym zdjęciu były tylko one, Magda i Agnieszka, blisko siebie. Uśmiechnięte, zadowolone. I pod jednym takim zdjęciem Agnieszka była „oznaczona”. Dorota klikała dość szybko, bo była przekonana, że pamięta, która to fotografia. W końcu znalazła. Dwie uśmiechnięte brunetki, właściwie mogłyby być siostrami. Ta z nieco ciemniejszą karnacją to Agnieszka. Pełne usta, ładny uśmiech, trochę kambodżański typ urody. Dorota zerknęła pod zdjęcie. Dziewczyna nie była oznaczona imieniem i nazwiskiem, ale wystarczyło kliknąć, by otworzył się jej profil. Agnieszka Nosek.

Zaczęła przeglądać zdjęcia i wszelkie wpisy. Dziewczyna nie ukrywała, gdzie pracuje.

Gabinet profesora Wiktora Zaniewskiego był na Mokotowie, w dość charakterystycznym miejscu, przy ulicy Dąbrowskiego. Dorota sprawdziła dokładnie położenie, zanim jeszcze wyszła z biura. Z pilnym postanowieniem spotkania tam Agnieszki Nosek wyszła z pracy, machając tylko szefowi i Emilii ręką. Andrzejj nigdy nie zabraniał pracownikom wcześniejszego zakończenia pracy, miał do nich pełne zaufanie. Powtarzał zawsze: „Widocznie zrobił wszystko, co na dziś zaplanował”.

Włączyła nawigację, by nie musieć się zastanawiać, którą drogą jechać. Możliwości było oczywiście kilka. Wybrała najszybszą, która jednak okazała się najdłuższą. Czasem lepiej jest pojechać drogą okrężną.

Zaparkowała bez trudu, choć zwykle o tej porze w tym mieście trudno o wolne miejsca. Do kamienicy z gabinetem profesora miała około stu metrów. Szła i zastanawiała się, co ma zrobić. Stanie przed tą Agnieszką i co? Żałowała, że nie postanowiła poczekać na telefon od Mateusza. Choć właściwie wystarczy, jeśli się dowie, w którym pubie może spotkać Magdę.

Lubiła te stare mokotowskie kamienice. Drzwi wprawdzie nowe, nowoczesne, z domofonem i monitoringiem, ale za to klatka schodowa już tradycyjna, z kamiennymi schodami i efektownymi poręczami. Miała szczęście, bo akurat wchodziła do budynku starsza pani, więc wślizgnęła się tuż za nią. Nawet nie szukała windy, bo wiedziała, że nie znajdzie.

Gabinet miał być na trzecim piętrze. Wzięła więc głębszy wdech i ruszyła na schody. Pokonywała po dwa stopnie, żeby szybciej dotrzeć do drzwi, które – jak się spodziewała – są duże i drewniane. Stanęła przed nimi i jeszcze raz powtórzyła sobie w myślach, co zamierza. Nadal była zła, że nic nie wie. Ale skoro ma znaleźć Magdę, to ją znajdzie, a potem niech się dzieje wola nieba, a właściwie Mateusza.

Nacisnęła guzik domofonu. Trzeci od góry, ten opisany jako „gabinet psychoterapii”. Elektroniczny, nieprzyjemny dla ucha dźwięk dzwonka odblokował drzwi i Dorota pchnęła je powolnym ruchem. Nie były tak ciężkie, jak się spodziewała. Za to korytarz był tak długi i wysoki, jak w jej przewidywaniach. Szła nim wolno, rozglądając się po ścianach, na których porozwieszane były oprawione w ramki ulotki

medyczne. Dopiero tuż przed wejściem do kolejnego pomieszczenia jakiś Kossak, to znaczy obraz, na którym były przedstawione konie.

W mieszkaniu panowała kompletna cisza. Tak głęboka, że słycać było dźwięk komputerowej myszki naciskanej pojedynczo co kilka sekund. Dorota popatrzyła na biurko, które stało niemal przy ścianie. Za nim siedziała skupiona na ekranie dziewczyna ze zdjęcia na instagramie Magdy. Tak, to z pewnością była ona.

Dorota usiadła na jednym z krzeseł ustawionych w rzędzie pod ścianą i czekała. Zdawała sobie sprawę, że wygląda, jakby czekała na wizytę, ale poniekąd taki miała plan.

– W czymś pani pomóc? – odezwała się dziewczyna zza biurka. – Czeka pani na wizytę?

Dorota wstała i podeszła.

– Właściwie nie – odpowiedziała niepewnie. – Tak naprawdę chciałam tylko zapytać, kiedy byłaby możliwość skorzystania z porad pana profesora.

Dopiero teraz Dorota zauważyła, że do białej koszuli dziewczyna ma przypięty identyfikator. A na nim widnieje imię i nazwisko: Agnieszka Kosowska – asystentka. Dziewczyna natychmiast zerknęła na ekran komputera i zaczęła szybko operować myszką.

– Właściwie dopiero w przyszłym tygodniu pan profesor mógłby panią przyjąć – powiedziała, nie odrywając wzroku od grafiku.

– W takim razie proszę mnie wpisać w przyszłym tygodniu w pierwszym wolnym terminie. Dostosuję się.

– Oczywiście. – Wysunęła spod blatu klawiaturę. – Jakie nazwisko wpisać?

Dorota nie przewidziała tego pytania. A było najbardziej oczywiste ze wszystkich, o jakich myślała. Głupia ja – pomyślała.

– Czy my się czasem nie znamy? – zapytała nagle z szerokim uśmiechem.

Agnieszka spojrzała na nią ze zdziwieniem. Przez krótki moment przyglądała się jej twarzy, próbując umiejscowić ją w jakichś niedawnych wspomnieniach.

– Nie sądzę – odpowiedziała. – Chyba nie, ale jeśli się spotkałyśmy, to przepraszam, ale nie pamiętam.

– Czy pani jest znajomą Magdy Paleckiej?

– Tak.

– No właśnie, to dzięki niej się poznałyśmy kilka miesięcy temu. – Dorota uśmiechała się szeroko bardziej z radości, że uniknęła pytania o nazwisko niż z powodu oszukania dziewczyny.

– Dobrą ma pani pamięć w takim razie. – Agnieszka również się uśmiechnęła, ale na krócej. – To jakie nazwisko wpisać?

*Fuck* – pomyślała Dorota.

– A co u niej? Gdzie teraz pracuje? – zapytała, z trudem kryjąc zdenerwowanie.

– Nadal w pubie.

– Zaraz, zaraz... jak on się nazywał, bo nie pamiętam. To tam się spotkałyśmy chyba.

– Manto – odpowiedziała Agnieszka już bez uśmiechu. – To jakie nazwisko wpisać? Na wtorek o dwudziestej.

Dorota nie miała już żadnego pytania dotyczącego Magdy. Najważniejsze wiedziała.

– Proszę wpisać Renata Miłosz – wypaliła nagle bez zastanowienia.

Trudno było nie zauważyć tego tiku nerwowego w kącikach ust. Trudno było też nie zauważyć zastygnięcia dłoni nad klawiaturą. Zastanawiające było też zatrzymanie wzroku na ekranie i te próby zachowania spokoju. Agnieszka zaczęła też szybko mrugać, po czym delikatnie przetarła oczy lewą ręką i zapisała nazwisko w komputerze.

– Przepraszam, że pytam – powiedziała cicho i spojrzała na Dorotę. – Ale czy panią wiąże coś z Radosławem Miłoszem? To z kolei mój znajomy.

– Wiem, o kim pani mówi – odrzekła, robiąc krok w stronę drzwi – ale to zbieg okoliczności. Nic mnie z nim nie łączy.

Agnieszka skinęła głową.

– Rozumiem – rzekła, poprawiając się na krześle. – Wpisałam panią na ten wtorek. Gdyby jakieś plany uniemożliwiły pani odbycie wizyty, proszę wcześniej o telefon. Oto wizytówka naszego gabinetu.

To mówiąc, przysunęła na brzeg biurka mały kartonik, który zapewne był wizytówką. Dorota szybko ją zabrała i schowała do kieszeni. Uśmiechnęła się i wyszła.

Na korytarzu oparła się o ścianę i kilka razy głęboko wciągnęła powietrze w płuca. Serce waliło jej w szaleńczym tempie. Myśli kołatały się w głowie, a złość na Mateusza przybrała na sile.

Nie miała pojęcia, jak to się stało, że przedstawiła się jako Renata Miłosz.

Mamy już za sobą próbę przekonania mnie, bym sobie poszedł. Muszę przyznać, że był w tym bardzo uparty. Ale ja też byłem, dlatego mamy teraz taką sytuację, jaką mamy. Siedzimy w środku. Jeszcze się ich nie spodziewamy, ale Daniel na wszelki wypadek waruje przy małym oknie i ciągle zerka. Zrobił kawę. Jest okropna. Gorzka, mocna, sypana. Nie piłem takiej od kilku lat. Teraz wiem dlaczego.

Milczymy. Ale jest to dobre milczenie, bez napięcia między nami, które wyczuwało się do tej pory. To jest milczenie przepełnione akceptacją. Bo to on zaakceptował moją obecność

– Dobra, ale jesteś tu na swoją odpowiedzialność i nie będę cię pilnował – tak wyglądała jego akceptacja – to raczej ty pilnuj, żeby być blisko mnie.

Taką akceptację ja też akceptuję. Złe bym się czuł, gdyby musiał mnie pilnować i się mną opiekować.

– Nie boisz się? – przerywam ciszę.

Nadal obserwuje świat za oknem. W jednej dłoni trzyma blaszany kubek z kawą, w drugiej dzierży strzelbę. Uśmiecha się, ale nie odpowiada.

– Gdzie pies? – zadaję drugie pytanie, bo cisza zaczyna mi doskwierać.

– Leży przy schronie.

Odruchowo się odwracam, zapominając, że ten dom ma tylko jedno okno i właśnie wygląda przez nie Daniel. A schron jest na tyłach.

– Nie zdradzi nas?

– I tak mają lokalizację. Trafiają tak czy inaczej.

– Będziesz do nich strzelał?

– A mam z nimi rozmawiać? – odpowiada pytaniem, parszkając śmiechem.

Też się uśmiecham, ale u mnie to uśmiech nerwowy.

Daniel wstaje. Ja też zrywam się na równe nogi, bo myślę, że to coś oznacza. Ale nie oznacza. Odstawia kubek. Dopijam kawę i robię to samo. W pracy też zostawiam brudne kubki po kawie w kuchni. Z braku czasu i lenistwa. Wystarczy, że w domu zmywam.

– Po co ci schron? – zadaję kolejne pytanie.

– Żeby ukrywać tam dziewczyny przed złoczyńcami.

Chyba odpuszczę sobie te pytania. Jego akceptacja dotyczyła najwyraźniej tylko mojej fizycznej obecności. Bez słów, bez pytań.

– Nudziłem się, to wykopałem – odpowiada jednak. – A właściwie to dziura była, ja ją tylko wzmocniłem, żeby się nie zawaliła. Naprawdę z nudów.

– Od dawna tu jesteś?

O jedno pytanie za dużo. Patrzy na mnie z wyrzutem, niemal z wrogością. Widzę, że uznaje to za wścibstwo, a jest samotnym wilkiem.

– Chodź! – Wykonuje gest ręką, który ilustruje to, co powiedział.

Wychodzi z domu, ja za nim. Od razu po zejściu z ganku skręca w lewo. Nie widzę tam żadnej ścieżki, tylko gęste zarośla i drzewa. Daniel przedziera się przez tę gęstwinę zdecydowanymi krokami. Ja się za nim wlokę, bo nie przywykłem do łażenia w takich miejscach. Po kilkunastu metrach kończą się zarośla, a zostaje tylko ściółka. Daniel zatrzymuje się na chwilę i zaraz rusza w prawo. Stajemy przy małym kopcu porośniętym trawą. Domyślam się, o co chodzi.

– Tu będziemy czekać – mówi. – Wydaje mi się, że stąd wszystko zobaczymy.

Kładzie się na tylnej ścianie kopca i kiwa ręką, żebym zrobił to samo. Kiedy już leżę, doceniam jego pomysł i strategię. Widać wejście do domu i dość dużo przestrzeni przed nim. Jeśli podejną od frontu, będą jak na tacy.

– Nawet jeśli się stąd ruszę, ty zostajesz – nakazuje cicho – a potem idziesz po dziewczynę.

– No przecież nic ci się nie stanie.

Uśmiecha się.

– To przed czym mnie ostrzegałeś? Przed facetami, którzy chcą się ze mną zabawić w podchody, tylko przypadkiem zabrali broń?

– Nie wiem, czy będą mieli broń.

Nie komentuje, tylko znówu się znacząco uśmiecha. Ironicznie. Bierze za to tę swoją wiatrówkę i przymierza się. Lustruje nią całą przestrzeń.

– Naprawdę myślisz, że lokalizację przesłał im Wojtek? – pytam cicho.

– Myślę, że ty – odpowiada. – Najpierw znalazłeś ten dom, a potem im przesłałeś.

Łudzę się, że to żart. Albo może jakaś prowokacja i zaraz się do tego przynna. Nie reaguję więc i czekam na rozwój sytuacji. Ale on milczy. I ciągle próbuje trzymać coś na muszce.

– Wiatrówka, kurwa – klnie, przeciągając „ó” i mocno akcentując „r”. – I co ja mam z tym zrobić...

Widzę, że ogarnia go złość, co jest dla mnie zaskoczeniem. Do tej pory dawał mi się poznać od chłodnej strony, stonowanej. Od kiedy go znam osobiście, jest opanowany i racjonalny, choć zamknięty w sobie i ironiczny.

– To jak z tym Wojtkiem? To on? – pytam jeszcze raz.

Daniel przewraca się na plecy i patrzy mi w oczy. Wwierca się we mnie. Czyta ze mnie, czy to ja przesłałem lokalizację. Nie unikam jego wzroku, bo wiem, co może wyczytać, i to mi daje pewność siebie.

– Nie sądzę, by podeszli od przodu – mówi – więc zrobimy tak, że ja będę obserwował teren przed domem, a ty patrz tam i tam. – Tu pokazuje ręką dwie części lasu, po czym znówu kładzie się na brzuchu i przymierza się do wiatrówki.

– A co do lokalizacji – ciągnie dalej – nie ma to teraz znaczenia.

– Chyba jednak ma – próbuję polemizować.

– Jakież?

– To chyba pokazuje, czy możemy mu ufać.

– My? – Zdzwiony odwraca się znówu. – A co ty masz z nim wspólnego?

Zbija mnie z tropu. Czuję się jak uczeń, który chce się przypiąć do mistrza i na siłę próbuje być jego współpracownikiem. A on tego nie chce. Powinienem teraz wstać i powiedzieć: „Wypierdalał, radz sobie sam, pajacu!”. Ale oczywiście nie robię tego. Wszedłem w to i zostaję.

– Ja i tak mu nie ufałem do końca – mówi dalej, co przynosi mi ulgę w cierpieniu. – To dziwny człowiek i wcale bym się nie zdziwił, gdyby zrobił coś takiego, żeby ratować swoją dupę. Bo niby dlaczego miałby bardziej dbać o mnie niż o siebie?

Dziwi mnie jego praktycznie podejście. Ten spokój w momencie, w którym powinien się wkurwić.

– Nawet nie będę go pytał, dlaczego to zrobił – dodaje i chrząka. – Jego sprawa. To słaby człowiek.

Zna go lepiej. Ja nie wiem o nim nic. Mam jedynie przed oczami tego człowieka, jak idzie przede mną w ciszy, w skupieniu, ale pewnie. I pamiętam ten kontrast między jego widoczną uległością wobec Daniela a późniejszą postawą wobec mnie. Obojętną, surową.

Nagle Daniel kładzie mi rękę na ramieniu. Odwracam się do niego i widzę, że trzyma palec na ustach. Mam być cicho. I wskazuje palcem daleko między drzewa. Wyteżam wzrok, przylegając do gleby najbardziej, jak się da. I nic nie widzę. Wskazuję to Danielowi gestem. On jeszcze raz pokazuje, gdzie mam skierować wzrok. I teraz widzę. Ktoś przesuwają się między drzewami. To lekko pochylona sylwetka, ledwo widoczna, bo odziana w zieloną kurtkę. Ten człowiek trzyma coś w ręku. Coś jakby kij. Dopiero po chwili dociera do mnie, że to strzelba. Czy oni wszyscy powariowali? Pozabijają się chcą?

Chowam się błyskawicznie za tą nędną skarpią, która przecież nie ochroni nas przed niczym. Zastrzelą nas. To pewne jak... jak nie wiem co, bo przecież nie umiem teraz zebrać myśli. Patrzę jeszcze raz. Widzę, jak kiwa ręką w drugą stronę. Daje komuś znak. I to jest znak, żeby ktoś szedł do przodu, żeby się nie zatrzymywał. Ale zaraz potem ten sam człowiek daje ten sam sygnał w drugą stronę. Daniel szybko odwraca głowę, po czym wstaje i doskakuje do drzewa. Wychyla się zza niego i pokazuje mi ręką, że mam leżeć. Z pewnością będę grzeczny i posłucham.

Cały czas jest bardzo cicho. Albo tamci poruszają się bezszelestnie, albo słuch mam przytępiony przez stres. Zerkam na tamtego dającego znaki. Zatrzymał się i kuca. W tym czasie Daniel odrywa się od drzewa i kilkoma susami doskakuje do kolejnego drzewa. Potem do jeszcze następnego. Boję się, że za chwilę stracę go z pola widzenia. Ale nie tracę. Wręcz przeciwnie, dostrzegam jeszcze kogoś. Idzie pochylony jak tamten. I jak tamten ma na sobie zieloną kurtkę zakończoną na biodrach ściągaczem. Widzę go dobrze, bo jest naprawdę blisko. On mnie chyba nie widzi, bo wpatrzony jest w dom i co jakiś czas zerkna na tego drugiego.

Daniel też go widzi. Ma go niemal na wyciągnięcie ręki, ale pozwala mu minąć drzewo, przy którym stoi. I wtedy jednym skokiem dopada go od tyłu, wali pięścią w nerkę i jednocześnie oplata łokciem jego szyję, by nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Po grymasie jego twarzy widać, że to mocny chwyt. I widać, że mężczyzna traci oddech, w końcu jego ciało wiotczeje i osuwa się na ziemię. Daniel kładzie

się obok niego i wyciąga z dużej kieszeni swoich bojówek sznur. Jak on go tam zmieścił? Sprawnie związuje nogi leżącego, potem ręce. A potem opiera go o drzewo i za szyję przywiązuje do konaru. Robi to wszystko, ciągle obserwując, co dzieje się kilkadziesiąt metrów dalej. Porusza się szybko i cicho. Jak Rambo. Kim on, kurwa, jest?! Na koniec z drugiej kieszeni spodni wyciąga taśmę i zakleja mu usta.

Kilka sekund później leży już obok mnie ze strzelbą przy skroni.

– Zabiłeś go? – szepczę przestraszony.

– Nie, tylko stracił przytomność.

Wpatruję się jak dzieciak w superbohatera. Wstydyę się przed samym sobą, że tak bardzo mi zaimponował. Jednak każdy człowiek ma w sobie naturę widza oglądającego Denzela Washingtona robiącego krzywdę hultajom w filmie *Bez litości*. Nawet ja.

Biorę się w garść i zaczynam tak jak on obserwować tamtych. A są coraz bliżej domu. Nikt ich nie zatrzymuje, to idą. Jest ich dwóch, nikogo więcej nie widać. Dwóch to nie tak dużo, Daniel sobie poradzi. Wcale nie myślę, że sobie PORADZIMY, bo ze mnie pożytku nie ma. Jeden z nich to ten człowiek, którego widziałem rano w hotelu. Ten, który mówił o lokalizacji. I to właśnie on daje te wszystkie znaki. Teraz kolejny, żeby ten drugi poszedł na tyły domu. Domyślam się, że dla nas to zła wiadomość. Daniel chyba też tak uważa, bo wyczołguje się i każe mi zostać. Wykonuję polecenie i wbijam wzrok w mężczyznę stojącego przy drzewie kilkanaście metrów od domu. Strzelbę ma wycelowaną w drzwi, jakby się spodziewał, że zaraz ktoś wyjdzie.

W tym czasie niezauważony Daniel zniknął za domem. Czuję się niepewnie. Co zrobić, kiedy ten ze strzelbą mnie zauważy? Nie ruszam się, to dla mnie najlepsze wyjście. Muszę czekać. Ale ten człowiek też czeka, nie wiem na co, ale czeka. Minuty trwają zbyt długo. Leżę w jednej pozycji i zaczyna mnie boleć biodro.

Przestaję ten ból odczuwać, kiedy nagle słyszę cichy trzask, a mężczyzna łapie się za brzuch. Potem drugi trzask i łapie się za ramię. Próbuje się schować za drzewem, ale w tym momencie musi się chwycić za udo. Dociera do mnie, że to seria strzałów z wiatrówki. Facet obrywa śrutem. Patrzę w stronę domu, bo tam spodziewam się zobaczyć Daniela. To na pewno on. Strzela co sekundę. Nie wiem, jak to robi, bo się na tym nie znam, ale każdy jego strzał jest celny.

Wykorzystuję ten moment i uciekam z tego miejsca. Biegnę za dom, licząc na większe poczucie bezpieczeństwa. Tam jednak widzę jednego z tych trzech, jak wstaje pokracznie z ziemi i patrzy w górę. Mój wzrok podąża za jego spojrzeniem. Na dachu domu, odwrócony do nas plecami, jest Daniel i strzela. Ten, który się właśnie podniósł, robi krok w stronę drabinki opartej o mur. To po niej Daniel wszedł na górę. Dopadam do tego faceta i łapię go mocno na wysokości klatki piersiowej. Zaciskam uchwyt mocno, żeby nie zdołał się wyrwać. Ale on jest silniejszy ode mnie. Kiedy tylko czuje większą swobodę, uderza mnie łokciem w skroń. Padam nieprzytomny.



„Masz szczęście z tą lokalizacją”.  
„Wystarczy ci to?”  
„Zobaczmy”.  
„Więcej chyba nie mogę zrobić”.  
„Mogłeś już wcześniej”.  
„Ale nie chciałem”.  
„Gównu mnie obchodzi, że nie chciałeś”.  
„A powinno cię obchodzić”.  
„Coś ty się taki hardy zrobił?”  
„Wkurwiasz mnie”.  
„Czy tobie się coś pojechało? Czy ty wiesz, z kim rozmawiasz?”  
„Wiem, z kutafonem”.  
„Masz przejebane”.  
„Nie sądzę”.  
„Najpierw cię zajebie ten dzikus, a potem ja. A nie, bo przecież my zajebimy dzikusa”.  
„Zabawny jesteś. Niedługo się przekonasz, jak bardzo”.  
„Masz przejebane”.  
„Powtarzasz się”.  
„Bo chyba nie dotarło”.  
„Miej oczy dookoła głowy”.  
„Czy ty mi grozisz?”  
„Ostrzegam”.  
„I to niby ja jestem zabawny”.  
„Jesteś, niedługo się spotkamy”.  
„Nie wiesz, co mówisz”.  
„Rzecz w tym, że ja wiem. Ty nie”.  
„Kurwa, naprawdę cię pojechało, cioto”.  
„Źle to rozgrywasz”.  
„Jeb się. Dorwę cię”.  
„Liczę na to”.  
„Więc dostaniesz to, czego chcesz”.  
„Uważaj na siebie i zerknij do gabloty w barze. Trzecia półka od góry. Za glinianą figurką”.

Budzi mnie uderzenie w twarz. Niezbyt mocne, ale działa tak, jak miało zadziałać. Daniel pochyla się nade mną i chce uderzyć jeszcze raz. Powstrzymuje dłoń, kiedy widzi moje otwarte oczy. Przez chwilę jeszcze nie wiem, gdzie jestem. Opieram się na łokciach i rozglądam. Widzę las, jakiś dom i Daniela, którego rozpoznałem od razu. To dobry znak.

Potem wraca mi świadomość. Pamiętam, że oberwałem łokciem w głowę i upadłem. Czuję ból w klatce piersiowej. Wykrzywiam twarz, boję się, że mam pęknięte żebra.

– Uciekli – mówi Daniel.

Mrużę oczy, usiłując sobie przypomnieć, kim są „oni”. Już wiem. Jeden przywiązany do drzewa, drugi kilka razy postrzelony śrutem przed domem, trzeci to ten, który mnie powalił. Dotykam skroni.

– Strzeliłem kilka razy do niego i cię zostawił. Ale bardzo źle, że uciekli. Wróć tu lepiej przygotowania.

Nawet ja to wiem. Patrę w stronę schronu.

– Wszystko w porządku – uspokaja. – Nie wpadli na to, nie mieli czasu. Ona też siedziała cicho. Tylko Góral szczełał i chciał się rzucić na tego twojego.

– Musimy stąd iść – mówię roztropnie.

Kręci głową, negując moją myśl.

– Nie mam dokąd. Muszę tu na nich poczekać. Zresztą nie dam rady uciec z dziewczyną. Nie zostawię jej tutaj.

Udaje mi się wstać. Daniel klepie mnie po ramieniu, nie kryjąc zadowolenia, że ze mną wszystko dobrze. Kierujemy się przed dom. Idąc za nim, dostrzegam krew na jego spodniach na wysokości uda.

– Jesteś ranny? – pytam.

– Drasnął mnie nożem, jak go od ciebie odciągałem – odpowiada, machając ręką. – A potem spierdolił.

– Trzeba opatrzeć.

– Poradzę sobie. – Zadziwia mnie jego spokój. – Gorzej, że zabrali tamtego. Mógł nam pomóc.

Domyślam się, że chodzi o tego przywiązanego do drzewa. Nie wiem natomiast, jak miałby pomóc. Być może jako źródło informacji. Może zakładnik? Znowu chyba kłaniają się te filmy sensacyjne, którymi atakują telewizje komercyjne.

– Zabiorę was stąd – mówię nagle.

Daniel zatrzymuje się i odwraca.

– Dokąd?

– Zaraz coś wymyślę.

– Daj spokój, nie rób sobie kłopotu.

Idzie dalej. Rozgląda się przy tym czujnie. Chwilę później wchodzimy do domu; on siada przy oknie, ja na łóżku. Nie wiem, na co czekamy, ale czekamy.

– A możesz mi zaufać? – podejmuję się próby przekonania go do mojego pomysłu.

– W czym?

– W tym, że was stąd zabiorę.

Milczy. Patrzy przez okno i milczy. Może się zastanawia. Daję mu chwilę na te myśli, bo to jedyna szansa, by się zgodził. Jest samotnikiem, sam żyje, sam decyduje. Nawet jeśli jest inaczej, musi mieć poczucie, że jest samowładny.

Odwraca się do mnie, rozkłada ręce i kiwa potakująco głową. Tylko raz.

Wstaję i wychodzę z domu. W telefonie szukam numeru Zosi.

– Cześć, Zosia. – Odbiera po drugim sygnale. – Masz samochód?

– Mogę mieć, od ojca wezmę.

– To weź – mówię stanowczo. – Przechowasz kogoś u siebie?

– Słucham?

– Czy przechowasz kogoś u siebie?

– Kogo?

- Młodą dziewczynę, której nikomu nie należy pokazywać.
- Panie Mateuszu...
- Musisz mi szybko odpowiedzieć.
- Dobrze. To pewnie nic niebezpiecznego, skoro pan mnie o to prosi.
- A mężczyznę?
- Mężczyznę?
- Tak.
- Panie Mateuszu, nie mieszkam sama. Nie wiem, co na to rodzice.
- Racja, to nie jest dobry pomysł.
- Mam gdzieś przyjechać?
- Pamiętajsz tę drogę, która zaczyna się naprzeciwko baru Pod Konikiem?
- Tak.
- Wjedź w nią. Na jakimś trzecim kilometrze będziemy na ciebie czekać. Daj znać, jak ruszysz.

Zuch dziewczyna. Szybka decyzja i działanie. Głupi był ten pomysł z Danielem. Dziewczynę może przedstawić jako swoją koleżankę. Takiego faceta nie ukryje. Zresztą mogą wiedzieć, kim jest. O ile znam takie wsie, już nieraz był na językach.

Nie wiem, co z nim zrobić. Nie chcę go tu zostawiać, bo go odstrzelą. I nagle wpada mi do głowy wariacki pomysł.

- Znowu nigdzie cię nie ma – mówi Alicja, kiedy odbiera telefon.
- Powiedzmy, że jestem na spacerze...
- Mogłeś mnie zabrać.
- A przyjedziesz po mnie?
- Zmęczyłeś się?

Szczerze mówiąc tak, ale nie mogę się do tego przyznać, bo musiałbym tłumaczyć, co mnie zmęczyło. Tego by nie zrozumiała.

- Przyjedź, proszę, pod bar Pod Konikiem. I czekaj tam na mnie, dopóki sam nie podejść, okej?

– No dobrze, dobrze – zgadza się nieświadoma tego, co ma się wydarzyć. – Dopiję tylko kawę i przyjadę.

Chwilę stoję jeszcze na ganku i myślę o tym, co zrobiłem. Mieszam się w tę sprawę już na dobre. Odwrotu nie ma. Oby wszystko się udało.

Wchodzę do domu pełen entuzjazmu. Daniel siedzi na krześle bez spodni. Obmywa ranę zadaną przez jednego z napastników. Faktycznie nie wygląda poważnie. Cięcie nie jest głębokie, ale po udzie spływa krew. Mam wrażenie, że on delektuje się tym widokiem, patrzy na strużkę krwi, po czym powoli ją wyciera. Wreszcie kładzie gazę na ranę i obwiązuje bandażem. Z tym również radzi sobie bez problemu, jakby był na kursie pierwszej pomocy. Przychodzi mi jednak do głowy, że takich ran opatrywał już dziesiątki, nie tylko u siebie.

- Musimy iść – mówię nagle.
- Kto? – odpowiada pytaniem, ciągle zajmując się bandażem.
- Dziewczyna, ty i ja.

Podnosi głowę i patrzy z nieufnością.

- Coś ty wymyślił?

– Ukryję was. Agata – chyba pierwszy raz wymawiam jej imię – pojedzie do mojej znajomej ze wsi. Ufam jej bezgranicznie...

- A ja tu zostanę – przerywa mi Daniel prowokacyjnie.

- A ty... – wbijam w niego wzrok bo chcę od razu odczytać reakcję – ...przydasz mi się w hotelu.

Parska śmiechem.

- Jesteś z nimi w zмовowie? – Nadal się śmieje. – Chcesz mnie im podrzucić?

– Będziesz blisko Ksawerego i jego ludzi. To przecież jasne, że to on za tym stoi – mówię rozemocjonowany. – Ale będziesz dobrze ukryty.

- Masz tam schron?

- Powiedzmy.

Przestaje się śmiać. Kończy opatrywać nogę, związuje dwa końce bandaża i wkłada spodnie.

- No dobra. Niech będzie. Ale ostrzegam. – Podnosi palec wskazujący. – Jeśli kłamiesz...

Nie kończy myśli. Jestem przekonany, że mi ufa, że wierzył mi od początku, od momentu, w którym pojąłem się przed domem. Wiem, że ma intuicję i ona go nie myli.

Z szafki wyjął małą torbę, wrzucił do niej szczoteczke i pastę do zębów. Podziwiam jego zimną krew, że w takiej chwili pomyślał o myciu zębów.

- Idę po dziewczynę.

Torbę zostawia na ganku i znika za budynkiem. Wraca po kilku minutach, niosąc Agatę na rękach. Kładzie ją na łóżku, ale ona na nim od razu siada i patrzy na mnie.

– Spokojnie, to przyjaciel – mówi Daniel, a słowo „przyjaciel” brzmi w jego ustach jakoś dziwnie.

Nie wiem, czy wierzy jego słowom, ale mam wrażenie, że odetchnęła. Daniel siada przy niej i dotyka jej dłoni.

– Pojedziemy zaraz do znajomej naszego przyjaciela. Zostaniesz tam trochę, aż wydobrzejesz, dobrze?

Agata potakuje.

– Będziesz mogła iść?

Znowu przytakuje. Jest wyjątkowo zgodna. I od razu próbuje wstać. Najpierw przesuwając się na brzeg łóżka, a potem podnosi się i próbuje stanąć na baczność. W pierwszych sekundach delikatnie się chwiewie i dotyka głowy. Ale zaraz potem podchodzi do drzwi i kładąc dłoń na klamce, odwraca się do Daniela. Ten kiwa głową przyzwalająco.

Wychodzimy zaraz po niej. Patrzymy, jak stoi oparta o belkę i obejmuje się ramionami. Daniel okrywa ją kocem.

– Dlaczego ona nic nie mówi? – pytam go cicho.

– Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że nie pamięta, co się stało.

Może coś widziała, może była uczestniczką jakiegoś wydarzenia, może jest koleżanką Janki z ogłoszenia, a potem uciekła z domu jak ona, może... Może coś ją łączy z hotelem, skoro mówił o niej Ksawery. Czy to wszystko, co tutaj się dzieje, ma jeden wspólny mianownik?

– Chodźmy – mówię do nich i schodzę po schodach ganku. – Musimy dojść do drogi.

Ruszamy. Idziemy powoli, bo spowalnia nas Agata, która nie dość, że nie czuje się pewnie między drzewami, to jeszcze rozgląda się wokół. I co jakiś czas kładzie dłoń na głowie Górala, który idzie obok niej. Nie zabierzemy go ze sobą. Może pobiegnie za samochodem.

Auto Zosi dostrzegamy z daleka. To znaczy przypuszczam, że to ona. Nie wiem, jakim samochodem miała zamiar przyjechać. Tyle że Zosia nas nie dostrzega, bo jedzie dalej. Zaczynam biec, jednocześnie wybierając w telefonie jej numer.

– Zatrzymaj się i cofnij. Jestem za tobą – mówię to, wybiegając na drogę. Volkswagen polo cofa, powoli kołysząc się na nierównościach. Zosia wysiada i podchodzi z rozwianymi blond włosami. Lubię na nią patrzeć, nawet w tej chwili działa na mnie jak powiew świeżości. Wprawdzie nie uśmiecha się, ale jej twarz jest jak uśmiech.

– Co się dzieje? – pyta z autentyczną troską.

– Jeszcze nie wiem, ale trzeba ukryć na razie dziewczynę, która zgubiła się w lesie.

– Dlaczego ukryć? Nie można zawieźć do domu?

– Nie wiemy, kim jest, gdzie mieszka ani jak się nazywa. Ona nie pamięta.

– A policja?

– Na razie nie.

Odwraca wzrok, bo dotarł Daniel z Agatą i psem. Oboje patrzą na Zosię, jakby chcieli ocenić, czy można jej zaufać. Tyle że Agata z obawą, a Daniel mrużąc oczy. Potem zerka na mnie i kiwa głową raz, potakująco. Natomiast Zosia podchodzi do Agaty i dotyka jej policzka. Dziewczyna nie odsuwa twarzy, wręcz przeciwnie, przytula buzię do jej dłoni. Chyba sprawę zaufania mamy załatwioną.

– Proponuję, żeby pojechała z Zosią – mówię do Daniela. – Ona się nią zaopiekuje jak swoją koleżanką. Nasza obecność nic jej nie pomoże.

Znowu przytakuje, coraz częściej się ze mną zgadza.

– A my pójdziemy w stronę baru, tam czekać będzie ktoś jeszcze.

– Kto?

Nie odpowiadam. Podchodzę do dziewczyn i zwracam się do Agaty:

– Możesz jej zaufać, będzie ci u niej dobrze. Zaopiekuje się tobą.

Zosia bierze ją za rękę i prowadzi na przedni fotel pasażera. Nawet jej głowę osłania dłonią, by nie uderzyła się przy wsiadaniu. Złota dziewczyna. Zamyka za nią drzwi, a potem otwiera tylne i gestem zaprasza do środka Górala. Otwieram usta ze zdumienia, kiedy patrzę, jak wskakuje ochotczo na tylną kanapę.

– Widać, że facet – mówi Daniel, a ja widzę go po raz pierwszy uśmiechniętego szczerze, bez ironii.

– Dzwoni do mnie, jak coś będzie nie tak albo jak coś powie – proszę Zosię, kiedy już zajmuje miejsce za kierownicą.

– Niech się pan nie martwi – odpowiada, po czym patrzy na Daniela. – I on też, kimkolwiek jest.

Zamyka drzwi i zaczyna manewrować, by zawrócić. Wjeżdża w niską trawę między drzewa, a potem, puszczając mi oczko, rusza do przodu i kieruje się do wsi.

- Kto to jest? – pyta Daniel. – Nie wygląda na twoją znajomą, trochę za młoda.
- Znam ją od dziecka. Pomogła mi kiedyś, a ja jej. To dobra dziewczyna, nie zawiedzie.
- Wierzę – odpowiada i odwraca się w stronę domu, którego już oczywiście nie widać. – Co teraz?
- Idziemy pod bar.
- Po co?
- Po kolejny transport.

Łatwo się z tym godzi. Może nawet podoba mu się pomysł przeniesienia się do hotelu.

- Masz tam dla mnie jakiś apartament?

Uśmiecham się i ruszam w stronę baru. Nie zachęcam go już, by szedł za mną, bo wiem, że pójdzie. Chcę mu też pokazać, że wiem, co robię, i jestem pewny swego. Sprawdzam jedynie kątem oka, czy podąża za mną. I idzie za mną tylko przez chwilę, bo szybko się z mną zrównuje.

Powinienem mu opowiedzieć o mężczyznach odwiedzających hotel bez meldunku, o tajnych pomieszczeniach, o Magdzie Paleckiej, może nawet o Radku Miłoszu. Ale chcę go jeszcze trochę rozgryźć. Wprawdzie wydaje mi się jednym z tych, co zbagatelizują, wykipią i znikną. A tego nie też być jednym z tych, co zbagatelizują, wykipią i znikną. A tego nie chce.

Niepokoje mnie inna myśl, która pojawiła mi się w głowie. Jest to chęć rozmowy z nim. Ja, introwertyk stroniący od egzystencjalnych rozmów, zwłaszcza z nieznanymi, nagle mam potrzebę opowiedzenia o Agnieszce i o swoich córkach. To żenujące, Fajkowski, naprawdę.

Już zaraz będziemy przed barem, już go nawet widać. I wtedy Daniel spycha mnie nagle z drogi. Upadam, ale chcę od razu wstać. On mnie jednak powstrzymuje i kryje się za drzewem. Znowu coś nie tak? Czy to się skończy? Znowu ktoś się skrada? Może to tamci?

On dyskretnie wskazuje ruchem głowy bar. Patrzę w tamtą stronę, ale nic nie zwraca mojej szczególnej uwagi. Bar stoi jak stał, nic tam się nie dzieje. Jest parking, jakiś samochód... Zaraz... znam ten samochód.

- Samochód – szepcze Daniel. – To samochód tego waszego chłoptasia z hotelu.

Wściekle wali pięścią w drzewo, aż odpada z niego kawał kory.

– Musisz wiedzieć – mówię do mnie z zaciśniętymi zębami – że bywam mściwy. Mam nadzieję, że mnie nie wpierdoliłeś.

Wkurwiam się. To podejrzenie mnie obraża i rozrywa mi łeb.

- Zaczynj mi w końcu ufać! – Mam równie zaciśnięte zęby jak on.

Drzwi baru się otwierają i ukazuje się w nich Ksawery. Widzę jak w zwolnionym tempie. Ale to nie on te drzwi otwiera. To ta kobieta z baru przytrzymuje ciężkie skrzydło, żeby się nie zamknęło. Przez chwilę widać jej twarz. Znika jednak, kiedy drzwi się zamykają z trzaskiem słyszalnym nawet tutaj. Ksawery wsiada do samochodu i odjeżdża.

Daniel siada na ziemi, opierając się o drzewo.

- Kurwa mać! – mówi do siebie.

Nie rozumiem jego reakcji, więc pytam:

- Coś nie tak?

– Nie wiem – odpowiada spokojnie, ale widzę jego zaciśnięte pięści. – Nie wiem też, czy to wielki naród, ale wiem, że ludzie to kurwy.

Piłsudski. Zacytował Piłsudskiego. Dzikus, włóczęga, prawie bandzior cytuję Marszałka.

- Co przewiduje teraz twój plan? – pyta.

- Czekamy na samochód.

Tak, czekamy na samochód, ale czuję, że zrobiło się ciasno. Przed chwilą jechały tędy Zosia z Agatą. W tym samym czasie był tu Ksawery, a być może za chwilę minie się z nim Alicja. Wszyscy mogli się zobaczyć. Ciśnienie mi skacze. A miałem je ustabilizować odpoczynkiem i nicnierobieniem. Chuj z tym! To już się nie zdarzy.

Czarne alfa romeo przejechało właśnie obok baru. Wobec tego, co przed chwilą zaszło, jestem dumny, że Alicja nie zatrzymała się przy barze, tylko jakieś pięćdziesiąt metrów dalej.

- Nasz samochód, chodź!

Biegniemy w stronę samochodu przez las, z dala od baru. Potykam się i uderzam barkiem o drzewo. Nadal biegnąc, dotykam tego miejsca dłonią i widzę krew. Ale to tylko obtarcie. Daniel przecież ma bandaż na udzie, a pędzi jak Usain Bolt.

Dopadamy auta w momencie, w którym Alicja wysiada i staje obok niego. Jest kompletnie zaskoczona widokiem Daniela. Pamiętam, jakie wrażenie zrobił na niej jego wzrok i on cały. Choć nie wiem, czy to wrażenie, jakie robi mężczyzna na kobiecie, czy po prostu strach.

On wskakuje od razu na tylne siedzenie. Ja wpadam na miejsce obok kierowcy. Widząc nasz pośpiech, Alicja również szybko zajmuje miejsce za kierownicą i rusza z impetem.

– Mateusz, powiedz mi, co jest grane, kurwa! – krzyczy, kiedy już zostawiamy za sobą bar.

– Jedź! Bierzemy go do hotelu!

Jest przerażona. Bardziej chyba gwałtownością sytuacji niż tym, że zabieramy do siebie obcego.

– Musimy go ukryć, potem ci wytłumaczę – próbuję mówić spokojnie.

W kilka minut dojeżdżamy do hotelu. Na parkingu nie ma jeepa Ksawerego, co jest dla nas dobrą wiadomością. Instruuje Daniela, by włożył kaptur. Ma pójść ze mną i się zachowywać naturalnie. Alicji mówię, żeby szła kilka metrów za nami. I tak się dzieje. Wchodzimy drzwiami od strony parkingu. O tej porze nie powinniśmy się na nikogo natknąć. Uda nam się nawet przemknąć daleko od recepcji. Wejdzimy od razu na schody prowadzące na moje piętro.

Plan mam dobry, ale plan to nie wszystko. Jeszcze realizacja. Wszystko idzie dobrze do momentu, w którym pojawia się ten jebany Błażej. Czekał na mnie czy co?

– Panie Mateuszu! – krzyczy do mnie z daleka debil. Daniela na pewno nie zauważa, bo jest kilka metrów ode mnie, schowany za murkiem. Nie chcę, żeby do mnie podchodził, więc idę w jego stronę, machając Alicji i Danielowi ręką za plecami, by szli dalej. – Pan Moneta usilnie pana szukał. Nie było pana w pokoju.

– Bywa, że opuszczam pokój – odpowiadam spokojnie. – W jakiej sprawie?

– Tego nie wiem, ale miałem zrobić wszystko, żeby pana znaleźć i poprosić o kontakt.

Wzdycham zniechęcony. Błażej nie wie, co się właśnie we mnie dzieje, że najchętniej przywaliłbym mu z liścia.

– Więc jak mam się z nim skontaktować?

– Oto jego wizytówka. – Podaje mi sztywny kawałek papieru.

To nie tylko wizytówka. To także wiadomość. Na odwrocie skreślonych kilka słów.

„Proszę o kontakt. Mam propozycję nie do odrzucenia”.

Kurwa. Jeszcze tego brakowało.

– Chciałbym uściślić – zwracam się do Błażeja. – O kontakt prosi Moneta, nie Ksawery?

– Pan Moneta.

– A gdzie pan Ksawery?

– Nie wiem, wyjechał jakiś czas temu na spotkanie. Ale nie mam pojęcia dokąd.

Potakuję głową na znak, że przyjmuję to do wiadomości i wolno, spokojnie idę w stronę schodów. Dopiero kiedy do nich dopadam, dużymi susami pokonuję po dwa stopnie. Zdyszany wpadam na swój korytarz, świadomy, że przecież Alicja nie ma klucza do mojego pokoju. Staję przed drzwiami i już wiem, że ich za nimi nie znajdę. Ale wchodzę do środka i dzwonię do Alicji.

– Gdzie wy jesteście?

– U mnie. Nie mogliśmy czekać na korytarzu, aż przyjdiesz.

– Kurwa! Błażej mnie zatrzymał.

– Wiem, widziałam. Nie martw się, nie wpadną na to, że może być u mnie.

Nie mogę odmówić jej racji. Ale muszę się uspokoić. Po raz pierwszy od kilku godzin biorę głęboki wdech. Siadam na łóżku i kryję twarz w dłoniach.

Małe *résumé*, które nie wypadła rewelacyjnie i obiecująco. Agata u Zosi. Daniel u Alicji. Ja w swoim pokoju sam. Dorota w Warszawie nadal nie wie, co się dzieje. Agnieszka nadal nie żyje. Muszę odpocząć.

– Kim pani jest? – usłyszała nagle głos za sobą.

Nie zdążyła jeszcze uspokoić oddechu po wyjściu z gabinetu profesora. Odwróciła się i zobaczyła asystentkę psychologa.

– Dzwoniłam do Magdy, nie zna żadnej Renaty Miłosz.

Dorotę zatkało. Najchętniej pobiegłaby w drugą stronę i zniknęła za murem kolejnej kamienicy.

– A proszę mi wierzyć, że nazwisko „Miłosz” z pewnością zapadłoby jej w pamięć.

Stała i czekała na odpowiedź. Do tego lustrowała Dorotę spojrzeniem gniewnym, pełnym podejrzeń o nieczne zamiary.

– Ale gdyby była pani od Miłosza, to głupotą byłoby się przedstawiać tym nazwiskiem, prawda?

Dorota ciągle nie wiedziała, jak się zachować. Nie zrobiła nic złego, a czuła się jak intruz, jak niego-dziwiec.

– Nazywam się Dorota Pres. – Postanowiła powiedzieć prawdę i przedstawiając się, wyciągnęła prawą dłoń. – Przepraszam. Ktoś prosił mnie, żebym znalazła Magdę.

– Po co?

– Nie wiem.

– Jest pani detektywem? Szuka pani ludzi? Śledzi ich pani?

– Naprawdę nie wiem. Ktoś mnie o to poprosił, mówiąc, że to ważne.

– Kto?

– Może powiem o tym Magdzie?

– Nie dopuszczę pani do niej, jeśli się nie dowiem, o co chodzi.

– Ale ja sama nie wiem, o co chodzi.

– A co pani wie?

Dorota poczuła się zaatakowana. Co gorsza, zdawała sobie sprawę, że na to zasłużyła. Zaczęła ją boleć brzuch i chciała w tym momencie zadzwonić do Mateusza i powiedzieć mu: tłumacz się.

– Czy Magda była ostatnio gdzieś na południu Polski? – zapytała.

– Dlaczego miałabym pani o tym mówić?

– Bo to chyba kluczowe.

– Proszę opowiedzieć o tym kluczu.

Po przeciwnej stronie korytarza, przy ścianie, stała ławka. Dziwna taka, bo metalowa z siedziskiem jakby wyjętym z autobusu zwanego „ogórkciem”. Jeździ jeszcze taki po Warszawie i obwozi turystów po stolicy.

Dorota podeszła do tej ławki i usiadła. Agnieszka Kosowska nie ruszyła się z miejsca, czekała na opowieść o „kluczu”.

– O to, bym znalazła Magdę Palecką, poprosił mnie ktoś, kto właśnie przebywa na południu Polski, w górach. Być może to jest jakieś wytłumaczenie – Dorota mówiła spokojnie, opierając głowę na rękach. – Zdecydowanie nie ma złych zamiarów, to mój chłopak. Na pewno pytał o nią w dobrej wierze.

Agnieszka skrzyżowała ręce na piersiach i odwróciła głowę.

– Była – powiedziała.

– Słucham? – Dorota wyprostowała się i położyła dłonie na udach.

– Była na południu Polski. I nie wróciła w najlepszej formie.

Dorota wstała i podeszła do Agnieszki. Stanęła naprzeciwko niej.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że chyba nie spędziła tam miło czasu. – Smutny uśmiech pojawił się na twarzy asystentki profesora. – Zadzwoni do niej, spotkaj się z nią, jeśli będzie chciała. Masz tu numer. Może coś z tym zrobisz, bo ona na pewno tego nie ruszy.

Podążyła jej kartkę z dziewięcioma cyframi. Dorocie nie uszło też uwagi, że nagle przeszła na „ty”. I zaraz potem przemknęła przez jej głowę myśl, że udział w tym „niemiłym” czasie Magdy Paleckiej ma Mateusz. Ale jeśli ona już wróciła, a Mateusz ledwo co wyjechał, jest to niemożliwe.

Agnieszka skinęła jeszcze głową i zniknęła za drzwiami. Ale po kilku sekundach drzwi ponownie się otworzyły.

– Nie dzwoniłam do Magdy zapytać, czy zna Renatę Miłosz – powiedziała cicho – ale mam zamiar być dobrym psychologiem i chyba mam talent. Wiedziałam, że nią nie jesteś. I wiedziałam też, że nie masz niczego złego na myśli. Dlatego postanowiłam za tobą wyjść i się przekonać.

Dorota zaniemówiła. Trochę było jej przykro, że tak łatwo można ją było rozgryźć. Miała się za nieco lepszą aktorkę. Ale bardziej było jej po prostu wstyd, że nakłamała.

– Powodzenia – powiedziała jeszcze Agnieszka i zamknęła za sobą drzwi.

I znowu cisza i pustka na tym korytarzu. Żadnego nawet szelestu. Gdzieś na wyższym piętrze zamknęły się drzwi i rozbrzmiało echo. To Dorota zawsze lubiła w starych kamienicach. Ten pogłos. Każdy szmer, każde trzaśnięcie drzwiami, każdy szkot obcasów, wszystko znajdowało swoją przestrzeń dźwiękową. A dzwonek telefonu rozbrzmiewał tak, jakby chciał wyrwać mieszkańców kamienicy z popołudniowej drzemki.

Odebrała więc szybko, żeby nie zlecieli się wścibscy lokatorzy, i wybiegła na zewnątrz.

– Nareszcie! – krzyknęła do słuchawki, kiedy usłyszała jego głos.

– Przepraszam, miałem trochę na głowie – odpowiedział ze spokojem Mateusz.

– Wszystko dobrze u ciebie?

– Powiedzmy.

– Kurwa! Znowu tajemnica?! – Starsza pani, która właśnie ją mijala, oburzona pokręciła głową. Dorocie zrobiło się głupio i przyspieszyła kroku, żeby czym prędzej schować się w samochodzie.

– Trochę się tu dzieje i nie wiem, co mam ci o tym powiedzieć.

– Przede wszystkim powiedz mi, kim jest ta Palecka, bo ją znalazłam, tylko nie wiem, po co i o czym mam z nią rozmawiać.

Cisza w słuchawce w tej sytuacji działała na Dorotę jak płachta na byka. Ale czekała cierpliwie.

– Zapytaj ją, dlaczego nie pozwolono jej się zameldować w hotelu.

– A to istotne?

– Nie wiem, może tak być.

– I tylko o to mam ją zapytać?

– Po prostu zapytaj ją o pobyt w hotelu. Z kim przyjechała, z kim była, z kim spędziła czas.

– Przecież ona nie musi mi o tym mówić. Każę mi się odczepić.

– To będzie znak, że coś chce ukryć.

– A może sam chcesz do niej zadzwonić? Mam jej numer.

– Widzę, że dobrze ci poszło.

– Nie spodziewałeś się?! – fuknęła ze złością. – Mateusz, coś mi tu śmierdzi i wkurwia mnie, że nie mówisz mi wszystkiego, jednocześnie wciągając mnie w ten smród.

– Dorota...

– Nie przerywaj mi! Rozmawiałam z jej koleżanką, która mi wystarczająco zaufała. Powiedziała, że Magda Palecka faktycznie gdzieś była na południu Polski, ale wróciła w kiepskiej formie.

– Co to znaczy?

– Nie wiem. Zadzwon do niej, dowiesz się.

Dopiero teraz zauważyła, że drżą jej palce na kierownicy. To było dla niej za dużo. Za dużo emocji. Nie chciała tego. Oparła się o zagłówek i odetchnęła.

– Powiedz mi, Mateusz, co tam się dzieje? – zapytała. – Czy wszystko u ciebie w porządku, bo się martwię?

– Nic mi nie jest, ale przyznaję, że ten hotel jest trochę dziwny i naprawdę nie wiem, co ci powie-dzieć.

– Prawdę, fakty.

– Fakty są takie, że menedżer tego hotelu jest umoczony w jakieś dziwne historie.

– Skąd wiesz?

– Stąd, że od samego początku kazał personelowi zwracać na mnie baczniejszą uwagę. Mają tu jakieś ukryte pomieszczenia. Wokół hotelu kręcił się jakiś włóczęga, z którym dwa razy omal się nie pobiliem. Za to on ma jakiś zatarg z menedżerem hotelu. Na wsi rozwieszono są ogłoszenia o zaginięciu młodej dziewczyny, a ten włóczęga inną dziewczynę znajduje w lesie. I jeszcze do niego strzelają.

Dorota słuchała tej niebywale długiej jak na Mateusza wypowiedzi z otwartymi ustami.

– A Magda Palecka przyjechała tu z jakąś grupą mężczyzn, która bywa tutaj regularnie incognito. A kiedy chciała się zameldować, ktoś ją powstrzymał. Wioskuję z tego, że ona w tej grupie była przy-padkiem, nieświadoma zasad.



Przekreśliła kluczyk w stacyjce. Tylko po to, by włączyć klimatyzację i ostudzić się chłodnym powietrzem. Automatycznie włączyło się radio. George Michael z *Kissing a Fool* zupełnie nie dopasował się do klimatu. Choć *fool* określało stan ducha Doroty. Tak się czuła, nie rozumiejąc prawie nic z tego, co mówił Mateusz. Cieszyła się jedynie z logicznego podejścia, że poukłada to sobie w głowie nieco później i wtedy przemyśli.

– I oczywiście mogę do niej zadzwonić, ale jeśli odłoży słuchawkę, sprawa jest spalona. – Logika Mateusza czasem działała jej na nerwy. – Może dobrze byłoby, gdybyś ją nakłoniła do przyjazdu tutaj.

– I miałabym z nią przyjechać?

– Najlepiej.

To dziwne, ale uśmiechnęła się do tej myśli. Nie powiedział tego z tęsknoty, ale powiedział. Sprawilo jej to przyjemność, bo bardzo chciała usłyszeć „przyjedź do mnie”. I to „najlepiej” odebrała właśnie tak.

– Spróbuję. A jak się nie uda, przyjadę sama.

– Dobrze.

– Będziesz musiał mnie przeprosić za ten stres.

– Przepraszę.

– I solidnie wypieprzyć.

– Zrobię to.

Wepchnęła go do pokoju i rozejrzała się jeszcze po korytarzu. Kiedy zamknęła drzwi, oparła się o nie i głęboko odetchnęła. Zamknęła oczy. Po chwili je otworzyła, a Daniel stał przy biurku. Patrzył na nią, a ona zawstydziła się, że stoi tak w tym dresie do biegania. Wprawdzie prezentowała się w nim dobrze, ale co kiecka to kiecka. A on patrzył tak, że poczuła ucisk w podbrzuszu.

– Może powinienem jednak przenieść się do... – zawahał się – ...Mateusza?

– Nie wiem – odrzekła wyrwana z dziwnego letargu. – Być może.

– Nie chciałbym, żeby czuła się pani niezręcznie. Ja też nie chciałem się tak czuć.

Oderwała się wreszcie od tych drzwi i przechodząc obok niego w stronę okna, powiedziała:

– Alicja jestem. – Nie patrzyła przy tym na niego. Unikała jego wzroku i starała się go ominąć jak najszerzym łukiem, co w tak niewielkim pokoju było bardzo utrudnione. Stanęła przy oknie i oparła się o parapet.

– A ty?

– Daniel – zreflektował się szybko. – Przepraszam, ale odwykłem od zasad dobrego wychowania.

– Może to dobrze – skwitowała Alicja. – Rozgość się, tam jest toaleta, możesz wziąć prysznic.

Pokiwał głową z aprobatą. Dosłownie kilka sekund wcześniej pomyślał o prysznicu. Być może jej obecność w bliskiej odległości miała wpływ na tę myśl. Gdyby ona wiedziała, ile razy myślał o niej nagiej. Ile razy widział, jak to robi. I gdyby wiedziała, że była przyczyną jego masturbacji. Gdyby wiedziała...

Kiedy powiedziała o prysznicu, spojrzął na drzwi toalety i zdał sobie sprawę, że na chwilę zapomniał o Agacie, o Ksawerym, o tym, że właśnie uciekł ze swojego tymczasowego domu, i o tym, że być może najbliższe godziny czy dni będą dla niego niebezpieczne.

– Wezmę prysznic – oznajmił wreszcie i zamknął się w łazience ze swoją małą torbą, którą pośpiesznie zabrał z chaty. Stał przed lustrem. Rzadko w ostatnim czasie przyglądał się sobie. Prawie zapomniał, jak wygląda, zresztą nie miało to dla niego znaczenia. Żył jak kłoszard. Bywało i tak, że czuł się brudny, ale mu to nie przeszkadzało. Jeśli śmierdział, to dla siebie, widywał się tylko z Wojtkiem albo Marysią.

Stał przed lustrem i patrząc sobie w oczy, zastanawiał się, kim jest Marysia. I kim jest Wojtek. Dopiero teraz próbował sobie to wszystko poukładać w głowie. Oboje nie byli z nim do końca szczerzy. Czy naprawdę to Wojtek wysłał Ksaweremu lokalizację? Dlaczego? A Marysia? Po co jej kontakt z Ksawerym? To nie było obsłużenie klienta w barze. To nie było postawienie na stole kufła. Zresztą bar jako taki był zamknięty. To było odprowadzenie człowieka do wyjścia. Nie WYRZUCIŁA go za drzwi, tylko ODPROWADZIŁA do wyjścia.

Zmarszczył czoło. Postarzał się w ostatnich miesiącach. Czy miał nadal takie same, jasnoniebieskie, ale twarz... bruzda na bruzdzie. I skóra bez życia. Mimo jej ciągłego dotleniania poszarzała. Broda jeszcze nie była siwa, ale zaniedbana jak u dziada. Kiedyś poszedłby do barbera, by doprowadzić się do porządku. Teraz miał to gdzieś.

Duże to lustro. Widział się w nim do połowy ud. Zdjął sweter i koszulkę. Mimowolnie przespacerował się oczami po swoim ciele. Mięśnie zostały na swoim miejscu. Tu nic się nie zmieniło. To ścinanie drzew pomogło w zachowaniu kondycji i sylwetki.

Zdjął spodnie. Bandaż był lekko splamiony krwią, więc ściągnął go szybko i wrzucił do kosza pod umywalką. Pomyślał, że nie było to rozsądne, ale machnął ręką. Rana nie wyglądała źle, zwykłe cięcie, jakich miał już w życiu co najmniej kilka. Zagoi się szybko. O bólu w ogóle nie myślał, bo byłyby to żart z samego siebie.

Teraz, kiedy już stał w samych bokserkach, poczuł się niemal komfortowo. Jednak brakowało mu łazienki. Takiej prawdziwej, z umywalką, lustrem, prysznicem. Tak długo tego nie miał, że nagle poczuł się jak w spa.

Miesiąc przed śmiercią Martyny był z nią w spa. Weekend. Ich ostatni, jak się potem okazało. Ostatni taki odpoczynek i pierwszy od bardzo dawna z nią. Leżeli, spali, kochali się i pieprzyli. I delectowali się słowacką kuchnią, śniadania zamawiając do pokoju, bo przecież najlepiej pierwszy posiłek jeść nago.

Kłaść plasterki sera na jej brzuchu, kawałki ogórka na jej sutkach, obsmarować jogurtem jej cipkę i potem go zlizać.

– Martyna... – wyszeptał – ...ile bym dał, żebyś tu była...

Zaprzagnął jej. Po raz pierwszy od bardzo dawna pomyślał o tym, jak w nią wchodzi od tyłu. Przed tym lustrem, opartą o umywalkę. Erekcja. Spojrzył na swojego penisa i się uśmiechnął. To też prawie nowości w takim czasie. Jak niewyżyty nastolatek – pomyślał.

W pokoju zadzwonił telefon. Podeszedł do drzwi i nasłuchiwał.

– U mnie. Nie mogliśmy czekać na korytarzu, aż przyjdziesz. – To Alicja. Pewnie dzwoni ten cały Mateusz.

– Wiem, widziałam. Nie martw się, nie wpadną na to, że może być u mnie.

Chyba są w porządku. Intuicja nie podpowiadała mu niczego złego. Ale w przypadku Wojtka i Marysi też tak było. Traktował ich jednak z rezerwą.

Sprawdził jeszcze, gdzie jest ręcznik, wyjął z torby szczoteczkę do zębów i wszedł pod strumień gorącej wody. Wreszcie poczuł się komfortowo i spokojnie, co w jego sytuacji było dość zaskakujące.

Alicja w tym czasie siedziała na brzegu łóżka, zastanawiając się, co się dzieje. Kim jest ten Daniel? Budził w niej grozę, kiedy widziała go we wsi, a teraz ma go w swoim pokoju. Mało tego, właśnie bierze prysznic w jej łazience. I na czym polegał ten ucisk w podbrzuszu, kiedy na nią patrzył? Był jakiś dziki. Może to ją w nim ekscytowało i wręcz podniecało.

Zastanawiała się, czy powinna zostać w tym dresie. Miała wręcz niepohamowaną ochotę wbicia się w jakąś obcisłą sukienkę. Bała się tylko zrobienia z siebie idiotki. Dres też był okej. Stała przed lustrem, by zerknąć dyskretnie. Dyskretnie, bo nie chciała samej siebie zawstydzić. Wiedziała, że spodnie dobrze utulają jej pośladki, a bluza tylko trochę ukrywa wydatność jej biustu. Rozpięła zamek błyskawiczny, odsłaniając dekolt, i ścisnęła dłońmi obie piersi. Aż westchnęła, kiedy wyobraziła sobie, że robi to on.

Słyszała szum wody lejącej się z prysznicza. Przyłgnęła do drzwi i nasłuchiwała przez chwilę. Ten dzikus jest tam goły, mokry, namydłony – pomyślała i przewróciła oczami.

Pomyślała też, że poczeka, aż woda przestanie się lać, i...

...i zapuka.

Trwało to jakieś dziesięć minut, a Alicja miała wrażenie, że czeka jakąś trzecią godzinę. Zapukała.

– Wyjdę do Mateusza – powiedziała, kiedy dał znać, że słyszy. – Zapytam, co się dzieje i jaki ma plan.

– Dobrze – odrzekł z ulgą. Wolał wyjść z łazienki, kiedy jej w pokoju nie będzie. Ogarnęła go niezrozumiała wstydliwość. Podświadomie zawładnęła nim myśl, że jest tylko jakimś dzikusiem, który wyszedł spod prysznicza po raz pierwszy od dawna. A ona to piękna kobieta, dama nawet. W dodatku obiekt jego fantazji erotycznych.

Umył zęby, przecesał włosy i ułożył brodę w szpicę. Włożył bokserki, które zabrał z chaty razem ze szczoteczką do zębów. Co do spodni, nie miał wyjścia, musiał włożyć bojówki. I ta koszulka była jednak trochę zbyt przepocona, żeby ją wkładać. Został więc w samych spodniach i usiadł na krześle.

Pomyślał o Agacie. Miał szczerą nadzieję, że nic jej nie jest, że szczęśliwie dojechały do domu tej drobnej blondynki. Sprawiała dobre wrażenie, miała uczciwe oczy.

I co teraz? Siedział i myślał o tym, co teraz. Bo wprawdzie jedno niebezpieczeństwo minęło, ale wiedział doskonale, że to nie koniec. Ta sprawa musi mieć swój ciąg dalszy. W tym spokoju, jaki teraz czuł, gdzieś tam pukała do drzwi jego zmysłów ekscytacja. Taka, jaka ogarniała go przed akcją, jeszcze w tamtym życiu, w którym była Martyna.

Ale teraz czuł też irytację, że nie działa sam. Nawet jednego ruchu nie może zrobić poza zmianą pozycji na krześle.

Pukanie do drzwi przyspiesza moje tętno. To jakieś szaleństwo. Ale kiedy okazuje się, że to Alicja, uspokajam się. Pierwszy raz jest w moim pokoju, więc robię szybki, optyczny przegląd stanu tego miejsca. Nic nie leży na podłodze. Walizka zamknięta, na oparciu krzesła wisi jedna koszula. I to wszystko, co ewentualnie można zaliczyć do bałaganu.

– Trochę się go boję – mówi Alicja.

– Kogo?

– No tego Daniela.

– Niepotrzebnie. Jest dla nas niegroźny.

– Nie możesz mieć pewności.

– Ale mam.

– Co o nim wiesz?

Podchodzi do krzesła, na którym wisi koszula. Siada na nim ostrożnie, układając kołnierzyk tak, by go nie pognieść.

– Niewiele – odpowiadam zgodnie z prawdą. – Mieszka w lesie, nie lubi go nasz ulubieniec Ksawery, poluje na niego, bo uważa, że za dużo wie. Problem polega na tym, że tak naprawdę mało wie, bo chce się trzymać z boku i mieć wszystko gdzieś.

– Dzikus, odludek. Tak go widzę.

– Jakoś tak – potwierdzam. – Wyobraź sobie, że znalazł w lesie jakąś dziewczynę, która nic nie pamięta, a którą coś złego spotkało.

Alicja prostuje się i otwiera w zdumieniu usta.

– Janka? – zadaje pytanie, którego się spodziewam.

– Nie. Widziałem ją. To nie ona.

– Gdzie ona jest?

– U Zosi.

– Tej z recepcji?

– Tak. Ona pojechała do Zosi, a Daniel z nami. Musieliśmy tak zrobić, bo Ksawery zorganizował na nich obławę.

Nie opuszcza jej zdumienia. Siedzi już nieruchomo. Porusza tylko ustami, kiedy mówi.

– O czym ty do mnie mówisz? – pyta retorycznie. – Obława? Co tu się dzieje?

Wzruszam ramionami, dając do zrozumienia, że sam nie wiem.

– Pamiętasz Magdę Palecką?

– Tak.

– Wróciła do Warszawy w niezbyt dobrej formie – ostatnie słowa akcentuję mocniej. – Jeszcze nie wiem, co to znaczy, ale się dowiem.

– Skąd wiesz, w jakim stanie wróciła?

– Moja Dorota się dowiedziała. Prosiłem, by ją znalazła. Udało jej się.

– I co powiedziała?

– Nie rozmawiała z nią.

Dzwoni telefon. W pierwszej chwili nawet nie wiem, co to za dźwięk, bo głowa jest gdzie indziej. Ale zaraz potem sięgam po komórkę i widzę na wyświetlaczu, że to Zosia.

– Niewiele mówi, pojedyncze słowa – składa meldunek – ale ma posiniaczone uda. Nie zauważyliście śladów na nadgarstkach? Jakby ktoś ją związał.

– Nie przyglądałem się jej – przyznaję.

– I trochę mi głupio o tym mówić, ale na pośladku ma ślad po uderzeniu jakimś paskiem, a w okolicach łona przebita skóra. Rana nie krwawi, ale jest.

Zagryzam dolną wargę. Czuję, jak na końcu języka nie mam ani jednego słowa.

– Przygotowałam jej kąpiel w wannie – mówi dalej Zosia. – Rozebrała się przy mnie i zobaczyłam to wszystko, zanim schowała się pod pianą. A kiedy ją o to zapytałam, była zdziwiona. Chyba naprawdę niewiele pamięta.

Myśli w mojej głowie urządzają sobie właśnie wyścig. Rywalizacja jest wyrównana. Żadna z nich nie dominuje, wszystkie natomiast są wredne. Agata jest ofiarą przemocy, Agata uciekła z domu, Agata została zgwałcona, Agata się z kimś pobila, Agata sama się okaleczyła, Agata się naćpała i nic nie pamięta, Agata to i Agata tamto. Kurwa mać! Stoję tak z tymi myślami i telefonem w ręku. I ze wzrokiem wbitym w Alicję, bo za chwilę będę musiał jej to powtórzyć.

– Panie Mateuszu... – Zosia nagle przerywa tę ciszę. – Nie wiem, o co w tym chodzi. Kim był ten człowiek w lesie?

– On ją znalazł. To znaczy Agatę znalazł – odpowiadam trochę zdenerwowany. – Można powiedzieć, że ją uratował.

Widzę pytający wzrok siedzącej na krześle kobiety i łapię się na tym, że nie chcę kończyć rozmowy z Zosią z obawy przed rozmową z Alicją. Boję się jej paniki, przerażenia i braku logiki w kolejnych działaniach.

– Kończę, panie Mateuszu, bo ona chyba coś mówi w tej wannie – Zosia mnie wyręcza. – A nie, ona pojekuje! Idę do niej.

– Zadzwoń za chwilę! – rzucam na zakończenie, ale nie wiem, czy to jeszcze słyszy.

Nie odkładam telefonu, kładę go na łóżko i łapię się za głowę. Alicja przekłada nogi na krzesło. Widzę, że się niecierpliwi, ale milczy.

– Ta dziewczyna jest trochę poraniona – mówię wreszcie, a Alicja przykładła dłoń do ust, jakby chciała powstrzymać krzyk.

Podchodzę do okna i patrzę na polanę. Może gdybym tego pierwszego wieczoru nie wyszedł na spacer, to wszystko by mnie ominęło. Choć właściwie to nie był początek tego zamieszania, to w ogóle nie miało na to wpływu. Może tak czy inaczej bym tego nie uniknął. Po prostu nie dane mi jest odpocząć, może nie zasłużyłem.

Odwracam się do Alicji, która nadal trzyma rękę na ustach.

– Przyznaję, że nie wiem, co robić.

Moja szczerość powoduje, że ona wstaje i do mnie podchodzi. Opiera czoło o moją klatkę piersiową. Nie wiem, co to ma znaczyć. Czuję się niezręcznie.

Z tej sytuacji wyzwała mnie dzwonek telefonu. Jednym susem dopadam do aparatu, mając stuprocentową pewność, że to Zosia.

– Powiedziała, że dotknęła się między udami i ją boli – mówi ta delikatna blondwłosa dziewczyna. – Na piersi ma siniaki...

– Zosiu – przerywam jej. – Opiekuj się nią. I dzwoń, kiedy tylko zechcesz. Muszę poskładać myśli. Odezwę się.

Kończę połączenie, ale wchodzę w wiadomości i wybieram numer Doroty. Piszę:

„Zrób wszystko, żeby ją tu ściągnąć. Jeśli będzie na NIE – dasz mi ją do słuchawki”.

Przez chwilę myślę o tym, co wysyłam. Czy to dobry kierunek, czy to się może udać. I dopisuję:

„Ale najpierw ją wycuj, potem wy pytaj, co ją tu spotkało”.

Wiadomości od Mateusza zastały ją w kawiarni w dużym centrum handlowym w Śródmieściu. Latte przygotowana przez baristę była zbyt słodka i po każdym łyku miała mdłości. Zepsuło jej to tę mrowiącą przyjemność w podbrzuszu, jaką poczuła, kiedy usłyszała przez telefon obietnicę Mateusza.

Ale teraz smak latte zszedł na dalszy plan, a mrowienie w podbrzuszu zastąpione zostało szybszym oddechem. Głos Mateusza brzmiał w tych wiadomościach chłodno i zasadniczo. Tym razem nie odebrała tego osobiście. Tym razem pomyślała, że dzieje się coś złego.

Wyciągnęła z kieszeni kartkę z numerem telefonu do Magdy Paleckiej. Patrzyła na nią, zastanawiając się, jak nakłonić ją na spotkanie. Udać kogoś innego nie ma sensu, została błyskawicznie rozszyfrowana przez asystentkę profesora. Zbyt duże ryzyko, że Magda zorientuje się równie szybko. Więc co? Mówić prawdę. Tylko co jest prawdą? Przestała już myśleć o wypytywaniu Mateusza. On naprawdę ma tam jakiś kłopot, nie chce być dodatkowym utrapieniem – pomyślała.

Nie dopiła kawy. Zostawiła pół dużej szklanki, wstała i wyszła, kierując się do podziemnego garażu. Wsiadła do samochodu i wystukała numer z kartki. Zaspiany głos kobiety usłyszała po piątym sygnale.

– Dzień dobry, Magda... – Dorota starała się mówić cicho i spokojnie, chciała ją sobie od początku zjednać – ...nazywam się Dorota Pres, ale moje nazwisko nic ci na pewno nie powie.

Odczekała chwilę. Liczyła na jakąś reakcję, ale po drugiej stronie słuchawki panowała cisza.

– Wiem, co cię spotkało niedawno w hotelu w górach i...

Rozłączyła się. Brutalnie przerwała rozmowę, dotykając czerwonej słuchawki w swoim aparacie. Magda, nie Dorota.

– Kurwa... – szepnęła. Wiedziała, że przepadło. Teraz już nie odbierze telefonu. Ona nie chce o tym rozmawiać, najwyraźniej naprawdę coś się wydarzyło. Kurwa – pomyślała jeszcze raz.

Była wściekła. Ale w tej wściekłości była też doza smutku, bo czuła, że zawiodła. Nie wiedziała, co robić. I już miała przekreślić kluczyk w stacyjce, kiedy telefon znów się odezwał. Na wyświetlaczu numer Magdy. Oddzwania.

– Też tam byłaś? – zapytała, kiedy Dorota odebrała i powiedziała „halo”.

– Nie, nie byłam.

– Kim jesteś? Dlaczego mnie o to pytasz? I skąd masz mój numer? Od Radka? On ci kazał mnie dęczyć?

– Nie, nie od Radka. I nie chcę cię dęczyć. Po prostu wiem, że coś się stało w hotelu, i chciałabym to wyjaśnić.

– Po co?

Dorota nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Wiedziała zbyt mało, by wyjaśniać jej, po co to robi.

– Dlaczego nie mogłaś się zameldować w hotelu? Próbowałaś, ale ktoś to powstrzymał.

Cisza po drugiej stronie. Magdę zaskoczyło to pytanie.

– Bo to był pobyt nielegalny. Tak myślę – odpowiedziała – ale naprawdę nie wiem, dlaczego mam o tym z tobą rozmawiać.

– Bo może źle zostałaś tam potraktowana, a ja chcę ci pomóc.

– Hahaha – parsknęła wymuszonym śmiechem. – Uważasz, że potrzebuję pomocy?

– Nie wiem. Jeśli tak, to ją oferuję.

– Nie potrzebuję.

Dorota przewróciła oczami i zacisnęła dłoń na kierownicy.

– Powiesz mi, co tam się stało? – zapytała.

– Przecież mówiłaś, że wiesz...

– Skłamałam. Wiem tylko, że coś niedobrego – Dorota prawie się zarumieniła, nie znosiła kłamstw – ale w hotelu jest właśnie mój partner, mój chłopak. Nie mówi mi wszystkiego, ale prosił, bym cię znalazła. Myślę, że coś go zaniepokoiło, coś odkrył.

– Jest detektywem? – Nawet przez telefon dało się wyczuć ironię.

– Dziennikarzem.

Cisza. Nawet sekunda ciągnie się w takich sytuacjach niemilosiernie. Dłoń Doroty nadal była zaciśnięta na kierownicy, czuła, że poci jej się druga dłoń, w której trzymała telefon.

– To niech to wyjaśnia – powiedziała Magda. – Ja nie muszę w tym brać udziału. Nie mam ochoty. Cześć.

– Poczekaj! – krzyknęła szybko Dorota. Jej rozmówczyni nie rozłączyła się. Była po drugiej stronie, choć milczała, czekając, aż dowie się, na co ma czekać.

– Mam propozycję. – Dorota wymyśliła ją dokładnie w tym momencie. – Jadę tam dziś. Ruszam za dwie godziny. Pojedź ze mną.

– To jakiś żart?! – odparła wściekle.

– Myślę, że twoja obecność pomoże.

– Nie sądzę. Nie chcę.

– Zróbmy tak... – znowu wymyśliła na poczekaniu. – Dokładnie o piętnastej będę stała na parkingu przy Torwarze. Przemyśl to i jeśli się zdecydujesz, bądź tam.

– Nie czekaj na mnie – odpowiedziała i odłożyła słuchawkę.

Dorota odrzuciła telefon na sąsiedni fotel i oparła głowę o kierownicę. Ta rozmowa sporo ją kosztowała. Dużo więcej niż niejeden projekt w agencji, w której pracowała.

To był kompletny bluff. Ale po chwili zastanowienia doszła do wniosku, że to całkiem niezły pomysł. Nie namawiać, nie nakłaniać, nie przekonywać. Dać tylko chwilę do namysłu. Jeśli Magda się nie zdecyduje, pojedzie sama. Chyba.

Miała dwie godziny. Na krótkie zakupy, na prysznic, na szybkie pakowanie i dojazd na umówione miejsce. Jakoś nie dopuszczała myśli, że Magdy tam nie zastanie.

Nie wierzę w powodzenie akcji z Magdą. I nie chodzi o brak wiary w Dorotę. Mam przeczucie, że tamta dziewczyna nie piśnie ani słówka. Nie mam z kolei pewności, czy w to wszystko nie jest wmieszana za swoją zgodą. Tylko w tej sytuacji dlaczego wróciła w „kiepskiej formie”?

– Co się stało? – pyta Alicja, przypominając o swojej obecności.

Jest zaniepokojona. Być może słyszała głos Zosi. Patrzę na nią, chcąc wyczytać z jej twarzy, jak mam jej powiedzieć to, co usłyszałem.

– O czym świadczy siniak na piersi, ślad na pośladku po uderzeniu paskiem, rana cięta przy łonie i ból między udami?

Alicja kładzie dłoń na ustach. Powstrzymuje w ten sposób głośną reakcję. Tak to odczytuję.

– Gwałt?

– Nie wiem, nie znam się na tym – odpowiadam zgodnie z prawdą.

– Kto mógł jej to zrobić?

– Nie wiem, ale zdaje się, że Ksawery wie, kim ona jest, bo pojawiła się w jego rozmowie z Danielem. A potem jeszcze słyszałem, jak mówi: „za dużo wie o tej dziwce i tej drugiej”.

– Że niby Daniel za dużo wie?

– Tak, ten Daniel, którego masz w pokoju.

Alicja zamyka oczy. A może tylko opuszcza powieki, nie wiem. Poprawia włosy i podpira się na łokciach.

– A ta druga to kto? – pyta.

– Nie wiem. Może Janka, może jeszcze ktoś inny.

Bo Magda nie. Magda to inna kategoria, przyjechała z nimi, a przynajmniej z jednym z nich. Dopiero potem coś nie wyszło.

Alicja kryje twarz w dłoniach i zastyga w bezruchu. Nie wiem, dlaczego tu jest. Boi się Daniela? Nie chce być z nim sama? Może nawet w ogóle jej się nie dziwi, jest kobietą. Tyle że ten Daniel to chyba dobry chłop, mimo że potrafi być niebezpieczny. Ciągle mam przed oczami to, co zrobił z jednym z napastników przy swoim domu.

Zamykam się w łazience. To chyba z potrzeby bycia samemu. Bo niby jestem w tym pokoju prawie ciągle sam, ale akurat teraz, kiedy potrzebuję tego najbardziej, czuję się jak w jakimś tłumie. Lubię Alicję, ale w tej chwili narusza moją prywatność i nie pozwala przetrwać wydarzeń dzisiejszego poranka.

Czuję, jak opuszczają mnie emocje, które nadawały ton od samego rana. Wysoki poziom adrenaliny utrzymywał się na tyle długo, że teraz, kiedy się obniżył, staję się senny. Nawet ziewam, stojąc przed lustrem. Najchętniej położyłbym się do łóżka. Nie wiem, czy zasnąłbym, ale takie leżenie byłoby spełnieniem tego chwilowego marzenia. Nie mogę sobie jednak na to pozwolić. I nie chcę.

Obmywam twarz zimną wodą i pocieram mokrą dłonią kark. To uczucie ulgi jest bezcenne, nie do zastąpienia w tej sytuacji. I już wiem, że muszę zaplanować masaż.

Wracam do pokoju. Alicja nadal siedzi na krześle podparta łokciami. Ale na mój widok wstaje.

– Może pójdziemy coś zjeść? – pyta.

W odpowiedzi na to pytanie poczułem głód. Mam za sobą tylko szybkie i małe śniadanie, kilka godzin stresu i bieganiny. Ale dopiero słowo „jeść” przypomina mi o pustym żołądku. Nawet głodem rządzi głowa.

– A co z Danielem?

– Powiemy mu, że zaraz wrócimy – odpowiada szybko, jakby się spodziewała tego pytania.

Przytakuję. Jestem głodny i lubię zapach tej restauracji.

Wychodzimy po minucie i najpierw kierujemy się do jej pokoju. Alicja otwiera drzwi cicho, ostrożnie. Nie wiem, czy spodziewa się w swoim pokoju intruza, ale gdyby miała taką możliwość, trzymałaby w dłoni wysunięty przed siebie pistolet.

Daniel siedzi na krześle, ale jego głowa spoczywa na blacie biurka. Śpi. Może Alicji to bezszelestne zachowanie podpowiedziała intuicja. Mówiła: „Alicjo, postaraj się go nie obudzić”. Tak więc postarała się, ale kiedy wchodząc za nią, zamykam za sobą drzwi, wydaje mi się, że równie cicho, Daniel podnosi



gwałtownie głowę i zaciska prawą pięść. Rozluźnia ją, kiedy dociera do niego, kim jesteście. I wtedy wstaje.

Jest w samych spodniach, bez koszulki. Jego mięśnie pokazują siłę, jego postawa sygnalizuje gotowość, a oczy mają w sobie chłód mordercy. To moje pierwsze spostrzeżenia, ale przecież to ostatnie nie jest prawdziwe. Kolejną myślą jest zazdrość, a jeszcze kolejną zakaz zdejmowania koszulki przy nim.

Widzę też kątem oka, że Alicja wgapia się w niego jak małolata. Bez ruchu.

– Idziemy na obiad – mówię w końcu. – Niestety, nie możemy cię zabrać ze sobą.

Uśmiecha się ironicznie.

– Poradzę sobie. – Uśmiech nie znika. – Idźcie. I wracajcie szybko, bo trzeba chyba coś zaplanować. Nie mogę tu siedzieć w nieskończoność.

– Tu, czyli w tym pokoju? – pyta Alicja.

– Tu, w tym hotelu. – Daniel robi głową okrężny ruch, który miał objąć cały budynek. – Pokażesz mi, gdzie rezyduje ten cały Ksawery. Kurwa, co to za imię. Matka chciała mu krzywdę zrobić?

Pytanie zostawiam bez odpowiedzi, choć przyznaję, że miałem podobną myśl, kiedy usłyszałem to imię po raz pierwszy.

Zostawiamy go. Z ulgą, bo jego ironia potrafi irytować. Alicja też działa mi na nerwy. Widzę, jak zerka na lustro w szafie. I czuję przez skórę, że myśli o przebraniu się. Sprawdza, czy dobrze wygląda, i widzę w jej spojrzeniu niezadowolenie. I jeszcze to ukradkowe upewnianie się, czy Daniel patrzy. Ale on nie zwraca na nią uwagi. Wchodzi do łazienki i wraca z niej już w koszulce.

– Jaki nosisz rozmiar? – pyta, patrząc na moje barki i brzuch. – Potrzebuję jakiegoś T-shirta, bo nie zabrałem z chaty niczego.

– Przyniosę ci – odpowiadam. – Coś tam mam, powinno pasować. Jesteśmy podobnego wzrostu.

– Dzięki. – Wzdycha. – Idźcie już.

Wychodzimy na pusty i cichy korytarz. Jaki to ogromny kontrast. W głowie gonitwa myśli, a tu taki spokój. Nienaturalny i w kontekście tego, co się naprawdę dzieje, bardzo złowieszczy. Już nie odbieram tego hotelu jako przystani spokoju. Gdybym miał go opisać jednym słowem, byłby to „mrok”. Nie wiem dlaczego. Ale wiem, że jak stąd wyjadę, pojedę w inne miejsce odpocząć. I będę jak trzy mądre małpy. Zakryję oczy jak Mizaru, by niczego złego nie widzieć, jak Kikazaru zasłonię uszy, by niczego złego nie słyszeć, i jak Iwazaru zamknę gębę, by niczego złego nie mówić. Taki będę. I niech mnie nikt z tego postanowienia nie wyrwa. Może przez kilka dni uda mi się w tym wytrwać.

W recepcji Diana. Trochę mi tam brakuje Zosi. Dobrze wpływał na mnie widok jej pochylonej nad ekranem komputera, z rozwianymi włosami, które ciągle poprawia albo dmuchnięciem, albo szybkim ruchem dłoni.

A właściwie gdzie jest Moneta? Mecenas Jan Moneta, właściciel hotelu. Natknąłem się na niego pierwszego dnia, a potem zniknął dla mnie. Wyjechał? Być może. Zostawił hotel w rękach menedżera? Być może. Faktem jest, że nie widuję go od kilku dni. Trochę to dziwne. I dziwne jest to, że nie myślę o nim w kontekście ostatnich incydentów.

Niby jestem głodny, ale nie mam apetytu. Odnoszę wrażenie, że Alicja ma to samo. Dość szybko podano nam karty i dość szybko wybieramy danie, które według nas zostanie przygotowane najszybciej – spaghetti bolognese. Czekamy w ciszy. Nie wiem, gdzie Alicja jest myślami. Ja jestem u Zosi. Mam wyrzuty sumienia, że mieszam ją w jakąś dziwną historię głębiej, niż w niej była.

Za oknem widzę Ksawerego. Idzie szybko w stronę bramy wjazdowej. Wmawiam sobie, że jest zdenerwowany nieudaną obławą na Daniela. Ale nie wiem, czy tak jest. Nie widzę jego twarzy. Dostrzegam jego plecy i szybko przebiegające nogi w przykrótkich spodniach. Za nim biegnie Błażej i macha ręką. Ksawery odwraca się i zatrzymuje. Błażej mówi coś do niego, po czym wskazuje dłonią hotel. Zamieram. Czyżby odkryli obecność Daniela? Alicja też to widzi i momentalnie blednie. Interpretuje to w ten sam sposób.

– Daniel – mówi szeptem.

Ale wtedy do Ksawerego podjeżdża terenowy samochód. Otwiera się w nim okno od strony pasażera. Widać, że menedżer rozmawia z kierowcą, kiwając głową. To jest kiwanie zwane rozczarowaniem i niedowierzaniem.

Otwierają się tylne drzwi. Zapewne ktoś wysiadzie. Przechodzi mi przez myśl, że zaraz pojawi się Moneta. To jest błędna myśl, bo po tym, jak najpierw wysuwają się nogi, wyłania się z samochodu ten, który jeszcze dziś rano siedział przywiązany do drzewa. Mrużę oczy, by się lepiej przyjrzeć i nie mieć wątpliwości. Tak, to on. Porusza się wolno i sztywno, jakby miał unieruchomioną szyję. Jest w czarnym golfie. I ten golf sięga mu do brody.

Ksawery odsuwa się od drzwi i wpuszcza go na przednie siedzenie. Samochód powoli rusza i wyjeżdża przez bramę z posesji.

Ale Ksawery nie wraca do hotelu. Teraz już znacznie wolniej, ale nadal podąża w kierunku bramy. A za nią skręca w prawo. Jest już dla mnie niewidoczny, bo ogrodzenie w tamtym miejscu przechodzi w mur, za nim zresztą stoi jakiś blaszak.

– Kto to był? – Alicja, nadal blada jak ściana, zadaje oczywiste pytanie.

– Jeden z tych, którzy polowali dziś na Daniela – odpowiadam.

– Trzeba go ostrzec!

– Przed czym? Przecież właśnie wyjechali.

Przytakuję. Ale spokoju jej to nie daje. Gniecie serwetkę. To teraz inna kobieta niż ta, którą poznałem po przyjeździe. Wtedy była pewna siebie, cwana, dowcipna. Teraz jest kłębkim nerwów.

Nie dojadamy. Po połowie porcji czuję, że rozrywa mi żołądek i nie dam rady już ani grama. Proszę pana z kuchni o zapakowanie obu niedokończonych dań. Jest zdziwiony, ale spełnia moją prośbę. Dyskretnie chowam do kieszeni widelec, którym przed chwilą jadłem.

Wychodzimy powoli, żeby nie zdradzić targających nami emocji. Alicja nawet próbuje się uśmiechać. Wtóruję jej nieudolnie. Przestaję próbować, kiedy przy recepcji zaczyna mnie Diana.

– Jest dla pana wiadomość – mówi, patrząc mi w oczy.

– Od kogo?

– Tego nie wiem – odpowiada, przeciągając sylaby.

Biorę od niej kopertę i szybko wertuję w pamięci wszystkich ludzi, którzy teoretycznie mogli tę wiadomość zostawić. Żaden z tych pomysłów nie jest prawdopodobny.

Diana wyraźnie czeka, aż otworzę kopertę i przeczytam.

– Będę musiał zostawić odpowiedź? – pytam złośliwie, dając jej do zrozumienia, że chciałbym przeczytać tę kartkę bez świadków.

Ale ona jedynie kiwa przecząco głową. Zdumiewa mnie to, ale ciekawość tej wiadomości jest silniejsza. Otwieram.

„Oni dziś przyjeżdżają. To pewne. Około osiemnastej”.

Podnoszę wzrok na Dianę.

– Mam nadzieję, że to ważna dla pana wiadomość – mówi, tym razem potakując.

– Bardzo ważna, dziękuję – wyduszam z siebie podziękowania.

– Bardzo zależało mi, żeby przekazać panu tę informację – dodaje i wraca na swoje stanowisko pracy. A ja już rozumiem, że to wiadomość od niej.

Alicja czeka na mnie na schodach. Daję jej tę kartkę do przeczytania. Jej reakcja jest jednoznaczna

– O kurwa! – klnie szeptem.

Rozumiem ją doskonale. Też mam ochotę to powiedzieć. I miałem już przy Dianie.

– Idź do Daniela, zaraz do was dołączę.

Skręcam w swój korytarz, ona pnie się dalej schodami. Muszę wrócić do pokoju po telefon, może się przydać.

Otwieram drzwi do swojego pokoju i mój wzrok przyciąga biała plama tuż za nimi. To kartka. Jeszcze jedna? Pewnie ta sama wiadomość. Nie miała pewności, czy mnie spotka przy recepcji, więc wsunęła jeszcze pod drzwi. Ale o ile wiadomość Diany została napisana odręcznie, o tyle ta kartka to wydruk z komputera.

„Niepotrzebnie tyle się szwendasz po lesie”.

Zatrząskuję szybko drzwi i rzucam kartkę na podłogę, żałując, że ją podniosłem.

Podjechała od strony Pięknej i Łazienkowskiej. Po prawej stronie zostawiła stadion piłkarski, po lewej mijala już Torwar i podziwiała duży plakat promujący koncert Stinga. Obok wisiało też zdjęcie jakiegoś sportowca, ale nie skupiła się na nim, tylko na wjeździe na parking.

Zabrała ze sobą małą walizkę z najpotrzebniejszymi rzeczami, a na drogę włożyła dżinsy i koszulkę z krótkimi rękawami i płytkim dekoltem. Najwygodniej w świecie.

Zaparkowała od strony budynku. Tam było więcej wolnych miejsc. Dotarła przed czasem, więc rozejrzała się po parkingu i zaczęła przerzucać stacje radiowe. W samochodzie roznosił się zapach jej perfum, ale Dorota go nie czuła. Czuła natomiast zapach szamponu do włosów, którego użyła po raz pierwszy. Zachwycała się nim już pod prysznicem. A potem z nią została.

Pakując się do tej małej walizki, zastanawiała się, czy w razie nieobecności Magdy ruszyć w ogóle w drogę. Ale kiedy wyobraziła sobie, że przytula się do Mateusza, podjęła decyzję, że pojedzie bez względu na wszystko. I ta decyzja ją ucieszyła. Dopiero kiedy usiadła za kierownicę, pomyślała, że ta podróż wcale nie musi być przyjemna.

Nastawiła jakąś stację i rozsiadła się w fotelu. Przez okno mogła obserwować praktycznie cały parking i dwa wejścia. To dawało jej poczucie spokoju, że nie zostanie zaskoczona.

Ale i tak dość późno zauważyła zmierzające w jej kierunku dwie dziewczyny. Mignęły jej nieco wcześniej, ale wypatrywała jednej osoby, więc na dwie kobiety nie zwróciła uwagi. Dopiero teraz, kiedy były bliżej, przyjrzała się twarzom. Szybko rozpoznała Agnieszkę Nosek, tę asystentkę psychologa. Druga to musiała być Magda Palecka. I była.

Dorota wysiadła z samochodu. Chciała się zachować jak należy, nie witać się przez okno, nakazując wsiadanie do auta. Poza tym nie wiedziała, czego chce Agnieszka.

– Dzień dobry – powiedziała, kiedy były już blisko. – Cieszę się, że się zdecydowałaś.

Magda skinęła głową i zerknęła na koleżankę. Ta podeszła bliżej Doroty i wyciągnęła rękę.

– Tak, zdecydowała się, ale jadę z wami – oznajmiła.

Zaskoczyło to Dorotę, jednak nie znalazła powodów, dla których miałyby to być niemożliwe.

– Zgoda – odrzekła.

Otworzyła bagażnik, zabrała obie ich torby i wrzuciła do środka.

– Wsiadajcie i ruszamy! – poleciła, otwierając wszystkie drzwi. Chciała dać im wybór. Agnieszka usiadła z przodu. Magda za fotelem kierowcy. Chyba chciała się schować.

Dorota obrzuciła wzrokiem cały parking. Ponownie spojrzała na plakat Stinga i wsiadła do samochodu.

– Jeszcze raz wam powiem, że cieszę się z waszej decyzji – powiedziała, odwracając się w ich stronę. A potem spojrzała na Agnieszkę. – I cieszę się, że ty też jedziesz. Magdzie będzie różniej.

Nie odpowiedziały. Siedziały bez słowa, jakby były obrażone na cały świat.

– Magda nie chciała, bym jechała, ale nie mogłam zostawiać jej samej – odezwała się wreszcie Agnieszka.

– Rozumiem – skwitowała Dorota i uruchomiła silnik. – No to w drogę.

Zanim jednak ruszyła, napisała wiadomość.

„Będziemy za jakieś pięć godzin”.

Czytam trzeci raz wydrukowany na kartce tekst.

„Niepotrzebnie tyle się szwendasz po lesie”.

Nie podnoszę jej z podłogi. Po prostu najpierw kucam, potem kłęczę. Traktuję ten kawałek papieru jak towar przeklęty, pokryty węglikiem. Jestem nienormalny. Zachowuję się, jakby kartka przeze mnie nietknięta w ogóle mnie nie dotyczyła.

Podchodzę ostrożnie do okna i odsuwam dyskretnie firankę. To oczywiste, że na zewnątrz nic się nie dzieje. Nie wiem, czego się spodziewałem. Dziesiątek par oczu wpatrzonych we mnie czy kilku łuf wycelowanych w moje okno.

Tak naprawdę to nie wiem, o co chodzi z tym szwendaniem. W najgorszym razie o to, że byłem przy domu w lesie. Ale w tym wypadku nie jest wesoło. Mam przejebane. Jeśli mnie tam zauważyli, rozpoznali, to lepiej, żebym stąd spierdalał. Ale tego nie zrobię.

Z walizki wyciągam T-shirt dla Daniela. Powinien się w niego zmieścić. Zastanawiam się, gdzie zostawiłem telefon, ale w końcu znajduję go pod koldrą. Podnoszę wreszcie tę kartkę z podłogi i wychodzę z pokoju. Jak bohater. Śmiechu warte.

Na schodach odbieram wiadomość od Doroty.

„Będziemy za jakieś pięć godzin”.

Zuch dziewczyna. Staję na tych schodach i się uśmiecham. Trochę dlatego, że obecność Paleckiej coś wyjaśni, trochę też dlatego, że jedzie tu Dorota. Dobrze będzie ją zobaczyć i objąć.

Przed drzwiami pokoju Alicji chwilę stoję i nasłuchuję. Cisza, zarówno w środku, jak i w ogóle w hotelu. Kiedy tu dotarłem, byłem z tej cizy kontent, teraz jestem nią trochę zaniepokojony. Mam wrażenie, że za chwilę coś się stanie. I wraca do mnie pytanie, gdzie pochowali się ci wszyscy goście, których widziałem meldujących się w recepcji. Chodzą w góry? Siedzą w pokojach? Prawie w ogóle ich nie widać. Tylko czasem w restauracji, no i ta ciekawa para na basenie. Ona blondi, on osiłek.

Na pukanie Alicja szybko odpowiada zaproszeniem. Siedzi w fotelu stojącym obok łóżka. Dlaczego ja takiego nie mam? Szukam wzrokiem Daniela.

– Jest w łazience – informuje Alicja.

I rzeczywiście, teraz uświadamiam sobie, że słyszę dźwięk odkręconej wody i jakiś szelest. Drzwi do łazienki są otwarte, więc zerkam. Daniel pierze coś w umywalce.

– Wszystko w porządku? – pytam.

Kiwa tylko twierdząco głową.

– Nie byłem pewny, czy będziesz pamiętał, to sobie pranie urządzam – odpowiada z lekkim uśmiechem.

– Na dole jest pralnia.

– Aha. Nie wpadłem na to. – Parska śmiechem.

Dociera do mnie, że pralnia hotelowa nie jest miejscem dla kogoś, kto się w tym hotelu ukrywa. Zabrakło mi refleksji przed wypowiedzeniem tych słów.

– Mówiałaś mu? – pytam Alicję, która od razu kręci przecząco głową.

– O czym? – Daniel nadal macza koszulkę w namydlonej wodzie.

Nie wiem, czy czekać, aż skończy to pierdalone pranie, czy walić prosto z mostu. Choć może lepiej, żeby nie patrzył wtedy na mnie tymi jasnyniebieskimi ślepiami. Nawet na mnie to spojrzenie działa.

– Co jakiś czas przyjeżdża do tego hotelu grupa mężczyzn. – Jednak nie czekam, aż skończy. Pierwsze zdanie nie robi na nim wrażenia. – Wchodzą bocznym wejściem, nie meldują się i znikają.

Nadal bez reakcji. Mam wrażenie, że to pranie jest już skończone, a on nie przerywa tylko dlatego, że chce mnie zirytować albo zlekceważyć. Wyciąga koszulkę z mydlin i płucze w bieżącej wodzie. No, to chyba kończy. Co mu w ogóle przyszło do głowy z tym praniem? Kurwa!

– I chyba wiem, gdzie znikają. Znalazłem ukryte pokoje w tym hotelu.

Wykręca koszulkę. Z zazdrością patrzę, jak napinają mu się przy tym bicepsy. Zmarnowałem lata młodości, mogłem zapierdalać w siłowni. Zaraz zajmie się rozwieszaniem i szlag mnie trafi. Zawiesił ją na kaloryferze i stanął jeszcze raz przed umywalką.

– I co dalej? – pyta.

Nareszcie jakieś zainteresowanie. Nawet jeśli nikłe.

– Dziś znowu mają przyjechać.

Poprawia włosy, potem brodę.

– Masz tę koszulkę?

Podaje mu T-shirt, który trzymam cały czas w ręku. Bierze i rozkłada, by go obejrzeć. Jestem pewny, że nie ocenia, czy jest zgodny z ostatnim krzykiem mody, tylko szacuje, czy się w niego wbije.

– Wiesz, nie chcę przed nią paradować półnagi – mówi ciszej i wskazuje przy tym ruchem głowy na Alicję.

W koszulkę się zmieścił. I nawet całkiem dobrze w niej wygląda. Lepiej niż w tamtej.

– Dlaczego to takie ważne? – pyta, wychodząc z łazienki i mijając mnie w drzwiach.

– Co?

– To z tą grupą, o której mówisz.

– Nie wiem. Ale jeśli to wszystko jest tajne, to znaczy, że niezbyt legalne.

– Naogłądałem się trochę nielegalnych rzeczy w swoim życiu.

– Być może. Ale tu mamy do czynienia z człowiekiem, który urządza na ciebie obławę. I to ten człowiek przyjmuje jakieś grupy do hotelu bez śladu ich pobytu.

– To jeszcze nic złego.

Siada na łóżku i opiera się o wezgłowie. Nagle dociera do niego, że to nie jego łóżko, i rzuca spojrzenie Alicji. Ta głową daje przyzwolenie, sądząc, że Daniel o nie pyta. I chyba tak jest, bo po jej geście wyciąga się wygodnie.

– Kiedy byli ostatnio, przywieźli kobietę. Chyba nie wiedziała, jak to wygląda, bo się zameldowała. Została szybko skarcona, a z książki meldunkowej zniknęło jej nazwisko.

– W takim razie skąd wiesz, że się meldowała?

– Bo to nazwisko nie zniknęło całkowicie.

Coraz żywiej reaguje. Może potrzebował miękkości materaca i wezgłowia, by zaczęło docierać.

– I znalazłem tę dziewczynę – ciągnę dalej. – Tak się dziwnie złożyło, że wyjechała stąd w niezbyt dobrej formie.

Przeszywa mnie wzrokiem. Jakoś to spojrzenie wytrzymuję. Pewnie dlatego, że czuję jakąś przewagę.

– Skąd to wszystko wiesz?

Czuję nie tylko przewagę, czuję też satysfakcję.

– Moja dziewczyna się z nią skontaktowała w Warszawie. Właśnie tu jadą, są w drodze.

Jęknienie Alicji było głośne. Znowu zasłania usta dłonią. Oczy otwiera bardzo szeroko.

– Nic nie mówiłeś – mówi cicho.

– Właśnie dostałem wiadomość. Też jestem zaskoczony, że to się udało.

Spoglądam na Daniela. Patrzy w okno, mrużąc oczy. Obmyśla plan? Nie wiem. Trudno go rozgryźć. Patrzy tak kilkanaście sekund. W pewnym momencie nawet przygryza dolną wargę. Wreszcie się odwraca.

– Dobry jesteś – stwierdza.

– Nie drwij – odpowiadam i opieram się o biurko.

– Serio, dobry jesteś.

Postanawiam nie kontynuować tej przepychanki.

– A jeśli zestawisz tę dziewczynę z Warszawy z Agatą, która leczy rany u Zosi, to robi się nieciekawie.

Kiwa głową. Wie, że mam rację. Albo przynajmniej mogę ją mieć.

– Kiedy mają przyjechać? – pyta spokojnie, wręcz z jakąś flegmą.

– Kto?

– Ci bezmeldunkowi.

– Dziś.

– Dżisz? – To naturalne, szczerze zdziwienie, które przeradza się w rozbawienie. – Świetnie nam to się układa.

– Co robimy? – pytam poważnie. Mówię już tylko do niego, bo Alicji mentalnie tutaj nie ma. Jej myśli chyba uciekły gdzieś daleko. Wyraz jej twarzy nie zmienia się, od kiedy powiedziałem, że Dorota i Magda są w drodze.

– Posłuchaj. – Wstaje z łóżka. – Mnie zależy tylko wpięderzeniu temu całemu Ksaweremu. Do reszty nie chcę się jakoś specjalnie mieszać.

– Już się w mieszałeś – odpowiadam – samą obecnością teraz w tym hotelu.

Kręci przecząco głową, ale nie pozwalam mu mówić.

– Poza tym myślę, że trochę za późno na takie oddzielenie Ksawerego od całej reszty.

– Nie interesuje mnie jakaś „reszta”. Chyba że mówimy o tych trzech pajacach, którzy odważyli się podejść do mojej chaty.

– Ich już tutaj nie ma – mówię szybko.

– Jak to „nie ma”? – Znow jego zdziwienie. – A byli? I skąd wiesz?

– Widziałem... – zerkam na Alicję – ...widzieliśmy, jak odjeżdżają. Ksawery ich... żegnał.

Daniel przez chwilę zastanawia się nad tym, co mówię. Stoi przy oknie, tyłem do niego. Potem odwraca się i wpatruje w dal. Trochę mnie fascynuje, trochę irytuje. Ale bardziej fascynuje, bo nie pasuje do tego krajobrazu. To jak dąb wśród sosen. Odezwało się we mnie głośno pytanie, które tkwiło w mojej głowie od rana: kim on jest i co tu robi? Brzmia mi w uszach słowa Wojtka: „Pojawił się tu kilka miesięcy temu, nie wiem skąd i nie pytam. Nie chcę wiedzieć”. Czuję, że ja chcę wiedzieć.

A właśnie... Minęło kilka godzin. Wojtek zniknął. Ja na jego miejscu zainteresowałbym się, jak zakończyła się obława. Chyba że... rzeczywiście lokalizacja jest jego sprawką, a efekt obławy dość oczywisty i nie ma czego sprawdzać.

– Co cię tak zdenerwowało przed barem, kiedy Ksawery z niego wychodził? – wypalam nagle, kiedy ten obraz pojawia mi się przed oczami.

Daniel przerywa wpatrywanie się w siną dal i odwraca się w moją stronę. Opiera się o parapet.

– Widziałeś tę kobietę? – pyta.

– Tak.

– To była Marysia, kobieta, która wydawała mi się życzliwa i uczciwa. Nigdy ani słowem nie wspomniała, że ma jakiś kontakt z tym gościem, a miała ku temu wiele okazji. I nagle widzę, że przytrzymuje drzwi, przez które on wychodzi. Tyle.

– To jeszcze nic nie znaczy – szukam dla niej usprawiedliwienia, ale on uśmiecha się ironicznie.

– To tak, jak nic nie znaczy pojawienie się w hotelu kilku facetów bez meldunku. – Trafia w punkt. Nie mam na to odpowiedzi i tylko opuszczam głowę, jakbym był zakłopotany. Ale nie jestem. Jestem podekscytowany i jednocześnie zaniepokojony. Do tego stopnia, że boli mnie brzuch.

– Co u Agaty? – pyta, stojąc z założonymi rękami.

– Odpoczywa. Ma u Zosi spokój – odpowiadam – ale ma więcej ran niż te, które odkryłeś.

– Co jeszcze? – Marszczy czoło. Naprawdę go to martwi.

– Niewielka rana cięta na podbrzuszu i siniak na piersi.

Potakuje. Przyjmuje to do wiadomości i trawi w sobie. Wiem, jak to jest. Introwertyk jak ja. Męczymy się z tym obydwaj.

– Odczuwa ból, kiedy dotyka się między udami – dodaje. – Brała kąpiel i Zosia to zauważyła.

Widzę, jak zwierają mu się szczęki. Wsuwa dłoń do kieszeni, ale po chwili je wyciąga. Jedna jest zaciśnięta w pięść, co Daniel próbuje ukryć. Ale ja to widzę. Te szczęki, te żyły na skroniach, te zaciśnięte przez chwilę usta. To te emocje, które chcę u niego widzieć. Wiem, że teraz nie odpuści.

– Dobra – stwierdza cicho, ale stanowczo. – Przyjrzymy się tym gościom.

Dziwnie się czuł w tym hotelu. Od kilku miesięcy oglądał go tylko z zewnątrz, był dla niego miejscem, którego nie chciał poznać, a które interesowało go jedynie jako łącznik z dawnym życiem, a potem jako scena, gdzie swoją rolę odgrywała Alicja. Ta sama, która teraz wciąż siedziała w fotelu i nie mogła się zebrać w sobie po tym, co usłyszała.

Mateusz wyszedł zaraz po zapewnieniach Daniela, że przyjrzy się gościom. Najwyraźniej na takie słowa czekał, bo pokiwał tylko głową i powiedział: „Widzimy się później...”, a potem wyszedł z pokoju.

Nie pytał Alicji, czy Daniel może tu zostać. Nie pytał Daniela, czy chce tu zostać. W ogóle nie pojawiła się w ich rozmowie logistyka. Mimo że początkowo Daniel miał się ukryć w pokoju Mateusza. Obecna sytuacja została bez przedyskutowania zaakceptowana.

Od okna przeszedł do biurka i usiadł przy nim. Nie wiedząc, co ze sobą zrobić, zaczął przeglądać folder reklamowy hotelu. Nie skupiał się na treści, była dla niego nieistotna. Bo co go obchodziło, że hotel ma siłownię czy restaurację z jakimiś gwiazdkami. Przeglądał, a jego zmysły rejestrowały każdy ruch Alicji. Krępowała go, nie czuł się dobrze jako nieproszony gość w jej pokoju. Ale zmysły nie tylko z tego powodu włączyły funkcję skanowania. Był blisko kobiety, którą do tej pory obserwował z daleka. I nie do końca wiedział, co o tym myśleć.

Wstała. Najpierw to poczuł, potem usłyszał. Odwrócił głowę i zobaczył, że sięgnęła po coś do walizki. Zaraz potem położyła na blacie przed jego oczami książkę. *Shantaram*.

– Może ci się spodoba – powiedziała. – A jak ci się spodoba, to dostaniesz ją w prezencie.

Uśmiechnął się na myśl o czytaniu tej osmiusetstronicowej powieści. Przeczytał w swoim życiu niemało książek, ale tak okazałej jeszcze nie.

– Idę pod prysznic – poinformowała jeszcze i weszła do łazienki.

Daniel spojrzął na okładkę. „Shantaram to czytelniczy Święty Graal”. Nigdy nie widział jeszcze na okładce książki słów, które miałyby zniechęcić do czytania. Zawsze jest to albo bestseller, albo właśnie jakiś święty graal.

„Dużo czasu minęło i wiele się na świecie zmieniło, zanim nauczyłem się tego, co wiem o miłości, przeznaczeniu i ludzkich decyzjach”. To chyba o mnie – pomyślał. I w jednej chwili przypomniał sobie, że nie skończył powieści, którą podrzucił mu Wojtek. Została w domu.

Gdzie jest Wojtek? Nie jest ciekaw, czy przeżył obławę? Podniósł wzrok znad książki. Przed sobą miał lustro, więc zobaczył swoją twarz. Usłyszał, że Alicja odkręciła wodę. I dopiero teraz zauważył, że nie domknęła drzwi. Wstał i podszedł do nich. Przez wąską szparę zobaczył, jak Alicja stoi przed szklaną kabiną prysznicową i bada dłonią temperaturę wody. Kiedy już była z niej zadowolona, rozpięła bluzę i ją zdjęła. Danielowi ukazały się proste, umięśnione plecy przecięte paskiem i sprzączką czarnego biustonosza. Kiedy zdjęła spodnie, zobaczył czarne koronkowe majtki na krągłych pośladkach.

Była zupełnie inna niż Martyna. Pełniejsza, z wyraźniej zaznaczoną talią. Martyna była szczupła, miała węższe biodra i małe piersi. Alicja stanowała pod tym względem jej przeciwieństwo.

Kiedy zaczęła rozpinąć biustonosz, chwycił za klamkę i po cichu zamknął drzwi. Nie chciał być podglądaczem. I kiedy je zamknął, poczuł ulgę. Po pierwsze, dlatego że wreszcie będzie wobec niej w porządku, po drugie, dlatego że uniknie tego napięcia między udami. Nie było mu to teraz potrzebne.

Wziął do ręki książkę i wyciągnął się na łóżku. Miał nadzieję, że Alicja nie będzie miała nic przeciwko temu, skoro położył się na kocu, a nie w pościeli. Próbował czytać pierwsze strony powieści, ale myśli i tak krążyły wokół Agaty, Ksawerego i tego, co powiedział Mateusz. Wszelkie scenariusze, jakie przychodziły mu teraz do głowy, zapewne będzie musiał wyrzucić do kosza. Jedno co było pewne, to koniec jego pobytu w tej wsi i w tym lesie. Poczuł zmęczenie ukrywaniem się i chęć powrotu. Pomyślał o siostrze i przypomniał sobie o tym gówniarzu, który pomógł mu wtedy w dniu śmierci Martyny. Miał go odszukać. Czyżby ukrył się tak umiejętnie, że nawet taki spryciarz nie dał rady? A siostra to pewnie myśli, że go zabili. Znaleźli i zabili.

Myśli dzielone między *Shantaram* i niewiadomą najbliższych godzin w końcu spowodowały, że powieki zaczęły mu opadać, a oddech stał się miarowy i spokojny. Zasnął.

Obudził go zapach. Taki, którego nie czuł od dawna. Zapach kobiety, która wyszła spod prysznicza z mokrymi włosami i skórą gorącą i jeszcze moką, gdzieś tam pokrytą kroplami. To mieszanka zapachów, która wpływała na mężczyznę jednoznacznie. Tym bardziej że zapach połączony był z dotykiem. Trzymała dłoń na jego brzuchu. Trochę naciskając, trochę głaszcząc. A kiedy otworzył oczy, zobaczył, że wpatruje się w niego intensywnie. Dostrzegł w tym spojrzeniu błysk.

Zapach podpowiadał trafnie. Miała mokre włosy i zroszona kroplami skórę na ramionach. Resztę ciała zakrywała beżowa, satynowa koszulka na ramiączkach.

Daniel nadal leżał bez ruchu na plecach, delektując się tą dłonią na brzuchu. A kiedy podniosła koszulkę i dotknęła jego nagiego ciała, zareagował w pierwszej chwili tak, jak reaguje się na łaskotanie. Po kilku sekundach położył dłoń na jej dłoni i delikatnie ścisnął. Widział, że wzięła wtedy głęboki wdech i od tego momentu jej klatka piersiowa poruszała się szybciej. Rozchyliła usta i nachyliwszy się, pocałowała go w nadgarstek. Daniel drugą dłonią pogłaskał ją po włosach. Ona z jego dłoni zsunęła się na brzuch i dotknęła go wilgotnymi wargami. Poczul też na swojej skórze jej język. A kiedy przygłębła do niego policzkiem, poczul, jak rośnie, jak twardnieje, jak wzmagą się w nim pożądanie.

Usiadła na jego udach i nachyliła się do jego twarzy. Pocałowała w czoło, potem w policzki i wreszcie przygłębła swoimi wargami do jego warg. Usta zaczęły się ssać nawzajem coraz energiczniej, aż spłotyły się ze sobą języki. Jedli się po kawałku i spijali ślinę z języków i warg. Ona wyginała się w swojej chuci i cicho jęczała. On chwycił ją za kark i mocno trzymał, penetrując językiem jej usta. Nagle oderwał ją od siebie, szarpiąc za włosy, i zwolnił uścisk.

Patrzyli tak na siebie kilka sekund, głośno i głęboko oddychając. Dotknęła jego krocza. Było twardo. Zsunęła się więc niżej i rozpięła spodnie. Kiedy je rozchyliła, dłońmi muskała naprężony członek. Potem położyła na nim dłoń i poczuła, jak pulsuje. Ale dopiero kiedy zsunęła mu spodnie do kolan, pozwoliła sobie na gwałtowne szarpnięcie bokserek.

Chwyciła go w dłoń i przesunęła w górę i w dół. Daniel wygiął się w ekstazie i wydał z siebie głośne westchnienie. Nie wahała się dłużej, wzięła go w usta, zalewając przy tym kutasa śliną. Ssała go tylko chwilę, bo miała niewyobrażalną chęć poczuć go w sobie. Przesunęła się biodrami nad jego biodra i spojrzała mu w oczy. Wyczytała z nich, że chce tego samego. Spojrzał w dół i oszalał z podniecenia, kiedy zobaczył bliskość kutasa i cipki. To był prawie dotyk. On był gotów. Ona błyszczała od swoich soków.

Nabiła się na niego, kiedy zatrzymał wzrok na jej sterczących sutkach przebijających przez satynę. Sięgnął wtedy do jej piersi i ścisnął je w dłoniach. Poczul ich wielkość i jedność dokładnie w tym samym momencie, w którym zalała go fala ciepła i wilgoci jej wnętrza. Zamknął oczy w pierwszym odruchu, ale zaraz potem otworzył, bo chciał na nią patrzeć.

– Patrz na mnie – wyjęczał, kiedy zobaczył, że odchyliła głowę. Natychmiast wbiła w niego wzrok, poruszając się na nim najpierw powoli, potem coraz szybciej i energiczniej. Tańczyła na jego kutasie, kręcąc biodrami. Unosiła się i opadała, ciągle jęcząc z rozkoszy. Zrzuciła koszulkę, kiedy zrobiło jej się zbyt gorąco. Daniel podniósł się wtedy i zbliżył twarz do jej piersi. Zaczął ssać i kąsać sutki. Krzyknęła z bólu, kiedy zacisnął mocniej żęby. Ale nie chciała, żeby przestawał. Chwycił mocno lewą pierś i patrzył na duże sutki. Lizał je i znów kąsał, kiedy czuł, że jest bliski orgazmu.

Ale to ona doszła szybciej. Wyrężyła się wtedy mocno i głośno jęknęła. Drżała, a on czuł, jak pulsuje jej wnętrze. Czuł, jak stopniowo opada z sił, wiotczeje. Zeszła z niego, kiedy już zakończyła długie szczytowanie. Wciąż głęboko i szybko oddychając, popchnęła go tak, że opadł na plecy. Zsunęła się wtedy do jego bioder i znów wzięła go w usta. Dłoń zacisnęła u nasady i poruszała nią aż do chwili, w której eksplodował w jej ustach. Nie wypuściła go z siebie jeszcze długo. Zrobiła to dopiero wtedy, kiedy przestał się przeżyć, a twardość ustąpiła relaksującemu rozluźnieniu.

Położyła się wtedy obok niego i przyłożyła głowę do jego ramienia. Długo jeszcze starali się uspokoić oddechy. A kiedy już się to udało, Daniel objął ją ramieniem, a ona przesunęła głowę na jego tors. Nogą opłotała jego biodra. Zadała sobie w duchu pytanie: „co dalej?”, ale nie chciała na nie odpowiadać.

Daniel uśmiechnął się do tej chwili. Całym ciałem przyległa do niego kobieta, którą od czasu do czasu obserwował i która była jego fantazją w chwilach napięcia seksualnego. Nie zaciągnął bokserek. Chciał, by leżąc tak na jego torsie, patrzyła na kutasa, którego przed chwilą wyssała. Już dawno żadna kobieta tak na niego nie patrzyła.



Prowokacyjnie schodzę na dół w okolice recepcji. Może spotkam gdzieś tam autora tego listu o szwendaniu się po lesie. Może spojrzę mi w oczy.

Sam nie wierzę w to, co myślę. Prędzej kryliby się za moimi plecami. No, może poza Ksawerym. Ten beczelnie gapiłby się, próbując zaznaczyć swoją przewagę.

Jest Diana. Kiedy mnie dostrzeża, uśmiecha się dyskretnie i puszcza oko. Chyba jest podekscytowana swoim udziałem w konspiracji. Pewnie ma niezbyt interesujące życie albo nie zdaje sobie sprawy z poziomu abstrakcji i niebezpieczeństwa. Nie czuje tego syfu. Nie będę jej wciągał bardziej, choć chciałbym ją dopytać o kilka rzeczy. Skąd wie, którędy wejść, ilu ich będzie?

Szwendam się. Tym razem nie po lesie. Tym razem po hotelu i jego korytarzach. Wszędzie pusto i cicho. Kawiarnia, taras, restauracja, a nawet basen z niewzruszoną taflą wody. Czy ten spokój był tu cały czas, tylko ja go dopiero teraz zauważam? I może dzieje się tak dlatego, że chcę pomyśleć o ciszy przed burzą?

Schodzę po schodach do bocznego wejścia. Drzwi nie są szerokie i efektowne. Są normalne. Aluminium, szkło, klamka. Drzwi jak drzwi. Ale to chyba przez nie wejść ci spodziewani goście. Wychodzę z poziomu abstrakcji i niebezpieczeństwa. Stoją tylko dwa samochody: Alicji i mój. Wszyscy wyjechali? Nagle?

– Dlaczego parking jest praktycznie pusty? – zwracam się do Diany, kiedy znów przechodzę obok recepcji.

– A jest? – Wychyla się zza biurka. Bez sensu, bo stąd oczywiście nie widać nawet jednej kostki brukowej tego parkingu. – Może goście wyjechali na jakieś wycieczki w góry.

– Ilu jest gości w hotelu? – pytam z ciekawości.

– Nie mogę panu odpowiedzieć na to pytanie – mówi całkiem serio – ale nie ma ich więcej niż dziesięcioro. I nie mniej niż siedmioro.

Zadaniem matematycznym jestem zaskoczony. Ale radzę sobie jakoś i dochodzę do wniosku, że gości jest niewielu. Taka informacja mi wystarczy.

Wracam do pokoju. Tam kładę się na łóżku i dzwonię do Doroty.

– Jesteś na głośnomówiącym – uprzedza mnie na wstępie.

– Będę pamiętał – uspokajam ją i pytam o drogę.

– Właściwie jesteśmy dopiero na początku, ale przynajmniej z Warszawy wyjechaliśmy dość szybko, bez korków.

– Dzień dobry, pani Magdo – mówię nieco głośniejszym głosem, jakbym miał wątpliwości, czy głośniki w samochodzie Doroty poniosą mój głos do uszu Paleckiej. Najwyraźniej jest z tym kłopot, bo nie słyszę odpowiedzi.

– Dzień dobry – w końcu padają te magiczne słowa. – Nazywam się Agnieszka Kosowska. Jestem przyjaciółką Magdy.

– Czy to znaczy, że Magda jednak nie jedzie? – pytam zaniepokojony.

– Jedzie, ale ma naturę buntowniczkę – odpowiada mi ten sam głos.

Lubię buntowniczkę, ale kiedy nie buntują się przeciwko mnie. Bo kiedy to robią, ja buntuję się przeciwko nim. I jest pat.

– Pani Magdo – próbuję jednak nawiązać kontakt – proszę się niczym nie martwić.

Słyszysz jakieś dźwięki, ale nie wiem, czy to jej głos, czy coś innego. Brzmi dość nisko.

– Mówi, że się nie martwi – wyjaśnia Dorota.

– Być może będzie mogła pani komuś pomóc, a my z pewnością pomożemy pani – ciągnę dalej. – Cieszę się, że zdecydowała się pani na tę podróż.

Cisza. Próbuję sobie wyobrazić sytuację w samochodzie. Magda pewnie patrzy przez okno, z nosem na kwintę, Dorota marszczy czoło i próbuję się skupić na drodze, a Agnieszka... Nie mam pojęcia. Nic o niej nie wiem.

– Szerokiej drogi, widzimy się na miejscu – kończę, bo zrobiło się niezręcznie i męcząco. Ale zaraz potem piszę wiadomość do Doroty.

„Opowiada coś?”.

Czekam beczynn timer. Leżę, patrzę w sufit, potem w okno.

„Milczy. A ta druga opowiada o filmach”.

Czyli dowiemy się czegoś dopiero, jak dojadą. A nawet to nie jest pewne. Choć nie wyjechałaby z Warszawy, gdyby nie chciała czegokolwiek powiedzieć.

Wybieram numer Zosi.

– Prawie nic nie mówi – odpowiada, kiedy pytam o Agatę. – Leżała długo w wannie. Jest trochę dziwna. Rozglądała się po mojej łazience, jakby pierwszy raz widziała takie pomieszczenie.

– Ale dobrze się teraz czuje?

– Chyba tak. Kilka razy się skrzywiła i położyła rękę na brzuchu, ale to wszystko.

To i tak za dużo – myślę sobie. Sama sobie raczej krzywdy nie zrobiła.

– A teraz śpi – mówi dalej Zosia. – Wygląda na bardzo przemęczoną. Raz się uśmiechnęła, jak zaczęła się bawić moimi włosami. Zachowywała się wtedy jak dziecko.

– Pytałaś ją, co się stało?

– Nie.

Pewnie i tak nadal nic nie pamięta. Choć moja wrodzona podejrzliwość mówi mi, że może chce coś ukryć. Ale moja podejrzliwość jest chora i nie chcę jej brać pod uwagę.

– Znasz Wojtkę ze wsi? – pytam ni stąd, ni zowąd.

– Chyba wiem, o kogo chodzi.

– Co o nim myślisz?

– Nie wiem. Nie wzbudza we mnie żadnych emocji – odpowiada w swoim stylu. – Kiedyś tak dziwnie na mnie patrzył.

– Dziwnie, czyli jak?

– Nie jak na kobietę. Patrzył, jakby mnie oceniał. A kiedy się zorientował, że to widzę, odwrócił wzrok.

– A co ludzie ze wsi o nim mówią?

– Słyszałam, jak ojciec na niego psioczył. Mówił, że „nie nasz”.

– To jeszcze żadne psioczenie – zauważam.

– Ale on to powiedział w szerszym ujęciu.

Trudno mi sobie wyobrazić, że jej ojciec mówi coś w szerszym ujęciu. Ale ona zna go lepiej. Może faktycznie „nie nasz” nie dotyczy tylko pochodzenia.

– I mówił jeszcze, że ludzie „godajom”, że ma jakieś ciemne interesy z Maryską z baru.

Błyskawicznie pojawia mi się przed oczami obraz barmanki otwierającej drzwi Ksaweremu, a potem cały spacer z Wojtkiem, podczas którego był nieprzyjemnym mrukiem. I wkurwienie Daniela, że „ludzie to kurwy”. Śmierdzi coraz bardziej.

– No dobrze, opiekuj się nią nadal – mówię, wzdychając – i bądźmy w kontakcie.

– Ona chyba lubi mnie słuchać – dodaje Zosia. – Opowiadałam jej, że pracowałam w hotelu. Jakoś tak inaczej się zainteresowała. Zapytałam więc, czy była w hotelu. A ona pokiwała głową i odpowiedziała, że nie, ale była w garażu. Tak śmiesznie.

Uśmiecham się. Zosia potrafi być urocza. Taka trochę dziewicza w niektórych sytuacjach. Taka dziewczęca. Nie chciałbym, by to utraciła gdzieś w tym dorosłym życiu.

– No śmiesznie – potwierdzam i jeszcze raz się żegnam.

Ciekaw jestem, co robią Alicja i Daniel. Jak bardzo się ze sobą męczą. Ale dochodzę do wniosku, że sobie poradzą, a ja muszę odetchnąć. Nastawiam w telefonie budzik na siedemnastą trzydzieści i kładę go obok głowy. To gwarancja pobudki. Mogę spokojnie zapaść w drzemkę.

Obudziło ich pukanie do drzwi. Zdziwienie, że w ogóle zasnęli, szybko ustąpiło chęci zerwania się z łóżka, by nie dać nikomu powodów do słuszných domysłów. Zerwali się więc. Daniel poprawił spodnie i koszulkę, po czym usiadł na krześle. Alicja uciekła naga do łazienki. Wysłała po chwili w dressie.

– Słucham – powiedziała, stojąc przy drzwiach.

– Mateusz. – Odpowiedź była cicha, ale wyraźnie słyszalna.

Alicja otworzyła drzwi i wypuściła gościa.

– Chyba niedługo będą – stwierdził, siadając w fotelu obok łóżka. Zerknął na zmiętą pościel. – Spaliście?

– Tak – zdecydowanie odpowiedział Daniel, po czym wstał i zaczął szybko ścielić łóżko.

– Też się zdrzemnąłem, jak przed akcją. – Uśmiechnął się.

– I co robimy? – zapytał Daniel. – Siedząc w pokoju, chyba nic nie zdziałamy.

– Ty musisz tu siedzieć – zauważyła Alicja. – Przynajmniej na razie.

– Pójdziemy we dwoje na dół i będziemy obserwować, kto przyjechał i gdzie ich prowadzą – oświadczył Mateusz zdecydowanym tonem. – Masz telefon? W razie potrzeby zadzwonimy.

Nie był z tego zadowolony. Nigdy nie lubił siedzieć bezczynnie, zwłaszcza kiedy mogło się wiele wydarzyć. Nie znoził też być pomijany i czekać na tak zwany sygnał. Musiał jednak przyznać, że tym razem innego wyjścia nie było. Lepiej, żeby się jeszcze nikomu tu nie pokazywał. I choć chciałby trafić na Ksawerę i go sponiewierać, rozumiał, że przyjdzie jeszcze na to czas. I szczerze na to liczył, bo nie chciał mu odpuszczać tej obławy.

– Dobra – zgodził się ze słowami Mateusza. I oczywiście zauważył niewielkie zdziwienie na jego twarzy. Domyslał się, że jego nowy znajomy nie ma go za człowieka ugodowego.

Oboje zapisali sobie w telefonach jego numer i wyszli. Przez pierwszych kilka minut nie wiedział, co ze sobą zrobić. Potem wrócił do książki, którą poleciła mu Alicja, zanim... No właśnie, zanim na niego weszła i go przeleciała. To było niezwykle ekscytujące doznanie. Ona go sobie po prostu wzięła, a on poddał się całkowicie, bo tak dawno nie był z kobietą. Po raz ostatni tego poranka przed śmiercią Marty. Wiele razy przypominał sobie ten moment w łóżku, kiedy kochali się tuż po przebudzeniu.

Pierwszy raz z Alicją był zupełnie inny. Trochę dziki, zaskakujący i dość krótki. Od momentu, w którym go dotknęła, wiedział, że szybko dojdzie. Ale ona była szybsza. Pomyślał „ten pierwszy raz”? No tak, bo miał przecucie, że jeszcze to powtórzą. Widział to tym razem przed lustrem w łazience.

Musiał wyrzucić te myśli z głowy. Za bardzo zaczynały go pochłaniać.

Książkę jednak odłożył. Stał przy oknie i obserwował krajobraz. W dali majaczyły szczyty gór, niższe i wyższe, ale każdy z nich nad wyraz piękny. Dziwne, że będąc tu od kilku miesięcy, nie wyszedł ani razu na dłuższą wyprawę w góry, nie zdobył żadnego szczytu. I teraz tego mu brakowało. Po raz pierwszy też chyba spokojnie patrzył na góry, do tej pory ciągle chował się w tym lesie, a kiedy ścinał drzewa, widział tylko konary i korę.

Dopiero teraz zorientował się, na którą stronę wychodzi okno pokoju Alicji. Pod nim był podjazd wiodący od bramy do parkingu. Trzeba było się jednak wychylić, żeby coś zobaczyć. Otworzył więc okno i dyskretnie się przechylił. Spojrzał w lewo i w prawo, ale wszędzie było pusto. Czy tutaj zawsze brama jest otwarta, czy tylko teraz, bo mają mieć „tych” gości? Czy przyjadą wszyscy razem, czy pojedźdzą będą pojedyncze samochody? Kolejne pytania pojawiały się w jego głowie samoistnie. Gorzej z odpowiedziami. Ale one przyjdą później, wiedział to.

Znudzony tą pustką i ciszą odszedł w głąb pokoju. Spojrzał na zegarek. Było już grubo po osiemnastej. Już są? Telefon leżał cały czas na biurku i milczał. Żadnej wiadomości, żadnego sygnału od Alicji i Mateusza. Korciło go, by wyjść na korytarz, zejść na dół, poszperać, porozglądać się. Postanowił się jednak jeszcze chwilę powstrzymać.

Podszedł jeszcze raz do okna, bo przyciągnął go cichy i miarowy szum silnika. Choć wyraźniejszy był ten wydobywający się spod kół miażdżących zwir rozsypywany na podjeździe. Wyjrzał dyskretnie. Od strony bramy zbliżała się jakaś czarna limuzyna. Zatrzymała się wzdłuż parkingu. Nikt nie wysiadł.

Stała tak niecałą minutę, aż w końcu zaczęła cofać. Wyjechała tyłem za bramę, po czym ruszyła w górę drogi, jakby ktoś, wjeżdżając w bramę hotelu, pomylił drogi.

Samochód zniknął za blaszakami, który przypominał raczej kontener przed załadowaniem na statek. Daniel nie mógł sięgnąć za niego wzrokiem, bo widok zasłaniał mur hotelu. Ale choć trochę znał okolicę, nie był w stanie przypomnieć sobie tej drogi, którą właśnie pojechała limuzyna. Zauważył natomiast, że przy bramie stoi jakiś mężczyzna. To młody człowiek i nie jest to Ksawery, nie wygląda nawet na kogoś ważnego, bo jakiś taki zgarbiony, co automatycznie nasuwa podejrzenie służalczego charakteru.

Żałował, że nie zabrał z domu lornetki. Wprawdzie nie była to duża odległość, ale dzięki lornetce widziałby twarz. Nie tylko tego człowieka. Również tego, którego właśnie ten służalczy wprowadza do blaszaka. Kurwa! Do blaszaka wchodzi gość w idealnie skrojonym garniturze. Wprowadza go jakiś lokaj, wykonując ręką zapraszający gest. Za nim kroczy jeszcze jeden mężczyzna w gajerze. Znikają w tym blaszaku. Zgarbiony wchodzi z nimi, ale po chwili wychodzi i truchta w stronę hotelu. Co za scena!

Daniel schował się za framugę okiennej. Ryzyko zauważenia było jednak zbyt duże. Wykręcił numer do Mateusza.

– Coś się dzieje? – zapytał.

– Nie, cisza zupełna. – Głos Mateusza brzmiał tak, jakby był on rozczarowany.

– Przyjdź na chwilę do pokoju – powiedział Daniel i odłożył słuchawkę.

Pojawił się kolejny czarny samochód. Ten również podjechał najpierw w pobliże parkingu, po czym zaczął się powoli wycofywać. Wykonał dokładnie ten sam manewr.

Mateusz wszedł dokładnie w momencie, w którym samochód zniknął.

– Podejź! – szepnął Daniel i ruchem głowy wskazał bramę. – Patrz tam.

Tym razem tylko jeden mężczyzna wyłonił się zza blaszaka i dał się wprowadzić do środka temu samemu lekko zgarbionemu „lokajowi”.

– Błażej – powiedział Mateusz.

– Kto?

– Błażej, to taki podwładny Ksawerego. Może nawet jakaś prawa ręka. Cichy, wystraszony, ale pewnie stu procentowo posłuszny.

Obejrzelisi tę scenę, marszcząc czoła i nie wiedząc, co ona oznacza. Potem schowali się, kiedy zobaczyli biegnącego do hotelu Błażeja.

– Co to za ludzie? – zapytał Daniel. – To oni?

– Nie wiem. Ale jeśli tak, to dlaczego nie wchodzi do hotelu?

Mateusz jeszcze raz wychylił się przez okno. Tym razem mocniej, by widzieć jeszcze więcej.

– Może wiedzą, że tu jesteśmy? – odezwał się Daniel. – Wiedzą, że obława się nie udała. Może myślą, że grzebiemy?

– I wiedzą, że ja tam byłem.

– Skąd?

– Ktoś wsunął pod moimi drzwiami kartkę ze słowami: „Niepotrzebnie tyle się szwendasz po lesie”.

Daniel cicho parsknął śmiechem.

– Kurwa, co za żenada – powiedział, ciągle się śmiejąc. – Zamiast stanąć twarzą w twarz wołą karczeki wysyłać. Dziecinada.

Mateuszowi jednak w ogóle nie było do śmiechu. Ciągle tkwił w tym oknie, choć niewiele więcej widział niż kilka chwil wcześniej.

– Do czego oni wchodzi? Błażej ich jakby do czegoś wprowadzał.

– Tak, tam jest jakiś blaszak. Weszło tam już trzech. Wszyscy w garniturach.

Myśleli o tym samym. Trzech facetów w garniturach w blaszaku. Mają tam przeczekać? Przeczekać, bo obława okazała się nieskuteczna? To nie wydawało się prawdopodobne. Aż tak wysoko swojej roli w tej historii nie oceniali.

– Wróć do Alicji – oznajmił Mateusz.

– Też stąd idę.

– Nie możesz.

– Nie chce mi się tu siedzieć. Na co mam czekać?

Mateusz nie potrafił mu na to pytanie odpowiedzieć. Nie dziwił się, że nie chciał on mieć z tym nic wspólnego, i nie wiedział, jak go zatrzymać.

– Wymknę się z hotelu – powiedział Daniel. – Podejdę do blaszaka od góry, z tyłu. Wiem, jak tam podejść. I poobserwuję trochę.

Mateusz skinął głową i skierował się ku drzwiom.

– Bądź pod telefonem – rzucił jeszcze szybko i wyszedł.

Uparciuch. Chce wyjść, to wyjdzie. Niby go rozumiem, ale on chyba nie rozumie, że może tu odegrać ważną rolę.

Pierdolę, niech idzie! Może zresztą ma rację, żeby stanąć za tym barakiem czy blaszakiem, zwał jak zwał, i obserwować. Może coś zauważy.

W recepcji nie ma Diany. Skończyła zmianę? Rozglądam się, ale nie ma jej ani w restauracji, ani w kawiarni. Nie mam pojęcia, w jakich godzinach tu się pracuje. Kiedy zerkam do strefy spa, nagle rzuca mi się w oczy Błażej. Idzie szybko. Mija recepcję i pędzi korytarzem do drugiego skrzydła. Nawet się nie zastanawiam, idę za nim. Nie tak szybko jak on, ale idę. Zresztą wiem, dokąd tak pędzi.

Nie myślę się. Skręca tam, gdzie zaczynają się schody, i tylko słyszę, jak szybko po nich zbiega. Trochę przyspieszam i kiedy jestem już na tych schodach, słyszę trzask zamykających się drzwi. Poprzednim razem ich nie domknął i mogłem zerknąć, co jest dalej. Pamiętam, że jest tam jakaś krata, a za nią kolejne drzwi. Teraz nie mogę tego widzieć. Stoję przed tymi drzwiami i nie mam pojęcia, co robić. I nagle drzwi się otwierają. Wiem, że nie mam już szans się ukryć. Serce wskoczyło mi na ramię, nogi zadrzały, a szczęki zacisnęły się niebezpiecznie.

Błażej. Na szczęście to tylko on. I na szczęście jest równie zaskoczony czy nawet przestraszony jak ja. W tym swoim szoku patrzy na mnie, potem za drzwi, które właśnie zamyka. I opiera się o nie plecami, jakby chciał zapobiec mojej próbie ich sforsowania.

– Mogę w czymś pomóc? – pyta drżącym głosem. – Kogoś pan szuka?

Nie wiem, co odpowiedzieć, choć to pytanie przecież musiało paść.

– Pana mecenasa – odpowiadam błyskotliwie, przypominając sobie, iż to właśnie Błażej przekazywał mi wiadomość, że Moneta mnie szuka. – Jest gdzieś tutaj?

Ten najpierw potrząsa przecząco głową, potem ucieka wzrokiem na ścianę.

– Tutaj go nie ma – szepcze właściwie do ściany, nie do mnie.

– Tutaj, to znaczy gdzie? – pytam zaczepnie, bo odzyskałem rezon, widząc jego zakłopotanie. – To nie jest jakieś biuro?

Podnosi rękę i wskazuje palcem na drzwi. Widzę, że chce dopytać, czy na pewno chodzi mi o to miejsce. Gra na czas. Skąd ja to znam.

– Tak, pytam czy to nie jest jakieś biuro.

– Nie, nie. To magazyn – mówiąc, odwraca się, by przekreślić klucz, sprawdzić, czy dobrze zamknął, i ruszyć na schody.

– Magazyn czego?

Zatrzymuje się w połowie schodów, na które w tym stresie wbiega. Robi to tak nagle, że ledwo łapie równowagę. Ale odwraca się do mnie.

– To tajne – oznajmia i ucieka.

A ja parskam wewnętrznym śmiechem. Magazyn tajnych rzeczy? A może tajny magazyn jawnych rzeczy? Szybko przechodzę ze stanu przedzawałowego do umiarkowanego rozbawienia. Wiem, że nie otworzę tych drzwi. Mimo to szarpie za klamkę. I wiem, że to nie jest magazyn, ale nie mogę Błażejowi powiedzieć, że coś już widziałem. I że z pewnością do magazynu deserów nie nosi. A właśnie deser trzymał w dłoni, kiedy go tu poprzednio widziałem. Muszę stąd odejść, nic nie zdziałam.

Powoli wspina się po schodach i wychodzę na korytarz. Patrzę pod nogi, ale kątem oka widzę przed sobą sylwetkę. Podnoszę głowę i dostrzegam idącego w moją stronę Ksawerego. Drugi stan przedzawałowy w ciągu kilku minut. To nie może skończyć się dobrze.

I dzieje się coś dziwnego, bo ta chwila ciągnie się nieubłaganie i widzę ją w zwolnionym tempie. A właściwie Ksawerego widzę w zwolnionym tempie. To dziwne, jakie wizje wywołuje we mnie ten człowiek. Niedawno jawił mi się niemal jako Lucyfer z krwistoczerwonymi oczami. Teraz nie wygląda jak zło piekielne, ale to zwolnione tempo jest złowieszcze.

Mijamy się bez słowa, ale za to z wlepionymi w siebie oczami. Nie wiem właściwie, na czym polegała ta rozmowa spojrzeń, ale nie padły żadne ciepłe słowa. W normalnej sytuacji menedżer hotelu

pozdrawia gościa, mówi mu dzień dobry czy cokolwiek. A kończy się jak w debacie Kwaśniewski kontra Wałęsa: ani me, ani be, ani kukuryku.

– Do kiedy pan u nas zostaje? – słyszę nagle jego głos, kiedy jest już za mną. Odwracam się. On tego nie robi. Mówi, stojąc plecami do mnie.

– Nie zdecydowałem jeszcze – próbuję grzecznie, choć ciężko mi to przychodzi. – A powinienem się wynieść?

Teraz się odwraca. Nie ma krwistoczerwonych oczu. Ma zwyczajne, ludzkie. Ale spojrzenie nie jest łagodne.

– Pan decyduje, co jest dla pana najlepsze – mówi dość cicho, ale jego głos i tak rani moje bębni.

– W państwa hotelu jest tak cicho i spokojnie – moja riposta jest ironią – i ten las wokół, polana za budynkiem. To wszystko jest tak piękne, że chce się zostać jak najdłużej.

Uśmiecha się ironicznie. Odwraca się i wolnym krokiem się ode mnie oddala. Ale ma jeszcze ostatnie zdanie.

– Ale i tak trzeba na siebie bardzo uważać, panie Mateuszu.

Skurwiel. Kutas, pierdolony gówniarz. Straszyc mnie będzie. Załatwię cię, gnoju.

Z takimi słowami w głowie zbliżam się do kawiarni. W kącie, prawie niewidoczna, umościła się Alicja. Nie widzi mnie, bo siedzi bokiem. Mogę dyskretnie przyjrzeć się, jak popija kawę i co chwila zerka w stronę recepcji. Czuwa.

Siadam obok niej. Widzę, że jest inna niż zwykle. Ma inne oczy. Nie są już tak smutne, jak do tej pory mi się wydawało. Tylko nie wiem, czy to dobrze, bo teraz dostrzegam w nich rozkojarzenie i chaos.

– Coś się stało? – pyta.

– Nie. Ale chyba się zjeżdżają. Tyle że nie wchodzą do hotelu. Nie wiem, o co chodzi. Błazej biega od bramy do tych ukrytych pomieszczeń, które właśnie nazwał magazynem.

– Rozmawiałeś z nim?

– Tak, bo mnie przyłapał pod tamtymi drzwiami.

– I mówisz, że nic się nie stało?

– No, bo nic się nie stało.

– A czego chciał Daniel? – Odwraca wzrok, a właściwie zerka w stronę recepcji.

– Pokazać mi podjeżdżające samochody.

– Ja ich tu nigdzie nie widziałam.

– Bo one podjeżdżają i wracają do bramy.

Alicja marszczy czoło. Widać, że tego nie rozumie tak samo jak ja.

– Twój pokój jest otwarty, Daniel wyszedł.

– Jak to: wyszedł?! – prawie krzyczy, poprawiając się na kanapie.

– Pewnie nudziło mu się samemu. Poszedł na spacer na tyły budynku. Będzie się zgłaszał.

Wzdycha głęboko i kładzie rękę na sercu. Potem poprawia włosy.

– Wracam do pokoju – mówi.

– Dobrze. To wszystko robi się jakieś dziwne, może lepiej się do tego nie mieszaj.

– Chcę się do tego mieszać, od początku się mieszam, ale muszę na chwilę zostać sama.

Wstaje i przeciąga dłońmi po udach, jakby chciała strzepnąć z nich jakieś okruchy.

– Spotkałem Ksawerego.

– Kiedy?

– Przed momentem.

– No i...?

– Krótka wymiana zdań. – Macham delikatnie ręką z dezaprobatą. – I przemycone ostrzeżenie, żebym na siebie uważał.

Uśmiecham się, żeby ją uspokoić. Nieskutecznie. Znowu oddech głęboko i głośno. Cały biust pod wpływem tego oddechu podnosi się i opada. Pewnie odebrałbym to bardziej seksualnie, gdyby nie powód tego falowania.

– Ja tego nie wytrzymam, muszę się uspokoić – oznajmia, zamykając oczy.

– Wiesz, po co tu przyjechałem? – pytam i do razu odpowiadam. – Odpocząć. I co? Nic, wyjadę stąd jeszcze bardziej zmęczony, niż byłem. Choć oczywiście inaczej. Więc jeśli chcesz się wyciszyć, to oczywiście trzymam kciuki.

Nadal chcę ją uspokoić, więc się uśmiecham i kiwam głową potakująco. Jest mi jej trochę żal. Widzę, że to przeżywa, że jest rozedrgana, że szuka oparcia. Nie umiem jej jednak pomóc.

Zostaję sam w tej kawiarni. Zwykle w takiej chwili potrafię zebrać myśli, zaplanować coś. Teraz się nie udaje. Trudno planować kolejne ruchy, gdy zbyt wiele rzeczy jest od ciebie niezależnych.

Telefon. Wyświetla się numer. To chyba ten, który wpisywałem, kiedy wymienialiśmy się nimi z Danielem.

– Jeśli dobrze liczę, to do tego blaszaka weszło już ośmiu – słyszę w słuchawce jego głos. – To wygląda, jakby zjechały się jakieś grube ryby.

– I tylko oni tam weszli?

– Na to wygląda.

– A ty gdzie jesteś?

– Wszedłem do lasu. Patrzę na to z bezpiecznej odległości.

– Jest tam Błazej?

– Nie. Ci ostatni wchodzili tam już sami.

– A gdzie są ich samochody?

– Stoją za tym garażem, tu sporo miejsca jest.

– Za jakim garażem?

– No, za tym blaszakiem. Nieważne, jak to nazywam. Ten blaszak to taki garaż, bo zamiast drzwi ma bramę jak prawdziwy blaszany garaż.

Garaż, garaż. Dlaczego czepiam się słowa garaż. Garaż.

Kurwa! Wiem! Albo tylko się domyślam. Albo może mam bujną wyobraźnię.

– Daniel – mówię szybko. – Zejdź na dół drogą dojazdową i czekaj na mnie przy tym małym mostku nad strumykiem. Wiesz gdzie?

– Wiem.

– Za trzy minuty tam będę.



Pokonuję po dwa stopnie schodów. Pędzę do pokoju po kluczyki do samochodu. Jeszcze chwila zastanowienia, czy dziś coś piłem. Ale nie, od rana w ruchu, nie było nawet takiego momentu, w którym mógłbym się napić. Przynajmniej nie alkoholu, bo ta kawa u Daniela dała mi popalić.

Zgarniam z biurka kluczyki do auta i znów pokonuję schody po dwa. W samochodzie biorę głęboki wdech, by za chwilę nie nacisnąć na pedał gazu i nie ruszyć z piskiem opon. Mam wyjechać spokojnie, bez pośpiechu, nie wzbudzając podejrzeń.

Tak też czynię. Auto toczy się po żwirze, wydając charakterystyczny dźwięk. Zbliżam się do bramy, a co za tym idzie – do blaszaka stojącego tuż za nią po prawej stronie. Kiedy jestem obok niego, zatrzymuję się, otwieram okno i robię zdjęcie telefonem. Szybko zerkam w lewo, w prawo i do tyłu, bo nie mam pewności, czy ktoś tego manewru nie widział. I ruszam. Powoli i majestatycznie zjeżdżam drogą w dół. Zbliżam się do mostku, ale nie widzę Daniela. Wylania się zza drzew dopiero wtedy, kiedy zostawiam mostek za sobą. Otwiera drzwi i wskazuje na miejsce obok mnie.

– Co się dzieje? – pyta niemal natychmiast.

– Jedziemy do Zosi – odpowiadam spokojnie.

– Do tej, u której jest ta mała?

– Tak.

– Coś się stało?

Milczę. Wjeżdżamy do wsi. Mijamy skręt do baru Pod Konikiem, potem tartak, sklep i kościół. W milczeniu. Daniel nie domaga się odpowiedzi. Może się jej boi.

Dzwonię do Zosi i anonsuję nasz przyjazd. Trochę się martwi, jak nas wprowadzi, ale w końcu mówi: „A wszystko jedno”. Na miejscu okazuje się, że jej rodzice są w kościele na mszy. Otwiera drzwi w długiej białej sukience. Znów wygląda jak anioł, choć ktoś inny powiedziała, że jak zjawa.

Prowadzi nas na piętro. To piętro ma już jej piętno. Nie jest typowo wiejskie. Na ścianach wiszą obrazy i rysunki. Najpewniej jej autorstwa.

W jej pokoju wystrój raczej hipisowski. Nawet kadzidełka czuje się w powietrzu. I to wszystko mi do niej pasuje.

Agata siedzi na kanapie, która pewnie nocą staje się łóżkiem. Tym razem jednak to zwykła kanapa. Dziewczyna okryta jest kocem, na podłodze leży Góral. Podnosi łeb, kiedy nas widzi, po czym podchodzi, machając ogonem. Zdaje sobie sprawę, że na widok Daniela, który głaszcze go po głowie. Kuca przy nim i klepie po tułowiu. Uśmiecha się do niego.

Podchodzę do Agaty.

– Jak się czujesz? – pytam, kucając jak Daniel przy Góralu.

Kiwa głową, sugerując, że dobrze.

– Zosia jest dla mnie dobra – odzywa się, patrząc na nią. Mówi cicho, jej głos jest słaby, niepewny.

– Pamiętasz już, co się stało? – Rzykuję, zadając takie pytanie, bo nie wiem, jak zareaguje.

Zaprzecza pokręceniem głową. Jest zakłopotana, a w jej oczach pojawiają się łzy.

– Coraz bardziej ją to martwi – stwierdza Zosia, która stoi przy oknie oparta o parapet. – Miała moment paniki, kiedy zaczęła odkrywać miejsca, które ją bolą. Ale nadal nic nie pamięta. I niewiele mówi.

– Ktoś ci zrobił krzywdę – mówię do Agaty. – My z Danielem chcemy się dowiedzieć kto. I czy tylko tobie.

Wyciągam z kieszeni swój telefon i otwieram galerię zdjęć. Pokazuję jej to ostatnie, które zrobiłem kilkanaście minut temu.

– Byłaś tu? – pytam.

Przygląda się zdjęciu. Ja przyglądam się jej. Daniel obserwuje mnie i ją. A Zosia obserwuje całą scenę. Agata bierze ode mnie telefon i przypatruje się z bliska. Przynaję przed samym sobą, że nie jest to arcydzieło fotografii cyfrowej, ale obiekt widać wyraźnie.

W odpowiedzi kiwa głową. Po jej policzkach powoli spływają łzy, które przez chwilę kumulowały się pod dolną powieką.

– Byłam – odpowiada i kryje twarz w dłoniach.

Odsuwam się o krok, żeby nie czuła się osaczona. Obok niej siada Zosia i obejmuje ją ramieniem. Agata przytula się do niej.

– Co tam się stało? – pytam najspokojniejszym głosem, jaki tylko potrafię z siebie wydobyć.

Daniel wstaje i podchodzi do mnie. Zerka na telefon, więc odwracam go w jego kierunku. W reakcji tylko spogląda na mnie. Z jego twarzy nie potrafię nic wyczytać. Kamień. Albo – jak kto woli – *poker face*.

Agata odkleja się od Zosi i patrzy to na mnie, to na Daniela. Po trzykrotnej takiej zmianie opuszcza głowę z rezygnacją.

– Nie wiem – szepcze.

A ja nie wiem, czy to uczucie, które mnie ogarnęło, to ulga czy rozczarowanie. W każdym razie czuję, jak masy powietrza, które na chwilę wstrzymałem, spływają w dół i mnie opuszczają.

Staję tyłem do dziewczyn, przodem do Daniela.

– Wracajmy do hotelu – mówię. – Była w tym blaszaku, nazwała go garażem, bo to naprawdę jest garaż.

– Musimy tam wejść.

– Oszalałeś?! Tam jest co najmniej ośmiu chłopa.

Krzywi się. Wie, że to nie jest dobry pomysł. Poza tym po co?

– Wiesz, że musimy tam wejść. – Daniel próbuje mnie przekonać.

– Nie my. Policja.

Kręci głową z dezaprobatą.

– Chodź stąd! – mówi i rusza ku wyjściu.

Nie idę od razu. Żegnam się z Agatą i Zosią. Ta druga odprowadza mnie do drzwi.

– Jedzie tu Dorota – mówię cicho i widzę pytający wzrok Zosi. – To moja dziewczyna. Tak, nawet tak wiekowi mężczyźni miewają dziewczyny.

Uśmiecha się.

– Jedzie tu z Magdą Palecką.

– Z tą, która próbowała się meldować?

– Tak. Ona też nie spędziła tu czasu zbyt miło.

Odgarnia swoje blond kosmyki z twarzy.

– Czy to coś podobnego do tego, co spotkało Agatę?

– Możliwe, nie mam pewności. Trudno się z nią podobno rozmawia.

– Po co tu jedzie?

– Mam przecucie, że odegra tu jakąś rolę.

Zamyka za mną drzwi, a ja jeszcze chwilę stoję i myślę o tym, że ten dom nie kojarzy mi się dobrze. Jednak spotkanie z jej ojcem, kiedy ona była dziewczynką, odcisnęło na mnie piętno. Nigdy nie wyszło do końca z mojej głowy. Obraz tego domu też został mi w głowie. Teraz pierwszy raz zobaczyłem jego wnętrze. Jest niezbyt imponujące, choć ciepłe w części zajmowanej przez Zosię.

Wsiadam za kierownicę swojego auta. Jest tam już Daniel.

– Policja?! – mówi poirytowany. – Skąd chcesz wziąć psy?!

– Jak to skąd? Z komisariatu.

– W jakim ty świecie żyjesz? – podnosi głos. – Nie wydaje ci się, że skoro robią tu jakieś przekręty i jeszcze są w stanie zrobić obławę na nieznanego im kolesia, to mają gliny w kieszeni?

Trzymam kierownicę i patrzę w jeden punkt na szybie. Myślę o wszystkim naraz, choć wiem, że potrzebuję skupienia na jednej myśli. Najlepiej na słowach Daniela. Mija kilka sekund, zanim całkowicie do mnie docierają.

– Jeśli chcesz glin, to załatw to inaczej – mówi dalej. – Ściągnij zaufanych z innego miasta.

Chwilę jeszcze trawię to, co powiedział, i odwracam się do niego. Patrzy w okno. Nie mam szans przyciągnąć jego spojrzenia.

– Ale jak chcesz ściągnąć psy, to ja spierdalam.

Dopiero wtedy kieruje na mnie wzrok. Zadaje nim pytanie, czy naprawdę chcę ściągnąć psiarnię. A ja się zastanawiam, bo uważam to za dobre rozwiązanie, ale nie chcę tracić Daniela. Mam poczucie, że jesteśmy już ekipą i powinniśmy się trzymać razem. Kurwa! Dobrze, że to tylko myśli. Gdybym je zwerbalizował, on nie powstrzymałby śmiechu.

– Nie ściągnę psów – odpowiadam.

Kiwa głową ze rozumieniem, nie polemizuje, nie komentuje, tylko godzi się z tym, co powiedziałem. To takie dziwne.

Przekręcam kluczyk w stacyjce. Niski dźwięk silnika pięci zmysł słuchu. Trochę za nim tęskniłem. Od kiedy tu jestem, nie wsiadłem za kierownicę ani razu. Do dziś.

– Skręć w lewo! – mówi Daniel, pokazując dodatkowo palcem kierunek jazdy.

– Po co? – pytam, zwalniając przed skrzyżowaniem.

– Podjedźmy do baru.

Patrzę na niego zdziwiony, ale chyba rozumiem jego potrzebę pojawienia się tam. No, chyba że chce się po prostu napić piwa. Tego bym nie zrozumiiał.

Skręcam i po dwustu metrach zatrzymuję się przed barem. Siedzimy chwilę i obserwujemy wejście. Prawdopodobnie obydwaj zastanawiamy się, po co tu jesteśmy. Powinniśmy być w hotelu albo w jego pobliżu.

Daniel wysiada z samochodu. Idę za nim. Trochę z ciekawości, trochę z troski, bo mam jakąś dziwną potrzebę bycia obok niego w miejscu, w którym nie wiadomo, na co trafi.

Najpierw podchodzimy do okna i zerkamy do środka. Nie widzimy niczego niezwykłego. Dwóch mężczyzn przy jednym stole, trzech przy drugim. Każdy z nich w towarzystwie dużego kufła. Sami tutejsi, co widać po strojach. Wchodzimy więc do środka, wiedząc, kogo się spodziewać.

Wszyscy jak jeden mąż odwracają się, kiedy słyszą trzask zamykanych drzwi. Ale na szczęście zaraz potem wracają do swoich kufli. Nie rozmawiają, siedzą w ciszy i mam wrażenie, że zaraz usłyszę siorbanie i głośne tąpnięcia w gardłach od przelknięcia piwa. Nic takiego jednak nie następuje.

Siadamy przy najbliższym stole obok siebie, bo obydwaj chcemy mieć widok na całą knajpę. Nikt do nas nie podchodzi po zamówienie, my również nie podchodzimy do baru. I chyba nie zamierzamy. Nie ma tej kobiety, za barem nie ma nikogo. Widać jedynie otwarte drzwi na zaplecze.

– Widzisz go? – pyta nagle Daniel.

– Kogo?

– Wojtka. Jest na zapleczu, przyjrzyj się, widać jego głowę.

Mrużę oczy. Wpatruję się intensywnie i kiedy wyostrzam obraz, widzę twarz Wojtka z profilu. Jest tak nieruchoma, iż można by sądzić, że to zdjęcie. Ale to trwa tylko chwilę, bo jego głowa znika. Zaraz potem pojawia się Marysia – bo chyba tak ma na imię ta kobieta, która obsłużyła Alicję i mnie.

– Nie wiem, co on u niej robi – mówi Daniel szeptem. – Ale nie pamiętam, żeby byli w takiej komitywie, by pozwoliła mu tam wejść.

– Chodźmy stąd – odpowiadam. – Nie podoba mi się tu.

Wstajemy zgodnie i wychodzimy bez wypicia choćby kropli piwa. To frustrujące. By choć nie jestem jego smakoszem, to atmosfera pubu bądź baru potęguje moje pragnienie browca.

Zaraz za drzwiami Daniel skręca w lewo i wąskim przejściem między drewnianym płotem a ścianą baru przeciska się na tył budynku. Idę za nim. Jest mało miejsca, ale nie na tyle, bym nie mógł się zmieścić. Potem robi się szerzej, kiedy wychodzimy na nieco większy plac ze stertą drewna i pniakiem stojącym na środku i wbitą w niego siekierą.

Daniel ciągle jednak przesuwają się wzdłuż ściany, aż w końcu się zatrzymuje. I wtedy zauważam małe okno tuż nad jego głową. Stanie na palcach nie pomaga, więc sięga po leżącą obok pieńkę i stawia go pod ścianą. Wchodzi na niego i próbuje zajrzeć. Patrzy kilkanaście sekund, po czym schodzi i każe mi zrobić to samo. Serce wali mi niemiłosiernie. Będzie bardzo źle, jeśli mnie zauważą.

Wspinam się na ten pieńkę i lustruję jasne pomieszczenie wewnątrz. Jest Wojtek. Stoi z założonymi rękami i patrzy na to, co robi Marysia. A ta kręci się między siedzącymi na krzesłach dwiema dziewczynkami. Obie są blondynkami, dość młodymi, być może nawet niepełnoletnimi. Mają na sobie spódniczki mini i koszulki na ramiączkach. Coś mi to przypomina. Właśnie tak była ubrana Agata, gdy ją pierwszy raz zobaczyłem.

Marysia bawi się w charakteryzatorkę. Nałożyła już czerwoną szminkę na ich usta, teraz nakłada puder na policzki. Włosami zajął się wcześniej. Jedna z nich ma je pokręcone, druga proste, opadające na ramiona. Uśmiechają się. Wojtek tylko patrzy. Co tu się, kurwa, dzieje?!

Schodzę z pieńka. Nie widzę Daniela, więc się rozglądam. Szeptem wypowiadam jego imię. Nie odpowiada. Przesuwam się dalej, na koniec budynku, i wychylam się zza ściany. Stoi oparty o drewnianą ścianę.

– Tu są drzwi bezpośrednio do tego pomieszczenia – szepcze, kiedy stoję tuż przy nim. – Wchodzę.

Otwieram oczy ze zdumienia. Nie wiem, co zrobić, żeby go powstrzymać.

– Po co?! Co zrobisz?! – pytam.

– Nie wiem. Ale muszę wiedzieć, czy wchodzisz ze mną.

Nie chcę, lecz nie mogę tu zostać. Jestem przerażony ale nie mogę zostawić go samego. I nie mam pojęcia, co będę musiał zrobić w środku, ale muszę zaryzykować i się przekonać.

Nie czekał dłużej na moją odpowiedź. Chwycił za klamkę i powoli nacisnął. Zamknięte. Podniósł duży kamień i się zamachnął. Z całym impetem uderzył nim w klamkę. Najwyraźniej wszystko puściło, bo skrzydło drzwi odchyliło się od framugi. Szarpnął mocniej i wpadł do środka. Ja tuż za nim. Nie witają nas chlebem i solą. Marysia stała między dziewczynami, a Wojtek pod ścianą z wyprostowaną ręką i wycelowanym w Daniela pistoletem. O ile kobieta jest zaskoczona, tak po kobiecemu, o tyle Wojtek zdziwiony był zapewne tylko dwie sekundy. Potem już rozlała się w jego żyłach zimna krew.

– Czyli obława się nie udała – mówi. – Szkoda.

Dziwna ta podróż. Mało słów mimo trzech osób w samochodzie. Właśnie minęły Kraków, kiedy Dorota zdała sobie sprawę, że właściwie nie rozmawiają. Agnieszka trochę opowiedziała o swojej pracy, ona sama o wyzwaniach w agencji. Magda cały czas jakby obrażona na cały świat.

Na temat hotelu i tego, co spotkało Magdę kilka dni wcześniej, ani słowa. Tyle że Dorota nie pytała, nie prowokowała takiej rozmowy. Trochę się jej bała, bo nie wiedziałyby, co i jak mówić.

Z każdą minutą, godziną, z każdym kilometrem była bardziej podekscytowana. Chwilami się bała, ale coraz częściej łapała się na bezgranicznej ciekawości, co tam się wydarzyło i co się wydarzy.

Tylko raz się zatrzymały. Samochód domagał się paliwa, pasażerki wizyty w toalecie. Dorota z kolei mocnej kawy i batonika, czyli kofeiny i cukru. Nawet wtedy na pytanie o kawę, skierowane do Magdy, odpowiedziała Agnieszka. Dobrze, że do nich dołączyła. Bez niej w samochodzie byłaby kompletna i beznadziejna cisza. Ale też właśnie wtedy Dorota miała szansę trochę przyjrzeć się Magdzie. Zauważyła, że cały czas trzyma ręce w kieszeniach, zwłaszcza jedną. Mało tego, coś w lewej dłoni trzymała. Włożyła na ten wyjazd tylko takie rzeczy, które zostawia się na niedzielną mszę. Szerokie asekualne spodnie, ponociągany sweter i czapkę bejsbolówkę. No i trampki.

Agnieszka chyba dłużej myślała o stroju. Bo nawet jeśli nie skupiła się na wyborze spódnicy, to koszulkę na ramiączkach dobrała starannie. Zieleń w zieleń. I głęboki dekolot. I naszyjnik z białych pereł. Nie była ubrana jak nowoczesna kobieta. Raczej jak kobieta, która zatrzymała się modowo jakiś czas temu. Ale Dorota musiała przyznać, że białe tenisówki na jej stopach wyglądały ślicznie.

Jeszcze jakieś sto kilometrów. Podpowiedział o drogowskaz, ale nawigacja w jej telefonie również zabrała głos. Za jakiś czas będzie musiała zadzwonić do Mateusza i zapytać o dokładny adres.

\*\*\*

Alicja weszła do pokoju i zatrzasnęła drzwi. Sprawdziła, czy się dobrze zamknęły, bo chciała mieć gwarancję, że nikt nie wejdzie. Czula ucisk w klatce piersiowej i przesyt emocji. Na co dzień grała kobietę dojrzałą, wyzuta z emocji. Ale w środku albo kiedy zamykała się sama w swoim mieszkaniu, zamieniała się w dziewczynkę, przeżywała na nowo cały dzień, analizowała wszystko, co ją spotkało i... zadreżała się. Była zaprzyjaźniona z tym uciskiem w klatce piersiowej, ale nikt o tej przyjaźni nie wiedział.

Od śmierci Henryka starała się żyć z daleka od uczuć, emocji, mężczyzn, którzy takie emocje mogliby wywołać. I stroniła od wszelkich stresogennych sytuacji. Słuchała intuicji i wycofywała się bardzo szybko. Postanowienie, że tak będzie żyć, powzięła krótko po jego śmierci. Zbyt wiele wtedy przeszła.

A teraz położyła się na łóżku, bo przyjaźniąc się z tym bólem, dowiedziała się o nim wszystkiego. Na przykład tego, że za kilka minut wszystko minie i będzie mogła normalnie oddychać.

A kiedy już to nastąpiło, przesunęła dłonią po pościeli. Poczula mrowienie w podbrzuszu na wspomnienie tego, co zrobiła tu z Danielem. Myślała o tym bardzo romantycznie, mimo że po prostu go sobie wzięła.

Gdzie on teraz jest? – pomyślała. I zdziwiło ją, że się o niego martwi. Ledwie go znała. A może to złudzenie? Może fascynowało ją to, że tak niewiele o nim wie?

Przyłożyła głowę do poduszki, potem przesunęła ją niżej. Żałowała, że nie jest teraz bohaterką filmu wciągającą zapach seksu i mężczyzny, który niedawno tu leżał. Żałowała, bo nie czuła żadnego zapachu.

Dopiero teraz zauważyła, że okno w pokoju jest otwarte. Podeszła do niego i wyjrzała. Jakiś czarny samochód wycofywał z parkingu i zbliżał się ku bramie. To pewnie kolejny z tych, o których mówił Mateusz. Auto zniknęło za bramą.

Czy Mateusz mówił, że Daniel poszedł na tyły budynku? Tak, tak mówił. Ale gdzie są tyły budynku? Alicja znała ten hotel tylko od przodu. Nawet nie wiedziała, którędy się na owe „tyły” wychodzi. Ale

postanowiła, że sprawdzi, gdzie to jest, że poszuka Daniela.

Sięgnęła do bocznej kieszeni walizki. Przypominała małą kobiecą torebkę, czyli było w niej kilka „niezbędnych” rzeczy, od pomadki po kajdanki. Ale Alicja szukała czegoś w rodzaju dezodorantu lub pianki do włosów. I znalazła. Trzymając w dłoni, skupiła wzrok na napisie na sprayu: gaz obronny.

Schowała go do kieszeni bluzy z dresu i wyszła z pokoju.

\* \* \*

Uśmiechnęła się. Nie pierwszy raz, od kiedy tu była, ale Zosi każdy jej uśmiech sprawiał dużą przyjemność. Tak jak przyjemność sprawiała jej opieka nad nią. Czowała, że ma misję doprowadzenia jej do porządku. Psychicznego porządku.

Nadal niewiele rozmawiała, ale Agata pilnie obserwowała swoją opiekunkę.

– Masz piękne włosy – odezwała się, kiedy Zosia schyliła się do najniższej półki z książkami, a włosy opadły jej na podłogę.

Napiły się razem herbaty. Zosia najpierw jej pokazała, że powinna nawdychać się jej zapachu, a dopiero potem wypić. Zrobiła to. Nieco później podała jej aspirynę, ale zanim Agata ją zażyła, obejrzała ją z każdej strony. To było dziwne, jakby pierwszy raz widziała tabletkę.

– Chciałabym wiedzieć, kim jesteś – powiedziała nagle Zosia.

Agata spuściła głowę.

– I skąd jesteś.

Milczała. Nadal nic, żadnych informacji. Zosi przemknęło przez myśl, że ona milczy celowo, że wszystko wie i pamięta. Tylko nie chce o tym mówić. Może tak jej wygodniej. Ale odrzuciła tę myśl. Wydała jej się absurdalna.

– Pewnie nie jesteś stąd – stwierdziła Zosia – bobym cię znała.

Agata spojrzała na nią z zaciekawieniem.

– I chyba nie jesteś z okolicznych miejscowości – ciągnęła dalej Zosia. – Tu nikt się tak nie ubiera.

– To nie są moje ciuchy – odrzekła nagle Agata.

– A czyje?

– Nie wiem. Ktoś mnie w nie ubrał.

– Kto?

Pokręciła głową na znak, że nie wie lub nie pamięta. Ale chwilę później zastygła. Już nie kręciła głową, tylko podniosła wzrok i spojrzała na Zosię.

– Ktoś mi robił zdjęcia...

Po raz pierwszy w moim, niezbyt krótkim przecież życiu ktoś mierzy do mnie z pistoletu. Paskudne uczucie, bo nie wiem, czy zaraz umrę, czy dostanę zawału, czy też za chwilę ten ktoś nie parsknie śmiechem, oznajmiając, że to żart. Nie mam doświadczenia w takich sytuacjach. Nawet na tę broń mówię „pistolet”, a chyba powinienem „klamka”, jak gangster. Ciekawe, jak mówi Daniel.

Na razie nic nie mówi. Stoi i patrzy Wojtkowi w oczy. Tak sobie to wyobrażam, bo stoję za nim. Moją wyobraźnią jest także to, że ktoś do mnie mierzy. Bo tak naprawdę mierzy do Daniela.

– Po coś tu przyszedł? – pyta zirytowany.

– Po ciebie – odpowiada Daniel spokojnie. Szczerze podziwiam to opanowanie, choć domyślam się, co się dzieje w jego wnętrzu. – To prawdziwa klamka czy też wiatrówkowa?

– Zademontrowałbym ci, ale zleciałoby się pospółstwo – ripostuje Wojtek. – I szkoda mi kul.

Napięcie jest nie do zniesienia. Dziewczyny przestały się uśmiechać. Teraz widać na ich twarzach strach. Kurczowo trzymają się oparc. Za nimi staje Marysia i kładzie im ręce na głowach. Ma to być zapewne gest uspokajający, ale one się pod nim garbią.

– Kurwa, jeszcze tego dziennikarza przyprowadziłeś?! – Wojtek zadaje pytanie retoryczne, kiedy zauważa wreszcie moją obecność. Może to go powstrzyma przed pociągnięciem za spust?

Staję obok Daniela. Tkwienie za jego plecami wydaje mi się dość tchórzliwe. Ale pomysłu na ciąg dalszy nie mam.

– Po coś ty tu przyjechał, Daniel, co? – znówu pytanie Wojtka. – Było spokojnie, cicho, interesy się kręciły, a ty zacząłeś lazić po tym lesie. Miałeś siedzieć w chacie i tylko ścinać te pierdolone drzewa.

Nie wiem, o czym mówi. Nie wiem nic o drzewach, ale przecież nie będę teraz pytał. Mam to gdzieś.

– Po co ci było to łażenie po polanie i podglądanie gości hotelowych? Myślałeś, że nikt nie zauważy?

Mimowolnie zerkam na Daniela. Mruży oczy i zaciska szczęki. Wzbiera w nim złość. Jeszcze potrafi się opanować. ale jest bliski wybuchu.

– Widziałeś coś? – pyta Wojtek. – Powiedz, widziałeś coś? Bo może nie będę musiał ci łba upierdolić.

– Teraz widzę – odpowiada Daniel.

– Co ty niby teraz, kurwa, widzisz?!

– Żeś się skurwił – syczy przez zęby Daniel. Czuję, jak dotyka palcem mojego biodra. To nie jest dotyk przypadkowy. – Ale skurwiłeś się chyba już dawno, bo coś za pewno się czujesz.

– Chuj cię to obchodzi! Powinieneś cicho siedzieć z wdzięczności, że ci chatę dałem.

– Po coś mi ją dawał? – mówi do niego i coraz mocniej naciska palcem.

– Żebyś się nie pałał jak włóczęga. Nie wiedziałem, coś za jeden, wolałem cię mieć na oku.

– I miałeś? Ty miałeś? Czy twoi kumple?

– Nieistotne. Istotne jest to, że zacząłeś przeszkadzać.

– Ksaweremu?

– Ksawery to kmiot. Myśli, że jest ważny, a jest nikim.

– A kto jest ważny? Ty? – Zaczynam rozumieć, że Daniel daje mi tym palcem znak. Żebym uciekał? Nie sądzę, na pewno wie, że to by się nie udało. Żebym coś powiedział? Wątpię. Próbuję odepchnąć od siebie najbardziej logiczną odpowiedź na pytania, które sobie zadaje. Ale ta odpowiedź uparcie mi się nasuwa i jest coraz głośniejsza. On chce, abym coś zrobił, ruszył się, zaatakował?

Po kolejnym takim szturchnięciu palcem zbieram się w sobie i rzucam się z impetem na podłogę. Zaskoczony Wojtek podąża lufą pistoletu za moim tułowiem. Trwa to zaledwie sekundę i po jej upływie widzę, jak Daniel błyskawicznie uderza od dołu w przedramię Wojtka i równie szybko częstuje go łokciem prosto w twarz. Łapie za nadgarstek i wyrwa mu pistolet z dłoni. Kolbą wali go w głowę, a kiedy ten pada na ziemię bez przytomności, wyciąga przed siebie spluwę i celuje w Marysię.

Dziewczyny siedzą na krzesłach z otwartymi ustami. Obie płaczą, ale na szczęście nie drą się, jak można się było spodziewać. Podnoszą się z podłogi i próbują ogarnąć myślami to, co przed chwilą się wydarzyło. Wojtek leży, ma złamany nos, blondynki prawie umierają z przerażenia, a Marysia dumnie patrzy w oczy Danielowi. Uśmiecha się ironicznie.

– I co chcesz zrobić, co? – pyta.

Nie odpowiada. Cały czas trzyma ją na muszce, ale milczy. Nie wiem, czy zastanawia się nad planem działania, czy nad strzałem w łeb. Ale gdyby dopuszczał to drugie rozwiązanie, zaczęłyby od Wojtka. Nie chcę, żeby strzelił. Nie chcę tu żadnej śmierci.

– Znajdź coś i zwiąż ją. Taśmą zaklej jadaczkę – mówi do mnie. – Dziewczyny, co tu robicie?

Placą już teraz rzewnymi łzami, które spływają po policzkach.

– Nie bezceń! Mówić! – Daniel jest bezlitosny. Ponagla mnie wzrokiem, więc kręcę się i szukam jakiegoś sznurka i taśmy. O dziwo, znajduję szybko, jakby wszystko było przygotowane. Pokazuję Marysi, że ma usiąść na podłodze. Najpierw krępuję jej nogi. Każę jej się oprzeć o belkę podpierającą strop. Ręce zwiążuję z tyłu.

– Masz coś do powiedzenia? – pytam cicho, kiedy jestem blisko niej. Znowu uśmiecha się ironicznie.

– Ratujcie świat – odpowiada. – Jest podły.

Już o nic nie pytam, tylko przykładam taśmę do jej ust i dociskam. Już nic nie powie. Może tylko jęknąć.

– Co tu robicie? – Daniel ponowił pytanie. – Mógłbym ją zapytać, ale widziałyście, że niechętna do rozmowy.

Zerkają na siebie, próbując zdecydować, która ma odpowiedzieć.

– Miałyśmy być kelnerkami na bankiecie w hotelu – wyduśza z siebie jedna.

Druga nerwowo potakuje głową.

– Raczej kurwami byście były, a nie kelnerkami – odpowiada Daniel, odwraca się i przez zaplecze wychodzi na główną salę. Staję w przejściu, by widzieć, co robi. Opiera się o ladę i głośno mówi:

– Zamykamy bar!

Nie widzę, ale słyszę coraz głośniejszy gwar, jakieś krzyki, bunt, złość.

– Wypierdalać! – Daniel podnosi głos i wyciąga dłoń z pistoletem. Gwar cichnie. Słyszę tylko szuranie butów po podłodze, a potem trzask zamykanych drzwi. Osiągnął to, ale odnoszę wrażenie, że mamy przejebane.

Dziewczyny łkają. Chyba naprawdę chciały być kelnerkami.

– Skąd jesteście? – pytam.

– Z Nowego Targu – odpowiada jedna.

– Z Nowego Sącza – uzupełnia druga.

– Tam nie ma pracy?

– Jest, ale tu miałyśmy zarobić tyle, ile w miesiąc tam.

– Za bycie kelnerką w jeden wieczór? Czy wy jesteście normalne? – Nie mogę uwierzyć w ich naiwność.

Spuszczają głowy i płaczą jeszcze głośniejsze. Ja pierdołę, głupie siksy.

Daniel wraca. Pistolet kładzie na półce. Widzę, że w ręku trzyma małą buteleczkę i coś, co przypomina gazę.

– Zastanawiałem się, po co mają to w knajpie – mówi. – Widziałem to na półce. To eter. Pożyczymy sobie.

Nasącza gazę płynem i podchodzi do Marysi. Ta zaczyna się szarpać. Wszystko to na nic, bo jest dobrze związana.

– Wrócimy tu niedługo – oznajmia Daniel i przykładą kawałek materiału do jej nosa. Po kilku sekundach jej głowa opada bezwładnie.

Jedna z dziewczyn wydaje z siebie pisk.

– Cicho bądź! – syczy Daniel. – Nie potrzebujemy tu darcia mordy! Nic jej nie będzie, pości parę godzin.

Przesuwa się teraz do Wojtka. Nadal leży nieprzytomny. Najwyraźniej uderzenie było dość solidne. Na wszelki wypadek Daniel sprawdza mu puls. Następnie nasącza kolejny kawałek szmaty i przytyka do jego nosa.

– Dla pewności – mówi cicho. – Będą tu leżeć ze trzy, cztery godziny. A potem i tak się nie ruszą. Zwiąż go.

Robię to tak samo jak z Marysią. Nogi, potem ręce za belką, o którą opieram go z pomocą Daniela. I taśma na usta.

– Co robimy z dziewczynami? – pytam roztrzęsionym głosem.

Daniel wstaje i podchodzi do nich. Przez całe to zamieszanie cały czas siedziały na tych swoich krzesłach i ani na chwilę nie wstały.

– Jak tu dotarliście?

– Jakiś samochód nas przywiózł – łkając, odpowiada ta z kręconymi blond włosami.



– Kto był kierowcą?

– Nie wiem.

Daniel kiwa głową z niedowierzaniem i rozkłada ręce. Odwraca się tyłem do nich.

– Musimy je tutaj zostawić – odzywa się do mnie. – Przy wejściu do knajpy jest zejście do małej winiarni. Tam je zostawimy.

Zgadzam się z jego pomysłem. Z nami nie mogą pójść. Nigdy nie nazywam ludzi zbędnym balastem, ale tym razem właśnie tak o tych dziewczynach myślę. Piąte koło u wozu.

Wyciągam do nich ręce. O dziwo, bez wahania podają mi swoje dłonie i dają się prowadzić. Przechodzimy przez zaplecze, potem przez cały bar, obok stołów, na których stoją niedopite kufle piwa. Goście czmychali stąd w pośpiechu, kiedy Daniel pokazał broń.

Rzeczywiście przy głównym wejściu widać niskie, choć wystarczająco szerokie drzwi. Otwieram je. Bezpośrednio za progiem zaczynają się schody. Wąskie i wytarte drewniane stopnie prowadzą w ciemność, więc szukam włącznika światła. Wisi taki sznurkowy na ścianie, więc pociągam za niego. Żółta żarówka zapala się na dole, jest wkręcona w ścianę.

– Jak macie na imię? – pytam jeszcze przed pokonaniem pierwszego stopnia.

– Alina – mówi kręcona. Jest chyba bardziej rozgarnięta, bo przedstawia także tę drugą: – Ilona.

Prowadzę je w dół po tych schodach. Idę ostrożnie, a one w tej ostrożności mnie naśladują. Cieszę się, że nie panikują, to wiele ułatwia. Kiedy już jesteśmy na dole, pokazuję im małe beczułki, by na nich usiadły.

– Posłuchajcie mnie, dziewczyny – mówię. – Nie jest tak, jak wam powiedziano. Nie chodzi o żaden bankiet i kelnerki. Musicie tu teraz poczekać, bo my z kolegą idziemy sprawdzić, o co chodzi. Tu wam nic nie grozi. Tam w drzwiach jest zasuwka. Zamkniecie się, kiedy wyjdę. Wrócę po was. Albo kolega... Albo ktoś.

Zrozumiały. Są wystraszone, ale skoro naiwnie uwierzyły jakiemuś kierowcy, potem Marysi i Wojtkowi, to mnie powinny wierzyć tym bardziej. Sam nie mam jednak pewności, kiedy i kto je stąd zabierze.

Wbiegam po schodach. Za mną idzie Alina i kiedy zamykam drzwi, słyszę, że przesuwa zasuwkę tak jak należy. W zamku tkwi duży mosiężny klucz. Po chwili namysłu przekręcam go cicho i wyjmuję. Rozglądam się za rozsądnym miejscem, by go ukryć. Umieszczam go obok kominka, pod kawałkiem drewna.

Wracam do Daniela, kiedy wsuwa pistolet za pasek.

– Znalazłem u tego gnoja w kieszeni dodatkowy magazynek – mówi, wskazując głową Wojtka. – Skurwiel miał glocka, a przyniósł mi wiatrówkę.

Podchodzi jeszcze raz do Marysi. Dotyka jej policzka, a potem sprawdza, czy dobrze związałem. Wstaje i podchodzi do Wojtka. Tu niczego nie sprawdza. Bierze za to zamach i kopie go w biodro.

– Kutas pierdolony! – syczy przez zęby.

Wychodzimy. Zamykamy knajpę i zabieramy klucz. Idziemy jeszcze na tył budynku, bo tamte drzwi wiszą przecież tylko na zawiasach. Przysuwamy je do framugi i próbujemy zamknąć. Bez skutku. Klamka rozbita, zamek nie działa.

– Przysuśmy to do drzwi, powinno wystarczyć – mówię, pokazując stojącą obok wielką skrzynię.

– To stara zamrażarka. Ciężka. Da radę.

We dwóch udaje nam się ją nawet podnieść i przystawić do drzwi. Dociskamy jeszcze, żeby między drzwiami a framugą nie było żadnej szczeliny. Udaje się.

– Miałem nosa, kurwa, żeby tu wpaść! – Nie sądzę, by Daniel miał z tego satysfakcję, ale wypowiada te słowa tak, jakby ją miał.

Wsiadamy do samochodu i ruszamy. Teraz już do hotelu. Czuję, że zaraz zwymiotuję. Boli mnie wszystko, od włosów po paznokcie i stóp. Ale najbardziej to wszystko, co w jamie brzusznej. I nie potrafie określić co.

– Kim ty, kurwa, jesteś, Daniel?! – wypalam nagle, wyjeżdżając na główną ulicę.

– Nie chcesz wiedzieć – odpowiada błyskawicznie.

– Kto ci robił zdjęcia? – zapytała.

– Nie wiem. – Agata chwyciła się za głowę. – Jakaś kobieta... ale... nie była tam sama. Ubrali mnie i zrobili kilka zdjęć. Tak, tak było.

– Wraca ci pamięć – zauważyła Zosia. Głęboko odetchnęła i odwróciła się do dziewczyny plecami. – Zrobię nam jeszcze jedną herbatę.

– I to był taki dziwny pokój. Ściany były z drewna, z takich belek – mówiła dalej Agata. – I jakoś tak głośno było. I przyjechałam tam samochodem. I była tam też jakaś inna dziewczyna. I potem nas gdzieś zawieźli, i...

Zosia odwróciła się do niej, kiedy ta zawiesiła głos.

– I co? – zapytała.

– ...I wtedy był ten garaż – dokończyła. – I potem już nie pamiętam.

– Jak miała na imię ta dziewczyna?

– Nie pamiętam... – powiedziała i pokręciła kilka razy głową.

– Może miała na imię... Janka?

Agata podniosła głowę i zaczęła się przyglądać Zosi. Zmarszczyła czoło i się wyprostowała. Po chwili jednak znów się zgarbiła.

– Nie wiem – szepnęła. – Dlaczego akurat Janka?

Zakłopotana Zosia odwróciła się do dwóch kubków z torebkami melisy. Zalała je wrzątkiem. Pomyślała, że ta dziewczyna nie powinna już teraz usłyszeć o Jance.

– Nic, nic... tak tylko mówię – odparła. I nagle poczuła, że Agata stoi za nią. Poczuła jej oddech i zapach. Nie był to zapach perfum, ale z pewnością był to zapach, który czuła, kiedy siedziała na kanapie blisko niej. Przestraszyła się. I z tego strachu nie potrafiła się odwrócić.

– Zosia – usłyszała głos tuż za swoją głową. – Ja się nazywam Agata Lek. Jestem z Czorsztyna.

\*\*\*

Dorota dzwoniła do Mateusza kilka razy. Bez skutku. Zaczęła się już martwić, bo zrobiło się na tyle tajemniczo, że mogło być już tylko coraz bardziej mrocznie. Kiedy skończyła się dwupasmowa Zakopianka, zwołała, by nie dojechać zbyt wcześnie.

Obie pasażerki milczały jak zakłete. Nawet Agnieszka przestała się odzywać. Raz tylko poprosiła o przystanek. Poszła do toalety i kupiła każdej po pączku. Dorota z grzeczności nie odmówiła i choć męczyła się niemilosiernie, zjadła go, ledwo przełykając marmoladę ze środka. Dobrze, że miała jeszcze na dnie kubka trochę kawy. Mogła zabić ten przesłodzony smak.

Przez to długie milczenie zaczęła się zastanawiać, czy ta podróż w ogóle ma sens. To znaczy wiedziała, że jej podróż ma sens. Ale po co wiezie tam Agnieszkę i Magdę? Wobec ciszy na temat najważniejszy zaczęła je traktować jak przyzwoitki jadące na czyjś randkę.

I była też przekonana, że one same również nie wiedzą, po co tam jadą. Agnieszka jako towarzyszka podróży, a Magda? Trudno było odgadnąć, jakie myśli krążą po jej głowie. Tym bardziej że wciąż chowała się przed Dorotą za jej fotelem.

Już nie będzie dzwonić. W razie potrzeby zatrzyma się gdzieś niedaleko celu i cierpliwie poczeka na jakiś sygnał.

\*\*\*

Była w tym hotelu tyle razy, a nigdy nie poszła na jego tyły. Nigdy nie czuła takiej potrzeby, ale teraz widziała, jak piękna jest ta polana z tyłu. Wolna od wszystkiego przestrzeń. Aż zatrzymała się na chwilę, by delektować się nią i ciszą.

Daniela nie zauważyła. Pewnie trochę się kryje. Nie jest gościem hotelu, a wręcz przeciwnie – zapewne jest tu niemile widziany. Szła wolno i rozglądała się na wszystkie strony. Nie bała się. Udzielił jej się spokój tej polany. Najchętniej pobiegłaby w górę, podskakując jak mała dziewczynka. Ale zadanie miała inne. Chciała znaleźć Daniela.

Szła dalej, w kierunku lasu i wąskiej ścieżki, którą dostrzegła przed chwilą. Kiedy na nią wstąpiła, zorientowała się, że prowadzi ona do nieco szerszej drogi, po której z pewnością jeździły samochody, sądząc po głębokości kolein. Cały czas szła wzdłuż ogrodzenia hotelu, równoległe do podjazdu prowadzącego do bramy. I wtedy zauważyła blaszany garaż stojący tuż za murem okalającym budynek.

Podeszła bliżej, bo pamiętała, że właśnie mniej więcej w tym miejscu samochód zniknął jej z oczu. Wydawało jej się, że przez jakąś szparę w ścianie garażu widzi światło. Było widoczne, bo zapadała już powoli szarość dnia.

Ostrożnie stąpała po kamieniach, które rozsypane były wokół tej blaszanej skrzyni przypominającej kontener. Kamienie wielkości piłki do szczypiorniaka. Skojarzenie przyszło błyskawicznie, bo w szkole średniej wuefista dręczył je wszystkie grą w piłkę ręczną.

Syknęła, kiedy poczuła ból w stopie po kontakcie z mniejszym i leżącym na sztorc kamieniem. Zakłótyła się przy tym i żeby nie upaść, oparła się o blaszaną ścianę. Przynęła się wtedy bliżej szpary i przyłgnęła całym ciałem do blachy. Aż poczuła jej zapach. Nieprzyjemny, jak z fabryki, w której tnie się metal i wszędzie walają się opłuki.

Zajrzała do środka. Szczelina była wąska, ale Alicja była na tyle blisko, że zaczęła powoli przyswajać sobie obraz, który widzi. W środku kręcił się Ksawery. Ciągle podchodził do blatu, na którym rozstawione były liczne szklanki i kieliszki. Na półce kilkanaście małych słoików wypełnionych białymi pigułkami.

Ale Ksawery nalewał do tych szklanek tylko alkohol. Z reguły whisky, a do kieliszków czystą wódkę. Gdzieś tam leżała też metalowa taca z rozsypanym białym proszkiem.

Alicji wrócił ciężki oddech. Zrobiło jej się słabo. Na chwilę odsunęła się od specyficznego wizjera i rozejrzała się wokół. Bardzo chciała, żeby był tu z nią teraz Daniel. Albo przynajmniej Mateusz. Ktokolwiek. Zbliżyła oczy do szpary. Ksawerego już nie było. Szklanki i kieliszki zostały w tym samym miejscu. Spojrzała na drugą stronę pomieszczenia. Stało tam łóżko. Wyglądało na wygodne, z błękitną pościelą. Ktoś na nim leżał.

Nie zdążyła się odwrócić, kiedy usłyszała za sobą szmer. Poczuła mocne uderzenie w głowę i osunęła się po blaszanej ścianie na kamienie.

Nie skręcam do hotelu. Nie wjeżdżam nawet w drogę prowadzącą do bramy. Jadę prosto. Zatrzymuję się dopiero wtedy, kiedy widzę coś jakby miejsce parkingowe w lesie. Wjeżdżam tam i wyłączam silnik. Bez słów, bo chyba jesteśmy zgodni co do kolejnych działań.

I nie ma racji. Chcę wiedzieć, kim on, do kurwy nędzy, jest. Ale może to nie jest dobry moment na opowiadanie sobie życiorysów. Jest skupiony. Wysiadając z samochodu, poprawia glocka za paskiem. Kurwa! Co za historia. W życiu bym się nie spodziewał, że będę brał udział w czymś, co może się skończyć strzelaniną. Ale może mnie to ominie. Może skończy się inaczej.

Daniel ma nie tylko pistolet. Właśnie schyla się do nogawki. Pod nią ma nóż, z tych survivalowych. Po jednej stronie ostrze, po drugiej ząbki. Profesjonalna robota. Ostrze ma jakieś piętnaście centymetrów długości. Straszne rzeczy można tym zrobić. Aż korci mnie, by zapytać, co do tej pory nim zrobił. Poza krojeniem jabłek.

Idziemy przez las. Nadal w milczeniu. Co za zgodność. Między zabijają – coraz częściej tak o nim myślę – a porządnym, spokojnym człowiekiem. On prowadzi, widać, że czuje się w lesie jak ryba w wodzie. Nawet drzewa mija jakoś tak inaczej niż wszyscy. Inaczej niż ja. Kilka razy się zatrzymuje, żeby przyjrzeć się zza drzewa temu, co przed nami. A potem rusza z taką samą energią jak po poprzednich postojach.

W końcu docieramy do granicy lasu. Za nią jest droga, a za drogą już teren hotelu z bramą, która teraz jest otwarta. No i ten blaszak. Z tej strony wygląda inaczej. Może dlatego, że widać go w całej okazałości.

Rozglądamy się, czy nikogo nie ma w pobliżu. Pusto i dość spokojnie. Nadal mnie to zadziwia, jak bardzo cicho jest tutaj. Idealne miejsce na wypoczynek – w innych okolicznościach.

– Idziemy od góry? – pytam.

– Czyli od tyłu? Tak. Najpierw ja, potem ty.

Ledwie wypowiada to zdanie, rzuca się w szarość przysłoniętą drzewami. W kilka sekund dopada do blaszaka i przywiera do jego tylnej ściany. Czy taka konspiracja nie jest przesadą?

Po chwili macha do mnie ręką, żebym do niego dołączył. Rzucam jeszcze spojrzenie w dół drogi, potem na bramę i biegnę tam, gdzie mi każe. W mig staję obok niego. Próbuję sobie wyobrazić, jak wyglądam jako James Bond, i naśmiewam się z siebie w duchu. Widok zapewne pożałowania godny. Ale nic to, potrzeba chwili jest taka, że muszę udawać idiotę. To znaczy Bonda, ale wygląda to, jakbym z siebie idiotę robił.

– Podejźmy teraz do wejścia – mówi do mnie szeptem Daniel. – Ja pierwszy.

Oczywiście, że on pierwszy. Ja nie muszę być pierwszy. Nie mam ambicji, żeby być pierwszy. W ogóle nie muszę tam iść. Niepotrzebne mi jest bohaterstwo. Dziewczyna do mnie jedzie. O kurwa! Dorota.

Sięgam do kieszeni po telefon. Dzwoniła pięć razy. Pewnie nie wie, gdzie jechać. Szybko piszę wiadomość z adresem hotelu. Ale nie wysyłam, daję sobie kilka sekund na namysł. Może lepiej, żeby tu jeszcze się nie pokazywały. Kasuję adres hotelu i wpisuję inny. Zosia się nie pogniewa.

Chwytam Daniela za ramię, kiedy widzę, że chce już pobiec dalej. Zatrzymuję go, bo dostrzegam cienką smugę światła wydobywającą się z wnętrza. Pokazuję mu ją ruchem głowy i przysuwam się do tej szpary. Zerkam do środka. Daniel w tym czasie obserwuje otoczenie.

Lustruję wzrokiem pomieszczenie i widzę szklanki i kieliszki. Taki mały bar. Przesuwam wzrok na drugą stronę. Widzę łóżko z niebieską pościelą. Ktoś w nim leży i jest przykryty cienką koldrą. Sądząc po długich, czarnych włosach, to kobieta.

– Patrz – mówię szeptem do niego.

Nie waha się. Od razu przylega ciałem do ściany i zawiesza oko na tej szczelinie. Patrzy kilka sekund. To mu wystarczy.

– Wchodzimy tam! – decyduje i rusza w kierunku wejścia. Idę za nim złany potem. Kiedy stajemy przed drzwiami, dopada mnie zniechęcenie. Bo niby jak otworzymy te drzwi? Klamka i zamek. Kluczka oczywiście nie mamy. Strzelić w zamek nie możemy, bo huk będzie słychać na końcu wsi.

Widzę, że Daniel również szuka w głowie rozwiązań. I tak jak przed barem sięga po kamień i mocno uderza w kławkę. Wszystko puszcza i drzwi się otwierają w naszą stronę. Daniel z glockiem w dłoni wchodzi do środka. Wygląda jak policjant z wydziału zabójstw. Ręka wyprostowana i gdzie patrzy, tam celuje. Ale w środku wydaje się bezpiecznie. Podchodzi do łóżka. Zsuwa kołdrę z kobiety. Leży na brzuchu, nie rusza się, nie reaguje na chłód, który musiała poczuć po zdjęciu nakrycia. Mam wrażenie, że jest ubrana jak Agata. I jak te dziewczyny, którymi zajmowała się Marysia w barze.

Daniel dotyka jej ramienia, potem sprawdza tętno na szyi, tuż pod żuchwą. Odwraca się do mnie i kiwa głową na znak, że żyje. Potem próbuje ją odwrócić. Czuje opór, więc wsuwa pistolet za pasek i próbuje dwiema rękami. Po chwili dziewczyna leży już na plecach, kompletnie nieświadoma tego, co się dzieje. My natomiast w tym samym momencie wypowiadamy jej imię:

– Janka.

Nie mamy wątpliwości, że to dziewczyna z ogłoszenia rozwieszanego we wsi przez starszą panią.

– Co z nią? – pytam, mając wrażenie, że mój towarzysz wie więcej na ten temat niż ja.

– Jest kompletnie odurzona – mówi i rozgląda się po pomieszczeniu. Podchodzi do blatu po przeciwnej stronie. Przesuwa kolejne kieliszki i szklanki. Patrzy na półki z alkoholami. Od lekkich win, po niezwykle mocną rakiję. Niezły arsenał.

Między tymi butelkami stoją słoiki pełne pigułek. Daniel bierze jeden do ręki. Odkręca i wyciąga jedną tabletkę.

– To GHB – stwierdza.

– Co to jest GHB? – Może powinienem się wstydić, że o to pytam

– GHB to pigułka gwałtu.

Zamieram. To niemożliwe. Gdzie ja jestem? O takich historiach słyszałem do tej pory tylko w telewizji, czytałem w gazetach. Nie chcę tego!

– Ale ona dostała coś innego – dodaje. Sięga po jeszcze jeden pojemnik. Otwiera go i pokazuje mi biały proszek. Słabo mi. Po raz kolejny dziś mam odruch wymiotny. Daniel zwilża palec i zanurza w tej bieli. Potem smakuje językiem.

– Kokaina. – Jest pewny tego, co mówi. – I to całkiem niezła.

Trudno mi zebrać myśli. Pigułki gwałtu, kokaina, jedna dziewczyna odurzona, inna dochodzi do siebie, dwie czekają w kolejce. To dla mnie za dużo. Łapię się za głowę, a potem przecieram twarz. Podchodzę do łóżka, żeby jeszcze raz spojrzeć na Jankę. A może robić to, by nie patrzeć na kokainę. Z podłogi podnoszę jakąś złotą bransoletkę, właściwie łańcuszek. Trzymam go w dłoni, kiedy podchodzi Daniel.

– Co to jest? – Przygląda się. – Skąd to masz?

– Leżało na podłodze.

– Tutaj?

– No, tu. – Pokazuje głową, w którym miejscu.

Daniel znów zaciska szczęki; widzę dokładnie, jak porusza się żuchwa.

– Zadzwoń do Alicji – mówi.

– Po co?

– Zadzwoń – cedzi ze złością przez zęby to polecenie.

Wybieram numer Alicji i naciskam zieloną słuchawkę. Po chwili słyszymy gdzieś w tym pomieszczeniu dźwięk, który może być dzwonkiem telefonu. Freddie Mercury wyśpiewuje *Bicycle*.

Dźwięk dobiega spod łóżka. Daniel schyla się, podnosi dzwoniący telefon i wyłącza.

– Kurwa mać! – mówię cicho, choć dobitnie.

– Coś się stało. – Daniel bierze ode mnie łańcuszek. – To jej. Miała go dziś nad kostką. Zauważyłem i zapamiętałem.

– I gdzie ona jest? – pytam nerwowo.

W odpowiedzi rozgląda się po całym pomieszczeniu. Podchodzi do ścian i dotyka. Nie wiem, co robi, i nie wiem, po co to robi. Potem przechadza się po pomieszczeniu. Od łóżka do stołu i z powrotem.

– Nadal uważasz, że nie powinniśmy wzywać policji? – zadaje kolejne pytanie, ale tym razem chcę usłyszeć odpowiedź.

– Jeśli chcesz tu policję – nie patrzy na mnie, tylko na podłogę – to nie stąd. I jeśli w ogóle, to dzwoni do psa, którego znasz.

Nie znam żadnego psa. Kurwa, nigdy nie mówiłem o policjancie „pies”. Może zacznę, jak zbyt długo będę przebywać z Danielem. Szperam w głowie, szukam kontaktów, ale na szybko nic nie wymyślę. W redakcji zapewne wisi lista nazwisk i numerów telefonów, głównie do rzeczników, ale redakcja jest daleko.

Pójdę na łatwiznę. Piszę wiadomość do Doroty.

„Sprowadź tu policję. Powiedz, że chodzi o narkotyki i gwałt. I koniecznie z Krakowa”.

Wyślij.

Daniel stoi w jednym miejscu i naciska stopą na podłogę. Potem nią tupie.

– Słyszysz? – pyta.

– Co mam słyszeć?

Tupie jeszcze raz. Słyszysz odgłos tupania. Nie wiem, co mam słyszeć. Widzi, że nie wiem o co chodzi, i przesuwa się metr dalej. I znowu tupie. I teraz już wiem, to zupełnie inny dźwięk. Daniel kuca i podnosi obscurny dywan. Szarpie mocno i odrzuca na bok ten kawał materiału. Teraz razem przyglądamy się podłodze. Widoczny jest jakiś kwadrat, ale jeśli jest to jakiś wąż, to nie ma żadnego uchwytu, klamki czy czegośkolwiek. Daniel znów się rozgląda i przechadza. Zagląda pod łóżko, wpatruje się w drzwi i w końcu schyla się pod blat, na którym stoi całe to szkło. Przeciąga dłonią od spodu tego blatu i wreszcie trafia na coś, bo zatrzymuje rękę.

Aż podskakuję z wrażenia, kiedy podłoga się rozsuwa. Nie cała, tylko ten zauważony przez nas wczesniej kwadrat. Jednocześnie tam, na dole, zapala się światło. Dzięki temu widzimy strome blaszane schody.

– Jeśli chcesz zostać... – mówi Daniel szeptem – ...to zostań.

Ani mi się śni. I komunikuję mu to piorunującym spojrzeniem. Dostrzegam drgnięcie kącików ust. To nie mógł być uśmiech, ale odbieram tę mimikę jako zadowolenie, że chcę z nim pójść.

Sprawdzamy jeszcze, co z dziewczyną na łóżku. Jeśli do tej pory nic jej się nie stało, to nic się nie stanie przez najbliższych kilkadziesiąt minut. Bo chyba wtedy będziemy mogli lepiej jej pomóc. Może powinienem napisać do Doroty, żeby sprowadziła też karetkę.

Daniel schodzi po blaszanych stopniach. Kiedy jest już na dole, wyciąga zza paska pistolet. Macha do mnie, bym poszedł w jego ślady. Robię to. Powoli, z duszą na ramieniu. Mam też miękkie kolana. Zresztą cały drzę. Daniel dotyka mojego ramienia i patrzy mi prosto w oczy. Mocno, do bólu, zaciska dłoń. A potem rozluźnia uścisk, ciągle wbijając we mnie wzrok. To mnie uspokaja. Jakby przekazał mi swój spokój. Co to za dziwny człowiek.

Widzimy przed sobą ciemny korytarz. Właściwie nie wiemy, co jest na jego końcu, bo lampy palą się tylko nad nami. Ale ruszamy. Wyciągam telefon i włączam latarkę, wreszcie przydaje się ten niezwykły gadżet. Jednak po kilku krokach rozświetla się dalsza część korytarza.

– Tędy wszystkich przeprowadzili do hotelu – mówi Daniel, trzymając pistolet skierowany w górę. Mimowolnie patrzę w sufit. Co kilka metrów zawieszona jest na nim lustro. Na ścianach fotografie. Czarno-białe akty, które ukazują się nam w miarę pokonywania kolejnych metrów i zapalania się kolejnych światel ledowych.

Nie są to zwykłe akty. Większość z nich przedstawia kobiety skrępowane linami i paskami. Nie brakuje też kajdanek i obroży na szyjach. Na żadnym z tych zdjęć nie widać twarzy, tylko ciała. Piersi, pośladki, biodra, ramiona, uda. Żadnych twarzy, trudno też określić te zdjęcia jako wulgarne. Tylko na dwóch fotografiach jest mężczyzna. Na jednej klęczy za kobietą na czworaka, na drugim stoi nad skrępowaną linami kobietą z przepaską na oczach. Ona naga, on w garniturze.

Idziemy cicho i powoli, oglądając to wszystko z setkami znaków zapytania w głowie. Jestem pewien, że Daniel myśli tak samo jak ja. Czyli że nie wie, co jest grane, tylko się domyśla. Bo ja już też mam jakieś domysły w głowie, ale nie chcę poświęcać im czasu, bo się ich boję.

Niepokoï nas ta kompletna cisza. Ale dzięki niej usłyszymy każdy szmer, to daje nam jakieś poczucie bezpieczeństwa. To znaczy mnie poczucie bezpieczeństwa daje Daniel. Jemu chyba ja takiego poczucia nie daję, skoro chwilę wcześniej musiał uspokajać moje dygoty.

Kończy się korytarz. Widzimy takie same schody jak te, po których schodziliśmy. U ich szczytu coś, co przypomina kłapę wyłazową na strych, ale z pewnością nią nie jest, skoro tamta była elektrycznie rozsuwana. Daniel wchodzi ostrożnie po schodach, trzymając w dłoni pistolet. Ja na dole obserwuję jego ruchy. Są niemal kocie. Jest zwinny jak mało kto. Znow mi imponuje swoją fizycznością.

Naciska guzik i po chwili kłapa przesuwa się w prawo. W pomieszczeniu na górze sufit jest fioletowy. To widzę od razu. Daniel zapewne widzi już więcej, bo wychyla głowę razem z wyciągniętą przed siebie dłonią. Trzyma w niej glocka i próbuje zlustrować całe pomieszczenie. Kiedy kiwa do mnie głową, bym szedł za nim, wnioskuję, że na górze jest pusto.

Wchodzę szybko, ośmielony jego gestem. Zatrzymuję się dopiero wtedy, kiedy mogę obrzucić wzrokiem cały pokój. Wygląda jak gabinet, bo głównym elementem jest potężne klasyczne biurko i pikowany fotel. Przed biurkiem dwa krzesła, ale w drugim końcu pomieszczenia komplet wypoczynkowy z kanapą amerykańką i trzema fotelami. Obok duży barek podobnie zastawiony jak ten blat w blaszaku. Szklanki, kieliszki i cztery metalowe tacki z wysypanym proszkiem. Jakbym oglądał film. Mam wrażenie, że zaraz się obudzę.

– Co robimy? – pytam cicho, wciąż się rozglądając.

Daniel też się rozgląda. Opuszcza broń. Naprzeciwko biurka wyraźnie widać drzwi. Podchodzi do nich.

– Jesteś gotów iść dalej, czy wolisz czekać, aż ktoś przyjdzie? – Teraz to on pyta i jest to pytanie, na które nie wiem, jak odpowiedzieć. – Gdzieś tam pewnie jest Alicja. Chyba nie możemy czekać.

Ma rację. Pytanie tylko, gdzie ona jest i co zastaniemy w kolejnym pomieszczeniu. Moja wyobraźnia podsuwa mi obraz wycelowanych w nas kałasznikowców. Ale moja wyobraźnia jest zbudowana z filmów Tarantino.

Nie muszę jednak odpowiadać, bo nagle drzwi, przy których stoi Daniel, otwierają się. Bardzo powoli. I już jest w nie wycelowany pistolet. I już sztywnieję ze strachu, opierając się o biurko, a Daniel stoi w gotowości bojowej. Znowu scena filmowa.

Przez drzwi, tyłem, wtaczając barek na kółkach, wchodzi Błażej. Poznaje go po sylwetce i uczesaniu. Każdy włos przylizany. Kiedy już wprowadza wózek do środka, delikatnie popycha drzwi. Zamykają się. Dopiero wtedy odwraca się i podnosi głowę. Staje jak wryty, kiedy zauważa mnie naprzeciwko siebie.

– Ani słowa! – syczy Daniel, przystawiając mu łufę do szyi. Błażej wybałusza oczy z przerażenia i kiwa głową. Puszczając barek przed siebie. Patrzę, jak się toczy i zatrzymuje przy fotelu.

– Powiesz nam teraz, co tu się dzieje – Daniel nadal cicho i stanowczo mówi mu do ucha. Kiwa do mnie, żebym podszedł. Rozumiem polecenie i chwilę później przesuwanie w siebie pistolet. Zaczynając od paska. Schylam się do jego kolan i sprawdzam nogawki spodni. W tym momencie kopie mnie w bark. Nie ma w tym kopnięciu dużej siły, bo nie ma skąd jej wziąć, stojąc blisko Daniela, ale odrzuca mnie od niego skutecznie. Upadam.

Dokładnie widzę, jak próba Błażeja wyrwania się z uścisku błyskawicznie się kończy. Daniel uderza go pięścią w szczękę, a ten pada na podłogę. Wstaję szybko i dopadam go, by uniemożliwić mu jakikolwiek ruch. Ale on nie wie, gdzie jest, choć nie stracił przytomności. Z ust wypływa mu krew. Kaszle nią i pluje. To odruch bezwarunkowy, bo nadal raczej nie wie, co się z nim dzieje.

Daniel podchodzi z jakimś kawałkiem szmaty i wpycha mu go w usta.

– Udusi się – szepczę.

– Nosa mu nie złamałem, może oddychać. – Podchodzi do barku i bierze z niego butelkę whisky. Odkręca i leje Błażewi w twarz. Działa na niego jak amoniak. Otwiera szeroko oczy i patrzy to na Daniela, to na mnie. Boi się. Tym bardziej że widzi wycelowany w siebie pistolet. Zaczyna płakać.

– Jeszcze raz cię teraz poproszę, żebyś nam powiedział, co tu się dzieje – mówi spokojnie i tonem jak do dziecka, któremu trzeba rzeczowo wytłumaczyć, jak działa prąd. – Wyjmę ci teraz tę szmatę. Jeśli zachowasz się nieodpowiedzialnie, strzelę ci w kolano. Każdy następny twój błąd będzie oznaczał kolejny strzał. Ostatni będzie w łeb. Masz... powiedzmy... cztery szanse.

Myślę od razu, że każdy strzał to huk. Będzie go słychać. Nie możemy tego zrobić. Ale milczę, wierząc, że Daniel wie, co robi. Opróżnia mu usta. Błażej jeszcze wypluwa krew, która miesza się na podłodze z jego łzami.

– Ale ja... nic... ja tego nie robię... ja tylko pomagam... bo muszę – bełkocze, łkając.

– Co musisz?

– Pomagać... ja... jestem... tylko kelnerem.

– Gdzie byłeś z tym wózkiem?

Błażej zanoszący się płaczem, nie jest w stanie mówić. Myśli, że żegna się z życiem. Jest o tym przekonany, bo ciągle patrzy na spluwę Daniela. Ale widzę też, że oczy co jakiś czas kieruje gdzieś indziej. Na ścianę.

– Gdzie jest Alicja? – Daniel zadaje kolejne pytanie. Nie dostaje odpowiedzi, bo Błażej prędzej udusi się krwią i łzami, niż odpowie.

Przyglądam się jego oczom. Zastanawia mnie, na co patrzy, kiedy unika wzroku Daniela. Ściana, na którą spogląda, przyozdobiona jest długą, czarną kotarą. Podchodzi do niej. Całą zasłonę przesuwam w lewą stronę. Mimo ciężaru materiału płynie gładko po szynie.

Płacz Błażeja zmienia się w ciche wycie. Daniel przystawia mu łufę do kolana.

– Gadasz czy nie? – pyta.

– Niiieeee... – To wycie jest przerażające, okropne, przeszywające, momentami diabelskie jak w *Egzorcyciście*. Ale to nie jest reakcja na pytania. To reakcja na to, co ja robię. Bo pod zasłoną jest roleta. Jak na oknie.

– Daniel, zobacz.

Odwraca się i przygląda mojemu odkryciu.

– Po prawej stronie masz guzik – mówi do mnie.

– Nie! Nie róbcie tego! – jęczy Błazej, próbując wstać z podłogi. W tym momencie dostaje kolbą w głowę i traci przytomność.

Daniel wstaje i podchodzi do mnie. Dotyka najpierw rolety, naciska, a potem patrzy na guzik.

– Naciśnij – mówi.

Nie wiem, dlaczego ja, ale nie zamierzam dyskutować. Guzik jest czerwony, w kolorze, w jakim zwykle są przyciski uruchamiające rakiety dalekiego zasięgu. Dotykam go palcem wskazującym. Naciśkam.



„Sprowadź tu policję. Powiedz, że chodzi o narkotyki i gwałt. I koniecznie z Krakowa”.

Wiadomość od Mateusza kazała jej zwolnić. Zbyt mocne bicie serca nie było nigdy sprzymierzeńcem kierowców na trasach, na których rozwijało się nieco większą prędkość. A ciśnienie krwi zdecydowanie jej podskoczyło.

Na pierwszej napotkanej stacji benzynowej zatrzymała auto i wysiadła. Kilka razy głęboko wciągnęła powietrze w płuca.

– Znowu przystanek? – zapytała Agnieszka.

– Tak – odpowiedziała Dorota niemal ze złością i wysiadła z samochodu. Nie wiedziała, czy Mateusz poprosił ją o to świadomy jej szerokiego grona krakowskich znajomych, czy też był to przypadek i brak innego pomysłu.

Inny przypadek i zbieg okoliczności sprawił, że wśród jej znajomych był Szymon.

Szymon zrezygnował z pracy w policji po tym, jak zastrzelił dealera narkotyków oskarżonego o sprzedawanie prochów w szkole średniej. Nie przez wyrzuty sumienia. Raczej przez irytację, że musi się z tego tłumaczyć. Zastrzelił człowieka odpowiedzialnego za śmierć co najmniej kilku nastolatków. Nie mógł znieść, że musi się bronić przed oskarżeniami o zabójstwo. Zatrudnił się potem w nocnym klubie. Nie wytrzymał jednak styczności z czarnym, brudnym światkiem. Teraz prowadzi małe biuro turystyczne w Krakowie.

– Cześć, Szymon – powiedziała, kiedy usłyszała go w słuchawce.

– Dorota?! – Nie mógł uwierzyć, że to ona. – Nie rozmawialiśmy od wieków. Musisz mieć jakiś niezły interes albo chcesz wyjechać z narzeczonym. – Zaśmiał się głośno.

– Szymon, posłuchaj. – Jej głos brzmiał chyba wystarczająco poważnie. – Musisz przyjechać. Dzieje się coś niedobrego. Nie do końca wiem co, ale...

– Do Warszawy? – zdziwił się. – Nie mogę absolutnie. Za dwa tygodnie najwcześniej.

– Posłuchaj. Nie do Warszawy. Pamiętasz Mateusza?

– Jak przez mgłę. To ten twój dziennikarz?

– Tak. Jest gdzieś w górach, w jakimś hotelu. Poprosił mnie, żebym sprowadziła tam policję. Koniecznie z Krakowa. Pisał mi o prochach i gwałcie. On nawet nie może rozmawiać, tylko do mnie pisze.

Szymon nie odpowiedział. Cisza po drugiej stronie słuchawki wskazywała, że przyswaja informację. Trawi ją.

– Nie wiem, dlaczego policja akurat z Krakowa – dodała Dorota.

– Ja wiem – szybko odpowiedział. – Na tych wsiach policja często przyryka oko. Zbyt często.

– Przyjedziesz? – dopytywała.

– Nie mogę sam. Jestem cywilem. To nic nie da. Wezmę chłopaków z kryminalnego. Tajniaków.

– Nie wiem, nie znam się na tym. Ale znam Mateusza. On nigdy nie wyolbrzymia i...

– Dorota... – przerwał jej – ... musisz się zorganizować. Gdyż mam jechać w razie czego?

– Kieruj się na Zakopane. Prześlę ci adres, jak go poznam.

– To ty tam jesteś?

– Nie. Jestem w drodze. Wiozę tam dziewczynę, którą też coś złego spotkało w tym samym miejscu.

– Widzę, że gruba sprawa.

– Na pewno. Trochę się tego boję.

– Bądź ze mną w kontakcie. Melduj mi, co się dzieje. Dam ci znać, jak wjedziemy na Zakopiankę.

Wsiadła z powrotem za kierownicę.

– Coś się stało? – zapytała Agnieszka, widząc u Doroty lekkie poruszenie.

– Nie, wszystko w porządku – odpowiedziała sucho.

– Lepiej powiedz, co jest nie tak, bo wysiądziemy. – Głos Magdy zabrzmiał tak nagle, że był podwójnym zaskoczeniem. Nawet przesunęła się na środek tylnej kanapy, by widzieć Dorotę w lusterku wstecznym.

Ktoś z tyłu zatrąbił. Raz, potem drugi. W końcu postanowił ominąć przeszkody i przejechał bardzo blisko ich samochodu. Zatrzymał się, kiedy był na wysokości ich auta, i opuścił szybę. Mówił coś, ale kiedy napotkał kompletny brak reakcji, zamknął okno i pojechał dalej.

– Zatrzymaj się! – syknęła Magda, kiedy Dorota ruszyła z miejsca.

– Przesuwam się tylko, bo na mnie trąbią.

Zaparkowała kilka metrów dalej i oparła się o kierownicę. Potem odwróciła się do Magdy, tak że widziała również Agnieszkę.

– Posłuchajcie – zaczęła. – Ja nie wiem dokładnie, o co w tym wszystkim chodzi, ale wydaje mi się, że nie tylko tobie ktoś tam zrobił krzywdę. Mateusz napisał mi, bym sprowadziła policję. Pisał o narkotykach i gwałcie.

Magda opadła na oparcie. Pokiwała głową. Agnieszka patrzyła na nią z niepokojem i sięgnęła dłonią do jej uda. Przesunęła po nim delikatnie.

– Nie wiem, czy chcę tam policję – powiedziała Magda. – Wolę o tym zapomnieć, niż się z tym pieprzyć po komisariatach. A tak to pewnie się skończy.

– Chyba musi się tak skończyć. – Agnieszka wydawała się stawać po stronie Doroty, która zerkała to na jedną, to na drugą. Trochę martwiła się, że rzeczywiście zaraz wysiądą i nie pojadą dalej. Słowa Agnieszki trochę ją uspokoiły.

– Co tam się stało? – zapytała Dorota jeszcze raz.

Magda przesunęła się jednak ze środka kanapy na swoje poprzednie miejsce, czyli za fotel kierowcy. Tym samym zniknęła Dorocie z oczu. Agnieszka usiadła prosto na swoim miejscu i skrzyżowała ręce na piersi. To był czas wyczekiwania. Na szczęście krótki.

– Jedź! – zdecydowała w końcu Magda.

W innej sytuacji pomyślałaby, że to motyle w brzuchu. Ale w tej konkretnej musiały to być jedynie mdłości ze stresu. Uruchoimiła silnik, wycofała i z impetem wjechała na główną trasę. Wpisała jeszcze w nawigację adres jakiejś Zosi i przyspieszyła do stu dwudziestu kilometrów na godzinę.

Naciskam. Roleta rusza bardzo powoli i mozolnie. Obserwujemy ten ruch z zaskoczeniem jeszcze większym niż wtedy, kiedy rozsunęła się podłoga w blaszaku. Stoimy i przyzwyczajamy oczy do obrazu, który nam się ukazuje. Jest dość ciemny, ale kolejne elementy stają się coraz wyraźniejsze. I w pewnym momencie odskakuje.

– Spokojnie – mówi Daniel. – Weneckie. Lustro weneckie.

Kamień spada mi z serca. To nie jest tylko powiedzenie. To prawda. W takich chwilach naprawdę czuje się, że człowiekowi robi się lżej.

Podchodzę do tego okna najbliżej jak mogę. Widzę stoliki rozstawione na brzegach bardzo dużego pokoju. Przy stolikach siedzą mężczyźni w garniturach, przy szklankach whisky, burbonu i czystej wódki. Nie widzę ich twarzy, jest zbyt ciemno. Jedyne mocniejsze światło pada na jedną stronę pomieszczenia. I jest to scena. Na tej scenie centralnym elementem jest pionowa rura. Fachowo zwana rurą do *pole dance*, ale w tym przypadku z pewnością nie o to chodzi. Z boku na tej scenie stoi niewielkie łóżko.

Ono jest naprawdę niewielkie wobec tego, które zajmuje główne miejsce całego pomieszczenia. Łóżko, które tam stoi, jest potężne. Ma trzy mosiężne nogi z jednej strony. Domyślam się więc, że z drugiej ma ich tyle samo. Trudno powiedzieć z tej perspektywy, czy jest kwadratowe, czy prostokątne. Ale to chyba nie ma znaczenia. Nie ma żadnego wezgłowia i żadnych poręczy.

Stoimy tak i patrzymy. Nie wiemy, co się dzieje. To znaczy, nic się nie dzieje. Paru facetów siedzi w dziwnej restauracji i popija procenty. Tyle się właśnie dzieje. Co więc robi odurzona Janka w blaszaku, gdzie jest Alicja i skąd się tu wszędzie wzięły prochy? Jest zbyt grzecznie. Taka cisza przed burzą.

– Czekamy – mówi Daniel. Oczywiście, że czekamy.

Scena nagle staje się jeszcze jaśniejsza. Wszyscy goście odwracają się w jej stronę i biją brawo. Nic nie słychać. Widać jedynie, jak uderzają dłonią o dłoń, uśmiechając się i zaraz po tym wznosząc toast.

A na scenie pojawia się Ksawery. W czarnych spodniach, białej koszuli i czarnej kamizelce. Rękawy koszuli ma podwinięte. Mówi coś do tych ludzi, ale my nie słyszymy. Oni biją mu brawo.

Schodzi ze sceny i lawiruje między stolikami. Staje gdzieś tam z tyłu, jak obserwator albo nadzorca. Na scenę zaś wychodzi kobieta. Nie mam wątpliwości, w jakim celu. Jest szczupła i wysoka. Długie czarne włosy sięgają jej do połowy pleców, a z przodu zasłaniają biust. Nie jest naga. Ma na sobie sukienkę dość skromną jak na zadanie, jakie ma do wykonania. Bo chyba się nie mylę w swoich przypuszczeniach.

Zaczyna tańczyć, wic się wokół drążka. Dość szybko zrzuca tę skromną sukienkę. Od początku wydawała mi się niepotrzebna, nie na miejscu. Teraz jest bardziej adekwatnie do sytuacji. Reakcje publiczności są entuzjastyczne.

Daniel podchodzi do guzika, dzięki któremu udało się podnieść roletę. Dopiero teraz widzę, że są dwa. Naciska ten drugi i nagle słyszymy muzykę, okrzyki i klaski. Wszystko w jakości z interkomu. Ale wystarczy.

Dziewczyna jest już naga. Ochoczo potrząsa biustem i pośladkami. Sięga ręką między uda, potem liże palce. Wszystko w rytm sensualnej muzyki. Nie ogranicza się do aktorstwa i tańca. Ona naprawdę masturbuje się na oczach tych wszystkich mężczyzn. Orgazm udaje, ale oni wszyscy albo dają się nabrać, albo im to nie przeszkadza. Na scenę wbiega jeden z mężczyzn. Nikt go nie zatrzymuje. Najwyraźniej obowiązują tu inne zasady niż w klubie ze striptizem.

Zupełnie inne zasady, bo ona klęka przed nim i rozpina mu spodnie. Chwilę później ma go już w ustach.

– Nieźle się bawią – stwierdza Daniel i odwraca od nich wzrok. Ja też nie chcę tego oglądać i znów obserwuję salę i stoliki. Mój wzrok zatrzymuje się na Ksawerym. Oparty o ścianę rozmawia z kimś nieco niższym od niego. Przyglądam się jego mimice, jego ruchom i gestykulacji. I wtedy zawieszam wzrok na jego rozmówcy. Coś mi mówi: znasz go. No bo znam.

– Znam tego gościa, z którym rozmawia Ksawery – mówię do Daniela.

– Tak? Kto to?

– Radek Miłosz – odpowiadam błyskawicznie na jego pytanie. – Jest bardzo blisko polityków. Dba o ich wizerunek, ale myślę, że też często wykorzystuje znajomość z nimi.

– I dobrze, polityków trzeba wykorzystywać – kwituje Daniel.

– Ale najważniejsze jest to, że to znajomy Magdy Paleckiej, tej, o której ci mówiłem, że próbowała się zameldować. Przyjechała tu z nim.

Mężczyzna zszedł ze sceny, zapinając rozporek. Uśmiechnięty i zadowolony obrzydliwiec. Ciągle słyhać brawa, a na scenę znów wychodzi Ksawery.

– Bella Angelina jeszcze z nami zostaje, panowie – mówi głośno do wszystkich, co znów spotyka się z entuzjazmem. – Możecie z niej korzystać do woli. – Śmieje się głośno.

Kobieta kładzie się na łóżku, które stoi na scenie i znów dotyka się między udami. To dziwne, ale dobrze się bawi. Ksawery, zupełnie nieczuły na jej wdzięki, mówi dalej:

– Już za chwilę dołączy do nas Felicita, piękna dziewczyna z Katowic, którą przywiózł do nas nasz drogi Stefan! Pokaż się, Stefan!

Przy którymś stoliku wstaje brzuchaty jegomość z wąsem. Macha do wszystkich i robi obsceniczny gest Michaela Jacksona, łapiąc się za genitalia. Jacksonowi wychodziło to zdecydowanie lepiej.

– Powiedz, Stefan, czy ona wie, jakie przyjemności przed nią? – pyta Ksawery.

Stefan wykonuje gest dłonią, który znaczy „mniej więcej”. Czyli nie wie.

– Bo wiesz, jak było ostatnio. Wielmożny pan Radek przywiózł nam kogoś, a potem zabronił dotykać. Nie przyjmujemy przeprosin, Radek! – krzyknął do Miłosza, śmiejąc się.

Rozlegają się oklaski. Miłosz też bije brawo. Chyba docenia dowcip prowadzącego.

– Za chwilę przed wami katowiczanka, która będzie śpiewać – mówi ironicznie – a potem jak zwykle dwie kelnerki będą przechadzać się między stolikami i podawać wam... siebie.

Znów oklaski i okrzyki jak z klubu nocnego.

– I one również nie wiedzą, co je czeka! – śmieje się nadal Ksawery.

Zaczyna się robić obrzydliwie. Kilku obleśnych facetów przyjechało się zabawić bez hamulców. Boję się tego, co jeszcze tu zobaczę. I nie wiem, czy chcę zobaczyć. Patrzę na Daniela.

– Czekamy – mówi.

Na scenę wychodzi dziewczyna w czarnej, koronkowej sukience do połowy ud. To chyba ta Felicita, o której mówił Ksawery. Nie skłamał, wspominając o jej urodzie. Ma ładną twarz, pięknie związane z tyłu blond włosy. I jest bardzo zgrabna.

Jest zupełnie zaskoczona widownią. Chyba nie spodziewała się tylko męskiej publiczności, w dodatku zachowującej się głośno i wulgarnie. Gwiżdżą, krzyczą i wykonują obsceniczne gesty. Jeden z nich naśladuje ruchy frykcyjne. Felicita stara się na niego nie patrzeć i zaczyna śpiewać przy akompaniamencie fortepianu.

Na scenę wskakuje Stefan i bierze ją za rękę. Dziewczyna jest zdezorientowana, kiedy obejmuje ją w tali i próbuje tańczyć. Wyrwa się i chce uciec za kulisy. Wtedy na scenie pojawia się jeszcze jeden mężczyzna z widowni. Ten potrafi ją chwycić mocniej. Felicita nie ma szans na wyrwanie się. On ją całuje, wsuwa język w usta. Chyba go gryzie, bo odrywa się od niej i łapie mocno za włosy, aż ta odchyła się do tyłu z grymasem bólu.

Słyszymy jej krzyki i doping z sali. Daniel szybko naciska guzik i wyłącza dźwięk. Znowu jest cisza. Tylko przez chwilę, bo nagle słyszymy otwierające się drzwi. Chowamy się w kąt, ale w tym samym momencie zdajemy sobie sprawę, że pod ścianą leży Błażej.

Do pokoju wchodzi Ksawery. Zamyka drzwi i podchodzi do barku. Dopiero wtedy widzi leżącego na podłodze człowieka i błyskawicznie się odwraca. Wtedy już dopada do niego Daniel i wali prosto w szczękę. Menedżer z impetem wpada na barek, z którego spada prawie całe szkło. Kolejny cios ląduje na brzuchu. Potem jeszcze jeden w twarz. Z nosa tryska krew. Jest złamany.

Kiedy Ksawery orientuje się, co się dzieje, ma już przystawioną lufę pistoletu do czoła.

– Zastrzelę cię jak psa, jak się ruszysz – mówi Daniel. Zamykam błyskawicznie drzwi, przez które wszedł, i przekręcam klucz.

Ksawery uśmiecha się ironicznie. Aż ja sam mam ochotę go dzielić. Wkurwia mnie jego pewność siebie.

– Co tam się dzieje? – pyta Daniel.

– Człowieku, jesteś za mały, żeby się z tym mierzyć – odpowiada, sycząc.

– To się okaże. Pytam jeszcze raz: co tam się dzieje?

– Nie widać? – Zerka na okno, w którym wszystko trwa. – Zabawa, panowie z kasą przyjechali się zabawić. To coś złego?

– Może wy się tak bawicie. My nie – wyręczam w odpowiedzi Daniela.

– To nie mój problem – mówi Ksawery, mierząc mnie wzrokiem. – Zapłacicie za to, wiecie o tym.  
– Być może. Najpierw płatność będzie po waszej stronie. – Daniel przyciska łufę do jego czoła. On zamyka oczy. Nie wiem, czy z bólu, czy z przerażenia.

– Kim jest ta dziewczyna w blaszaku? – zadaje kolejne pytanie Daniel.

– Nie mam pojęcia. Po prostu jest – odpowiada Ksawery, nie otwierając oczu. – Dostaliśmy ją.

– Od kogo?

– Chuj cię to obchodzi.

Nie wytrzymuję i walę go w brzuch. Zwija się wpół i krztusi. Osuwa się na podłogę i opiera o ścianę. Daniel kuca obok niego i tym razem łufę przystawia do skroni.

– Wy naprawdę nie wiecie, co robicie – mówi Ksawery, plując krwią. – Ja w tym wszystkim jestem nikim. Przyjdą więksi.

– Nie strasz – mityguje go spokojnie Daniel. – Nie z takimi sobie radziłem. Mów, od kogo dostałeś dziewczynę!

Ksawery się śmieje. Jest irytujący. Rozumiem teraz sytuację, w których ktoś komuś chce rozkwasić mordę, choć nie wiem, czy jeszcze tak się mówi – rozkwasić. Ale ja właśnie to mam ochotę mu teraz zrobić.

– Wojtek z Marysią?! Mów! – krzyczy znów Daniel. Zakrwawiony Ksawery już się nie uśmiecha. Jest zaskoczony tym, co usłyszał. Zaskakuje go nasza wiedza czy to, że pojawiają się akurat te imiona?

– Pedzio i stara barmanka? – mówi wreszcie kpiąco. – Niezły masz trop.

– Dwie kelnereczki? – pyta Daniel, cytując go ze sceny. – Dwie blondynki? Kto je miał przygotować?

Zastyga. Widać wyraźnie, że to kolejna informacja, która go zaskakuje. Zerka na mnie, potem na lustro weneckie. Chyba dopiero teraz dociera do niego, że sporo widzieliśmy. I nagle wyzwala się spod lufy pistoletu i wstając, uderza głową w klatkę piersiową Daniela. Ten upada na podłogę i wypuszcza glocka z ręki. Ksawery rzuca się w stronę drzwi, ale kiedy podstawię mu nogę, leci jak długi i uderza skronią o kłamkę. Opada na podłogę nieprzytomny. Z głowy cieknie krew. Wstrząsają nim drgawki.

Daniel podchodzi do niego z pistoletem. Dotyka palcami tętnicy jak w przypadku dziewczyny w blaszaku.

– Nie przeżyje tego, jak mu nie pomożemy – mówię.

– Nie mamy na to czasu. – Wstaje i patrzy przez weneckie lustro.

Przez tych kilka minut sprawy potoczyły się szybko. Felicita leży na dużym łożu na środku sali. Ręce przytrzymuje jej dwóch mężczyzn, dwóch innych trzyma nogi. Kolejny mężczyzna leży między jej udami i wbija się w nią raz za razem. Robi to kilka sekund, po czym zamienia się z kolegą po prawej.

Na scenie striptizerka na czworaka oddaje się kolejnemu człowiekowi z widowni. Ona akurat ma z tego przyjemność. Uśmiecha się. Felicita płacze. Już nie krzyczy, nie wrywa się. Podała się.

Powinno być jeszcze dwóch innych. Jednego dostrzegam w kącie. Patrzy na całą scenę na dużym łożu i się masturbuje. Drugi z pozostałej dwójki to Radek Miłosz. Stoi w kącie i robi zdjęcia. Nie telefonem. Trzyma w rękę solidny aparat fotograficzny. Przesuwa się z nim wzdłuż ściany i pstryka z każdej strony.

– Przydałaby nam się druga spluwa – mówi Daniel. – Z jedną nie damy rady.

– Co chcesz zrobić? – pytam.

– Wejść tam.

Zatrzymała się, kiedy nawigacja ją poinformowała, że dotarła do celu. Trochę zdziwiła się, gdy nieco wcześniej wjechała do wsi, która w najmniejszym stopniu nie przypominała miejscowości wypoczynkowej. Agroturystyka? Chyba nie. Mateusz mówił o hotelu.

– To już niedaleko – powiedziała nagle Magda. Po długim milczeniu były to jej pierwsze słowa. – Dlaczego się zatrzymujesz?

– Mateusz wskazał mi to miejsce – odparła Dorota, patrząc na dom stojący pod tym adresem. – Miałyśmy tu przyjechać.

Zarówno Agnieszka, jak i Magda spojrzały zdziwione na dom. Nie był efektowny. Był brzydki i niegustowny. Nie budził zaufania. Dlatego wysiadła tylko Dorota. Podeszła do furtki i nacisnęła przycisk dzwonka.

Z okna wychyliła się kobieta z krótkimi, kręconymi włosami.

– Dzień dobry! – krzyknęła Dorota w obawie, że może jej nie usłyszeć. – My do Zosi.

Domyśliła się, że owa pani w oknie to nie Zosia, o której pisał Mateusz. A nawet gdyby, miała prawo jej nie znać.

– Zosia! – krzyknęła kobieta, odwracając się w stronę wnętrza domu. – Wychył no się!

Po chwili piętro wyżej, właściwie już na poddaszu, otworzyło się małe okno i ukazała się twarz młodej dziewczyny. Podmuch wiatru, spowodowany otwarciem okna, wywiały jej włosy na zewnątrz. Wyglądała jak ktoś obcy, nie stąd. Te włosy tu jakoś nie pasowały.

– Słucham? – powiedziała.

– Przysłała nas Mateusz. – Dorota miała nadzieję, że to otworzy drzwi do tego domu. Nie zawiodła się. Zosia przeniosła jeszcze wzrok na samochód i krzyknęła:

– Wejdźcie!

Dorota podeszła do auta, otworzyła drzwi Magdzie i wyjęła klucz z stacyjki. Agnieszka wysiadła szybko. Drugiej pasażerce zajęło to trochę czasu, bo wahała się, czy chce opuścić ten azyl.

– Chodźcie! – zakomenderowała Dorota i ruszyła przodem. Otworzyła furtkę i poczekała, aż obie przez nią przejdą. Zanim doszły do domu, w jego wejściu stała już Zosia. Dorota skarciła się za pierwszą myśl, którą była zazdrość. Dlaczego Mateusz ma tak śliczną znajomą? – przyszło jej do głowy.

– Jestem dziewczyną Mateusza – nie wiedziała, dlaczego to powiedziała, ale chciała to zrobić.

– Dorota, tak? – zapytała Zosia.

Skinęła głową. Szła za nią i wgapiła się w jej włosy, długie, jasne, lekko poskręcane. I nawet nie zwróciła uwagi, że weszły do małego pokoju na poddaszu, które wyglądało jak jej enklawa.

Stały wszystkie naprzeciwko siebie i lustrowały się nawzajem wzrokiem.

– Znam cię – powiedziała nagle Magda, patrząc na Zosię. – Pamiętam cię. Pracujesz w hotelu.

Zrobiła dwa kroki w tył. Gdyby Agnieszka nie złapała ją za rękę, wyszłaby.

– Już nie pracuję – odrzekła Zosia. – I też cię pamiętam. Cieszę się, że pan Mateusz cię znalazł.

Dorota, zadowolona ze zwrotu „pan Mateusz”, oparła się o mały stolik stojący przy ścianie.

– To jest Magda i Agnieszka. – Wskazała na nie ręką, po czym spojrzała na zdumioną i wystraszoną całą sytuacją Agatę.

– Agata – przedstawiła ją Zosia, widząc pytający wzrok Doroty.

Nastąpiła chwila ciszy, podczas której przyglądały się sobie nawzajem. Nie były to wrogie spojrzenia, raczej badawcze, z coraz większą dozą pozytywu i zrozumienia. Chyba rozumiały, że są po tej samej stronie i że są tu z tego samego powodu.

– Zameldowałeś się – powiedziała Zosia do Magdy. – Ktoś kazał ten meldunek usunąć, a ja go zachowałam. Przepraszam. Stąd miałam twoje nazwisko.

Po raz pierwszy Dorota zobaczyła na twarzy Magdy uśmiech. Wprawdzie bardzo delikatny, ale jednak. Dlaczego nie uśmiechnęła się ani razu przy niej? Znow poczuła zazdrość.

– Chyba dobrze zrobiłaś. – Nawet głos Magdy zaczął brzmieć inaczej, przychylniej.

– Dlaczego pan Mateusz chciał, byście tutaj przyjechali? – zapytała Zosia.

– Myślę, że mamy tu czekać na jakiś sygnał. – Dorota mówiła to, patrząc na Agatę wciąż siedzącą na kanapie z kubkiem w rękę.

– Agata została znaleziona w lesie. Niewiele pamięta... – Zosia zawiesiła głos, widząc, jak na kanapie siada Magda i przysuwa się do Agaty.

– Ja pamiętam... – powiedziała. – Widziałam cię na tej sali. Nafaszerowali cię czymś. Byłaś przede mną, ale się dobrze broniłaś i mieli cię dosyć.

Agata wpatrywała się w nią ciepłym wzrokiem, jakby znalazła nagle towarzyszkę niedoli, która może ją uratować. Pozostałe dziewczyny zastygły i słuchały w skupieniu. Agata pokręciła przecząco głową.

– Nie pamiętam – stwierdziła, marszcząc czoło.

– Nie byłaś tam sama... ty uciekałaś, ona została. Wzięli ją, jak im ze mną nie wyszło, tak jak chcieli. Ale tamta była już tak odurzona, że nie stawiała żadnego oporu.

Słuchały tego z przerażeniem. Każda z nich miała już łzy w oczach. Zosia szlochała.

– Skąd się tam wzięłaś? – zapytała Dorota.

– Przywiózł mnie tutaj mój chłopak, tak go wtedy nazywałam – odrzekła – pod pretekstem spędzenia czasu w fajnym miejscu. A one – kiwnęła głową na Agatę – zostały tu sprowadzone jako kelnerki. Radek mówił, że z jakiegoś baru ze wsi.

– Baru Pod Konikiem – wtrąciła Zosia. – To jedyny taki lokal tutaj.

– Pojedźmy tam – rzuciła bez zastanowienia Dorota.

Wszystkie spojrzały na nią ze zdziwieniem.

– Jeśli dobrze kojarzę – powiedziała Zosia – to dziś w hotelu znowu może wydarzyć się to samo. W takim razie jeśli wszystko ma jakiś schemat, to w barze jest jakaś dziewczyna i czeka na swój los.

Dorota przytaknęła. Gotowa była do wyjścia.

– Wszystkie mamy jechać? – zapytała sensownie Agnieszka.

– Ja pojadę – rzuciła Magda, wstając i zbliżając się do drzwi.

Agnieszka nie była zadowolona, ale nie protestowała głośno. W pewnym sensie rozumiała przyjaciółkę. Zosia nie miała wątpliwości, że powinna iść, ale patrzyła na Agatę i jej wrodzona opiekuńczość brała górę nad adrenaliną.

– Pojedziemy z Magdą. – Dorota nie czekała na reakcję, tylko odwróciła się i wyszła. Magda nie ościągając się i podążyła zaraz za nią.

Przez podwórkę przeszły szybko. Nie zwrócili uwagi ani na matkę Zosi, ani na jej ojca, choć stali niedaleko i przyglądali się im.

Dorota była trochę zdziwiona szybką decyzją Magdy, nie tyle udania się do baru, ile towarzyszenia akurat jej. Podczas podróży nie wykazywała ani odrobiny sympatii. A teraz chce współpracować. Dlatego nawet idąc przed nią, dyskretnie zerkała, czy nadal ma ją za sobą.

Siadając za kierownicą, zdała sobie sprawę, że nie wie, gdzie szukać tego baru. Wpisała więc nazwę w nawigację telefonu i odczekała kilka sekund. Sześćset metrów do celu. Ruszyły. A kiedy tam podjechały, pomyślała, że to jednak nie był dobry pomysł. Żadnego planu, żadnego scenariusza, żadnych pomysłów, co mogą zastać w środku. I jak wtedy zareagować.

Przyszedł jej do głowy Szymon. Oczywiście jest już w drodze. Z chłopakami z kryminalnego.

Sprawdziła wiadomości. Żadnego sygnału. Nic. Ale na pewno jest w drodze. Wysłała mu lokalizację i schowała telefon do kieszeni spodni. Wysiadła powoli, rozglądając się wokół. Podeszła do drzwi i szarpnęła za klamkę. Zamknięte. Kątem oka zauważyła, że Magda zerka do środka przez okno.

– Byłaś tu? – zapytała Dorota, ciągle rozglądając się wokół.

– Nie. – Magda pokręciła głową. – My pojechaliliśmy bezpośrednio do hotelu.

– My?

– Ja i Radek Miłosz. Z nim tu przyjechałam – odpowiedziała Magda, idąc w stronę końca drewnianej ściany. Kiedy do niego dotarła, skręciła w lewo i zniknęła. Dorota szybkim krokiem podążyła za nią, żeby nie stracić jej z oczu. Zobaczyła ją idącą wzdłuż budynku z podniesioną głową, szukającą okna bądź drzwi. Czegokolwiek.

Dorota przyspieszyła, by do niej dołączyć, być blisko. Kiedy już stanęła za nią, usłyszała, jak ciężko oddycha. Udzieliło jej się to i jej oddech również stał się niespokojny.

Stawiając kolejne kroki, bardzo ostrożnie dotarły wreszcie do jakichś drzwi. Zablokowane były jednak potężną skrzynią przypominającą zamrażarkę, co kazało im zrezygnować z ich sforsowania. Magda jedynie kopnęła w to pudło, próbując sprawdzić, czy jest jakokolwiek szansa, by je przesunąć. I wtedy obie usłyszały cichy jęk, coś jakby stękanie. Zastygły i zaczęły nasłuchiwać. Stękanie nadal było ciche, mimo że włożono w nie mnóstwo wysiłku.

– To kobieta – szepnęła Dorota.

Magda wskoczyła na zamrażarkę i chwyciła za skrzydło drzwi. Próbowwała je odchylić, żeby zajrzeć do środka. Udało się tylko o kilka centymetrów, ale to wystarczyło, by zlustrować wnętrze. W pierwszej chwili nie udało się jej czegokolwiek dostrzec, ale kiedy wystrzyła wzrok, zobaczyła siedzącą na podłodze kobietę z taśmą na ustach i skrepowanymi nogami. Ręce miała związane za pionową belką, o którą się opierała.

– Trzeba tam wejść – powiedziała, zeskakując ze skrzyni.

– Kto tam jest?

– Jakaś kobieta, związana i zakneblowana.

Pobiegly w stronę frontu domu. Tylko tam widziały okno, przez które mogłyby wejść do środka. Magda podniosła z ziemi kamień wielkości piłeczki tenisowej i mocno rzuciła, rozbijając obie szyby podwójnego okna na kawałki. Wspięła się na parapet i ostrożnie wsunęła dłoń między sterzące ostrza szluczonego szkła. Skąd ona wiedziała, że tak trzeba? – pomyślała Dorota. Była w samochodzie taka spokojna, cicha, małomówna. Teraz tryska energią i chęcią działania. Od kiedy zobaczyła Agatę, stała się wulkanem, takim bez strachu, że jego lawa rozleje się nie tam, gdzie trzeba.

Okno się otworzyło, kiedy Magda przekreśliła klamkę w ramie okna. Bez wahania wskoczyła do środka. Tymczasem Dorocie serce skoczyło do gardła. Nigdy takich rzeczy nie robiła. Nigdy nigdzie się nie włamała. Nigdy niczego nie ukradła. Nigdy nie zrobiła niczego niezgodnego z prawem, oczywiście poza jazdą z nadmierną prędkością. Rozejrzała się jeszcze raz wokół i weszła na parapet. Wskoczyła do środka, kiedy Magda była już przy barze. Stała tam chwilę, jakby chciała coś zamówić. Ale ona jedynie czekała na Dorotę.

W wejściu na zaplecze stanęły razem. Zatrzymał je widok kobiety, którą wcześniej usłyszały, a Magda zobaczyła przez szparę między drzwiami a framugą. Przestraszyły się tego widoku. Wprawdzie nic nie wskazywało na to, że coś jej jest, ale samo związanie jej i zakneblowanie oraz wszystko, co dotyczyło ich przyjazdu tutaj – przerażało. Niczego nie mogły być pewne, ale Magda ruszyła w stronę kobiety. Jednak po drugim kroku padła na podłogę jak długa.

Zaraz potem coś dużego i przerażającego runęło na nią, przyciskając do podłogi. Dopiero po chwili Dorota się zorientowała, że na plecach Magdy gnieździ się kolano mężczyzny. Dociskał ją mocno, bo dziewczyna wydała z siebie jęk bólu. Jedną ręką trzymał ją za kark, drugą nagle skierował w stronę Doroty. Kobieta dostrzegła w niej pistolet.

– Ani piśnij! – wycedził przez zęby. – Obie bądźcie grzeczne, to nic się nie stanie.

Obie więc się nie ruszyły i nie pisnęły. Wręcz zamieniły się w kamienie.

– Chyba nic się nie stanie – dodał mężczyzna. Za nim leżały strzępy sznura i taśmy. Wyglądało na to, jakby się z tego właśnie uwolnił. – Rozwiąż ją! – powiedział do Magdy, zdejmując kolano z jej pleców. Podniosła się z trudem i przysunęła do skrepowanej kobiety. Mężczyzna zaś wstał i podszedł do Doroty. Chwycił ją za rękę i popchnął w stronę baru.

– Oprzyj się o blat! – powiedział. Zrobiła to. – Nogi szeroko.

Zaczęła płakać. Cicho, tak dla siebie. Z przerażenia, rozpacz, z tęsknoty.

Kucnął, ciągle mierząc do niej z broni. Poczula, że dotyka jej kostek. Niezdarnie, bez jakiegokolwiek delikatności, wręcz brutalnie. Chwilę później zrozumiała dłaczenie. Przypiął ją kajdankami do nóg blatu. To dlatego kazał jej rozstawić nogi. By łatwiej można było ją skuć.

Gdy już to zrobił, przywiązał jej ręce do nalewaka. Zrobił to tak mocno, że aż jęknęła z bólu. Potem wrócił na zaplecze, gdzie postawił na nogi wcześniej skrepowaną kobietę. Magdę przyprowadził do baru i posadził przy stole. Usiadł naprzeciwko niej i położył pistolet na blacie.

– Co tu robicie? – zapytał.

Milczała. A milczenie w samochodzie wychodziło jej dobrze, więc Dorota nie spodziewała się po niej żadnej odpowiedzi.

– Przyszłyście napić się piwa? – indagował ironicznie. – Zawsze wchodzicie do baru od tyłu albo wybijając okno?

Nadal cisza. Dorota opuściła głowę, bo nawet tych kilka minut stania w rozkroku w towarzystwie strachu kosztowało ją sporo sił. Wciąż oczy miała we łzach, krople spływały jej też po policzkach. Magda znosiła to lepiej. Na jej twarzy można było zauważyć raczej wściekłość niż strach. Jej usta wyglądały, jakby zamknęła je wirtualną kłódką.

– Zrobimy inaczej – powiedział mężczyzna, wstając. Przeszedł za bar i stanął za Dorotą. Ta otworzyła szeroko oczy, kiedy poczuła chłodną lufę pistoletu przystawioną do skroni. Zamarła. – Ty mi powiesz prawdę, co tu robicie i od kogo jesteście, a ja nie strzelę w je łeb.

Magda nawet nie drgnęła. Dorota patrzyła na nią błagalnym wzrokiem, ale przecież wiedziała, że ledwie się znaję. Nie może spodziewać się ratunku za wszelką cenę.



Z zaplecza wyszła kobieta. Wyjęła z lodówki butelkę piwa i usiadła przy stole obok Magdy. Chwyła jej dłoń i położyła na stole. W rękę trzymała nóż. Nagle podniosła go i z całą siłą opuściła na blat. Ostrze wbiło się w niego z impetem. Magda krzyknęła, próbując jednocześnie wyrwać dłoń z uścisku.

– Następnym razem będzie w sam środek – oznajmiła kobieta, odsłaniając nóż. Tkwił w drewnianym blacie między środkowym palcem a serdecznym.

W tym samym momencie rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Magda nie mogła się odwrócić, ale Dorota widziała, że do środka wskoczyło dwóch wysokich mężczyzn z wycelowaną w nią bronią. Dopiero po chwili domyśliła się, że nie celują w nią, tylko w mężczyznę, który trzymał spłuwę przy jej skroni.

– Wiesz co masz zrobić?! – krzyknął jeden z nich. Drugi trzymał już na muszce kobietę. Tyle że ona przyłożyła nóż do szyi Magdy.

– Nie radzę – ostrzegł ją ten drugi. – Taki szantaż niczego dobrego nie przyniesie.

Mówił to spokojnym głosem. Z dziwną dozą pewności, że przesłanie do niej dotrze. Chyba nie dotarło, bo kobieta chwyciła Magdę mocniej.

– Możemy tak się teraz trzymać długi czas i nikt nie odpuści. Tego chcecie? – zapytał pierwszy, ten w białym T-shircie i czarnej kamizelce. Drugi ubrany był w czarną bluzę z długimi rękawami, miał szersze ramiona. Sprawiał wrażenie bardziej niebezpiecznego.

A kiedy na zapleczu rozległ się huk, wydawało się, że nikt z całej szóstki nie zwrócił na niego uwagi. Dorota poczuła jedynie, że mężczyzna nie trzyma jej już tak mocno. Wydukała, że robi wszystko, by spojrzeć w tył. I w końcu zrobił to, kiedy znów dobiegł hałas z zaplecza.

Ten w czarnej kamizelce trafił go w bark. Mężczyznę siła uderzenia kuli odwróciła błyskawicznie w stronę zaplecza, ale stamtąd padł drugi strzał. Trafiony w udo padł na podłogę, między stoły.

Kobieta, która trzymała Magdę, błyskawicznie od niej odskoczyła i stanęła przy oknie z rękami uniesionymi w górę. Odrzuciła też nóż. Podała się przestraszona.

Mężczyzna jednak nie chciał się poddać. Mimo bólu w przestrzelonym udzie wstał i odwrócił się do Magdy.

– Wiem, że tu byłaś – powiedział z trudem. – Pamiętam cię. Trzeba było tu nie wracać.

Podniósł dłoń z pistoletem i wycelował w Magdę. Sekundę później kula rozerwała mu czoło i wyleciała z drugiej strony głowy. Padł martwy na drewnianą podłogę, zalewając ją krwią.

– Kurwa mać! – dobiegł głos z zaplecza. – Miał przeżyć.

– Szymon – wyszeptała Dorota z ulgą.

– Tak, to ja. – Wreszcie wyszedł z tamtego pomieszczenia, chowając broń za pasek.

Po drugiej stronie lokalu ktoś walił w drewniane drzwi. Dziwne, mniejsze niż zwykle. Jeden z partnerów Szymona podeszedł do nich z odbezpieczoną bronią.

– Odejsz od drzwi! – krzyknął i sprawdził, czy koledzy są gotowi do strzału. Kiedy za drzwiami zapanowała cisza, strzelił w zamek. Magda w tym czasie podeszła do Doroty i stanęła za nią, próbując uwolnić ją z więzów przy nalewaku. Trzęsły jej się ręce, więc robiła to nieporadnie i nieskutecznie.

Drzwi się otworzyły. Przez kilka sekund nikt się w nich nie pojawił, aż w końcu stanęła w nich blondynka z kręconymi włosami. Zza niej wyglądała druga blondynka, tym razem z prostymi włosami. Krzyknęły, kiedy zobaczyły zakrwawionego trupa. Usiadły przy ostatnim w lokalu stole i objęły się w pół, chcąc dodać sobie nawzajem otuchy.

– Panowie – powiedział Szymon, który kucnął przed chwilą przy zastrzelonym mężczyźnie. – Popatrzcie na niego i powiedzcie mi, czy mam rację, czy mi jedynie odpiardoliło.

Obydwaj jego koledzy stwierdzili najwyraźniej, że dwie blondynki nie są żadnym zagrożeniem, bo zostawili je bez nadzoru i podeszli do trupa.

– Wiecie, kto to jest? – zapytał Szymon.

Przyjrzeni się. Ten w czarnej bluzie naciągnął mu sweter na twarz i stał wciąż rozlewającą się po niej krew.

– O kurwa! – zaklął. – Nie wierzę. Damian, zobacz.

Damian, czyli mężczyzna w białym T-shircie, nachylił się nad zwłokami.

– Ja pierdołę! To niemożliwe. Jak długo go szukamy?

– Będzie z piętnaście lat – odrzekł Szymon. Podeszedł do Doroty i otworzył kajdanki, które były zatrzaśnięte na jej kostkach. Magdę zapytał, czy wszystko w porządku. Pokiwała głową, że tak.

– Marek, skuj ją! – polecił mężczyźnie w czarnej bluzie. Ten jednak pokazał mu, że już to zrobił.

– Skąd się tu wzięłyście, dziewczyny? – zapytał przerażoną blondynkę.

Nie uzyskał odpowiedzi. Usłyszał za to szloch przechodzący w wycie.

– Cisza! – krzyknął Marek. – Posłuchajcie, wydaje mi się, że nie mamy czasu się teraz wami zajmować, ale sprowadzimy pomoc. Dobra?

Pokiwały głowami.

– To teraz do hotelu? – zapytał Szymon, patrząc na Dorotę.

– Chyba tak, ale ja naprawdę nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi.

– Ja się domyślam, ale się przekonamy. – Szymon był nad wyraz spokojny. – Damian, zostaniesz tu? Pilnuj dziewczyn i sprowadź kogo trzeba.

Mówił to, idąc w stronę wyjścia. Dorota i Magda szły za nim. A za nimi także Marek, ogarniając jeszcze wzrokiem cały lokal.

– Wy chyba nie powinniście tam iść – stwierdził Szymon. – Zbędny balast.

– Idziemy – oznajmiła zdecydowanie Dorota. – Tam jest mój chłopak. A Magda może kogoś rozpoznać. Jest ofiarą.

Szymon spojrział na nią badawczo. Potem na Magdę.

– Jesteś gotowa? – spytał.

– Tak – odpowiedziała bez zastanowienia.

Marek z łatwością otworzył drzwi. Były ciężkie, ale poradził sobie z nimi, jakby zrobiono je z plastiku.

– Szymon! – Dorota chwyciła go za ramię. – Kto to był?

Odetchnęli świeżym powietrzem. Na parkingu stał samochód Doroty i jeszcze jeden, duży granatowy land rover z dużymi kołami i reflektorami na dachu.

– Igor Wanacki. Swego czasu największy na południu handlarz dziewczynami ze Wschodu. Miał też na koncie sporo trupów. Zniknął nam w pewnym momencie i nie wiedzieliśmy, gdzie jest. No to właśnie się dowiedzieliśmy, gdzie był.

Marek usiadł za kierownicą, Szymon obok. Dorota i Magda usadowiły się z tyłu, po cichu, grzecznie. Jakby od początku było jasne, kto jakie zajmuje w tej czwórce miejsce.

Daniel otwiera powoli drzwi. Daje mi sygnał, że mam iść za nim, bo jest bezpiecznie. Spoglądam jeszcze na to okno, które jest lustrem weneckim. Potem na dwa ciała, jedno nieprzytomne Błażeja i drugie prawie martwe Ksawerego. Przechodzi mnie dreszcz i nawet lekko mną wstrząsa.

Idę za Danielem. Po wyjściu z tego pseudobiura trafiamy na coś, co można nazwać przedsionkiem. I chyba poznaję to miejsce. Widziałem je, kiedy śledziłem Błażeja i wpadłem tu pierwszy raz. Jest krata i są pozostałe ściany, które zawierają w sobie drzwi. Jest gałka w jednych z nich, jest i zasuwą w tych drugich.

Daniel przysuwa się do tych pierwszych i nasłuchuje. Pokazuje palcem wskazującym i potakuje głową. Rozumiem, że to za tymi drzwiami odbywa się orgia. Czy coś się dzieje za tymi drugimi z zasuwą? Podchodzę do nich i próbuję się z nią uporać. Jest lekko zardzewiała, ale w końcu się udaje. Ostatnią przeszkodą chyba jest już tylko gałka.

Wzrokiem porozumiewam się z Danielem. Wiemy obaj, że będzie nam trudno powstrzymać to, co się dzieje w środku. Chyba że Daniel zacznie strzelać i rozpierdoli wszystkim łby.

Drzwi się otwierają. Te, za którymi trwa impreza. Przez chwilę nawet słychać dziwną muzykę i okrzyki. Brzęk szkła.

W wejściu pojawia się jeden z tych mężczyzn. Rozpięta biała koszula, spodnie tylko przytrzymane paskiem, widać bieliznę. Nie wiem, który to z nich, ale z pewnością jest czynnym uczestnikiem zabawy. Być może nawet przed chwilą był między udami dziewczyny. Niedobrze mi.

Daniel kopie drzwi, żeby się szybko zamknęły, łapie mężczyznę za szyję i uderza nim o ścianę. Nie zdążył nawet zareagować ani zablokować ciosu łokciem w szczękę. Osuwa się po ścianie na podłogę.

– Trzymaj drzwi! – mówi do mnie Daniel, więc stoję gdzie trzeba i blokuję je swoim ciałem. On z kolei wciąga nieprzytomnego grubasa do biura i zamyka je. Na myśl o trzech nieprzytomnych facetach za drzwiami tego pomieszczenia robi mi się jeszcze bardziej niedobrze. Zaraz rzygnę.

Daniel podchodzi do drugich drzwi. Tych z zasuwą. Łapie za gałkę i ją przekręca. Ja na wszelki wypadek ciągle blokuję to drugie wejście. Kiedy jednak Daniel wchodzi do tamtego pomieszczenia, idę za nim. Jest ciemno, ale znajduję kontakt tuż przy wejściu. Gdy zapalam, nieruchomię. Na materacu rzuconym na podłogę leży Alicja. Ma związane ręce i nogi. Podbiegamy z Danielem jednocześnie. W oczy rzucają się ślady krwi na czole i dolnej wardze. Płacze. Cicho, bezdźwięcznie, ale płacze.

Daniel nożem przecina więzy i uwalnia jej ręce i nogi. Alicja rzuca mu się na szyję, ciągle płacząc.

– Chcę stąd wyjść – mówi przez łzy.

– Na razie to nie jest dobry moment – odpowiada Daniel beztłoniście. – Musimy trochę poczekać i coś załatwić. Kto cię tu zamknął?

– Ksawery... Powiedział, że czeka mnie dziś zabawa.

– Uderzył cię?

– Nie wiem. Chyba wtedy, jak straciłam przytomność przy tym garażu. Nie wiem, jak się tu znalazłam.

Daniel pogłaska ją po głowie i kciukiem dotknął zranionej wargi. Chyba poczuła ból, bo szybko odsunęła głowę.

– Uderzył mnie ten drugi.

– Jaki drugi?

– Radek Miłosz – odpowiada, patrząc na mnie. – Kłócili się. Miłosz się wściekł, kiedy mnie zobaczył. Powiedział do Ksawerego: „Rozpierdaldasz nam cały system”.

Patrzę na Daniela, on na mnie. Ciekaw jestem, czy czyta w moich myślach, jak bardzo wdepnęliśmy w gówno. Choć może on tak nie myśli. Od kiedy go znam, przesładuje mnie myśl, że czuje się w tym wszystkim jak ryba w wodzie. Jebać to! To nie jest teraz najważniejsze.

– O nic się nie martw, nic ci nie grozi – mówi Daniel, kładąc rękę na jej ramieniu. Na pewno czuje jej drżenie, bo ja je nawet widzę z odległości tych dwóch metrów, w jakiej od niej stoję.

– Może jeśli ta krata tutaj jest otwarta, to uda mi się Alicję stąd wyprowadzić? – odzywam się nagle z iskierką nadziei w głosie.

– Sprawdź! – rzuca komendę Daniel.

Wychodzę ostrożnie z tego pomieszczenia, upewniając się najpierw, czy jest bezpiecznie. Krata jest zamknięta na solidną kłódkę. Szarpnięcie nic nie daje. Wracam.

– Odstrzelisz ją? – pytam Daniela.

– Będzie za głośno – odpowiada i trudno mu odmówić racji. – Mam inny pomysł.

Wstaje i zdejmuję ze ściany dwa płaskie klucze do odkręcania śrub. Podchodzę do kłódki i wsuwa rogiem w jej oczko. Gwałtownie szarpie. Raz, drugi. Odsuwa się i pokazuje mi pękniętą kłódkę.

– Chodź! – mówię do Alicji, która błyskawicznie wstaje i w pośpiechu opuszcza pomieszczenie. Zdejmuję resztki kłódki i otwieram kratę. Muszę ją wyprowadzić na korytarz, potem już trafi do swojego pokoju.

– Poczekasz na nas u siebie – polecam, kiedy idziemy powoli po schodach. Podtrzymuję ją, bo mam wrażenie, że jest trochę osłabiona po tym, co przeszła.

Ostatni stopień to już jej westchnienie ulgi. U mnie nadal jednak stres, bo zaraz wracam do Daniela. Zostawię ją tylko na tym korytarzu. Tylko tu będzie bezpieczna. Jeszcze dwa metry i skręcimy w prawo. Tam już będzie spokój. Tam już nikt jej nic nie zrobi.

Ale kiedy wychodzimy na korytarz, nadzieja na spokój pryska. Musimy się zatrzymać. I lepiej się w ogóle nie ruszać. Nie jestem zadowolony z tej sytuacji. Po raz kolejny ktoś do mnie mierzy. Przerazenie miesza się z wkurwieniem. I z pytaniem: „na co mi to wszystko?”. O ile wtedy, kiedy w barze mierzył do mnie Wojtek, trudno było mi uwierzyć w to, co się dzieje, i czułem się, jakbym grał w kiepskim filmie sensacyjnym, o tyle teraz wszystko jest bardziej realne. I wiem, że odstrzelenie kogoś takiego jak ja czy Alicja leży w interesie tych ludzi, którzy tu dzielą i rządzą.

Naprzeciwno nas stoi Jan Moneta z wycelowanym w nas sztucerem. Trudno mi z całkowitą precyzją określić, czy ma na muszce mnie, czy Alicję, ale zakładam, że to ja jestem celem. Znowu mi niedobrze.

– Co tu się dzieje? – pyta.

– Na moje oko mierzy pan do nas z dubeltówki – odpowiadam złośliwie, ale przestaje mi już zależeć na konwenansach.

– Myślę, że dokładnie wie pan, o co pytam. – Zadziwia mnie spokój w jego głosie. – Gdzie jest Ksawery?

– Nie wiem.

– Może pani wie? – Delikatnie przesuwa lufę w jej stronę. Alicja kiwa przecząco głową. Robi to nerwowo i przerażająco.

– Kurwa! – klnie Moneta pod nosem. – Nie mogliście po prostu zająć się sobą? Korzystać z baru, leżeć na tarasie, łączyć po górach? Musieliście tu grzebać? Kurwa!

Pierwszy raz widzę u niego złą energię. Złość, irytację. Do tej pory miałem w głowie obraz Monety jako człowieka spokojnego, optymistycznego, trochę flegmatycznego. Teraz widzę przed sobą kogoś innego. Kogoś, kto za chwilę strzeli. I pada strzał.

Ale nie z jego broni. Jego sztucer pada z trzaskiem na podłogę, a Moneta łapie się za bark, na którym go opierał. Odwraca się i patrzy w tym samym kierunku co my. Zza ściany wychyla się mężczyzna w wełnianej czapce na głowie i beżowej koszulce. Przed sobą trzyma pistolet i mierzy we właściciela hotelu. Jest jeszcze drugi człowiek z bronią. Podbiega do Monety, łapie go za przedramię i przyciska do ściany. Każe mu siadać na podłodze i milczeć. Szybko i sprawnie zakłada mu kajdanki i przykuwa do kaloryfera.

– Mateusz? – Ten pierwszy podchodzi do mnie. Kiwam głową i wzrokiem zadaję pytanie, kim jest.

– Szymon, kolega Doroty – odpowiada na nie szybko i nie patrząc na mnie. Obserwuje korytarz. – Co się dzieje?

– Po schodach w dół – mówię. – Za kratą jest troje drzwi. W tych pośrodku... ośmiu, choć chyba już teraz siedmiu, facetów... Idźcie tam.

Idą. Skradają się przy ścianie aż do miejsca, w którym znikają za nią i zapewne wchodzą na schody. Jestem spokojniejszy. Odruch wymiotny znika. Wszystko będzie dobrze. Dorota spisała się na medal. I wtedy przypominam sobie, że oni nie wiedzą nic o Danielu. Zaraz się na niego natkną. Puszczam Alicję i pędzę korytarzem do schodów. Zbiegam szybko po nich i kiedy mijam kratę, widzę tych dwóch osiłek trzymających na muszce Daniela. Ten stoi z rękami uniesionymi w górę.

– Stop! – niemal krzyczę. – On jest z nami. Działamy razem.

Szymon opuszcza broń. Ten drugi robi to samo.

– Masz kławkę?

– Mam – odpowiada Daniel i sięga do tyłu za pasek.

– Idziemy! – rzuca komendę Szymon. – Ty lepiej zostań – zwraca się do mnie.

Daniel najwyraźniej podziela jego zdanie, bo nie protestuje.

– A ty uważaj – Szymon znów mówi do Daniela. – To poważna sprawa. Wiemy, kto to organizował. Jeśli tam są jego ludzie, może być jatka.

To przekonujący powód, by zostać. Nie zamierzam się sprzeciwiać. Poczekam tutaj, może wrócę do Alicji i Monety.

– Dorota jest w samochodzie – słyszę słowa Szymona i wali mi serce. Poniekąd z radości, ale też ze strachu o nią. Zostawił ją w samochodzie?

Staję przy kracie. Jeszcze chwilę się waham, czy czekać, aż wejdą. Potem zatrzymuję się jeszcze raz w połowie schodów. Dokładnie wtedy, kiedy słyszę, jak głośno wpadają do tamtego pomieszczenia.

– Na ziemię!

– Rzuć to, kurwa!

– Nie słyszysz, co mówię?! Rzuć to, kurwa!

Strzał. Jeden, potem drugi. Znowu mi niedobrze. Nie wiem, co robić. Jeśli jest źle, to i tak nie pomogę. Jeśli jest dobrze, to już jestem niepotrzebny.

Drzwi się otwierają. Tyłem wychodzi Daniel. Zamyka je, odwraca się, mija kratę i dopiero na schodach dostrzega mnie. Zatrzymuje się.

– Zawodowcy – mówi.

– Kto?

– Ci dwaj. Załatwili ich właściwie sami. Beze mnie też daliby radę. Dwóch nie żyje, bo wyciągnęli sploty. Jeden ranny. Reszta trzęsie portkami i się nie ruszy.

– Gdzie idziesz? – pytam.

– Co?

– Pytam, gdzie idziesz.

Odwraca się w stronę drzwi, potem patrzy na mnie.

– Wezwali ludzi, muszę spierdalać.

– Dokąd pójdziesz?

Rusza, mija mnie, lekko trącając ramieniem.

– Dam sobie radę. – Przystaje jeszcze i odwraca się do mnie. – Dzięki, dobry byłś.

Klepie mnie po ramieniu i przybija ze mną piątkę. Nasze dłonie mocno się zaciskają. Kiedy puszcza ją, Daniel energicznie pokonuje ostatnie stopnie schodów i znika w korytarzu.

Idę sprawdzić, co się dzieje. Otwieram drzwi. Przewrócone stoliki. Pod ścianą siedzą rozebrani mężczyźni z wywalonymi brzuchami i fiutami na wierzchu. Na scenie zakrawione zwłoki jednego, przy dużym łóżku ciała drugiego. Przy drzwiach siedzi ktoś, trzymając się za rękę. To Radek Miłośz. Nie chcę, by mnie widział, więc się odwracam tyłem.

Szymon siedzi na łóżku i rozmawia z młodą piosenkarką. Ona zasłania się prześcieradłem, choć wygląda, jakby jej było wszystko jedno. Na łóżku na scenie siedzi i płacze ta druga kobieta, striptizerka, która w zabawie uczestniczyła chętnie i zapewne w ramach obowiązków zawodowych. Kompan Szymona pilnuje wszystkich, żeby nie narobili głupot. Z odbezpieczoną bronią.

Pobojowisko. Nie chcę tu być. To nie mój świat.

Podchodzi do mnie kompan Szymona.

– Zaraz przyjadą tu ludzie z brygady. Karetka też powinna być lada chwila – mówi, nie patrząc na mnie. – Działamy.

Jak oszołomiony wychodzę z tego obrzydliwego lokalu. Powoli wspinam się po kolejnych stopniach schodów. Na korytarzu widzę tylko Monetę opartego o ścianę i z głową między kolanami. Chuj zła-many.

Podnosi głowę, kiedy jestem obok.

– Nigdy nie lubiłem dziennikarzy. Żule jebane – mówi, uśmiechając się.

– Słusznie. – Nie zatrzymuję się, ale po kilku krokach wracam i staję przed nim. – Spierdoliłeś mi wakacje, na które zasłużyłem. – I kopię go z całej siły w nogę.

Nie kopie się leżącego? A chuj mu w dupę.

Wychodzę z hotelu i rozglądam się za jakimś samochodem, w którym może być Dorota. Jej auta na pewno tu nie ma.

I widzę ją, jak wysiada z potężnego land rovera. Wręcz zeskakuje z wysoko osadzonego auta i biegnie w moją stronę. Piękna czarnula. Rzuca mi się na szyję i mocno ściska. Dobrze jest czuć ją znowu w ramionach. Czuć, jak wisi na mnie, obejmując nogami. Nie chcę jej puszczać, więc siadam na ławce i trzymam dalek.

Z auta wysiada ktoś jeszcze. Druga dziewczyna. Znam jej twarz. Wiem, kto to. Podchodzi do nas, próbując się uśmiechnąć, ale chyba nie przychodzi jej to łatwo. Wyciąga do mnie dłoń.

– Magda Palecka.

Ściskam tę dłoń, nie mówiąc nic. Sytuacja mnie przytłacza. Przytłacza na tyle mocno, że dopiero teraz dociera do mnie brak Alicji na korytarzu.

– Idźcie do pokoju numer siedem – mówię do Doroty, wsuwając jej w dłoń moją kartę wejściową. Sam biegnę z powrotem do hotelu. Jeszcze raz sprawdzam korytarz. Nie ma jej. W kilka minut jestem na piętrze przed drzwiami jej pokoju. Drzwi są otwarte.

Alicja siedzi na łóżku oparta na łokciach.

– Daniel mnie przyprowadził – mówi smutno.

Rozglądam się po pokoju, patrzę na drzwi łazienki. Nie ma go.

– Gdzie on jest? – pytam.

– Mówił, że musi uciekać, że nic o nim nie wiemy. – Uśmiecha się ze smutkiem. – Potem wyskoczył przez okno z korytarza z tyłu budynku. Przez chwilę tylko widziałam, jak biegnie tą swoją polaną. Potem zniknął w ciemnościach.

Na zewnątrz coraz głośniejsze. Widać też migające granatowo-czerwone światła. Podchodzimy do okna. Trzy duże samochody policyjne zatarasowały podjazd pod hotel. Przy blaszaku zatrzymała się karetka pogotowia i widać, jak do środka wchodzi białe kitle.

Do policyjnej sukii wprowadzany jest Moneta, potem kolejni skuci i wreszcie też Miłosz. Niedaleko stoi Magda Palecka. Przez chwilę patrzą na siebie, następnie ona się odwraca, a on znika w samochodzie.

Zaraz potem wynoszone są trzy ciała w czarnych workach. Chyba poczekają na swoją kolej. Przy blaszaku nosze, na których leży dziewczyna przykryta białym płótnem. Pochyla się nad nią człowiek w kitlu i kładzie dłoń na włosach. Chyba będzie dobrze.

Cisza i spokój. Przede wszystkim w mojej głowie. Otwieram oczy po kilku godzinach snu i mam to, co chciałem. Jestem nagi i bardzo dokładnie czuję ciepło ciała Doroty.

Wydarzenia ostatniej doby jawią mi się jak zły sen, ale z w miarę pozytywnym zakończeniem. W miarę, bo stan Janki jest bardzo ciężki. Długo będzie dochodzić do siebie.

Patrzę teraz w sufit i przypominam sobie rozmowę z Szymonem.

– Szukaliśmy go latami – mówił – ale zniknął tak skutecznie, że w końcu nawet policja odpuściła. Nikomu do głowy nie przyszło, że Igor Wanacki zrezygnuje z wygód życia, by żyć na takim odludziu.

– Świetny aktor – dopowiadam. – Grał skromnego, trochę wystraszonego tubylca, a tymczasem mafioso.

– Świetnie się tu ustawił. Wszyscy byli na jego zawołanie, nawet nie wiedząc, że służą jakiemuś Wojtkowi. Wiedziała tylko ta Marysia z baru. Dziwne to wszystko.

– Skąd wiedziała?

– Musiał kogoś wtajemniczyć, padło na nią.

– I gdzie ona teraz jest?

– Zabraliśmy ją. W ogóle to nieźle źniwo. Tu nie mają takiego aresztu. Musimy ich wywieźć do Krakowa.

– Tak chyba lepiej.

– Lepiej, bo tu wszyscy byli w to zaangażowani. Na tej imprezie był tutejszy komendant policji. A bywał nawet ksiądz.

– Ten ksiądz stąd? Z tego kościoła?

– Tak. I tu ludzie wiedzieli, że on celibatu nie zachowuje.

– Skąd to wiesz?

– Popytałem już, kogo trzeba. No i pani Zosia przyjechała. Dużo wie. I przywiozła jakąś dziewczynę, która będzie zeznawać.

Po godzinie na placu przed hotelem było już pusto. Rozmowa między nami się nie kleiła. Wszyscy byliśmy zmęczeni. Magdę i Agnieszkę umieszczono w jednym z wolnych pokoi. Alicja została sama u siebie.

Jest jedenasta. Nikt już nie poda nam śniadania. Ale to nic. Nie ruszę się teraz i tak, żeby jej nie budzić.

Dzwoni telefon.

– Gdzie jesteś? – pytam, kiedy słyszę, że to Daniel.

– Szwendam się – odpowiada. – Muszę się stąd wynieść. Spakowałem, co miałem w chacie.

– I co zrobisz?

– Wracam do Warszawy.

– Nie wiedziałem, że tam mieszkasz.

– Nie mieszkam. Uciekłem stamtąd.

– Dlaczego?

– Opowiem ci kiedyś.

Uśmiecham się do myśli, że się jeszcze spotkamy. Trudno w to uwierzyć, ale myśl przyjemna. I to, że chce mi opowiedzieć.

– Zabiorę się z Alicją, już z nią rozmawiałem.

– Mógłbyś też z nami.

– Z Alicją może być sympatyczniej. – Śmieje się.

Rozumiem jego wybór.

– Kim ty jesteś, Daniel?

– Drwałem – odpowiada. – Nie, nie jestem drwałem. Byłem nim tutaj. Ale to była przykrywka. Wojtek ją wymyślił, żeby mieć nade mną kontrolę.

– I miał?

– Trochę miał. Dałem się wkręcić jak dzieciak.

– Nauczka?

– Nauczka.

Wisimy tak chwilę w ciszy na telefonie. Nie wiem, co powiedzieć. On też nie wie, to słyhać. Ale lubimy się. Szanujemy. Może nawet podziwiamy. Dobrze mi z tym.

– To jak? Do zobaczenia w Warszawie? – mówi Daniel, wyraźnie się żegnając.

– Tak, do zobaczenia. – Odkładam telefon i całuję Dorotę w czoło, bo się budzi i zaczyna wiercić. I mruzczy. I ociera się tym swoim szczupłym i gorącym ciałem.

– A czy ty wiesz, Mateusz – mruzczy prawie przez sen – że te dziewczyny dostawały prezenty?

– Jakie? – pytam zaciekawiony.

– Naszyjniki z bursztynem. Magda wiozła go tutaj w kieszeni. Powiedziała mi o tym, jak siedzieliśmy w samochodzie tych policjantów.

Jak w jakimś filmie o psychopatycznym mordercy. Zostawianie śladów, by sprawa była jeszcze bardziej zagadkowa. W myślach kręcę głową z niedowierzaniem. Jak to się stało, że w tym wszystkim uczestniczyłem?

– A Agata im uciekła – mówi dalej Dorota. – Dlatego ktoś do niej strzelał. Odzyskuje pamięć.

Przyciskam ją mocniej do siebie. Cieszę się, że jest, że przyjechała, że znalazła Palecką i ją przywiozła. Ona obejmuje mnie ramieniem i dotyka zarośniętego policzka.

Uśmiecham się do jednej myśli. Że już nie muszę odpocząć. Ja właśnie odpoczywam.

KONIEC



# Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Rozdział 46](#)

[Rozdział 47](#)

[Rozdział 48](#)

[Rozdział 49](#)

[Rozdział 50](#)

[Rozdział 51](#)

[Rozdział 52](#)

[Rozdział 53](#)  
[Rozdział 54](#)  
[Rozdział 55](#)  
[Rozdział 56](#)  
[Rozdział 57](#)  
[Rozdział 58](#)  
[Rozdział 59](#)  
[Rozdział 60](#)  
[Rozdział 61](#)  
[Rozdział 62](#)  
[Rozdział 63](#)  
[Rozdział 64](#)  
[Rozdział 65](#)  
[Rozdział 66](#)  
[Rozdział 67](#)  
[Rozdział 68](#)  
[Rozdział 69](#)